

ANDREAS GOESSLING

# *Opus*

tom II

## ŁOWCY KSIĘGI

Przekład: Dariusz Salamon

Tytuł oryginału: OPUS. Die Bücherjäger

Wydawnictwo TELBIT 2011



# ROZDZIAŁ I

# 1

– ZAKUJCIE AMOSA VON HOHENSTEINA w kajdany! Zawiążcie mu oczy i zakneblujcie usta! I nieważne, co się będzie działo – nie wolno wam w żadnym razie go rozpętywać. Czy zrozumiałeś, Waldo?

– Tak jest, Wasza Łaskawość.

– A ty, Franz, co z tobą?

– Jak rozkażecie, panie.

– Jesteście najwierniejszymi z moich żołnierzy – powiedział mężczyzna, którego dwaj pozostali nazywali „panem” i „waszą łaskawością”, po czym wyrzucił z siebie powietrze z głośnym dmuchnięciem. – Mam do was całkowite zaufanie. Zawieziecie więźnia bezpiecznymi bocznymi drogami do Norymbergii, tak jak się umówiliśmy. I nikomu ani słowa!

– Tak jest, Wasza Łaskawość.

Amos wsłuchiwał się w tę wymianę zdań jak przez ścianę. Ci trzej mężczyźni musieli być gdzieś tam na zewnątrz w ciemnym korytarzu – po drugiej stronie pochodni smołowych, które paliły się w dzień i w nocy przed drzwiami do jego lochu. Wszystkie te głosy wydawały mu się znajome, ale tutaj na dole, w skalnym lochu, rzadko można było być pewnym swych własnych osądów.

Skwierczenie płomieni prześladowało go nawet we śnie. Czarny dym piekł w oczy, dlatego przez cały czas patrzył jak przez łyżę. Najmniejsze odgłosy, nawet chrząknięcia czy kaszlnięcia, odbijały się tutaj na dole zniekształcone z wielokrotnionym echem. Przede wszystkim zaś trudno było w tym nieustającym półmroku odróżnić urojenia od rzeczywistych wydarzeń. Amos wcale nie mógłby powiedzieć, jak długo tkwił w tym lochu pod zamkiem biskupa Bambergu. Może trzy dni, może całą wieczność. Już dawno utracił wszelkie poczucie czasu. Czuł się wyczerpany, kręciło mu się w głowie. Jednak najgorsza była dla niego beznadziejność jego położenia.

Mężczyzna o krótkim oddechu, tam na zewnątrz, wciąż jeszcze zdawał się nie do

końca uspokojony.

– Nie dajcie się zwieść niegroźnemu wyglądowi tego młodzieńca – powiedział zaklinającym tonem. – Amos von Hohenstein jest jak żarłoczny wilk, który rozszarpuje zębami bezbronne jagnięta. Nigdy o tym nie zapominajcie! – Urwał, by znów wydmuchać powietrze z płuc. – Przysięgnijcie mi, Waldo, Franz – ciągnął dalej – że zawieziecie waszego więźnia do Świętej Inkwizycji w Norymberdze, choćby piekło miało się rozewrzeć przed wami, aby wam w tym przeszkodzić.

– Przysięgamy! – wykrzyknęli obaj strażnicy.

– A więc dobrze, moje dzieci – powiedziała potem, Wasza Łaskawość” – niezwłocznie wyruszajcie w drogę.

– Jak sobie życzycie. – Znów usłyszał Amos w odpowiedzi i właśnie w tej chwili przebudził się z odrętwienia.

– Proszę, panie! – zawołał, a jego głos zabrzmiał w uszach drżąco i słabo. Tym najwyraźniej otyłym mężczyzną, który z każdym wdechem i wydechem wydmuchiwał powietrze i dyszał, niczym miech, nie mógł być nikt inny, jak tylko książę biskup Georg, któremu, zanim go zaarrestowano, chciał przekazać *Księgę duchów*. Ale dlaczego władca osobiście się pofatygował do tego zatechłego podziemia? A ci dwaj żołnierze, którym książę biskup Georg wydawał rozkazy – czyż nie byli to ci sami zamkowi strażnicy, którzy obezwładnili Amosa podczas tamtego nieszczęsnego spotkania?

Jakie to dziwne, pomyślał, do tej pory nie zobaczył tu na dole żadnej żywej duszy poza sędziwym strażnikiem więziennym. Z początku ciągle błagał starego, by zaprowadził go do księcia biskupa, ale w końcu uświadomił sobie, że strażnik był głuchy i porażony głupotą.

Amos zerwał się z miejsca i podszedł – zataczając się – do drzwi celi.

– Proszę, wysłuchajcie mnie! – Chwycił obydwoma rękami za zardzewiałe pręty krat. – Książę biskupie, uwierzcie mi, proszę, sam zostałem oszukany tak jak i wy!

Zamiast odpowiedzi usłyszał niezrozumiałe mamrotanie. Zaraz potem jeden z mężczyzn oddalił się ciężkim krokiem. To mógł być tylko książę biskup. Najwidoczniej nie miał zamiaru jeszcze raz wysłuchiwać swojego więźnia. Wręcz przeciwnie, chciał się pozbyć Amosa tak szybko, jak to tylko było możliwe. Swoich żołnierzy poinstruował, żeby go zakneblowali, przez co więzień nie mógł odezwać się do nikogo ani słowem. Przynajmniej tak długo, aż inkwizytorzy w Norymberdze przystąpiliby do jego przesłuchiwania w swej katowni.

Amos puścił żelazne pręty i po omacku poszukał z powrotem kamiennej ławki, która służyła jednocześnie za łóżko, stół i krzesło. Znów opadł na nią, oparł się plecami o zimną

ścianę skalną i zamknął oczy. Prawie nie robiło mu różnicy, czy miał uniesione, czy też opuszczone powieki. Podobnie, jak nie miało zapewne znaczenia, czy skamlał o łaskę, czy też po prostu poddawał się swojemu losowi. Każdy, kto dostawał się w łapska inkwizycji, musiał liczyć się z tym, że jego życie jest już stracone. Jakże często słyszał opowieści o nieszczęśnikach, którzy zostali zaaresztowani przez łowców czarownic i kacerzy! Takie historie zawsze przekazywano sobie zduszonym głosem, a wszystkie bez wyjątku zawsze okropnie się kończyły.

Obaj żołnierze, do których książe biskup zwracał się per Waldo i Franz, znaleźli się w kręgu światła rzucanego przez pochodnię przed drzwiami do lochu. Amos ze zdziwieniem rzucał wzrok to na jednego, to na drugiego. Nic dziwnego, że ich głosy wydały mu się wcześniej takie znajome – prawdopodobnie byli gwardzistami, którzy strzegli bramy do biskupiego zamku, gdy Klara i on zażądali, by wpuszczono ich do środka. Dlaczego biskup Georg właśnie tym dwojgu powierzył misję zawiezienia go do Norymbergii? W końcu Amos widział na własne oczy, że tutaj na zamku stacjonuje oddział wojowników Kościoła. Jeśli więc książe biskup chciał go przewieźć do Norymbergii, to dlaczego nie wykorzystał do tego celu papieskich żołnierzy w purpurowych uniformach, którzy bezpośrednio przecież podlegali inkwizytorowi? Dziwne, pomyślał Amos. Jednak o wiele bardziej zdziwiło go to, że obaj strażnicy bramy byli ubrani jak wędrowni kupcy. Zamiast mundurów mieli na sobie ciasno przylegające spodnie, a nad nimi – koszule i peleryny, spod których wystawały wszakże połyskujące krótkie miecze.

Młodszy z nich wyłowił z kieszeni przy pasie jakiś klucz i wetknął go do zamka w drzwiach. Musiał to być Waldo, wąsaty, rosły żołnierz–wartownik, który zmierzył Klarę i Amosa gniewnym wzrokiem, gdy przybyli na zamek.

– Ani słowa, bo w przeciwnym razie... – powiedział Waldo groźnym tonem i pokazał Amosowi swoją pięść.

Amos skinął głową w jego stronę. Dobrze wiedział, czego boją się obaj strażnicy i doprawdy nie mógł im mieć tego za złe. On też przecież czuł się tak samo – gdy pomyślał o tym, jak podczas tamtego spotkania porwał ze sobą wszystkich zgromadzonych do magicznie zaklętej przeszłości. Wtedy po nim też przeszły ciarki.

– I patrz na ziemię! – zbeształ go Franz, starszy ze strażników, który zaprowadził wtedy Klarę i jego do komnat nadwornego kapelana.

Franz był przysadzistej budowy i niezbyt już młody – włosy na głowie miał przerzedzone, okrągła twarz poorana była zmarszczkami z powodu jakiejś tajemniczej zgryzoty. W czasie gdy podążali za tym żołnierzem–wartownikiem przez zamek, Amos sądził

jeszcze, że mogą mu zaufać i że należał może nawet do bractwa Opus Spiritus. Jednak ten sam Franz brutalnie go przytrzymał podczas jego nieudanej próby ucieczki, tymczasem Waldo uderzył go od tyłu pałką w głowę. I właśnie w tym ułamku sekundy, zanim Amos runął w otchłań omdlenia, przemknęło mu przez myśl pewne przekonanie. Przekonanie, które – za każdym razem, jak tylko o tym pomyślał choćby i przelotnie – bardzo go przerażało.

W całej tej morderczej grze pomyłek, w którą wplątało wszystkich bractwo Opus Spiritus, musiało chodzić o coś znacznie potężniejszego i o wiele niebezpieczniejszego, niż mu się dotąd wydawało. O wzbudzenie mocy, które zdecydowanie wykraczało poza te zdolności, które obudziły się w nim samym i Klarze po przeczytaniu dwóch pierwszych opowieści z *Księgi chichów*. Magia serca i magia myśli były najniższymi stopniami, które prowadziły z jednej strony na przyprawiające o zawroty głowy wysokości, a z drugiej – w stronę piekielnych czeluści, jak kto woli.

Amos nie mógłby powiedzieć, skąd się u niego wzięło to olśnienie. Miał jednak wrażenie, że była to najszczerza prawda. Od tamtej pory bał się magicznych mocy, które wzbudziła w nim *Księga duchów*, a niekiedy odczuwał lekki dyskomfort, gdy przysyłał Klarze wiadomości za pomocą magii serca i magii myśli lub gdy sam otrzymywał od niej informacje tymi drogami. Valentin Kronus nigdy nie chciał mu zdradzić, jakie zdolności mogą wzbudzić w swych czytelnikach trzecia i czwarta opowieść. I czasem Amos zadawał sobie pytanie: Czy starzec milczał z takim uporem na ten temat, dlatego że były to ciemne, niszczycielskie zdolności? Prawie jak anioł – taki miał się stać Amos dopiero po tym, jak przeczyta i dogłębnie pojmie całą *Księgę duchów*. Tak przynajmniej powiedział mu kiedyś Kronus. Ale sformułowanie „jak anioł” mogło oznaczać wiele różnych rzeczy – w końcu w Biblii występują także anioły zniszczenia, które zabijały ludzi lub zamieniały ich w kamienne słupy.

– Masz na nas nie patrzeć, ty przeklęty chłopaku – burknął Waldo.

Amos posłusznie spuścił głowę. Najwyraźniej strażnicy wierzyli, że posiada diabelski dar „przenikliwego spojrzenia”, a i pod tym względem nie do końca się mylili. W ciągu tych dni, które spędził tu na dole, Amos nieraz zadawał sobie pytanie, czy ma już tak samo palące ogniste oczy jak ten straszny mag Faust.

Jednak naprawdę nie chciał teraz myśleć o Fauście i o tamtej magicznej podróży do najciemniejszych, zamierzchłych czasów, w którą wysłał go ten potężny czarodziej. Za każdym razem, gdy o tym myślał, dostawał zawrotów głowy, którym towarzyszył szum, I wydawało mu się, że musi się rzucić w czarną przepaść – bezdenną otchłań, która znajdowała się przed jego stopami i jednocześnie w jego własnym wnętrzu.

Klucz przekręcił się z rdzawym zgrzytem i po raz pierwszy, odkąd Amos został osadzony w więzieniu, drzwi jego celi się otwały. Spod na wpół opuszczonych powiek widział, jak Franz i Waldo wchodzą do jego więzienia, jak jeden z nich wydobywa spod swej peleryny chustę, a drugi – szeroki skórzany rzemień. Zawiazali mu oczy i zakneblowali go rzemieniem, który smakował ohydnie, nie bardziej niż zupa, którą stary strażnik więzienny wsuwał mu za każdym razem przez otwór u dołu drzwi do lochu. Mętną niczym muł breję, w której pływały obierki z ziemniaków i jeszcze gorsze kawałki – jednak po początkowym wzbranianiu się Amos siorbał ten szarawy sos do ostatniej kropli.

– Idziemy! – rozkazał Waldo. Chwycili go pod ramiona i pociągnęli ze sobą. Gdy uszli już dobry tuzin kroków, został pociągnięty z powrotem do tyłu i przyciśnięty do szorstkiej ściany skalnej.

– Stać! – zakomenderował wąsaty strażnik.

Otwarły się jakieś drzwi, a zaraz potem rozległ się głośny szczełk. Amos aż się zatrząsł – już ten niski i donośny dźwięk pozwalał wyczuć, jak ciężkie i zardzewiałe były łańcuchy, którymi zamierzali mu teraz opleść szyję i kostki u stóp.

– Sprawdź, czy konie są już zaprzęgnięte – rzekł Waldo, który najwyraźniej nadawał ton w tym duecie, mimo że był o wiele młodszy od Franza. – Jeśli powóz jest gotowy, daj mi znak, a ja wyjdę na górę z tym małym diabłem.

Kroki oddalały się na lewo, po schodach na górę – musiał to być strażnik Franz z twarzą pooraną bruzdami żalu, którego głos zawsze przepełniała troska.

– Najlepiej zrobisz, próbując ucieczki, diabełku. – Usłyszał ochryply głos Waldo tuż przy swoim uchu. – Wyświadczysz mi tym wielką przysługę. A wiesz może, dlaczego? – Urwał i zdawał się czekać na to, aż jego więzień wyjęczy odpowiedź przez swój knebel. Jednak Amos nawet nie wzruszył ramionami. – To całkiem proste – dodał w końcu żołnierz pełniący wartę, a jego śmierdzący oddech przedostawał się do nosa Amosa. – Dostaniesz wtedy moim toporem w krzyż i nie będę się musiał już więcej z tobą użerać. – Jednym łańcuchem oplótł nadgarstki Amosa, a drugim jego kostki nóg, luźne końce zamknął na kłódkę. Trzeci łańcuch zawiesił na kajdanach u rąk, a gdy gdzieś ponad ich głowami rozległ się gwizd, Wado owinął sobie szczełkający koniec wokół nadgarstka.

– Ruszamy, mały diable!

Pociągnął Amosa za sobą niczym psa uwiązanego na smyczy.

OBAJ ŻOŁNIERZE siedzieli z przodu na koźle wozu, przez większość czasu milcząc. Raz po raz Franz mamrotał zatroskany, ale za każdym razem Waldo grubiańsko wydzierał się na niego.

– Miej oczy szeroko otwarte, ty gaduło, i trzymaj język za zębami.

Amos wyczuwał między nimi napięcie, chociaż wciąż nie pojmował, czego się właściwie obawiali. A już w ogóle nie wiedział, dlaczego byli przebrani za kupców, mimo że to sam ksiązę zlecił im dostarczenie więźnia do Norymbergii.

To po prostu nie miało sensu. Zresztą zbyt wiele rzeczy w tej grze pomyłek zdawało się zupełnie niezrozumiałych. Kogóż na tej ziemi miałby się w ogóle obawiać ksiązę biskup Bambergu, skoro według Klary był jednym z najpotężniejszych władców w Rzeszy Niemieckiej?

Choć bardzo łamał sobie nad tym głowę, nie mógł znaleźć odpowiedzi. Najwidoczniej papieska inkwizycja mogła nastreczać kłopotów nawet tak potężnemu mężowi, jak ksiązę biskup Georg. Ale to właśnie inkwizytorowi Leo Cellariemu obaj żołnierze mieli dostarczyć swojego więźnia – jego, Amosa von Hohensteina, który w oczach księcia biskupa był bez wątpienia szczególnie groźnym członkiem bractwa Opus Spiritus. Przy tym to samo bractwo zleciło kilka lat temu zamordowanie rodziców Amosa. Dopiero wtedy, gdy on sam został uwikłany w machinacje tej tajemniczej loży, dowiedział się, że w ogóle istnieje ten tajny zakon o nazwie Opus Spiritus.

Amos strasznie się wykrzywił, chcąc poluzować opaskę, którą miał przewiązane oczy. Marszczył czoło, otwierał szeroko oczy, mrużył je ponownie, a nawet usiłował poruszać uszami. W ten sposób rzeczywiście udało mu się przesunąć opaskę o półtora cala w górę. Niezależnie od tego, jak przewracał oczami, wciąż niczego nie widział.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wieźli go w krytym wozie przez kraj. Leżał na stosie bel sukna i innych tobołach wypchanych ptasim pierzem lub jakimiś innymi miękkimi rzeczami. Inne bele i zwoje leżały jedna na drugich dookoła niego – nawet bez tych okropnych kajdan, ściskających mu ręce i nogi, ledwo mógłby się ruszyć z miejsca.

Gdy przewracał oczami, by zerknąć spod opaski, mógł dojrzeć rozmazane, tańczące cienie, które jeden za drugim przesuwwały się przed nim. Wydawało mu się, że rozpoznaje zarysy ogromnych drzew – najwyraźniej jechali wyboistymi drogami przez gęsty las. Zresztą już od dłuższej chwili droga prowadziła stromo w górę – wóz trzeszczał, pożał się Boże,



konie zaprzężone u wozu posuwały się naprzód już tylko w wolnym tempie, a żołnierze co kilka chwil świstali biczem, zagrzewając szkapy przytłumionymi okrzykami.

Najwidoczniej Waldo i Franz unikali traktu handlowego prowadzącego dolinami i równinami przez Forchheim do Norymbergii. „Bezpiecznymi bocznymi drogami”, tak poinstruował ich książę biskup, mieli zawieźć swój ludzki ładunek do więzienia inkwizycji na placu Mariackim w Norymberdze – a Amos znów zadawał sobie pytanie: Dlaczego władca kraju nakazał swoim żołnierzom, by – niczym typy spod ciemnej gwiazdy – przebijali się do celu uciążliwymi drogami?

Zastanawiając się nad tym, usiłował jednocześnie zignorować w swoich ustach wstrętny posmak wielokrotnie już przeżutego skórzanego rzemienia. Tak samo, jak dokuczliwy głód, jeszcze bardziej doskwierały mu pragnienie i łańcuchy, które obcierały mu skórę na nadgarstkach. W stopach czuł takie mrowienie, jakby po nich chodziły tysiące mrówek – tam u dołu Waldo o wiele za ciasno związał jego kajdany, ale dla Amosa było jasne, że głośnymi jękami i brzękami łańcuchów jeszcze tylko bardziej pogorszyłby swoje położenie.

Wąsaty żołnierz już i tak był wściekły, bo musiał wziąć na siebie tę uciążliwą i pełną niebezpieczeństw podróż. Waldo tylko na to czekał, że ich więzień da mu pretekst do wyładowania na sobie jego gniewu. Ale wszystko to, mówił sobie Amos, nie ma już żadnego znaczenia.

Jutro, najpóźniej pojutrze, oddadzą go w ręce inkwizytora Cellariego. Dlaczegoż miałby się więc dziś skarżyć na za ciasno zawiązane kajdany, skoro co najwyżej za dwa dni będzie siedział w katowni? Zostanie wydany na pastwę siepaczy Cellariego, którzy będą go dręczyć rozżarzonymi igłami i szczypcami, aż wreszcie zezna, kim byli poplecznicy Opus Spiritus? Sam zresztą wiedział jeszcze mniej niż inkwizytor, czym właściwie był ten tajny zakon, przez kogo został założony i co ci podejrzani bracia chcieli koniec końców osiągnąć za pomocą *Księgi duchów*.

Ale Cellari nie uwierzy oczywiście w ani jedno jego słowo. I tak będą go dalej męczyć i dręczyć, przywiążą go do koła i pociągną do góry na kołowrotku, aż kości powyskakują mu ze stawów, i będą z nim robić wiele innych okropnych rzeczy. Leżąc na madejowym łożu, będzie sobie przypominał tę podróż, pomyślał Amos, i jeszcze zatęskni do łańcuchów, knebla, opaski na oczach i podskakiwania wozu.

Wzbierał w nim strach. Dlaczego właśnie ja?, pomyślał. Jak w ogóle bractwu przyszło na myśl, by przesuwać jego i Klarę tam i z powrotem jak figury szachowe. A teraz chcą także poświęcić jego życie, jakby był niepotrzebnym już twórcą szachownicy? Nie chcę umierać,

pomyślał znów Amos, i strasznie się boję tortur, którym podda mnie inkwizytor Cellari, by wydobyć ze mnie wszystko, co wiem o Opus Spiritus.

Ale ja nic nie wiem, zupełnie nic. Nie wiem nawet, dlaczego Valentin Kronus, mężczyzna, którego czciłem i kochałem jak drugiego ojca – dlaczego dopuścił do tego, żeby łowcy książek i kacerzy gonili za mną po całym kraju jak zgraja krwiożerczych psów myśliwskich. *Dlaczego, drogi panie, dlaczego? Jeśli żyjecie, dajcie mi jakiś znak!* Takie błagania po wielokroć wznosił w głębi serca Amos, odkąd zastał dom Kronusa cały w płomieniach. Drogocenną bibliotekę starego uczonego doszczętnie spalili łowcy książek i kacerzy, a po Kronusie ani śladu. Wszystko stracone, z wyjątkiem oryginału *Księgi duchów*, ukrytego przez Kronusa w pewnym miejscu, które poza nim samym znał jeszcze tylko Amos. W książce tej Kronus – jak sam twierdzi – zawarł kwintesencję wiedzy pochodzącej z dawnych pogańskich czasów, by ukryć ją w czterech opowieściach, które każdy może przeczytać i zrozumieć. Przystąpienie do lektury z otwartym umysłem i sercem oraz dogłębne przyswojenie sobie tych treści, pozwoli na rozwinięcie wielu magicznych zdolności u wszystkich gorliwych czytelników.

Amos wsłuchał się w swoje wnętrze. Odkąd przeczytał pierwszą i drugą opowieść z *Księgi duchów* – o rycerzu, co znalazł swoją ukochaną za lustrem i o kobiecie, co mieszkała w studni – mógł nawiązywać kontakt na drodze uczuciowej i poprzez wymianę myśli z każdym czytelnikiem, który równie wnikliwie przyswoił sobie te dwa opowiadania, niezależnie od dzielącej ich odległości. Wystarczyło, że skupił się na wnętrzu swojej duszy, a już dostrzegał tam tajemnicze źródło światła – swoje magiczne serce i swą „wewnętrzną gwiazdę”, jak się wyraził Kronus. Od tej magicznej gwiazdy odchodziły promienie w stronę tych wszystkich, którzy posiadali te same co on zdolności. Odkąd jednak purpurowi wojownicy inkwizytora i łowcy książek z Urzędu Cenzury Rzeszy zniszczyli dom Kronusa, Amosowi nigdy już nie udało się nawiązać kontaktu z uczoneym. Oznaczało to prawdopodobnie tylko jedno – że Kronus nie żyje.

Ponownie wsłuchał się w siebie. Najwyraźniej ich powóz osiągnął tymczasem najwyższy punkt stromego wzniesienia. Po drugiej stronie kopy droga znów prowadziła gwałtownie w dół. *Klaro*, pomyślał Amos zaklinająco, *styszysz mnie\**

Przez cały ten czas gdy siedział w więzieniu pod zamkiem biskupim, jedynym dla niego pocieszeniem była wiara w to, że Klara nie dostała się w ręce inkwizycji i że w ostatniej chwili zdołała uciec i umieścić *Księgę duchów* w jakimś bezpiecznym miejscu. Gdyby to od niej zależało, wymieniałaby się z nim w magiczny sposób wiadomościami przesyłanymi sercem lub telepatycznie od rana do wieczora, a choćby i jeszcze przez pół nocy.

Zaproponowała mu nawet, że przeczyta mu na drodze telepatycznej trzecią opowieść z *Księgi duchów* – o skale, co była oknem. Ale Amos nie chciał o tym słyszeć. Było to zbyt niebezpieczne. Dopóki nie wiedzieli, przynajmniej w przybliżeniu, jakie magiczne zdolności wzbudziłyby w nich trzecia i czwarta opowieść, dopóty pod żadnym pozorem nie wolno im było kontynuować lektury. Poza tym do tej pory tylko sporadycznie mogli wykorzystywać także te zdolności, które zdołali już w sobie rozwinąć.

Dlatego też Amos, odkąd przyszedł do siebie w więziennym lochu, tylko kilka razy nawiązał łączność z Klarą, za każdym razem na bardzo krótko. Wysłał jej ciepły promień uczuciowy, tak aby mogła poczuć, że on jeszcze żyje i wciąż kocha ją tak samo mocno, jak w dniu ich pierwszego spotkania. Zanim jednak zdążyła go jeszcze poprosić, by nie upadał na duchu, i zanim jeszcze zaczęła zasypywać go rozpaczliwymi planami uwolnienia, Amos szybko przerywał magiczną łączność.

Nie chciał, by Klara robiła sobie złudne nadzieje. Kto się już raz dostał w ręce inkwizycji, tego dalsze losy były już przesądzone. Tym bardziej nie chciał, żeby narażała się na niebezpieczeństwo, być może nawet ryzykowała życie lub własną wolność, usiłując go uratować poprzez przypuszczenie karkołomnego lub z góry skazanego na niepowodzenie ataku. Dlatego też nie od razu poinformował ją, że książe biskup niespodziewanie zdecydował się go przewieźć do Norymbergii – i to jeszcze w tak osobliwy sposób.

– *Klaro* – Tym razem poczuł znajome ssanie rozchodzące się od pępka w górę aż do krtani i jednoczesny szum w skroniach – znak, że magiczne połączenie zostało nawiązane. Wciąż jednak wahał się, czy już teraz powiedzieć jej o swojej niespodziewanej podróży. Wystarczyłoby, gdyby uczynił to już z więzienia inkwizycji w Norymberdze. Jednak Klara pewnie ukrywała się jeszcze w gąszczu nieopodal zamku biskupiego w Bambergu. Gdyby dowiedziała się teraz od niego, że od wielu godzin jest w drodze do Norymbergii, nie mogłaby go dogonić, a tym samym narazić samą siebie na niebezpieczeństwo.

W jego wnętrzu rozległ się jej głos – wysoki, delikatny, ale zarazem donośny.

– *Amosie, jakże się cieszę, że znów cię słyszę. Już od wielu godzin usiłuję nawiązać z tobą kontakt.*

– *Wiem, Klaro.* – Serce mu się ścisnęło. Jakże on ją kochał! W całym swoim życiu jeszcze nigdy nikogo nie kochał w taki sposób. Ani swoich rodziców, którzy zostali zamordowani przez bractwo Opus Spiritus, ani siostry Ody, którą miał na sumieniu inkwizytor Cellari. Tak nawet nie kochał Kronusa.

Ale właśnie dlatego, że Klara była dla niego najdroższym człowiekiem na całym świecie – właśnie dlatego pod żadnym pozorem nie wolno mu było narażać jej życia i jej

wolności na niebezpieczeństwo. Waldo nie zawahałby się ani chwili, by zabić swoim toporem lub krótkim mieczem każdego, kto stanąłby im na drodze. Nawet jeśli byłaby to śliczna, zaledwie szesnastoletnia dziewczyna o długich jasnych włosach i błyszczących zielonych oczach, które potrafiły ze złości lub smutku przybrać prawie czarny kolor.

– *Klaro, posłuchaj mnie*, – zaczął, – *książę biskup kazał mnie zawieźć do Norymbergii – jestem już w drodze i pewnie...* – Nie udało mu się już dokończyć.

– *A więc to prawda!* – Wpadła mu w słowo Klara i nawet jej telepatyczny głos brzmiał tak, jakby brakło jej tchu.

– *Ale skąd o tym wiesz...* – Ze zmieszania Amosowi prawie odebrało mowę. – *Czy powiedział ci o tym ktoś z zamku?*

– *Nie ktoś* – odparła Klara – *ani nie z biskupiego zamku. Sama nie mogłam w to uwierzyć, to była matka Zofia.*

– *Matka Zofia? A więc ona żyje?* – Amos niczego już z tego nie rozumiał. – *Ale skąd wiedziała, co zamierza ze mną zrobić książę biskup?*

– *Tego nie wiem, Amosie* – odpowiedziała Klara. – *W każdym razie ona żyje, odezwała się do mnie zeszłą nocy na drodze telepatii i opisała mi całkiem dokładnie, co dzisiaj z samego rana powinnam zrobić.*

Matka Zofia była ksienią klasztoru Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny nieopodal Norymbergii. Klara mieszkała tam przez kilka lat, po tym jak jej rodzice zostali zamordowani przez nasłanych podpalaczy – zresztą wkrótce w podobnych okolicznościach zginęli rodzice samego Amosa. Ksieni była dla Klary jak druga matka. Pocieszała ją, gdy zrywała się w nocy z przerażeniem, zalana łzami i cała roztrzęsiona, bo znów przyśnił jej się tamten straszliwy dzień, w którym zamordowano jej rodziców. Matka Zofia nauczyła ją, by z ufnością zwracała się w modlitwie do Jezusa Chrystusa i jego matki Maryi. Dopiero dzięki jej dobrotliwym naukom Klara w ogóle dowiedziała się, że Syn Boży nauczał swoich apostołów, by byli miłośnikami i ujmowali się za słabymi i biednymi – co zupełnie nie pasowało do dzisiejszych książąt Kościoła, inkwizytorów i żołnierzy, którzy ogniem i mieczem szerzyli strach w całym kraju.

Wszystko wskazywało na to, że i matka Zofia należała do Opus Spiritus – przeczytała na głos Klarze dwie pierwsze opowieści z *Księgi duchów* i zapowiedziała jej, że Amos nawiąże z nią łączność na magicznej drodze, by razem uratowali *Księgę* przed łowcami ksiązek i kacerzy. Później została jednak aresztowana przez norymberską inkwizycję, a niedługo potem kontakt Klary z mądrą i dobrotliwą matką się urwał. Właściwie to obojgu wydawało się, że matka Zofia – tak samo jak Kronus – nie żyje.

Amos zastanawiał się nad tym wszystkim. Ten nieoczekiwany zwrot wcale mu się nie spodobał. Sam nie potrafiłby dokładnie powiedzieć, co go niepokoiło, ale miał złe przeczucia.

– *Zapakować Księgę duchów i wyruszyć o pierwszym brzasku* – odpowiedziała Klara – *a mianowicie w kierunku...*

Więcej informacji z tej przesyłanej telepatycznie wiadomości już do niego nie dotarło. Dookoła niego co najmniej pięć tuzinów ludzi zagrzmiało nagle donośnym krzykiem. Zaniepokojony Amos wsłuchiwał się w odgłosy dochodzące z zewnątrz. Tym sposobem urwało się jego magiczne połączenie z Klarą. Czuł, jak momentalnie ścisnął mu się żołądek, a wraz z szumem w skroniach zamarł także jej głos i to tak nagle, jakby zatrzasnęły się jakieś drzwi w jego wnętrzu.

Ziemia dookoła niego zatrzęsła się od tupiących kroków. Zgrzytało przy tym i trzaskało, jakby zwaляło się ogromne drzewo. Powóz nagle się zatrzymał, jakby wjechał w ścianę skalną. Co, na litość boską, działo się tam na zewnątrz?

W rozpacz Amos rzucał głową tam i z powrotem. Pocierał skroniami na zmianę w bele sukna po lewej i po prawej stronie, aż wreszcie udało mu się przesunąć na czoło lichą opaskę na oczy. Z trudem usiadł i próbował sobie uprzytomnić, co w ogóle działo się na zewnątrz. Przez tę cholerną plandekę, rozpiętą nad wozem na wygiętych prętach, wciąż mógł dostrzec tylko nieokiełznany chaos drgających cieni.

Z przodu na koźle wozu Waldo i Franz prześcigali się w przekleństwach. Tymczasem kilku napastników najwyraźniej atakowało ich pojazd. Cały wóz chwiał się i stękał, a bojowe okrzyki mieszały się z odgłosami policzkowania i łomotem pięści. Za jednym zamachem plandeka nad głową Amosa została najpierw rozdarta na pół, a następnie zerwana do połowy z prętów, na których była rozpięta. Amos był jeszcze bardziej zdziwiony niż przerażony, gdy zobaczył, że tymi rozbójnikami była horda dzikich ludzi, którzy najwidoczniej gnieźdzą się tu na zewnątrz w gąszczu.

Rozbójników, którzy tłoczyli się wokół powozu na wąskiej drodze leśnej, musiało być co najmniej pięćdziesięciu. Mężczyźni i kobiety, wyrostki i dzieci – same wynędzniałe postacie ze skołtunionymi włosami, w obdartych ubraniach. Ich dłonie, ręce, a nawet całe twarze umazane były błotem. Jeden przez drugiego dziko krzyczeli, wymachując przy tym budzącą strach bronią – dzidami, ogromnymi toporami, a nawet zakrzywionymi szablami. O ile Amos mógł się zorientować, zablokowali drogę przed nimi za pomocą potężnego pnia drzewa. A chrzęst i trzask, które słyszał przed chwilą, spowodowało najwidoczniej drugie drzewo, które runęło z łoskotem niecałe pięć kroków za ich wozem.

Doskonała zasadzka, pomyślał Amos. Jednak ci dzicy ludzie nie wyglądali jak

zwyczajni bandyci czy rozbójnicy. Nie mówiąc już o tym, że tą położoną na uboczu drogą najprawdopodobniej tylko raz na kilka tygodni przejeżdżał jakiś wędrowiec lub powóz, który wart był obrabowania. Co to byli zatem za ludzie?

Ściągnęli Waldo i Franza z kozła wozu i niezależnie od tego, jak bardzo obaj żołnierze się przed tym wzbraniali, w mgnieniu oka zbójcy rozebrali ich do koszul i jakby dla równowagi obwiązali ich od stóp do szyi grubymi jak palec linami. Usta zakneblowali im chustami, znad których wyzierały jeszcze tylko wywracające się oczy, a u Waldo dwa końce jego wąsów.

Młody zbój, jeszcze raczej chłopiec niż mężczyzna, wdrapał się tymczasem na krokwie wokół Amosa. I już miał wskoczyć do środka wozu – niewątpliwie po to, by sprawdzić, czy te wszystkie toboły i zwoje zawierają coś godnego kradzieży. Jednak jeszcze zanim zdążył całkowicie wpełznąć do środka, rozległ się trzask strzału, dochodzący z gąszczu po prawej stronie drogi.

Młody rabuś, z wytrzeszczonymi ze strachu oczami, zamarł. Padł drugi strzał, tym razem z całkiem bliskiej odległości. Chłopak gwałtownie się odwrócił i być może nie był to nawet sam wygląd – włosy w kolorze blond, zielone oczy, umazane błotem dłonie – lecz raczej te gwałtowne, prawie kocie ruchy sprawiły, że Amos go rozpoznał.

– Stój! – wykrzyknął spod swego knebla, a na zewnątrz rozległ się tylko przytłumiony bulgot.

Chłopak zaśmiał się, jednym susem zeskoczył z wozu i zniknął z pola widzenia Amosa.

Znał tego blondwłosego drania, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Był to ten sam chłopak, który już raz, przed wieloma tygodniami, gdy Amos znajdował się w podróży do Norymbergii, omal go nie okradł – a działo się to pośród takiego samego tumultu jak teraz. Ten przekłety chłopak usiłował wtedy ukraść mu list, który Amos miał zawieźć do Norymbergii na polecenie Kronusa – a cała ta obdarta horda była być może tą samą, co wtedy.

Ale jakże by to było możliwe?, zastanowił się po chwili. Nawet jeśli nie miał żadnego pojęcia, gdzie tym razem wpadli w zasadzkę – musieli znajdować się w odległości pięćdziesięciu lub jeszcze więcej mil od Pegnitz. I z pewnością nie przypadkiem po raz kolejny natrafił na tę samą zgraję, zwłaszcza na tego gnojka. Jeśli jednak nie był to ślepy przypadek, to kto lub co przywiodło tę gromadkę obdartusów do tego położonego na uboczu miejsca?

Amos tak intensywnie się nad tym zastanawiał, że ledwo dostrzegł, jak cała ta zgraja

rabusiów zniknęła ponownie w gąszczu po jego lewej stronie. Wyciągnęli z zaprzęgu konie u wozu i poprowadzili ze sobą za uzdy. Na każdej ze szkap przerzucili po jednym z żołnierzywartowników – związanych od stóp po szyję, z workami na owies założonymi na głowy.

Cisza, która zapadła po wszystkich tych krzykach i całym tym hałasie, wydała się Amosowi prawie nierzeczywista. Po zgrai tych dzikich ludzi słychać było jeszcze tylko kroki i trzaski w leśnym podszyciu. O wiele głośniej szczękały łańcuchy u jego rąk i nóg, gdy wczołgał się tak głęboko, jak to tylko było możliwe pod bele sukna. Kimkolwiek byli ci rozbójnicy, o wiele groźniejsi wydawali się ci inni w gąszczu powyżej ulicy, którzy przepędzili zbójców strzałami z broni. Kim byli ci uzbrojeni? Być może myśliwymi lub... Serce stanęło mu na pół sekundy Purpurowymi wojownikami inkwizytora? To straszne wojsko przekształciło zamek Hohenstein i folwark młyński Kronusa w prawdziwe pobojo wisisko, usłane trupami i gruzami.

Amos, spomiędzy bel sukna i strzępów plandeki wozu, patrzył na zewnątrz jednym okiem. Z trzaskiem wypadł z gąszczu pewien jeździec. Nie zważając na ścianę skalną, rudy jak lis koń zeskoczył na drogę obok wozu. Amos z niedowierzaniem gapił się na postać zasiadającą na koniu.

Jeździec okazał się kobietą. Włosy w kolorze blond powiewały za nią niczym smuga światła, a jej zielone oczy błyszczały zawadiacko, przesycone tryumfem.

– Klara – dobył z siebie Amos. Szczękając i dysząc, ponownie wygrzebywał się z tych przeklętych sukien i pierza. – *Jak, na Boga, się tu znalazłaś?*

Poprowadziła swoją kasztankę bliżej w stronę wozu.

– *Właśnie tutaj miałam się przyczaić* – odparła, a cała jej twarz promieniała ze szczęścia i zadowolenia. – *Zgraję rozbójników miałam przepędzić kilkoma huczącymi strzałami ostrzegawczymi za pomocą tej oto boni.* – Zastukała w lufę strzelby wystającej z jej torby przy siodle.

– *Matka Zofia opisała mi też chatkę myśliwską, położoną kilka mil w głąb lasu, gdzie miałam znaleźć strzelbę. I rzeczywiście wszystko przebiegło tak, jak to przepowiedziała.*

Klara zsunęła się z kasztanki. Na jej twarzy malowała się wina.

– Ale, mój ty biedaku – ciągnęła dalej swoim zwykłym głosem – ja tak mówię i mówię, tymczasem powinnam cię od razu uwolnić z tych okropnych kajdan! – Wskoczyła na wóz do Amosa.

– Przez cały ten czas czułam – powiedziała – że uda nam się cię uwolnić.

Delikatnie rozwiązała opaskę na jego czole i wyjęła knebel. Jakże wielką rozkosz czuł teraz, gdy zamiast stokrotnie pogryzionego skórzanego rzemienia poczuł smak jej ust.

– Mój wybrańcu – wyszeptała mu blisko ucha – już nigdy nie pozwolę, by ktokolwiek nas rozdzielił.

Wyciągnęła spod ubrania *Księgę duchów*. Oprawa z czarnej króliczej skóry wyglądała tymczasem na zmatowiałą i poplamioną, a zwisające z boku, na wpół wyrwane kartki, przywodziły Amosowi na myśl – bardziej niż kiedykolwiek wcześniej – język ziającego małego zwierzęcia.

Opuszkami palców przejechał po wierzchniej stronie książki. Wydawało mu się, jakby jej jasny promień wniknął do głębi jego duszy. Kronus sam oprawił rękopis w ten skrawek skóry i własnoręcznie wyrył nożem tytuł książki. *Księga duchów* było tam napisane niewyraźnym pismem, a poniżej, o wiele mniejszymi literami *autorstwa Valentina Kronusa*.

– Chcesz ją zatrzymać dla siebie? – zapytała Klara.

Amos pokręcił głową, a jego łańcuchy zaszczękały.

– Najpierw muszę się pozbyć tych przeklętych kajdan.

### 3

CZEŚĆ DOBYTKU Waldo i Franza leżała jeszcze rozsypana na drodze obok kozła wozu – splądrowana sakiewka, pusty wąż do wody, dolna część złamanego krucyfiks z drewna. Klucza, którym wąsaty strażnik zamknął zamki u łańcuchów Amosa, nie znaleźli.

– I co teraz zrobimy? – zmartwił się Amos. – Z tymi kajdanami nie ujdę nawet dwóch mil, choćby dlatego, że są tak okropnie ciężkie.

Dopóki jego nogi były oplecione łańcuchem, a ramiona z nieruchomo przyciśniętymi do siebie dłońmi zwisały przed nim jak wiązka drewna, mógł stawiać jedynie małe kroczki.

Oczy Klary zwęziły się do szparek, jak za każdym razem, gdy intensywnie się nad czymś zastanawiała.

– Musimy wrócić do chatki, do domku myśliwskiego – oświadczyła. Amos patrzył na nią, nic nie rozumiejąc. – Wiesz przecież, matka Zofia posłała mnie tam, abym zabrała strzelbę. Na pewno znajdziemy tam także jakieś narzędzia, za pomocą których będzie można rozerwać łańcuch.



– Jak tam jest daleko? – Po tych dniach spędzonych w więzieniu czuł się słabo, ledwo stał na nogach. Z łańcuchami u nóg nie zdoła nawet wskoczyć na kasztankę. Poza tym ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć, że znów jest na wolności. Co kilka oddechów rozglądał się z trwogą, jakby lada chwila mieli przygalopować w ich stronę purpurowi wojownicy.

Z troską wymalowaną na twarzy Klara przesunęła wzrok z Amosa na trudny do pokonania kawałek lasu powyżej drogi.

– Dwie mile – powiedziała – może trzy.

– W takim razie pojedź tam sama, a ja tymczasem ukryję się tam u góry w zaroślach.

Jednak Klara nie chciała o tym słyszeć.

– A co jak rozbójnicy wrócą? – wyraziła swoje obawy. – Przecież większa część łupu jest jeszcze na wozie.

Amos pokręcił głową.

– To nie byli rozbójnicy – powiedział. – Jestem pewien, że cała ta zgraja dzikusów ma jakieś związki z Opus Spiritus. Bractwo może kierować tymi ludźmi w okolicy i wykorzystywać ich każdorazowo tam, gdzie jest to akurat konieczne.

Klara zrobiła wielkie oczy.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Później ci to wyjaśnię, a teraz pomóż mi, proszę, wejść na nasyp.

Klara pchała go i podpierała, na ile tylko pozwalały jej siły, ale przedzieranie się przez gąszcz na stromy nasyp z żelaznymi kajdanami u nóg było mordegą. Nie uszli jeszcze nawet tuzina kroków, a Amos był już mokry od potu. Ręce i nogi wydawały mu się tak ciężkie, jakby same były z żelaza. Łańcuch ciągle zaplątywał się w gałęzie, poza tym szczekał i brzękał za każdym krokiem jak cała zbrojownia.

Zdyszany, zwałił się na omszały głaz.

– Nigdy nie uda mi się dojść do samej chatki – wydusił z siebie, sapiąc. – A te brzęki na pewno słychać w odległości wielu mil. Zróbmy tak, jak zaproponowałem – ciągnął dalej, po tym jak udało mu się nieco odetchnąć. – Poczekam tu na ciebie, kasztanką w okamgnieniu dotrzesz do chatki i z powrotem.

Klara wspinała się na zbocze tuż za nim, ciągnąc klacz za cugle. Uwiązała konia u nisko zwisającej gałęzi i usiadła obok niego. Uśmiechnęła się czule do Amosa i przytuliła się. Po chwili znowu spoważniała.

– *To wykluczone, Amosie, za duże ryzyko* – wydobyła z siebie swoim telepatycznym głosem. Rozejrzała się w lewo i w prawo, jakby i ona się obawiała, że zostali już wykryci przez któregoś z prześladowców. Jednak jak okiem sięgnąć, nie było widać niczego poza

drzewami i krzakami. – *Może masz i rację, co się tyczy tych dzikich ludzi tam w dole* – ciągnęła dalej. – *Jednak ryzyko jest za duże – z tymi kajdanami nie będziesz mógł się bronić ani uciec.*

Amos wzruszył ramionami. Nawet taki ruch powodował donośny brzęk.

– Czego się obawiasz, Klaro? – zapytał. – Uwierz mi, ci rozbójnicy tam w dole na pewno są po stronie bractwa. Rozpoznałem jednego z nich – takiego brudnego, niskiego chłopaka, który już raz próbował mnie okraść.

Opowiedział jej pokrótce, co się wtedy wydarzyło przed bramą miejską w Pegnitz.

– Tak więc to już było elementem próby – dodał na zakończenie – której Kronus mnie wtedy poddał. Chciał się przekonać, czy może na mnie polegać i czy pozwolę na to, by mi po prostu skradziono pisma, które mi powierzył. Pod Pegnitz bractwo poszczuło mnie tą zgrają dzikusów – a i tamtemu chłopcu prawie, że udało się wyrwać mi list Kronusa. Ale tylko prawie. W Norymberdze Kronus i twoja matka Zofia wyznaczyli kolejną rolę w tej grze tobie, Klaro. I ty rzeczywiście wyłudziłaś ode mnie ten list, ale ja... – spojrzał jej głęboko w oczy i na kilka chwil zapomniał języka w gębie – popędziłem za tobą jak szalony i w końcu ci go odebrałem.

Uśmiechnął się do niej, co Klara odwzajemniła, przybierając przy tym co najmniej równie bezczelną minę.

– Ale tylko dlatego, że poczekałam na ciebie przy studni. Gdybym się uwzięła, nigdy byś mnie nie znalazł. A tym bardziej listu.

Pochylił się w jej stronę i delikatnie pocałował ją w usta.

– Wiesz, że potrafię być bardzo uparty.

– O tak! – odpowiedziała Klara. – Dobrze o tym wiem. – Uwolniła się z jego objęć, a on poczuł, że wciąż przepelniał ją strach. Od razu też przerzuciła się na mowę telepatyczną, mimo że w tym położonym na uboczu gąszczu nikt przecież nie zdołałby ich podsłuchiwać.

– Odkąd wyruszyłam dziś z samego rana z Bambergu – powiedziała – ciągle mi się wydaje, że ktoś mnie śledzi. A może raczej coś. – Dodała po krótkiej przerwie i zaczęła się trząść przeszyta dreszczem strachu.

– Dlatego też w żadnym razie nie mogę cię tu zostawić samego. – Jej oczy pociemniały. – Czy nie słyszałeś, co powiedziałam ci przed chwilą, mój wybrańcu: już nigdy nie dopuszczę, by nas ponownie rozdzielono.

– Mogłabyś mi tu zostawić broń, a gdyby wtedy... – Urwał w środku zdania, nie wypowiadając do końca swej wątpliwości. Nie mógł nawet wystarczająco szeroko rozłożyć dłoni, by wycelować z broni. Gdyby rzeczywiście pojawili się tutaj jacyś prześladowcy,

podczas gdy on siedziałby sam na tym głazie, okazałby się zupełnie bezradny i bezbronny. Co prawda, Amosowi nie wydawało się, by inkwizytor Cellari lub podcenzor Skythis ze swoimi łowcami ksiąg znów deptali im po piętach. Inkwizytor zacznie coś podejrzewać jutro lub prawdopodobnie dopiero pojutrze, gdy żołnierze–strażnicy księcia biskupa nie dostarczą swego więźnia do Norymbergii. A trop Klary najwidoczniej i tak zgubili, po tym jak uciekła wraz z *Księgą duchów* z zamku biskupiego. Dlatego Cellari tym bardziej teraz nie mógł wiedzieć, dokąd Klara wyruszyła dziś z samego rana. A to, że szła za nimi jakaś duchowa istota, Klara na pewno sobie tylko uroiła.

– W takim razie chodźmy dalej – powiedział Amos i już chciał wstać, gdy Klara położyła mu rękę na ramieniu.

– *Nie słyszysz?* – Potrafiła nawet szeptać tym swoim telepatycznym głosem. – *Posłuchaj* – wyszeptała mu do ucha – *jak tam po drugiej stronie coś wyje i skamle w zaroślach. To znowu ten... to coś, co śledzi mnie już od Bambergu.*

Amos nasłuchiwał w napięciu i w końcu sam też zaczął to słyszeć. Skamlanie i piski, które nie przypominały żadnych ludzkich ani zwierzęcych dźwięków. Dreszcz przeszedł mu po plecach. Nigdy jeszcze nie słyszał czegoś podobnego.

– Duch – wyszeptała Klara. – Może stworzył go czarodziej Faust, by zawsze wiedzieć, gdzie w danej chwili znajduje się *Księga duchów*? – Powiodła wielkimi oczami od Amosa w stronę zarośli znajdujących się po lewej stronie, w odległości kilkudziesięciu kroków, z których w tej samej chwili znów rozbrzmiało okropne wycie.

Były to potężne zarośla czarnego bzu, wystarczająco – wysokie, by udzielić schronienia całej gromadzie duchów – ale Amos nawet na chwilę nie uwierzył w to, że w tych krzakach mógłby się czaić jakiś duch.

– Demon, stworzony przez Fausta? – mówił celowo głośno i lekceważącym tonem, by obudzić Klarę z odrętwienia spowodowanego strachem. – Sam przekonałem się na własnej skórze, że pan Faust potrafi niezłe namieszać. Ale żeby miał wysłać jakiegoś usłużnego ducha, by kontrolować ciebie i *Księgę duchów*. Nie – tego nie potrafi nawet on. Jestem tego pewien.

Dźwięcząc, niczym rycerz w pełnym rynsztunku, Amos podniósł się z głazu i przymierzał się już do tego, by przebrnąć na drugą stronę w kierunku zarośli czarnego bzu.

– *Nie, Amosie, proszę, nie idź tam!* – błagała go Klara swym telepatycznym głosem z takim przerażeniem, że ten zaraz stanął w miejscu. – *Mam o wiele lepszy pomysł – ciągnęła dalej. – Wystarczy, że wejdiesz na tę kamienną bryłę, a wtedy będziesz mógł się położyć w poprzek na grzbiecie kasztanki. Bez obawy, podciągnę cię powoli na górę, jakbyś był kruchy*

*niczym czeskie szkło.*

W zaroślach czarnego bzu znów coś zaskamlało. Nawet nie mając tego demona na karku, i tak byłby gotów dać się powlec klaczy. Z pomocą Klary udało mu się wspiąć na głaz, a gdy Klara podprowadziła kasztankę wystarczająco blisko skały, Amos opadł w poprzek na grzbiet konia niczym na wpół otwarty scyzoryk. Kasztanka parsknęła, ale Klara zanuciła jej kilka uspokajających dźwięków do ucha i zaraz potem koń powoli ruszył z miejsca.

– *Co jej powiedziałaś?* – Z początku za każdym razem zadawał jej to pytanie w żartach. Teraz Amos doskonale wiedział, że Klara naprawdę potrafiła rozmawiać z koniem.

– *Że będzie mogła wejść z nami do domu, jeśli wniesie cię na samą górę.*

– *Z nami do domu?* – Ze zdumienia Amos znów zaczął mówić swoim zwykłym głosem. – Nie, do jakiejś szopy, czy czegoś takiego?

Amos, przewieszony przez grzbiet konia, ze stopami i dłońmi na wysokości strzemion, nie mógł dojrzeć grymasu, jaki odmalował się na twarzy Klary. Ale po jej tonie rozpoznał, że wciąż bardzo się bała.

– Nie możemy się spuszczać z oczu nawet na sekundę – powiedziała – dopóki to stworzenie... ten duch... za nami idzie.

Jak na potwierdzenie jej słów w gąszczu pod nimi znów zaczęło skomleć – już nie z zarośli czarnego bzu, które zostawili tymczasem daleko w tyle, lecz w odległości co najwyżej pół tuzina kroków za ich plecami.

Klara zanuciła i zamruczała kasztance do drgającego ucha, a klacz puściła się ostrożnym klusem. Amos trzymał się kurczowo strzemion, o ile było to możliwe w przypadku skutych kajdanami rąk. Brzękając i dźwięcząc, poruszali się chwiejnym krokiem w stronę wzgórza. Towarzyszyło im wycie ich prześladowcy, który uparcie dotrzymywał im kroku, pozostając jednocześnie niewidocznym.

## 4

PIŁA MIERZYŁA DOBRY ŁOKIEĆ i była tak ciężka, że Klara ledwo mogła ją podnieść ze skrzyni. Po obu stronach miała drewniane uchwyty, a zardzewiały brzeszczot

wyposażony był w budzące strach ostre zęby.

Chatka myśliwska składała się jedynie z sieni i jednego pokoiku, który ponadto nie był szczególnie przestronny. Myśliwy dość wygodnie ją urządził. Przed kominkiem leżała niedźwiedzia skóra, a przy wychodzącym na leśną polanę oknie stał drewniany stół. W małej spizarni obok pieca kuchennego znajdowały się suszone ryby i czerstwy chleb, gomółka żółtego sera, w której roiło się jednak od czerwia, a nawet worek owsa dla kasztanki – w razie konieczności będą mogli przebywać w tym ukryciu przez kilka tygodni. Nie mogli tylko znaleźć żadnego klucza do tych przeklętych zamków przy łańcuchach ani przynajmniej sztywnego drutu, który dałby się odpowiednio wygiąć i który mógłby posłużyć za wytrych.

Amos opadł na niedźwiedzią skórę. Klara przytaskała piłę i kucnęła obok niego. Z bliska te żelazne zęby wyglądały znacznie straszniej. On chciał w końcu pozbyć się tych przeklętych łańcuchów. Wleczenie ze sobą całego tego żelastwa było okropnie męczące. Miał obtarte nadgarstki, niewiele lepiej miały się jego nogi. Brzękanie i dźwięczenie tych żelaznych obręczy szarpało mu nerwy – ale i tak łatwiej było je znieść niż to skamlanie i wycie dochodzące z zewnątrz.

Ich budzący grozę prześladowca najwyraźniej podążył za nimi aż na górę, a teraz czaił się na dworze, jęcząc. W zupełnie nieprzewidywalnych interwałach znajdujące się gdzieś przed chatką stworzenie intonowało swoje wycie. Niezbyt głośno i niespecjalnie bojowo czy groźnie – a mimo to Amos i Klara wzdrygali się za każdym razem, gdy to okropne skamlanie rozpoczynało się od nowa. Nie mówiąc już o kasztance, która została umieszczona w sieni. Klacz wydawała z siebie wtedy dzikie parsknięcia, a raz zarżała nawet tak przeciągle, że Klarze i Amosowi serca podeszły do gardeł.

Amosowi ledwo udało się wsunąć jeden z uchwyty piły między obie skute ze sobą ręce.

– Zaczniemy od kajdan u stóp – zaproponował. Siedząc, podwinął nogi i rozstawił je tak szeroko, na ile pozwalał mu łańcuch. Klara usiadła w kucki przy jego nogach i przytrzymała drugą stronę piły. Przyłożyli brzeszczot do napiętego łańcucha między stopami Amosa i jęli go ostrożnie piłować.

Nie mieli żadnej wprawy w posługiwaniu się takimi narzędziami. Poza tym piła była tak masywna i ciężka, że zapanowanie nad tym metalowym monstrum sprawiałoby trudności nawet dwóm wyrosniętym mężczyznom. Przejechali kilka razy tam i z powrotem brzeszczotem po jednym z ogniw łańcucha, a wtedy brzeszczot zsunął się z piskiem i zagrzecotał nad piszczelą Amosa.

Ten krzyknął – nie tyle z bólu, choć strasznie go zabolalo, ile z przerażenia. Spod

postrzępionego materiału spodni wyzierało paskudne otarcie.

– To nie takie straszne! – powiedział, próbując uśmiechać się do Klary. Kobieta nie odwzajemniła tego uśmiechu, a jej twarz pobladła jak kreda.

– Tak nie damy rady – powiedziała. – Najlepiej zrobimy, jeśli odniesiemy tę straszną rzecz na jej miejsce, zanim wyrządzimy jeszcze więcej szkód.

Amos wstał z trudem i pomógł jej zataszczyć piłę do skrzyni w sieni. Cały trzął się jeszcze ze strachu, ale gdyby to od niego zależało, chętniej jeszcze raz spróbowałby z piłą. Jednak Klara miała z pewnością rację – najprawdopodobniej była to piłą do ścinania drzew, za pomocą której myśliwy ciął drzewo do kominka. Amos mógł mówić o szczęściu, że nie odpiłowali mu niechcący połowy goleni. Musieli znaleźć jakieś rozwiązanie! Nie mógł przecież chodzić z tymi przekłętymi kajdanami z żelaza przez resztę swoich dni. Już raczej zawarłbym pakt z tym wyjąłym demonem na dworze, pomyślał, w czasie gdy oboje pchali to nieforemne narzędzie przez wąską sień – najważniejsze, bym pozbył się wreszcie tych łańcuchów!

Podnieśli piłę i wsadzili ją z powrotem do skrzyni, a Klara poklepała po szyi klacz, która – parszając – przewracała oczami. Widocznie szczękające łańcuchy, przede wszystkim zaś to okropne skamlanie, dochodzące z zarośli na zewnątrz, dawało się jej we znaki w równym stopniu, co im. W czasie gdy Klara nuciła jej do ucha uspokajające dźwięki, nagle u drzwi do chatki, tuż obok nich, rozległo się budzące grozę drapanie i szuranie.

– *Cóż to jest, na litość boską?* – zapytała przerażona Klara.

Albo raczej kto, do stu diabłów, pomyślał Amos, starając się, by te słowa do niej nie dotarły.

– *To jest to coś, co skamle, zakładam* – odparł tak spokojnie, jak tylko potrafił. Jeszcze przed chwilą pragnął, aby to stworzenie, ten duch, czy cokolwiek to było i krążyło tam na zewnątrz, uwolniło go z kajdan – a już to coś zaczęło szurać przy drzwiach. Z pewnością nie był to przypadek, nawet jeśli Amos nie mógł sobie do końca wytłumaczyć, jakim sposobem to stworzenie potrafiło czytać w jego myślach. Ale skoro to coś rzeczywiście zostało stworzone przez Fausta, to można było się po tym spodziewać wielu rzeczy. A w każdym razie Amosowi przeszła na razie ochota i odwaga, by wdawać się w pakt z tym budzącym grozę prześladowcą.

Uniósł ręce i uderzył nimi o drzwi, aż trzasnęło i brzęknęło. Kasztanka znów zaczęła parskać, a Amos powiedział tak głośno, że na pewno było go słychać także na zewnątrz:

– Zmiataj, bo inaczej oberwiesz kulką!

Stworzenie zawyło ze strachu, a Amos rzucił spojrzenie w stronę Klary.

Najwidoczniej w przypadku ich prześladowcy nie chodziło ani o ducha, ani o zwierzę, ale co najwyżej o demona, który bał się kul, albo o jakieś zwierzę rozumiejące ludzką mowę. Pierwsza możliwość była tak samo nieprawdopodobna jak druga – ale kto lub co w takim razie za nimi łąził.

Nasłuchiwali jeszcze przez kilka chwil, ale to stworzenie tam na zewnątrz nie wydało z siebie najcichszego nawet odgłosu. Klara jeszcze raz sprawdziła rygiel u drzwi, po czym wrócili do salonu, a Amos wyciągnął się na niedźwiedziej skórze. Prawdopodobnie służyła myśliwemu za posłanie, na którym kładł się do snu, może jeszcze zawinięty w pled.

Przez niezliczone szpary i otwory po sękach w ścianach chatki i w okiennicach wpadało do środka jasne światło popołudniowego słońca, ale Amos czuł się przynajmniej tak samo zmęczony jak wtedy, gdy przez pół dnia biegł przez las z *Księgą duchów*, z łowcami książek na karku. Tymczasem dziś jechał zaledwie kilka godzin wozem, a następnie został wyniesiony na grzbiecie kasztanki na porośnięte lasem zbocze. Ciężkie jak ołów łańcuchy odebrały mu nie tylko wszystkie siły, lecz także podkopały jego odwagę i ufność. Jeśli Klarze i jemu samemu nie udało się uwolnić go od żelaznych kajdan – jakże miałyby się im kiedykolwiek udać pozbyć prześladowców, inkwizytora Cellariego, podcenzora Skythisa i jego opancerzonych łowców książek?

Klara usiadła w kucki przy Amosie, na skórze z niedźwiedzia.

– Nie miałam jeszcze czasu – rzekła – by ci opowiedzieć, czego doświadczyłam ostatniej nocy. – Wsunęła swoją wąską, chłodną dłoń między jego skute ręce. – Matka Zofia mówiła słabym, trwożliwym głosem. Obawiała się, że ktoś mógłby jej przeszkodzić, zanim przekaze mi wszystkie informacje, albo że nie starczy jej na to sił. Raz po raz robiła przerwy, jakby odpoczywała, by po chwili mówić z jeszcze większym pospiechem. – Klara urwała w środku swej opowieści, a na jej twarzy na krótką chwilę zagościła ponura mina. – Matka Zofia wydawała mi się tak bardzo przygnębiona – ciągnęła dalej. – Prawie tak, jakby miała wyrzuty sumienia, być może nawet pożałowała, że pomogła całemu temu Opus Spiritus.

Amos zamknął oczy i zastanawiał się nad jej słowami.

– Czy matka Zofia przebywa jeszcze w więzieniu inkwizycji w Norymberdze? – zapytał.

Nie podnosząc powiek, całkiem wyraźnie zobaczył przed sobą, jak Klara wzrusza ramionami.

– Wszystko działo się tak szybko – powiedziała. – Matka Zofia nic nie wspomniała na ten temat, a i ja ją o to nie pytałam. Tam przydarzyło się jeszcze coś innego, Amosie. – Uścisk jej dłoni stał się znacznie mocniejszy. – Być może to nic nie znaczy, a może matka

Zofia chciała mi tylko w ten sposób dać do zrozumienia, że jej wiadomość jest zaadresowana do nas obojga.

Zamilkła, a Amos czekał, aż sama zacznie dalej mówić. Było to cudowne uczucie leżeć tak obok Klary, trzymać jej dłoń we własnych dłoniach i nie słyszeć przy tym ani jednego szcęknięcia – przynajmniej, dopóki leżał bez ruchu.

Jednak na tym się nie skończyło.

– Na sam koniec – ciągnęła dalej Klara – matka Zofia powiedziała jeszcze, że przekazuje swą wiadomość *także w imieniu Kronusa*.

Amos gwałtownie drgnął całym ciałem, a jego łańcuchy zadźwięczały.

– Także w imieniu Kronusa? – powtórzył, niemal krzyząc, tak że teraz wstrząsnęło i Klarą. – Cóż to ma znaczyć, możesz mi to wyjaśnić, Klaro? Że Kronus jednak żyje? Ale dlaczego w takim razie przez ten cały czas... – Głos odmówił mu posłuszeństwa. Najpierw oczyścił sobie krtań, chrząkając.

– Dlaczego zostawił mnie samego? – ciągnął dalej Amos. – Nawet nie wiesz, ile razy usiłowałem nawiązać z nim kontakt poprzez magię serca lub magię myśli. Ale od tamtego czasu, gdy podpalili jego dom, nie otrzymałem od niego żadnej, nawet najkrótszej wiadomości.

Klara pochyliła się nad nim i czule go pocałowała.

– Ja miałam takie same odczucia związane z matką Zofią – powiedziała. – Aż się do mnie odezwała zeszłej nocy. Ale jestem pewna – ciągnęła dalej – że oboje już dawno przesłaliby nam jakąś wiadomość, gdyby im w jakiś sposób w tym nie przeszkadzano.

Amos uśmiechnął się do niej.

– Z pewnością masz rację – powiedział – ale może tym razem i mnie spotka to szczęście? – Za każdym razem gdy dostawał całusa od Klary, wydawało mu się, że nie ma dla niego żadnych niewykonalnych zadań. Co prawda, uczucie to nigdy nie trwało zbyt długo.

Ponownie zamknął oczy i skoncentrował się na swym magicznym sercu.

– *Kronusie, drogi panie* – pomyślał zaklinająco – *proszę, dajcie mi jakiś znak, że żyjecie i że mnie słyszycie*.

Od rdzawozłotego punktu zaczęły odchodzić dwie wstęgi światła. Jedna była gruba i migotała niczym promień światła słonecznego. Amos rozpoznałby ją nawet pośród tuzina takich wstęg. Był to magiczny promień łączący go z Klarą. Była tam jeszcze jedna nić światła, o wiele cieńsza i bledsza. Magiczna wstęga wiążąca go z Kronusem była co najmniej tak samo silna, jak świetlny warkocz łączący go z Klarą. Jeśli jednak stary uczony znajdował się – podobnie jak matka Zofia – w rękach inkwizycji, to z pewnością był osłabiony, a może



nawet ranny. Być może odniósł obrażenia już wtedy, gdy purpurowi wojownicy podpalili mu dom.

Do kogo więc miałyby należeć ta strużka, jak nie do Kronusa? Zresztą stary mędrzec sam go kiedyś przed tym przestrzegł, aby nie otwierał nazbyt pochopnie swego serca. Amos dokładnie pamiętał jego słowa: „Każdy strumień światła łączy twoje serce ze strumieniem uczuć jakiegoś innego stworzenia. Nigdy nie otwieraj serca dla kogoś, jeśli nie znasz jego zamiarów”. Jak dotąd Amos tylko raz zlekceważył to ostrzeżenie – a wtedy zaatakował go ten okropny pożeracz światła, który łączywie spijał jego promień do wnętrza swojej duszy. Nigdy nie zapomni tego bólu i przerażenia spowodowanego tym atakiem. Tym pożeraczem był Johannes, pomocnik podcenzora Skythisa. Ten drugi strumień światła, który Amos dojrzał dziś w swym wnętrzu, w niczym nie przypominał tamtej drgającej nitki światła, która połączyła go wtedy z Johannesem. W przypadku tej wstęgi chodziło o cienką, bladą strużkę światła, które całkiem spokojnie płynęło w stronę magicznego serca Amosa.

– *Kronusie?* – Amos z całych sił i całą swoją tęsknotą skoncentrował się na źródle strużki światła. – *Czy to wy, mój dróg panie? Błagam was, dajcie mi jakiś znak.*

Zamiast silnego i znajomego głosu starego mężczyzny usłyszał coś zupełnie nieoczekiwanego. W głębi serca nagle rozbrzmiały dokładnie te same odgłosy skamlania i skowytu, które jeszcze przed chwilą dochodziły z leśnej polany.

Jakże to było możliwe? Zdumiony Amos wsłuchiwał się w swoje wnętrze. Cienka, blada strużka światła drgała teraz, pożał się Boże – nie kurczowo, nie targana między żądzą a lękiem, jak wtedy gdy Johannes zaatakował go na magicznej drodze. Było to raczej drżenie spowodowane słabością i bezradnością. Mimo to źródło tej strużki było takie samo, co Amos poczuł teraz całkiem wyraźnie.

– *Johannes.*

Odpowiedziało mu ponowne skamlanie i wycie. Wszystko, co czuł tamten chłopak, Amos zaczął naraz mocno i wyraźnie współodczuwać wraz z nim, jakby to były jego własne uczucia. Jego własny strach, jego własne bóle, jego własne błaganie o pomoc i współczucie. Jakby to on sam siedział w kucki na zewnątrz i wciąż tylko prosił i błagał, by oboje mu przebaczyli i otwarli przed nim drzwi oraz swe serca.

– To Johannes – rzekł Amos do Klary.

Popatrzyła na niego bez zrozumienia.

– Kto – to znaczy – gdzie...? – Źrenice poszerzyły się jej z przerażenia i nagłego zrozumienia. – Masz na myśli to wycie na zewnątrz...

– On jest już tu w środku – powiedział Amos. Wskazał na swoją głowę, a potem, po

chwili wahania, na swoje serce. – Do tej pory przeczytał tylko pierwszą opowieść z *Księgi duchów*, a i tę jedynie w formie bezładnie porzuczanych strzępków. Biedny chłopak – jego uczucia też są dość niepokładane i obawiam się, że przyłożyłem do tego swoją rękę. Wprawdzie nie może nam przesyłać żadnych wiadomości telepatycznie, ale jego wiadomość uczuciowa jest całkiem jasna – prosi nas o wybaczenie, Klaro. Leży tam na zewnątrz, boi się, jest obolały i prosi nas o wsparcie.

Klara rzuciła podejrzliwe spojrzenie w stronę okna. Wahając się, sama zamknęła oczy i skoncentrowała się na swym magicznym sercu. Jednak już po chwili jej twarz złagodniała ze współczucia.

– *Ja też go wyczuwam* – oznajmiła Amosowi. – *Masz ragę, powinniśmy mu pomóc, ale musimy być czujni.*

Amos skinął głową w jej stronę.

– *Ukryj Księgę duchów, zanim mu otworzysz. I nie zaszkodzi, jeśli najpierw naładujesz broń.*

## 5

AMOS ODEPCHNĄŁ RYGIEL i za jednym zamachem otworzył drzwi. Za jego plecami stała Klara z gotową do strzału, załadowaną bronią. Jednak już po chwili ją opuściła i powiodła wielkimi oczami z Amosa ku osobliwej postaci, która siedziała w kucki w progu drzwi.

Postać ta swym wyglądem przypominała bardziej widmo ogromnego ptaka niż człowieka – a jednak nie mógł to być nikt inny, jak tylko Johannes Mergelin, pomocnik łowcy książek, Jana Skythisa. Johannes klęczał w odległości dwóch stóp od drzwi. Miał na sobie całkowicie podarte i postrzępione ubranie, spod którego wyzierało chude, kościste ciało. Ramiona trzymał rozłożone po bokach niczym skrzydła. Tułów przechylił tak daleko do przodu, że jego głowa musiała się opierać o drzwi, gdy te były jeszcze zamknięte. A teraz przewrócił się nienaturalnie wolno do przodu.

Amos i Klara spojrzeli na siebie. Z czołem przyciśniętym do progu Johannes leżał

teraz przed nimi. Albo był zbyt słaby, albo nie miał odwagi, by unieść swą twarz w ich stronę. Ramiona wciąż trzymał odwiedzone w obie strony, a z jego ust dobywało się nieprzerwanym strumieniem ciche skamłanie.

*„Szlachetna pani, podarujcie mi swe serce, zrozumiał Amos, zawsze chcę was kochać, nigdy nie chcę zasmucać, Lucyndo!”*. – Przez wykrzywioną postać, leżącą przed stopami Klary, przeszedł dreszcz. – *„Lustro zaszło parą od jego oddechu, wymamrotał Johannes, a gdy Laurencjusz chciał je wypolerować dłonią, wpadł w nie całą ręką aż po ramię, jakby ją wsadził do wiadra wypełnionego wodą... „Głos mu się załamał. Wydobywał z siebie już tylko ochryple szloch, tymczasem całe jego chude, kościste ciało trzęsło się, jakby było wstrząsane spazmami.*

Słowa, które właśnie wybełkotał Johannes, pochodziły z samego początku pierwszej opowieści w *Księdze duchów*. Amos odczuwał silne wyrzuty sumienia, bo to on podczas ich pogoni po Smreczanach rzucał chłopcu raz po raz skrawki papieru z poszczególnymi zdaniem i fragmentami opowieści o rycerzu, co znalazł swoją ukochaną za lustrem – magiczne przynęty, które miały odciągnąć łowców ksiązek od jego tropu. I z powodzeniem. Jednak Johannesowi te kąski najwyraźniej zaszkodziły.

Valentin Kronus wielokrotnie zwracał Amosowi uwagę na to, że opowieści z *Księgi duchów* należy zrozumieć i przyswoić sobie w głębi serca, jeśli mają wzbudzić w czytelniku pożądane zdolności magiczne. Jeśli jednak ktoś – tak jak Johannes – otrzyma jedynie kilka podrzuconych strzępków tej opowieści, tak że będzie musiał czytać ją w dzikim nieładzie, i jeśli ta osoba będzie w dodatku tak bardzo obawiała się *Księgi duchów*, jak bardzo będzie się czuła przez nią przyciągana, to wtedy książka najwyraźniej może zasiać straszny chaos w sercu i w umyśle takiego czytelnika. Przepełniony skruchą Amos spojrział w dół na tylko nieznacznie starszego od niego chłopaka i zaczął się zastanawiać, co też mogliby zrobić, by we wnętrzu biedaka znów zagościły spokój i ład.

Tymczasem Klara usiadła w kucki obok Johannesesa i położyła mu rękę na czole.

– Johannesie – powiedziała – spójrz na mnie.

Bardzo powoli uniół głowę. Wywróciwszy do góry jasne, wodniste oczy, zaraz zaczął ponownie skamleć. *„Laurencjusz Answer pomknął szybkim krokiem przez ogromną salę, by paść jej do stóp”*. I znów były to strzępki opowieści o Laurencjuszu i jego ukochanej Lucyndzie, a w czasie gdy Amos przysłuchiwał się bełkotowi siedzącego w kucki Johannesesa, jego wyrzuty sumienia i współczucie były coraz bardziej wypierane przez wściekłość i niedowierzanie. *„Kłęczał przed nią, tak jak sobie to wyobrażał tysiące razy, wyskamlał Johannes, a ona pochylila się i położyła swoją delikatną białą dłoń na jego głowie, mówiąc:*

– *Laurencjuszu, mój ukochany panie... przysięgnijcie, że już nigdy mnie nie opuścicie*”.

Amos nie mógł uwierzyć własnym uszom. Ten podły kłębek kości, pomocnik łowcy książek, umizguje się przecież do Klary jak zakochany słowik! Zupełnie, jakby to on był rycerzem Laurencjuszem, a Klara nikim innym, tylko Lucyndą, która już od niepamiętnych lat czekała, aż jej ukochany wreszcie do niej wróci.

Rozwścieczony Amos już miał się wtrącić, gdy Klara rzuciła mu uspokajające spojrzenie.

– *Zastaw go w spokoju, proszę, wychodzi z siebie ze strachu i samotności.*

Z samotności?, pomyślał Amos. Zazdrość rozgorzała w nim niczym słup ognia. Klara nie zamierzała chyba zadbać o to, by ten chłopak czuł się mniej samotny?

Z łagodnym uśmiechem na twarzy Klara prawie niepostrzeżenie pokręciła głową w stronę Amosa. Prawie jednocześnie chwyciła go pod ramię, a ten obdarty kłębek kości bez większych oporów pozwolił się postawić na nogi. Jednak zaraz znów zgiął jedną z nóg w kolanie – najwidoczniej rana, której nabawił się, w czasie gdy Klara ciągnęła go za sobą, dosiadając kasztanki, nie zagoiła się jeszcze całkowicie.

W czasie gdy Johannes – podtrzymywany i prowadzony przez Klarę – przechodził, kuśtykając, obok potężnej klaczy, ani na chwilę nie spuszczał z oczu konia. Broń Klara przewiesiła sobie niedbale przez ramię i gdyby Johannes miał taki zamiar, jeszcze w tym samym momencie mógłby bez wątpienia wyrwać jej strzelbę i znów przywłaszczyć sobie *Księgę duchów*.

*Księga* leżała na drewnianym stoliku pod oknem. Amos, który wszedł za nimi do izby, miał Johanna na oku. Dlatego też widział dość wyraźnie, jak wzrok chłopaka padł na *Księgę duchów*, a Johannes na krótko zastygł w bezruchu. Jednak już po chwili posłusznie dał się ciągnąć dalej, a nawet popatrzył w inną stronę – jakby żadna inna rzecz, znajdująca się w tym pokoju, nie była mu równie obojętna.

– Gdzie zostawiłeś swojego pana – zbeształ go Amos. – Podcenzora Skythisa i jego opancerzonych łowców książek? No, gadaj, Johannesie!

– Żadnego... nie... nie ma żadnego pana – wyskamlął chłopak. Położył ręce jedna na drugiej i wyciągnął je w błagalnym geście w stronę Amosa.

– Żadnego Skythisa... żadnych... tylko wy...

Właśnie przed chwilą, gdy Amos magicznie połączył się z Johannesem, nie odkrył w głębi jego serca żadnego podstępu, żadnego udawania. Mimo to miał się na baczności. Jeśli nawet tym razem Johannes nie był śledzony przez tych strasznych łowców książek, to i tak

sam wciąż pragnął przecież *Księgi duchów*.

W czasie gdy Amos jeszcze o tym myślał, Johannes odwrócił się w jego stronę. Wszyscy troje stali teraz przed kominkiem na niedźwiedziej skórze, a Johannes uważnie zmierzył wzrokiem łańcuchy i zamki na nadgarstkach i kostkach Amosa.

– Nie chcesz się ich pozbyć?

Nagle zaczął sprawiać wrażenie zupełnie przytomnego – jego oczy nie były już wywrócone, a w głosie nie było śladu skamłania.

– A jak – zapytał Amos – bez klucza?

Dzień znów chylił się ku końcowi. Przez szpary w ścianach i okiennicach do środka przedostawało się już tylko półmroczne światło wieczornego słońca. Klara zapaliła zapałkę i przeszła po pokoju, by odpalić od niej kilka świec z wosku, które myśliwy porozstawiał na gzymsie kominka, stole i piecu.

– Ha, najwidoczniej sam jesteś księgą – wyrzucił z siebie Johannes – która nie zdoła się otworzyć sama.

Amos i Klara wymienili spojrzenia.

– Co to ma znaczyć, Johannesie? – powiedział Amos. – Co ty pleciesz?

Chłopak dał susa i znów, podczas lądowania, ugięło mu się kolano u prawej nogi. Stanął tuż przy Amosie.

– Pokrzywione jak ja, jak gwóźdź, gdy uderzy w niego młot, ha! – Jego prawa ręka wysunęła się do przodu i chwyciła zamek u kajdan na rękach Amosa. Uniósł zamek na wysokość jego oczu, a Amos pozwolił, aby pociągnął w górę jego dłonie i ramiona.

– „Po prostu otwórz książkę”, tak zawsze mówi pan podcenzor – a co innego pozostaje człowiekowi, gdy książka ma klamrę?

– Otworzyć książkę? – powtórzyła Klara. – Sądziś, Johannesie...

Pomocnik łowcy książek najwidoczniej wcale się nie zorientował, że Klara do niego mówi. Obracał zamek w swych rękach na wszystkie strony i mamrotał pod nosem coś, czego Amos nie rozumiał. Widocznie Johannes naprawdę sądził w swym magicznym zamroczeniu, że ma przed sobą książkę, a przynajmniej, że zamek w jego dłoniach jest klamrą, taką, jakiej używa się do zamykania książek. U Kronusa Amos widział wcześniej kilka takich ogromnych egzemplarzy książek, oprawionych w potężne drewniane deski, które często miały jeszcze żelazne okucia. Jeśli zamek znajdujący się między oprawami był zaryglowany, to książkę mógł czytać tylko ten, kto posiadał właściwy klucz, chyba że ktoś po prostu wyłamał klamrę.

– Młot i gwóźdź – powiedziała Klara – takie rzeczy powinny chyba gdzieś tu być...

Pospieszyła do sieni, a Amos został sam z Johannesem. Na stole wciąż leżała *Księga*

*duchów* i obaj prawie równocześnie popatrzyli w jej stronę. I jak przed chwilą, Johannes natychmiast odwrócił od niej wzrok, a Amos pomyślał znowu: *musimy zachować czujność*.

Strzelba stała oparta o jedno z dwóch krzeseł. Johannes z łatwością mógłby zagarnąć dla siebie broń i *Księgę duchów*, od których dzieliły go tylko dwa kroki. Amos opuścił powieki i skoncentrował się na Johannesie. Nie mógł wprawdzie czytać w myślach chłopca, o ile ten nie przyswoił sobie dogłębnie drugiej opowieści z *Księgi duchów*, ale przynajmniej mógł jeszcze raz wy badać uczucia Johannesesa, by dowiedzieć się, jakie ma zamiary.

Amos zanurzył się w tę cienką, drgającą strużkę światła, łączącą jego magiczne serce z Johannesem. Od razu wyczuł strach i zamęt we wnętrzu chłopaka. Zaczęło go dręczyć sumienie, że przyczynił się do takiego zamięcia umysłu Johannesesa. W szalejącym we wnętrzu Johannesesa cyklonie było jednakże jeszcze inne uczucie, które chłopak najwidoczniej usiłował ukryć pod warstwą strachu i samotności przed Amosem i Klarą, a być może także przed samym sobą.

Niedorzeczną żądzą, wilczy apetyt, wściekłe pragnienie. Amos poczuł teraz także, ile energii kosztowało Johannesesa utrzymywanie tej żądzy pod względną kontrolą. Ukrywanie jej przed otoczeniem, kielznanie własnego ducha i serca – by po prostu nie rzucić się na książkę, pobiec na oślep przed siebie i zagarnąć na własność ten skarb, ten klejnot, tę kosztowność, która była mu droższa niż wszystko na świecie.

– *Książka*.

Raz po raz Johannes rzucał błyskawiczne spojrzenie w stronę stołu, by już po ułamku sekundy ponownie odwracać wzrok. Było to coś więcej niż zwykłe udawanie – raczej nadludzka walka z dziką żądzą, którą Johannes nieustannie toczył z samym sobą. I którą właśnie w tym samym momencie znów przegrywał – odepchnął Amosa od siebie, by już po chwili szybko się obrócić. Widocznie jednym susem – z rękami wyciągniętymi do przodu – chciał się rzucić na *Księgę duchów*, jak na wpół wyschnięta ryba resztkami swych sił rzuca się z brzegu do przynoszącej ratunek wody.

Amos na podstawie burzy uczuć targających sercem Johannesesa zorientował się, co dzieje się w jego wnętrzu, dzięki czemu sam był przynajmniej połowicznie przygotowany na ten atak. Wyrzucił w górę ręce i przyjął uderzenie w pierś, które chciał mu zadać Johannes. Przerażliwie zadźwięczało, a Johannes jęknął, gdyż uderzył rękami o zamek i łańcuchy. Odwrócił się o wiele wolniej, niż to przewidywał, i gdy – nieporadnie kuśtykając – pobiegł w stronę stołu, Amos rzucił się za nim z wysoko uniesionymi nad głową skutymi rękami. Obaj – krzycząc – upadli na podłogę z brzękiem i łomotem. Amos leżał na plecach chłopaka, którego ostre łopatki wystawały spod podartej koszuli. I dopiero gdy Klara nagle pojawiła się obok,

spoglądając na nich z twarzą wykrzywioną grymasem przerażenia, dopiero wtedy Amos uświadomił sobie, że leżący pod nim chłopak nie wydaje z siebie żadnych odgłosów.

Johannes Mergelin leżał na ziemi, z głową ułożoną na niedźwiedziej skórze, i wyglądał jakby spał głębokim, twardym snem. Z rany nad jego lewym uchem, która swym kształtem przypominała spadającą gwiazdę, ciekły gęste, jaskrawoczerwone krople, spadając jedna za drugą na kosmatą, brązową skórę.

– O mój Boże, Klaro – wyrzucił z siebie Amos – chyba go nie zabiłem?

## 6

WŁAŚNIE W CHWILI gdy Johannes ponownie otwierał oczy, Amos i Klara kończyli udzielać mu pomocy i zdążyli ukryć książkę.

Klara zbadała ranę na skroni Johannaesa i opatrzyła ją strzępkim z podartej koszuli. Na szczęście była to tylko niegroźna, niewielka rana mięśnia, otoczona liliwoniebieskim krwiąkiem. W końcu podnieśli nieprzytomnego i oparli go plecami o kraty kominka. Amos ukrył *Księgę duchów* w spiżarni obok pieca kuchennego – nie była tam wprawdzie do końca bezpieczna, bo Johannes posiadał specyficzny dar wyczuwania księgi o duchach na dużą odległość. Przynajmniej jednak nie można było jej tak po prostu złapać i wybiec z nią przez drzwi – spiżarnia znajdowała się na końcu wnęki kuchennej i w przypadku, gdyby rzeczywiście tam dotarł, mogliby mu z łatwością odciąć drogę na zewnątrz.

Spojrzenia Johannaesa prześlizgiwały się z Amosa na Klarę. Oboje swym wyglądem musieli wzbudzać strach – Amos trzymał w ręce potężny, żelazny młot, a Klara celowała strzelbą myśliwego w serce Johannaesa.

– Uważaj, Johannesie – powiedział Amos. – Wyłamiesz teraz oba te zamki u moich łańcuchów, tak jak sam to już zapowiedziałeś. Jeśli zrobisz to porządnie, Klara przeczyta ci w nagrodę pierwszą opowieść z *Księgi duchów* – od początku do końca i wszystkie zdania we właściwej kolejności. Dzięki temu i w twoim sercu znów zapanuje właściwy ład. Zrozumiałeś?

Oczy Johannaesa były szkliste. Jego wzrok powędrował w stronę stołu, a następnie z

powrotem do Amosa i Klary.

– A jeśli nie? – Jego głos znów przypominał raczej skamlanie zwierzęcia niż ludzką mowę. – Pobjesz mnie wtedy na śmierć? – Spojrzał w górę w stronę Klary, a jego twarz przybrała służalczy wyraz, choć jednocześnie krył się w niej podstęp. – Tą zamkniętą książką? – Wskazał swoją opatrzoną skronią na Amosa.

– Lepiej nie ryzykuj. – Klara jeszcze wyżej uniosła strzelbę.

– A zatem, jaka jest twoja decyzja?

Przez długą chwilę Johannes patrzył – głowiąc się – w oczy Klary. Amos znów chciał się wtrącić, jednak Klara powiedziała do niego zaklinająco:

– *Poczekaj jeszcze, czuję, że zaraz podejmie decyzję.*

W następnej chwili Johannes otworzył usta i tym razem ponownie przemówił całkiem wyraźnie.

– Za książkę – powiedział do Klary – otworzę to dla ciebie.

Nie zabrzmiało to jednak szczególnie uspokajająco, ale Amos nie miał po prostu czasu ani cierpliwości, by zajmować się pokrętnymi myślami i dwuznacznymi aluzjami Johannesesa. Chciał pozbyć się w końcu tych doprowadzających go do szału łańcuchów i nic innego nie zaprzętało teraz jego myśli. Zresztą, cóż miałyby się złego przytrafić? Klara trzymała strzelbę wycelowaną w głowę Johannesesa – i jeśli nawet nie wierzył, że strzeli do niego w razie konieczności, to musiał sobie przynajmniej zdawać sprawę z tego, że usłyszy opowieść o *rycerzu, co znalazł swoją ukochaną za lustrem* tylko wtedy, gdy najpierw zrobi to, czego od niego oczekują.

Amos spojrzał na niego natarczywym wzorkiem, nie powiedział już jednak ani słowa. Podał Johannesowi młot, który Klara znalazła w skrzyni. Następnie z kudłów w niedźwiedziej skórze wyskubał gruby na mały palec gwóźdź.

Johannes wziął młot i gwóźdź, również nic nie mówiąc. Amos przykucnął przed nim i położył przedramiona przed sobą na ziemi – między jego płasko przyciśniętymi do siebie dłońmi znajdował się zamek, z przekłętą dziurką zwróconą ku górze.

– Ha, a jednak jesteś książką – wymamrotał znowu Johannes. Pogrzebał ostrzem igły w zamku. – Sam się nie otworzy, ha! – zaskamlał pod nosem, a Amos pomyślał z niepokojem, że w umyśle i sercu Johannesesa panuje o wiele większy zamęt, niż im się to obojgu wydawało. I właśnie w tej chwili, gdy gorączkowo się zastanawiał, czy nie powinien raczej schować rąk wraz z zamkiem i łańcuchami w jakieś bezpieczne miejsce, właśnie wtedy Johannes zamierzył się młotem wysoko ponad jego głową i spuścił go z łomotem na gwóźdź. Zamek rozleciał się ze zgrzytem przyprawiającym o ból uszu. Amos poczuł



niewypowiedzianą ulgę, gdy ścisk wokół jego nadgarstków wreszcie ustał.

I tylko kilka oddechów później, po krótkim skamlaniu i kolejnym uderzeniu młotem, został uwolniony także od kajdan u stóp. Kopnął te okropne łańcuchy tak daleko od siebie, jak to było możliwe, podskoczył i rzucił się Klarze na szyję.

– A ja już myślałem, że będę musiał taszczyć ze sobą te łańcuchy przez resztę moich dni!

Jakże czuł się lekki bez tych dźwięczących centnarowych ciężarów – i jakie to było cudowne, gdy nie musiał już wydawać żadnych brzęków za każdym ruchem niczym rycerz w zardzewiałej zbroi. A jak pysznie smakowały pocałunki Klary, jakie to było cudowne uczucie trzymać ją w ramionach. Był wolny, wreszcie wolny! Amos czuł, jak opuszcza go koszmar minionych dni – koszmar więzienia, strachu i poczucia beznadziei.

Wtedy za swoimi plecami usłyszał szurające kroki:

– Johannes? – Zrozpaczony uwolnił się z objęć Klary i szybko się odwrócił.

– Ej, przekłety chłopaku!

Strzelba była jeszcze oparta o krzesło, gdzie przed chwilą odstawiła ją Klara, dzięki Bogu. Jednak poza nimi w izbie nie było już nikogo.

Klara porwała broń i wybiegła pospiesznie do sieni.

– Już dobrze, wszystko w porządku. – Amos usłyszał, jak mamroce. Najwidoczniej znów rozmawiała z kasztanką. Zaraz potem weszła do salonu i oświadczyła:

– Na zewnątrz go nie ma.

Amos kiwnął głową w jej stronę, przykładając palec do ust.

– *Musi być w izbie.* – Wskazał w stronę wąskich drzwiczek na końcu wnęki kuchennej. – *Czuję to bardzo wyraźnie.*

– *Co teraz?* – *Klara przewiesiła sobie strzelbę na pasku przez ramię.* – *Tam w środku jest w pułapce. I jednocześnie jak u Pana Boga za piecem.*

Oboje z trudem dusili w sobie śmiech. Czegóż to oni nie musieli już przetrzymać! Ich rodzice zostali zamordowani przez morderczych podpalaczy. Klara przez wiele miesięcy żyła w Norymberdze na ulicy, po tym jak i matka Zofia została zaaresztowana przez inkwizycję. Purpurowi wojownicy inkwizytora napadli na zamek Hohenstein, podstępnie mordując każdą żywą duszę – jedynie Amos przeżył tę straszną noc. Uciekał przez las przed goniącymi go, niczym kozła podczas polowania z nagonką, łowcą książek Janem Skythisem i jego pomocnikiem, tym samym szalonym Johannesem, który siedzi właśnie w ich spiżarni. Łowcy książek wytropili go ponownie w labiryncie skalnym pod Wunsiedel i tylko dzięki karkołomnym wysiłkom udało mu się znów uciec – pędząc na podziurawionych kulami

drzwiach w dół wąwozu skalnego, który burza zamieniła w rwącą rzekę. W najtrudniejszym do pokonania regionie Smreczan łowcom ksiązek w końcu znów udało się wytropić Klarę i Amosa – i tym razem ich prześladowcy podpalili połowę lasu, a oni sami o włos uniknęli śmierci w płomieniach, uczepli rudej jak lis klaczy, z której sierści zaczęły już dosłownie buchać płomienie ognia.

W porównaniu z tym wszystkim trudno było traktować zupełnie poważnie to, co właśnie się działo: jeden z prześladowców, który utyka i skamle tak, że wzbudza współczucie i który najwyraźniej ma nie po kolei w głowie, zamknął się w izbie, z której można wyjść jedynie przez ten pokój.

Jednak właśnie w tym momencie ze strony spiżarni zaczęły dochodzić trzaski i huki. Brzmiało to tak, jakby w środku ktoś rąbał drewno.

– *Młot!* – Amos rozglądał się w panice na wszystkie strony. Jak okiem sięgnąć, nie było śladu po tym przeklętym młocie. – *Wystrychnął nas na dudka! Omamił nas, idiotów – a w rzeczywistości...*

– *On tak bardzo się boi* – wpadła mu w słowo Klara. – *I jest strasznie zmieszany, sam przecież ujrzałeś to w jego wnętrzu. Wierz mi, Amosie, gdy już mu przeczytam opowieść, będzie przemieniony.*

– Pytanie brzmi tylko, w co? – pomyślał Amos.

Jednak to nie była odpowiednia pora na dalszą wymianę zdań, niezależnie od tego, czy miałyby się rozgrywać na głos, czy milcząco. Tam w środku, w izbie, Johannes znów zamierzył się młotem i tym razem od jego uderzenia zatrzęsała się cała chatka. Wałąc w ścianę, najwidoczniej usiłował utorować sobie drogę na zewnątrz – i mimo że był wątki i zmizerowany, deski z pewnością nie będą się zbyt długo opierały jego atakom.

– *Daj mi strzelbę.* – Amos sięgnął po broń, ale Klara szybko się od niego odwróciła.

– *Obiecuj mi, że nie będziesz do niego strzelał.*

– *Obiecuję* – odparł Amos. – *W każdym razie dopóty, dopóki ten chłopak nie będzie do mnie celował młotem.*

Odebrał Klarze strzelbę i rzucił się do drzwi izby.

– *Johannesie?* – Szarpnął za klamkę, ale ten przeklęty chłopak najwyraźniej zaklinował je od środka jakimś przedmiotem.

Odpowiedzią Johannaesa było kolejne, potężne uderzenie młotem. Drewno zaskrzypiało i rozleciało się w drzazgi, a gdy Amos przyłożył ucho do drzwi, usłyszał skamlanie Johannaesa, które nie brzmiało bojaźliwie. Przebijały się w nim raczej okrzyki radości i triumfu – jakby udało mu się wyrąbać pierwsze deski i wyrzucić na zewnątrz przez

wyłam.

– Johannesie! – krzyknął Amos. – Otwieraj natychmiast, bo w przeciwnym razie zacznę strzelać przez drzwi!

Na zamku Hohenstein, podobnie jak inni giermkowie, był szkolony przez kapitana Hótttschego nie tylko w zapasach i we władaniu mieczem, lecz także w strzelaniu. Amos migał się od tego tak często, jak to tylko było możliwe. Strzelanie jeszcze mniej podobało mu się niż inne sztuki walki, w przypadku których przynajmniej do jakiegoś stopnia obowiązywały jeszcze rycerskie maniery.

Johannes wyrzucił z siebie sekwencję skamleń i jęków, a wkrótce po tym znów rozległ się huk uderzenia młotem o ścianę. Na ich głowy posypały się z sufitu okruchy gliny, a Amos miał już teraz naprawdę dosyć.

Odwrócił strzelbę i jął walić okutą żelazem kolbą o drzwi izby tak mocno, jak tylko potrafił. Cienkie listwy drewna zaczęły rozlatywać się w drzazgi już przy pierwszym uderzeniu, a przez postrzępioną dziurę wielkości pięści Amos zobaczył chłopca, jak ten zamarł, zamachnąwszy się do następnego uderzenia – oświetlony dwoma świecami, z młotem uniesionym wysoko ponad głową. Spod jego wysoko podciągniętej podartej koszuli wyzierały kościste, spiczaste biodra, oplecione powrozem, który służył mu za pasek. I z *Księgą duchów*, którą wsunął sobie z przodu za pas u spodni.

– Odlóż młot – powiedział Amos – i natychmiast stamtąd wyłaż.

Przez dziurę w drzwiach wycelował w Johannes, który znów zaczął skamlać. Jednak tym razem nie brzmiało to już jak okrzyki triumfu.

Posłusznie opuścił młot na ziemię i pokuśtykał ze zwieszonymi ramionami w stronę Amosa. Jego twarz była szara od kurzu i błyszczała od potu. Mimo że narobił dużo huku, udało mu się wybić młotem ze ściany tylko jedną, wąską deskę. A teraz najwidoczniej zupełnie opadł już z sił. Uniósł ręce, które drżały jak w gorączce. Nieporadnie zaczął majstrować przy belce, którą zabarykadował się od środka. Wreszcie szczątki drzwi otworzyły się, a Johannes znów rzucił się na kolana, z nisko opuszczoną głową i ramionami skierowanymi na boki jak skrzydła ptaka.

W jednej ręce trzymał *Księgę duchów*. Amos odebrał mu ją, a Johannes pozwolił mu na to bez sprzeciwu.

– *On płacze* – powiedziała Klara.

Stała obok Amosa i pełna litości spojrzała w dół na tę drżącą postać.

– *Pozwól, że mu teraz poczytam. Wtedy już nigdy nie spróbuje nas oszukać.*

NIE SPUSZCZAŁ OCZU z Johannaesa i Klary, w czasie gdy ci oboje wygodnie usadowili się na skórze niedźwiedzia. Usiedli jedno obok drugiego, opierając się plecami o ścianę. Amos musiał zwalczyć w sobie kolejny pałący atak zazdrości.

Jemu samemu takie zachowanie wydawało się zupełnie dziecinne, wręcz oburzająco niesprawiedliwe względem Klary – jakby do tego skamlącego stosu kości mogła czuć jeszcze coś poza litością! I jakby Johannes kiedykolwiek mógł być rywalem w sprawach miłosnych. Dziecinne to i śmieszne, powiedział sobie znów Amos, w czasie gdy opadał na jedno z krzeseł przy oknie.

Mimo to oparł strzelbę o ścianę obok siebie w zasięgu ręki. Ostatecznie nigdy nie ma się pewności. Ziewnął ukradkiem, a świeca postawiona przed nim na stoliku znów leniwie zamigotała. Najchętniej położyłby ręce przed sobą na stole i złożył na nich głowę. Ale to nie wchodziło w rachubę. Właściwie to już dawno powinni wyruszyć w drogę – powinni już być możliwie jak najdalej od tego miejsca, gdzie inkwizytor Cellari szukałby ich w pierwszej kolejności. Najpóźniej jutro po południu lub wieczorem wyśle swoich purpurowych wojowników, by się dowiedzieć, gdzie się podziali dwaj żołnierze księcia biskupa Georga ze swoim więźniem. W tym czasie Klara i on sam będą musieli być już bardzo daleko stąd i nie można dopuścić, by siepacze inkwizytora odkryli najmniejszą wskazówkę, w którym kierunku uciekną tym razem.

*Noc dawno już nastąpiła, a mimo to Laurencjusz Answer wciąż jeszcze stał przed swym kolistym lustrem.*

*– Szlachetna pani, podarujcie mi swoje serce – wyszeptał i z utęsknieniem wyciągnął swe ramiona w stronę ukochanej. Przynajmniej wydawało mu się w niepewnym blasku świec, że stojące obok niego lustro przedstawia jego ukochaną. – Zawsze chcę was kochać, nigdy nie chcę cię zasmucać, Lucyndo.*

*Laurencjusz skłonił się przed nią, zamknął oczy i wyciągnął usta, by ucałować damę swego serca. Jednak zamiast ciepłych, miękkich ust Lucyndy poczuł chłód twardego metalu. Uniósł powieki. Lustro zaszło parą od jego oddechu, a gdy Laurencjusz chciał je wypolerować dłonią, wpadł w nie całą ręką aż po ramię, jakby ją wsadził do wiadra wypełnionego wodą.*

*Jednak coś takiego nie było właściwie możliwe. Bo Laurencjusz Answer został pasowany na rycerza dopiero przed upływem miesiąca, po tym jak przez cztery lata wiernie służył jako paż swemu panu, hrabiemu Leonhardowi von Walleniels.*

*Lustro, przed którym rycerz Laurencjusz zwykł odtąd wystawać w każdej wolnej chwili, nie było niczym innym jak lśniąca tarczą, którą podarował mu Lombard wraz z mieczem rodowym swoich przodków – miecz wyklepany przez błyskawice, tarcza – wykuty księżyc: „Okażcie się ich godni, rycerzu Wawrzyńcu!”.*

Jednostajne mamrotanie Klary i szelest stronic tylko jeszcze bardziej usypiały Amosa. Klara opowiedziała mu wcześniej, jak się czuła, gdy matka Zofia czytała jej w klasztorze Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny dwie pierwsze opowieści. Same opowiadania były dość krótkie, żadne nie przekraczało tuzina stron. Dlatego też czytanie kończyło się za każdym razem po półgodzinie, ale do Klary w ogóle to nie docierało. Sama powracała z magicznego świata opowieści dopiero po wielu godzinach – tak samo było też w przypadku Amosa, gdy czytał o *rycerzu, co znalazł swoją ukochaną za lustrem* i o *kobiecie, co mieszkała w studni*. Już po pierwszych zdaniach całkowicie się przemieniał w rycerza Laurencjusza, zupełnie przy tym zapominając, że był właściwie kimś innym, ba, że poza światem rycerza Laurencjusza w ogóle istnieje jeszcze jakaś inna rzeczywistość.

Na zewnątrz przed chatką myśliwską zapadała tymczasem noc. Nie wyruszą stąd wcześniej niż jutro rano – już za dnia torowanie sobie ścieżki w trudnym do pokonaniu gąszczu było wystarczająco uciążliwe. Powinni się stąd prędko wynieść o pierwszym brzasku.

Zadawał sobie tylko pytanie, dokąd. Gdzie na tym świecie było w ogóle jeszcze jakieś miejsce dla Klary i dla niego, w którym byliby względnie bezpieczni? I co niby mieliby począć z tym szalonym – a później, miejmy nadzieję, już nie tak zwariowanym – Johannesem? Mieliby go wziąć ze sobą, wtajemniczyć w swoje plany, bezwarunkowo mu zaufać? Nie, pomyślał Amos, to wykluczone.

Miał nadzieję, że Klara zgodzi się z nim w tym punkcie. Do tej pory właściwie zawsze byli tego samego zdania – ale z Johannesem pod ich skrzydłami prawdopodobnie tak już nie będzie. Oczywiście, z tym że mają po swojej stronie psa myśliwskiego łowców książek, wiązałyby się i pewne korzyści. Przynajmniej mieliby go cały czas na oku, a on sam nie mógłby sprowadzić podcenzora Skythisa na ich trop. Ale czy rzeczywiście udałoby im się upilnować Johanna we dnie i w nocy, tak żeby nie wziął niepostrzeżenie nóg za pas? Zabrałby *Księgę duchów* ze sobą, czy też po prostu by uciekł – oba scenariusze okazałyby się

dla nich brzemiennie w skutkach.

Amos opuścił powieki i wsłuchał się w siebie.

– *Kronusie, drogi panie, proszę, dajcie mi jakiś znak.*

Odczekał dłuższą chwilę, a następnie powtórzył zaklęcie, nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi. Przy tym przez krótki moment, a dokładnie wtedy, gdy zamknął oczy, wydawało mu się, że w jego wnętrzu zamigotał jeszcze jakiś trzeci strumień światła. Był tam nie tylko ten gruby świetlisty ogon, łączący go z Klarą, ale i ta licha, drgająca strużka, należąca do Johannesesa. Ale jeszcze zanim zdążył sprawdzić, czy ten trzeci promień prowadził może do Kronusa, ten zgasł – dokładnie tak, jak to dawniej czynił Kronus, gdy nie chciał, aby mu przeszkadzano.

Może Amos wszystko to sobie tylko uroił? Nie, na pewno nie, pomyślał – wyraźnie, choć tylko przez pół sekundy, widział trzeci strumień światła. Być może był to rzeczywiście Kronus, a stary mędrzec chciał się właśnie w tym momencie upewnić, że Amosowi dobrze się wiedzie? Amos bardzo pragnął, by okazało się, że Kronus żyje i potajemnie nad nim czuwa.

Gdy znów popatrzył w stronę niedźwiedziej skóry, głowa Johannesesa spoczywała niezranioną skronią na ramieniu Klary. Oczy miał zamknięte, a na jego twarzy malowało się dziecięce szczęście.

*Laurencjusz zawrócił swego karosza i ostrożnie pokierował nim przez zarośla w dół. Klara doszła już prawie do zakończenia pierwszej opowieści.*

*Tutaj strumień huczał, płynąc swoim korytem, w osuszający sposób. Prąd porywał za sobą odłamki skalne wielkości skrzyni dorożki, wyrzucał na brzeg, by następnie znowu je pochłonąć, jeśli tylko ponownie wtoczyły się do wody.*

*Na jednym z takich odłamków skalnych, leżących w płytszej wodzie przy brzegu, Laurencjusz Answer odkrył w końcu niezwykłą istotę. Była niewiele dłuższa niż jego ramię, swoją zieloną barwą przypominała trzcinę. Jej nogi dyndały w wodzie, a jej włosy pozlepiane od namułu ilastego i wodorostów również opadały do rzeki bezładnymi falami.*

*Laurencjusz zeskoczył z konia i kucnął obok wodnej istoty.*

– *Nazywam się Laurencjusz Answer i szukam kraju moich przodków – powiedział. – Czy możesz pokazać mi, jak się tam dostanę?*

*Oczy zielonego maleństwa przypominały lilie wodne. Namysłając się, spojrzano na Laurencjusza, zanim odpowiedziało gardłowym grosem.*

– *Jeśli szukasz kraju swoich przodków, spytaj kobietę mieszkającą w studni.*

Klara cicho zamknęła *Księgę* i z trudem wstała. Ręką podtrzymała Johannes, aż wreszcie położył się na boku na skórze z niedźwiedzia. Uśmiechając się, poszła w stronę Amosa, położyła *Księgę duchów* na stole i usiadła naprzeciwko niego na krześle.

– Miejmy nadzieję, że znów będzie przy zdrowych zmysłach – powiedziała – gdy już powróci ze świata duchów za te kilka godzin.

– Ach, Klaro, zapomnij wreszcie o tym szalonym chłopaku.

– Amos pochylił się nad stołem i wziął jej lewą dłoń w swoje ręce.

– O wiele ważniejsze jest to, co teraz będzie z nami – ze mną, z tobą, z książką. Najpóźniej jutro Cellari znów zaczną nas szukać. Pilnie potrzebujemy jakiejś kryjówki.

– Nad tym samym się zastanawiam, od czasu gdy uciekłam z zamku biskupiego w Bambergu – odparła Klara. – Nigdy nie zapomnę tego straszego widoku, gdy obezwładnili cię strażnicy. Nic podobnego nie może się nam już przydarzyć.

– A jak temu zapobiegniemy? Jeśli czym prędzej nie przyjdzie nam jakaś odpowiedź na to pytanie, jutro wszystko zacznie się od nowa. – Amos rzucił kolejne spojrzenie w stronę Johannes i stłumił swój głos. – Wtedy znów będziemy uciekali przez las, a łowcy książek i kacerzy rzucają się w pogoń za nami. A może czarodziej Faust prześle mi jeszcze jedną wizję, na podstawie której moglibyśmy wywnioskować, dokąd powinniśmy najpierw zanieść *Księgę*. Ale wiesz co, Klaro, wcale nie jestem pewien, czy powinniśmy w dalszym ciągu poddawać się woli bractwa, które traktuje nas jak figury na szachownicy.

– Nie poddawać się bractwu? – zapytała Klara. – Ale co z Kronusem i matką Zofią?

– Co masz na myśli? – Amos był tak zmęczony, że z trudem utrzymywał otwarte oczy; – Oboje należą do Opus Spiritus, podobnie jak mężczyźni, z którymi spotkaliśmy się w Bambergu.

Klara zwięzła oczy, jak prawie zawsze, gdy intensywnie się nad czymś zastanawiała.

– Należą, a jakże. Ale może jednak jakoś nie należą.

Amos ponownie spojrzał w stronę kominka. Johannes wciąż miał zamknięte oczy, a na jego twarzy malował się błogi uśmiech. Jednak Amos nadal mu nie ufał.

– *Lepiej nie rozmawiajmy o tych rzeczach na głos* – powiedział swym telepatycznym głosem. Potarł sobie czoło i skronie, by się trochę rozbudzić. – *Sądziś, że bractwo nie wtajemniczyło Kronusa i matki Zofii we wszystkie swoje plany – tak, jak uczynili w przypadku księcia biskupa Georga?*

– *Mniej więcej* – odparła Klara – *a właściwie może jednak nie* – dodała później. – *Księcia biskupa użyli raczej jako przykrywkę i protektora, tak aby pod jego dachem bez przeszkód mogli odbywać swoje zebrania. Wmówili mu, że w przypadku Księgi duchów*

*chodzi o swego rodzaju pobożną zabawę, za pomocą której nikt nie wyrządzi nic złego, i że – poza tym – nie można z nią zbyt wiele zrobić. Matce Zofii i Kronusowi oczywiście nie mogli wmówić takich rzeczy. W końcu to Kronus sam napisał Księgę duchów i nikt poza nim nie miał wpływu na to, których starych misteriów i magicznych zaklęć użył na potrzeby książki.*

Amos kiwnął głową.

*– Też tak uważam, Klaro, i podobnie jak ty od wielu dni i tygodniową się nad tymi wszystkimi zagadkami. Ale to nie ma sensu. – Wypuścił jej dłoń i zaczął formować w małe kulki resztki wosku, które ściekły po świeczce na blat stołu.*

*– Jeśli Księga duchów – ciągnął dalej – wywoływałaby jakiegokolwiek niebezpieczne właściwości magiczne, to Kronus nie pracowałby nad nią przez połowę swego życia i z pewnością nie dopuściłby później do tęp, abym został uwikłany w tę całą sprawę. Tego jestem w dalszym ciągu pewien – i to samo tyczy się również matki Zofii. Kronus przesłał jej pierwsze dwie opowieści w innych wersjach niż te, które ostatecznie zamieścił w Księdze duchów. Sami zatem wypróbowali, czy te opowieści działają tak, jak założyli – a matka Zofia nigdy by się na to nie zgodziła, gdyby miała choćby najmniejsze obawy, że mogłaby w ten sposób sprowadzić na ciebie niebezpieczeństwo. Dlatego też to po prostu nie jest możliwe, by mężczyźni, taty jak organista Senft z Bambergu czy czarodziej Faust zamierzali za pomocą Księgi duchów zrealizować jakieś inne, bardziej niebezpieczne plany, o których nie wiedzieli Kronus i matka Zofia. W każdym razie nie wiem, jak można by było to inaczej wytłumaczyć. Jeśli Księga duchów wyzwala u Kronusa i matki Zofii – tak samo, jak u ciebie i u mnie – tylko te zdolności, które przewidział Kronus, dlaczego Senft, Faust i kto tam jeszcze mieliby wierzyć, że zdolają wydobyć więcej, gdy tylko dostaną ją w moje ręce?*

Oczy Klary zwięzły się w cieniutkie szparki, z których połyskiwała ciemna zielen.

*– A może wcale nie chodzi tylko o Księgę duchów – powiedziała. – Być może w co najmniej takim samym stopniu chodzi także o ciebie i o mnie.*

Amos popatrzył na nią wielkimi oczami. Nagle zaschło mu w ustach, jakby nałykał się kurzu. Już nieraz jego myśli potoczyły się w tym właśnie kierunku i za każdym razem szybko zaczynał myśleć o czymś innym. Pójście za tym wątkiem kilka kroków dalej wydawało mu się czymś budzącym grozę, czymś przyprawiającym o zawrót głowy. Ale Klara miała rację. Być może rzeczywiście chodziło w tej samej mierze o nich oboje, co o *Księgę duchów*.

*– Sądziś – pociągnął wątek – że Księga duchów może wyzwolić w tobie i we mnie inne zdolności niż w przypadku innych czytelników?*

Klara kiwnęła głową tak samo niechętnie, jak on sam zadał swoje pytanie.

*– I że dlatego zabili twoich i moich rodziców i tak wszystko urządzili, że ja musiałem*



*trafić do Kronusa, a ty do matki Zofii?*

Klara znów skinęła niezdecydowanie głową, by jednak po chwili kontynuować o wiele bardziej energicznie.

*– Tak, tak właśnie sędzę, Amosie, i poza tym wydaje mi się, że dopiero po tym jak już przeczytamy trzecią i czwartą opowieść, okaże się w pełni, o co w tym wszystkim chodzi. Jakie szczególne zdolności magiczne ujawnią się wtedy u nas obojga i czy są to ciemne, destrukcyjne moce, tak jak sądzą księżę biskup i inkwizytor, czy też siły jasne i lecznicze, jak tego chcieli Kronus i matka Zofia.*

Tymczasem Amos uformował swymi nerwowymi palcami wielką kulę wosku, nawet tego nie dostrzegając. Tak gwałtownie cisnął nią w płomień świecy, że ten niewielki ogień zgasł z sykiem.

*– Przynaję ci ragę – powiedział. – Tym sposobem wszystko to zaczyna przynajmniej częściowo mieć sens. Kronus i matka Zofia musieli sądzić, że ty i ja jesteśmy po prostu dwojgiem młodych ludzi, którzy trafili do nich zrzędzeniem losu. Z pewnością zupełnie nie przypuszczali, że sami zostali wybrani przez osoby reprezentujące bractwo i że zostali do nich doprowadzeni. Nie mówiąc już o tym, jakie zamiary mają ci ciemni bracia względem nas.*

W Amosie strach znów zaczął pełznąć w górę. Ogarnęły go szum i zawroty głowy, jak za każdym razem, gdy zgłębiał zagadki związane z jego pochodzeniem – te zamierzchłe, spowite mrokiem czasy, gdy przodkowie jego i Klary byli rzekomo potężnymi czarownikami.

Klara pochyliła się nad stołem i położyła swój drobny palec wskazujący na jego usta.

*– Nie myślmy już o tym, drogi Amosie, wystarczy tego na dzisiaj. – Podniosła się ze swojego krzesła. – Przynajmniej te kilka godzin możemy przespać bez przeszkód. Przed świtem Johannes na pewno jeszcze nie dojdzie do siebie.*

Pomocnik podcenzora leżał – tak samo, jak przed chwilą – na niedźwiedziej skórze, z zamkniętymi oczami i dziecięcym, błogim uśmiechem wymalowanym na twarzy.

*– Wciąż nie wiemy nawet – powiedział Amos – dokąd powinniśmy się jutro udać!*

Klara ujęła jego dłoń i pociągnęła go w górę.

*– Tego i tak się już dziś nie dowiemy. Oczy mi się same zamykają. Ale może we śnie nawiedzi cię znowu jakaś wizja?*

Miejmy nadzieję, że nie, pomyślał Amos. Gdy ostatnim razem zasugerowali się wizją, która naszła go we śnie, sam został osadzony w więzieniu, a Klarze ledwo udało się uciec.

Wsunął *Księgę duchów* do wewnętrznej kieszeni swojej kamizelki z jagnięcej skóry, którą przygotował dla niego w bamberskiej gospodzie młody malarz Hans Wolf. Pasowała jak ulał, i było to cudowne uczucie móc ponownie nosić przy sobie *Księgę*, bezpośrednio przy

sercu.

Jakkolwiek był już strasznie zmęczony, Amos rozładował jeszcze strzelbę i zapakował ją wraz z żelaznym młotem do skrzyni. Klara nakarmiła kasztankę. Później położyli się na ziemi przed drzwiami do sieni, owinięci w końskie pledy z zasobów myśliwego, wymruczeli do siebie dobranoc i oboje zasnęli w tym samym momencie.

## 8

AMOS ZBUDZIŁ SIĘ NA CHWILĘ przed wschodem słońca. Serce waliło mu w piersi, tak jakby właśnie wyrwało go ze snu przerażenie wywołane jakąś koszmarną wizją. Leżąc w ciemnej izbie obok Klary, właściwie nie mógł sobie przypomnieć żadnych strasznych widziadeł sennych.

Klara oddychała równo i leżała tak blisko niego, że jej oddech łaskotał go po policzku. Cóż mogły go interesować jakieś okropne mary, skoro wreszcie znów był wolny i mógł dzielić posłanie ze swoją ukochaną!

Mimo to wciąż waliło mu serce, a gdy zajrzał do swego wnętrza, zobaczył mroczną budowlę, która była olbrzymia i prawie czarna ze starości i od sadzy. Wąskie okna, nieprzychylne, niczym otwory strzelnicze w murach jakiejś twierdzy – ale gdzieś dalej z tyłu do tych murów przylegała także olbrzymia wieża z potężnym krucyfiksem. Zamek? Klasztor? Kościół warowny? I dlaczego te mury jeszcze teraz wzbudzały strach, skoro oczom jego wyobraźni ukazały się zaledwie jako mglista zjawia?

Amos intensywnie zastanawiał się nad tymi sennymi zjawami. Być może, pomyślał, że ta potężna budowla rozproszyła się niczym sieć pajęcza właśnie w chwili, gdy chciałem do niej wejść. Rozpadła się dookoła mnie, zapadła się, ale nie jak masywny dom z drewna i kamienia, lecz jak mgła czy para.

Czuł, że znów nie był to zwykły sen, lecz kolejna nocna wizja, przesłana przez Opus Spiritus, która miała wskazać jemu i Klarze dalszą drogę. Ale wszystko wydało mu się zbyt zamazane – i nawet Klara nie potrafiłaby ustalić na podstawie tych ulotnych obrazów, dokąd powinni się udać w następnej kolejności. Już wcześniej szydziła z niego, gdy opisywał jej

wtedy stożkowatą górę i wysoką, smukłą wieżę, która na niej stała, a która ukazała mu się jako pierwsza wizja. Miał to być zamek bamberskiego księcia biskupa Georga, oznajmiła wtedy, o czym wie właściwie każde dziecko w tym kraju. Amos czuł się wówczas nieco urażony, bo naśmiewała się z jego oderwania od życia. Jednak tym razem Amos czuł, że nawet ona nie będzie wiedziała, co począć, a nawet miał nadzieję, że nigdy nie dowiedzą się, gdzie znajduje się w rzeczywistości ten niesamowity dom z mgły.

O ile w ogóle należał do tego świata.

Serce Amosa uspokoiło się tylko częściowo. Dokąd jednak powinni teraz skierować swoje kroki, jeśli nie zdołają wykonać polecenia przesłanego mu w tej wizji? W końcu nie mogli sobie pozwolić na pielgrzymowanie od wioski do wioski na chybił trafił, szukając jednocześnie tej mrocznej i mglistej budowli, która mniej więcej przypominała tamte obrazy. Z pewnością nie potrwa to zbyt długo, aż inkwizytor ponownie natrafi na ich trop, a tym razem złapie ich oboje i wtrąci do więzienia – ale nie, w żadnym razie nie wolno im do tego dopuścić.

Klara jęknęła przez sen, jakby również odczuwała i podzielała jego troski. Jeszcze bardziej odwróciła się w jego stronę, objęła go jedną ręką, a ich przepelnione pożądaniem ciała przywarły do siebie.

Dobrze, że oboje byli owinięci w końskie pledy myśliwego – dzięki temu przynajmniej nie wykroczą niechcący przeciwko nakazowi nałożonemu na nich przez Valentina Kronusa. „Niech nowicjusz zachowa wstrzemięźliwość w sprawach serca” – na tę podstawową regułę wszystkich wspólnot zakonnych Kronus zaprzysiągł Amosa, zanim dał mu do przeczytania pierwszą opowieść z *Księgi duchów*. „Pozwól najpierw, by dzięki *Księdze duchów* obudziły się twoje siły wewnętrzne – przede wszystkim zaś siły magii serca i myśli”. Amos nigdy nie zapomniał tych słów, ani tym bardziej zakłopotania, w które Kronus go tym wprowadził. „Jeśli opanujesz te stopnie i będziesz szczerze gotowy, by przejść dalej do trzeciego stopnia – to sami będziecie wiedzieć, jak powinniście postępować w sprawach serca”. W ten właśnie sposób Kronus zakończył swoje objaśnienia dotyczące „reguły nowicjusza”, a Amos zadawał sobie teraz pytanie, czy on i Klara byli już gotowi, by przeczytać trzecią opowieść – o *skale, co była oknem*.

Jego puls znów przyspieszył, jednak tym razem było to nadzwyczaj przyjemne bicie. Do tej pory Klara i on posłusznie zwalczali w sobie to pulsujące w ich ciałach pożądanie. I poza kilkoma namiętnymi pocałunkami i objęciami nic więcej się między nimi nie wydarzyło w sprawach serca. Ale może, pomyślał, jesteśmy już jednak gotowi na opanowanie trzeciego stopnia. I w tym samym momencie przemknęła mu myśl: musimy podążyć za zgrają dzikich

ludzi!

Zdumiony, rozmyślał nad całym tym chaosem w swoim umyśle. Nawet nie zastanawiał się wcześniej, dokąd powinni się udać w pierwszej kolejności – i właśnie wtedy, gdy dumał nad swoimi i Klary sercowymi sprawami, olśniło go: ci dzicy ludzie w jakiś sposób należą przecież wszyscy do bractwa, a więc powinni też wiedzieć, dokąd mamy teraz zanieść księgę.

Amos rozmyślał nad tym olśnieniem i z każdą chwilą wydawało mu się ono coraz bardziej przekonujące. Kronus musiał ufać tym ludziom w szczególny sposób, myślał, w przeciwnym razie to nie ich wysłałby na czaty pod Pegnitz, by sprawdzić jego niezawodność. Poza tym to nie oni zostaliby wtedy wyznaczeni do upozorowania napadu na drodze.

Z niecierpliwością czekał na to, aż Klara wreszcie się obudzi. Najchętniej po prostu zbudziłby ją ze snu szarpnięciem, ale opanował się, a ona na szczęście ocknęła się wkrótce bez jego pomocy.

Pochylił się, żeby ją pocałować.

– Jest jeszcze ciemno – wymamrotała zaspana.

– Na dworze już się powoli rozjaśnia – sprostował. – Ale na jednego całusa na pewno nam wystarczy czasu.

Dopiero po dłuższej chwili zaczął jej objaśniać olśnienie, którego doznał przed chwilą.

– *Musimy podążyć za hordą dzikusów* – zaczął, przez wzgląd na bezpieczeństwo, telepatycznym głosem.

– *Zobaczyłeś to w jakiejś wizji?* – Klara nie sprawiała wrażenia przekonanej. – *Że mamy z tymi ludźmi włóczyć się po lasach?*

– *Nie, tego nie ujrzałem.* – Amos czuł się nieco rozgrzany od jej pocałunku i cieszył się, że w chatce myśliwego zawsze było względnie ciemno. Przez szpary w ścianach i w okiennicach prześwitywały pierwsze promienie słońca. Naprawdę nadchodziła już pora, by wyruszyli w drogę.

– *A co innego sprawiło, że wpadłeś na ten pomysł, mój wybrańcu?*

Walczył ze sobą, czy w ogóle powinien jej opowiadać o swej mglistej wizji. Gdyby Klara wbrew oczekiwaniom rozpoznała, którą budowlę ujrzał w swym widzeniu, to wówczas nie pozostawałoby im już nic innego, jak tylko pójść prosto w to miejsce. Ale czuł całkiem wyraźnie, że było ono niesamowite i nadzwyczaj niebezpieczne, i że powinni się od niego trzymać z daleka.

Wreszcie się przemógł i opowiedział jej, co widział w nocy. Klara wysłuchiwała wszystkiego, mocno do niego przytulona. Już dawno zrzucili z siebie końskie pledy, co

bynajmniej nie ułatwiało Amosowi skupiania się na ich telepatycznej rozmowie. Klara leżała raczej na nim niż obok niego, a ich ciała zaczęły się zachowywać jak rozbrykane młode konie, które samowolnie kłusują po łące.

– *Ja też nie wiem, gdzie to może być* – wymruczała mu do ucha. – *Ale żeby tak zaraz podążać za tymi dzikimi ludźmi? No nie wiem...*

Usiłował jej wyjaśnić, jak wpadł na ten pomysł. Klara podwinęła nogę i położyła mu ją na brzuchu. W czasie gdy mówił, mimochodem zbliżył ku niej rękę, ale zaraz wycofywał ją tak energicznie, jakby wsadził ją w ogień.

Co zresztą było nawet dość bliskie rzeczywistości. Jej ubranie przesunęło się, Bóg jeden wie, jak wysoko, a on chwycił ją za udo. Przez kilka chwil mówił urywanymi zdaniami, aż wreszcie udało mu się mniej więcej wpaść w rytm opowiadania.

– *A więc, ci ludzie z lasu...* – Wydawało mu się, że nie tylko byli członkami bractwa, lecz także zaufanymi osobami Kronusa i matki Zofii. Już dwa razy wysłali tę zgraję dzikusów – za pierwszym razem, by sprawdzić niezawodność Amosa, a wczoraj, by uwolnić go, pozorując napad, z rąk żołnierzy.

– *Byli tylko przebrani za rozbójników* – powiedział Amos. – *Jestem tego pewien. Wtedy pod Pegnitz zachowywali się jak jakaś sekta, czy coś w tym rodzaju, z wysokim i chudym kaznodzieją na czele, który krzyczał coś o zbliżającym się końcu świata. I sądzę, że to jest o wiek bliższe prawdy.*

Zastanawiał się, jak mógłby to lepiej wyjaśnić Klarze.

– *Pamiętasz jeszcze* – ciągnął dalej – *co Hans Wolf opowiedział nam w gospodzie o Kościele duchowym? Przynajmniej o jednym z członków bractwa – młodym muzyku, który zwał się Paul Lautensack. Wiemy od Hansa, że należy on do tego Kościoła duchowego. Ale prawdopodobnie istnieje ściślejsze powiązanie z Opus Spiritus, bo przecież Opus Spiritus oznacza po prostu Dzieło Duchowe. A ten Kościół duchowy jest, jak nam to wyjaśnił Hans – religią bez kapłanów i świątyń. Swoje ceremonie odprawiają pod gołym niebem, a wierni wchodzi przy tym w bezpośredni kontakt z Bogiem – lub nawet z jakimiś duchami, które im się tam objawiają. Według Hansa Wolfa, Kościół duchowy jest dla niektórych spośród jego apostołów wspólnotą, gdzie czci się wybrane duchy.*

Klara podrapała się w głowę. Zaczynało już świtać i Amos ujrzał blask jej oczu, a dookoła jasnej twarzy złościście lśniące włosy.

– *Prawdopodobnie masz rację i za tą hordą kryje się coś innego, niż chcą to wmówić nam i całemu światu.* – W jej głosie nie usłyszał jednak pewności. – *Być może rzeczywiście należą do tej części bractwa, która nie ma względem nas i Księgi duchów żadnych złych*

*zamiarów. Ale jeśli chcieliby, żebyśmy się do nich przyłączyli, to dlaczego uciekali na łeb na szyję?*

Amos przeciągnął się rozkosznie. Wciąż nie mógł uwierzyć, że znów jest wolny – nie za kratami ani nie obwieszony centnarowymi żelaznymi kajdanami.

*– Ich zadanie sprowadzało się chyba tylko do uprowadzenia żołnierzy, tak, abyśmy mogli oboje uciec. Dlatego odeszli, a miejsce, do którego mamy się udać, miało nam się ukazać w kolejnej wizji. Jednak coś poszło nie tak, wizja nie wskazała nam drogi, i dlatego chwilowo nie pozostaje nam nic innego, jak tylko dołączyć do ludzi z lasu. Przynajmniej do czasu, aż otrzymamy nową wiadomość.*

*– ...o ile twoi ludzie z lasu nie poszukali już dawno wiatru w polu* – zwróciła uwagę Klara.

Amos objął ją i przyciągnął do siebie, by ją znów pocałować. Nic jednak z tego nie wyszło – usta obojga ledwo zdążyły się złączyć, a już kawałek dalej, na tyłach izby, rozbrzmiało donośne dyszenie.

I nie była to kasztanka, jak w pierwszej chwili pomyślał Amos. Był to Johannes Mergelin, który właśnie w tym momencie musiał się obudzić ze swej magicznej drzemki. Z trudem wstał z niedźwiedziej skóry i wymamrotał: „Spytaj kobietę mieszkającą w studni”. Pokręcił głową i rozejrzał się zdumiony dookoła. Już w następnej chwili jego twarz rozpromieniała uśmiechem dziecięcego szczęścia.

*– Moi wybawcy, gdzie jesteście? – wykrzyknął Johannes. – Jak ja wam się kiedykolwiek odpłacę za to, coście dla mnie zrobili! Klaro, spójrz na mnie – byłem zaklęty, a tyś mnie wybawiła od złego uroku!*

## ROZDZIAŁ II

# 1

POWÓZ STAŁ dokładnie tam, na poboczu drogi, gdzie rozbójnicy zastawili wczoraj zasadzkę, a powalone ogromne drzewa wciąż zagradzały drogę. Zgraja rabusiów zdołała już splądrować wóz aż do ostatniej beli sukna i ostatniego tobołka z pierzem i wszystko wynieśli ze sobą.

– Może byli to jednak zwykli rozbójnicy? – Klara ciągnęła kasztankę za cugle, w czasie gdy wspólnie z Amosem przeszukiwali pozostałości po wozie. – Sądziłem, że i tak wkrótce nastanie koniec świata, ale nie musiało to jeszcze od razu oznaczać, że rozbójnicy byli związani z...

Amos popatrzył na nią zaklinająco.

– *Pamiętaj o tym, co postanowiliśmy przed chwilą.* – Amos wpadł jej w słowo na drodze telepatycznej. – *Żadnych nazwisk i ani słowa o bractwie, dopóki nie będziemy pewni, że Johannes rzeczywiście jest teraz po naszej stronie.*

Klara przygryzła dolną wargę.

– *Masz rację, muszę trzymać język za zębami.*

Johannes właśnie szykował się do tego, by pociągnąć swego muła w dół skarpy na drogę. Było to uparte zwierzę, które chłopak wytrzasnął nie wiadomo skąd.

W każdym razie w czasie gdy Klara jechała tu o świcie, uczeplił się jej tropu, jadąc na mule, i podążał za nią przez wiele mil. Drżał ze strachu, obawiał się bowiem, że mogłaby go wykryć i starać się pozbyć. W równym stopniu bał się, że mógłby narazić na niebezpieczeństwo Klarę i *Księgę*. Ale nie potrafił inaczej, musiał pojechać za nią, choć ze strachu i wyczerpania ledwo trzymał się na swoim mule. Bez przerwy słyszał syk tamtych demonicznych głosów.

– *Duchy, Hames, czytaj no... Księgę duchów, Hamesie, czytaj...*

Te urojenia, które wabiły go i dręczyły od wielu tygodni, ani przez chwilę nie dawały mu spokoju – za każdym razem, gdy przeczytał kilka kolejnych strzępków zdań z książki o duchach, dokuczały mu jeszcze bardziej. I tak skradał się za Klarą przez wąwozy i lasy,



skamlając i jęcząc, bezwiednie lub zupełnie niechcący napędzając jej stracha swym upiornym wyciem.

Wszystko to i jeszcze wiele innych rzeczy Johannes wyznał im wcześniej w zawrotnej tyradzie, jednocześnie śmiejąc się i płacząc z niewymownego szczęścia. Odkąd powrócił ze świata rycerza Laurencjusza Answera, wydawał się prawdziwie odmieniony – nie wygadywał już żadnych bredni, nie wywracał oczami niczym chory na płasawicę i ani trochę nie palił się do tego, by dać drapaka z *Księgą duchów* pod pachą. Johannes naprawdę wydawał się uwolniony od złego uroku.

Jeszcze zanim wyruszyli w drogę z chatki myśliwskiej, Amos wejrzał w głąb swego serca i ze zdziwieniem zobaczył, jak bardzo Johannes był odmieniony także w swoim wnętrzu. Jego magiczne serce otwarło się, a wewnętrzna gwiazda weszła. Rdzawo złociście migocące i pulsujące światełko, od którego odchodziła lśniąca wstęga światła, nie sprawiała wrażenia tak silnego i nie świeciło aż tak jasno, jak szeroki strumień światła łączący magiczne serce Amosa z Klarą, ale i tak było tysiącokrotnie mocniejsze od bladawej, kurczowo drgającej strużki światła, która odchodziła do tej pory od wewnętrznej gwiazdy Johannesesa.

– Wszystkiemu temu byłem winien wyłącznie ja – zapewniał Johannes raz za razem. – Własną wyobraźnię i wszystkie uczucia osadziłem w więzieniu, niczym najniebezpieczniejszych wrogów, na samym dnie swego serca. Jeszcze kilka lat temu moim największym marzeniem było zostać artystą, by głosić niezwykłość świata za pomocą moich fantastycznych opowieści. Ale gdy zrozumiałem później, że z tych marzeń nic nie będzie, moje serce stało się zatwardziałe, a ja zacząłem nienawidzić i bać się tego wszystkiego i zwalczać jak śmiertelnych wrogów rzeczy, które były mi najdroższe i najdrogocenniejsze na świecie.

W ten sposób usiłował ich przekonywać ten pełen entuzjazmu chłopak i tylko z trudem udało im się hamować potok jego słów.

– A teraz siedź już cicho – zbeształ go w końcu Amos – i nie odzywaj się, na Boga, przynajmniej do czasu, aż dojedziemy do drogi i zyskamy pewność, że nikt nie czyha na nas tam w dole.

Ani zgraja dzikusów – jeśli Klara miała jednak rację i byli to jedynie zwykli rozbójnicy. Ani purpurowi wojownicy i opancerzeni łowcy książek – jeśli Johannes wciąż jednak udawał i wbrew wszelkim zapewnieniom nadal był po stronie inkwizytora Cellariego i podcenzora Skythisa.

Amos nie wierzył w żadną z tych możliwości i przynajmniej na razie zdawał się mieć rację. Skąpana w świetle porannego słońca droga była opustoszała. I nawet w zaroślach po

drugiej stronie drogi, gdzie las ciągnął się stromym zboczem w siną dal, nie czuć było najsłabszego nawet podmuchu wiatru. Nie mówiąc już o zgrai dzikusów wymachujących szablami i widłami czy o połowie tuzina purpurowych wojowników uzbrojonych w kusze i miecze.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – zapytał Amos.

Klara uśmiechnęła się do niego.

– Nie poznajesz, mój wybrańcu?

– A co tu jest do rozpoznawania? – zaprotestował Amos. – Nic tylko las, ciągnący się we wszystkich kierunkach, poza tym wieziono go przez tę krainę w zamkniętym wozie, pod plandeką, a przez większość czasu miał opaskę na oczach. Ale Klara wiedziała o tym równie dobrze, jak on sam – znów chciała się z nim tylko podrażnić z powodu jego rzekomego „oderwania od życia”. I trzeba przyznać, że na drogach i szlakach między Bambergiem a Norymbergą orientowała się o wiele lepiej niż on. W końcu jej rodzice byli wędrownymi ludźmi i przemierzali prawie każdy zakątek i przysiółek we Frankonii. Aż pewnego dnia, a upłynęły już od tego czasu cztery lata, zostali zamordowani – przez morderczych podpalaczy, których najprawdopodobniej wysłało Opus Spiritus.

Nigdy nie wolno im będzie o tym zapomnieć, napomniał się Amos. Najwidoczniej przynajmniej kilku członkom bractwa przyświecają jakieś mroczne cele i nie cofną się nawet przed rozlewem krwi. I niestety, nie mogli być pewni w przypadku żadnego członka zakonu – z wyjątkiem Kronusa i matki Zofii – po czyjej stronie stoi dana osoba. Mimo to nie mieli innego wyboru, musieli podążać za hordą dzikich ludzi. Dopóki będą mieli przy sobie *Księgę duchów*, będą bezlitośnie prześladowani przez inkwizytora Cellariego i łowcę ksiąg Skythisa – a tak poza tym *Księga* była dziełem życia Kronusa i najdrogocenniejszym tekstem na całym świecie.

– Jesteśmy kilka mil za Ebermannstadt – oznajmiła tymczasem Klara – w Alpach Frankońskich. Tak nazywana jest ta okolica, zapewne z powodu stromych gór. Jeśli podążymy dalej tą drogą, pod wieczór powinniśmy dotrzeć do zamku Golsweinstein, który – jeśli się zbytnio nie mylę – jest własnością biskupa Bambergu.

Amos rzucił spojrzenie za siebie. Johannesowi udało się tymczasem pociągnąć muła w dół na drogę i uwięzić go na cuglach o gałąź drzewa. Tak samo zostawił nocą to biedne zwierzę samiuteńkie w lesie, uwiązane o jakąś gałąź, w odległości niecałej mili od chatki myśliwskiej.

– *A ten cały zamek Golsweinstein* – zapytał Amos – *czy może to być budowla z mojej wizji?*

Klara wzruszyła ramionami.

– *To po prostu zamek – ciągnęła dalej – z wielkim budynkiem Równym, dwu lub trzypiętrowym, i kilkoma przybudówkami. Pośrodku wznosi się okrągła wieża z blankami, a całość stoi na skalnej stromiźnie, górującej nad małą wioską. Czy nie wydaje ci się to znajome, Amosie?*

Intensywnie się nad tym zastanawiał, a po chwili wzruszył ramionami.

– *Twój opis całkiem dobrze odpowiada temu, co ujrzałem zeszłej nocy, ale czy nie pasuje prawie do co trzeciego lub co czwartego zamku? Jak wygląda główny budynek? Czy są tam wąskie luki okienne, nieznacznie większe od otworów strzelniczych?*

Klara pokręciła głową i równocześnie dała Amosowi znak.

– *Johannes idzie.*

– Tak dokładnie to sama nie wiem – wypowiedziała te słowa. – Od czasu gdy byłam tam z moimi rodzicami, minęły cztery lata.

Johannes wciąż jeszcze miał wymalowany na twarzy ten sam uśmiech, pełen błogości, który był następstwem wczorajszej wędrówki do świata rycerza Laurencjusza Answera.

– Sami widzicie – powiedział, wskazując w górę i w dół pustej drogi – że poza mną nikt nie wie, że tu jesteście. A ode mnie nikt się tego nie dowie. Przysięgam. – Położył prawą rękę na swoim sercu. Spod jego podartej, szmacianej koszuli wyzierała jego pierś, a spod skóry – każde pojedyncze żebro. – I chcę naprawić wszystko, co musieliście przeze mnie wycierpieć. Jeśli tylko mi na to pozwolicie. – Spuścił głowę. – Proszę, pozwólcie mi z wami zostać. Zrobię wszystko, czego ode mnie zażądacie.

Amos i Klara wymienili się spojrzeniami. Johannesowi lzy znów naszły do oczu. Jednocześnie jednak patrzył zafascynowany z zachwytem na Klarę, co wcale nie podobało się Amosowi.

– *Co o tym myślisz?* – zapytał.

Klara z łagodnym uśmiechem na twarzy przesunęła wzrokiem z Johannaesa na Amosa. Cała ta sytuacja zdawała się ją bawić, a i to ani trochę nie podobało się Amosowi.

– *Cóż, weźmiemy go ze sobą, co począć* – odpowiedziała.

– *Chyba mnie nie odprawicie?* – zapytał Johannes.

Amos wzruszył ramionami. Złościł się na samego siebie z powodu wzbierającej w nim znowu zazdrości, ale w równym stopniu złościł się także na Klarę, która zdawała się wręcz upajać tym, jak Johannes patrzy na nią z zachwytem.

Amos, nie zważając na to, co właśnie robił, czubkiem buta wyskrobał trójkąt w piasku na drodze. I omal nie wymalował jeszcze oka w środku trójkąta – tajny znak rozpoznawczy

bractwa. Ale wtedy uświadomił sobie, co uczynił, i zamazał swoje bazygroły podszwają.

– A więc, jeśli o mnie chodzi, to możesz na razie z nami zostać – powiedział do Johannesesa – tylko trzymaj ręce z dala od książki.

– Najchętniej dodałby jeszcze „i od Klary”, ale te słowa nie przeszły mu już przez gardło. W każdym razie w obecności Klary. Ale przy następnej okazji już on udzieli temu chudemu, kościstemu łachmaniarzowi wyraźnego ostrzeżenia w tym względzie.

Johannes padł przed nimi na kolana, zakrywając twarz rękoma, najwyraźniej ogarnięty uczuciami wdzięczności i szczęścia. Klara przykucnęła obok niego na drodze i pogłaskała po ramieniu jak małe dziecko, które z jakiegoś powodu należało uspokoić. Z ust Johannesesa popłynął potok wylewnych podziękowań, ale dla Amosa miarka się teraz przebrała.

– Do licha! Przestańcie wreszcie... – zaczął i urwał w środku zdania. Nie troszcząc się już o towarzyszy, przeszedł na drugą stronę drogi, gdzie dzikusy (lub ktokolwiek inny to był) zniknęli wczoraj w gąszczu. Po tej stronie droga prowadziła tak stromo w dół i w tak trudną do opisania dal, jak po drugiej stronie biegła pod górę. Między drzewami rosły małe, łykowate krzaki, których można się było przytrzymać, schodząc w dół, a tu i ówdzie wystawały z listowia i leśnego podszycia bryły skalne, niczym surowo ociosane stopnie schodów. Ale z kasztanką i mułem zejście wydawało się karkołomnym przedsięwzięciem.

Amos spojrzął przez ramię do tyłu. Klara podniosła się tymczasem, jednak Johannes wciąż przed nią klęczał na tej zapomnianej przez Boga i ludzi leśnej drodze, patrząc w górę z egzaltowanym uśmiechem wymalowanym na twarzy.

– *Ten chłopak wciąż jeszcze ma nie po kolei w głowie* – zakomunikował Klarze. – *Nie widzisz tego, na Boga! Uważa się za rycerza Wawrzyńca, a Ciebie...*

Klara dała Johannesowi znak, a jej adorator wstał z trudem, zataczając się.

– *Wiem, Amosie* – powiedziała. – *Miej dla niego jeszcze trochę cierpliwości, już wkrótce zupełnie wyzdrowieje, wyraźnie to czuję. Wiesz przecież, mój wybrańcu: wprawdzie nie potrafię, tak jak ty, zaglądać w przyszłość ani odbywać podróży do przeszłości, ale jestem za to całkiem niezła w leczeniu ludzi.*

– *W takim razie wylecz go, byle szybko* – odparł Amos – *zanim znów dopadnie go stare szaleństwo i zacznie jeszcze wierzyć, że Księga została napisana przez samego diabła.*

Co się tyczyło jego samego, to nie potrafił podróżować ani w przeszłość, ani w przyszłość, choć czarodziej Faust wysłał go już w magiczne podróże w obie strony. Sam Amos bynajmniej nie był pewien, czy jeszcze raz chciałby tego doświadczyć. Przede wszystkim jego magiczny lot po zamierzchłej przeszłości był dla niego niczym najokropniejszy z koszmarów, tak bardzo zapierający dech w piersiach i tak nieuchronny.

Klara i Johannes podeszli do niego, a Amos dodał w normalny sposób:

– Tutaj musimy zejść w dół.

Wskazał przy tym na znajdującą się obok drogi przepaść.

– Razem ze zwierzętami? – Klara powiodła oczami wzdłuż stromego zbocza. – To czyste szaleństwo, Amosie!

– Innej drogi nie ma – nalegał. – Musimy podążyć śladem tych ludzi, w przeciwnym razie nigdy nie uda nam się ich odszukać w tym bezkresnym lesie. Już my ich znajdziemy, w końcu ojciec nauczył mnie czytania tropów. Przy twojej znajomości sztuki jeździeckiej, którą wpoił ci z kolei twój ojciec, to zbocze powinno być dla ciebie drobnostką.

– A co z Johannesem?

Tę kwestię zamierzał właśnie poruszyć.

– On chyba nie da rady. – Klara chciała zgłosić jakieś zastrzeżenia, ale Amos szybko mówił dalej: – Najlepiej będzie, jeśli pojedziesz drogą – powiedział do Johannesesa. – Ona też prowadzi w dół, aż do doliny. A gdy już znajdziemy ludzi, do których chcemy się przyłączyć, nawiążemy z tobą łączność na drodze uczuciowej, a wtedy ty będziesz mógł do nas dołączyć.

Sam wydał się sobie nieco podły, ale tylko troszeczkę, bo w końcu było to wyłącznie dla dobra chłopaka, żeby pojechał wzdłuż drogi na swoim mule. Ze swoją zranioną nogą Johannes i tak nie mógłby zejść po zboczu na dół, a gdyby spróbował pokierować tam swojego muła, najprawdopodobniej połamałby sobie kark.

Błogi uśmiech na twarzy Johannesesa zamarł. Ze zmarszczonym czołem patrzył na zmianę w dół zbocza i wzdłuż drogi.

– Idę z wami – wyrzucił z siebie – choćby miało mnie to kosztować życie.

– W żadnym razie – powiedziała Klara.

Rzuciła Amosowi gniewne spojrzenie.

– *Jak możesz być tak bezduszny!* Dlaczego nie pojedziemy we dwoje wzdłuż drogi – dodała – a trzeci będzie tymczasem podążał pieszo naszym tropem?

– *A tym trzecim to mam być niby ja?* – W Amosie zagotowało się teraz ze wściekłości.

– *Czy to nie ty jeszcze wczoraj przysięgałaś, że nikt i nic nas już nie rozłączy?* – Popatrzył na Klarę nieruchomym wzorkiem. Poczul podejrzane pieczenie oczu i palenie w gardle.

– *Wtedy nie wiedziałam jeszcze – odparła Klara – że jesteś zdolny do takiej podłości, i to tylko po to, by jak najszybciej pozbyć się Johannesesa!*

Amos pokręcił głową z niedowierzaniem.

– *Przecież wcale nie o to chodzi.*

Jak to możliwe, że nagle zaczęli się kłócić? Do tej pory zawsze rozumieli się niemal

bez słów. Ale ledwo na horyzoncie pojawił się ten łachmaniarz, a już darli ze sobą koty i odnosili się do siebie w niewybredny sposób.

– *No dobrze – przyznał. – Już naprawdę zaczyna mi to trochę działać na nerwy, jak ten przeklęty chłopak cię ubóstwia, a ty no cóż zdaje się, że tobie to się nawet całkiem podoba, gdy on rzuca się przed tobą na kolana. Ale to nie zmienia faktu...*

Więcej nie zdążył powiedzieć. Klara nagle parsknęła śmiechem.

– *Jesteś zazdrosny, Amosie, przyznaj to!*

Zamiast jej odpowiedzieć, Amos znów zaczął grzebać czubkiem buta w piasku.

– *Możliwe – odpowiedział w końcu – ale nie o to przecież teraz chodzi. Musimy stąd uciekać, i to jak najszybciej.*

Popatrzył na Klarę natarczywym wzrokiem i ciągnął dalej w zwykły sposób:

– Koniecznie musimy znaleźć tych ludzi, Klaro. I jeśli o mnie chodzi, to możemy to zrobić tak, jak właśnie zaproponowałaś – ja sam zejdem z boczem na dół i będę podążał ich tropem. A jak już ich znajdę i się z nimi dogadam, dam ci znać telepatycznie, dokąd powinnaś... Dokąd powinniście – poprawił się – pójść.

Amos i Klara spoglądali na siebie z troską. Czy rzeczywiście nie było innego sposobu? Amosowi wcale się nie podobało, że on i Klara znów muszą się ze sobą rozstać, po tym jak dopiero co się odnaleźli.

Z tych wszystkich rozmyślań wyrwał ich Johannes.

– Słyszycie? – krzyknął stłumionym głosem. – Nadjeżdżają jacyś jeźdźcy!

Wskazał w dół drogi – w kierunku, który mieli wspólnie obrać – Klara i on.

Amos intensywnie nasłuchiwał. Chłopak musiał mieć nadzwyczaj dobry słuch. Choć sam się na tym koncentrował, słyszał jedynie całkiem ciche odgłosy kopyt. Jednak z każdą chwilą i z każdym oddechem odgłosy rozbrzmiewały w ich stronę ku górze coraz wyraźniej i coraz groźniej.

– To musi być cały oddział – powiedział – pół tuzina albo nawet więcej.

Wszyscy troje wymienili teraz zatroskane spojrzenia. Nikt nie odważył się wypowiedzieć tego na głos, ale było jasne, że każde z nich zadawało sobie to samo pytanie: Czy rycerze nadjeżdżający z dołu ostrym klusem, to byli purpurowi wojownicy? Wysłani przez inkwizytora Cellarięgo, bo obaj żołnierze księcia biskupa kazali na siebie czekać? Właściwie to było mało prawdopodobne, zastanawiał się nad tym Amos. Cellari mógł spodziewać się przybycia swoich więźniów do Norymbergii najwcześniej dziś po południu. Może jednak postanowił wysłać im naprzeciw swoją własną eskortę.

Jakkolwiek by było, pomyślał, muszą się natychmiast stąd wynieść.

– Musimy zejść z drogi na dół – powiedział i ponownie wskazał w dół zbocza – wszyscy troje i zwierzęta.

## 2

NICZYM OLBRZYMIA, obrócona do góry nogami litera „s”, wiła się droga przez las w dół doliny. W czasie gdy Amos, Klara i Johannes schodzili górną połową tego wydłużonego „s” wraz ze swoimi zwierzętami, jeźdźcy wjeżdżali z trudem dolną jego połową.

Tymczasem odgłosy kopyt wzmogły się i brzmiały już jak cichy grzmot, który stawał się coraz donioślejszy. Od czasu do czasu w powietrzu unosiły się w ich stronę ku górze strzępki dźwięków, jakby mocnych męskich głosów – jakieś okrzyki, śmiechy, nie sposób jednak było niczego zrozumieć.

Czyżby purpurowi wojownicy?

Amos popędził co sił w nogach, wyprzedzając ich własny mały oddział. Ześlizgnął się po omszałych powierzchniach w dół, znalazł oparcie w postaci kamiennych odłamków i łykowatych gałęzi, małych krzaków, których liście były twarde i miały ostre krawędzie. Tropu uciekającej zgrai nie przeoczyłby chyba nawet na wpół ślepy kret – połamane gałęzie krzaków, zdeptane grudki ziemi, a nawet odciski stóp w mchu. Amos obracał się mniej więcej co dziesięć kroków, przyciskając plecy do jednego z olbrzymich drzew, które zdawały się wyrastać bezpośrednio z ziemi. W pewnej odległości podążali za nim Klara i Johannes – Klara jechała przodem na swej kasztance, a pół kroku za nią muł z Johannesem na grzbiecie. Klara wytrwale nuciła kojące dźwięki, raz do drgającego ucha klaczy, innym razem – odchyłona w siodle w lewo – w stronę muła. Oba zwierzęta przewracały oczami, parskały, rżały i rzęziły – najwidoczniej śmiertelnie bały się schodzić tym strasznie stromym zboczem.

Wszystko sprowadzało się teraz do tego, żeby Klara pokierowała bez uszczerbku swoim koniem i mułem Johanna stromizną w dół. Ponadto nie mogła dopuścić do tego, by zwierzęta zdradziły ich swoim rzeniem. Jeźdźców, którzy jechali w górę, musiało być co najmniej sześciu. Tymczasem tętent ich koni odbijał się hukiem w górę, w stronę Amosa i

jego towarzyszy niczym grzmoty. Spowici chmurą z tych dźwięków, byli dla jeźdźców na pewno niesłyszalni, dopóki tylko cicho schodzili po mchu i suchych gałęziach. Gdyby jednak kasztanka lub muł zarzeli w niewłaściwym momencie, to byłoby już po nich. Choć wciąż było prawdopodobne, że tymi jeźdźcami są po prostu niegroźni kupcy lub myśliwi – jednak Amos w to nie wierzył. Na takich opustoszałych drogach, jak ta, często przez wiele dni nie spotykało się żywej duszy. To, że ci jeźdźcy przybyli galopem właśnie teraz, z pewnością nie było dziełem przypadku. Amos czuł to coraz wyraźniej z każdym kolejnym krokiem, gdy schodził po stoku.

Tymczasem zbliżyli się do najniebezpieczniejszego punktu ich karkołomnego zejścia – do środka drogi w kształcie wydłużonego „s”, które przecinało teraz zbocze na dwie połowy. W niewielkiej odległości, właściwie już pod własnymi stopami, Amos ujrzał przebijającą między krzakami i drzewami drogę – wąską, jasną wstęgę, która przebiegała w tym miejscu przez kilkadziesiąt kroków prawie poziomo.

Na razie nie powinni się wysuwać bardziej do przodu, w każdym razie dopóki ci mężczyźni nie przejadą. Amos znów obrócił się w stronę obojga towarzyszy, opierając się plecami o pień drzewa. Przyłożył palec do ust i popatrzył na Klarę zaklinając.

*– Droga jest tuż pod nami. Zaraz będą tamtędy przejeżdżali jeźdźcy, a teraz ani mru mru.*

Klara skinęła głową w jego stronę. Wychyliła się do przodu i zanuciła kasztance uspokajające dźwięki do ucha. Sierść klaczy była tak mokra od potu, że lśniła, jakby była pokryta kamieniami szlachetnymi. Przednimi kopytami kasztanka stała na omszałym klifie, a tuż za nim droga prowadziła dalej prawie pionowo w dół. Klara pogłaskała ją po szyi, odwróciła się i pociągnęła muła za cugle bliżej w swoją stronę. Muł był o wiele za mały dla Johannaesa, który prawie powłóczył nogami po ziemi. Sam wydawał się co najmniej tak samo zatrwożony, jak jego zwierzę wierzchowe, jednak gdy Klara pogłaskała muła po sierści, rozchmurzyła się i twarz Johannaesa.

Patrzył na nią wielkimi oczami, a Amos prawie siłą uwolnił się od widoku tego zakochanego do szaleństwa chłopaka. Cokolwiek Klara mu rozkaże, pomyślał, Johannes natychmiast to zrobi.

Odwrócił się i znów wyjrzał zza swojego drzewa. I już zaledwie po kilku sekundach ujrzał pod sobą jeźdźców – sześciu mężczyzn jadących konno wzdłuż wąskiej drogi, po dwóch obok siebie, w wolnym tempie, jakby niezbyt spieszyli się ze swoją misją.

Amos prawie przestał oddychać, gdy widział ten mały oddział przeciągający tuż pod nim. Ich srebrne hełmy błyszczały w świetle przedpołudniowego słońca, a ich uniformy



świeciły się taką samą purpurą, jaką zwykle się rozpromieniać wieczorne niebo nad zamkiem Hohenstein. Przez plecy mieli przewieszane ogromne miecze, a lufy ich strzelb wyzierały z toreb przy siodłach.

Za plecami Amosa parsknął muł, po czym usłyszał, jak Klara poklepała go po sierści, śpiewając przy tym swym wysokim głosem w prawie niesłyszalny sposób. Purpurowi wojownicy przeciągnęli pod nimi, a tętent kopyt ich koni odbił się hukiem ku górze. Wtedy wszystkich sześciu przejechało, a Amos już chciał się odwrócić, by dać Klarze znak, że mogą kontynuować schodzenie.

Jednak chwilę później omal nie stanęło mu serce – i tylko po to, by zaraz w tym bardziej zawrotnym tempie walić w jego piersi.

W czasie gdy sześciu purpurowych wojowników zniknęło już po lewej stronie z jego pola widzenia, z prawej nadciągnęło dwóch podążających za resztą spóźnialskich, a Amos rozpoznałby ich obu z odległości pięćdziesięciu kroków, i to po wielu latach.

Jeden z nich był wysokim mężczyzną, odzianym w purpurę, jak wojownicy, którzy przejechali przed nimi. Na jego srebrnym hełmie kołysał się ogromny pióropusz, jaskrawoczerwony jak jego uniform, a twarz promieniała uśmiechem, który zdawał się nigdy nie gasnąć. Był to ten sam papieski oficer, który zamknął wtedy Amosa i jego siostrę Odę w wieży wschodniej zamku Hohenstein.

Nie myśl o tym, napominał się Amos – nie teraz! Zaczęło go palić w gardle i wielokrotnie przełknął ślinę, choć właściwie byłoby o wiele bezpieczniej, gdyby nie wydobył z siebie żadnego dźwięku. Jednak mógłby wykrzyknąć i przekląć tego mężczyznę o promiennym uśmiechu, który bez wątpienia zasłużył sobie na wieczne męki w piekle. „Nie bójcie się, moje dzieci, powiedział wtedy do Ody i Amosa, bo przybywamy, by wybawić was od złego”, i jeszcze tego samego dnia w nocy jego żołnierze zabili Odę.

Amos zacisnął zęby. Nie krzyknął, nawet udało mu się powstrzymać szloch, który wrywał mu się z piersi. Musieli unikać wszelkich dźwięków, które mogłyby zagłuszyć tętent obu jeźdźców tam w dole. Do tej pory mogli jeszcze łudzić się nadzieją, że purpurowi wojownicy bynajmniej nie z ich powodu podróżują po tej zapomnianej przez Boga i ludzi drodze, lecz że mają do spełnienia jakąś inną misję. Amos już wcześniej w to nie wierzył, ale widok drugiego spóźnialskiego na jego śnieżnobiałym koniu pozbawił go resztek złudzeń. Bo towarzyszem papieskiego oficera – wciąż raczej młodzieniec niż dorosły mężczyzna – był nie kto inny, jak sam Meinolf, asystent inkwizytora Cellariego. Ten sam dominikanin o włosach w kolorze platyny przeszedł na zamku Hohenstein przez salę pełną rannych mężczyzn, zadając jednemu za drugim cios w serce swoim sztyletem. Ze skrywaną przyjemnością, z

wewnętrzny żarem, który wywołał na jego zazwyczaj bladych policzkach ognistoczerwone plamy.

Nie myśleć o tym. Amos zacisnął zęby, aż zatrzeszczało mu w uszach. Z tym swoim promiennym uśmiechem na twarzy oficer odwrócił się w stronę Meinolfa i powiedział coś, co brzmiało mniej więcej tak: „Wkrótce ich dopadniemy i sprzątniemy”. Meinolf zaśmiał się szyderczo i w czasie gdy jego śmiech powoli przebrzmiewał, obaj ruszyli w lewo, znikając z pola widzenia.

Dopiero gdy zniknęli, Amos znów się odwrócił i popatrzył na Klarę.

– *Musimy iść dalej, ale bardzo cicho.*

Jego wzrok padł na Johannesesa i Amos od razu zorientował się, nie angażując nawet swoich magicznych mocy, że chłopak również rozpoznał młodego dominikanina. I że on także obawiał się Meinolfa – być może bardziej jeszcze niż wszystkich purpurowych wojowników, którzy tu z nim przyjechali. Po raz pierwszy Amos poczuł jakby wewnętrzną więź z tym chudym jak szkielet, na wpół obłąkanym chłopakiem. Johannes współpracował wprawdzie z podcenzorem Skythisem, ale nie oznacza to jeszcze, że – podobnie jak Meinolf – znajduje przyjemność w zabijaniu innych ludzi.

Ostatnie dziesięć kroków w dół w stronę drogi zaliczyli już bez żadnych incydentów. Tętent ich prześladowców stawał się z każdym krokiem coraz cichszy – teraz purpurowi wojownicy i młody mnich musieli znajdować się już spory kawałek ponad nimi, na początku wydłużonego zakrętu w prawo, który wił się w górę.

Dopiero wtedy, gdy Meinolf i wojownicy na usługach Kościoła dotrą już na sam szczyt, zorientują się, że pojechali w złą stronę. Widząc powalone drzewa i bezpański wóz, wywnioskują, że żołnierze księcia biskupa zostali napadnięci i że ich więzień wy dostał się na wolność. Odkryją ślady prowadzące od tej zasadzki prosto w dół zbocza – nie dające się przeoczyć ślady, wydeptane wczoraj przez zgraję dzikusów oraz uprowadzone konie zaprzęgowe i żołnierzy, które dziś zostały odświeżone przez ich troje i zwierzęta wierzchowe.

Meinolf i ten oficer o promiennym uśmiechu wydadzą swym żołnierzom rozkaz wszczęcia pościgu, a wtedy purpurowi wojownicy pognają niczym wichura tym trudnym do przebycia zboczem w dół. Amos wyraźnie widział już przed sobą te sceny. Ale zanim do tego dojdzie, minie jeszcze co najmniej godzina – do tego czasu będą musieli pokonać ten las i zaszyć się gdzieś tak, żeby ich nie znaleziono.

Między skarpą a drogą przepływał, szemrając, strumień. Kasztanka i muł zanurzyli swoje pyski w strumyku, a Amos nie żałował im tego orzeźwienia, tymczasem sam nie spuszczał wzroku z drogi i wsłuchiwał się w przebrzmiewający tętent końskich kopyt.

Na skąpanej w południowym słońcu drodze zrobiło się cicho i spokojnie. Ptaki śpiewały w koronach drzew, a w powietrzu unosiła się rześka woń świerkowych igieł. W takich chwilach Amosowi wszystko to, co przeżył w ciągu ostatnich tygodni, wydawało się jedynie złym snem. Ale była to przerażająca rzeczywistość, z której nie można się było tak po prostu obudzić. Jego siostra Oda naprawdę została zabita, podobnie zresztą, jak stryj Heribert i wszyscy ci mężczyźni, którzy żyli na zamku Hohenstein. A folwark młyński Kronusa rzeczywiście padł ofiarą płomieni, podobnie jak i sam Kronus najprawdopodobniej został uprowadzony przez siepaczy inkwizytora.

Amos odwrócił się i popatrzył na Klarę pytającym wzrokiem. Ta kiwnęła głową w jego stronę i prawie równocześnie zaczęli przeprowiać się przez strumień. Amos szedł pieszo, a Klara i Johannes jechali na swoich zwierzętach. W mgnieniu oka przeszli przez drogę i zniknęli w gęstwinie po drugiej stronie.

### 3

SŁOŃCE STAŁO JESZCZE WYSOKO na bezchmurnym niebie, gdy dotarli na dno wąskiego, rozciągniętego wąwozu. Bulgocący potok górski, wzdłuż którego ciągnęły się zarośla i pastwiska, pozostawiał niewiele miejsca śliskiej ścieżce, która wydawała się ciągnąć w nieskończoność na lewo i na prawo nad brzegiem wody. Na drugim brzegu znajdował się wąski pas łąki, a za nim wznosiły się ściany skalne, jeszcze bardziej strome niż zbocze, po którym właśnie zeszli na dół.

Tym razem nie sposób było nie dostrzec, jaki kierunek obrali dzicy ludzie. W kierunku wschodnim ścieżka na brzegu była wydeptana przez niezliczone odciski stóp i kopyt.

– Oni nie zrobili sobie tu na dole nawet krótkiego postoju na odpoczynek – powiedział Amos. Wskazał na błotniste pasma na brzegu. – Nie ma ani jednego odcisku stopy, niczego – nawet nie napoili koni.

Klara zeskoczyła z siodła.

– Jak myślisz, dlaczego było im tak śpieszno? Przecież musieli widzieć, że nikt im nie

depcze po piętach. – Poprowadziła kasztankę nieco bliżej brzegu, a klacz pochyliła łeb i zaczęła łapczywie żłopać wodę.

Amos wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Pieniąca się woda przywodziła mu na myśl strumień Grundleinsbach, który otaczał zagrodę Kronusa, tworząc literę „u”. Przykucnął na brzegu, napełnił dłoń rozkosznie zimną wodą i wypił ją– O to najlepiej zapytajmy ich samych – dodał. – Uczynimy to, jak tylko ich dogonimy.

Tymczasem Johannes również ześlizgnął się ze swojego zwierzęcia wierzchowego.

– A ty – powiedział do niego Amos szorstkim tonem – udzielisz mi teraz odpowiedzi na jedno pytanie.

Zazgrzytał zębami i ścisnął dłonie w pięści. Czuł neodpartą potrzebę, by uderzyć chłopaka pięścią w twarz, chciał w ten sposób odegrać się za wszystko, co łowcy książek wyrządzili jemu samemu i Kronusowi. Zwalczył jednak w sobie wszelką żądzę zemsty i zaczął mówić od początku:

– Gdy napadliście na folwark młyński – powiedział do Johannesesa – co zrobiliście wtedy z Kronusem? Zabiliście go, czy wywieźliście do waszej katowni, a może zrobiliście z nim jeszcze coś innego?

Muł wcisnął się między niego i kasztankę i zanurzył swój pysk w wodzie. Amos wstał i zrobił mu miejsce.

Johannes spojrzał w dół na przepływający z bulgotem potok, a jego usta drgały.

– To budzące grozę zawiniątko – powiedział w końcu. – Gdy przybyłem do folwarku, już je zawiązali. Wyglądało jak zwój dywanu lub coś w tym rodzaju, ale mnie się wydawało, że ktoś tam jest w środku. – Ciarki przeszły mu po plecach, zakrył twarz rękoma i milczał.

– A ten ktoś w tym zwiniętym dywanie – Amos miał wrażenie, jakby coś zginało mu gardło – czy był to Kronus?

Johannes spuścił ręce, najwyraźniej nie miał odwagi spojrzeć Amosowi w twarz.

– Musiałem pomóc przenieść go... to... to zawiniątko do wozu – mówił teraz tak cicho i tak się przy tym jękał, że Amos ledwo go rozumiał.

– I wtedy odniosłem wrażenie, jakby to zawiniątko... drżało i podrygiwało... w każdym razie wydawało mi się... że ktoś został w nim uwięziony.

– A co zrobiliście z nim później, wy przekłeci oprawcy? – Amos złapał Johannesesa za ramiona i zaczął nim potrząsać.

– *Zostaw go w spokoju.* – Klara popatrzyła na Amosa proszącym wzorkiem. – *I tak*

*nam powie wszystko, co wie.*

Odrzuciła się w stronę Johannesesa, opuściła powieki, a jej oczy zwięzły się do wąskich szparek – najwyraźniej zaklinała Johannesesa na drodze uczuciowej, by wyjawiał im wszystko, co się wtedy wydarzyło.

Pociągła twarz Johannesesa znów zadrżała. W końcu jednak przemógł się i już po chwili z jego ust potoczyły się słowa, jakby ogarnęła go fala wspomnień i jakby czuł wdzięczność, że może wreszcie powiedzieć to, co leży mu na sercu.

Wraz z Gregorem, jednym z opancerzonych łowców ksiązek, położył zawiniątko na samym spodzie żelaznego wozu, który przywieźli ze sobą z Norymbergii specjalnie na zamek Hohenstein. W podłodze tego żelaznego wozu, jak oznajmił Johannes, znajdowała się wnęka przypominająca w ogólnym zarysie trumnę. Włożyli zawiniątko do środka, zamknęli dziurę, zasuwając specjalną żelazną płytę i załadowali wóz aż po brzegi książkami i zwojami pism pochodzącymi ze zbiorów Kronusa. Z „diabelskiej biblioteki”, jak to wielokrotnie wykrzykiwał podcenzor Skythis.

Amos popatrzył na chłopaka z nienawiścią.

– Zabiliście go – powiedział. – Jeśli nawet żył wtedy jeszcze, to na pewno się udusił w tej przeklętej żelaznej dziurze!

Johannes tak gwałtownie pokręcił głową, że jego rzadkie włosy fruwały mu dookoła głowy niczym pajęczyna. Nie, wcale mu się tak nie wydawało, gorliwie oświadczył. W końcu wóz był zbudowany od góry do dołu z żelaznych krat, podobnie zresztą jak i więzienna dziura w jego podłodze. Uwięziony tam w dole człowiek ma wystarczająco powietrza, choć trzeba przyznać, że podczas jazdy strasznie musi nim potrząsać. Ale nie inaczej sprawa wygląda u góry, w wozie.

– Urowadzanie ludzi, palenie ksiązek, jak w ogóle można brać w czymś takim udział! – Amos znów ścisnął swoje dłonie w pięści. Zawrzało w nim ze złości i najchętniej sprawiłby Johannesowi potężne lanie. Wtedy odczułby choć trochę z tego strachu i bólu, które on musiał nosić w sobie, odkąd stracił Kronusa – swego duchowego ojca, najmądrzejszego, najbardziej obdarzonego fantazją, najbardziej opiekuńczego człowieka, jakiego napotkał w swoim życiu.

Johannes zwiesił głowę.

– Skythis zawsze powtarzał, że Kronus jest diabłem, Szatanem wcielonym. I że stworzył *Księgę duchów* po to, by sprowadzić ludzkość na manowce.

– A ty mu uwierzyłeś?

Johannes skinął jakby w konwulsjach.

– Na mnie samego też tak działała, bardzo się jej bałem, a mimo to nie mogłem myśleć o niczym innym. Chciałem za wszelką cenę posiadać *Księgę*, czytać ją wciąż na nowo, przy tym coraz bardziej mieszała mi w głowie. To był jakby przymus, jakby dopadł mnie jakiś zły urok.

Klara karmiła tymczasem kasztanek i muła zapasami owsa z chatki myśliwskiej.

– Musimy ruszać dalej – powiedziała. – Żołnierze już wkrótce natrafią na górze na wóz.

– Zaraz. – Amos kiwnął głową w jej stronę i znów obrócił się do Johannesesa. – Jeszcze nie odpowiedziałeś na moje pytanie: Dokąd zabraliście Kronusa, do więzienia inkwizycji w Norymberdze?

Johannes uniósł nieśmiało ramiona.

– Gregor miał go – to zawiniątko, wiesz, które – dostarczyć na plac Mariacki. Czy to uczynił, tego nie wiem, w końcu nie pojechałem z nim.

Zamiast tego pędził za Amosem przez połowę Smreczan, z powrozem zawiązanym wokół piersi, którego drugi koniec podcenzor Skythis owinął sobie dookoła nadgarstka niczym smycz.

– Ale być może... – Johannes wciągnął głowę jeszcze głębiej między ramiona – może w tym zawiniątku było coś innego, drewniana kukła lub kościotrup, czy jak się to nazywa. W każdym razie Skythis tak się kiedyś wyraził w mojej obecności, gdy ścigaliśmy ciebie przez las. Do dziś nie wiem jednak, czy mówił to serio. A może... – Znów się zająknął, a gdy mówił dalej, to był ledwie słyszalny. – A może wszystko mi się tylko przyśniło – że w zwoju dywanu jest jakiś wydrążony pień drzewa z wepchniętymi do środka ludzkimi kośćmi i trupią czaszką zatknietą na samej górze, który owinięto w szmacianą chustę.

Skrzyżował ręce na kościstej piersi. Najwyraźniej miał dreszcze, mimo że padały na nich promienie późnoletniego słońca.

– I że czarnoksiężnicy biorą takie drewniane kukły – wyszeptał Johannes – by wywoływać duchy piekieł, i że sami potrafią się zamienić w takie kościotrupy, jeśli nie widzą innej rady. W każdym razie Cellari w to wierzy... Tak powiedział wtedy Skythis... – Jego wargi poruszały się jeszcze przez kilka chwil, ale nie można było już niczego zrozumieć.

– Jeśli to wszystko ci się po prostu nie przyśniło – Amos popatrzył na niego rozwścieczony, jednak Johannes zdawał się w ogóle nie dostrzegać tego spojrzenia.

– *Daj spokój, przynajmniej na razie.* – Klara stanęła obok Amosa i wzięła jego prawą rękę w swoje drobne dłonie. – *Sądzę, że naprawdę powiedział wszystko, co wie o Kronusie.* – Uśmiechnęła się do niego czule. – *Poza tym musimy już ruszać dalej.*

– *Masz ragę. Jak często, zresztą.* – Amos odwzajemnił jej uśmiech, jednak było mu ciężko na sercu, tak bardzo obawiał się o Kronusa, a w żołądku wciąż jeszcze kipiał mu wrzący gniew.

– *Ruszajmy. Choć najchętniej pogruchotalbym kości temu przekłętemu chłopakowi.*

– *Rozumiem twój gniew i twój ból. Ale popatrz tylko na niego: on sam jest przecież całkiem skruszony, dlatego że dał się nakłonić do takich występków – a już wkrótce prawdopodobnie uda nam się go pozbyć.*

Wsiadła na kasztankę. Amos skoczył za nią na grzbiet konia. Również Johannes wspiął się ponownie na swoje zwierzę wierzchowe, które było tak śmiesznie małe, że powłóczył nogami po ziemi.

– Co masz na myśli – zapytał Amos – mówiąc, że już wkrótce się go pozbędziemy? – Objął ją rękami w talii i pochylił się do przodu, tak że jego wargi prawie dotykały jej lewego ucha. – Czyżbyś ostatnio potrafiła także zaglądać w przyszłość, moja wybranko?

– Nie, tego nie potrafię – odparła Klara, ostrożnie ruszając kasztanką po śliskiej ścieżce nad brzegiem – ale sądzę, że powinniśmy wysłać Johannesa do Norymbergii, żeby sprawdził, jak się miewają Kronus i matka Zofia.

Nad tym Amos musiał się najpierw zastanowić przez kilka chwil. Spojrzał przez ramię do tyłu – Johannes jechał spory kawałek za nimi i z pewnością nie słyszał, o czym właśnie rozmawiali. Potok górski po ich lewej stronie huczał i bulgotał, a Johannes – błagając – usiłował przekonać do współpracy muła, który tylko niechętnie posuwał się naprzód.

– Aż tak mu ufasz? – zapytał Amos.

– A jak inaczej się dowiemy, co się dzieje w więzieniu inkwizycji? – odpowiedziała Klara pytaniem na pytanie. – Przecież nie możemy tak po prostu czekać, aż zgłoszą się do nas matka Zofia lub Kronus. Nie, nie mamy wyboru – i tak, wydaje mi się, że możemy zaufać Johannesowi.

Przez chwilę jechali w milczeniu wzdłuż ścieżki na brzegu. Amos oddawał się gorączkowym rozmyśleniom. To, co Johannes powiedział wcześniej o drewnianej kukle lub kościotrupie, nie chciało mu wyjść z głowy. O tak, właśnie taką przerażającą rzecz widział w jednym z pokoi na poddaszu u Kronusa. Niewykluczone więc, że w zawiniątku czy w zwoju dywanu nie umieszczono samego Kronusa, lecz właśnie tę drewnianą kukłę. Amos dość dokładnie jeszcze pamiętał, jak wyglądał ów kościotrup u Kronusa, z przodu do trupiej czaszki była przytwierdzona kartka papieru lub skrawek płótna ze szkicem węglowym, który nie przedstawiał nikogo innego, jak tylko Kronusa.

Ściana skalna po drugiej stronie górskiego potoku wznosiła się coraz wyżej i coraz

bardziej stromo ku niebu. Tu i ówdzie Amosowi udawało się odkryć podobne do jaskiń jamy w skale – trzydzieści kroków lub więcej nad ziemią. Nawet człowiek tak wprawiony we wspinacze, jak on sam, miałby trudności z dotarciem do takiego schronienia. Jeśli jednak przebywało się już w środku takiej jaskini, to nie trzeba było się obawiać żadnych napastników.

Jego myśli powędrowały na powrót ku drewnianej kukle. Oczywiście nie wierzył tak zupełnie poważnie w to, że Kronus przemienił się w tę okropną rzecz, że jakimś sposobem przeniknął do niej swym duchem i swoją duszą. I nie chciało mu się też wierzyć, że Cellari obrabia rozżarzonymi obcęgami w swej piwnicy tortur puste drzewo, aby zmusić Kronusa, by znów stał się samym sobą – ale co innego miałyby oznaczać ten okropny przyrząd magiczny?

W końcu Klara i on sam niedawno zobaczyli coś bardzo podobnego. Uciekali przez trudną do pokonania puszcę w kierunku Bambergu, a tam byli świadkami, jak grzebano pewnego zmarłego mężczyznę zgodnie z prastarym pogańskim zwyczajem. Był to lalkarz Karol, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa sam również należał do Opus Spiritus. Karol zabrał ich ze sobą do „świętego gaju”, miejsca pogańskiego kultu, które w rzeczywistości zostało zniszczone już pół tysiąclecia wstecz przez chrześcijańskich rycerzy. Amos do dziś nie rozumiał, jak to było możliwe, ale Karol musiał posiadać potężne magiczne moce. Zaprowadził ich do tego miejsca – do „widzącego jeziora” na pogańskiej kopie, które to zdawało się jednocześnie należeć do odległej przeszłości i do dzisiejszej teraźniejszości. Tam też Karol błagał duchy, które w dawnych czasach były czczone w tym sanktuarium, by pozwoliły mu umrzeć. Załamany po śmierci żony, która została zabita przez inkwizycję, nie chciał już dłużej żyć. Duchy spełniły jego prośbę i następnego dnia strażnicy świętego gaju pochowali zwłoki Karola wedle prastarego pogańskiego obrządku.

Wszystko to było wystarczająco zagmatwane, a sprawy skomplikowały się dodatkowo przez owo „zawiniątko”, które łowcy ksiązek wywlekli z domu Kronusa. Jeśli bowiem zwłoki zostały pochowane zgodnie z pogańskim zwyczajem w wydrążonym drzewie i rozpadły się do kości – to wtedy zostawała z nich właśnie tylko taka drewniana kukła, którą zabrali ze sobą rzekomo łowcy ksiązek: pień drzewa z kośćmi w środku i z trupią czaszką wystającą u góry z wydrążonego pnia.

Amos otrząsnął się z odrętwienia. Dlaczego jednak Kronus przechowywał taką okropną rzecz w swoim domu? I dlaczego inkwizytor Cellari rzekomo wierzy w to, że Kronus przemienił się za pomocą jakiegoś diabelskiego czaru w tę rzecz z drewna i kości – i że w jakiś sposób może go zmusić, by znów stał się sobą? Już nieraz Amos słyszał opowieści o rytuałach „wypędzania diabła”: kapłani chrześcijańscy śpiewali i wznosili jakieś zaklęcia nad



godną pożałowania osobą, która rzekomo była opętana przez demony, i kontynuowali rytuał tak długo, aż piekielny duch się poddał i uciekł z ciała opętanego. I nie tak znowu rzadko zdarzało się, że osoba, z której przepędzono diabła, okazywała się martwa lub niespełna rozumu.

Tymczasem Amos sam ledwo wiedział, gdzie ma głowę. Czyżby to było możliwe, że Kronus przemienił się w sytuacji wielkiego zagrożenia w kościotrupa? A Cellari i jego oprawcy traktują go od tamtej pory kadzidłem i egzorcyzmami, by zmusić go do ponownego przemienienia się w ludzką postać? W końcu Amos też raz widział, jak Kronus rozmawiał wedle wszelkiego prawdopodobieństwa z jakimś duchem, który wyłonił się, migocząc, ze ściany w jego sypialni. I czy dla uczonego, takiego jak Kronus, który przeczytał wszystkie magiczne, mityczne i alchemiczne pisma na ziemi i zawarł ich esencję w swojej *Księdze duchów*, i dla tak potężnego maga, czy nie byłoby możliwe, żeby w razie konieczności zaczarował samego siebie w taki twór z drewna i kości?

Wreszcie z jego rozmyślań wyrwała go Klara.

– *Czuję, że jesteś zmartwiony i zatroskały* – powiedziała swym telepatycznym głosem.  
– *Czyżby to myśl o wysłaniu Johannaesa do Norymbergii tak bardzo cię trapiła?*

– *Myślałem o Kronusie* – odparł Amos – *i o tej okropnej drewnianej kukle, o której opowiadał Johannes.* – Urwał i ponownie pogрузzył się w rozmyślaniach na kilka chwil. – *Właściwie to masz rację* – powiedział później. – *Musimy się wreszcie dowiedzieć, czy matka Zofia i Kronus są w więzieniu inkwizycji, a Johannes może to dla nas ustalić. Zapytajmy go więc, co sam o tym myśli.*

Znów urwał i spojrzał do tyłu przez ramię. Muł Johannaesa stał jak wrośnięty w ziemię na skraju drogi i zajadał się z apetytem soczystą trawą na brzegu. Jakkolwiek by Johannes kłął i usiłował popędzić swojego „wierzchowca”, muł po prostu wyskubywał kolejną kępkę trawy i przeżuwał ją ze smakiem.

– Ale najpierw będziesz musiała go nauczyć, jak się ujeżdża muła – dodał Amos. – I czy nie powinniśmy też wyzwolić w nim wcześniej daru magii myśli, tak aby mógł nam przesyłać telepatycznie wiadomości, w czasie gdy będzie krążył po domu inkwizycji?

Klara odwróciła się w jego stronę tak bardzo, jak tylko to było możliwe, gdy siedzi się w siodle i jedzie wzdłuż wąskiej na dwie stopy ścieżki nad brzegiem rwącego potoku górskiego.

– Tak właśnie zrobimy, mój wybrańcu. A gdy Johannes będzie później w drodze do Norymbergii, my oboje będziemy mogli w końcu przeczytać trzecią opowieść.

Spojrzała na niego promiennym wzrokiem, a Amos po prostu nie mógł się

powstrzymać – jeszcze mocniej pochylił się do przodu i namiętnie pocałował ją w usta. Obojgu zaczęło się trochę kręcić w głowie od pocałunku oraz dlatego, że nie mieli w ogóle żadnego pojęcia, jakie magiczne zdolności wyzwoli w nich trzecia opowieść – o skale, co była oknem.

I dlatego też, że według Kronusa odtąd cieszyliby się zupełną swobodą w sprawach miłosnych.

## 4

WAŹWÓZ ZWEŻAŁ SIĘ coraz bardziej, potok i ścieżka wiły się dzikimi zakolami, przebijając się między ścianami skalnymi. Jednak wiele różnych odcisków stóp i butów w miękkiej ziemi przed nimi świadczyło o tym, że wciąż depczą po piętach dzikiej hordzie.

Poszli za kolejnym ostrym zakrętem w prawo, za którym ścieżka kończyła się przed gęstwą splecioną z krzaków, gałęzi i ciernistych pnączy. W pierwszej chwili Amos pomyślał, że jakiś wyrwany z korzeniami krzew ciernisty runął tu ze stromego zbocza, jednak już po chwili ujrzał obu rozbójników, którzy stali na czatach za zasiekami.

– Do tyłu, Klaro! Szybko, Johannesie! – zawołał, ale łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić. Na wąskiej ścieżce nad brzegiem nie mogli tak po prostu zawrócić swoich zwierząt wierzchowych, a zanim Johannesowi udało się nakłonić muła, by uczynił choć jeden krok do tyłu, obaj mężczyźni przebili się do nich przez krzaki i skierowali swoją broń w ich stronę.

– Złazić z bydła! – rozkazał straszny z nich, przysadzisty mężczyzna z łysą głową i długą, srebrzystą brodą. – I gadać mi tu od razu, czego tu szukacie.

Amos i Klara posłusznie ześlizgnęli się z kasztanki. Kilka kroków za nimi Johannes również zsiadł z trudem ze swojego muła.

– Was szukamy – powiedział Amos – ale nie obawiajcie się, przybywamy w pokojowych zamiarach.

– Mamy się obawiać z powodu dwóch młokosów i jednej dziewczyny? – Młodszy rozbójnik splunął przed nich. – Jeszcze czego! – Skołtuniona grzywa sięgała mu do ramion, a wierzchnie ubranie miał tak podarte, że wyzierała spod niego jego porośnięta czarnymi

włosami pierś.

Mimo dzikiego wyglądu obaj mężczyźni nie wzbudzali w Amosie strachu. Na zamku Hohenstein musiał mieszkać z o wiele bardziej dzikimi mężczyznami – z szajką zbójcejką jego stryja Heriberta, który zamienił zamek Hohenstein w gniazdo rycerzy rozbójników. Tymczasem ci dwaj mężczyźni tak niezgrabnie trzymali strzelby w swoich rękach, jakby jeszcze nigdy nie oddali z nich strzału – jednak Amos nie zamierzał ryzykować.

– Tym lepiej – powiedział Amos. – W takim razie zaprowadźcie nas teraz do waszego herszta. Mamy mu do przekazania ważną wiadomość.

Obaj mężczyźni wymienili się spojrzeniami.

– Nie ma u nas żadnego herszta – powiedział starszy – w końcu nie jesteśmy rozbójnikami.

– A mimo to napadliście wczoraj na powóz tam na górze, dlaczego?

Młodszy mężczyzna gwałtownie wysunął się naprzód i chwycił Amosa za kołnierz.

– Co ty o tym wiesz, chłopcze?

– Byłem z tyłu w wozie – wydusił z siebie Amos. – Do licha! Przestańcie już potrząsać mną jak workiem ze szmatami! – Chwycił za łapy mężczyzny i wyrwał się z jego uścisku. Coś upadło z cichym brzękiem na ziemię między nimi. Był to wilczook z amuletu, który Amos zawsze nosił ze sobą na szyi. Owalny, niebieski kamień potoczył się w dół skarpy, w stronę bulgocącego górskiego potoku.

I gdyby Amos nie rzucił się na ziemię i nie złapał go w ostatniej chwili, nurt porwałby kamień i uniósł ze sobą w dal, a wtedy wilczook przepadłby na zawsze.

Gdy Amos wstał z trudem z ziemi, ręce i kamizelkę miał poplamione błotem. Ale bynajmniej nie z tego powodu obaj mężczyźni z dziko zmierzwionymi brodami gapili się teraz na niego z konsternacją. Ich oczy były utkwione w amulet, który zsunął się spod kołnierza w czasie przepychanki. Był to jedynie prosty, srebrny drut, zgięty w trójkąt, jednak wraz z wilczookiem stanowił tajny znak rozpoznawczy Opus Spiritus.

Amos wsunął z powrotem niebieski owal do oprawy – wraz z naciętymi rowkami po węższych stronach kamień idealnie pasował do trójkąta. Matka Zofia przekazała kiedyś amulet Klarze, by ta mogła w razie konieczności udowodnić Amosowi, że rzeczywiście została posłana, by wraz z nim uratować *Księgę duchów*.

Także ci dwaj mężczyźni najwyraźniej wiedzieli, co oznacza ten znak. Najwidoczniej aż do tego momentu nie wiedzieli, kto znajdował się w wozie i z jakiego powodu napadli na powóz, by następnie rzucić się do ucieczki, gdy tylko w lesie ponad drogą rozległ się huk strzałów.

– Jak się nazywa wasz przywódca? – zapytał Amos.

– Zwie się brat Egbert. – Łysy mężczyzna przejechał sobie w zamyśleniu ręką po brodzie, która sięgała mu niemal do pępka. – Jesteśmy pobożnymi ludźmi, wszystko, co niegdyś posiadaliśmy, oddaliśmy potrzebującym. Od tamtej pory mieszkamy w lasach, by służyć dziełu Boga i być blisko jego dobrych duchów.

Amos rzucił ukradkiem spojrzenie w stronę Klary. Służyć dziełu Boga? Ten pobożny rozbójnik – czy za kogo chciał jeszcze uchodzić – najwidoczniej też miał nie po kolei w głowie.

– W takim razie zaprowadźcie nas teraz do brata Egberta – powiedział Amos. – To, co mam mu do powiedzenia, jest naprawdę bardzo ważne. – Zastanowił się, czy ma też wspomnieć o tym, że siedzą mu na karku purpurowi wojownicy, jednak na tym poprzestał. Najpierw musieli porozmawiać z tym całym bratem Egbertem, by dowiedzieć się, czy rzeczywiście mogą mu zaufać.

Młodszy mężczyzna ponownie splunął – tym razem w swoje ręce.

– W takim razie usuńmy ten zator – powiedział i zaczął już rozrywać ułożone w stos krzaki. – Hej, Leander – zawołał nagle – może byś mi pomógł, leniu?

W odpowiedzi usłyszał tylko głucho jęki, jednak po drugiej stronie przeszkody na ścieżce również ciągnięto już za korzenie i gałęzie. W mgnieniu oka usunięto to kłębówisko z drogi – gałęzie i kawałki korzeni poleciały do wody, a krzak ciernisty wylądował z powrotem na stromym zboczu, gdzie zaplątał się w gęstwinie. Z tyłu wyłoniła się dryblasowata postać, którą Amos rozpoznał od razu. W końcu na tego chłopaka natknął się już dwukrotnie i za każdym razem w mało przyjemnych okolicznościach.

Przed bramą miejską Pegnitz ten przekłety chłopak usiłował ukraść mu list, który Amos miał z polecenia Kronusa zawieźć do Norymbergii. Wczoraj podczas napadu na górze łąził po prętach wozu i gdy Amos próbował krzyknąć coś do niego przez knebel, ten bezczelny chłopak tylko się roześmiał.

– Twierdzicie więc, że nie jesteście rozbójnikami? – wyrzucił z siebie Amos. Rzucił się w stronę chłopaka o włosach w kolorze blond, którego twarz wykrzywiła się w grymasie ze zdziwienia raczej niż z przerażenia. – Ale w kradzieży masz mimo to dość wprawy, nieprawdaż? A to, jak leżałem tam wczoraj skuty kajdanami i zakneblowany, wydawało ci się śmieszne, nie? – Wymierzył mu cios w pierś tak, że chłopak aż się zatoczył. – W każdym razie – krzyczał Amos – nieco inaczej wyobrażałem sobie pobożnych ludzi, nie jako idiotów, takich jak ty, których bawi widok człowieka z kneblem w ustach, gdy nie potrafi on nawet wyrzucić z siebie żadnego zrozumiałego słowa!

Blondyn spochmurniał na twarzy. Otworzył usta, a z jego gardła wydobył się stłumiony bulgot. W pierwszej chwili Amos pomyślał, że chłopak ma jeszcze czelność małpować jego własne jęki, gdy usiłował coś wystękać przez knebel. Ale jednocześnie czuł, że tym razem chłopak się z niego nie naśmiewa. Ubiór miał jeszcze bardziej postrzępiony niż koszule jego dorosłych kompanów. I podobnie jak wówczas w Pegnitz cały był usmarowany błotem – miał brudne dłonie, ręce aż po łokcie, a nawet twarz. Wyglądał, jakby czołem i nosem próbował wryć się w jakąś wyrwę w błocie.

Łysy mężczyzna stanął między Amosem i drugim chłopakiem.

– Przestańcie się kłócić, chłopcy – powiedział. – Leander wcale z ciebie nie szydzi – rzekł, zwracając się w stronę Amosa. – On naprawdę nie może mówić. – Położył rękę na wąskich ramionach chłopaka, który miał na imię Leander. – Przed dwoma laty na jego oczach zabito mu ojca i matkę. Sam uszedł z życiem tylko dlatego, że schował się wtedy w wyrwie w ziemi. Tam też wyczekiwał w ukryciu przez wiele dni, a lęk, który musiał wtedy odczuwać, sprawił, że odebrało mu mowę. Ale rozum ma sprawny. Leander potrafi pisać i czytać prawie tak szybko, jak brat Egbert, a to nie lada osiągnięcie. Egbert jest byłym mnichem i spędził wiele lat w skryptorium i lektorium swojego klasztoru. – Zdjął rękę z ramion Leandra i odsunął się na bok. – A tak poza tym, to nazywam się Rolfus, a teraz podajcie sobie ręce na zgodę.

Prawą ręką Rolfus szarpał i ciągnął swoją srebrzystą brodę. W tym samym czasie uważnie się przyglądał, jak Leander i Amos podają sobie ręce. Następnie przywołał skinieniem także Klarę i Johannesę oraz młodszego mężczyznę, którego przedstawił jako „kamieniarza Waltera”.

Dopiero jak wszyscy się przywitani, Rolfus sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Teraz możemy ruszać dalej – powiedział. – Napijcie się szybko i nabierzcie wody, jeżeli macie w co. Tam w środku jest jej wprawdzie mnóstwo, ale nie radziłbym tego pić.

Mówiąc te słowa, popatrzył, ku wielkiemu zdziwieniu Amosa, w stronę ściany skalnej po drugiej stronie, która wydawała się wznosić na drugim brzegu potoku aż do nieba.

– Czyżby to oznaczało, że wasz brat Egbert mieszka w tej górze? – zapytała Klara.

Rolfus uśmiechnął się do niej.

– Niech to będzie niespodzianką, dziewczyno. – Zatarł ręce, jakby już teraz cieszył się, że niebawem ujrzy zdziwienie na jej twarzy.

Pieszko ruszyli dalej wzdłuż ścieżki górskiej. Rolfus szedł na samym przedzie, a Walter na końcu ich pochodu. Kamieniarz pomógł Johannesowi okiełznać jego niesfornego muła, a Klara dołączyła do starszego mężczyzny. Raz po raz próbowała wypytać Rolfusa o cel ich

wędrówki. Jednak nie udało jej się go skłonić do wyjawienia jakichkolwiek szczegółów.

– Musimy się spieszyć – powtarzał tylko raz za razem – jeszcze tylko kawałek drogi i zobaczycie, dokąd zmierzamy.

Amos usłyszał to tylko jednym uchem. Podążał w pewnej odległości za kasztanką, którą Klara ciągnęła za cugle, a obok niego szedł Leander. Jasnowłosy chłopak był trochę młodszy od Klary i od niego samego, miał może czternaście lat.

Leander patrzył na niego wyniośle. Oczy miał jasno, prawie wodniście zielone, a jego czupryna miała matowy, podchodzący pod żółty, odcień blondu. Także jego rysy twarzy sprawiały wrażenie ordynarnych i chłopskich. Z pewnością nie był podobny do Klary, choć z drugiej strony ludzi o zielonych oczach spotykało się w tej okolicy raczej rzadko.

– Gdzie to się stało? – zapytał Amos. – Mam na myśli to, co się przytrafiło twoim rodzicom?

Leander jął dziko gestykulować. Jedną ręką pokazał w kierunku północno-wschodnim, a drugą kreślił w powietrzu stromy, postrzępiony łańcuch górski. Jednak po chwili najwidoczniej zrozumiał, że w ten sposób niczego nie wyjaśni Amosowi. Dał mu do zrozumienia, żeby poczekał chwilę. Z tobołka przewieszzonego przez ramię wyciągnął małą tabliczkę łupkową – odłamek, jaki można znaleźć w wielu miejscach w Smerczanach na skraju drogi. Po czym wydobyl jeszcze kawałek kredy, wyszczerzył się do Amosa pewny swego i z zadziwiajączą zwinnością zaczął pisać na swojej tabliczce: „*Smreczany – odszyfrował Amos – czeska granica – skraj lasu – w nocy*”.

Amos jęknął w głębi ducha. Od razu się wszystkiego domyślił, gdy Rolfus wspomniał wcześniej, że rodzice Leandra zostali zabici. Do napadu musiało dojść gdzieś w pobliżu zamku Hohenstein.

– A co tam robiliście? – spytał ponownie. – Dlaczego w ogóle byłeś z rodzicami w drodze do Czech?

Leander popatrzył w stronę potoku, który rozszerzył się tymczasem w małą rzekę. Smutek i gniew zasepiły mu twarz i sprawiły, że nagle wydał się o wiele starszy. Szybko potarł rękawem koszuli po tabliczce i napisał: „*Ojciec felczer – ciągle w drodze – ale tym razem podczas ucieczki*”.

– Podczas ucieczki? – powtórzył Amos. Musiał się zmuszać, by w ogóle móc mówić dalej. Najchętniej zdławiłby w sobie następne pytanie i porozmawiał z Leandrem o czymś zupełnie innym. Ale musieli się w końcu dowiedzieć, czym tak naprawdę było Opus Spiritus, i dlatego nie mogli już przymykać oczu na ciemną stronę bractwa.

– Przed kim wtedy uciekaliście? – zapytał, a w ustach zrobiło mu się naraz sucho,

jakby nałykał się kurzu.

Chłopak wzruszył ramionami. Nie mam zielonego pojęcia, zdawał się mu sygnalizować i bynajmniej nie szykował się do zapisywania szczegółowej odpowiedzi.

W pierwszej chwili Amos poczuł niewypowiedzianą ulgę. Już całkiem dokładnie przewidywał, co Leander napisze w następnej kolejności na tabliczce: *przed nieznanymi mężczyznami, którzy chcieli mnie zabrać ze sobą*”, lub coś w tym rodzaju. Bo tak lub całkiem podobnie zdarzyło się w przypadku jego własnych rodziców, gdy sam był jeszcze małym chłopcem. Wtedy w ich domu pojawiło się od razu pół tuzina starszych panów o pełnym godności wyglądzie, którzy błagali ojca Amosa, by wydał swego syna bractwu. Ale matka Amosa wzbierała się przed tym. Płakała i lamentowała tak długo, aż jego ojciec stanął po jej stronie i wyprosił braci zakonu Opus Spiritus z domu.

Kilka lat później morderczy podpalacze napadli ich dom w nocy. Zabili rodziców Amosa i wszystko podpalili. W wieku dwunastu lat doprowadzono go jednak do Opus Spiritus, choć nawet we śnie nie przypuszczał wtedy – ani jeszcze nawet przed kilkoma tygodniami – że to tajemnicze bractwo w ogóle istnieje. Dopiero w ten straszny sierpniowy dzień, gdy purpurowi wojownicy Cellariego napadli na zamek Hohenstein, dopiero wtedy dowiedział się, że ten sam mężczyzna, który tego samego dnia uratował mu życie, trzy lata wcześniej zabił jego rodziców. I w obu przypadkach jego działaniami kierowała najwidoczniej ta sama pobudka – bractwo Opus Spiritus potrzebowało jego, Amosa von Hohenstein, by dopiąć swego celu. Cokolwiek miałyby być tym celem.

W każdym razie mężczyzna, który uratował mu życie i zabił jego rodziców, nazywał się Hótttsche Sorgass. Hótttsche był wielkim, postawnym człowiekiem i służył stryjowi Heribertowi na zamku Hohenstein jako herszt rozbójników. Ale stryj Heribert w równie niewielkim stopniu zdawał sobie sprawę, że Hótttsche jednocześnie służył bractwu Opus Spiritus.

Wprawdzie wciąż jeszcze było możliwe, że Amos wszystko to sobie tylko uroił, a Hótttsche nie był winien śmierci rodziców Leandra. Możliwe, powiedział sobie, ale w głębi serca wyraźnie czuł, że sprawy miały się inaczej.

– Moi rodzice zostali zabici w podobny sposób – powiedział do Leandra – a było to prawie trzy lata temu. Mieszkaliśmy wtedy w naszym dworcu nieopodal Wunsiedel – całkiem niedaleko czeskiej granicy, gdzie zostaliście napadnięci.

Leander spojrział na niego z góry, jak to widocznie miewał w zwyczaju. Uniósł tabliczkę i w mig coś na niej napisał. „*Nasze czaty – czytał Amos – dużo głodu i zamieszek*”.

Także Conntz Rabensteiner, urzędnik Kirchenlamnitz, zawsze twierdził, że rodziców

Amosa zabili włóczący się po okolicy buntownicy. Ale Amos był jednak lepiej poinformowany w tej kwestii.

Przez dłuższy czas Leander i on szli w milczeniu obok siebie. Po ich lewej stronie spokojnie przepływał szemrający potok, a koryto rzeki zdawało się w pewnych miejscach nieść ze sobą więcej otoczków niż wody. Idąca przodem Klara wciąż jeszcze usiłowała wypytać Rolfusa o brata Egberta i jego „pobożnych ludzi”, a ten łysy mężczyzna nadal nie dawał z siebie niczego wyciągnąć.

– Będziesz się dziwić – mówił tylko. Lub: – Jeszcze pół godziny i wszystko zobaczycie.

Amos rzucił spojrzenie do tyłu. Johannes człapał w milczeniu obok kamieniarza Waltera. Ten mocno zbudowany mężczyzna, z grzywą sięgającą do ramion, bez większego wysiłku ciągnął za sobą muła. Tymczasem Johannes był już tak osłabiony, że raczej zataczał się, niż szedł prosto. Ale miał nadzieję, że ten chudy, kościsty chłopak jeszcze wytrzyma te pół godziny. A po Meinolfie i purpurowych wojownikach, jak okiem sięgnąć, nie było na szczęście śladu.

– Być może to ci sami mordercy – powiedział Amos do Leandra – mają na sumieniu twoich i moich rodziców?

Spojrzenie, które Leander rzucił mu tym razem, wydało się Amosowi pełne zdziwienia i oczekiwań. Chłopak uniósł swoją tabliczkę, potarł po niej szybko i napisał: *Widziałeś ich?*

Amos kiwnął głową.

– Nie tej nocy, gdy podpalili nasz dom. Ale mężczyzna, który dowodził tą zgrają, dopiero niedawno wszystko mi wyjawiał. Nazywa się Hóttische, jest... Jest olbrzymi, ma długie czarne włosy i czarną brodę. Czy go rozpoznajesz?

Chłopak uważnie wysłuchał tego opisu. Jednak gdy Amos teraz milczał, uniósł tylko nieco ramiona i zaraz je opuścił. *„Było ciemno, napisał, widziałem tylko cienie, żadnych twarzy”*.

– A był przy tym taki olbrzymi mężczyzna?

Leander skinął głową i ponownie spojrzał na niego wzrokiem pełnym nadziei. Zamyślony odwzajemnił jego spojrzenie, zastanawiając się przy tym, jak mógłby dokładniej opisać Hóttischego. Nie miało sensu, żeby podkreślał teraz bliźnię w kształcie litery „X” na czole herszta rozbójników. Usilnie przywoływał w pamięci wygląd Hóttischego, próbował sobie przypomnieć każdy szczegół – jego gromki śmiech i niedźwiedzi chód. Tymczasem Leander patrzył na niego nieruchomym wzorkiem i naraz jego oczy pociemniały tak, jak



czasem oczy Klary.

Były ciemne od strachu i czarne ze smutku.

– Co się dzieje? – zapytał Amos. – Co ci jest, Leandrze?

I jeszcze w czasie gdy Leander patrzył na niego nieruchomym wzorkiem, i gdy później zaczął pisać, przebierając palcami, Amos zrozumiał, co się z nim stało. Podobną rzecz przeżył już raz w Bambergu, przed bramą zamku biskupiego, gdy usiłował wyjaśnić młodemu malarzowi Hansowi Wolfowi jakąś zawiłą sytuację. Usilnie próbował sobie wszystko uprzytomnić i jednocześnie patrzył zaklinająco na swego rozmówcę – i w tej samej chwili ten drugi ujrzał przed swymi oczami wszystko to, co Amos chciał mu dopiero opisać.

Leander wyciągnął w jego stronę kawałek łupku z chaotycznie nabazgranymi zapiskami. „*To ten mężczyzna, czytał Amos, on i dwóch innych wymyślali moim rodzicom*”. Leander ledwie dał mu czas na przeczytanie tych słów i już po chwili starł wszystko, by pokryć tabliczkę kolejną wiadomością. *Znalazłem oboje zabitych odłamkami skalnymi, gdy wyczołgałem się z mojej kryjówki*”.

Amos pospiesznie odwrócił wzrok. Chłopak nie powinien zobaczyć łez, które nagle zaczęły go palić w oczach. Hóttische i dwóch innych mężczyzn – oznaczało to, że i tego napadu na pewno nie dokonał z rozkazu stryja Heriberta. Stryj zawsze wyruszał z całą zgrają swoich rozbójników, dwoma tuzinami zaprawionych w boju kompanów, a ci – ma się rozumieć – nie napadli na żadnych fleczerów ani innych golców, przy których nie można było znaleźć niczego poza kilkoma miedzianymi monetami.

Nie, wszystko wskazywało na to, że Hóttische i tego napadu dokonał na własną rękę. Lub raczej na zlecenie bractwa. Podobnie zresztą jak rok wcześniej dopuścił się morderczego zamachu, w którym zginęli rodzice Amosa.

Ukradkiem przetarł sobie oczy, zanim znów spojrzął w stronę Leandra. Chłopak również wydawał się dość poruszony swoimi wspomnieniami. Nie miał jednak pojęcia, co to znaczyło, że rodzice ich obydwóch zostali uśmierceni przez tego samego mężczyznę.

RZEKA ZAKREŚLIŁA kolejne ostre zakole, a zaraz za nim Rolfus zatrzymał się i odwrócił.

– Szybko w bród – rzekł, wskazując w dół na rzekę po jego prawej stronie – jeden za drugim!

Rzucił spojrzenie w stronę Waltera, a ten skinął głową. Obaj sprawiali wrażenie zaniepokojonych i nad wyraz skupionych. Kamieniarz trzymał jedną ręką muła za lejce, a drugą podtrzymywał Johannes. Były pomocnik podcenzora wydawał się tymczasem tak osłabiony, że ledwo mógł się utrzymać na nogach. To zaniepokojenie, Amos czuł to całkiem wyraźnie, wywołał Johannes. Najwidoczniej jego dobre uszy wyczuły, że purpurowi wojownicy ich wytropili i depczą im po piętach. Amos znów zobaczył oczyma duszy, jak gnali konno w dół trudnego do pokonania zbocza – na samym przedzie oficer z promiennym uśmiechem na twarzy, a całkiem z tyłu Meinolf, którego policzki płonęły przedsmakiem ponurej radości.

Jeden za drugim brodzili przez rzekę, tak jak rozkazał Rolfus. On sam kroczył na przedzie, a za nim Klara, która wskoczyła na siodło i z trudem kierowała kasztanek na drugi brzeg. Woda ledwo sięgała w tym miejscu kolan i zdawało się, że przepływa tutaj spokojnie.

Amos podwinął nogawki, a na plecy zarzucił sobie związane buty. Na wszelki wypadek wyjął *Księgę duchów* z wewnętrznej kieszeni kamizelki i trzymał ją, niczym chorągiew, wysoko nad głową, wchodząc do rzeki, jakby szedł na szczydach. Woda była niespodziewanie zimna i szarpała go za kostki, a raz nawet poślizgnął się na śliskich kamykach i prawie stracił równowagę. Ale udało mu się zapanować nad sytuacją i już w następnej chwili wspinał się na skarpę nad brzegiem, którą tutaj, po drugiej stronie, tworzyła naga skała. Rolfus wyciągnął ku niemu rękę. Amos dał się wciągnąć na wąski gzyms skalny, ciągnący się po tej stronie między rzeką a górą. Tuż za nim na skarpę wspinał się Leander. Amos zauważył spojrzenie chłopaka i szybko do kieszeni w kamizelce wsunął oprawioną w czarną skórę książeczkę. A może powinien był jednak zostawić ją w ukryciu? W końcu Leander był przebiegłym kieszonkowcem, o którego zręczności Amos mógł się już przekonać na własnej skórze. Musiał jednak zapobiec sytuacji, w której ta drogocenna książka byłaby narażona na jeszcze większe uszkodzenia, a mogłaby nawet rozmoknąć, gdyby nurt powalił go z nóg.

Prowadzony na krótkich cuglach przez kamieniarza Waltera, na drugi brzeg dotarli także bez większych problemów Johannes i jego muł.

– Prędko! – wymamrotał Johannes. – Nie słyszycie? Oni są już tutaj na dole w wąwozie. – Oczy miał ściągnięte w wąskie szparki, a jego twarz była jeszcze bledsza niż

zazwyczaj i pokryta potem. Najwidoczniej był już u kresu sił.

Prowadzeni przez Rolfusa, pospieszyli jeszcze kilkadziesiąt metrów wzdłuż gzymsu. W ścianie skalnej po ich lewej stronie Amos zauważył pionową szczelinę, która była wystarczająco szeroka, by mógł przez nią przejść dorosły mężczyzna bez możliwości utknięcia. Za nią znajdował się korytarz skalny, który prowadził, nie wiadomo jak daleko, w głąb góry. Jednak – ku jego zdumieniu – Rolfus w ogóle nie zwrócił uwagi na ten otwór. Mknął dalej po ścieżce nad brzegiem, mijając przy tym co najmniej dziesięć podobnych wejść po lewej stronie, aż nagle zniknął w jakiejś szczelinie skalnej.

Klara rzuciła spojrzenie przez ramię do tyłu.

– *Czuję, że musimy mu zaufać* – powiedziała. – *Czy tobie też się tak wydaje?*

Amos kiwnął głową w jej stronę. Nie był tego tak pewien, jak Klara, ale tak czy owak nie mieli wyboru. Nie zsiadając z siodła, Klara pokierowała kasztankę przez wąski otwór do środka. Szczelina była wystarczająco wysoka, tak więc nie uderzyła przy tym głową. Amos jeszcze raz rzucił za siebie szybkie spojrzenie, ale nie dojrzał jeszcze nawet najbardziej nikłego połysku. I zrozumiał teraz, dlaczego wczoraj ta całkiem dzika – a może też pobożna – gromadka uciekała w takim popłochu z góry w dół. Ścieżkę górską tworzyła tutaj goła skała i dlatego po tej stronie rzeki nie zostawiali po sobie żadnych śladów stóp czy kopyt. Wprawdzie ewentualni prześladowcy łatwo zorientowaliby się, że przeprawili się przez rzekę w płytkim miejscu. Jednak tego, w jakim kierunku zwrócili się po tej stronie rzeki i przez którą spośród licznych szczelin przedostali się do środka góry, ich siepacze mogli się dowiedzieć co najwyżej, wypróbowując na chybił trafił różne wejścia.

Jednak wszystko to dotyczyło wyłącznie sytuacji, w której uciekającym udało się dotrzeć aż do wnętrza góry, zanim ich prześladowcy zbliżyliby się do nich.

Leander położył Amosowi swoje ręce na ramiona i wsunął go przez otwór do środka skały. Amos pospieszył, by dogonić Klarę, tak aby także reszta ich małego oddziału mogła wślizgnąć się do góry.

– A teraz ani słowa. – Dobiegł go za plecami szept Waltera. – Gdy będziemy już jakąś milę w głębi skały, wtedy nikt tam na zewnątrz nie będzie mógł nas usłyszeć.

Milę w głębi skały? Amos zastanawiał się nad tymi słowami ze zdziwieniem, podążając za Rolfusem i Klarą lekko spadzistym korytarzem w głąb góry. Ale już po kilku krokach znów się zatrzymał i przywarł plecami do chropowatej ściany skalnej. Dał znak Walterowi, a kamieniarz poprowadził muła z Johannesem na grzbiecie obok niego.

W skroniach znów poczuł znajomy szum, a zaraz potem ssanie w żołądku. To Klara nawiązywała z nim magiczną łączność.

– *Wciąż jeszcze mu nie ufasz, nieprawdaż?*

– *Nie chcą po prostu niepotrzebnie ryzykować* – powiedział Amos, bagatelizując. Ale Klara miała oczywiście rację – nadal nie darzył Johannes zaufaniem. A ponieważ Johannes miał zdolność wyczuwania *Księgi duchów* na dowolną odległość, w żadnym razie nie mogli ryzykować, że znów znajdzie się pod wpływem Meinolfa i purpurowych wojowników. I nieważne, czy celowo stanąłby po stronie ich wrogów, czy też zapodziałby się im w jakiś inny sposób.

Mężczyźni owinęli kopyta kasztanki i muła kawałkami płótna i ich mały pochód ruszył ponownie. Leander znów przyłączył się do Amosa i szli tak razem, maszerując ramię w ramię w głąb góry. W pewnym momencie Rolfus i Walter zapalili pochodnie, jednak w migocącym blasku światła znów popatrzyli na wszystkich błagalnie, z palcem na ustach. Najwidoczniej wciąż jeszcze można ich było usłyszeć na zewnątrz nad rzeką.

Co kilkadziesiąt kroków od ich korytarza odgałęziały się kolejne tunele, a wszystkie wyglądały zupełnie podobnie. Dla Amosa pozostawało zagadką, w jaki sposób Rolfus orientował się tu wewnątrz skały. I jak długo już wędrowali w tej górze? Już dawno stracił poczucie czasu. Cienie Leandra i jego samego poruszały się przed nimi, drgając na ścianach. Posuwali się naprzód, jakby błądzili we śnie. Skały dokoła nich były śliskie od wilgoci i pokryte mchem. Nieustannie kapłała woda, a uderzenia kropli odbijały się jednostajnym echem.

W pierwszej opowieści z *Księgi duchów* rycerz Wawrzyniec całkiem podobnie wjechał konno w głąb góry. Ale tutaj wszystko było prawdziwe, skała nie była wytworem fantazji – nie można jej było przemierzyć za pomocą magicznej wyobraźni. Potwierdzeniem realności tej chwili było to, że nogi Amosa stawały się stopniowo coraz cięższe. Także powietrze było coraz chłodniejsze i mimo że miał na sobie kamizelkę ze skóry jagnięcej z bamberskiej gospody, zaczął się trząść z zimna.

W końcu Rolfus pomachał swoją pochodnią i zawołał półgłosem przez ramię:

– *Znów można rozmawiać! Ale tylko po cichu.*

Z niemym Leandrem Amos i tak nie mógł rozmawiać, ani krzyżąc, ani szeptem, a Leander nie mógł pisać na swej łupkowej tabliczce, bo mimo pochodni było za ciemno. Poza tym ponurość tego miejsca i jednostajne kapanie kropli działały tak usypiająco, że wszyscy i tak milczeli. Byli otoczeni tysiącami sążni gołej skały, i już sama myśl o tym miała w sobie dla Amosa coś przygnębiającego, jeśli nawet ta ogromna masa skalna zapewniała im ochronę.

Tymczasem Johannes leżał osunięty głową naprzód na swoim mule i już dawno runąłby nędznie na ziemię, gdyby kamieniarz nie przytrzymał go mocnym chwytem w

siodle. Od czasu do czasu unosił głowę i za każdym razem Klara odwracała się w jego stronę i uśmiechała się do niego zachęcająco. Najwidoczniej znajdowała się z nim w ciągłej łączności poprzez magię serca i również podtrzymywała go w ten sposób.

Musimy się go pozbyć, pomyślał Amos, i to jak najszybciej.

W pewnej chwili odezwała się do niego Klara.

– *Zaraz będziemy na miejscu, tak mówi Rolfus.*

– *Zaraz będziemy gdzie?* – zapytał Amos, próbując uzyskać dodatkowe informacje.

– *W jaskini diabła* – odpowiedział telepatycznie jakiś niski, niewątpliwie męski głos, którego Amos jeszcze nigdy wcześniej nie słyszał. – *Ja wolę jednak używać (wcześniejsze) nazwy tego wspaniałego miejsca: sala duchów.*

– *Kto to powiedział?*

Podążyli za ostrym zakrętem w lewo, a tuż za nim ich oczom ukazała się jaskinia o imponujących rozmiarach. Koń Klary zatrzymał się w wejściu do „sali duchów” i stał tam tak nieruchomo, jakby nagle zamienił się w kamień. Rolfus odszedł na bok, a Amos wsunął się obok kasztanki i również zastygł w bezruchu jak zaczarowany. Była to olbrzymia katedra skalna, z dziwaczными kolumnami, grubymi płaskorzeźbami ściennymi i wysoko piętrzącymi się ołtarzami, których górne zakończenia ginęły w mroku. Oświetlone niezliczoną liczbą pochodni, wszystko w środku błyszczało i połyskiwało, jakby było zbudowane z kryształków lodu. Jednocześnie w całej tej olbrzymiej jaskini rozbrzmiewały i odbijały się echem nieustające uderzenia setek tysięcy kropli.

Jaskinia stalaktytowa, pomyślał Amos, w czasie gdy z cokołu skalnego pośrodku „sali duchów” uniół się rosły mężczyzna. Jego włosy były siwe i opadały mu aż do ramion. Miał na sobie poszarpany, sięgający prawie do kostek habit, a jego pociągła twarz była poorana głębokimi zmarszczkami. Wspierając się na sękatym kijku, podszedł do nich, i mimo słabego światła Amos od razu go rozpoznał.

Był to ten sam kaznodzieja, który otoczył jego samego i eskortujących go żołnierzy, wtedy pod Pegnitz, wraz z całą zgrają dzikich ludzi. Dokładnie tym samym kijem wędrownym wskazał na Amosa i wykrzyknął: „Czyńcie pokutę! Bliski jest koniec świata!”.

– Jam jest brat Egbert – powiedział teraz i podał Klarze swoją rękę, by pomóc jej zejść z siodła. – *Wybaczcie mi, proszę, że wmieszałem się w waszą rozmowę* – dodał na drodze telepatii i skinął głową w stronę Amosa, przyjaźnie się przy tym uśmiechając – *ale po prostu nie mogłem się oprzeć. Niestety rzadko nadarza mi się okazja do rozmowy w ten sposób.*

Amos patrzył na brata Egebarta wyczekującym wzrokiem. Wtedy pod Pegnitz ten chudy kaznodzieja gapił się na niego ponuro. Tymczasem tym razem wydawał mu się taki

spokojny, ba, nawet wesoły.

– Nazywam się Amos von Hohenstein – powiedział i podał staremu mężczyźnie swoją dłoń.

Egbert ujął ją i przytrzymał. W jego uśmiechu zdawało się teraz wyczuwać wręcz podniosłe skupienie.

– Valentin wiele mi o tobie opowiadał – powiedział. Po jego twarzy przemknął cień. – Bardzo brakuje mi rozmów z moim starym przyjacielem. Z Valentinem mogłem debatować całymi godzinami, choć nie zawsze się we wszystkim zgadzaliśmy – dodał.

– A więc i wy nie macie już z nim żadnej łączności, odkąd inkwi...

– *Uważaj.* – Egbert wpadł mu w słowo na drodze telepatii.

– *Poza mną nikt tutaj nie jest wtajemniczony w istotę sprawy.* – Wypuścił rękę Amosa i wskazał na tłum ludzi, którzy zebrali się tymczasem wokół skalnego cokołu pośrodku jaskini. Najwyraźniej była to ta sama „dzika horda”, która napadła wczoraj na powóz – cztery tuziny ludzi, mężczyźni i kobiety, większość w średnim lub młodym wieku. Teraz Amos zauważył także kilkoro dzieci, które nosiły poszarpane ubrania i wyglądały tak mizernie, jakby tylko sporadycznie najadały się do syta.

– Nie – ciągnął dalej półgłosem brat Egbert. – Kontakt z nim się urwał. Przez całe dziesięciolecia przynajmniej raz w tygodniu rozmawialiśmy ze sobą w duchowy sposób – lub na sposób aniołów, jak wcześniej zwykliśmy nazywać sztukę prowadzenia rozmowy w myślach. Ale co cię tak dziwi?

Chudy starzec popatrzył na niego wielkimi oczami, ale to nie słowa Egberta wprawiły Amosa w tak wielkie zdumienie. Od Kronusa też usłyszał, że będzie „trochę jak anioły”, gdy już przeczyta *Księgę duchów* i ją w siebie wchłonie.

– Wasz krzyż, panie, wybaczenie – powiedział i wskazał na krucyfiks, który Egbert nosił zawieszony na szyi na zwykłym sznurze z konopi. – Czy mogę rzucić okiem?

– Obejrzyj go sobie w spokoju. – Egbert podszedł do niego bliżej, a Amos z radosnym zdumieniem oglądał oba symbole zdobiące drewniany krzyż.

Dokładnie w tym miejscu, gdzie łączyły się ze sobą obie belki, widniało szeroko otwarte oko, niebieskie niczym promienne letnie niebo, i oprawione w trójkąt z delikatnych, srebrnych chmur. A nad nim unosił się zwój książki, którego pieczęcie były częściowo otwarte, tak że zdawała się rozwijać. Gdy się dokładnie przyjrzało, we wnętrzu zwoju można było dostrzec pojedyncze znaki, ale co one miały właściwie przedstawiać: czy były to litery, czy też może zarysy ptaków lecących wysoko na niebie, tego nie można było ustalić.

Amos cofnął się nieco i pochylił lekko głowę.

– Dziękuję wam, panie. Chyba możecie sobie wyobrazić, jak wielkim było dla mnie zaskoczeniem móc ujrzeć te symbole na waszym krucyfiksie. Jeszcze przed chwilą sądziłem, że oba znajdują się razem tylko w tajnym herbie rodu Hohenstein.

Brat Egbert kiwnął głową i się uśmiechnął.

– To symbole Boga, jego duchów i jego stworzenia. Pobożny rycerz może je nosić w swoim herbie, podobnie jak wiarołomny mnich na swoim krzyżu.

W czasie gdy Amos zastanawiał się jeszcze, co powinien odpowiedzieć na te zagadkowe słowa, brat Egbert przywołał skinieniem kilku swoich ludzi.

– Pokażcie naszym młodym gościom, gdzie mogą się urządzić, najlepiej w małym pokoiku skalnym tuż za salą duchów. Przynieście wszystko, czego będą potrzebowali, by było im wygodnie. – Wsunął sobie sękacz za pas i stanął między Amosem a Klarą. Znak oka na jego krucyfiksie rozbłysnął w świetle wielu różnych pochodni, gdy położył im swoje ręce na ramieniu i wykrzyknął:

– Bo wiedzcie, moi przyjaciele: tych dwoje ryzykowało życie, by uchronić tajemnice duchów przed zniszczeniem. Dlatego też możemy wciąż żywić nadzieję i wierzyć, że już wkrótce zostaniemy wybawieni z piekielnej niewoli, do której wtrącił nas Szatan wcielony zasiadający na tronie papieża całego chrześcijaństwa.

Amos i Klara jeszcze raz wymienili się zdziwionymi spojrzeniami. W oczach Cellariego i Skythisa *Księga duchów* była dziełem z piekła rodem, stworzonym przez diabła Kronusa, a inkwizytorzy i łowcy ksiązek w imię Boże prowadzili rozpaczliwą walkę z domniemanym szatańskim bractwem. Jednak z punktu widzenia brata Egberta sprawy miały się dokładnie na odwrót. Ale Amos czuł, że ani jedna, ani druga strona nie mogły mieć w pełni racji. Tacy członkowie zakonu, jak Kronus, matka Zofia i chyba także brat Egbert, na pewno przyłączyli się do bractwa z pobudek filantropijnych. Ale co się tyczyło na przykład czarodzieja Fausta, czy nawet tych braci zakonu, którzy zlecili zabójstwo rodziców jego i Klary oraz Leandra, to ci najwidoczniej dążyli do osiągnięcia innych celów. Tylko o jakie cele mogło chodzić, wciąż pozostawało dla Amosa niejasne i tajemnicze.

PÓŹNIEJ TEGO SAMEGO DNIA, po tym jak się nieco posilili i odświeżyli, Amos, Klara i Johannes wzięli udział w „nabożeństwie” – tak mianowicie nazywała się uroczysta ceremonia, którą brat Egbert odprawił ku czci „dobrych duchów Boga”.

Uroczystość ta absolutnie nie przypominała mszy świętej, takiej, jaką celebrują katolicy kapłani. Nie paliło się żadne kadzidło, nikt też nie recytował monotoniem w większym lub mniejszym stopniu zrozumiałych fragmentów modlitw i litanii, a przede wszystkim nie było żadnych kapłanów. I choć brat Egbert z pewnością cieszył się wśród swoich ludzi największą czcią, w tym nabożeństwie wziął udział jako zwykły członek wspólnoty. Ludzie czytali kolejno ustępy z Pisma Świętego, które najwidoczniej – ku zaskoczeniu Amosa – przetłumaczyli na niemiecki. Podczas odprawiania mszy katolickiej przesłanie Biblii głoszone zawsze wyłącznie po łacinie, tak że większość osób uczestniczących we mszy mogła raczej zrozumieć niewiele.

Klara i Amos, zmęczeni zmęczeniem po ich pełnej przygodzie ucieczce, a jeszcze bardziej tyłoma różnymi nowymi wrażeniami, zachowali w pamięci jedynie strzępki tej ceremonii. Ci wysocy i chudzi, obdarci ludzie wydawali się Amosowi niczym pierwsi chrześcijanie, którzy półtora tysiąca lat wcześniej zbierali się w rzymskich katakumbach, narażając się przy tym na śmiertelne niebezpieczeństwo. Naznaczeni głodem i wyczerpaniem, a jednak z promiennym uśmiechem na twarzy i błyszczącymi oczami stali tak i siedzieli w ogromnej katedrze skalnej, śpiewając pieśni ku czci dobrych duchów, które Bóg posłał, by stworzyli i ochroniali ziemski świat. Później jeden z nich wstał, pogładził się po swej zapuszczonej brodzie i przeczytał na głos kilka fragmentów z przetłumaczonej na niemiecki Biblii:

– *Az tronu wychodzą błyskawice i głosy, i gromy, i płonie przed tronem siedem lamp ognistych, które są siedmiu Duchami Boga<sup>1</sup>.*

Siedmiu duchami Boga? Zdumieni Amos i Klara popatrzyli po sobie. A więc duchy występowały także w Piśmie Świętym chrześcijan, a nawet pełnią tam funkcję najbliższych powierników Boga! Ale dlaczego w takim razie inkwizytor i cenzor potępiają i ścigają *Księgę duchów* jako domniemane diabelskie dzieło?

*Ci pobożni ludzie czytali podczas nabożeństwa fragmenty Biblii mówiące o wielu różnych, potężnych, doprawdy wzbudzających strach duchach, na przykład: „(...) a w środku tronu i dokoła tronu cztery istoty duchowe (...) a każda z nich ma po sześć skrzydeł, dokoła i wewnątrz pełne są oczu, i nie mają spoczynku, oddając Temu, który zasiada na tronie,*

---

<sup>1</sup> Ap 4,5, cyt. za: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Pallottinum, Poznań 1980. (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).



*żyjącemu na wieki wieków, chwałę, cześć i dziękczynienie*''<sup>2</sup>.

Johannes Mergelin przykucnął obok Klary na skalnym gzymsie, ale z nabożeństwa nie dotarło do niego kompletnie nic. Głowę miał wspartą o jeden ze stalaktytów, kolumnę z wapienia naciekowego, która – poskręcana niczym muszla morska – zwisała ze stropu sali duchów, a jego oczy były szczelnie zamknięte. I nie usłyszał także tego, co przeczytała w pewnym momencie podczas ceremonii pewna młoda kobieta, należąca do wspólnoty duchowej. Przedstawiła – zgodnie z wizją nowotestamentowego proroka Jana – jak będzie wyglądał koniec świata. Była to ponura i zawiła opowieść, w której katastrofa goniła katastrofę. Amosowi jedno zdanie wyryło się głęboko w pamięć:

– *Niebo zostało usunięte, jak księga, którą się zwija*<sup>3</sup>. – przeczytała młoda kobieta, a wtedy Amos popatrzył w stronę brata Egberta, który siedział w odległości kilku kroków na skalnym cokole. Stary mężczyzna skinął z poważną miną w jego stronę i palcem wskazującym dotknął krzyżyka na swojej piersi.

– Bo cały ten ziemski świat nie jest niczym innym, jak tylko księgą – wykrzyknął ktoś spośród zgromadzonych wiernych. – Księgą, którą Bóg napisał z pomocą Swoich duchów, i wszystko, co otacza nas, Jego stworzenia, w sposób rzeczywisty i namacalny, dla Niego i dla Jego duchów to tylko litery, słowa, zdania w księdze stworzenia.

– O, Panie – zawołali teraz wszyscy jak jeden mąż – oświeć nas, abyśmy nauczyli się czytać nas samych i naszych bliźnich! Ześlij nam Twe duchy, żeby obdarowały nas mądrością, bo tylko tak będziemy potrafili zrozumieć, co zapisałeś na nasz temat w Twej księdze stworzenia.

Amos i Klara wciąż jeszcze wymieniali się spojrzeniami wyrażającymi zdumienie. To, co tam słyszeli, bardzo ich dziwiło. Czuli jednak wyraźnie, że byli w tamtych chwilach bliźni zglębienia tajemnicy *Opus Spiritus i Księgi duchów*. Zwłaszcza, że na sam koniec tego nabożeństwa odprawianego ku czci duchów znów była mowa o jakiejś księdze – o księdze, która być może stanowiła pierwotną wersję *Księgi duchów*. Brat Egbert, który do tej pory tylko uważnie się przysłuchiwał, podniósł się ze swego skalnego siedzenia. I mimo że w czasie gdy przemawiał, odwracał się na różne strony i tylko od czasu do czasu rzucał spojrzenie w stronę Amosa i Klary, oboje czuli wyraźnie, że jego słowa są skierowane głównie do nich.

– W Piśmie Świętym czytamy, że dawno temu z nieba zstąpił pewien anioł – zawołał, a jego głos odbił się echem od ścian tej potężnej skalnej katedry – *a oblicze jego było jak*

---

<sup>2</sup> Tekst odbiega od oryginalnego fragmentu Ap 4,6: „(...) a w środku tronu i dookoła tronu cztery Zwierzęta pełne oczu (...) i nie mają spoczynku, mówiąc dniem i nocą: Święty, Święty, Święty (...)”.

<sup>3</sup> Ap 6,14.

*słońce, a nogi jego jak słupy ogniste, i w prawej ręce miał otwartą książeczkę – ciągnął dalej Egbert, spoglądając jakby przypadkiem w stronę Amosa i Klary. – Nogę prawą postawił na morzu, a lewą na ziemi. I zawołał donośnym głosem, tak jak ryczy lew. A kiedy zawołał, siedem gromów przemówiło swym głosem<sup>4</sup>, a było to siedem potężnych duchów zasiadających dokoła tronu Pana. „W tej książeczce są spisane wszystkie tajemnice Boga”, zawołał anioł. I wyrwał wszystkie kartki z książeczki, i rozsypał je nad morzem i nad ziemią. Tak powstał nasz ziemski świat. A kartki opadły z góry na dół, z wód podniosły się do góry kontynenty, zaludniając się zwierzętami i ludźmi. „Gdy wszystkie tajemnice Boga, zawołał anioł, odnotowane w tej książeczce, ponownie zostaną złączone w jednej książce, tak że ludzie będą mogli je czytać i przyjąć w głębi serca, wtedy diabelska niewola dobitnie końca, a wy wszyscy będziecie wybawieni.*

Amosa ogarnęło niesamowite podniecenie, gdy usłyszał to zwiastowanie. Czyżby to miało oznaczać, że *Księga duchów* nie zawiera niczego innego, jak tylko tajemnice Boga, które zostały niegdyś rozsypane przez tamtego anioła nad Ziemią? Tak mu się nagle zakręciło w głowie, że niechybnie spadłby z gzymsu skalnego, gdyby Klara w ostatniej chwili nie chwyciła go za rękę. Drugą ręką Amos poszukał po omacku *Księgi duchów* – była dokładnie w tym samym miejscu, w którym wcześniej ją przechowywał, i w całym tym swoim zmieszaniu wydawało mu się, że to dzikie bicie wywołuje sama książka, którą nosił w wewnętrznej kieszeni tuż nad sercem.

## 7

BRATA EGBERTA ujrzeli ponownie dopiero następnego dnia po południu. Noc spędzili w małym pokoiku skalnym na słomianym pościeliu, owinięci w pledy i skóry. Była to ich pierwsza spokojna noc, w czasie której mogli spać bez zmartwień, nie obawiając się swych prześladowców. Także Johannes Mergelin spał jak zabity nieco bardziej z tyłu, we wnęce w ścianie skalnej. Gdy się obudzili, wszyscy troje czuli się jak nowo narodzeni. Kamieniarz Walter i jego żona Sara przynieśli im proste śniadanie – trochę chleba, owoce

---

<sup>4</sup> Ap 10,2. Dalszy fragment nie jest cytatem z Pisma Świętego, tylko fikcją literacką.

leśne i dzban wody. Później odświeżyli się w małym wodospadzie, który spadał kaskadami z wapienia naciekowego nieco bardziej w głębi góry.

Wszystko tutaj, we wnętrzu skały, wydawało się trochę nierzeczywiste, w znacznej mierze chyba także dlatego, że nigdy nie nastawał tu dzień. Nieustannie migotały tu pochodnie, setki tysięcy kropli ściekało po stalaktytach, opadając z wysokim metalicznym dźwiękiem na ziemię. Wewnątrz góry znajdowały się niezliczone komnaty, pokoje i sale, połączone labiryntem z korytarzami, a ze wszystkich stron od rana do wieczora dochodziły odgłosy cichego śpiewu i śmiechu. Od czasu do czasu ktoś odmawiał z powagą jakąś modlitwę, ale nawet te przyzwania Boga i Jego dobrych duchów nigdy nie były pozbawione nutki swobody i radości – zupełnie inaczej, niż miało to miejsce podczas katolickiej mszy, na którą Amos uczęszczał od czasu do czasu wraz z matką w Wunsiedel. Tam kapłani zazwyczaj uderzali w surowy ton, jakby cała wspólnota wiernych dopuściła się jakichś niegodziwości, a Bóg na niebiosach wyjątkowo jeszcze raz okazywał miłosierdzie. Wszyscy siedzieli tam zawsze ze spuszczoneymi głowami w ławkach lub klęczeli, nie ośmielając się nawet unieść wzroku w stronę surowego kapłana, który groził im długotrwałymi mękami piekielnymi.

– Mam nadzieję, że odpoczęliście nieco po tych wszystkich trudach ostatnich dni – powiedział brat Egbert, wchodząc po obiedzie do ich małego pokoiku skalnego.

Tuż za nim wszedł kamieniarz Walter i zaraz wciągnął w rozmowę Johannes. Ten widocznie nabrał zaufania do tego mocno zbudowanego i opiekuńczego mężczyzny podczas ich wczorajszej wspólnej wędrowki. W każdym razie ochoczo dał się poprowadzić Walterowi z ich komnaty do „księgi z wapienia naciekowego”, jak się o niej wyraził rozmarzonym tonem kamieniarz.

– Otwarta księga, można nawet odszyfrować poszczególne znaki, zrobisz wielkie oczy, Johannesie.

Obaj zniknęli, zostawiając brata Egberta sam na sam z Amosem i Klarą.

– Nie uszło mojej uwagi, że cały czas dyskretnie obserwujecie waszego towarzysza. – Egbert usiadł z cichym stęknieniem na kamiennym cokole i oparł swój sękaty kij o ścianę obok siebie. – Nawet nie chcę wiedzieć, o co go podejrzewacie, ani dlaczego mimo to tolerujecie go u swego boku. Proszę, nie miejcie mi za złe, że mówię tak otwarcie, ale czego nie wiem, tego też nie wyznam na torturach.

Klara drgnęła. Ona i Amos siedzieli blisko siebie na szerokim gzymsie skalnym, na którym przygotowali sobie wcześniej posłanie. Amos chwycił ją za rękę i lekko uściśnął.

– Co też skłania was do tak ponurych myśli, panie? – zapytała.

Egbert jeszcze trochę bardziej pochylił się w ich stronę.

– Każdy z nas, z naszego zakonu, wiecie, o czym mówię – odpowiedział stłumionym głosem – od wielu lat i dziesięcioleci zasypia z tą myślą, by zbudzić się z nią następnego poranka. Ale nie sądzicie, proszę, że się z tego powodu uskarżam. My wszyscy postanowiliśmy pół życia temu wziąć na siebie ten ciężar i nikt z nas nigdy jeszcze tego nie pożałował. Przysięgaliśmy, każdy i każda z nas, że w razie konieczności poświęcimy swoje życie na rzecz tego wielkiego dzieła. Przez długi czas wszystko szło gładko, a my zaczęliśmy już nawet łudzić się nadzieją, że do samego końca wszystko będzie po naszej myśli. Oczywiście wiedzieliśmy, że Leo Cellari, ten myśliwski pies Szatana, coś zwietrzył, i że gorączkowo szuka Opus – „opus” w podwójnym tego słowa znaczeniu, a mianowicie naszego bractwa i dzieła, z powodu którego się przysięgliśmy.

Oparł się i na chwilę zamknął oczy. Klara i Amos porozumieli się ze sobą za pomocą szybkiego spojrzenia. W jego obecności nie chcieli rozmawiać ze sobą na jego temat na drodze telepatii, ale i tak nie było to wcale konieczne. Amos ufał temu staremu mężczyźnie i czuł, że z Klarą jest tak samo. Jeśli w ramach bractwa istniała grupa ludzi dążąca jedynie do pokojowych i filantropijnych celów, to poza Kronusem i matką Zofią należał do niej z pewnością również brat Egbert.

– Znam Leo Cellariego od prawie czterdziestu lat – Egbert ciągnął w końcu dalej – wstąpiliśmy wówczas w tym samym czasie do klasztoru, a trzecim nowicjuszem był niejaki Valentin Kronus. – Uśmiechnął się pod nosem. – Chyba nie znajdą się dwaj mężczyźni, którzy różniliby się między sobą bardziej niż tamci dwaj, Leo i Valentin. Choć z drugiej strony, obaj byli – lub są – pod pewnymi względami bardzo do siebie podobni. Jakby to opisać?

Przejechał sobie ręką swoją przeredzoną, siwą brodę i zdawał się przy tym wsłuchiwać w swoje wnętrze.

– Valentin był za młodu strasznym nerwusem, nie akceptował żadnych reguł zakonnych i nie przyjmował żadnych dogmatów na wiarę, jeśli coś nie trafiało do jego przekonania od początku do końca. I Leo nie można było odmówić samodzielności myślenia, ale on był zainteresowany głównie możliwie szybkim pokonywaniem kolejnych szczebli na drabinie kariery Często opowiadał nam wtedy o swoich marzeniach: chciał zostać biskupem, kardynałem, i Bóg wie jeszcze kim. Ale dzięki swemu specyficznemu talentowi był w zasadzie urodzonym inkwizytorem – wystarczyło tylko, że na kogoś spojrzał lub zamienił z nim kilka słów, a już nieomylnie wyczuwał, co działo się w duszy tej drugiej osoby To, co chciała ona ukryć, a także to, co ją w głębi duszy motywowało do działania. Czego się obawiała lub o czym marzyła. Nic więc dziwnego, że z tym swoim szczególnym

uzdolnieniem Leo pozostał u dominikanów, w zakonie mniszym, który w głównej mierze zasila szeregi inkwizycji.

Brat Egbert pokręcił głową. Wyglądał teraz na całkiem zmartwionego i znów milczał przez dłuższy czas, najwidoczniej pograżając się we wspomnieniach.

– A Valentin Kronus? – spytał Amos. – Czy został z wami w tamtym klasztorze?

Starzec wyrwał się z przerażeniem ze swoich rozmyślań.

– Valentin? O nie! Nie minął nawet rok, jak nas opuścił. Nie potrafił i nie chciał zaakceptować reguł zakonnych. Bezwzględne posłuszeństwo – no cóż, to nie było dla niego. Jednak dopiero wiele lat później zrozumiał, że zupełnie nie nadaje się do życia w klasztorze. Po pobycie w klasztorze dominikanów w Mediolanie próbował jeszcze u benedyktynów, norbertanów i w końcu u augustianów. Jednak za każdym razem szybko stawał się postrachem dla swoich przełożonych i braci. Valentin przywoływał w swojej celi duchy, a samą tylko siłą woli dosłownie wprawił w taniec ambonę w kościele przyklasztornym. Już jako młody mężczyzna był bardzo czytany i każdą wolną chwilę spędzał w klasztornych bibliotekach i skryptoriach. Opowieść z Nowego Testamentu, którą wczoraj przywołałem podczas naszego małego nabożeństwa ku czci duchów, już wtedy należała do jego ulubionych fragmentów Biblii. Całe stworzenie zawierające boskie tajemnice – to oczywiście musiało mu przypaść do gustu. A dobremu braciszкови Valentinowi nigdy nie zbywało na pewności siebie. Nigdy też nie zapomnę listu, który otrzymałem od niego pewnego dnia, już po tym, jak definitywnie rozstał się z życiem klasztornym. Wtedy wciąż byłem pocziwym mnichem w klasztorze Maulbronn, a Valentin napisał mi: „*Wreszcie znalazłem bezpieczne schronienie. I wszystko jest już gotowe, by mogła powstać anielska książeczka*”.

Klara uniosła rękę, by przerwać potok słów starego mężczyzny.

– Wolniej, proszę, panie, wszystko to jest dla nas niezwykle ważne. I trudne do zrozumienia. – Oczy jej się zwięziły, a czoło zmarszczyło, jak zawsze, gdy intensywnie się nad czymś zastanawiała.

– Czy naprawdę sądzicie, że *Księga duchów*... – Urwała i pokręciła lekko głową. – Już samo to pytanie wydaje mi się głupie, a mimo to je zadam: Czy sądzicie, bracie Egbercie, że książka Kronusa zawiera boskie tajemnice, które anioł wysypał wtedy z książeczki wraz z wyrwanymi stronicami?

Egbert popatrzył w zamyśleniu w dal. Palcami macał drewniany krzyż na piersi.

– Na pewno zawiera nieco boskiej magii stworzenia – odparł w końcu – ale często o tym rozmawiałem z Valentinem. Pracując nad książką, zawsze rozważał tę możliwość, że określone magiczne moce mogą wyrządzić straszne szkody, jeśli dostaną się w niepowołane

ręce lub trafiają do nieodpowiednich umysłów. I nie bez powodu wtajemniczeni od niepamiętnych czasów rozróżniają białą i czarną magię. A mimo to – ciągnął dalej po krótkim zastanowieniu – każde słowo, każda litera w książce Kronusa są przesiąknięte magią stworzenia.

– Ale co to oznacza? – zapytał Amos. – Czy *Księga* może rzeczywiście wyrządzić wielkie szkody, jak to utrzymuje Cellari, czy też Kronus zadbał o to, żeby coś takiego nigdy nie mogło się wydarzyć?

Starzec jeszcze bardziej się zamyślił.

– Tego nie wiem. Zastanawiam się nad tym od wielu tygodni, odkąd Leo napadł na niego ze swoimi purpurowymi wojownikami i go wywiózł. O ile jeszcze gorzej go nie urządził. Ale... – przechylił się do przodu i chwycił Amosa za rękę – przysięgam, przysięgam wam obojgu, że naprawdę nie wiem.

Boi się, przemknęło Amosowi przez myśl. Bo inaczej, po co by w ogóle przysięgał? Wie więcej, niż chce nam wyjawić, i błaga nas w ten sposób, byśmy nie wnikali głębiej w jego duszę. Ze strachu przed tymi, którzy za pomocą *Księgi duchów* realizują swoje zgubne plany – i którzy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa również należą do Opus Spiritus?

W czasie gdy Amos zastanawiał się, jak mógłby nakłonić brata Egberta, by jednak nieco bardziej ich wtajemniczył, strzec już zaczął mówić dalej. I nawet nie mówił już więcej urywanymi zdaniem, ani wylewnie, tak jak niosła go rzeka jego wspomnień, lecz szybko i w skupieniu.

– Przez wiele lat Leo Cellari przetrząsał wszystko i niczego nie znalazł, przez co wpędzał nas w tarapaty. Nawet swoich własnych ludzi ledwo potrafił przekonać, że Opus Spiritus w ogóle istnieje. Ale odkąd znalazł i odkopał kryjówkę Kronusa, wszyscy znajdujemy się w wielkim niebezpieczeństwie. Piekielne psy Leo deptają nam po piętach, a ja znam go wystarczająco dobrze, by nie robić ani sobie, ani wam żadnych złudnych nadziei. Będzie nas ścigał dniem i nocą i ani na chwilę nie osłabnie w swych staraniach, aż wszystkich nas wykończy.

Tym razem to Amos wzdrygnął się z przerażenia.

– Czyżby to znaczyło, że purpurowi wojownicy nas odkryli?

– Jeszcze nie – odpowiedział Egbert. – Ale latają dookoła z brzękiem jak kąśliwe insekty. Najpierw pojechali po prostu dalej wzdłuż rzeki, ale po tym jak zgubili wasz trop, zawrócili. Od tamtej pory przeszukują każdą szczelinę skalną w najbliższej okolicy mielizny. A ten młody dominikanin, którego Cellari wysłał wraz z żołnierzami na usługach Kościoła, nie spocznie, dopóki nas tu nie wytropi – od razu zdałem sobie z tego sprawę, gdy wcześniej

przyjrzałem mu się z bliska.

– Meinolf... – Amos musiał najpierw przelknąć ślinę. – Widzieliście go?

Starzec kiwnął głową.

– Widzę, że i ty zawarłeś już z nim znajomość. – Na krótką chwilę położył mu rękę na głowie. – Jesteś dzielnym i uczciwym młodzieńcem, Amosie von Hohenstein. Niezmiernie nad tym ubolewam, że musiałeś znosić tak dużo bólu i tak wiele niebezpieczeństw przez nasze bractwo. Ale wciąż wierzę w to niezłomnie, że wszystko się dobrze skończy i że Kronus i matka Zofia słusznie postąpili, powierzając właśnie wam obojgu misję uratowania tego nieskończonego drogiego manuskryptu.

Klara i Amos wymienili się szybkimi spojrzeniami.

– To wy jeszcze o niczym nie wiecie, nieprawdaż? – zapytała.

– O czym? – Brat Egbert wyglądał teraz na skrajnie zaniepokojonego. – O czym nie wiem?

– To nie Kronus i matka Zofia nas wybrali – powiedziała Klara.

– Kto to uczynił, tego nie wiemy, ale wszystko to... To wydarzyło się na długo przed tym.

– Wydarzyło? – powtórzył stary mężczyzna. Jego twarz zrobiła się popielatoszara, a zmarszczki białe jak świeży śnieg. – Co się wam przytrafiło? I kto za tym stoi?

– Zupełnie nic, panie. – Wmieszał się pospiesznie Amos. – Z pewnością lepiej będzie, jeśli się niczego nie dowiecie. Jesteśmy wam bardzo wdzięczni, że daliście nam schronienie. Ale nie chcielibyśmy w żadnym razie, byście wraz ze swoimi ludźmi popadli przez nas w kłopoty Jak sądzicie, kiedy dotrą tutaj Meinolf i żołnierze?

Brat Egbert zdawał się nie słyszeć pytania Amosa.

– Tak, tak będzie lepiej – wyszeptał i znów powiódł wzrokiem ponad Amosem i Klarą. – Zawsze tak uważałem, już w klasztorze w Maulbronn, gdy mówiono, że to dziecko zostało splodzone przez diabła... Na wszystkie dobre duchy, ja nie jestem taki jak Valentin, nigdy nie zdobyłbym się na taką siłę i odwagę, by przez tak wiele lat... – Nagle urwał w środku zdania i przerzucił wzrok z Amosa na Klarę. – Wybaczcie mi... – powiedział. – Pewnie uważacie mnie za żalosego tchórza. Ale jestem starym mężczyzną i w pewnych chwilach wydaje mi się, jakbym nie mógł już unieść tego ciężaru.

Klara uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

– Jesteście odważni i silni, panie. Strzeżecie waszej wspólnoty jak pasterz owiec. Uratowaliście nas przed purpurowymi wojownikami, a Valentin Kronus przez całe swoje życie szukał u was rady i wsparcia. Jakże więc możecie powątpiewać w waszą własną siłę?

Brat Egbert wydawał się trochę pocieszony, jednak już chwilę później znowu pobałdł.

– Ale opowiedzcie – ciągnęła dalej Klara – co się wtedy wydarzyło w klasztorze w Maulbronn? Mówiliście o dziecku, które zostało tam spłodzone przez diabła – właśnie w klasztorze?

Spojrzenie starca stało się twarde i nieruchome.

– Dlatego też nikt z początku nie chciał w to uwierzyć. Ale przeor Johannes Burrus, który przebywał wtedy właśnie w klasztornej piwnicy, zaklinał się na wszystkich świętych, że widział na własne oczy, jak dziewczka kuchenna została zgwałcona przez diabelskie stworzenie. A gdy siedem miesięcy później na świat przyszedł chłopiec, to nawet kilku spośród najbardziej zawziętych sceptyków zaparło dech w piersiach.

Klara rzuciła spojrzenie w stronę Amosa.

– A co było temu chłopcu? – spytała.

Po tym pytaniu brat Egbert milczał tak długo, że oboje prawie przestali liczyć na odpowiedź. Starzec wyraźnie walczył sam ze sobą – ruszał ustami, później znowu kręcił głową, stękał i jęczał. Jednak w końcu wydawało się, że podjął jakąś decyzję. Zmierzył wzrokiem Klarę i Amosa, a potem powiedział rzeczowym tonem:

– Ów chłopczyk od samego początku przejawiał najdziwniejsze i najbardziej przejmujące grozą uzdolnienia. Od młodzińczych lat kręcił się po klasztorze. Tamten przeor Burrus, który został tymczasem opatem w Maulbronn, a także benedyktyn Trithemius, okazywali przesadne zainteresowanie losami chłopca. Wiem o tym tylko ze słyszenia, bo dawno już opuściłem klasztor w Maulbronn i zrzuciłem habit. – Dotknął otwartą dłonią twarzy. – Od tamtego czasu minęły już ponad trzy dziesięciolecia, a ten chłopak o płonących, niebieskich oczach już dawno jest dorosłym mężczyzną. Musieliście go spotkać w Bambergu – nazywa się Georg Faust.

– Faust – powtórzył Amos. – Tak, poznaliśmy go – zatrzęsł się na to wspomnienie – ale chyba nie sądzicie, że w tej pogłosce jest choćby jakieś ziarenko prawdy, że Faust został spłodzony przez diabła?

– Przez diabła? – odparł Egbert – Nie, oczywiście, że nie. To tylko taki głupi przesąd. – Znowu popadł w milczenie. – Ale jakkolwiek by było – pociągnął w pewnej chwili wątek – do dziś nie mogę zrozumieć, jak ten cały Faust mógł zostać przyjęty do bractwa. Ani tego zaaprobować, choć zawdzięczasz to przede wszystkim Faustowi, że mogliśmy cię uwolnić tam u góry, w lesie.

Popatrzył na Amosa. Bo to właśnie Faust, dodał, miał namówić księcia biskupa Georga, by swego więźnia nie wydawał od razu purpurowym wojownikom, mimo że ci



ostatni mają przecież swoją bazę na zamku. Jeśli każe zawieźć bocznymi drogami do Norymbergii Amosa von Hohenstein, strzeżonego przez najbardziej niezawodnych spośród jego żołnierzy, to wtedy nikt mu już nie zarzuci, że nie pomógł inkwizytorowi Cellariemu, dokładając największych starań, jeśli nawet więzień przepadnie gdzieś po drodze. W taki oto właśnie sposób Georg Faust usiłował przekonać swego imiennika, a sam księżę biskup nadzwyczaj chętnie dał się przekonać – w końcu był uwikłany w całą tę sprawę aż po sam czubek nosa. A gdyby Amos von Hohenstein zapadł się pod ziemię wraz z tą szatańską książką o duchach, to wtedy inkwizytor nie mógłby wszcząć procesu, w trakcie którego na jaw wyszłyby wszystkie możliwe i obciążające fakty.

W głowie Amosa kotłowały się myśli.

– Czyżby to oznaczało, że Faust chciał, żebym zginął podczas napadu tam na górze w lesie.

Brat Egbert pokręcił głową.

– Chodziło tylko o to, by księżę biskup myślał, że bractwo wszystko załatwi, nieważne, jakimi środkami.

– Ale to przecież biskup – zawołała Klara. – Jak mógł się na coś takiego zgodzić?

– On się boi – odparł Egbert – i ma ku temu poważne powody. Księżę biskup Georg jest otwartym i tolerancyjnym władcą, ale właśnie dlatego i on sam musi obawiać się watykańskich psów z piekła rodem. A wszystko to jest spowodowane faktem, iż Szatan wcielony zasiadł na tronie papieskim i stał się głównym przywódcą Kościoła Chrystusowego.

Amos rzucił szybkie spojrzenie w stronę Klary. Ona też sprawiała wrażenie bardzo zmieszanej i sceptycznie nastawionej. Oboje nie pojmowali niczego z tych walk o władzę i wiarę, prowadzonych przez potężnych panów zasiadających na tronach książęcych, a tak właściwie to nawet nie chcieli niczego wiedzieć. Ale Amos był pewien, że obie strony działają zbyt pochopnie, demonizując każdorazowo swojego wroga – dla jednych to Kronus był „Szatanem wcielonym”, dla innych był nim papież. I gdy już obali się i pokona tych książąt z piekła rodem, to wtedy cały świat chrześcijański będzie rzekomo zbawiony i uratowany – w rzeczywistości jednak wszystko było o wiele bardziej zawile. A objawiło się to już na przykładzie Opus Spiritus, bo nie wszyscy członkowie bractwa walczyli o tę samą sprawę. Najwyraźniej niektórym z nich przyświecały mroczne cele i nie cofali się nawet przed morderstwem.

– A kto właściwie decyduje – spytał Amos – kto może zostać przyjęty do bractwa?

Egbert popatrzył na niego, jak na kogoś, kto zerwał się przerażony ze snu. Oczy zwęziły mu się do szparek wielkości jego ust.

– Wystarczy już tego oddawania się wspomnieniom – powiedział. – To, co powiedziałem przed chwilą, dotyczy w równym stopniu was, jak i mnie. Czego nie wiecie, tego nie będziecie też mogli niechcący wypaplać.

Sięgnął po swój kij i się podniósł.

– A tak właściwie to chciałem powiedzieć, że Rolfus podsłuchał Meinolfa i oficera papieskiego i dowiedział się, że wysłali dwóch żołnierzy, by sprowadzili z Bambergu dwa psy św. Huberta. Będą tu z powrotem najpóźniej pojutrze w południe, a z pomocą psów znalezienie naszej kryjówki nie zajmie im nawet dwóch godzin. Do tego czasu wszyscy musimy zniknąć bez śladu – nie tylko wy oboje i wasz chudy jak szczapa towarzysz, lecz także cztery tuziny moich duchobojnych ludzi.

## 8

BRAT EGBERT PROWADZIŁ AMOSA przez podziemny labirynt złożony z korytarzy i jaskiń, znajdujących się wewnątrz góry. Starzec chciał mu też pokazać „księgę z wapienia naciekowego”, którą tak bardzo zachwycał się wcześniej Walter: „Doskonałe dzieło sztuki, wykrzyknął wtedy kamieniarz, tak idealne, że nawet najlepszy rzeźbiarz musiałby poczuć się na jego widok niczym żaloszny partacz!”.

Ale w czasie gdy Amos człapał za Egbertem, myślami był daleko od Waltera i książki z wapienia naciekowego. Z więcej niż nieprzyjemnym przeczuciem wyczekiwał następnego dnia. Dokąd mogli się teraz zwrócić – w jakim miejscu *Księga duchów* i oni sami byliby bezpiecznie ukryci przed prześladowcami?

Klara z Johannesem zostali w pokoiku skalnym, a to bynajmniej nie poprawiało nastroju Amosowi. Już na samą myśl, że oboje siedzą razem blisko siebie na skalnym gzymsie, a Klara czyta błogo wyszczerzonemu Johannesowi drugą opowieść z *Księgi duchów*... Ale na to nie było rady. Ostatecznie to przecież on sam zaproponował, by wzbudzili teraz w Johannesie także dar wysyłania myśli na odległość. A jednak zupełnie mu się nie podobało, że oddawali swój los właśnie w ręce byłego pomocnika Jana Skythisa.

Nie mieli jednak wyboru. Amos był w kropce, a i Klara znajdowała się w podobnej

sytuacji. Bez pomocy Kronusa czy matki Zofii – a najlepiej ich obojga – nie wiedzieli już, co począć. Znów mieli na karku purpurowych wojowników i najpóźniej jutro w południe Meinolf przeczesze wraz ze swoją zgrają psów św. Huberta wewnątrz góry. Amosowi robiło się niedobrze ze strachu, gdy mimo woli o tym pomyślał. Oczywiście brat Egbert też miał rację – do tej pory musieli zniknąć, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów.

Tylko dokąd, na wszystkie dobre duchy, Klara i on powinni się teraz udać? Egbert zamierzał poprowadzić swoich ludzi położonymi na uboczu drogami z powrotem w kierunku Norymbergii. Tutaj zamierzali zostawić obu pojmanych strażników, Walda i Franza, w labiryncie górskim, tak by te psy myśliwskie zorientowały się możliwie jak najpóźniej, że trop, za którym pójdą, już dawno zwietrzyła. Tymczasem sam Egbert i jego ludzie podążyliby z biegiem potoku, który prowadził wewnątrz góry w kierunku południowo-wschodnim, i wyszli na powierzchnię dopiero nieopodal miasteczka Pegnitz. Amos i Klara jeszcze z nim o tym nie rozmawiali, ale Egbert z pewnością nie miałby nic przeciwko temu, żeby Johannes dołączył do jego gromady i podróżował – przynajmniej na początku – pod ich opieką. Co prawda, w ten sposób poruszałyby się wtedy bardzo wolno do przodu, ale gdyby się pokazał na ruchliwym trakcie handlowym, ciągnącym się wzdłuż rzeki Pegnitz na południe, to wtedy już wkrótce zwróciliby na niego uwagę szpiegów Cellariego lub Skythisa.

Najchętniej natychmiast wyruszyliby jak najdalej stąd wraz z Klarą – oboje siedzieliby na zmianę w siodle i za siodłem drogiej kasztanki, która poniosła ich już na swym grzbiecie z Wunsiedel do Bambergu. Ale tam, na zewnątrz, nad górami i lasami musiał tymczasem ponownie zapadać mrok. Tak więc nie mieli wyboru – musieli cierpliwie poczekać na jutrzejszy poranek.

Być może do tego czasu przyjdzie mi jeszcze do głowy, pomyślał Amos, gdzie moglibyśmy się ukryć przed purpurowymi wojownikami. Ale rozmyślał nad tym prawie bez przerwy przez cały dzień i za każdym razem dochodził do tego samego zniechęcającego wniosku: na całej ziemi nie ma nigdzie żadnego miejsca, gdzie byliby naprawdę bezpieczni przed działaniami inkwizytora i jego siepaczy.

„*Księga z wapienia naciekowego*” znajdowała się w małej jaskini na końcu wąskiego korytarza skalnego. Wejście było tak ciasne, a sama jaskinia tak maleńka, że można tam było wejść tylko pojedynczo. Brat Egbert odsunął się na bok i wskazał zachęcająco na szczelinę w ścianie.

– A teraz wejdź do środka – powiedział – ja już znam ten cud. Ale i ja wciąż jeszcze nie mogę się na nią napatrzeć. – Wręczył mu swoją pochodnię, a Amos przecisnął się do środka tego małego pokoiku skalnego.

Zarysami przypominała fragment lodowej budowli. Z jej środka wystawał ku górze stalagmit, w którego stronę z wydrążonego stropu zwiślał równie kunsztownie zakręcony stalaktyt. W przerwie między obydwoma kolumnami unosił się twór, który rzeczywiście wykazywał uderzające podobieństwo do otwartej wielkiej księgi. Wrażenie unoszenia się w powietrzu brało się stąd, że książka była połączona od góry i od dołu z dwoma kolumnami za pomocą niezliczonych, delikatnych strzemiączek z wapienia naciekowego. Także połyskujący na srebrzystobiało, prawie przezroczysty materiał potęgował złudzenie, że księga unosi się w stanie nieważkości w tej maleńkiej jaskini, która sama miała uroczysty wygląd niszy ołtarzowej.

Amos pochylił się nad otwartymi stronicami. Były usiane znakami, uformowanymi w prawie poziome wiersze. Jednak gdy usiłował je odszyfrować, to natrafiał na te same trudności, co wcześniej, gdy próbował odczytać złote litery pokrywające tylną ścianę czarnego pulpitu Kronusa. Mimo że najwidoczniej chodziło o znaki jakiegoś pisma, nie potrafił przeczytać ani jednej sylaby.

– Gdy po raz pierwszy stanąłem tam, gdzie ty teraz stoisz – z korytarza dobiegły słowa brata Egberta – wtedy otwały mi się oczy i objawiła mi się najgłębsza tajemnica stworzenia. Od tamtej pory odczuwam w głębi serca, że w tym oto miejscu, w najgłębszym miejscu tej góry, to sam Bóg pozostawił nam tę księgę z ciekącego kamienia – jako znak, że całe Jego stworzenie nie jest niczym innym, jak potężną książką, którą stworzył za pomocą swoich zasiadających dokoła Jego tronu duchów.

Amos wciąż jeszcze patrzył jak zaczarowany w dół na zagadkowe znaki pisma i wydawało mu się, jakby to sama księga wypowiadała do niego te tajemnicze słowa ustami brata Egberta.

– Tak naprawdę żyjemy na tej ziemi dopóki, dopóty czyta nas Bóg. Podobnie jest ze zwykłą książką. Gdy leży zapomniana w kącie, zawiera tylko kupę martwych, ołowianych lub atramentowych zawijasów. Ale gdy ktoś zaczyna ją czytać, z jej stron wyłania się w magiczny sposób cały świat. A to, że kiedyś będziemy z Bogiem w niebie, nie oznacza niczego innego, jak to, że wreszcie będziemy potrafili czytać Jego książkę, zamiast tylko w niej żyć.

Amos otworzył już usta, by odpowiedzieć, ale po chwili znowu je zamknął. I on czuł wyraźnie, że ta prastara księga z kamienia zawiera jakąś głęboką prawdę lub o niej zaświadcza w symboliczny sposób – ale prawda ta był nieskończenie głębsza niż wszystko, co on sam mógł pojąć lub ująć słowami. I było coś jeszcze, co czuł tak wyraźnie i nieomylnie, jak nigdy dotąd: *Księga duchów* ma w sobie przynajmniej odrobinę z tej dobrej magii, którą

nader obficie obdarzona jest Boska księga stworzenia.

– Jestem wam bardzo wdzięczny, panie – powiedział Amos, gdy wychodził z jaskini na korytarz w stronę brata Egberta. – Ta księga i mnie otworzyła oczy. Teraz wiem przynajmniej, co muszę uczynić w następnej kolejności.

Starzec kiwnął głową w jego stronę, łagodnie się uśmiechając.

– Dobrze więc – powiedział i poprowadził go przez gąszcz korytarzy z powrotem do ich małego pokoiku skalnego. – Wyruszamy jutro o pierwszym brzasku – powiedział na koniec. – Jeśli ty i twoi towarzysze chcecie pójść z nami, możecie wciąż być naszymi gośćmi.

Amos rzucił spojrzenie do środka pokoiku. Klara widocznie skończyła już czytać drugą opowieść – *Księga duchów* leżała zamknięta na jej łonie. Nieco dalej z tyłu izby w kącie leżał Johannes, oczy miał zamknięte, a jego twarz znów promieniała tamtym błogim uśmiechem.

– To bardzo miło z waszej strony – powiedział Amos. – Jeśli pozwolicie, Johannes dotrzyma wam na pewno towarzystwa. Musi wrócić do Norymbergii, i to możliwie nie zwracając na siebie uwagi. Co się jednak tyczy mnie i Klary, to jutro rano pewnie się dowiem, dokąd mam zanieść *Księgę*.

Brat Egbert wysłuchał jego słów ze skupioną twarzą, zdawał się ani trochę w to nie wątpić, że Amos otrzyma w ciągu nocy ową wiadomość.

– W takim razie śpijcie dobrze i spokojnie – powiedział. – Dopóki Bóg nas czyta, nic złego nie może się nam przytrafić.

## 9

LEDWO AMOS ZDAŹYŁ WRÓCIĆ do Klary, a już do ich skalnego pokoiku weszła Sara, by przynieść im skromną kolację – chleb, wodę i kilka kawałków sera żółtego. A zaraz za nią pojawił się Leander.

– Jeśli nie macie nic przeciwko temu – powiedziała żona kamieniarza – Leander dotrzyma wam towarzystwa podczas wieczerzy.

Nie mogli mieć nic przeciwko temu. Sara przez cały czas okazywała im życzliwość, a

oni byli tutaj, bądź co bądź, gośćmi, którzy się jeszcze do tego sami wprosilili.

– Usiądź przy nas – powiedziała Klara, a chłopak o blond włosach przykucnął naprzeciwko nich na ziemi.

Amos usiadł obok Klary na gzymsie skalnym, prowizorycznie przykrytym słomą i pledami, który służył im także za posłanie. Popatrzył na nią przenikliwym wzorkiem i jednocześnie wejrzał w głąb siebie.

– *Znacznie chętniej pobyłbym z tobą sam na sam, moja wybranko. Musimy jeszcze omówić kilka spraw.*

– *I się wycałować* – dodała, uśmiechając się tak, jak tylko ona to potrafiła. Jej zielone oczy zabłyszczały, a kąciki ust prawie niepostrzeżenie drgnęły.

Tymczasem Leander wyciągnął swoją tabliczkę i gorliwie coś na niej bazgrał. W końcu podał im ją: „*Księga – czy mogę ją zobaczyć*”. Wskazał kredą na łono Klary.

Oboje z przerażeniem pokręcili głowami.

– To nie jest niestety możliwe – powiedziała Klara i podała Amosowi *Księgę o duchach*.

– Naprawdę mi przykro, Leandrze – dodał i szybko wsunął ją sobie do wewnętrznej kieszeni kamizelki. – Nie wolno nam jej nikomu pokazywać.

Przez chwilę Leander patrzył ze zmarszczonym czołem na kamizelkę Amosa, która wyraźnie uwypukliła się nad książką, po czym ponownie położył tabliczkę na kolanach. „*Chudemu czytałaś ją na głos*”, napisał tym razem i pokazał tabliczkę Klarze. Nie czekając na odpowiedź, starł wszystko. „*Ta książka chce do mnie mówić, napisał, wyraźnie to czuję*”.

Amos popatrzył na niego, a później spojrział w stronę Klary.

– *Sądzę, że ma rację* – powiedział na drodze telepatii. – *Jego przeczucie na pewno go nie myli – on jest jednym z nas.*

– *Jednym z nas.* – powtórzyła Klara – *Skąd ci to przyszło do głowy?*

– Rodzice Leandra zostali zabici dwa lata temu – odpowiedział Amos swoim zwykłym głosem, tak by i Leander go usłyszał – przez Hótttschego, tego samego mężczyznę, który zabił też moich rodziców.

Chłopak o blond włosach skinął gorliwie. „*Schowałem się w wyrwie w ziemi*”, napisał z wielkim pospiechem na swojej tabliczce. „*Tak przeżyłem, ale od tamtą porę jestem niemy*”. Wskazał na swoje gardło i wydał z siebie głuchy bulgot.

Klara spojrzała na niego głęboko wstrząśnięta.

– Ach, ty biedaku! – Pochyliła się do przodu i pogłaskała Leandra po włosach.

To, jak teraz ten chłopak o blond włosach popatrzył ku niej w górę, pokornie i

jednocześnie pałając zachwytem, wydało się Amosowi aż nadto znajome. I jeszcze mniej mu się to podobało niż w przypadku Johannaesa, bo ten był w końcu tylko na wpół szalonym strachem na wróble. Tymczasem Leander ani nie miał pomieszane w głowie, ani nie był niepozornym szkieletem. Właśnie urósł, miał nawet zielone oczy, jak Klara, do tego przyjazną twarz i jasny uśmiech, a jego niemota co najwyżej uskrzydliłaby jeszcze jej współczucie i ambicję, by go uzdrowić.

I znów zazdrość pełzała w Amosie, niczym ohydny, jadowity wąż. Z wszystkich sił usiłował ją zwalczyć w sobie, bo w końcu nie mógł przecież pilnować serca Klary dniem i nocą, jak jakiś strażnik pełniący wartę przy bramie zamku. Sam zresztą nie wierzył przecież tak naprawdę, że nagle polubiłaby bardziej Leandra, czy nawet tego kościotrupa Johannaesa, niż jego samego. A jednak – a jednak... Najchętniej posłałby ich wszystkich do diabła, tych beznadziejnie zakochanych chłopaków, których Klara zdawała się przyciągać, tak jak niedźwiedzie ciągną do plastra miodu.

– *Nie patrz na niego tak ponuro, Amosie* – zgaśniła go Klara, a jej telepatyczny głos zawibrował od łagodnego szyderstwa. – *o kogo będziesz zazdrosny w następnej kolejności? o mojego konia?*

– *Na szczęście to klucz.* – Amos musiał się teraz uśmiechnąć. Do Leandra, który przez cały ten czas patrzył tęsknym wzrokiem z zachwyconą miną w stronę Klary, powiedział z wymuszonym spokojem:

– Klara albo ja poczytamy ci książkę przy najbliższej okazji, obiecujemy. Ale dziś wieczorem to już naprawdę niemożliwe.

Leander znów popatrzył na niego z zastanowieniem. Po czym napisał coś niezwykle energicznie na tabliczce i pokazał mu ją, szeroko się przy tym uśmiechając. *„Zgoda. Ale nie zapominaj – jestem wprawnym złodziejem”*.

Prawdopodobnie to ostrzeżenie spowodowało, że Amos nagle stracił apetyt. Jeszcze przed chwilą cieszył się na kilka pożywnych kęsków, ale teraz żuł bez ochoty piętę chleba. Tymczasem Klara i Leander zajadali się z apetytem.

– *Odpraw go, jak tylko skończy jeść* – poprosił Amos. – *Przedtem, przy tej kamiennej księdze, uświadomiłem sobie nagle, co muszę zrobić w następną kolejności.*

Klara popatrzyła na niego pytającym wzrokiem.

– *Przeczytać trzecią opowieść* – ciągnął dalej Amos – *i to zaraz. Tylko tak się dowiem, dokąd mamy teraz pójść z książką. Egbert chce, żeśmy wyruszyli jutro skoro świt. A do tego czasu na pewno zdążę wrócić ze świata Laurencjusza.*

Klara sprawiała teraz wrażenie dosyć zaniepokojonej.

– A jeśli nie zdążysz? – zapytała i nawet nie zauważyła, że wypowiedziała te słowa.

Amos rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Leander wciąż siedział w kucki przed nimi na podłodze i patrzył na nich na zmianę z miną, jakby się czaił. Zdawał się przynajmniej przypuszczać, że telepatycznie wymieniają ze sobą wiadomości.

– *Na pierwszą i drugą opowieść potrzebowałem za każdym razem połowy dnia* – ciągnął dalej Amos. – *Dlaczego tym razem miałyby być inaczej?*

– *Bo nie wiemy absolutnie nic* – odparła Klara – *co trzecia opowieść może spowodować u czytających ją osób. Nawet nie wiemy, jakie zdolności ma w nas wywołać.*

– *Muszę ją przeczytać* – upierał się Amos – *inaczej nie posuniemy się do przodu. A ja czuję, że to właściwy krok – właśnie teraz.*

– *A co, jeśli purpurowi wojownicy dotrą tutaj wcześniej ze swoimi psami św. Huberta, niż sądzą Rolfus i jego ludzie?* – Klara popatrzyła na niego wielkimi oczami. – *Co ja wtedy zrobię, Amosie, możesz mi powiedzieć Gdy ty będziesz tu jeszcze leżał pogrążony w magicznym śnie, zupełnie bezbronny i bezradny, a Meinolf i wojownicy na usługach Kościoła będą zabijać ludzi Egberta jednego za drugim ?*

Na to pytanie nie znalazł żadnej dobrej odpowiedzi. Nagle poczuł się okropnie.

– *Na pewno do tego nie dojdzie* – odparł i usiłował nadać swemu telepatycznemu głosowi o wiele bardziej optymistyczne brzmienie, niż sam czuł.

Klara wciąż nie wydawała się przekonana. Patrzyła melancholijnym wzrokiem przed siebie, w końcu jednak wzruszyła ramionami i nie zgłaszała już żadnych zastrzeżeń. Potem, jak skończyli jeść, jeszcze raz obiecała Leandrowi, że przeczyta mu pierwszą opowieść z *Księgi duchów*, gdy tylko nadarzy się ku temu okazja.

Zielonooki chłopak popatrzył na nich błagalnym wzrokiem. „*Od tamtą pory sypiam wyłącznie w wyrwach w ziemi*”, napisał na swojej tabliczce, a kreda aż zapiszczała, gdy dwukrotnie podkreślił słowa „*od tamtej pory*”. „*Ze strachu. Dlatego ciągle jestem brudny.* Starł wszystko, ledwo zdążyli odszyfrować jego gryzmoły, i zaraz ponownie zapisał tabliczkę. „*Książka mnie uzdrowi. Czuję to*”.

Wstał z trudem, a i Amos podniósł się ze swojego miejsca i podał chłopcu dłoń. Sam czuł, że nieprędko zobaczy się ponownie z Leandrem, ale postanowił to zachować dla siebie.

– Oboje ci to obiecaliśmy – powiedział – i nie zapomnimy o tym.

Ledwo Leander zniknął im z oczu, a Amos wyciągnął *Księgę*.

– Wrócę odpowiednio wcześniej, obiecuję ci – powiedział, zanim Klara zdążyła jeszcze otworzyć usta. – Ty też musisz mi coś obiecać.

– Co takiego? – zapytała.



Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Wiem przecież, że najchętniej przeczytałabyś tę opowieść razem ze mną i zaraz po tym jak zanurzę się w świecie rycerza Wawrzyńca – powiedział jej do ucha – ale nie wolno ci tego robić, Klaro, to za bardzo niebezpieczne. Musisz ją przeczytać innym razem, a ja będę wtedy czuwał nad twoją magiczną drzemką podczas lektury, tak jak ty będziesz czuwała dziś nad moją. Gdy już skończę czytać, weź, proszę, *Księgę*, i wsadź ją z powrotem do kieszeni w mojej kamizelce.

Wzięła jego głowę w swoje dłonie i obróciła ją tak, że nie musiał na nią patrzeć.

– Teraz jest już dwóch chłopców, którym w ogóle nie ufasz, mój wybrańcu. I co teraz będzie? Ale nie martw się, będę nad tobą czuwała. – Oczy jej zabłyszczały, a kąciki ust drgnęły od czulej drwiny. – A także nad nim. – Nie wypuszczając Amosa, wskazała głową na Johannes po drugiej stronie pokoiku, który leżał w kącie i od czasu do czasu wydawał z siebie, zaczarowany lekturą, lekkie westchnienia.

Na wszystkie dobre duchy, pomyślał Amos, cóż mam jej na to odpowiedzieć? Nad tym nie musiał jednak zbyt długo rozmyślać. Pochylił się do przodu i zamknął Klarze usta długim, czułym pocałunkiem.

## ROZDZIAŁ III

# 1

## O SKALE, CO BYŁA OKNEM

*W czasie gdy rycerz Laurencjusz<sup>5</sup> szedł łąką swego dzieciństwa w strony zamku Answer, z koszuli i włosów ściekały mu krople. Wlepiał wzrok w sylwetkę szacownych murów, w których niegdyś dorastał, tak jak przed nim jego ojciec, dziadek i wszyscy przodkowie w męskiej linii od niepamiętnych czasów. Wawrzyniec wciąż jeszcze ledwo mógł w to uwierzyć, że kobieta ze studni dotrzymała słowa i naprawdę wskazała mu drogę do świata ojca. Być może cała ta piętrząca się wysoko w górę twierdza, ku której kierował swe kroki w świetle poranka, rozproszy się w następnej chwili niczym pajęczyna z chmur i z mgły.*

*Jednak z każdym kolejnym krokiem, który przybliżał go do wzgórza zamkowego, coraz szybciej opuszczały go wątpliwości, a jego serce coraz bardziej się radowało. Wreszcie wrócił do domu, gotowy spełnić obowiązek, który nałożył na niego niegdyś jego ojciec. Nauczył się walczyć mieczem i lancą, a hrabia Leonhard pasował go na rycerza. Ojciec cierpiął jeszcze niedostatek w lochach swego własnego zamku, ale oto przybył Wawrzyniec, by uwolnić go z haniebnego więzienia. Tam na wieży zamku Answer wciąż jeszcze powiewała chorągiew wroga – ale on sam zerwie ją jeszcze dzisiaj, a w jej miejsce zatknie ich własną świętą chorągiew.*

*Herb rodowy Answerów przedstawiał stromą, czarną górę, na której stała równie ciemna, zwietrzała wieża, która zdawała się zatapiać w skale lub też wyrastała z niej jakby wyrzeźbiona – w zależności od tego, jak to widział obserwator. Tymczasem na chorągwi, którą bezczeszczący zamek okupanci wciągnęli na maszt ponad blankami wieży, przynajmniej z oddali można było rozpoznać jedynie parę wilczych oczu, łapczywie tłących się na żółto nocą.*

*Wawrzyniec jeszcze nie doszedł do stromej ścieżki prowadzącej prosto do mostu*

---

<sup>5</sup> Laurencjusz – imię męskie, pochodzi od łacińskiego słowa *laurus, lauri* – laur, wawrzyn, drzewo laurowe, wieniec laurowy, triumf, zwycięstwo, chwała. W tej opowieści Laurencjusz jest nazywany również Wawrzyńcem.

zwozonego na górze, a już zaczął tracić odwagę. Miał wprawdzie wciąż przy sobie rodowy miecz, ale swojego pocziwego karosza oraz kosztowną tarczę z mosiądzu stracił na rzecz flisaka. I miał tak pokazać się swoim potężnym wrogom – bez zbroi i tarczy, bez konia, zupełnie sam?

Zatrzymał się u podnóża wzgórza zamkowego i powiódł oczami po murach obronnych ku górze. Tam, za otworami machikuły – strzelniczymi i smolnymi – czaiło się już wiele różnych par oczu. Stalowe groty strzał, naszpikowane okropnymi, poskręcanyimi zadziorami były wymierzone w jego stronę i uparcie za nim podążały, gdy Wawrzyniec się odwrócił i poszedł wzdłuż wzgórza zamkowego w stronę skraju lasu. Do linii drzew musiało być jeszcze ponad pięćdziesiąt stóp, a z każdym krokiem wydawało mu się, że słyszy za swoimi plecami śmiertelny świst strzały wystrzelonej z kuszy. Mimo to przymusił się do biegu w tempie, choć nie był to jeszcze właściwie pęd, po czym zanurzył się wreszcie, zataczając, w gąszczu. Dopiero wtedy się odwrócił i znów popatrzył – schowany między nisko zwisającymi konarami – w górę w stronę zamku Answer.

Z tego miejsca nie widać było jednak ani zwiadowców, ani strzelców ukrytych za otworami strzelniczymi. Cicha i jakby od dłuższego czasu opuszczona twierdza wznosiła się ku lśniąco niebieskiemu niebu. I tylko chorągiew ponad blankami wieży zdradzała, że ktoś jeszcze w ogóle mieszkał tam w górze i że nie byli to prawowici właściciele zamku. Jednak ku wielkiemu zdziwieniu Wawrzyńca okazało się, że ta wroga chorągiew wcale nie ukazywała łapczywie tłących się na żółto wilczych oczu w nocy. Z jego ukrycia wydawało się, że są to raczej dwie zwięzające się w sierpy gwiazdy, znajdujące się obok siebie na nocnym niebie i rywalizujące ze sobą o to, która z nich jest prawdziwym i jedynym księżycem. Jednak obie były dokładnie tej samej wielkości i kształtu oraz tak samo jasne.

Przez dłuższy czas Wawrzyniec stał tak po prostu i patrzył w górę, w stronę zamku Answer. Budziły się w nim rozmaite wspomnienia, słodkie, gorzkie i te strasznie smutne. Niegdyś matka poszła z jego siostrą Gizą do lasu i nigdy już nie wróciły. Było to bardzo dawno, zanim ich wrogowie zagrabili zamek Answer i wtręcili jego ojca do lochu, a jemu samemu udało się uciec w ostatniej chwili. Tak naprawdę to matka i Giza chciały tylko pójść na chwilę do zameczku myśliwskiego, by doglądać postrzelonego kozłaka – ale i tam nigdy nie dotarły. Ojciec zebrał wtedy wszystkich swoich ludzi i całymi dniami i tygodniami przeszukiwał lasy i wąwozy, jednak nie udało im się znaleźć nawet najmniejszego śladu obu kobiet. Giza miała szesnaście lat, gdy przepadła, była o rok starsza od Wawrzyńca, i taka też zmartwychwstała teraz przed oczami jego duszy – piękna, wrażliwa dziewczyna o jasnej skórze i złocistych blond włosach, prawie już młoda kobieta.

*W końcu udało mu się wyrwać z czaru własnych wspomnień. Laurencjusz obrócił się i poszedł szybkim krokiem nieco bardziej w głąb lasu.*

*Łagodnie nachylony teren przecinała tu wąska ścieżka, wzdłuż której przechadzał się jako mały chłopiec chwiejnym krokiem, trzymając ojca za rękę. Po trwającej dobrą godzinę wędrówce dochodziło się do zameczku myśliwskiego, który tak samo jak lasy dookoła należał do rodu Answerów. W ciągu wszystkich tych lat, które spędził jako paź na zamku hrabiego Leonharda, często wyobrażał sobie, że pewnego dnia wróci do domu. Ciągłe widział siebie siedzącego wysoko na koniu, jak wjeżdża zwodzonym mostem na dziedziniec zamku – jednak nigdy nie przyszedł mu na myśl tajny korytarz prowadzący pod ziemią z zameczku myśliwskiego aż na wzgórze zamkowe. Tymczasem wszystko potoczyłoby się o wiele łatwiej i bardziej gładko, gdyby niepostrzeżenie wtargnął od dołu do piwnicy zamku, zamiast pokazywać się niczym niczego niepodejrzewający kozłak swoim myśliwym.*

*Przez dłuższy czas Wawrzyniec wędrował pod dachem z liści. Już dawno słońce zarzuciło na niego swoją sieć z drgających złocistych włókienek. Las odbijał się echem śpiewających ptaków, a mruczenie potoku, mknącego obok ścieżki, brzmiało dla jego uszu tak swojsko, jakby nigdy nie opuszczał tych stron.*

*Już wkrótce dotarł do małego, leśnego jeziora, nad którym nieraz odpoczywał z ojcem. Kamienna ławka znajdowała się na brzegu w tym samym miejscu, co niegdyś, pokryta grubą podściółką z mchu, a Laurencjusz usiadł na niej i popatrzył, mrużąc oczy, spomiędzy gałęzi starej wierzy. Ze wszystkich stron podpływały do niego kaczki i łabędzie, zupełnie jakby rozpoznawały w nim małego Wawrzyńca, który karmił je niegdyś okruchami chleba i płoszył, ciskając w kamienie wodę.*

*Zrobiło mu się tak rzewnie na duszy, że nie od razu dostrzegł niezwykłą, małą istotę. Była niewiele dłuższa niż jego ramię, a swoją zieloną barwą przypominała trzcinę. Wylonila się z jeziora, sunąc i pełznąc na rękach, i wylądowała na suchym brzegu tuż przed czubkami butów Wawrzyńca. Włosy miała pozlepiane od ilastego namułu i wodorostów, a jej oczy przywodziły na myśl lilie wodne.*

*– Skąd się tu wzięłaś? – wykrzyknął Wawrzyniec, gdy w końcu zobaczył to małe stworzenie. Ześlizgnął się z kamiennej ławki i upadł na kolana obok wodnej istoty. – Jestem ci winien podziękowania – ciągnął dalej. – Bez twojej pomocy nigdy nie znalazłbym drogi powrotnej do domu!*

*Zielone stworzenie skinęło tylko bez zastanowienia w jego stronę.*

*– Ale co ty tu robisz? – powtórzył Wawrzyniec. – Tak daleko od huczącej rzeki?*

*– Pospiesz się, góra jest twarda – wybulgotało stworzonko i popatrzyło na Wawrzyńca*

przenikliwym wzrokiem. Nie odpowiadając na żadne z jego pytań, odwróciło się, wyrzuciło w górę ramiona podczas skoku i znów zniknęło pod wodą.

Głęboko pogrążony w myślach Laurencjusz ruszył dalej.

– Pospiesz się, góra jest twarda – wciąż mamrotał, jednak za każdym razem słowa małej istoty wydawały mu się coraz bardziej tajemnicze.

Słońce obejmowało wszystko sieciami ze złocistego światła. Cokolwiek wpadało w te sieci, zatrzęsało się z błogości i jęło się cicho radować. Śpiew słowików i rudzików był wonnym, przyjemnym dźwiękiem.

Krzaki na skraju drogi uginały się pod ciężarem jagód, a Wawrzyniec przejechał po nich opuszkami palców i miał wrażenie, że słyszy westchnienia swojej najdroższej Lucyndy. To, co mrucał potok po jego prawej stronie, rozumiał teraz jasno i wyraźnie.

– Spiesz się i naprawiaj!

W leśnym podszyciu ujrzał tłące się wilcze ślepie. Obserwowały go, od czasu gdy wycofał się do lasu, ale Laurencjusz Answer nie odczuwał strachu. Miał przy sobie swój rodowy miecz i zdoła się obronić dobrze wymierzonymi uderzeniami.

Wawrzyniec przycałił się tak, by miał w zasięgu wzroku zameczek myśliwski. Przez dłuższy czas siedział w kucki w zaroślach i nie spuszczał oka z portalu w górze, po obu stronach którego stały kamienne jelenie. Jednak tam, po drugiej stronie, nic się nie poruszało. Wszystkie drzwi i okiennice były zabarykadowane, a cała budowla prawdopodobnie opustoszała przez lata.

Dopiero gdy Wawrzyniec wyszedł ze swojego ukrycia, zauważył zielone stworzenie kucające na skraju drogi i patrzące się w jego stronę w zamyśleniu. Było podobne do wodnej istoty, którą widział przed chwilą, tyle tylko, że zdawało się jeszcze mniejsze i chudsze. Jego kończyny przywodziły na myśl małe węże.

– Spiesz się, ojciec cierpi biedę – wybulgotało stworzenie i już chciało uciekać.

Jednak tym razem Wawrzyniec był szybszy. Rzucił się na ziemię i chwycił to stworzenie za czuprynę.

– Kim jesteś? Czego ode mnie chcesz? – wykrzyknął.

– Jestem krucmarem, a jest nas całkiem wielu – wybulgotało stworzenie. – Nie jesteśmy koboldami, jak ci się może wydawać, koboldy kopią sztolnie w górze. Ale my przeplływamy, ciekniemy, kapiemy i wijemy się przez najmniejsze szczeliny i poty w skalach. Sam się jeszcze przekonasz.

– O czym się przekonam? – Ze zdziwienia Wawrzyniec zapomniał przytrzymać krucmara i już w następnej chwili stworzonko pomknęło przez listowie i leśne podszycie.

*Na tyłach zameczku schody prowadziły do wąskich drzwi. Okucia były zardzewiałe, a niewielkie schody porośnięte pokrzywami i ostem. Najwidoczniej nikt nie korzystał z tego wejścia już od wielu lat – nie licząc pół tuzina krucmarów, które siedziały na najniższym stopniu i wypatrywały się w zamyśleniu w stronę Wawrzyńca.*

*– Przejdźmy na drugą stronę – wybulgotał jeden z nich. W następnej chwili wszystkie wślizgnęły się do środka przez szczelinę w drzwiach wielkości małego palca.*

*Gdy Wawrzyńcowi udało się już odsunąć rygiel i otworzyć zarośnięte pajęczyną i bluszczem drzwi, w środku nie było już ani śladu po tych małych ludkach. W twarz buchnęło mu stare, zatęchłe powietrze. Korytarz wydawał się teraz o wiele węższy i bardziej spadzisty, niż go zachował w pamięci, i w rzeczywistości musiał się przez niego przeczołgać. Była to raczej rura niż korytarz, ściany i ziemia były śliskie od wilgoci i pokryte grzybem.*

*– Spiesz się, góra jest twarda. – Usłyszał dobiegający ze środka bulgot. Wtedy Wawrzyńiec zdobył się na odwagę i wczuł się do tajnego korytarza.*

*Szedł już chyba z godzinę chwiejnym krokiem, częściowo z wciągniętą głową, częściowo czołgając się na rękach i kolanach, gdy droga nagle się urwała. Dookoła niego było ciemno choć oko wykol. Palcami macał ułożone w stos, wrastające w siebie szczątki skalne. Najprawdopodobniej korytarz zawalił się w tym miejscu i zappełnił się od ziemi aż po strop odłamkami i otoczkami.*

*Wawrzyńiec omal nie krzyknął ze złości, jednak zdołał się opanować.*

*– A teraz, wy tam krucmary – wymamrotał – wylażcie i mi pomóżcie.*

*Zanim skończył mamrotać, w otoczkach przed nim zaczęło się tlić na zielono. To, co wyłoniło się – pełzną i pędząc – z maleńkich szpar i szczelin, z początku wydało się Wawrzyńcowi tylko kroplami w kolorze mchu i zielonymi strużkami pleśni. Ledwo jednak krucmary całkowicie wypełzły z tej góry gruzu, zaczęły przyjmować swoją starą postać. Siedząc w kucki na odłamkach skał, patrzyły zamyślane w jego stronę, a z każdą chwilą ze sterty kamieni wychodziły kolejne zielone stworzenia. Bijący od nich w ciemności nikły żar, rzucał zielonkawą poświatę na sztolnię, stos odłamków i na samego Wawrzyńca.*

*– Rób, to co my – wybulgotał jeden z krucmarów.*

*Wawrzyńcowi wszystkie wydawały się identyczne.*

*– Ściekaj i przeciekaj na wylot – dorzucił inny.*

*– Płyn i przepływaj na drugą stronę – zachęcał go kolejny krucmar.*

*– Tutaj to jeszcze proste – dodawała mu otuchy czwarta mała istotka. Wskazała zielonym od bluszczu palcem na kupę gruzu. – Pory są tu tak duże, a szczeliny tak szerokie, że nawet rycerz na koniu by się przez nie przecisnął.*

*Po czym wszystkie krucmary wybuchły bulgocącym śmiechem, a bijąca od nich zielona poświata żaru zaczęła migotać.*

*– Jesteś załamującą się falą – wybulgotał piąty krucmar, po tym jak już wszystkie ucichły. – Rozpryskujesz się na krople i pianę, a później znów stajesz się falą.*

*– Musisz to wyrazić inaczej – zgłosił zastrzeżenie ostatni z małych ludków, który nie wybulgotał do tej pory ani jednej sylaby. – W końcu on jest rycerzem. Cóż może wiedzieć o tym, jak się posuwać kałużą? – Krucmary znów parsknęły śmiechem i zachichotały.*

*– Twoją siłą jest twa wola – usłyszał w końcu Wawrzyniec.*

*– W jej sferze wpływów pozostały wszystkie części twojej zbroi. Jeśli nawet martwisz się teraz o pancerz, hełm, ostrogi i blachy, w końcu wszystko znów spłynie i będzie stanowiło jedną całość.*

*Teraz parsknął śmiechem i rycerz Laurencjusz. W pewnej chwili sam już zaczął w to wierzyć, że będzie musiał naśladować krucmary i tak jak one przeciekać przez pory i szpary w otoczkach.*

*Czyż nie przeszedł przez swoją własną tarczę z mosiądzu, jak przez dziurę w ziemi, w której zbiera się woda? I czyż nie zeskoczył wraz ze swym dzielnym karosem na tratwę, by płynąć podziemną rzeką? Kto miał za sobą takie wyczyny, ten z pewnością potrafił także przechodzić przez ściany skalne.*

*Krucmary podniosły się teraz wszystkie z odłamków skalnych, na których siedziały. Odwróciły się w stronę sterty gruzu, popatrzyły znów do tyłu na Laurencjusza, wyraźnie oczekując jego zainteresowania, i już zaczęły przeciekać przez ledwo widoczne szczeliny i szpary do środka skal.*

*Moją siłą jest moja wola, powiedział sobie Laurencjusz, która utrzyma wszystko w całości, jeśli nawet moje poszczególne części rozplyną się niczym krople. Jestem załamującą się falą, która rozpryskuje się na krople i pianę, by w końcu znów stać się falą. Nieustannie przywoływał oba te obrazy w swoim wnętrzu, jednocześnie zaczął się przeczołgiwać przez nagromadzone odłamki skalne. Głową wszedł bez problemu do środka, a po chwili wsunął tam także swoje ramiona.*

*Czuł się mniej więcej tak, jakby wwiercał się w kupę błota lub w ciasto chlebowe. Gęsta maź napierała na niego z wszystkich stron, starając się go zatrzymać, ale on niezachwianie pełznął dalej i wił się przed siebie. Moją siłą jest ma wola, która trzyma wszystko w całości, mówił sobie Wawrzyniec – i rzeczywiście wydawało mu się, jakby stał się chmurą, kurzawką, kaskadą pędzących przed siebie elementów. Kilka spośród jego części wystrzeliwało i przepływało dalej w górę przez stertę gruzu, inne znowuż na lewo i na prawo*



*od niego, ale przez cały czas czuł, że wszystko znajduje się w strefie wpływów jego woli.*

*Już wkrótce odnalazł radość w tym niesłychanym, nowym sposobie poruszania się naprzód. Przeciekał i prześlizgiwał się przez kamienne gruzy naprzód, a odłamki otoczków przetaczały się w przeciwnym kierunku przez niego, bo stwarzał konieczne otwory i szpary w swoich poszczególnych częściach. Tak jak przelotne ptaki mkną po niebie już to w stadach blisko siebie, już to rozproszone na wszystkie strony, tak samo Wawrzyniec czuł, jak tysiące jego części rozlatuje się we wszystkie strony, a jednocześnie wiedział przecież, że wszystko nadal jest ze sobą powiązane jakby niewidocznymi niemi.*

*W końcu przebrnął przez stertę odłamków skalnych. Po drugiej stronie na ziemi siedziały w kucki krucmary – tym razem było ich co najmniej dwa tuziny. Patrzyły w zamyśleniu w jego stronę. Wawrzyniec wyprostował się – korytarz był tu na tyle wysoki, że mógł w nim stanąć. Zrobił kilka chwiejnych kroków, potknął się i upadł. Poruszanie się w powietrzu, a nie przez kamienie, po prostu przyprawiło go o zawrót głowy.*

*– Spiesz się, góra jest twarda – zagrzewał go do działania jeden z krucmarów.*

*– Daleka droga, ojciec cierpi niedostatek, nieboga – wtrącił się drugi.*

*– Dajcie mi tylko chwilę odpocząć – poprosił Wawrzyniec.*

*Dopiero teraz, gdy wydawało się, że ma już najgorsze za sobą, dopiero teraz poczuł tak naprawdę, jak bardzo wyczerpujący był ten sposób poruszania się.*

*– Stąd droga nie powinna być już daleka – dorzucił, gdy złapał nieco oddechu.*

*– Tylko kilka kroków – odparł jeden z krucmarów.*

*– Za następnym zakrętem wszystko jest znowu zablokowane – kontynuował kolejny mały ludek.*

*– Az do wyjścia pod pałacem.*

*Bardziej przerażony niż rozgniewany Laurencjusz przenosił wzrok z jednego krucmara na drugiego.*

*– Cała reszta korytarza jest zasypana? Dlaczego mówicie mi o tym dopiero teraz?*

*– Dopiero teraz? – odpowiedział jeden z krucmarów pytaniem na pytanie. – Spiesz się, góra jest twarda, bez przerwy wykrzykujemy to w twoją stronę.*

*Wawrzyniec odwrócił zmieszany spojrzenie. Tajny korytarz prowadził pod całym wydłużonym wzgórzem aż do zewnętrznego dziedzińca zamku. Tam prawie pionowy szyb prowadził w górę do piwnicy znajdującej się pod wieżą mieszkalną. Wspinanie się tam bez powrozu lub drabiny było nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach mozolnym i niebezpiecznym przedsięwzięciem. Ale teraz to i tak zdawało się nie mieć większego znaczenia – pokonanie całej tej trasy prowadzącej przez odłamki skalne i otoczaki, to było dla niego*

zdecydowanie za wiele.

– Wejdź tu na górę, wtedy zaraz znajdziesz się u celu.

– Krucmar, który udzielił mu tej rady, uniósł cienkie jak gałeczki ramiona i wskazał prosto na strop.

Wawrzyniec spojrział w górę.

– Ale ta skała jest masywna.

W zielonej poświacie widać było jeszcze nawet ślady siekiery i młota, za pomocą którego mozolnie wydrążono niegdyś ten korytarz w kamieniu.

– Sto stóp samej skały – potwierdził kolejny z krucmarów – i właśnie nad nią znajduje się loch, w którym bieduje ojciec.

Laurencjusz wstał z trudem. Poszedł dalej wzdłuż korytarza i zawrócił po trzech krokach. Za zakrętem wszystko rzeczywiście znów było zasypane.

– Sądzicie, że mi się uda? Sto stóp w górę przez skałę?

– Skała jest jak ser – zachęcały go krucmary. – Pełno w niej dziur i porów, pełno szpar i szczelin – tak tylko się przez nią płynie i tak się sunie przez nią. Sam zresztą zobaczysz!

Wawrzyniec odchylił głowę do tyłu, uniósł ręce i delikatnie nacisnął opuszkami palców skałę. Jestem załamującą się falą, która rozpryskuje się w krople i pianę, by w końcu znów stać się falą. Czuł, jak jego ręce przechodzą przez skałę, po czym ostrożnie wsunął w nią także głowę i ramiona. Moją siłą jest ma wola, powiedział sobie Laurencjusz, nawet jeśli na razie moje poszczególne części rozpląną się niczym krople. I tkwił już do pasa w górę w skale i mocnymi pływackimi ruchami wciągnął ramiona do środka.

Krucmary wślizgiwały się i przeciekały tuż za nim i już wkrótce wyprzedziły go po prawej i lewej stronie. Oświecały mu drogę, a Wawrzyniec widział przez setki różnych porów i szczelin w skale zieloną poświatę ich żaru i sunął, i płynął za nimi. Skała była jeszcze gęstsza niż luźno usypane gruzy, przez które przeciekał jeszcze przed chwilą. Ale za to wiele różnych porów i cienkich jak w los szpar ciągnęło się o wiele bardziej równomiernie przez górską skałę, dzięki czemu posuwał się w końcu szybciej i lżej naprzód.

Laurencjusz był już u kresu sił, gdy do nosa zaczęło mu wreszcie napływać powietrze, a nie skalny pył. Było to wprawdzie zatęchłe, stare powietrze, jednak wdychał je do gardła, niczym najpyszniejszą bryzę, i przez dłuższy czas pozostawał w takiej dziwacznej pozycji – wystawał od szyi w górę sponad ziemi jakiegoś lochu, tymczasem cała reszta tkwiła wciąż jeszcze we wzgórzu pod zamkiem Answer.

Nie była to cela, w której od dłuższego czasu tkwił jego ojciec – a w każdym razie ten piwniczny loch był niezamieszkały. Nie licząc szczurów, które natychmiast przybiegły w jego

stronę, by obwąchać uszy Wawrzyńca, a następnie przywołać piskiem posiłki. Ale tym szybciej Wawrzyniec wy dostał się z ziemi i scalił swoje poszczególne części w jedną całość. Kilkoma kopniakami spłoszył szczury, po czym usiadł na kamiennej ławce, nad którą z zardzewiałych obręczy umocowanych na ścianie zwisały żelazne łańcuchy.

*Krucm ary wyzierały ze szpar w ścianach i podłodze.*

– Spiesz się, ojciec cierpi niedostatek – napomni ał go jeden z nich, wypełzając z jednej ze szpar w podłodze. Wskoczył do

*Wawrzyńca na kamienną ławkę i wskazał na mur za jego plecami.*

– Tam gniewa się i cierpi. Wyzwól go!

*Wawrzyniec wciąż jeszcze był tak zdyszany, że ledwo mógł cokolwiek wysapać.*

– Dzięki, stokratne dzięki – wybełkotał. Tak wiele lat się na to przygotowywał, by wyzwolić swego ojca spod władzy jego przeciwników. A gdyby już odnieśli zwycięstwo, a nad ich zamkiem znów zaczęłyby powiewać ich chorągiewy, to wtedy najkrótszą drogą wróciłby do Lucyndy i wreszcie wyprawiliby wesele.

*Wstał i się odwrócił. Mur za kamienną ławką był zbudowany z potężnych, poczerniałych ze starości kamieni ciosanych. Jestem załamującą się falą, pomyślał Wawrzyniec, i przeszedł przez ścianę do lochu ojca.*

*Tam siedział na kamiennej ławce zapadnięty w sobie, najwidoczniej bardzo stary mężczyzna. Tylko z trudem Wawrzyniec potrafił rozpoznać w tym schorowanym starcu tego niegdyś jakże silnego i dumnego pana zamku. Na czoło opadały mu cienkie jak pajęczyna siwe włosy. Oczy miał zapadnięte, a jego płomienne niegdyś spojrzenie było tępe. Ledwo zdawał się dostrzegać szczury, które szamotały się z piskiem wokół jego stóp, walcząc o jakieś kawałki chrząstki. I chyba już tylko żelazna obręcz na szyję, za pomocą której był przykuty do ściany, utrzymywała go jako tako wyprostowanego.*

– Oto jestem, ojcze. Przybyłem, by cię uwolnić. – Wawrzyniec upadł przed nim na kolana, a szczury się rozpierzchnęły.

– Późno przychodzisz, synu. – Nie ruszając głową, ojciec rozejrzył się po swojej celi. – A gdzie twoje wojsko?

*Wawrzyniec spuścił głowę.*

– Jestem sam, ojcze.

– Sam. – Stary mężczyzna powtórzył to słowo takim tonem, jakby oznaczało ono dla niego definitywny wyrok śmierci.

– Ale mam plan – dodał pospiesznie Wawrzyniec – i mimo że nie przyprowadziłem ze sobą żadnego wojska, nie jesteśmy zdani tylko na samych siebie. – Tym razem to on rozejrzył

się po celi, czy gdzieś w szparach w murze nie migoce przypadkiem zielone światło, ale krucmary nie pokazywały się. – We wzgórzu pod zamkiem jest pełno krucmarów. – dodał. – Z pewnością już nieraz widzieliście je w waszym lochu. Mają zieloną skórę, są chude i maleńkie. Potrafią przemknąć przez masywny kamień, jakby nie był gęstszy od wody, ba, od powietrza.

Urwał i zerknął w górę na ojca. Jednak ten siedział nieruchomo, jakby sam był wyrzeźbiony z kamienia.

– I w arkana tej sztuki – kontynuował mimo to Wawrzyniec – wtajemniczyły mnie, a i was na pewno chętnie poinstruuja, jeśli tylko im i mnie na to pozwolicie.

– Krucmary! – Ojciec wypluł z siebie te sylaby, jakby z gardła wypelzło mu oślizłe robactwo. – Już od wielu lat to robactwo suszy mi głowę: „Zrób to tak, jak my, przeciekaj i przepływaj przez skalę”. Ale zapamiętaj sobie, synu – dodał, a jego głos, który jeszcze przed chwilą był cichy jak u staruszka, zabrzmiał teraz jak łomot piorunów. – Posłuchaj i zapamiętaj sobie raz na zawsze. Ten loch opuszczę jako człowiek wolny albo wcale. Posłałem cię, byś nauczył się sztuki walki rycerskiej, a nie tchórzliwych sztuczek tych gnomów! Powinieneś wrócić z wojskiem szlachetnych rycerzy i odważnych zbrojnych, by rozgromić naszych najeźdźców i profanów lancą i mieczem, kuszą i maczugą, i wyplukać ich z zamku Answer ich własną krwią – jak kupę śmieci, którą w istocie są.

Jego ojciec dyszał, a oczy płonęły mu prawie tak, jak dawniej. I gdyby nie miał szyi i rąk przykutych do ściany, Wawrzyniec nie zdziwiłby się, jakby ojciec zerwał się z miejsca i zaczął rozwścieczony stąpać ciężko tam i z powrotem po celi, jak to zwykł czynić w dawnych czasach, gdy wpadał w złość z powodu jakiegoś lekkiego przewinienia swych ludzi lub dzieci. Jednak w obecnej sytuacji mógł tylko wymachiwać nieco swoimi wychudzonymi ramionami, a przy tym łańcuchy szczękały ze zgrzytem.

– A ty, co raczysz mi zaproponować, synu? – oburzał się ojciec, po tym jak zdołał odetchnąć. – Niczym robak, tak skulony i drgający, mam się wykraść z tego lochu – ja, jedyny prawowity pan na zamku Answer? Precz mi stąd, jeśli to ma być cały twój plan, to popelźnij z powrotem do błota, do tych swoich krucmarów, a swego ojca zostaw na pastwę okrucieństwa i nikczemności jego wrogów.

Laurencjusz ponownie spuścił głowę. Ojciec wypowiedział surowy, gorzki osąd, ale on nie mógł mu brać tego za złe. Ostatecznie duma była jedyną rzeczą, jaka mu pozostała.

– A kim właściwie są nasi wrogowie – zapytał – i czego szukają tutaj, w naszych posiadłościach?

– To hołota z lasów – wyrzucił z siebie ojciec. – Raczej drapieżne zwierzęta niż

*rycerze chrześcijanie. Oto twoi przeciwnicy!*

*Ledwo zdążył to powiedzieć, a w korytarzu rozległy się odgłosy zbliżających się kroków. Kółko z kluczami zaszczekało, ktoś nucił jakąś melancholijną melodię, a był to głos młodego mężczyzny.*

*– Nadchodzi strażnik – syknął ojciec – a więc teraz ukryj się, mój wyzwolicielu!*

*Pełne szyderstwa słowa ojca bardzo zasmuciły Wawrzyńca, mimo to śpiesznie posłuchał rozkazu. Jestem załamującą się falą, pomyślał i ukrył się w ścianie, do której był przykuty jego ojciec. Była zbudowana z masywnej, litej skały, bo najniższe położone pomieszczenia piwniczne zamku Answer były częściowo wbudowane we wzgórze zamkowe – lub z niego wyrzeźbione, jak kto woli. Jednak już po pierwszym kroku w głąb skały Wawrzyniec zawrócił i stwierdził uradowany, że przez wiele różnych szpar i porów w skale może zajrzeć do środka celi niczym przez zamazaną szybę okna.*

*W następnej chwili zamek u drzwi zapisał, drzwi do lochu gwałtownie się otwały, a w progu stanął młodzieniec, który wyglądał zupełnie jak Wawrzyniec.*

*Wawrzyniec patrzył się na niego przez skałę o szerokości dwóch stóp jak na jakąś nocną zjawę. Zaparło mu dech w piersi i na szczęście odebrało mowę, w przeciwnym razie zacząłby krzyżeć, bo krzyk czał się już w jego gardle. Ten mężczyzna, który na jego oczach wszedł do celi ojca, był naprawdę do niego podobny jak dwie krople wody. Położył przed ojcem drewnianą miskę z wodnistą zupą. Już po chwili był znowu na zewnątrz i zaryglował drzwi. Wawrzyniec ponownie usłyszał go nucącego ponurą sekwencję dźwięków, podczas gdy oddalały się jego kroki.*

*Moją siłą jest ma wola, która trzyma wszystko w całości, pomyślał Wawrzyniec. Wygrzebał się i wypelzał znów ze ściany.*

*– Ten młodzieniec, ojciec – zawołał – dlaczego jest do mnie podobny jak bliźniak, ba, jak moje lustrzane odbicie?*

*– Podobny? – Ojciec uniósł swoimi trzęsącymi się dłońmi drewnianą miskę i wysiorbał wodnistą zupę. – Co ty znowu opowiadasz? Ten chłopak jest jak dzikie zwierzę! Czy nie widziałeś jego oczu? To nie są oczy człowieka – to wilcze ślepia, żółte i bezlitosne.*

*Laurencjusz miał już teraz zupełny mętlik w głowie. Usiłował sobie przypomnieć, jak wyglądały oczy tamtego chłopaka. Tak, ojciec miał chyba rację, co się tyczy ich koloru i kształtu. A jednak jeszcze nigdy nie spotkał człowieka, który byłby do niego tak bardzo podobny.*

*Tymczasem ojciec skończył swój lichy posiłek. Drewniana miska wyślizgnęła mu się z rąk i upadła z łomotem na ziemię, ale ojciec nawet nie drgnął. Oczy mu się zamknęły, a z ust*

*dobyło się chrapanie.*

*– Ja tu wróce, ojczy, już wkrótce – wymamrotał Laurencjusz i znów wszedł w skałę.*

*Dość wprawnymi ruchami płynął, przeciekał i prześlizgiwał się w skałę dalej w górę. I gdyby nie krucmary, które natychmiast znalazły się na miejscu, by mu towarzyszyć i oświetać mu drogę swoją zieloną poświatą, Laurencjusz zupełnie zblądziłby w tej ciemnej skałę.*

*– Zaprowadźcie mnie do pałacu – poprosił – ale chcę tylko zajrzeć z zewnątrz do środka, a może raczej od wewnątrz, mianowicie z litej skały, przez którą potrafił już patrzeć jak przez zamazaną szybkę w oknie, gdy tylko nie był w niej zbyt głęboko zanurzony. Ale krucmary dobrze go zrozumiały, bo przecież dla nich „zewnątrze” było tym, co dla zwykłych istot zamieszkujących na lądzie i w przestworzach oznaczało „wnętrze”, i na odwrót.*

*Niedługo potem Laurencjusz znalazł się w tylnej ścianie wielkiej sali, całkiem na dole w pałacu. Ta wieża mieszkalna była najstarszą częścią zamku Answer i jednocześnie została wbudowana w skalne podłoże, co zresztą uwieczniono w herbie rodowym Answerów.*

*Laurencjusz przez wiele różnych, cienkich jak włos szpar i porów w skałę mógł zobaczyć wystarczająco wyraźnie, co też działo się w środku sali. Wyrośnięty mężczyzna, odziany w kosztowne szaty, siedział na zaszczytnym miejscu na końcu długiego stołu. Z apetytem zajadał potrawy i popijał trunki, które w srebrnych misach i kryształowych kielichach stały przed nim na stole. A mężczyzna ten swym wyglądem do złudzenia przypominał jego ojca – a raczej wyglądał tak, jak dumny pan na zamku Answer przed laty, był tak samo pewny siebie, zdrowy i silny, zanim odebrano mu jego własność, a on sam został wtrącony do lochu.*

*A wszystko to było zupełnie zagadkowe, bo po prawicy tego mężczyzny miejsce zajmował właśnie ten sam młodzieniec, który dopiero co zanosił do piwnicy miskę z wodnistą zupą. I obaj wyglądali zupełnie, jakby byli sobowótami, bliźniaczymi braćmi lub lustrzanymi odbiciami ojca Wawrzyńca i jego samego – tylko ich oczy były inne, zarzyły się na żółto i były zwężone w sierpowate szparki. A po lewej stronie mężczyzny, który niewątpliwie był teraz obecnym panem na zamku Answer...*

*Laurencjusz ledwo mógł się dokładniej przyjrzeć, a w jeszcze mniejszym stopniu mógł odwrócić spojrzenie.*

*Tam zasiadała kobieta w średnim wieku, z zatroskaną miną, jakby skamieniała ze zgryzoty. Niegdyś była przepiękna i mimo że zaczynająca się starość i ciągle zmartwienia wryły swym dłutem wiele różnych zmarszczek na jej twarzy, wciąż jeszcze była wspaniała. Była to matka Wawrzyńca. Od razu też rozpoznał młodą kobietę u jej boku. Mimo że i ona była o wiele starsza niż w jego wspomnieniach – nie wyglądała jak dziewczyna, lecz już*

*dawno stała się młodą kobietą.*

*Wawrzyniec nie mógł już jednak wytrzymać tego dłużej. Uderzył się pięścią w twarz, by nie zakrzyczeć – tak głośno zakrzyczeć, zawrzeszczeć i zawyć, że jego krzyk przebilby się nawet przez skalę i doszedł do uszu uczujących tam na zewnątrz bądź wewnątrz. Ugryzł się w kostki palców i poczuł ból i lepkie ciepło swojej własnej krwi na wargach, ale na nic się to zdało. W jego wnętrzu nadal szalały groza, gniew i nienawiść.*

*Obok matki siedziała Giza, jego siostra, która bynajmniej nie umarła, jak mniemał przez cały ten czas, podobnie jak i nie umarła jego matka. Obie żyły, były wprawdzie jak skamieniałe z bólu i zmartwienia, ale poza tym najwidoczniej były wolne i zdrowe. I jak za starych, dobrych czasów, mieszkały na zamku Answer, jedna u boku swego męża i syna, druga – u boku swego ojca i brata. A ci dwaj mężczyźni byli podobni do Wawrzyńca i jego ojca jak dwie krople wody, tyle tylko, że w ich twarzach osadzone były żarzące się wilcze ślepia, żółte i zwężone w sierpowate szparki.*

*– Zaprowadźcie mnie z powrotem do zamku myśliwskiego – poprosił Wawrzyniec krucmary. Głos zabrzmiał dla jego własnych uszu, jakby był zduszony. I tak też się czuł. Nie mógł już dłużej tego znieść. Nie wytrzymałby ani jednego spojrzenia na to wywołujące dreszcz grozy zamieszanie, na fałszywego ojca, fałszywego Wawrzyńca, na matkę i Gizę, które już od dłuższego czasu żyły z tymi zwierzętami w ludzkiej skórze. Ani na te dwa lub nawet trzy tuziny wilczokich mężczyzn, zasiadających na długich ławach przy tylnym końcu stołu i zapychających sobie pyski gołymi rękami tym wszystkim, co zostało ułożone w stosy na drewnianych półmiskach przed nimi. Kości, z których zwisało jeszcze postrzępione futro, krwawe, surowe mięso.*

*Zapadał już zmierzch, gdy Laurencjusz wychodził przez małe drzwiczki pod zamkiem myśliwskim. W drodze powrotnej, prowadzącej przez skalę i żwir, nieustannie rozmyślał nad tym, jak mógłby jednak uwolnić ojca, by skończył się ten koszmar, który ogarnął wszystkich.*

*Cokolwiek przychodziło mu jednak na myśl, już w następnej chwili wydawało się skazane na niepowodzenie. Nie mógł nic wskórać przeciwko tej budzącej grozę, potężnej mocy.*

*– Istnieje jeden sposób na uwolnienie twoich bliskich – wybulgotał jeden z krucmarów, gdy Wawrzyniec wchodził właśnie ciężkim krokiem po wąskich stopniach między bluszczem i ostem.*

*Zmęczony, odwrócił się w ich stronę.*

*– Jaki sposób? – spytał.*

*– Ubiec wilczych ludzi – odpowiedział inny krucmar – tak żeby nawet nie zdążyli*

*jeszcze stać się dla was zagrożeniem.*

*– Ani w terażniejszości, ani w przeszłości – oznajmił gorliwie trzeci krucmar.*

*Laurencjusz pokręcił głową.*

*– Jakże by to było możliwe? Która droga zaprowadzi mnie z powrotem do zamku?*

*Czwarty krucmar popatrzył na niego w zamyśleniu, zanim udzielił mu informacji.*

*– Zapytaj przewoźnika, co płynie pod prąd.*

## 2

GDY DOSZEDŁ DO SIEBIE, leżał w ciemności na słomie i pledach. W pewnej odległości migotało światło pochodni. Zapytaj przewoźnika, odbiło się w nim echem, w czasie gdy świat Laurencjusza stopniowo rozpadał się na jego oczach – drzwi prowadzące do tajnego korytarza, krucmاری zasiadające przed nimi na stopniach, na wpół ukryte między bluszczem i ostem.

– Jestem Amos von Hohenstein – wymamrotał i obrócił się na bok. Obok niego leżała Klara, która wzdychała cicho przez sen. Chciał jej opowiedzieć, co właśnie zobaczył, ale spała głębokim i twardym snem. Jej oddech łaskotał go po policzku. Wymruczała coś, czego nie rozumiał. Wiele tysięcy kropli ściekało wszędzie w tej potężnej górze przez szpary i szczeliny i spadało na ziemię z pluskiem, odbijając się echem.

Amos wciąż jeszcze czuł się oszołomiony, zupełnie jakby tym razem Laurencjusz nie chciał mu pozwolić na powrót do jego własnego świata. Coś go tam trzymało, jakaś niewidzialna moc. Mimo że już przecież dawno obudził się z tego magicznego czaru lektury, nadal widział przed sobą tylną ścianę tamtego zamku myśliwskiego – potężne mury, utworzone już tylko z gęstych, przezroczystych oparów mgły. A za nimi, zupełnie rozmyty, mały pokój skalny z Klarą u boku i Johannesem leżącym gdzieś na ziemi, na drugim końcu izby, mamrocącym coś i dyszącym przez sen.

Jaką magiczną zdolność wzbudziła w nim ta trzecia opowieść? Czyżby chodziło o zdolność przechodzenia przez ścianę? Taka odpowiedź wydawała się Amosowi dość nieprawdopodobna – nawet jeśli nie kwestionował faktu, że tak potężni czarownicy, jak



Georg Faust, byli zdolni nawet do takich cudów.

Po jego prawej stronie Klara znów westchnęła. Rzuciła się z boku na bok, aż w końcu nagle zamarła i powiedziała jasno i wyraźnie, choć ciężkim, sennym głosem:

– Tak, matko Zofio, już idę.

I właśnie w tej samej chwili Amosa porwało do tamtego świata, do którego należały te potężne mury – i dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie był to zamek myśliwski ze świata Laurencjusza.

Znów znajdował się przed ponurymi murami, które ujrzał ostatniej nocy w wizji, jaką przesłało mu Opus Spiritus. Była to odpychająca fasada, z dwoma rzędami otworów strzelniczych i z czarnym dwuskrzydłowym portalem.

Po chwili wahania podszedł nieco bliżej. Dokądkolwiek go znów zagnało, panowała jak zawsze głęboka noc. W żadnym z dwóch tuzinów okien, tam w górze, nie paliło się światło. I tylko jeszcze księżyc rozjaśniał nieco tę czerń swym upiornie bladym światłem.

Amos pokonał trzy stopnie prowadzące w górę do portalu i niezdecydowanym wzrokiem popatrzył na kołatkę umocowaną na samym środku drzwi. Była to kunsztownie wykuta w żelazie figurka. Najwyraźniej przedstawiała Michała Archaniola z płomiennym mieczem, który trzymał wyciągnięty w górę, jakby w geście groźby i tryumfu.

Coś tu było zupełnie nie tak – widocznie znajdował się na swego rodzaju rozległym dziedzińcu. Budowle widać było w ciemności bardzo niewyraźnie, ale rozpoznał fasadę z muru pruskiego, stajnie i stodoły – cały ten kompleks bardziej przypominał gospodarstwo chłopskie lub mały przysiółek niż zamek otoczony murami obronnymi. Nieco dalej, w tle, wznosiła się ta wysoka wieża z potężnym krzyżem na kopule, który Amos dostrzegł także w przesłanej mu zeszłej nocy we śnie wizji.

Uniósł dłoń i sięgnął po kołatkę. Jednak ku swojemu zdziwieniu chwycił tylko powietrze. Zupełnie, jakby zacisnął swoje palce niczym szpony. Kołatka tylko tak wyglądała, jakby została wykuta w żelazie, w rzeczywistości jednak powstała z mgły i powietrza – właściwie była zrobiona z niczego.

Amosowi przeszły ciarki po plecach. Co to wszystko miało znaczyć? Gdy jeszcze intensywniej się nad tym zastanawiał, za czarnymi drzwiami coś się zaczęło poruszać. Usłyszał jakieś mamrotanie i kroki, które szybko zbliżały się w jego stronę, odbijając się echem. Przez szpary pod drzwiami i obok drzwi sączyło się na zewnątrz światło i kreśliło kanciaste i wydłużone „u” na stopniach i dziedzińcu.

Wtedy ktoś pchnął rygiel i w następnej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie z cichym piskiem. Na zewnątrz rozlał się strumień światła. Amos dał susa w bok, ale dwaj mężczyźni,

którzy wyszli przez drzwi jeden za drugim, w ogóle nie zwracali na niego uwagi. Mieli na sobie ciemne, sięgające do ziemi szaty. Obaj byli w średnim wieku i wyglądali na dobrze odżywionych. Światło księżyca połyskiwało na ich gołych czaszkach, które były zgolone na łyso z wyjątkiem wąskiego wianuszka włosów. Byli to najwidoczniej mnisi.

Pograżeni w swej rozmowie, schodzili po stopniach, a następnie pomknęli przez dziedziniec.

– Dlaczego nas nie posłuchał? – zapytał jeden z nich.

Drugi wzruszył na to ramionami.

– Całymi latami czyniliśmy wobec niego ustępstwa. A teraz jest już za późno.

Nie można było już zrozumieć niczego więcej. Obaj mężczyźni zniknęli w mroku. Jednak drzwi, przez które wyszli, były wciąż jeszcze szeroko otwarte. Pół kroku za progiem stał trzeci mnich, który trzymał w ręku latarnię. Musiał być już grubo po sześćdziesiątce, a na jego poranej zmarszczkami twarzy malowały się wątpliwości. Amos czuł, jak bardzo ten stary mnich targany jest sprzecznymi uczuciami.

– Jak w ogóle mogło do tego dojść? – wymamrotał mnich. Latarnia zaczęła się chwiać z piskiem na swym blaszanym uchwycie, bo tak bardzo zadrżała nagle ręka starego mężczyzny. – Nasze święte Sponheim!

Wtedy nagle Amos uświadomił sobie, gdzie się właściwie znajduje i jaką magiczną moc musiała w nim wzbudzić trzecia opowieść. Sponheim, tak nazywał się klasztor, którego opatem był Johannes Trithemius, „papież ksiązek”, który tak doskonale znał się na magii i zaklinaniu duchów, i który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa należał do Opus Spiritus. A więc Amos, po przeczytaniu opowieści o *skale, co była oknem*, nie mógł wprawdzie przechodzić przez skałę i ściany jak rycerz Wawrzyniec, jednak najwidoczniej potrafił teraz podróżować w magiczny sposób do daleko oddalonych miejsc.

W czasie gdy w głowie Amosa kotłowały się te myśli, starzec podszedł bliżej do drzwi i szykował się do ich zamknięcia. Jeśli dobrze to sobie wszystko poukładał w myślach, stwierdził Amos, to nie był to w żadnym razie szczęśliwy traf, że obaj mnisi nie zauważyli go przed chwilą. Tak czy owak, przez jakąś chwilę stał w pełnym świetle latarni, a ci dwaj nawet nie drgnęli ani nie rozejrzeli się zdziwieni, gdy jednym susem schował się w mroku. A oznaczało to najprawdopodobniej, że nikt tutaj nie mógł go widzieć, słyszeć ani postrzegać w jakiś inny sposób – ten stary mnich z latarnią też nie.

Dosłownie w ostatnim momencie, zanim drzwi się zamknęły, Amos przemknął przez próg do środka. Zatrzymał się dwa kroki za plecami starego i przyglądał się ze wstrzymanym oddechem, jak mnich powoli zamyka drzwi. Pochylił się, stękając, odstawił latarnię i znów

powoli się wyprostował, przy czym stęknął teraz nawet jeszcze głośniejszym niż przedtem. Mozolnie przeciągnął rygiel z powrotem, znów się pochylił i chwycił za wygięty uchwyt latarni.

– Nasze święte Sponheim – wymamrotał i pokręcił głową.

Amos cicho chrząknął – stary nawet nie zmrużył oka. Amos klasnął w dłonie – mnich nawet się nie zatrzymał. Z ręką przyciśniętą do krzyża szedł przygarbiony w stronę Amosa, powłócząc przy tym nogami, a ten znów dał susa w bok. Gdyby nie ruszył się z miejsca, gdzie stał, mnich po prostu by w niego wszedł. A może raczej przez niego przeszedł?

Sprawdź to przy najbliższej okazji, postanowił Amos. Serce waliło mu w piersi, ale nie było to już trwożliwe bicie serca, lecz triumfalne bębnienie. Teraz jestem już prawdziwym magiem!, pomyślał. Zdolność porozumiewania się z innymi ludźmi na drodze uczuciowej i telepatii była już wprawdzie wystarczająco wspaniałym darem, ale to, czego doświadczał tutaj, było jednak czymś zupełnie innym. Niczym duch mógł się udać w mgnieniu oka do odległego miejsca, a do tego włączyć się jeszcze niepostrzeżenie i wszystko śledzić! Jeszcze zeszłej nocy, gdy po raz pierwszy ujrzał w swojej wizji tę budowlę, wszystko to wydawało mu się tylko obiektem, który mógł oglądać z zewnątrz. Teraz jednak mógł się w nim poruszać wedle własnego uznania, a wszystko to brało się bez wątpienia stąd, że *Księga duchów* wywołała w nim kolejną magiczną zdolność.

Z jakiego powodu bractwu Opus Spiritus zależało na tym, by przybył właśnie tutaj – i to jeszcze magicznym lotem? Trithemius już wtedy przysłuchiwał się rzekomo wszystkiemu na drodze telepatii, gdy Amos i Klara spotkali się w bamberskim starym grodzie z księciem biskupem Georgiem i bractwem. I najwidoczniej ten sam Trithemius wezwał go tutaj, do klasztoru w Sponheim, którego był opatem.

Stary mnich powłóczył nogami wzdłuż ciągnącego się w nieskończoność, mrocznego korytarza, a Amos podążał tuż za nim. Jakby mógł się teraz dowiedzieć, gdzie w tym rozległym budynku tkwi opat Trithemius? Po obu stronach korytarza znajdowały się niezliczone drzwi, a Amos spróbował kilka razy, czy potrafiłby otworzyć jedno z nich, ale już wkrótce zrezygnował z tych prób. W tym świecie był tylko pozbawionym ciała duchem, a wszystko, czego usiłował dotknąć, było dla niego w dotyku niczym kolorowa mgła. Nie potrafił ani pociągnąć za klamkę, ani odsunąć rygla, a dokładnie rzecz biorąc jego stopy nie dotykały nawet ziemi.

Mimo że prawie umierał z niecierpliwości, na razie wciąż trzymał się starego mnicha. Sam w tych ciemnościach, nie potrafiąc nawet otworzyć czy zamknąć drzwi, nigdy nie znalazłby Trithemiusa. W końcu dotarli do rozległej sali. Niezliczone drzwi prowadziły stąd

do dalszych pomieszczeń lub korytarzy. Schody wiły się w górę na wyżej położone piętra. Na wszystkie dobre duchy, jak ja teraz znajdę Trithemiusa w tym labiryncie? Amos nie wiedział nawet, jak w ogóle wygląda opat.

Z pewnością najłatwiej byłoby mu osiągnąć ten cel, gdyby nawiązał łączność z Trithemiusem na drodze telepatii. Ale Amos nie mógł się do tego zmusić. Opat wydawał mu się przerażający, choć nie potrafiłby dokładnie powiedzieć, dlaczego. Trithemius „jedną nogą stał już w ogniu”, co wyszeptał mu do ucha Hans Wolf wtedy w Bambergu. Ale ten młody malarz gadał rozmaite rzeczy, o których wiedział jedynie ze słyszenia. Jednak Trithemiusa wspominał także brat Egbert podczas ich wczorajszej rozmowy i to w takim kontekście, który bynajmniej nie wydawał się Amosowi przerażający. Wraz z opatem klasztoru w Maulbronn, tak opowiadał Egbert, Trithemius przejawiał nadmierne zainteresowanie losami małego chłopca, rzekomo spłodzonego przez diabła. A tym chłopcem był Georg Faust, który wyrósł na potężnego i osławionego czarownika, najbardziej niesamowitego człowieka, z jakim Amos miał kiedykolwiek do czynienia.

Stary mnich przemierzył salę i powłóczył nogami w stronę drzwi, nad którymi złotymi zgłoskami było wypisane *Dormitorium* – a więc tamtędy prowadziła droga do sypialni mieszkańców klasztoru. Otworzył drzwi, a Amos chciał już wślizgnąć się za nim przez próg, gdy stary mężczyzna gwałtownie się cofnął. Jak się okazało, Amos szedł za nim za blisko, by mógł się teraz wycofać do jakiegoś bezpiecznego miejsca, ale to nie miało znaczenia. Stary zatoczył się do tyłu, przechodząc przez niego na wskroś. Wszystko wskazywało na to, że Amos nie tylko był niewidoczny dla mieszkańców tego świata, lecz nie mogli go postrzegać także przy użyciu innych zmysłów, a i oni byli z jego perspektywy stworzeni z udającego rzeczywistość, zabarwionego powietrza.

Jednak już w następnej chwili zupełnie o tym zapomniał. Przez drzwi dormitorium do sali wpadło pół tuzina mnichów, bosych i zaspanych.

– Pożar! – zawołał jeden z nich.

– Czy nie czujesz dymu, bracie Józefie? – krzyknął kolejny.

Stary mnich uniósł latarnię i rozejrzał się na wszystkie strony.

Uniósł nos, węsząc, po czym pokręcił markotnie głową.

– Nie widzę żadnych płomieni – wymamrotał – i nie czuję żadnego dymu.

Jednak był to już raczej monolog, młodszy mnisi popędzili boso przez salę, w stronę drzwi obok wschodniego wejścia na schody.

Amos pospiesznie pobiegł – a raczej poszybował – za nimi. Nad drzwiami było napisane *Biblioteka / Skryptorium*, a Amos zatrząsł się, biegnąc, gdy przeczytał ten napis.

Nigdy nie zapomni widoku spalonej biblioteki w domu Kronusa. Spopielone książki, porozbijane szafki i regały, a do tego smród nadpalonych skórzanych opraw książek i dziesiątek tysięcy stron spalonego papieru. Jeśli Trithemius zupełnie niesłusznie nosił przydomek „papież książek”, to tutaj w klasztorze musiała znajdować się biblioteka o wiele większa i drogocenniejsza kolekcja niż ta, którą Kronus potajemnie zebrał w folwarku młyńskim. A gdyby i w tej bibliotece wybuchł jakimś nieszczęśliwym trafem pożar, to konsekwencje byłyby niewyobrażalne!

Podążył za mnichami do wydłużonej sali, w której znajdowało się ponad tuzin pulpitów poustawianych za każdym razem parami, jeden za drugim. Na kilku stołach leżały manuskrypty lub zwoje ksiąg, a na ich widok Amosowi zrobiło się tęskno na duszy. Wszystko tutaj przypominało mu skryptorium Kronusa w dawnym folwarku młyńskim – kałamarze, pióra, otwarte książki.

Za oknami w prawej bocznej ścianie już świtało. Już niedługo Meinolf i jego purpurowi wojownicy wraz z psami św. Huberta zaczną biegać po korytarzach na górze i – prędzej czy później – znajdą salę duchów. Do tej pory wszyscy będą musieli stamtąd zniknąć i jest wysoce prawdopodobne, że brat Egbert ponaglał swoich ludzi do dalszej wędrówki. Tymczasem on szybował, unosząc się nad ziemią po tym odległym miejscu, i tylko jego ciało pozostało w małym pokoiku skalnym, gdzie wydawał się bezbronny i bezradny, tak jak to przepowiedziała Klara.

Tylko zachować spokój, napominał się Amos. Sprawdzi tylko szybko, co tu się dzieje w klasztorze w Sponheim, a wtedy wróci do Klary i Egberta, jak z bicza trzasnął.

### 3

NA DRUGIM KOŃCU skryptorium znajdowały się kolejne drzwi, a za nimi trzaskał i skwierczał ogień. Mnisi patrzyli po sobie skonsternowani, w czasie gdy pędzili przez skryptorium i lektorium w stronę tych drzwi. Jeden z nich położył już rękę na klamce, jednak po chwili wycofał ją tak szybko, jakby się poparzył.

– Słyszycie? – Patrzył wielkimi oczami na innych mnichów, a ci skinęli w jego stronę

z zastygłymi minami na twarzach.

– Jesteś potworem, Leo! – zawołał znajdujący się w środku z pewnością nie najmłodszy już mężczyzna i to głosem przypominającym szelest pożółkłego papieru. – Moja drogocenna biblioteka! Tylko taki diabeł jak ty może się ośmielić podpalić taki skarb!

– To on. – Stojący przy drzwiach mnisi znów obrzucili się spojrzeniami. – To opat Trithemius – szeptali jeden do drugiego.

Tymczasem za drzwiami do biblioteki łomotało i huczało, jakby w środku przewracały się ciężkie przedmioty. Także skwierczenie i trzask płomieni stawały się coraz głośniejsze. Spod drzwi dobywał się ciemny dym, gryząc mnichów w oczy.

– Ostrzegam cię, Leo – zawołał mężczyzna w środku drapiącym, papierowym głosem. – Mam za sobą moce, wobec których także ty i twoi możni panowie jesteście bezsilni.

– Grozisz mi? – odpowiedział drugi, bez porównania mocniejszy i śpiewniejszy głos. – Poważnie wierzysz, że boję się twoich braciszków?

Mnisi znów zrobili wielkie oczy.

– Tego głosu jeszcze nigdy nie słyszałem – powiedział jeden z nich, a inni skinęli w jego stronę. – Z kim on też tam może rozmawiać?

Z kolei na to pytanie Amos mógłby odpowiedzieć bez problemu. Jednak mnisi na pewno by go nie usłyszeli, nawet wtedy, gdyby krzykiem zdzierał sobie gardło. A gardło i tak miał już ściśnięte.

– To zależy od tego, których braci masz na myśli. – Opat Trithemius zaśmiał się, a brzmiało to tak, jakby ktoś rozdzierał papier. – Na pewno nie moich braci benedyktynów, ale co powiesz na tych tutaj?

I w czasie gdy wybrzmiewały jeszcze jego szydercze słowa, za drzwiami zaczęło tak przeraźliwie wyc i syczeć, że mnichom zjeżyły się wszystkie włosy. Popatrzyli na siebie całkiem przerażeni, a jeden z nich wybełkotał:

– Pie... piekielne duchy?

Najwidoczniej w oczywisty sposób spodziewali się po swoim opacie, że potrafi wywołać całą zgraję skamlących demonów. A dla tego przerażającego wycia nie było tak naprawdę prawie żadnego innego wyjaśnienia. Tam w środku rozbrzmiewały tak diaboliczne, przeraźliwe krzyki i syknięcia, jakby rozwarła się ziemia, a piekło wypluło na jej powierzchnię do klasztornej biblioteki najobrzydliwsze ze swych stworzeń.

– Pojmać go! – krzyknął drugi z mężczyzn, którym nie mógł być nikt inny, jak tylko inkwizytor Cellari.

– Do diabła z tobą, Leo! – zawołał Trithemius, tymczasem w środku wciąż jeszcze bez

przerwy wyło i syczało. Ciężkie buty łupały po całym pomieszczeniu, zadźwięczało i zabrząkało, jakby dobywano miecze z pochew. W bibliotece znajdowało się najwidoczniej kilku uzbrojonych mężczyzn – o ile nie były to jakieś diabelskie symulacje. Bo tak poza tym spod drzwi dobywały się teraz trujące żółte opary i trąciło duszącym smrodem siarki.

Wtedy jeden z mnichów w końcu zebrał się na odwagę i otworzył pchnięciem drzwi do biblioteki. To, co się tam działo, zupełnie zapało im dech w piersiach – nawet Amosowi, choć tak naprawdę wcale nie musiał wdychać tych duszących, gęstych oparów. Siwe, żółte i krwistoczerwone kłęby dymu wirowały po tej rozległej sali. Amos z trudem dostrzegł sięgające sufitu regały, które pokrywały wszystkie ściany, wypełnione książkami oraz zwojami pism. Ogromne tomy, oprawione w drewno lub skórę. Pożółkłe zwoje książek, obwiązane szerokim, skórzanym rzemieniem i zamknięte woskowymi pieczęciami.

Tych drogocennych książek musiały tu być setki i tysiące – a co najmniej połowa z nich paliła się już jasnym płomieniem. Ogień wżerał się w regały niczym zgłodniałe duchy, przeskakiwał – skwiercząc – z jednej półki na drugą, przelatywał z trzaskiem w stronę zasłon przy otworach okiennych po drugiej stronie biblioteki i już w następnej chwili języki ognia buchały z ciężkiego brokatu.

Bosi mnisi przedarli się tymczasem do sali z książkami, zataczali się, kasłali i nie mogli się opanować z przerażenia. Na ziemi między pulpitemi i półkami z książkami wszędzie leżały nieruchome ciała. Trzech lub czterech mnichów, wszyscy ubrani w takie same, ciemne habity, jakie nosili i oni sami. Nieco bardziej w głębi sali, bliżej szafek z żelaznymi okuciami, w których znajdowały się niewątpliwie najcenniejsze egzemplarze, leżały ciała trzech kolejnych mężczyzn – a ich widok tylko jeszcze bardziej wyprowadził mnichów z równowagi. Bo ci mężczyźni mieli na sobie purpurowe uniformy papieskich żołnierzy.

Tymczasem Amosowi udało się ustalić, skąd ulatniały się te żrące opary. Ich źródłem były blaszane pojemniki, które stały obok siebie wewnątrz jednego z pulpitemów do czytania, przy wąskiej ścianie naprzeciwko drzwi wejściowych. Płyta pulpitu była zerwana lub może wyrwało ją w czasie eksplozji, której huk słyszeli przed chwilą przez drzwi. Wciąż jeszcze z tych pojemników unosiły się grube jak palec słupy żółtego i czerwonego dymu. Wszystko wskazywało na to, że Trithemius miał spore zdolności alchemiczne, a te rzekome demony, którymi poszczuła Leo Cellariego, były w rzeczywistości fajerwerkami wypełnionymi siarką i saletrą oraz innymi alchemicznymi składnikami. Już nie raz

Amos słyszał, jak Kronus szydził z zabobonnych ludzi, którzy od razu krzydzeli „piekielna zjawa” lub „diabelskie sprawy”, gdy tylko usłyszeli jakieś trzaski i wybuchy w

którymś z piwnicznych laboratoriów. Gdy w piecu czarnoksiężnika mieszały się ze sobą alchemiczne substancje, to według Kronusa były w tak samo niewielkim stopniu „diabelskie sprawki”, jak to, że na wiosnę zielenieją drzewa, lub też to, że jesienią gałęzie i konary uginają się pod ciężarem dojrzałych owoców.

Amos, pogrążony w myślach, zauważył dopiero z pewnym opóźnieniem, że dokładnie pod tym na wpół pękniętym pulpitem z dymiącymi pojemnikami w podłodze znajdowała się kolista dziura. I przez ten otwór w ziemi po drabinie schodził właśnie do podziemi wysoki, chudy i stary mężczyzna w czarnej todze.

– *No nareszcie, Amosie von Hohenstein.* – Stary mężczyzna popatrzył na niego przenikliwie swoimi stalowymi oczami i jednocześnie przywołał go do siebie władczym gestem. Także jego telepatyczny głos brzmiał jak szelest dziesiątek sztywno lakierowanych i kruchych ze starości stronic książki, które ktoś równocześnie wertuje. – *Dlaczego przybywasz tak późno?*

Po chwili wahania Amos poszybował bliżej w jego stronę. Najwidoczniej opat posiadał zdolność widzenia takich magicznych zjaw, jaką był on sam – mimo że dla innych tutejszych ludzi był zupełnie niewidoczny.

– *Dopiero co przeczytałem trzecią opowieść* – odparł Amos.

Trithemius był tak samo drobnej budowy jak Kronus. Jednak gdy Amos przyjrzał się z bliska, to opat wydał mu się jeszcze bardziej niesamowity, niż sobie to wyobrażał do tej pory. Jego twarz była szara i nadzwyczaj poorana zmarszczkami – wcale nie przypominała oblicza starego mężczyzny, lecz raczej prastary, na różne sposoby pomięty papier, na którym ktoś domalował cienkie usta, małe nos i parę wąskich oczu o barwie niczym kurz.

– *Tędy do środka, prędko!* – rozkazał opat. – *Zanim ten pies z piekła rodem dojdzie do siebie.* – Powiódł wzrokiem w stronę bezładnej kupy gruzu pośrodku sali z książkami. Roztrzaskane, na wpół spalone szczątki pulpitów i stołków leżały tam zmieszane ze zwęglonymi książkami i drącymi się strzępami zasłon. Na tym wszystkim leżał w poprzek miecz nadzwyczajnej długości, który ktoś musiał strącić w tamtym miejscu.

Nie ktoś, poprawił się Amos, a jego serce znów zaczęło trwożliwie walić w piersi. Spod kupy gruzów wystawała szczupła, a mimo to silna dłoń jakiegoś mężczyzny. Znad purpurowego rękawa togi ledwo było widać nie więcej niż niewyraźne żarzenie się pod gruzami, ale Amos mimo to od razu rozpoznał, kto leży tam przysypany gruzami.

Leo Cellari.

– *No, pospiesz się!* – powiedział Trithemius. Wyciągnął ze swojej togi jakąś płócienną chustę, przyłożył ją sobie do ust i tak oddychał przez materiał. Z tej chusty dobywała się silna



woń fiołków.

– *Opary nie są śmiertelne* – oznajmił Trithemius, który najwidoczniej zauważył spojrzenie Amosa – *lecz odbierają tylko przytomność, i to tylko wtedy, gdy nie podejmie się odpowiednich środków.* – Jeszcze raz wziął głęboki wdech, wciągając najwyraźniej pobudzającą woń z chusty, po czym wsunął ją z powrotem do swej togi, uśmiechając się. – *Muszę się spieszyć, a mam ci do powiedzenia jeszcze kilka rzeczy. A więc ruszajmy* – rozkazał i znów zaczął schodzić po drabinie.

Jakże on i Kronus są do siebie podobni, pomyślał Amos, i jakże różni – z drugiej strony. Odgłosy skrobania sprawiły, że szybko się obrócił. Spod grubej na kilka cali warstwy sadzy i gruzu wypełzła dłoń. Teraz widać było i nadgarstek, otoczony purpurowym rękawem, w którym wydymała się jakby od silnego podmuchu wiatru lśniąco biała podpinka.

Regały paliły się tymczasem wszystkie aż po sufit. Bosi mnisi biegali, lamentując, w kółko w tym ogólnym zamieszaniu, jednak uratować mogli już całkiem niewiele rzeczy. Ręka wygrzebała się jeszcze kilka cali z kupy gruzu, ale Amos nie zamierzał czekać na to, co się zaraz stanie. Jednym susem wskoczył do dziury w podłodze, gdzie Trithemius czekał na niego już wyraźnie zniecierpliwiony. Opat odrzucił drabinę na bok, chwycił za jakąś żelazną dźwignię, umocowaną na jednej ze ścian sztolni, i przestawił ją, cicho postępując. Zaraz zaczęły zgrzytać łańcuchy, a okrągła pokrywa z żelaza uniosła się w górę z metalicznym piskiem, zamykając dziurę w ziemi ponad ich głowami.

– *Szybciej, szybciej* – powiedział Trithemius. – *Wszystkie te rzeczy, drzwi zapadowe, wielokrążek i tunel, powinny ci się wydać znajome. Poczciwy Kronus przekopiował to, upraszczając nieco, i zainstalował w swojej lisią norze.*

To, co utrzymywał opat, a zwłaszcza wyniosły sposób, w jaki wypowiadał się o Kronusie, bynajmniej nie spodobało się Amosowi.

– *Czy nie było dokładnie na odwrót?* – zapytał i sam przestraszył się swojej własnej śmiałości.

Tymczasem Trithemius spieszył wzdłuż ciemnego korytarza, a Amos podążał za nim, szybując w powietrzu. Nie licząc cichego dyszenia i nielicznych stęknień, ten stary mężczyzna zachowywał milczenie. Amos zaczął już nawet wierzyć – a w jeszcze większym stopniu miał taką nadzieję – że być może nie dosłyszał jego uwagi. Bo jeśli prawdziwe są pogłoski na temat opata klasztoru w Sponheim, to Trithemius był człowiekiem pozbawionym wszelkich skrupułów, który w razie konieczności zlecał nawet morderstwa, jeśli miało mu to pomóc w osiągnięciu własnych celów.

Zupełnie tak samo jak tunel pod folwarkiem młyńskim Kronusa i ten korytarz kończył

się pod pionowym szybem skalnym, prowadzącym z powrotem na powierzchnię ziemi. Z żelaznych krat, zamykających szyb ponad ich głowami, zwisała drabinka sznurowa. Przez pręty przeświecało w dół mdłe światło księżyca, a jutrzienka barwiła już niebo na mlecznoróżowo.

– Twoje wierne przywiązanie do Kronusa jest godne pochwały, Amosie von Hohenstein – powiedział Trithemius swoim zwykłym głosem, który jednak tak samo jak jego głos telepatyczny przypominał swym brzmieniem szelest łamliwych stronic – i w zasadzie przyznaję ci też bezwzględnie rację. Valentin Kronus jest twórcą naszego wielkiego dzieła, a my zawsze byliśmy i jesteście tylko jego pomocnikami.

Na jego poranej zmarszczkami twarzy znów pojawił się ten sam łagodny uśmiech, a Amos pomyślał: gdy się tak uśmiecha, to jest prawie tak podobny do Kronusa, jakby obydwaj byli braćmi. Jednak skoro tylko uśmiech gaśnie, znika całe to podobieństwo.

– A co się tyczy tej skromnej drogi ucieczki – ciągnął dalej Trithemius, wskazując w górę szybu – to kazałem ją wybudować dawno temu, jeszcze w tym samym roku, gdy zostałem opatem klasztoru. Być może już wtedy przeczuwałem, że pewnego dnia tak to się wszystko skończy, iż moi bracia mnie stąd przepędzą, bo ostatecznie ulegną jednak kłamstwom i intrygom moich wrogów. Ale że nie cofnęli się nawet przed tym, by sprzymierzyć się z Leo Cellarim, tym bezwzględnym łowcą, który zawsze i wszędzie pozostawia po sobie tylko cierpienie i zniszczenie...

Trithemius pokręcił głową i znów zamilkł, nie kończąc zdania. Wydawał się teraz szczerze zasmucony, zupełnie jakby sam nigdy nie potrafił dopuścić się podobnych okrucieństw, czy choćby nawet ich zaaprobować. Nagle Amos wcale nie był już tak pewien, czy ten stary mężczyzna rzeczywiście należy do tej grupy Opus Spiritus, która wydała rozkaz zamordowania rodziców jego i Klary. A prawdopodobnie także matki i ojca Leandra.

Tymczasem Trithemius chwycił obiema rękami za sznurową drabinę.

– Ale na szczęście – powiedział – wszystko przewidziałem i zastosowałem środki zaradcze.

– Jakie środki macie na myśli, panie? – spytał Amos.

– Tam na górze czeka na mnie powóz z dwoma silnymi końmi. Woźnica zawiezie mnie prosto do Wurzburga.

– Do Wurzburga? – powtórzył Amos. – Dlaczego właśnie tam?

Na twarzy opata Trithemiusa znów pojawił się łagodny uśmiech.

– Biskup Lorenz, książę Frankonii – powiedział – jest wielkodusznym i dalekowzrocznym mężem. W przyszłości poprowadzę dawny klasztor Szkotów w

Wurzburgu. Wszystko zostało już dawno przygotowane. Lorenz roztacza nade mną swą opiekę i ochroni mnie przed wściekłymi psami Cellariego, przynajmniej tak mi przyrzekł. – Jego uśmiech zgasł. – A ty, Amosie von Hohestein, musisz jeszcze dziś wyruszyć w drogę – ciągnął dalej nagłym tonem – wraz z twoją towarzyszką Klarą. Nie magicznym lotem, jak teraz, lecz w zwykły sposób musicie oboje przybyć do Wurzburga i to tak szybko, jak to tylko możliwe. Tam przekażecie mi *Księgę duchów*, a ona wreszcie będzie bezpieczna. Podobnie jak i wy sami. Zrozumiałeś?

Amos skinął niezdecydowanie.

– Wyjaśnijcie mi jeszcze jedno, panie – powiedział. – Dlaczego mnie tu wezwaliście, magicznym lotem, jak to nazywacie? Przecież i tak nie mógłbym wam przekazać *Księgi*, nieprawdaż? – Postukał się po kamizelce, która wybrzuszała się po stronie serca, ale tutaj *Księga duchów* też była tylko niematerialnym złudzeniem.

– A więc, to... – Trithemius jeszcze mocniej chwycił za powróż z supłami. – Chciałem się tylko upewnić, że została już w tobie wzbudzona zdolność magicznego przemieszczania się z jednego miejsca na drugie. – Nadspodziewanie zwinnie zaczął wspinać się po chwiejącej się drabinie.

– Chcieliście mnie tylko wystawić na próbę? – zakipiał w nim gniew. – I z tego powodu narażacie mnie i wszystkich innych na niebezpieczeństwo? Z pewnością wiecie przecież, że ściga nas Meinolf i pół tuzina wojowników na usługach Kościoła z całą zgrają psów św. Huberta?

Dopiero gdy dzieliło go już tylko kilka węzłowatych szczebli od wyjścia, Trithemius odwrócił się ponownie w stronę Amosa.

– Nie martw się – powiedział. – Uwzględniliśmy każdą możliwą komplikację i wszystko się dobrze skończy.

Te wyniosłe słowa pociechy jeszcze tylko dodatkowo rozzłościły Amosa.

– A Kronus? – zawołał, w czasie gdy stary mężczyzna znów wspinał się do góry. – Czy i w jego przypadku wszystko przewidzieliście i na czas poczyniliście odpowiednie kroki, żeby nie przytrafiła mu się żadna krzywda?

Trithemius zatrzymał się znowu, jednak tym razem nie odwrócił się już w jego stronę.

– Panie, proszę – zawołał Amos – odpowiedzcie mi jeszcze tylko na to jedno pytanie: Gdzie jest Kronus? Czy jest bezpieczny? Czy dobrze się miewa?

– To już są trzy pytania – odparł opat – ale to nie ma żadnego znaczenia, bo moja odpowiedź jest wciąż ta sama: musisz zapomnieć o Kronusie.

Amos poczuł palenie w gardle.

– Czy to oznacza – wydobył z siebie – że on już nie żyje?

Opat znów nie udzielił mu odpowiedzi, w każdym razie nie od razu. Lewą ręką trzymał się sznurowej drabinki, a drugą oparł się o żelazną pokrywę nad swoją głową.

– Niestety, zmieniły się okoliczności – powiedział po chwili. – Tak jak byłeś wcześniej związany z Kronusem, teraz będziesz musiał trzymać się już tylko mnie. – Ponownie odwrócił się i spojrzał na niego w dół przenikliwym wzorkiem.

A więc Kronus nie żył? Amos czuł, że nie będzie mógł się przemóc, by zadać to pytanie Trithemiusowi. Zresztą po co, skoro słowa starego mężczyzny prawie w ogóle nie dopuszczały żadnej innej interpretacji.

– Zapomnij o nim i trzymaj się mnie – powtórzył Trithemius na zakończenie. – A jeśli będziesz wiernie przestrzegał tej reguły, to wtedy ani tobie, ani Klarze Thalgruber nie przytrafi się nic złego, niniejszym ci to przysięgam, Amosie von Hohenstein.

A co, jeśli nie będę, pomyślał Amos, jednak zdławił to pytanie. Miał takie uczucie w gardle, jakby napił się wrzącego oleju. Opat i tak by go już nie usłyszał – właśnie przeleciała mu nad głową żelazna krata, a ta drobna postać w czarnej todze wyskoczyła przez krawędź szybu na zewnątrz.

Amos usłyszał ciche rzenie i głos jakiegoś mężczyzny, który usiłował uspokoić konia. Zaraz potem żelazna krata została ponownie zasunięta nad dziurę wyjścia i nie minęło kilka sekund, jak Amos usłyszał trzask bicia i terkot odjeżdżającego powozu.

Trithemius zdawał się w ogóle nie odczuwać smutku, pomyślał Amos, ani z powodu zniszczenia jego drogocennej kolekcji książek, ani z powodu tego, co przytrafiło się Kronusowi. A mimo to Amos nie mógł już widzieć w nim jedynie pociągającego za sznurki, ponurego inspiratora, który w razie konieczności nie wahał się poświęcić życia niewinnych ludzi, by osiągnąć swoje podejrzane cele. Z pewnością Trithemius nie był tak zgodnym i prawym mężem, jak Valentin Kronus, a mimo to istniało coś, co łączyło obu tych mężczyzn.

Amos czuł się teraz dość oszołomiony. I wciąż jeszcze rozmyślał nad tajemnicami Opus Spiritus, gdy nagle poczuł znajome ssanie w okolicy żołądka, a zaraz potem także szum w skroniach.

– *Na wszystkie dobre duchy, Amosie!* – zawołała Klara świdrującym, telepatycznym głosem. – *Musisz natychmiast wracać. Purpurowi wojownicy są już tutaj ze swoimi psami św. Huberta.*

TAK JASNO I WYRAŹNIE, jak tylko potrafił, Amos wyobraził sobie mały pokoik skalny za salą duchów.

– *Idę!* – krzyknął w stronę Klary.

Dookoła niego zaczęło szumieć, jakby zrywała się potężna wichura. Poczuł jakby pchnięcie w plecy i straszne zawroty głowy, a w następnej chwili unosił się już pod stropem skalnej komnaty, spoglądając w dół na Klarę i Johannesesa. I na samego siebie, swoje własne ciało. Leżał nieruchomo tam w dole na skalnym gzymsie, który służył im za posłanie – na plecach, z zamkniętymi oczami, owinięty w końskie pledy, tymczasem Klara i Johannes byli już gotowi do podróży.

Zanurkował w powietrzu i wszedł z powrotem w swoje ciało. Było to osobliwe uczucie, jednocześnie budzące grozę i oszalamiające. W ostatniej chwili wydało mu się, jakby sam popatrzył na siebie – jakby był jednocześnie w powietrzu i na ziemi, szybującym w dół duchem i materialnym ciałem. Jego kończyny nie od razu stały się posłuszne jego woli, poruszał, wymachiwał i przebierał rękami i nogami jak przewrócony chrząszcz. Jednak wkrótce połączył siłą woli wszystkie swoje poszczególne części w jedną całość, tak jak mu to pokazał rycerz Laurencjusz w *Księdze duchów*.

Amos zerwał się z miejsca. Klara powitała go okrzykami radości.

– W samą porę, co za szczęście! A teraz chodź już, musimy się zbierać. – Pobieгла do przejścia łączącego ich pokoik skalny z salą duchów, a Amos pobiegł za nią, mając tuż za sobą Johannesesa.

W sali duchów panowało straszne zamieszanie. Mężczyźni i kobiety biegali bez celu tam i z powrotem, dzieci płakały i można było już usłyszeć dochodzące z głębi góry szczekanie psów św. Huberta. Sądząc po wyciu, tych bestii musiało być co najmniej dziesięć. Amosowi ciarki przeszły po plecach – nazbyt dobrze wiedział, jak niebezpieczne potrafią być psy św. Huberta. Jego stryj Heribert trzymał całe stado w fosie przy zamku, a gdy raz ze zwodzonego mostu runął w dół pewien zaledwie czternastoletni paź, w ciągu kilku chwil psy rozszarpały go do kości.

Ale tym razem do tego nie dojdzie. Już brat Egbert o to zadba. Jako jedyny w całym tym zamieszaniu nie stracił opanowania ani orientacji. Niczym posąg wyrzeźbiony z kamienia, stał wyprostowany na cokole pośrodku sali duchów. Wsparty na swoim sękatym kiju, z krucyfiksem ozdobionym tajemniczymi symbolami na piersi. Wolną ręką dawał swym

ludziom znaki, jak mają się ustawić, kto z nich miał zarzucić sobie jakie bagaże na ramiona, kto skupić wokół siebie dzieci, a kto miał poprowadzić za cugle ciężko obciążone konie wierzchowe.

I już po krótkiej chwili krzyki ustały, a wszyscy, którzy jeszcze przed chwilą biegali bezładnie w panice, stali teraz uformowani w dwuosobowe szeregi, gotowi do wymarszu. Ich kolumnę otwierał Rolfus wraz z innym mężczyzną w średnim wieku, na samym końcu zaś mieli maszerować kamieniarz Walter wraz z Leandrem.

Rolfus skinął wymownie w stronę Amosa i Klary. Wyciągniętą ręką przydzielił im miejsce w kolumnie, dość blisko środka, nieopodal koni wierzchowych, pośród których Amos dostrzegł teraz także kasztankę Klary i muła Johannesesa. Ustawili się w kolumnie i już w następnej chwili brat Egbert uniósł swój kij i wskazał władczo jeden z niezliczonych korytarzy, który prowadził bardziej w głąb góry – a po drugiej stronie, miejmy nadzieję, na zewnątrz.

Kolumna ruszyła z miejsca. Rolfus narzucił odpowiednie tempo i już po krótkim czasie Amos usłyszał, jak kilka starszych osób dookoła nich zaczęło dyszeć i cicho jęczeć.

Klara ścisnęła jego dłoń i popatrzyła na niego wyczekująco.

– *Powiedz no, jaka jest trzecia opowieść i jaką zdolność w tobie wzbudziła.*

– *Nie uwierzysz – uśmiechnął się do niej – lub raczą sama się już wkrótce przekonasz, gdy przeczytasz tę opowieść.* – Wahał się. Jak miał najlepiej wyjaśnić Klarze, co mu się przytrafiło ostatniej nocy? – *Człowiek naprawdę staje się nieco podobny do aniołów, jak to przepowiedział Kronus.*

Klara spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– *Czy to oznacza, że potrafisz teraz latać, Amosie?*

– *Magiczny lot, tak* – odparł. – *Tak się wyraził na ten temat Trithemius.*

Najwidoczniej Klara nie rozumiała teraz już niczego, a w każdym razie wydawała się bardzo oszołomiona.

– *Trithemius? A cóż on robił w świecie rycerza Wawrzyńca?*

– *U Wawrzyńca? Nic, przynajmniej taką mam nadzieję. – Myśl, że tam po drugiej stronie mógłby nagle spotkać starego opata o głosie szeleszczącym niczym papier, wydała mu się tak przerażająca, że aż się zatrząsł.* – Zaraz potem byłem w Sponheim, właśnie u Trithemiusa. Ale o tym porozmawiamy później.

Wykonał ruch głową do tyłu, a Klara skinęła w jego stronę z drwiącym uśmiechem na twarzy.

– *Wiem, wiem. Nie ufasz mi. Ale jeśli nawet Johanes potrafi teraz przesyłać i odbierać*

*wiadomości telepatycznie, to przecież wyczuliłyśmy, gdyby nas słyszał. – Również rzuciła spojrzenie przez plecy i nagle przestała się uśmiechać. – Poza tym jest za słaby, by jednocześnie maszerować i próbować swych magicznych mocy.*

I niewątpliwie miała w tym względzie rację. Johannes kuśtykał za nimi bez tchu. W świetle pochodni, które nieśli ze sobą jako jedyni z ich gromady, wyglądał już prawie jak chodzące zwłoki. Twarz miał posepnie szarą, a pot ściekał mu ciurkiem z włosów.

*– Długo tak nie pociągnie – powiedziała Klara bardzo zatroskanym tonem. Zwężła oczy i zapatrzyła się w dal. – Bracie Egbercie – ciągnęła dalej – proszę, pozwólcie zatrzymać się na chwilę waszym ludziom. Musimy przydzielić najslabszym konie wierzchowe. Johannes i kilka starszych osób z waszej gromady są już u kresu swoich sił.*

Na odpowiedź brata Egberta nie trzeba było długo czekać. Jednak brzmiała ona zupełnie inaczej, niż spodziewała się tego Klara.

*– Dalej, dalej, tak szybko, jak tylko możecie! – zawołał starzec w ich stronę załamującym głosem. – Oni depczą nam po piętach, nie możemy się zatrzymywać ani na chwilę. Poza tym zaraz dojdziemy do zwężenia drogi, przez które będziemy mogli przejść tylko pojedynczo i pieszo.*

*– W takim razie nie rozumiem – wtrącił się Amos. – jak chcecie uratować waszych ludzi, panie.*

*– Zachowaj spokój i zaufaj mi. – Amosowi i Klarze ścisnął się żołądek.*

Starzec przerwał magiczne połączenie z nimi.

Amos rzucił spojrzenie w stronę Klary.

*– Ty idź dalej przodem, a ja będę go podtrzymywał tam mocno, jak tylko potrafię.*

Nie czekając na jej odpowiedź, cofnął się w stronę Johannaesa, uśmiechając się do niego.

*– Ja też nie jestem wprawdzie osiłkiem – powiedział – ale razem na pewno damy radę. – Pochwyił prawą rękę Johannaesa i zarzucił ją sobie na plecy. Nadgarstek chłopaka był w dotyku niczym zmurszały pień, tak kruchy i łamliwy.*

*– Wszystko naprawię, przysięgam! – Johannes zataczał się, łapiąc przy tym łapczywie powietrze. – Przez wiele lat zwalczałem poetów i ich fantazyjne opowieści, przy czym sam właściwie byłem poetą.*

Johannes mamrotał dalej pod nosem, a Amos patrzył na niego ze zdziwieniem, ale niczego nie mógł już zrozumieć.

*– Oddychaj spokojnie – powiedział do Johannaesa. – Gdy znajdziemy się już w bezpiecznym miejscu, powiesz mi wszystko to, co ci leży na sercu.*

Chłopak skinął w jego stronę, a na jego twarzy zagościł krzywy uśmiech, a jeszcze w tej samej chwili ugięły się pod nim nogi, opadł na ziemię, pociągając Amosa za sobą.

– Nie zwalnijcie! Idźcie dalej, pospieszcie się!

I jeszcze w czasie gdy Amos podnosił się z trudem, zamachał gwałtownie rękami do dwóch mężczyzn, którzy zatrzymali się za nim i Johannesem.

– Damy radę.

W okamgnieniu przeszła koło nich cała gromada. Tylko Leander i kamieniarz Walter zatrzymali się przy nich. Tymczasem zawroźnienie psów św. Huberta odbiło się echem w skalnym labiryncie tak głośno, że można było porozumiewać się ze sobą tylko podniesionym głosem. Ich prześladowcy byli najwyżej jeszcze jedną milę za nimi.

Klara przykucnęła obok Johannesesa, który, cały pozwijany, leżał z zamkniętymi oczami na skraju drogi.

– Stracił przytomność. – Uderzyła go lekko kilka razy w twarz, ale zdawało się, że chłopak w ogóle tego nie poczuł.

– Nic dziwnego, zostały z niego już tylko sama skóra i kości.

Kamieniarz zatarł dłonie.

– Ja go poniosę.

Chwycił Johannesesa pod pachami i zarzucił go sobie na plecy tak lekko, jakby chodziło jedynie o worek pierza.

– A teraz szybko, ruszajmy dalej!

Znowu podążyli przed siebie i już po kilkudziesięciu krokach dogonili pozostałych. Kolumna zwolniła i powlekła się dalej naprzód.

– Co tam się dzieje z przodu? – spytała Klara.

– Tylko spokojnie. – Walter poprawił sobie znieruchomiałego Johannesesa na swoich plecach. – Jesteśmy przy zwężeniu, za nim będziemy już bezpieczni.

– Bezpieczni? – powtórzył Amos. – Jakże to? – Nie mógł zupełnie zrozumieć, jak Egbert chciał uratować swoich ludzi przed ich prześladowcami.

– Zaufajcie mi – odpowiedział lakonicznie kamieniarz. – Sami zobaczycie.

Teraz ich kolumna posuwała się w iście złotym tempie. Amos stanął na palcach i niecierpliwie przyglądał się, jak ludzie po kolei w znikali za zwężeniem drogi. Tam, z przodu, korytarz skalny zbiegał się w kształt trójkąta. W tym miejscu mogli rzeczywiście przejść tylko gęsiego, a i konie ledwie się mieściły. Rośli mężczyźni, tacy jak Rolfus czy brat Egber, musieli pokonywać to zwężenie bardziej na czworakach niż wyprostowani.

– Z Johannesem na plecach nie zmieszczę się tam – powiedział kamieniarz, drapiąc



się po głowie. – Ale to nic, kilka kroków dalej korytarz znów się rozszerza, a do tamtego miejsca pójde po prostu tyłem i pociągnę za sobą chłopaka.

Amos i Klara wymienili zatroskane spojrzenia, jednak teraz nie było już czasu na snucie jakichkolwiek rozważań, teraz wszyscy musieli przejść przez skalne zwiężenie. Tymczasem psy były już tak blisko za nimi, że Amos słyszał stukot i drapanie ich łap o surową skałę oraz tupot kroków purpurowych wojowników, którzy nieustannie ciągnęli wyjące zwierzęta na linach lub łańcuchach.

Leander dał Klarze znak – to ona w następnej kolejności miała przejść przez trójkątne zwiężenie. On sam podążał tuż za nimi, a gdy Amos zawahał się, kamieniarz pchnął go mocno do przodu. Amos uderzył o plecy Leandra. Bardziej jeden nad drugim niżli jeden przed drugim szli, potykając się, do przodu. Po kilku krokach mieli rzeczywiście to zwiężenie za sobą, a Amos – idąc – odwrócił się do tyłu i spojrzał na Waltera i Johannesesa.

Kamieniarz przechodził tyłem przez zwiężenie, tak jak to wcześniej zapowiedział. Szedł z mocno schyloną do przodu głową i ciągnął za sobą zarzuconego na plecy Johannesesa za rękę. Właśnie w tej samej chwili, dziesięć kroków za nimi wychynął jeden z purpurowych wojowników.

Tego, co się wtedy wydarzyło, Amos i Klara nie widzieli na własne oczy, widok przesłoniły im szerokie plecy kamieniarza, lecz po chwili Walter opowiedział im i wszystkim innym, co się stało.

Gdy purpurowy wojownik zauważył, jak blisko depczą swojej ofierze po piętach, pochylił się do przodu i spuścił swego psa. Był to największy pies, jakiego kiedykolwiek widział Walter, o posturze wyrosniętego kozła z lśniąca od potu, zjeżoną, brązową sierścią, nabiegłymi krwią oczami i budzącymi grozę kłami. Bestia błyskawicznie rzuciła się w ich stronę, jakby ją wystrzelono z katapulty i z hukiem wylądowała na piersi biednego Johannesesa. W następnej chwili pies zacisnął swe zęby na gardle chłopaka, a Walter nie widział innej rady – wypuścił ręce wciąż jeszcze nieprzytomnego Johannesesa i, potykając się, uciekł do tyłu tak szybko, jak tylko potrafił i wydostał się ze skalnego przewężenia. Błyskawicznie wyprostował się, chwycił obydwoma rękami końcówki liny, która zwisała ze skalnej ściany nad zwiężeniem, i rzucił się z całej siły do tyłu.

Zaledwie pół sekundy później w skale ponad ich głowami zaczęło zgrzytać i trzeszczeć. Kamieniarz znów podniósł się z trudem, popędził za pozostałymi i biegnąc, dawał Amosowi bezładne znaki, że powinien pójść z nim.

Jednak Amos stał jak wryty i nieruchomo wypatrywał nadchodzącego z hukiem nieszczęścia. Lawina potężnych, rozszalałych odłamków skalnych zasypała skalny korytarz

dokładnie za wąskim przejściem. Kawałki skał były podtrzymywane pod stropem korytarza przez sieć grubych, niczym ramię dorosłego człowieka lin, aż Walter pociągnął za ich końce i tym samym spowodował zasypanie korytarza.

Teraz wycie psów św. Huberta dochodziło do nich już tylko zduszonym echem. Amos wyteżając się, nasłuchiwał, ale nie usłyszał żadnych okrzyków bólu – nie uznał tego jednak za dobry znak.

W końcu udało mu się uwolnić od tego przytłaczającego widoku. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego Egbert tak bardzo ich ponaglał i dlaczego on i kamieniarz przejawiali taką wiarę, że za zwężeniem drogi będą bezpieczni. Gdyby purpurowi wojownicy próbowali oczyścić zasypany korytarz, to zajęłoby im to co najmniej cały dzień.

Zatem plan Egberta zadziałał. Nie udało się tylko Johannesowi. Żył jeszcze, Amos czuł to wyraźnie, ale możliwe, że to, co go teraz czekało, było jeszcze potworniejsze niż śmierć pod tymi kamieniami lub od rozszarpania przez psy.

Był zdany na łaskę i niełaskę ludzi, dla których był jedynie zdrajcą i poplecznikiem wcielonego Szatana.

## 5

OŚLEPIONY AMOS ZMRUZYŁ oczy i dodatkowo zasłonił je dłonią. Po wielu godzinach spędzonych w mrokach, we wnętrzu góry, nawet panujący na zewnątrz, w gąszczu, półmrok wydał mu się jaskrawy.

– Wielkie nieba! – wykrzyknęła Klara. – Dłużej nie wytrzymałabym tam w środku. Ma się wrażenie, jakby człowiek był uwięziony we wnętrzu samego siebie.

Znajdowali się na skraju niewielkiej polany. Od miasteczka Pegnitz dzieliło ich już tylko kilka mil, w każdym razie tak wynikało ze słów Leandra, który wydawał się szczęśliwy, że wreszcie znów mógł używać swojej tabliczki do pisania. Stał obok Amosa i Klary, gorliwie coś bazgrząc, i po chwili znów podał im łupkową tabliczkę.

– „*A teraz poczytajcie*” – odszyfrował Amos.

Nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Jeśli o mnie chodzi, to chętnie – powiedział – ale najpierw wysłuchajmy, co jeszcze przewidział brat Egbert.

Słońce stało nadal wysoko na niebie. Krótki odpoczynek wszystkich by ożywił, a potem śmiało mogliby maszerować dalej jeszcze przez kilka godzin. Wycie psów św. Huberta wciąż jeszcze dźwięczało przeraźliwie Amosowi w uszach. Im dalej zostawiliby w tyle swych prześladowców, tym lepiej dla nich.

Szukał spojrzenia Klary, ale ta patrzyła nieobecny wzrokiem, nie widząc go. Oczy miała zwięzione, sprawiała wrażenie skupionej i zatroskanej zarazem.

Rozmawia z Johannesem, pomyślał Amos. I znów jadowity wąż zazdrości zdawał się w nim wypęłać ku górze, jednak w następnej chwili został przepędzony przez falę skruchy. Ze wszystkich sił życzyłem sobie, pomyślał Amos, żebyśmy możliwie jak najszybciej pozbyli się Johannes, a teraz to życzenie ziściło się w straszny sposób. Rzecz jasna, wcale nie chciał, by Johannes wpadł w ręce purpurowych wojowników, nie mówiąc już o budzącym grozę bracie Meinolfie. Ale z głębi serca pragnął, by szybko pozbyli się Johannes, i tak właśnie się stało. Wprawdzie Valentin Kronus nigdy nie zasugerował, że dar magii serca może wyrządzić krzywdę innym ludziom, ale Amos i tak czuł się winny. Zupełnie, jakby swoim głęboko odczuwanym pragnieniem rzucił jakieś szkodliwe zaklęcie.

– Jest przytomny – powiedziała Klara – ale nie jest z nim dobrze. Zakuli go w kajdany i ciągną go teraz za sobą uwiązanego na powrozie korytarzami skalnymi z powrotem nad rzekę. Widocznie tam właśnie pozostawili swoje konie.

– A więc zrezygnowali jednak z poszukiwania drogi wiodącej przez górę – odparł Amos. – Zamiast tego chcą objechać ją konno, by po drugiej stronie znów uczeplić się naszego tropu.

Klara popatrzyła na niego z wyrzutem.

– Johannes umrze, jeśli w najbliższym czasie nie nastąpi jakiś cud. – Łzy zabłyszczały jej w oczach. – Powiedział mi wczoraj – ciągnęła dalej przerywanym głosem – że już od dłuższego czasu przełyka co najwyżej kilka kęsów dziennie. Jest na wpół wygłodniały i z pewnością padnie trupem, jak będą go tak dalej traktować.

Amos spuścił głowę. Po prostu nie wiedział, co jej odpowiedzieć. A przede wszystkim nie chciał, żeby Klara patrzyła na niego w ten sposób. Jej wzrok był przepełniony współczuciem dla biednego Johannes i skierowanymi pod adresem Amosa niewypowiedzianymi wyrzutami.

Na szczęście w ich stronę nadchodził właśnie od polany brat Egbert. Stary mężczyzna sprawiał wrażenie wyczerpanego, ale jeszcze bardziej zadowolonego i odczuwającego ulgę.

Dał Leandrowi znak, a blondwłosy chłopak posłusznie oddalił się od nich.

– Szczerze boleję nad losem waszego towarzysza – powiedział Egbert – ale proszę, wierzcie mi, wszystko mogło potoczyć się o wiele gorzej. Ci żołnierze byli gotowi na wszystko. I gdyby Walter nie odciął im w porę drogi, to urządziliby nam krwawą łaźnię... – Urwał i spojrział przed siebie, zamyślony, z prawą ręką wspartą na kiju.

– Kamieniarz nie jest niczemu winien – ciągnął dalej – bo musiał postąpić tak, jak właśnie postąpił. Nie sądzicie?

Amos i Klara przytaknęli.

– W takim razie powiedzcie mu, proszę, że zrobił wszystko jak należało. On czuje się strasznie winny i nieustannie wyrzuca sobie, że zawiódł i zostawił w potrzebie powierzonego mu pod opiekę bezradnego człowieka. Tymczasem, w rzeczywistości uratował nas wszystkich.

– Porozmawiam z nim – powiedział Amos. – Nikt, poza mną, nie ponosi winy za to, co stało się z Johannesem.

Klara spojrzała na niego zatroskanym wzrokiem, ale się nie odezwała. Brat Egbert bacznym wzrokiem spoglądał to na Amosa, to na Klarę. Wydawało się, że jakaś uwaga cisnęła mu się na usta, ale stłamsił ją w sobie.

– Zatrzymamy się tu na krótki odpoczynek – powiedział, odchrząknąwszy z trudem. – Na pewno jesteście głodni. Idźcie do Sary i przekąście co nieco.

Wskazał swym kijem w stronę polany, gdzie żona kamieniarza wraz z kilkoma innymi kobietami rozdawały chleb.

– Tam, za skałą, wybija źródło. Będziecie mogli ugasić swoje pragnienie. – Wskazał w stronę dziwnego odłamka skalnego, który wystawał pomiędzy drzew i krzaków nieopodal polany. Przynajmniej z ich perspektywy ten kawałek skały przypominał tył olbrzyma z okrągłą głową i silnym karkiem, który od ramion wzwyż wystawał z ziemi, podobnie jak rycerz Wawrzyniec w opowieści o *skale, co była oknem*.

Amos i Klara podziękowali starcowi i chcieli od razu pójść w stronę Sary, ale brat Egbert zatrzymał ich jeszcze.

– *Nie powiedziałem wam jeszcze o najważniejszym – zaczął i obrzucił ich po kolei przenikliwym spojrzeniem. – Dziś o poranku otrzymałem wiadomość od opata Trithemiusa – ciągnął dalej telepatycznym głosem. – Wiem zatem, że zeszłej nocy byłeś w Sponheim. – Uśmiechnął się przelotnie do Amosa. – I dowiedziałem się także o strasznych rzeczach, które wydarzyły się tam w tym samym czasie. Kilku braci z jego własnego klasztoru doniosło na Trithemiusa i wezwało Cellariego.*

Amos i Klara wymienili spojrzenia. Podczas drogi opowiedział jej wcześniej telepatycznym głosem o wszystkich tych rzeczach, które przeżył i zobaczył w nocy. Widocznie i brat Egbert rozmawiał w ten sam sposób z Trithemiusem i właściwie tylko dzięki samej tej zdolności mieli przewagę nad prześladowcami. A mimo to właśnie oni wciąż byli ścigani przez purpurowych wojowników niczym dzikie zwierzęta.

– *Żyjemy w niedobrych czasach.* – Egbert pokręcił głową z zatroskaną miną. – *W imię Boże ludzie są podżegani do tego, by swoich bliskich uznawali za rzekomych kacerzy, czarowników lub wiedźmy. Ale co to ma być za Bóg, który poprzez swoich kapłanów sieje tylko nienawiść, paniczny lęk i niezgodę?* – Otarł ręką czoło i oczy. – *W każdym razie nie jest to mój Bóg* – dodał. – *Mój Bóg miłuje pokój, jest opiekuńczy i litościwy.*

Odszukał ręką zawieszony na szyi drewniany krzyż.

– *Ale wam chciałem powiedzieć, że opat Trithemius pilnie oczekuje was w klasztorze Szkotów w Wurzburgu. Leo Cellari już od dłuższego czasu miewa się dobrze i jest w drodze do Norymbergii, jeśli nawet wciąż jeszcze porządnie huczy mu w głowie. Lecz bez wątpienia planuje już nowy atak. I tym razem koniecznie musimy go ubiec, bo jeśli Cellariemu uda się pojmać Trithemiusa, zanim Księga duchów znajdzie się w bezpiecznym miejscu, to wszystko będzie stracone.* – Spojrzał z poważną miną na Amosa i Klarę.

– *A co tak właściwie zamierza zrobić z tą książką* – spytał Amos – *jak już mu ją dostarczymy?*

Stary mężczyzna wzruszył ramionami. Amos poczuł, jak Egberta znów ogarnia strach.

– *Nie wiem* – wymamrotał i jeszcze raz przeszedł na mowę telepatyczną. – *Ja też nie jestem wtajemniczony w najskrytsze szczegóły. Powiedziałem wam wszystko, co wiem, a być może nawet więcej, niż powinienem. W każdym razie Trithemius jest bardzo zadowolony* – dodał, zwracając się do Amosa – *z ciebie i z książki, która tak łatwo i w pełni wzbudziła w tobie zdolność magicznego latania.*

Skinął w stronę Amosa i Klary i już się od nich odwracał, gdy nagle znów zatrzymał się w miejscu.

– *A tak, doprawdy, prawie bym o tym zapomniał. Wóz, który ma was zawieźć do Wurzburga, będzie przejeżdżał drogą tam po drugiej stronie za mniej więcej godzinę. Musimy się zatem nieco pospieszyć.*

Wskazał na wschód – gdzieś tam poza lasem leżało miasteczko Pegnitz, przed którego bramami Leander próbował wtedy ukraść Amosowi list Kronusa. Z Pegnitz ciągnęły się we wszystkich kierunkach trakty handlowe, na południe w stronę Norymbergii, podobnie jak i na północny zachód w kierunku Wurzburga.

– Jaki znów wóz? – zapytał Amos.

– Ja nie pojedę – powiedziała prawie równocześnie Klara.

Amos popatrzył na nią z przerażeniem. Ale jeszcze bardziej wstrząśnięty wydawał się brat Egbert.

– To niemożliwe, Klaro – powiedział prawie błagalnym tonem – musisz wsiąść do tego wozu razem z Amosem i pojechać do Wurzburga. Czekają tam na pewno budowniczy i jego czeladnicy murarscy – dodał ściszym głosem. – Są wtajemniczeni i o nic was nie będą pytać. Dostaniecie takie same ubrania, jak oni – czarne kurtki, spodnie i kapelusze. Wszyscy będą was brać za podróżujących czeladników murarskich.

– Ale ja nie mogę – powiedziała Klara. – Muszę pojechać do Norymbergii. Zeszłej nocy otrzymałam wiadomość od matki Zofii. Brzmiała bardzo kiepsko. Błagała mnie, żebym do niej przyjechała tak szybko, jak to tylko możliwe. I nieważne, czy ktoś ma coś przeciwko temu, powiedziała. Mam ją natychmiast odwiedzić.

Amos czuł się rozdarty. Zeszłej nocy na własne uszy słyszał przecież, jak Klara rozmawiała z matką Zofią. Dobrotliwa ksieni była dla Klary tym, czym dla niego był Kronus. Zastąpiła jej rodziców, po tym jak ci zginęli. I gdyby Kronus żył, powiedział sobie Amos, a ja otrzymałbym od niego taką wiadomość, to rzuciłbym wszystko, by do niego pospieszyć.

Z drugiej jednak strony obiecał przecież Trithemiusowi, że będzie się go trzymał w przyszłości, tak jak wcześniej trzymał się Kronusa. Czyżby zatem drogi jego i Klary miały się teraz znów rozejść, na kilka dni lub nawet na dłuższy czas? Ta myśl wcale mu się nie spodobała. Właśnie teraz, gdy poróżniła ich cała ta sprawa z Johannesem, chciał i musiał być przecież przy niej.

– A jak w ogóle chcesz się z nią spotkać? – zapytał. – Czy matkę Zofię wypuszczono z więzienia inkwizycji?

Klara wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – powiedziała takim tonem, jakby zaraz miała się rozplakać. – Wiem tylko, że błagała mnie, żebym do niej natychmiast przyszła. Jest taka słaba, że już te krótkie wiadomości, które przesyła mi od czasu do czasu na drodze telepatii, są właściwie ponad jej siły. Muszę do niej dotrzeć, Amosie, zrozum, proszę!

– Przecież rozumiem – powiedział i poczuł znowu palenie w gardle – ale tak bardzo chciałbym, żebyśmy się już nie rozstawali.

– *Ja też bym tego chciała, mój wybrańcu. Ale to przecież tylko na krótko.*

Brat Egbert wciąż jeszcze zdawał się wstrząśnięty. Widocznie otrzymał zadanie, by wsadzić koniecznie ich oboje – wraz z *Księgą duchów* – do tego wozu czeladników, który

miał ich zawieźć do Wurzburga. I gdyby go teraz spytali, dlaczego Amos nie może pojechać sam do Wurzburga, to wtedy ten stary mężczyzna znów przysiągłby błagalnym tonem, że nic więcej nie wie.

Amos postanowił mimo wszystko spróbować.

– Gdy już zawiozę tę *Księgę* Trithemiusowi – zaczął – to będzie przecież miał wszystko, czego potrzebuje. Dlaczego więc Klara i ja musimy pojechać do niego koniecznie razem?

Brat Egbert rozejrzał się na wszystkie strony. Z drugiego końca polany Rolfus dał mu znak, że powinni jak najszybciej wyruszyć. Egbert skinął w jego stronę i równocześnie – wymachując ręką – odesłał Leandra i Waltera, którzy chcieli się do nich zbliżyć.

– *Nie znam jego motywów* – odpowiedział na drodze telepatii – *ale nie sądzę też, żeby kryto się za tym coś głębszego. Najprawdopodobniej Trithemius chce po prostu dać wam sposobność, byście przeczytali Księgę duchów, zanim ostatecznie oddacie ją w jego ręce.*

Amos musiał się najpierw nad tym przez chwilę zastanowić.

– Możliwe, że macie rację, panie – powiedział w końcu. – Pytanie brzmi tylko, czego się spodziewał po tym, jak Klara i ja przeczytamy *Księgę* do końca.

Egbert patrzył przed siebie z ponurą miną. Wydawało się, że użył już całej swojej sztuki przekonywania, a teraz czekał na decyzję Amosa i Klary.

– Proszę was, bracie Egbercie, odprowadźcie mnie ze swoimi ludźmi aż pod bramy miejskiej Norymbergii – powiedziała Klara.

– Obiecuję wam i tobie, Amosie – uśmiechnęła się do niego w taki sposób, że jemu nie pozostało nic innego, jak tylko odwzajemnić jej uśmiech – że pośpieszę prosto do Wurzburga, gdy tylko porozmawiam z matką Zofią lub dowiem się w jakiś inny sposób, co chce mi przekazać. W końcu ja też chcę jak najszybciej przeczytać trzecią opowieść, a z tobą, mój wybrańcu... – zrobiła przerwę w mówieniu; jej oczy błyszczały ciemnozielono, a kąciki ust drgały od czulej drwiny – zrobić to, na co nam nie zezwalała do tej pory reguła nowicjusza.

CIĄGNIĘTY PRZEZ DWIE ciężkie szkapy powóz ruszył z miejsca, szarpiając, i potelepał się powoli drogą. Amos siedział pomiędzy milczącymi mężczyznami, którzy przywitali go prawie wyłącznie spojrzeniami i gestami, a z każdym stukiem osi i stęknięciem kół robiło mu się coraz ciężej na duszy. Klara stała na skraju drogi z Egbertem, Leandrem i innymi, na wpół ukryta za zaroślami i nisko zwisającymi gałęziami. Swoimi oczami zatrzymywał spojrzenie Klary, aż ich wóz zniknął za zakrętem, a on stracił ją z oczu.

Czuł taki ból, jakby odrąbano mu część jego samego.

– *Klaro* – krzyknął za nią na drodze telepatii – *na pewno nie chcesz ze mną pojechać. Później moglibyśmy pojechać razem do Norymbergii. Albo najpierw pojedę z tobą do matki Zofii, a później zawieziemy razem Księgę Trithemiusowi?*

– *Jakże chętnie zostałabym z tobą, drogi Amosie.* – Brzmienie jej głosu pocieszyło go nieco i uspokoiło. – *Ale najlepiej będzie tak* – ciągnęła dalej – *jak postanowiliśmy.*

– *Masz rację, Klaro. Ja też tak uważam.*

Mimo to Amos miał wrażenie, jakby serce miało mu pęknąć w piersi ze strachu i z bólu pożegnania. Ale decyzja już zapadła i im szybciej się z wszystkim uporają, tym prędzej się znowu spotkają. W drodze z polany na trakt Klara i on przedyskutowali wszystko w gorączkowym pośpiechu, raz za razem rozważając wszelkie ewentualne możliwości. I sam przecież wiedział dobrze, że nie mieli żadnego innego wyjścia.

– *Bywaj zdrowa, moja wybranko. Mam nadzieję, że zobaczymy się już wkrótce.*

Przerwał magiczne połączenie, otworzył oczy i rozejrzał się po towarzyszach podróży.

Ci trzej murarze, zasiadający naprzeciwko niego w otwartym wozie, patrzyli na niego ze zdziwieniem. Mieli nie zadawać mu pytań, tak zapewnił go brat Egbert i jak dotąd miał rację. Jednak Amos szybko zorientował się, z jak wielkim trudem przychodziło im opanowywanie ciekawości.

Łącznie było ich siedmiu, wszyscy mężczyźni byli już w średnim wieku. W tych swoich sztywnych, czarnych kapeluszach i równie czarnych ubraniach wyglądali uroczyście, przypominali raczej kapłanów niż zwykłych rzemieślników. Jeden z nich siedział na koźle wozu i kierował końmi okrzykami i strzelaniem z biczka, inni siedzieli z tyłu na wozie drabiniastym. Mieli przy sobie liczne narzędzia murarskie – młoty i dłuta, węgielnice, liny pociągowe i szpachle. Siedzieli ściśnięci, tak aby i dla niego znalazło się jeszcze miejsce na wozie. Najstarszy z nich był masywnym mężczyzną o siwej brodzie, został powitany przez Egberta jako „mistrz Dreyfus”. Wskazał na tobolek z ubraniami – czarnym ubiorem jakiegoś czeladnika murarskiego, który miał najwidoczniej znacznie krótsze nogi od Amosa, za to szersze barki i klatkę piersiową. W każdym razie spodnie czeladnika sięgały Amosowi przed



kostkę, tymczasem w jego kamizelce i koszuli zmieściłby się podwójnie. Tylko czarny kapelusz o szerokim rondzie leżał na mu na głowie jak ulał.

Tak dokładnie nikt mi się chyba nie będzie przyglądał, taką miał przynajmniej nadzieję. W razie gdyby podczas podróży zwrócili w ogóle na nich uwagę jacyś ceklarze lub przedstawiciele władz, miał się podać za niejakiego Andresa Kupferschuha. Chłopak o tym dziwnym nazwisku był czeladnikiem murarskim z Norymbergii i podróżował ze swoimi kolegami po fachu do Wurzburga, gdzie mieli na rozkaz biskupa Lorenza pracować przy gruntownej przebudowie katedry św. Kiliana. Jego towarzysze podróży mieli potwierdzić te informacje i jeśli ich wozu nie skontroluje osobiście Leo Cellari lub papieski oficer o promiennym uśmiechu, nikt z pewnością nie będzie w to wątpił, że naprawdę jest tamtym czeladnikiem, Andresem Kupferschuhem.

Konie telepały się ociężałe. Kilku jeźdźców przemknęło obok nich i nawet lekkie wozy chłopskie, ciągnięte przez krępe, niskie konie, wyprzedzały ich powolną furmankę. Ale każdy wędrowiec, każdy chłop, a nawet najwynioślejsi jeźdźcy kłaniali się w ich stronę z szacunkiem. Członkowie cechu murarskiego cieszyli się powszechnym poważaniem, Amos słyszał o tym już nie raz. Architektura uchodziła za trudną i dogłębną naukę, a budowniczy potężnych katedr i bazylik w Kolonii, Norymberdze czy Wurzburgu byli czczeni w całym kraju niczym mędrcy i wielcy artyści, ba, prawie jak święci mający kontakt z mocami niebieskimi. I także z tych powodów Amos z pewnością dobrze i właściwie postąpił, przystając na to, by podróżować do Wurzburga z murarzami. Pewniejszej eskorty nie mógłby znaleźć. Mimo to ciągle miał złe przeczucia.

Opat Trithemius kazał im przybyć do Wurzburga najkrótszą drogą i przekazać mu *Księgę duchów*. Amosowi nie pozostało nic innego, jak tylko wykonać ten rozkaz w pojedynkę. Trithemius był nazbyt potężny, żeby mogli tak po prostu przejść nad jego poleceniami do porządku dziennego. Poza tym Faust był najwidoczniej bliskim zaufanym opata, a z tym budzącym grozę czarownikiem Amos najchętniej nigdy by się już nie spotkał. A już na pewno nie wtedy, gdyby Faust był na niego zły lub gdyby ścigał go na rozkaz Trithemiusa. Co prawda, opat i tak zasypie go zarzutami z powodu nieobecności Klary. Cóż on mógł na to poradzić, że ona postanowiła najpierw pojechać do Norymbergii, by spotkać się z matką Zofią?

Poza tym mężczyzna o głosie szeleszczącym niczym papier musiałby koniec końców zrozumieć, podobnie jak Amos, że Klara nie mogła postąpić inaczej. Amos musiał tylko odpowiednio mu wyjaśnić, że Klara nie miała innego wyboru, jak tylko pospieszyć do matki Zofii. Możliwe przecież, że ksieni leżała w agonii, po tym jak siepacze Cellariego torturowali

ją całymi tygodniami, i chciała powierzyć Klarze swoje ostatnie przesłanie. A może – wręcz przeciwnie – udało jej się odnaleźć drogę ucieczki i potrzebowała pomocy Klary, by zbiec z więzienia inkwizycji. Tak czy owak, Klara nigdy by sobie tego nie wybaczyła, gdyby zbyt późno przybyła do Norymbergii, a dobrotliwa ksieni była już martwa lub gdyby możliwość ucieczki przepadła.

Tak mniej więcej, pomyślał Amos, wyłożę wszystko Trithemiusowi, a opat prędzej czy później zrozumie, że oboje nie mogli postąpić inaczej.

Mijała godzina za godziną, a oni wciąż jechali terkoczącym wozem w stronę Wurzburga. Przez większość czasu nikt w wozie nie odzywał się ani słowem. Od czasu do czasu murarze zaczynali nucić jakąś piosenkę, ale już po kilku wersach ją urywali. Ten obcy towarzysz podróży, o którym tak naprawdę nic nie wiedzieli i którego nie wolno im było także wziąć na spytki, wprawiał ich w zakłopotanie i sprawiał, że byli małowolni. Amosowi całkiem to odpowiadało. Myślniami i tak był przy Klarze i czuł coraz większy ciężar w sercu.

Aż w końcu przyszło olśnienie, które ukoilo nawet jego ból wywołany rozłąką. Tak właściwie to dla obojga było najbezpieczniej, że nie jechali razem do Trithemiusa. W gruncie rzeczy nie mogło się dla nich lepiej złożyć, musieli być jeszcze nawet wdzięczni matce Zofii, że ostatniej nocy tak usilnie przyzywała Klarę do siebie.

Czy to możliwe, że ksieni właśnie z tego powodu akurat teraz zwróciła się do Klary, żeby zapobiec ich wspólnej podróży do Wurzburga? Zmieszany Amos zastanawiał się nad tą możliwością. Ale to oznaczałoby przecież, pomyślał, że matka Zofia obserwowała ich przez ten cały czas w magiczny sposób, by w razie konieczności móc od razu interweniować, gdyby Klara lub *Księga* znalazły się w niebezpieczeństwie. Nie, to nie brzmiało specjalnie przekonująco. W końcu według tego wszystkiego, czego Klara się od niej dowiedziała, ksieni była tak osłabiona, że tylko od czasu do czasu mogła przesyłać jej telepatycznie krótkie wiadomości.

Ale jeśli nawet to tylko szczęśliwe zrządzenie losu, że wezwała Klarę do Norymbergii właśnie zeszłej nocy, to i tak jest bez wątpienia najlepsze, co mogło im się obojgu przytrafić. W przeciwnym razie jechaliby teraz, nie przeczuwając niczego złego, do Wurzburga – a wtedy Trithemius dostałby w swoje ręce nie tylko *Księgę*, lecz także ich oboje.

Dopóki nie wiedzieli, jakie koniec końców zamiary mieli względem nich Trithemius i Faust – i kto tam jeszcze mógł należeć do tej szemranej części bractwa, dopóty musieli sumiennie baczyć, by przynajmniej jedno z nich pozostało na wolności. W końcu Opus Spiritus kazało zabić rodziców jego i Klary, a oni sami do dziś nie dowiedzieli się dlaczego. Co było właśnie w nich obojgu takiego nadzwyczajnego. Dlaczego to właśnie oni zostali do

tego wybrani, by dostarczyć *Księgę duchów* w bezpieczne miejsce i wypróbować magiczne moce, które wywoływała w swych czytelnikach.

Amos denerwował się coraz bardziej, podczas gdy różne myśli przemykały mu przez głowę. Musiał koniecznie porozmawiać z Klarą, najlepiej natychmiast. Ukradkiem popatrzył na lewo i prawo – murarze drzemali, głowy osunęły się im na piersi i tylko mężczyzna siedzący z przodu na koźle wozu zdawał się tak samo rześki jak przed wieloma godzinami. Bez przerwy strzelał biczem lub zagrzewał swoje chabety do jazdy monotonnymi okrzykami.

Amos postanowił zaryzykować. Nawiązałyby tylko na krótką chwilę magiczną łączność z Klarą, by surowo jej nakazać, żeby nieustannie miała się na baczności. Gdy opat Trithemius uświadomi już sobie, że nie wykonali całkowicie jego polecenia, to najprawdopodobniej nie skończy się tylko na wymyślaniu Amosowi. Raczej wyśle swoich własnych siepaczy, by pochycili Klarę i również ją do niego przywiedli.

Do tego nie można dopuścić za żadne skarby – w każdym razie dopóki Trithemius nie wyjawi Amosowi, jakie właściwie zamiary ma względem nich Opus Spiritus.

## 7

AMOS ZAMKNAŁ OCZY i zajrzał w głąb siebie. Ujrzał swoje magiczne serce, a w pewnej odległości na jego wewnętrznym niebie drugą, błyszczącą gwiazdę – Klarę. Już miał wysłać jej strumień światła, by połączyć ze sobą ich magiczne serca, gdy w ostatniej chwili zmienił zdanie. Chciał jej zrobić niespodziankę. Postanowił, że nie wyśle jej po prostu telepatycznej wiadomości, lecz pospieszy do niej magicznym lotem, nie nawiązując z nią wcześniej łączności.

Tylko przez krótką chwilę przemknęło mu przez głowę, że być może kierował nim jeszcze jakiś inny, zdecydowanie mniej poważny powód, że nie chciał tylko sprawić Klarze niespodzianki, lecz zamierzał ją także potajemnie obserwować, jak zachowuje się względem Leandra. A później pomyślał, że zupełnie niepotrzebnie zaryzykowałby, gdyby teraz poleciał do Klary jako duch, a jego ciało pozostało na wozie czeladników. Jednak zignorował swoje wątpliwości.

Wyobraził sobie tak dokładnie, jak to tylko było możliwe, miejsce, w którym pozostawił przed wieloma godzinami Klarę i innych – kawałek drogi, skraj lasu, wzdłuż którego przepływał nędznie szemrzący strumień. Poczł szum, jakby był targany i poniesiony przez wicherę, a w następnej chwili wyrwało go z jego ciała, z kołyszącego się wozu i porwało w górę, w stronę wieczornego nieba. Amos chciał śpiewać i krzycheć z radości, tak wspaniale było uczucie szybowania w przestworzach – czuł się jak ptak, lub nawet jak anioł, a w każdym razie taki wolny i lekki, jak nigdy dotąd w swoim życiu. Szybował wysoko nad łąkami i koronami drzew i był szybciej u celu, niż zajęłoby mu choćby tylko wspomnienie imienia „Klara”. Amos, niczym opadające z drzew liście, wirujące od jesieznego wiatru, opadał znów na ziemię. Jednak tu, na skraju lasu, gdzie rozstali się przed pięcioma, sześcioma godzinami, po Klarze, bracie Egbercie i jego gromadzie nie było już, rzecz jasna, żadnego śladu.

Na piaszczystej drodze dostrzegł za to coś innego, co na chwilę zapało nawet dech w piersiach – odciski licznych końskich kopyt i potężnych psich łap. Ślady wychodziły po lewej stronie drogi z lasu, a po drugiej stronie bieły znów w gęszcz.

Purpurowi wojownicy! Znaleźli trop Egberta i jego ludzi i ponownie wszczęli pościg, a to bynajmniej nie było jeszcze wszystko.

Amos pochylił się bardziej nad śladami w pyłe. Wyraźnie było widać jeszcze także ślady kół wozu, a przynajmniej mógł je z łatwością dostrzec ktoś, kto – tak jak on – był wprawiony w czytaniu śladów. Tu, w cieniu drzewa, zatrzymał się wcześniej wóz i oczekiwał na Amosa. W końcu ruszył dalej drogą na zachód. Z początku Amos myślał, że wszyscy ich prześladowcy, wraz z psami św. Huberta (i zakutym w kajdany Johannesem) znów uczepili się tropu Egberta, Klary i innych. Ale im dłużej przyglądał się śladom na drodze, tym jaśniejsze stawało się dla niego, że w tym względzie się mylił.

Trzech jeźdźców oddzieliło się od bandy siepaczy i podążyło śladami wozu na drodze. Dwóch purpurowych wojowników dowodzonych przez oficera z niegasnącym uśmiechem? Albo przez brata Meinolfa, na którego policzkach znów wykwitły rumieńce żądy zabijania?

Przez dłuższą chwilę Amos patrzył nieruchomym wzrokiem na ślady na piasku. Nie mógł się po prostu zdecydować, co powinien uczynić w pierwszej kolejności. Musiał ostrzec Klarę i innych. Ale musiał także wrócić na czas do wozu, jeszcze przed tymi trzema jeźdźcami – i do swojego ciała, które leżało bezradnie i nieruchomo między murarzami, jak ciało nieprzytomnego człowieka. *Z Księgą duchów* w kaftanie Andresa Kupferschuha.

– *Klaro?* – wykrzyczał jej imię drżącym od lęku telepatycznym głosem i wsłuchał się w skupieniu w swoje wnętrze. – *Klaro? Słyszysz mnie?*

Nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi.

Spróbował jeszcze raz, i jeszcze raz. Ale daremnie.

Wtedy ogarnął go taki strach, że zapomniał o wszystkim innym – strach o Klarę, strach, że purpurowi wojownicy mogliby dotrzeć przed nim do obozu Egberta. Że przybyłby poniewczasie, że brat Meinolf znów chodziłby, podskakując, ze sztyletem w ręku od jednego człowieka do drugiego – o nie, do tego nie może dopuścić.

Wyobraził sobie Klarę tak dokładnie, jak tylko to potrafił. Malował ją przed oczyma swojej duszy barwami miłości, troski i czułości. Jej smukłą postać, złociste włosy, błyszczące wszystkimi odcieniami zieleni oczy, które mogły przybrać barwę czerni, gdy była smutna lub rozgniewana. Poczuł, jak dokoła niego znowu zaświstało i z całych sił utrzymał wewnętrzny obraz Klary. W następnej chwili znów porwało go w przestworza z taką zapierającą dech szybkością, jakby był strzałą wystrzeloną z napiętej do granic niemożliwości cięciwy. Poleciał pionowo do nieba i znów pędził z tak zatrważającą prędkością, że głęboko pod swoimi stopami, na ziemi, ledwo mógł rozróżnić jakiegokolwiek szczegóły.

Lasy, mała wioska, położona w kotlinie, później znów lasy i, i lasy. Przemknął nad nimi, popędził nad jakąś drogą, która ponownie ciągnęła się przez gąszcz. A wszystko to działo się w tak zawrotnym tempie, że na drodze, tam w dole, dostrzegł tylko kilka punkcików, plam, kolorowych cieni – być może był to powóz, wędrowcy, ciemnoczerwone cętki, wóz chłopski, kierdel człapiących kóz... Stój, co to była za czerwona cętka? Po plecach przeszły mu ciarki.

Purpurowo żarząca się plamka. Trzy, może cztery drgające punkciki. Amos zdążył zobaczyć je jeszcze kątem oka, po czym znów widział już tylko nieprzenikniony las.

Jeźdźcy?, pomyślał. Purpurowi wojownicy, a któż by inny! Właśnie w tym miejscu jego przyprawiający o zawrót głowy lot dobiegał kresu, a on poszybował znowu w dół, w kierunku ziemi, niczym liść opadający na jesiennym wietrze z korony drzewa.

Wylądował na skraju niewielkiej polany Zmierzchało, a Egbert i jego ludzie zdawali się zmęczeni długą wędrówką. Rolfus, kamieniarz Walter i Egbert siedzieli blisko siebie na powalonym drzewie i z poważnymi minami nad czymś radzili. Amos rozpoznał także Sarę i kilka innych kobiet krzątających się przy ognisku pośrodku polany. Zupa kipiała w kadzi, a kobiety dosypywały do niej wiele różnych kawałków korzeni i ziół. Korzenny zapach powiał w stronę Amosa.

Jeśli nawet zostawiło się swoje ciało w znajdującym się wiele mil stąd murarskim wozie, można było odczuwać głód. Nie mówiąc już o tęsknocie do ukochanej dziewczyny – jeśli nawet nie miało się w danej chwili ust, żeby ją ucałować, lub ramion, żeby ją objąć. I

jeśli nawet na całej polanie nie było śladu Klary.

Tak samo żadnego śladu po Leandrze – tym brudnym drobnym złodziejaszku, pomyślał Amos, a w serce znów zakłuł go trujący cień zazdrości. Wtedy Leander usiłował mu ukraść list od Kronusa, czyżby teraz chciał, ledwo Amos odwrócił się do nich obojga plecami, dobrać się jeszcze do serca Klary? I czy Klara nie ma złodziejskiej żyłki? Czy w Norymberdze nie żyła całymi miesiącami z rabunku i kradzieży i nie ukradła jemu samemu listu Kronusa – napawając się isticznie złodziejską radością z jego przerażenia i wściekłości?

Nie chciał o tym wszystkim myśleć, wręcz przeciwnie, myśli te niemal łały jego serce. Ale jakkolwiek ich wypatrywał, nie mógł dostrzec ani Klary, ani Leandra.

– *Klaro!* – wykrzyknął prawie załamującym się telepatycznym głosem. – *Purpurowi wojownicy wpadli na wasz trop! Będą tu najpóźniej za godzinę! Klaro! Gdzie jesteś? Dlaczego mi nie odpowiadasz?*

Brat Egbert odłożył swój kij na ziemię i podniósł się z trudem. Rozejrzał się na wszystkie strony i zrobił minę, jakby był zdziwiony, ale jeszcze bardziej jakby miał już dość wszystkich tych niespodzianek. Zmrużył oczy, a Amos poczuł już w następnej chwili, jak ściska mu się żołądek.

– *Czuję, że jesteś tu gdzieś blisko, Amosie* – powiedział brat Egbert z surową nutką. – *Co to ma znaczyć Dlaczego nie jesteś na wozie, który ma cię zawieźć do Wurzburga ?*

– *Tutaj jestem, bracie Egbercie* – odparł Amos. – *Na wozie zostało moje ciało. Ja chciałem tylko jeszcze raz spojrzeć na Klarę. Gdzie ona jest, bracie Egbercie?*

Stary mężczyzna zmarszczył czoło i popatrzył w stronę Amosa wyczekującym wzrokiem. Wydawało się, że udało mu się tymczasem zlokalizować miejsce, w którym unosił się Amos.

– *Nie możesz jej teraz przeszkadzać* – powiedział. – *Wszystko dokładnie zaplanowaliśmy z wyprzedzeniem.*

– *Przeszkadzać w czym?* – spytał Amos. Ogarnęło go bardziej niż nieprzyjemne uczucie, zmieszane z kipiącą wściekłością. – *A gdzie jest w ogóle Leander?*

Spojrzenie Egberta stało się niespokojne. Popatrzył w stronę Amosa, ale bardziej w głąb lasu. I jeszcze zanim Amos szybko się obrócił, przeczuł, co tam zobaczy. Klarę i Leandra.

Jednak to, co zobaczył, przechodziło nawet jego najgorsze oczekiwania, obawy i najmroczniejsze koszmary zazdrości.

Klara i Leander siedzieli blisko siebie przed wejściem do niewielkiej jaskini skalnej, kilka kroków głębiej w lesie. Klara szeptała blondwłosemu chłopakowi do ucha, a on

przysłuchiwał się jej słowom z zachwytem wymalowanym na twarzy. Oczy ściągnęły mu się do wąskich szparek i jakby dla równowagi miał na w pół otwarte usta.

– *Klaro!* – krzyknął Amos, a ta krótko się wzdrygnęła, po czym dalej szeptała Leandrowi do ucha, nie odwracając nawet wzroku w stronę Amosa.

Wtedy ogarnął go pałący ból, poczuł wściekły smutek i rozdzierający gniew.

– *Przekłety chłopak* – wykrzyczał drżącym telepatycznym głosem. – Zapłacisz mi za to!

Sam siebie nie poznawał, swego wysokiego, przenikliwego głosu, i tego straszego gniewu szalejącego w nim niczym pożoga. A wtedy poczuł nagle dłonie, które potrzęsały nim i szarpały go za ramiona i ręce, i otrzymał mocny cios w pierś. Zanim w ogóle pojął, co się z nim dzieje, znów porwało go w przestworza i powirował po wieczornym niebie, a pół sekundy później znów wstrzelił się w swoje ciało.

Otworzył oczy i już chciał się podnieść z miejsca, ale przytrzymały go twarde jak żelazo dłonie.

– Co z tobą, chłopcze. Już myśleliśmy, że nie żyjesz! – Szeroka twarz mistrza Dreyfusa unosiła się nad nim z siwą, nastroszoną brodą.

Rozwścieczony, w swym pierwszym zmieszaniu Amos pomyślał: „Nie umarłem, tylko spałem”.

Stalowe pięści wypuściły go z uścisku, a jemu samemu udało się usiąść. Ich wóz wciąż jeszcze terkotał po drodze. Tymczasem na zewnątrz ściemniło się na dobre, jednak pełny księżyc rzucał na ziemię nieco światła – dzięki temu było jednak niewiele ciemniej niż w mglisty, pochmurny dzień.

Murarze pewnie chcieli już wkrótce rozłożyć swoje posłania, jednak w żadnym razie nie mogli zatrzymać wozu, dopóki on sam był jeszcze pośród nich. Amos gorączkowo rozważał na wszystkie strony, jak powinien to wyjaśnić Dreyfusowi. Stary budowniczy patrzył na niego teraz już tak podejrzliwym wzrokiem, jakby uważał go za wariata lub, co gorsza, za kogoś, kto paktuje z diabłem.

– Proszę, wysłuchajcie mnie, mistrzu Dreyfusie – zaczął. – Musicie mi uwierzyć, że to, co wam powiem, jest prawdą bez wykrętów, choć dla waszych uszu pewnie to dziwnie zabrzmie. – Popatrzył na niego błagalnym wzorkiem. – Jestem ścigany – powiedział. – Moi prześladowcy dogonią nas najpóźniej za pół godziny.

Mistrz Dreyfus ściągnął brwi.

– Ścigany? – powtórzył. – Przez kogo?

Amos zwlekał z odpowiedzią. Czy rzeczywiście mógł powiedzieć murarzom prawdę,

a przynajmniej jakąś małą jej część? Tak czy owak, brat Egbert zdawał się ufać mistrzowi Dreyfusowi. Z drugiej jednak strony, ci mężczyźni znajdowali się w służbie biskupa Wurzburga i już choćby z tego powodu nie odważyliby się wystąpić przeciwko żołnierzom papieża. A mimo to, pomyślał Amos, muszę przynajmniej spróbować. Gdyby nakłamał im, że jest poszukiwany z powodu jakiejś kradzieży, to wtedy z pewnością by mu nie pomogli. W końcu byli poważanymi rzemieślnikami, a co się tyczyło jego samego, to już raczej dałby się złapać purpurowym wojownikom i ponownie wtrącić do więzienia, niż kiedykolwiek podał się za podłego złodziejaska – choćby miał być to tylko bezpieczny wybieg. Nigdy! Znów rozgorzał w nim gniew: był wściekły na Leandra, Johanna i czuł zjadliwy ból z powodu Klary. Jednak teraz naprawdę nie wolno mu było więcej o tym myśleć, słyszał już prawie uderzenia końskich kopyt zbliżających się za nimi przez ciemną drogę prześladowców.

– Przez inkwizycję – powiedział to tak spokojnie, jak tylko potrafił. – Wysłali za mną wojowników na usługach Kościoła, a ci depczą nam już po piętach.

Wszystkich sześciu murarzy, którzy siedzieli z nim na wozie, przysłuchiwało się teraz uważnie ich rozmowie. Na ich twarzach malowały się powaga i zmartwienie, lecz nie było widać oznak rezygnacji czy nawet gniewu na wieść o niecodziennym towarzyszu podróży.

– Jak ci stawiają zarzuty? – spytał Dreyfus. Amos znów zawahał się i zanim ułożył sobie w głowie odpowiedź, mistrz machnął ręką. – Wcale nie chcę tego wiedzieć. Egbert jest uczciwym człowiekiem, znam go przez pół mojego życia. Ujął się za tobą, a to mi zupełnie wystarcza. – Pogrążony w myślach, skręcał sobie koniuszki brody. – Ale jedną rzecz musisz mi powiedzieć – ciągnął dalej.

– Skąd dokładnie wiesz, że twoi prześladowcy nas ścigają i że dzieli ich od nas zaledwie pół godziny drogi, jak to sam przed chwilą stwierdziłeś.

Amos wzruszył ramionami.

– Po prostu wiem. I proszę was, także dla waszego własnego dobra, przestańmy na tym. I tak nie mamy już w ogóle czasu na dłuższe wyjaśnienia. Proszę, powiedzcie mi, mistrzu Dreyfusie, czy znacie mniej więcej tę drogę?

Budowniczy skinął głową.

– Przejeżdżałem tędy już dziesiątki razy. Znam tu każdy krzak i każdy kamień.

– W takim razie z pewnością znacie także miejsce, którego teraz tak pilnie potrzebujemy – powiedział Amos, a tej sztuczki nauczył go przed wieloma laty jego ojciec, zupełnie jakby Ferdinand von Hohenstein przewidział wtedy, że jego syn pewnego dnia będzie musiał uciekać. Ścigany przez bezwzględnych łowców ludzi, których mógł się pozbyć już tylko w ten sposób.



– O jakie miejsce chodzi? – Chciał wiedzieć budowniczy.

– Miejsce, w którym mógłbym wyskoczyć z wozu – powiedział Amos. – Tak, abyście nie musieli się zatrzymywać i żebym ja, wyskakując i uciekając, nie zostawił po sobie najmniejszego nawet śladu.

Murarze wymienili zdumione spojrzenia.

– Najlepszy byłby chyba jakiś potok lub jezioro – powiedział jeden z murarzy. – Ale zanim znów będziemy przejeżdżać koło czegoś takiego, minie co najmniej godzina.

– To za późno – powiedział Amos. – Proszę, zastanówcie się jeszcze, przecież musi być bliżej jakiegoś odpowiednie miejsce. Może jakaś ściana skalna? Niezbyt stroma i śliska, tak żeby można było się jej chwycić po skoku i wspiąć po niej dalej, na szczyt.

Czeladnicy pokręcili głowami.

– Góry już minęliśmy.

Amosowi robiło się coraz bardziej niedobrze.

– Zrozumcie – powiedział nagłym tonem. – Tu chodzi także o wasze bezpieczeństwo. Do tej pory wojownicy na usługach Kościoła podejrzewają jedynie, że mogę z wami podróżować. Jeśli was już dogonią i nie znajdą mnie na waszym wozie, to wtedy nie będą was niepokoić i puszcza was dalej. Ale tylko wtedy, kiedy nic nie będzie wskazywało na to, że wysadziliście mnie gdzieś po drodze.

Mistrz Dreyfus pochylił się na bok i wyciągnął spomiędzy ułożonych w stos narzędzi murarskich zwiniętą linę.

– Czy potrafisz się wspinać? – zapytał Amosa.

Ten skinął głową i z bijącym sercem zmusił się do tego, by znów odwrócić wzrok od liny i spojrzeć na mistrza Dreyfusa. Była to nadzwyczaj okazała lina, mocna a jednocześnie elastyczna i z pewnością nie krótsza niż czterdzieści stóp.

– W takim razie wiem już chyba, jak możesz uciec – powiedział mistrz Dreyfus. – Weź tę linę i trwaj w gotowości. Za drugim z kolei zakrętem rośnie prastare drzewo, które tutejsi ludzie nazywają „Tysiącletnim Dębem”. Gdy dam ci znak, podrzucisz linę i przeskoczysz na drzewo. Wtedy wespiesz się, niczym wiewiórka, na koronę drzewa. Dąb jest także znany jako pogańska brama – pień jest rzekomo pusty z tajemnym wejściem tuż pod koroną. Wcześniej ludzie wierzyli podobno w to, że przez drzewo można dostać się do podziemnego świata pogańskich duchów. Głupi przesąd, ale fakt faktem, że pień może się mimo to nadać na kryjówkę.

WRESZCIE NA HORYZONCIE UKAZAŁ SIĘ TYSIĄCLETNI DĄB. Znajdował się po prawej stronie drogi, kilkadziesiąt kroków przed nimi. Na sinym wieczornym niebie unosił się srebrny krąg księżyca, a przed nim odcinało się olbrzymie drzewo, niczym pradawny szkielet z monstrualną trupią czaszką i wieloma różnymi, unoszącymi się w geście błagania lub groźby ramionami.

Za ich plecami rozbrzmiewał tętent wielu koni, które najwidoczniej zbliżały się do nich galopem, a dzieliła je od nich co najwyżej jedna mila.

Serce Amosa biło szybciej niż zwykle. On jednak nie odczuwał strachu. Jego umysł pracował spokojnie, a oczy szukały już najodpowiedniejszego konaru, wokół którego mógłby zaraz owinać swoją linę. Był to najpotężniejszy dąb, jaki kiedykolwiek widział, jednak wydawało się, że drzewo jest już od dawna martwe. I jedynie tylko całkiem u dołu pnia kiełkowało kilka zielonych gałęzi i niczym szczątki niegdyś dumnej flagi tam, na górze, w gołej koronie drzewa z jedyne go konaru, w którym drzemało jeszcze nieco życia, zwiślały trzy, może cztery, zwiędłe liście. Mimo to ta potężna ruina drzewa opierała się do dziś wszystkim burzom.

Rozgorączkowanymi palcami Amos owinał sobie jeden koniec liny wokół pasa, a drugi zawiązał w pętelkę. Tobołek z ubraniami przerzucił sobie przez plecy. Co się zaś tyczyło stroju Andresa Kupferschuha, to zamierzał go zwrócić lub za niego zapłacić przy najbliższej nadarzającej się okazji. Nie było już teraz czasu na ponowną zmianę odzieży, a poza tym, w stroju wędrownego czeladnika murarskiego nie będzie wzbudzał aż takiej sensacji.

Nikt na wozie się nie odzywał. Podobnie jak sam Amos, również murarze patrzyli w milczeniu i wyraźnym skupieniu w stronę korony drzewa.

Amos zaczął kręcić liną nad głową. Gdy zbliżyli się już na zaledwie kilka kroków do celu, rzucił pętelkę w koronę drzewa, a ta zaplątała się o sękaty konar, który wcześniej sam wybrał. Sondując, pociągnął za linę, konar wydał z siebie dobrze słyszalne stęknienie, jednak Amos czuł wyraźnie, że gałąź wytrzyma.

Całkowicie się wyprostował, pozdrowił milcząco murarzy w dole i już wspinał się zwinnie niczym wiewiórka po linie do góry. Już w następnej chwili siedział na konarze, pięć stóp ponad ziemią. Rozwiązał pętelkę i zarzucił sobie linę na plecy. Oddychał szybciej niż zazwyczaj. Tam w dole wóz murarzy okrążył, chwiejąc się, krzak czarnego bzu i stopniowo

znikał w mroku po prawej. Jednak o wiele szybciej niż ucichł jego stukot i turkotanie, po lewej wzmagał się tętent galopujących konno purpurowych wojowników, aż przeistoczył się w ogłuszający huk.

Amos pełzał i balansował na konarze w kierunku olbrzymiego pnia. Ten był tak potężny, gruby i wysoki jak wieża, lecz jednocześnie był też prastarą, żywą istotą, we wnętrzu której można było znaleźć schronienie; mającą tysiąc lat i wciąż uporcezywie wczepioną pazurami w próg dzielący życie od śmierci. Amos pomacał surową korę dokładnie powyżej konaru. W pniu nad jego konarem rzeczywiście znajdowała się luka wystarczająco duża, żeby mógł wcisnąć się do jej środka szczipły człowiek. Wszedł do środka nogami do przodu. Wewnątrz panował mrok, a powietrze cuchnęło stęchlizną, zupełnie jak w krypcie piwnicznej na zamku Hohenstein. Tam spiesznie pochował swoją siostrę Odę w kamiennej trumnie, zanim pobiegł do folwarku młyńskiego Kronusa. Ale wtedy przybył za późno. Wszystko było już spalone, a po samym Kronusie nie było ani śladu.

Nie myśl o tym, napominał się Amos, nie teraz. Tak cicho, jak to tylko było możliwe, zaczął schodzić w dół pustego drzewa. Wyczuwał maleńkie zagłębienia, w które mógł się wczepiać swoimi palcami lub które pozwalały mu chwilowo znaleźć oparcie dla stóp. W końcu znów poczuł twardy grunt pod stopami. Tu, na dole, u podstawy „pogańskiej bramy”, leżało mnóstwo rozsypanych patyczków (czy cokolwiek innego to było), a zatechłe powietrze zapierało dech w piersi.

Jednak już w następnej chwili Amos i tak wstrzymał oddech. Tam, na zewnątrz, nadjeżdżali galopem jego prześladowcy, tętent wprawił całą „pogańską bramę” w drzenie. Przez szczeliny i szpary w pniu Amos widział poblask wielu pochodni, który rozświetlał wszystko dookoła na purpurowo. Kilka sekund później siepacze przemknęli pędem obok dębu.

Amos nasłuchiwał w napięciu odgłosów z zewnątrz. Uderzenia kopyt milkły z wolna, a później naraz zapadła nienaturalna cisza. Co to miało oznaczać? Do wnętrza pnia, w którym siedział Amos, wciąż jeszcze dostawał się blask płonących pochodni. Ale gdyby purpurowi wojownicy znajdowali się jeszcze w zasięgu jego wzroku, to przecież musiałby słyszeć stukot kopyt ich koni! Jednak poza łomotaniem jego własnego serca panowała upiorna cisza. A to mogło oznaczać tylko jedną rzecz: purpurowi wojownicy nagle zatrzymali swoje konie.

Ale dlaczego? Dlatego, że nabrali podejrzeń i być może skradają się wokół drzewa? A może dogonili murarzy i zmusili ich do zatrzymania?

Serce podchodziło Amosowi do gardła. Nasłuchiwał usilnie. Teraz słyszał także nerwowe pokrzykiwania, jednak nie mógł niczego zrozumieć, bo mężczyźni byli za daleko.

Udało mu się usłyszeć niski, mocny głos mistrza Dreyfusa, a zaraz potem jakiś drugi głos, który stanowił dokładne przeciwieństwo uspokajającego basu budowniczego. Wysoki głos młodzieńca, w którym właściwie zawsze dało się słyszeć podenerwowanie, nawet jeśli jego właściciel zadawał sobie trud, by brzmieć tak chłodno i wyniośle jak Leo Cellari. Bez wątpienia, pomyślał Amos, tym drugim mężczyzną i osobą dominującą podczas całej tej głośnej utarczki na zewnątrz był brat Meinolf.

Jakkolwiek by Amos nadstawiał uszu, to i tak nie mógł wylapać nawet strzępków zdań, tym bardziej rozpaczliwie starał się odgadnąć, na jaki temat Meinolf mógł dyskutować z murarzami. Czyżby młody dominikanin nabrał jakichś podejrzeń? Było to przecież niemożliwe. W końcu sam nie zostawił po sobie najmniejszego śladu ani na wozie, ani gdy wspinał się na drzewo. Może jednak o czymś zapomniał lub coś zgubił? Gorączkowo szukał, macając, *Księgi duchów* ale nie, książka tkwiła dalej w kaftanie Andresa Kupferschuha, gdzie wcześniej własnoręcznie ją upchnął. Zdjął nawet tobolek z pleców i obmacał go w mroku, zadowolając się dopiero wtedy, gdy wyczuł między palcami każdą poszczególną część swego stroju: spodnie, koszulę, kamizelkę z jagnięcej skóry.

Tylko nie trać głowy, powiedział sobie Amos. Wojownicy zaraz wycofają się z pustymi rękoma. Prawdopodobnie Meinolf nie mógł tak od razu pogodzić się z faktem, że najwyraźniej podążał fałszywym tropem. Ale w końcu uzna, że Amos i Klara najwidoczniej są jeszcze z bratem Egbertem. A wtedy rozkaże żołnierzom na usługach Kościoła, żeby pospieszyli z powrotem do miejsca, gdzie Egbert i jego ludzie przeszli przez drogę i udali się na zachód, znikając w zaroślach.

Klara! Lodowate przerażenie przeszło go aż do szpiku kości – a w następnej chwili przesywający ból. Musiał ją ostrzec, że purpurowi wojownicy depczą jej po piętach, i musiał z nią porozmawiać – po prostu nie mógł inaczej, jeśli nie chciał wykończyć się z zazdrości.

Amos zwięził oczy w wąskie szparki i wejrzał w głąb siebie. Ujrzał swoje własne magiczne serce, a w znacznej odległości drugą, błyszczącą gwiazdę – Klarę. Zupełnie blisko niej zobaczył jeszcze jedną, mniejszą i ledwie błyszczącą gwiazdę.

Ścisnęło mu gardło, całkiem wyraźnie czuł, że tą małą gwiazdą, która wzeszła obok Klary, jest Leander, ten podły złodziej! Klara musiała wzbudzić w nim dar magii serca – ale niby jak? Przecież w końcu *Księgę duchów* zabrał ze sobą, jak więc mogła czytać Leandrowi opowieść o rycerzu, *co znalazł swoją ukochaną za lustrem?*

– Klaro? – wykrzyczał błagalnie w noc swego serca. – *Na wszystkie dobre duchy, Klaro, dlaczego mi nie odpowiadasz?*

– *Przecież tutaj jestem, mój wybrańcu.* – Jej telepatyczny głos był spokojny i prawie

radosny – *Sprawiasz wrażenie zmartwionego i zaniepokojonego. Co z tobą, Amosie?*

Amos nasłuchiwał odgłosów dochodzących z zewnątrz, w oddali widać było dzikie wymachiwanie pochodni, które rozświetlały panujący tam mrok. Słyszał stłumione krzyki a później szczęk – jakby mieczy. Przesłyszał się? W każdym razie, w następnej chwili na zewnątrz znów zapanowała zupełna cisza.

– *Meinolf i dwóch purpurowych wojowników śledziło nas i właśnie przed chwilą dogonili wóz murarzy – oznajmił Klarze. – Ale ja jestem bezpieczny, nie martw się o mnie. – Wahał się, tak wielką miał nadzieję, że Klara wpadnie mu w słowo, ale ona milczała. – A co u was? – zapytał. – Mam na myśli Leandra i ciebie.*

– *Cóż to ma znaczyć – Klara odpowiedziała pytaniem na pytanie. – To razem brzmi dziwnie. Znów jesteś zazdrosny, nieprawdaż?*

Zacisnął zęby tak mocno, że aż usłyszał trzask w uszach. Czuł przecież, że Klara nie udawała. Czuł przecież strumień ich miłości, który niezmiennie łączył ich ze sobą swoim ciepłem i blaskiem, ale on po prostu nie potrafił inaczej.

– *Widziałem was – wyjawiał jej – przed chwilą, na polanie. Byłem tam i widziałem, jak Leander i ty...*

– *Co widziałeś? – Klara mu przerwała. – Jak opowiadałam Leandrowi pierwszą opowieść z Księgi duchów, cicho, na ucho, żeby nikt inny jej nie usłyszał? Tylko to mogłeś widzieć, Amosie. Bo poza tym nie było niczego więcej. – Po raz pierwszy, od czasu gdy się poznali, ona wydawała się rozzłoszczona. – Co sprawia, że nieustannie mnie podejrzewasz? – wyrzuciła z siebie. – Czy naprawdę sądzisz, że rzucam się pierwszemu lepszemu chłopakowi na szyję, jak tylko odwrócisz się do mnie plecami?*

– *Jak to możliwe – wykrzyczał swym ochrypłym telepatycznym głosem – że czytasz Leandrowi z Księgi duchów, mimo że to ja mam ją przy sobie?*

– *Głupek! – powiedziała Klara, a on domyślił się z jej tonu, że jej oczy zaczęły błyszczeć od drwiny. – Mój ty drogi, zazdrosny głupcze. Przecież nie tak dawno temu jeszcze raz przeczytałam pierwszą i drugą opowieść i znam je obie na pamięć.*

Amos poczuł się teraz raczej zmieszany. Zastanawiał się, jak brzmiały pierwsze zdania opowieści o rycerzu, co znalazł swoją ukochaną za lustrem i stwierdził, że i on potrafiłby wyrecytować ją z pamięci mniej więcej słowo w słowo.

– *Współczuję Leandrowi, to wszystko – powiedziała Klara pokojowym tonem. – Gdy wzbudzimy w nim dar magii serca, być może uda mu się wtedy uporać z tym strasznym przeżyciem, które odebrało mu mowę.*

Była to szczerza prawda. Amos czuł to całkiem wyraźnie. Klarze nigdy nie przyszłoby

do głowy, by go zdradzić, oczywiście, że nie. Ani z Leandrem, ani na pewno nie z tym na wpół szalonym Johannesem. Obaj wzbudzili jej współczucie, a ona zastanawiała się, jak mogłaby pomóc tym biedakom – a może nawet ich uzdrowić. W przypiływie skruchy uczucie zazdrości przysło u Amosa jak bańka mydlana.

– *O mój Boże, Klaro* – powiedział na wpół zduszonym telepatycznym głosem. – *Ale ze mnie idiota! Jak mogłem być dla ciebie tak niesprawiedliwy? Wykorzystujesz dar magii uczuć, który wzbudziła w tobie Księga, żeby pomagać innym. A ja? Żeby im szkodzić, doprowadzać ich do zguby, nieważne jak, najważniejsze, że pozostaje na zawsze z dala od ciebie.* – Na to Klara z początku nie udzieliła żadnej odpowiedzi. Amos czuł, że w jej wnętrzu walczą ze sobą zdziwienie i litość, uraza i miłość.

– *Amosie, co ty mówisz?* – wyrzuciła w końcu z siebie. – *Kogoś doprowadził do zguby i przez co?*

Odpowiedź cisnęła mu się na usta, ale zdusił ją. On po prostu nie mógł odpowiedzieć, bo też nie potrafił otwarcie obwinać się przed Klarą za to, że złorzeczył Johannesowi i jeszcze przed chwilą przeklinał Leandra; że nie wykorzystywał daru magii serca w duchu życzliwości względem innych, zgodnie z oczekiwaniami Kronusa, lecz wyłącznie do egoistycznych, szkodliwych celów.

– *Porozmawiamy o tym później* – powiedział w końcu. – *Bo o wiele ważniejsze jest teraz to, że musisz uciekać. I to natychmiast! Pozostali purpurowi wojownicy podążyli za wami ze moimi psami i muszą być już całkiem blisko. Musisz znaleźć sobie bezpieczną kryjówkę, Klaro. Natychmiast.*

– *Tylko spokojnie, Egbert i jego ludzie o wszystkim pomyśleli.* – Klara brzmiała teraz nieco powściągliwiej, zupełnie jakby uświadomiła sobie, że nie całkiem może ufać Amosowi. – *Chciałam tylko przeczytać jeszcze szybko Leandrowi tę opowieść* – ciągnęła dalej – *bo w przeciwnym razie już dawno dałabym drapaka. Kasztanka jest już osiodłana, a Walter całkiem dokładnie objaśnił mi drogę. Właśnie wsiodam na siodło, by dalej samotnie kontynuować podróż do Norymbergii. Tymczasem brat Egbert i jego ludzie zwabiają purpurowych wojowników bardziej w głąb lasu.* – Naraz jej głos zabrzmiał tak, jakby brakowało jej tchu. – *Nadjeżdżają, muszę się spieszyć, Amosie. Do zobaczenia wkrótce!*

Żołądek mu się ścisnął, a łączność z Klarą nagle została przerwana.

JESZCZE BARDZIEJ SAMOTNY I PORZUCONY niż nie tak dawno temu w swej więziennej celi – tak czuł się Amos, gdy siedział we wnętrzu pustego dębu. „Kogoś doprowadził do zguby i przez co?”, zapytała go Klara. I gdyby wyznał jej, że tylko on jest winien temu, co spotkało Johannesesa, że nadużył daru magii serca, złorzeczył i przeklinał chłopaka, tylko po to, by się go pozbyć, to Klara odsunęłaby go od siebie, a wtedy nigdy, przenigdy nie byłaby w stanie go kochać. I nawet jeśli zataiłby to przed nią, to cóż to by była za miłość, opierająca się na niedopowiedzeniach i oszustwach? A co dopiero, gdyby i Leander zginął przez niego, Amosa, lub dostał się w ręce ich wrogów? Do tego właśnie mogłoby dojść, powiedział sobie. W końcu tak samo złorzeczył i przeklinał Leandra jak wcześniej Johannesesa, także i jemu może coś zagrażać. Amosa ogarnęło przerażenie, w czasie gdy te myśli wirowały mu w głowie – strach przed magicznymi mocami, które wzbudzili w nim Kronus i *Księga*, strach przed całym tym cierpieniem i przemocą, które ludzie nieustannie sobie zadawali. I czy on sam był lepszy od opata Trithemiusa, który – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa – kazał zabić rodziców jego i Klary? Albo od Cellariego i Skythisa, którzy, uzbrojeni w miecze i topory, wyprawiali się polować na ludzi? I czy inkwizytorzy i łowcy ksiąg nie mieli racji, starając się za wszelką cenę zapobiec temu, by setki i tysiące ludzi przeczytały *Księgę duchów* i w ten sposób nabyły magicznych mocy – mocy, które pozwalały byle wymoczkowi i parobkowi na to, by szkodzili ludziom, ba, nawet ich zabijali?

Przygnębiony Amos dumał nad tymi zawiłymi sprawami i coraz bardziej czuł się uwikłany. Kronus na pewno nie chciał, by w czytelnikach jego księgi wyzwalała się zdolność do szkodliwych zaklęć. A jednak właśnie to miało miejsce w jego przypadku! Cóż miał teraz począć?

Amos zamknął oczy.

– *Valentinie Kronusie, drogi panie* – pomyślał zaklinająco. – *Jeśli mnie słyszycie, dajcie mi, proszę, jakiś znak! Poblądziłem w ciemnościach i nie wiem, co dalej robić!*

Jednak niezależnie od tego, jak usilnie wsłuchiwał się w swoje wnętrze, Kronus milczał. Donośny stukot końskich kopyt wyrwał go z zamyślenia. Meinolf z dwoma żołnierzami widocznie zawrócił. Przez wiele różnych szpar w pniu drzewa dostrzegł trzy pochodnie, które, płonąc czerwono pomarańczowym płomieniem, zamigotały z prawa. Jeźdźcy poruszali się powoli do przodu, zupełnie jakby spełnili swoją misję. Rozmawiali cicho ze sobą, raz po raz się przy tym śmiejąc. A brzmiało to wręcz tak, jakby nadjeżdżali

jacyś poczciwi kupcy, którzy nie byliby zdolni nikomu wyrządzić krzywdy. I właśnie gdy dotarli do dębu, w którym skrywał się Amos, jeden z żołnierzy na usługach Kościoła powiedział:

– Bracie, czy widzicie ten martwy, zrujnowany dąb? Ludzie mieszkający w tej okolicy nazywają je pogańskim drzewem, czy jakoś tak. Ma ono rzekomo tysiąc lat i dawniej kapłani diabła mieli tu odprawiać swoje czarne msze.

Nagle na zewnątrz zapadła absolutna cisza. Najwidoczniej ci trzej jeźdźcy zatrzymali swoje konie tuż przed dębem.

– Pogańskie drzewo? – powtórzył Meinolf i zaśmiał się dźwięcznie. – Podpalcie to!

– Nie żartujecie sobie, bracie? – Był to najwidoczniej drugi z purpurowych wojowników, sądząc po głosie roztropny, nie całkiem już młody mężczyzna. – Dookoła pełno lasów. Moglibyśmy wywołać prawdziwą pożogę.

Meinolf dyszał teraz, jakby wbiegł pędem po schodach.

– Podpalcie to pogańskie plugastwo! – zaskrzeczał. – Nie słyszycie? Podłóżcie ogień!

W następnej chwili jedna z płonących pochodni wleciała w koronę drzewa. Przez szpary w pniu Amos mógł dość dokładnie prześledzić jej lot. Wysoko ponad jego głowę, w koronie drzewa, zaczęło skwierczeć i trzaskać. Spróchniałe drewno w okamgnieniu zajęło się ogniem. Przez lukę nad swoją głowę Amos zobaczył, jak chwilę potem cała potężna korona drzewa zaczęła się palić jasnym płomieniem.

Ugryzł się w knykcie, by powstrzymać krzyk. Mimo że prawdopodobnie nie zrobiłoby to różnicy – trzask płomieni i odgłosy łamania się płonących konarów były takie ogłuszające, że ci trzej mężczyźni na zewnątrz na pewno by go nie usłyszeli. Bądź co bądź, nie podpalili drzewa dlatego, że udało im się go wytropić, lecz uczynili to po prostu z pychy. Z samej tylko żądzy niszczenia wszystkich i wszystkiego, co w ich oczach miało w sobie coś „diabelskiego” lub „pogańskiego”.

Podobnie jak i sam Amos był dla nich bez wątpienia czarownikiem i apostołem Szatana. Przy tym właśnie w tej chwili odczuł niewysłowiony strach przed wszystkim, co wiązało się – choćby w nikły sposób – ze starą pogańską magią.

Płomienie tańczyły wysoko ponad jego głowę w resztkach korony drzewa, rozświetlając swym migotliwym blaskiem także jego kryjówkę. W tym świetle Amos zobaczył, że wewnątrz drzewa pełne było najokropniejszych bałwochwalczych wizerunków. Na ziemi i na ścianach wszędzie leżały i wisiały gapiące się drewniane maski i kawałki korzeni o dziwnych kształtach, na których były zatknięte trupie czaszki. Lalkowate postacie, utkane z kurzu i pajęczej sieci, a może rozłożone przez bieg lat i stuleci w pył i śmiecie. Kości i



kosteczki, związane po trzy, cztery lub siedem sztuk, a te nędzne zawiniątka ułożone znowuż w jakieś figury – w koła, czworokąty i owale. I jakby to wszystko nie było wystarczająco potworne, między tymi maskami i szmatami odkrył w końcu także znak, który był dla niego świętszy od wszystkiego innego.

Trójkąt, ułożony z szarych kości, a wewnątrz niego bladoniebieski, nieforemny odłamek zwietrzałej skały. Znak pochodzący z tajnego herbu rodu Hohensteinów oraz znak jego miłości do Klary. Leżał tutaj, przed nim, pośród śmieci, przerysowany w swej prymitywnej, zniekształconej postaci.

Amos, skonsternowany, gapił się na ten symbol zabarwiony w środku na niebiesko odłamkiem skały. Płonące kawałki konarów wpadały przez otwór w pniu do jego kryjówki, jednak on ledwo to zauważał. Iskry i popiół wirowały dookoła niego, a on odganiał wszystko na bok machnięciem ręki, by tylko lepiej widzieć ten znak pośród całego tego bałaganu – trójkąt z niebieskim kamieniem w środku. Górny wierzchołek wskazywał na wypełnioną błotem wyrwę w ziemi. Wzbudzała w nim wstręt, przede wszystkim zaś brzydził się tego, co mogło się w niej ukrywać, a mimo to podpełznął do niej bliżej.

Trzaskając i skwiercząc, ogień wżerał się w spróchniały pień, schodząc coraz to niżej. Pogański dąb stał już w płomieniach od korony aż do jego połowy. Jeszcze tylko kilka minut, a już cały pusty pień drzewa zaczęłyby płonąć, a on sam spaliłby się w jego wnętrzu – niczym pieczeń w garnku. Ta odpychająca wyrwa była jego ostatnią szansą. Jeśli nawet jeźdźcy odjechali już przed siebie, to on nie wyszedłby z tej pułapki żywy. Chyba, że się przełamie i wpełźnie pod ziemię przez tę dziurę pełną błota – przez „pogańską bramę” do mrocznego, pierwotnego świata rozciągającego się pod ziemią, którego bał się i brzydził jak niczego innego.

Podparł się pięściami na lewo i prawo od niebieskiego kamienia i pochylił się nad „pogańską bramą”. W jego stronę spoglądała para czarnych, przypominających guziki oczu, a pod nią podrygiwał płaski nos otoczony przez jasną, gołą skórę. Amos wzdrygnął się, krzycząc z obrzydzenia. W tym samym momencie z głębi błotnistej dziury zaczął dochodzić przeraźliwy pisk. Niezliczone małe łapki kroczyły i stukały tam w dole, wygrzebując i wydrapując sobie drogę do wyjścia. Nie zastanawiając się ani przez chwilę nad tym, co powinien właściwie zrobić, Amos chwycił masywny odłamek korzenia i z całej siły wepchnął go do dziury w ziemi. Piski i świty, krocзки i drapanie zamarły. Nagle Amos poczuł, jakby wyswobodził się z jakiegoś uroku. Sam, własnoręcznie, zaprzepaścił ostatnią szansę na wyjście z tej pułapki płomieni. A jednak czuł całkiem wyraźnie, że postąpił słusznie. Już raczej wolałby spalić się żywcem, niż wpełznąć do tej wyrwy w ziemi niczym jakiś szczur lub

gad.

– *Klaro?* – zawołał jej imię zaklinająco. – *Czy mnie słyszysz? Proszę, odpowiedz szybko, zostało mi już niewiele czasu.* – Łzy piekły go w oczy, jednak oczyma duszy widział jasno i wyraźnie magiczne serca ich obojga i gruby, iskrzący się strumień światła, który je łączył.

– *Słyszę cię, Amosie. Siedzę w siodle i jadę przez noc, a towarzyszy mi najpiękniejsze światło księżyca.*

– *Musimy się pożegnać* – powiedział Amos na wpół zduszonym telepatycznym głosem. – *Czy widzisz, gdzie teraz jestem?*

– *Jak to „pożegnać”?* – Klara sprawiała wrażenie nad wyraz zaniepokojonej. – *Poczekaj, zatrzymam konia. Teraz, widzę twymi oczyma, Amosie. Ale, na litość boską, gdzie ty tam jesteś?*

Wyjaśnił jej to tak szybko, jak tylko umiał.

– *Zginę w tej dziurze pełnej pogańskich, pokrzywionych gęb* – ciągnął dalej. – *Ale to tylko moja wina. Daj mi skończyć, Klaro* – dodał szybko, bo czuł, że ona chciała mu przerwać. – *Nadużywałem moich magicznych mocy, by doprowadzić do zguby Johannes, a dziś także Leandra. Proszę, wybac mi, Klaro.* – Teraz jego głos już prawie zupełnie odmawiał mu posłuszeństwa. – *Umrę w tej pogańskiej norze* – wystękał na zakończenie. – *Ale sam jestem sobie winien.*

– *Amosie!* – krzyknęła Klara drżącym od strachu telepatycznym głosem. – *o czym ty mówisz, na litość boską? Dlaczego wierzysz, że wszystko to, co przytrafiło się biednemu Johannesowi, to twoja wina? A Leander nie miał się lepiej od dłuższego czasu. Właśnie otrzymałam od niego wiadomość na drodze serca.* – Jej słowa dotknęły go do żywego, ale zwalczył w sobie to uczucie.

– *Przeklinałem Johannes, – oznajmił – i tylko dlatego mogli go złapać purpurowi wojownicy. Dziś złorzeczyłem też Leandrowi, gdy was oboje... Sama wiesz.* – Urwał i zaczął od nowa. – *Jemu z pewnością wkrótce przydarzy się też jakieś nieszczęście.*

Tymczasem ogień sięgał już od korony aż do korzeni drzewa. Dookoła wirowały żar, popiół i dym, odbierając Amosowi dech. Ale i tak było za gorąco, by można było nabrać powietrza.

– *Sądziś, że to ty jesteś winien temu, co przytrafiło się Johannesowi?* – W głosie Klary przebijało się takie niedowierzanie, jakby właśnie powiedział jej, że osobiście zapalił dla niej księżyc na niebie. – *Ależ mylisz się. Jestem tego pewna* – ciągnęła dalej. – *W końcu matka Zofia często opowiadała mi o ich planie. Oboje chcieli przekazać poprzez Księżę*

duchów *obecnym i przyszłym pokoleniom tylko uzdrawiające, pomocne magiczne moce. Tymczasem wszelka szkodliwa magia, każdy rodzaj złowrogich lub niszczycielskich zaklęć miał raz na zawsze popaść w zapomnienie i zginąć.*

*– To był ich plan, wiem o tym – Amos dyszał i kasłał – ale coś musiało pójść nie tak.*

*– Bzdura. Posłuchaj, Amosie. – Klara przemawiała teraz błagalnym tonem. – Długo się nad tobą, nad nami obojgiem, zastanawiałam i wiem już, w czym tkwi błąd. Słyszysz, Amosie? To wszystko nie ma w ogóle nic wspólnego z Kronusem lub z Księgą duchów. Za to o wiele bardziej z tobą samym i ze strasznymi rzeczami, które musiałeś przeżyć: zamordowanie twoich rodziców i siostry. A morderca twoich rodziców jest tym samym mężczyzną, który niedawno uratował ci życie. Doprawdy, nie ma w tym nic dziwnego, że czasem nie do kotka wiesz, komu możesz zaufać, a od kogo powinieneś trzymać z dala nas obojga. I w najmniejszym stopniu nie ma to nic wspólnego ze złą magią, szkodliwymi zaklęciami i podobnymi rzeczami.*

Amos skinął głową i zakasłał. Każdy oddech sprawiał mu ból prawie tak dotkliwy, jakby przełykał ogień.

*– I czy uwierzyłeś już w to – ciągnęła dalej Klara tym samym natarczywym tonem – że nie wydałeś Johannesa na pastwę purpurowych wojowników? I że możesz przeklinać Leandra do woli, a on i tak będzie się czuł tak dobrze, jak nigdy.*

Amos ponownie skinął głową. Nabrał powietrza, rzeżąc. Był już naprawdę bliski utraty przytomności. Strój czeladnika murarskiego tlił się powoli na piersi i na rękawach. I chyba tylko dlatego, że Amos jakby cudem wciąż miał na głowie kapelusz z szerokim rondem, jego włosy nie zajęły się jeszcze ogniem.

*– A teraz dopilnuj tego, mój drogi – powiedziała Klara – żebyś wydostał się z tej dziwacznej kryjówki, najwyższa na to pora.*

*– Wszystko, czego zapragniesz, Klaro. –* Chwyił niebieski kamień i z trudem się podniósł. W rzeczy samej, nadszedł już najwyższy czas.

Chwyił oburącz odłamek skalny wielkości czaszki i uderzył nim tak mocno, jak tylko potrafił o gorący od żaru pień. Ale kamień odbił się od wciąż jeszcze sprężystego i twardego drewna, a kolejna próba skończyła się tak samo kiepsko, jak poprzednia.

Jednak wiedza o tym, że Klara wciąż jeszcze go kocha i że nikomu nie zaszkodził złą magią, jeszcze raz dodała Amosowi siły.

Zamachnął się znad głowy kamieniem i grzmotnął nim raz jeszcze w ścianę tego drewnianego więzienia. Wtedy pień drzewa popękał, a Amos uderzał, kopał i szarpał pokrwawionymi rękami, kaszląc przy tym i krzycząc, aż wyrwa stała się wystarczająco

szeroka, a płonące pogańskie drzewo wreszcie mu się poddało.

## ROZDZIAŁ IV

# 1

HANNES MERGELIN, UWIAZANY ZA RĘCE I NOGI, wisiał na brzuchu przewieszony przez grzbiet swojego muła, który kłusował przed siebie miarowym krokiem. Dopóki sam trzymał cugle w swych dłoniach, zwierzę ciągle było uparte jak osioł, jednak teraz chętnie dawało się prowadzić przez purpurowych wojowników. Już od wielu godzin jechali w ten sposób przez las, podążając za widocznym wydeptanym śladem, który pozostawili po sobie w gąszczu brat Egbert i jego gromada. Psy św. Huberta wrywały się do przodu, ziając i szczekając, a za nimi szedł oficer o promiennym uśmiechu z czterema pozostałymi purpurowymi wojownikami. I mimo że prawie odchodził od zmysłów z osłabienia i wewnętrznego wzburzenia, Hannes raz za razem zadawał sobie pytanie, kiedy ci siepacze zorientują się, że ścigają niewłaściwą osobę.

Niczym tobolek ze szmatami wisiał na swoim mule, z rękami i nogami związanymi sznurami pod brzuchem chudego zwierzęcia. Już od dłuższego czasu jego ciało od pasa w górę musiało być usiane krwiami, a jego przeguby rąk i nóg były całkowicie zdrętwiałe. Ale Hannes ledwo rejestrował te przeciwności. W tym momencie pragnął właściwie tylko tego, by Meinolf nigdy nie wrócił do ich oddziału. Dopóki młody dominikanin podążał tamtym śladem wozu w pyle drogi, Hannes mógł przynajmniej we względnym spokoju oddawać się swoim rozmyśleniom. Jednak gdyby Meinolf był znów z nimi, to on sam nie miałby ani chwili spokoju, Hannes widział to jasno i wyraźnie, uprzedzając bieg wydarzeń. Asystent Cellariego molestowałby go pytaniami i groźbami, a najprawdopodobniej i swoim nożem, gdyby odpowiedzi Hannesa go nie satysfakcjonowały

Jednak i o tym starał się w razie możliwości nie myśleć. W swych porywających snach na jawie widział siebie samego i Klarę, ręka w rękę, w uścisku czułego objęcia. We wszystkich tych fantazjach Hannes wyglądał dokładnie tak, jak rycerz Laurencjusz Answer, i nie inaczej niż ten młody rycerz adorował swoją najdroższą, wyszeptując jej wiersze.

Niekiedy wpatrywał się w swoje wnętrze, tak jak to już teraz potrafił, od czasu gdy Klara przeczytała mu opowieść *o kobiecie, co mieszkała w studni*. Na swoim wewnętrznym

niebie widział wtedy samego siebie jako nikle migocącą gwiazdę, a był to widok, który za każdym razem wzruszał go do łez. Jednak bez porównania jaśniej promieniała o wiele większa i potężniejsza gwiazda Klary. Mimo że tak na dobrą sprawę był na to zbyt wyczerpany, Hannes zebrał w sobie resztki sił, by nawiązać magiczną łączność z Klarą.

– *Wszystko się jeszcze ułoży, trzymam się tej myśli, cokolwiek by się działo.*

– *A ja chcę uczynić wszystko* – odpowiedział ostatnią resztką swoich sił – *by okazać się ciębie godnym.*

Zanim łączność została zerwana, Klara posłała mu jeszcze ciepły promień światła, który wypełnił jego serce odwagą.

Brat Egbert wabił purpurowych wojowników na wschód. Hannes rozpoznał to po położeniu słońca, które unosiło się przed nimi niczym olbrzymia latarnia. Ten pobożny człowiek i jego gromada wyprzedzali ich jeszcze o jakieś pięć mil, zaskakująco szybko posuwając się naprzód. Jednak dwu lub trzykrotnie szybciej oddalała się od nich Klara, kierując się prosto na południe. Musiała być już znowu w okolicach Norymbergii, a wszystko wskazywało na to, że jechała przed siebie galopem drogą lub przynajmniej konnym traktem.

Na wewnętrznym niebie Hannesa wraz z gromadą Egberta poruszał się jeszcze jeden migocący punkcik światła, gwiazda, większa i jaśniejsza od jego własnej, jednak o wiele mniejsza i bledsza niż lśniąca gwiazda Klary. Rozmyślał nad tym przez jakiś czas i doszedł w końcu do wniosku, że w tym przypadku mogło chodzić o niemego Leandra, chłopca, który przypominał nieco Klarę. Zielone oczy, blond włosy – takie zestawienie niezbyt często zdarzało się w tutejszych stronach. Hannes nie potrafił sobie jednak tak do końca wyjaśnić, kiedy i z jakiego powodu Klara wzbudziła magiczne moce również w Leandrze. Był jednak pewien, że tą gwiazdą nie był na przykład Amos von Hohenstein, którego widział jako migocącą, niewielką gwiazdę, unoszącą się przed nimi w kierunku wschodnim.

Także potężna gwiazda Amosa oddaliła się już bardzo daleko od Egberta i jego ludzi, o wiele bardziej niż Klara i w zupełnie innym kierunku. Poruszał się ku zachodowi i musiał być blisko Bambergu, jeśli nie minął już nawet tego biskupiego miasta. Ale dokąd go gnało? I dlaczego on i Klara się rozdzielili?

Odpowiedź na to ostatnie pytanie była dla Hannesa oczywista, jeśli nawet ledwo ośmielił się ją pomyśleć. Serce waliło mu teraz za każdym razem prawie boleśnie – z nadziei, tęsknoty i spodziewanego szczęścia. Klara kochała jego, Hannesa Mergelina, i tylko z tego powodu rozstała się z Amosem i pospieszyła od razu do Norymbergii, gdzie Hannes miał zostać wtrącony do więzienia. Będzie próbowała go uwolnić spod władzy inkwizycji! A on okaże się godny jej miłości, wypatrując Valentina Kronusa w więzieniu pod placem

Mariackim. Tego mądrego poetę i uczonego w piśmie, którego Hannes czcił teraz, jak jeszcze niedawno wielbił podcenzora Skythisa.

W końcu on też, będąc jeszcze trzynastoletnim, a może czternastoletnim chłopcem, marzył o tym, by zostać kiedyś sławnym poetą, który potrafiłby swoją poezją oczarować serca ludzi. Nic jednak z tego nie wyszło, a on pogrzebał swoje życiowe marzenie pod grubą na sążeń warstwą złości i urazy. Skoro jemu samemu nie było dane nauczyć się trudnej sztuki poezji i uczonego w piśmie, to już żadne zmyślane dzieła spisane piórem innych poetów nie miały ujrzeć światła dziennego! Ba, zaczął nawet nienawidzić samej wyobraźni, zwalczać ją, bo ta skłoniła go do utraty niemożliwych do spełnienia marzeń.

Jednak od czasu gdy Klara czytała mu z *Księgi duchów*, wszystko wyglądało zgoła inaczej. Od tamtej pory Hannes miał wrażenie, jakby opuścił go jakiś zły urok. Jakby właśnie z tego powodu, że nie pozwalał sobie na marzenia, przez wiele lat żył w jakimś okropnym koszmarze – jako pomocnik podcenzora Skythisa, tego chorego z nienawiści wroga wyobraźni i książek, na którego krecie dłonie Hannes nie mógł patrzeć nawet w czasie najbardziej poufałych, ich wspólnie spędzonych godzin, nie odczuwając przy tym lekkiej grozy. Ale teraz było już po wszystkim. Wreszcie obudził się z kosmaru, a w tej nowej, słodkiej rzeczywistości, w której się znalazł, kochał Klarę. Tak jak widocznie i ona nie mogła już bez niego żyć, i tak jak w końcu Lucynda kochała rycerza Laurencjusza, a nie jakiegoś błazna ze swojej dworskiej świty.

Ze zdziwieniem Hannes oddawał się tym myślom. No dobrze, nie twierdził oczywiście od razu, że Amos von Hohenstein był zwykłym błaznem. Ale rycerz Laurencjusz był poetą, który tworzył dla swojej Lucyndy kunsztowne wiersze miłosne, i jeśli nawet Hannes dał się w ostatnim czasie nieco omamić, to przecież w głębi serca również był poetą. Tymczasem Amosowi udało się na krótko oślepić Klarę swym szlachetnym urodzeniem i może jeszcze czupryną czarnych loków. Jednak wtedy pojawił się on, Hannes, chłopiec o duszy poety, a Klara oczywiście od razu zauważyła, że właściwie oboje są dla siebie stworzeni.

Słońce znów chyliło się za ich plecami ku horyzontowi, gdy oddział purpurowych wojowników nagle się zatrzymał. Oficer uniósł dłoń i nakazał swym żołnierzom, by zsiadli z siodeł, zupełnie jakby nagle zgubili trop. Dlaczego w takim razie psy św. Huberta zaczęły po chwili ogłuszająco szczekać i tak dziko szarpać się na swych łańcuchach, że omal się nie udusiły? Zwisając z muła głową do przodu, Hannes wykręcił szyję, by się dowiedzieć, co to wszystko ma znaczyć. Wreszcie jeden z purpurowych wojowników odsunął się na bok, dzięki czemu Hannes mógł dojrzeć przeszkodę, która zmusiła ich do nagłego zatrzymania się. Na jej



widok psy zaczęły zachowywać się jak oszalałe, stawały dęba, wyły niczym piekielne chóry, a ich wybaluszone oczy tak bardzo nabiegły krwią, jakby w następnej chwili miały pęknąć.

Przy tym przed nimi nie było nic niezwykłego – tylko kolczasta gęstwa, która zdawała się jednak ciągnąć w prawo i w lewo w bliżej nieokreślonej dal. Była wysoka na co najmniej piętnaście stóp i sprawiała wrażenie, jakby była niemal tej samej grubości. Istny mur ze splecionych razem pni i konarów, naszpikowanych ostrymi jak szpilki kolcami.

– To osławiony wał pogański z Creussen – z niegasnącym uśmiechem powiedział oficer. Miał niespokojny głos, a gdy jego podwładni popatrzyli na niego bez zrozumienia, tupnął nawet nogą. – Uciszczone te przeklęte psy! – krzyknął do żołnierzy.

Hannes jeszcze nigdy nie widział go tak nieopanowanego. Purpurowi wojownicy usiłowali uspokoić psy, ale te wciąż szczeptały przeraźliwie i stawały dęba przed kolczastą gęstwą, jakby tuż przed nią wznosiła się jeszcze jakaś druga, niewidzialna przeszkoda.

– Pogański wał lub pogański gród, tak w dawnych czasach nazywano sztucznie utworzone kolczaste gęstwy – oznajmił teraz oficer rozdrażnionym tonem. – Na coś takiego istnieje tylko jeden sposób – ogień. Ale takich krzaków nie da się tak po prostu puścić z dymem.

– Dlaczego, panie oficerze? – zapytał jeden z purpurowych wojowników.

– Bo kończą się dopiero milę przed Creussen, a wiatr wieje prosto w stronę murów miejskich. Jeśli podpalimy te krzaki, to wkrótce potem całe Creussen zacznie płonąć jasnym płomieniem.

Żołnierze podrapali się po głowach pod swoimi srebrnymi hełmami.

– Ale jakoś musieli tędy przejść – zwrócił uwagę jeden z nich.

– Sami przecież widzicie – przyznał mu rację kolejny – że ich ślady rozchodzą się właśnie w tym miejscu przed wałem z kolczastej gęstwiny, zupełnie tak, jakby szukali jakiegoś przejścia.

– W takim razie znajdźcie tę piekielną bramę – warknął oficer.

Jego podwładni wyruszyli na poszukiwania. Przez chwilę Hannes im się przyglądał, jak biegali bezcelowo tam i z powrotem przed krzakami, szarpiąc za gałęzie i ostro przeklinając kolce. Jeden z nich dobył krótki miecz i jął nim uderzać w konary, ale zaraz to zarzucił – były one twarde niczym żelazo. Inny z żołnierzy usiłował wciągnąć swego psa w zarośla, jednak to olbrzymie zwierzę skamlało tak żałośnie i opierało się ze wszystkich sił ciągnącemu go łańcuchowi, aż purpurowy wojownik przestał.

Od strony ciernistego wału w kierunku Hannesa powiał dziwnie znajomy, lecz bynajmniej mało przyjemny zapach. Wydął nozdrza, wciągnął powietrze i za jednym razem

uświadomił sobie, dlaczego psy zaczęły się nagle zachowywać jak wściekłe. Najwidoczniej Egbert i jego towarzysze wylali przed ciernistym wałem jakiś roślinny wywar, który pomieszał psom zmysły. Hannes zobaczył nawet przed sobą kwiaty, których płatki i łodyżki wyglądały jak rozgotowana papka. Jego matka zawsze nazywała je kociurkami – to niewielkie roślinki o niebieskich kwiatach, które wydzielają przykry zapach. Jeśli uwarzyło się wywar z kilku garści tych kociurków, to wystarczyło rozpylić tylko parę jego kropli, aby utrzymać z dala koty, psy i wszystkie inne zwierzęta o wrażliwym węchu.

Jakie to dziwne, pomyślał Hannes, że to wspomnienie z odległego dzieciństwa budzi się we mnie właśnie teraz. Jego wnętrze i tak było wzburzone niczym ocean podczas sztormu, odkąd posiadał dar magii serca. Od tego czasu echa przeszłości szturmowały go nieustannie – bolesne, słodkie i przykre wspomnienia o matce, o ojcu, o jego braciach Auguście i Franzu, o Sennie, starej służącej, która była dla nich niczym druga matka. Jakże dawno już oni wszyscy ulecieli mu z pamięci! I jakże barwnie i żywo wyłonili się teraz z głębi jego wspomnień. Zupełnie jakby dopiero co wczoraj opuścił dom, przysiółek Kirchensittenbach w ziemi norymberskiej, gdzie jego ojciec – Konrad Mergelin – posiadał jedno z największych gospodarstw w okolicy.

Hannes uważnie mierzył wzrokiem ziemię przed ciernistą ścianą. I rzeczywiście, gdzieś dało się zauważyć błękitne połyskiwanie – wywar rozlano tu całkiem niedawno. Hannes dziwił się, że chodzący w tę i we w tę żołnierze zdawali się nie dostrzegać tych kropli. Przy tym gałęzie ciernistych krzaków rozbłyskiwały w kilku miejscach tym nie dającym się przeoczyć kwietnym błękitem cuchnącej rośliny, ale chyba żaden z purpurowych wojowników nie dorastał na wsi i nie nauczył się czytać w „księdze Boga”.

Natomiast Hannes widział całkiem wyraźnie przed sobą, jakiego podstępu użył Egbert, aby pozbyć się prześladowców. Rozkazał swoim ludziom, by biegali tam i z powrotem na odcinku co najmniej trzydziestu kroków przed zaroślami i rozlewali przy tym wywar z kociurków tak, aby ich wrogowie nie mogli się zorientować, gdzie dokładnie znajduje się wejście do „pogańskiego grodu”. Potem rozgięli w odpowiednim miejscu gałęzie – a może też wyrwali luźniejszy fragment ciernistego wału – i przeszli na drugą stronę, zamykając za sobą gęstwę tak, że stała się nieprzenikniona.

Tak, nie inaczej, musiało się wszystko rozegrać, powiedział sobie Hannes. Ale jeśli Egbert i jego ludzie znali tak skuteczny środek obronny, pozwalający na odwiedzenie psów od ich tropu, to dlaczego nie użyli go o wiele wcześniej? Zamiast tego woleli być ścigani przez cały dzień po lasach – z jakiego powodu?

Hannes intensywnie się nad tym zastanawiał. Odpowiedź była właściwie całkiem

prosta. Czuł to wyraźnie, ale jego siły były już zdecydowanie na wyczerpaniu. Jakkolwiek się męczył, po prostu nie mógł już jasno myśleć.

Aby nieco odpocząć, zamknął oczy.

– I co? – Chłopak usłyszał pytanie oficera. – Czy znaleźliście już przejście?

Żołnierze zaprzeczyli. Świetliste punkciki wirowały przed jego zamkniętymi oczyma.

– W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak tylko objechać całą tę ciernistą gęstwę – oznajmił oficer ponurym tonem.

– Choćby miała przez to nawet i o kilka mil wzrosnąć przewaga tej diabelskiej hordy, do cholery!

Hannes uniósł nieco swe powieki. Oficer wciąż jeszcze się promiennie uśmiechał, ale wyglądało to tak, jakby teraz jego radość była wyciosana w kamieniu. Chłopak usłyszał raz, jak Meinolf nazwał go imieniem Elias. A może się wtedy przesłyszał? Ostatecznie prorok Eliasz posiadał uzdrawiające, cudowne moce. W czasach Starego Testamentu z niebiańską pomocą wskrzesił martwego chłopaka, a ponadto uchronił nieprzebraną rzeszę ludzi przed śmiercią głodową, zaklinając deszcz.

– Na konie! – rozkazał Elias, jeśli rzeczywiście tak się nazywał.

– Objedźdżamy ciernisty gród od prawej.

– Ależ przeciwnie – zaprotestował jakiś młodzieniec, którego głos dobiegał zza ich pleców, z zarośli. Na jego wysoki tembr Hannes aż się wzdrygnął. – W imię Ojca Świętego – ciągnął Meinolf nakazując wam podpalić te krzaki. Wszelkie pogaństwo musi zostać wyplenione. A już z pewnością wtedy, gdy staje nam na drodze.

Dominikanin zeskoczył ze swego konia. To samo uczyniło dwóch purpurowych wojowników, którzy wraz z nim śledzili wóz murarzy. Między Meinolfem i Eliaszem rozgorzała gwałtowna wymiana zdań, z której Hannes zdołał usłyszeć tylko początek.

– Ale przecież wiatr... – Usłyszał jeszcze wykrzykującego oficera. – Spalilibyśmy jednocześnie Creussen!

– Jeśli ta gmina żyje bogobojnie – odparł Meinolf – wiatr odwróci się we właściwym czasie. Jeśli nie, to żyją w grzechu i nie zasłużyli na nic lepszego.

I właśnie w tym momencie Hannes stracił przytomność. Jego magiczne przebudzenie przez *Księgę duchów*, krótko potem uprowadzenie przez purpurowych wojowników, wielogodzinne zwisanie głową w dół z muła i wreszcie dramatyczne wystąpienie Meinolfa – to było zbyt wiele jak na tak wycieńczone ciało.

GDY HANNES ODZYSKAŁ PRZYTOMNOŚĆ, leżał jak długi na udeptanej ziemi przed ciernistymi zaroślami. Było to zdecydowanie wygodniejsze niż kołysanie się na grzbiecie muła, wygiętym niczym półksiężyc. Lecz smród kociurkowego wywaru był tam, na dole ledwo do wytrzymania. Niemal ponownie stracił przytomność, jednak oddychał ukradkiem przez usta, dzięki czemu mógł zachować trzeźwość umysłu.

– Zatem, niech i tak będzie – powiedział młody dominikanin.

– Pojedźmy wzdłuż tego pogańskiego plugastwa, ale zrobimy to tylko dlatego, że brakuje ci ufności w Bogu! – Podszedł do oficera tak blisko, że omal zetknęli się nosami. – I nie myśl sobie, Eliasie – ciągnął dalej Meinolf – że przekonały mnie twoje małoduszne obawy.

Postukał oficera palcem wskazującym w pierś i niespodziewanie się odwrócił. Jego spojrzenie padło na Hannesa i przez ułamek sekundy wodniste oczy Meinolfa zabłyszczały, a usta wykrzywiły się w cichym zachwycie.

– Bóg jest z nami – powiedział w takim zamyśleniu, jakby ta jego pobożna formułka nie odnosiła się już do jego sporu z oficerem. – Cokolwiek zaczniemy, On będzie nas chronił i wspierał, dopóki tylko my będziemy walczyli o Jego sławę i cześć.

Elias ponownie rozkazał swoim ludziom, by wsiedli na konie, a dominikanin tym razem zezwolił na to roztargnionym skinieniem głowy. Meinolf chce rozładować na mnie swój gniew i swoją rządzą zemsty, przeszło Hannesowi przez myśl, na moim bólu i moim strachu. Ale jeszcze się zdziwisz, mały dominikaninie – już się ciebie nie boję.

Także dla niego samego nie brzmiało to tak przekonująco, jakby sobie tego życzył, ale był zdecydowany, że nie pisnie ani słówka na temat tego, co wiedział o planach Klary i Amosa. To i tak było niespecjalnie wiele. Jednak wiedział przynajmniej, że oboje już przed wieloma godzinami rozstali się z Egbertem i jego ludźmi, a Meinolf i Elias wciąż jeszcze zdawali się przekonani, że muszą tylko dogonić uciekającą gromadę, by dostać w swoje ręce Amosa i Klarę – a tym samym także tę książkę o duchach. To wyjaśniało także, dlaczego Egbert dopuścił do tego, że mogli śledzić jego i jego ludzi aż do tego ciernistego wału.

Brat Egbert celowo zwabił tutaj purpurowych wojowników, by odwrócić ich uwagę od śladów Klary i Amosa. W tym czasie Klara musiała być już prawie w Norymberdze, a Amos z pewnością już dawno zostawił za sobą Bamberg. Dokądkolwiek zmierzał, *Księga duchów* była cały czas z nim, i Hannes czuł to całkiem wyraźnie. Mimo wszystkich tych

przemian, jakie dokonywały się w nim w ostatnim czasie, zachował tę zdolność – wciąż jeszcze potrafił wyczuć na duże odległości, gdzie w danej chwili znajdowała się *Księga*. Ale i tej tajemnicy, o której – poza nim samym – wiedział już tylko podcenzor Skythis, Hannes nie wyjawiał dominikaninowi, na ile to tylko będzie możliwe.

Najprawdopodobniej był nieprzytomny jedynie przez kilka minut. Jednak ten krótki, głęboki sen wzmógł nieco jego siły witalne, choć w jego wnętrzu nadal szalał sztorm wzburzonych uczuć. Kiedykolwiek pomyślał o Klarze, najchętniej śpiewałby i radośnie krzyczał z niepohamowanego zachwytu. Później znowuż, gdy przychodzili mu na myśl jego rodzice lub on sam, gdy był jeszcze małym chłopcem, jakże ufnym i cieszącym się życiem, Hannesa zaczynało palić w gardle i musiał gwałtownie mrugać, bo łzy same napływały mu do oczu.

Jakże mógł tak bardzo zboczyć z przeznaczonej mu drogi, że sam stał się dla siebie wrogiem!

Była to naprawdę najmniej odpowiednia chwila, by oddawać się tego typu wzruszającym rozważaniom. Dwóch purpurowych wojowników chwyciło go za ręce i nogi i ponownie rzuciło go niczym worek szmat na grzbiet muła. I znów zwięzali mu kończyny pod brzuchem zwierzęcia. Kątem oka Hannes widział, jak jakaś ubrana na czarno postać pochyła się ze swego siodła w jego stronę, a jej jasna, wąska dłoń chwyta za cugle jego muła.

– Widzisz, Mergelin – powiedział Meinolf – czuвам nad tobą niczym matka nad swym niemowlęciem.

Jechali cały czas wzdłuż „pogańskiego grodu” tak szybko, jak tylko pozwalał im na to trudny do pokonania las. Przez co najmniej trzy mile byli w ten sposób spychani na wschód, aż w końcu ciernisty wał skończył się, przynajmniej po tej stronie.

Zrobili sobie krótką przerwę na odpoczynek. Dzień chylił się ku końcowi, a mężczyźni, podobnie jak i konie, byli wyczerpani. Ledwo zdążyli zsiąść z koni, zjeść kilka kęsów, opróżnić swoje manierki z wodą i napęłnić je z powrotem u źródła, a Meinolf już wskakiwał na swojego siwego ogiera.

– Na konie – rozkazał i tym razem Elias mu się nie sprzeciwił.

– Jest jeszcze wystarczająco jasno, abyśmy mogli odnaleźć ślad tej diabelskiej hordy.

– Uśmiechnął się tak promiennie, że samym tylko jego uśmiechem można by było oświetlić ścieżkę.

Tak przynajmniej pomyślał Hannes Mergelin, w czasie gdy dławił się kawałkiem chleba, który młody dominikanin wsunął mu do ust.

– Żebyś miał później siłę, jak będę cię przesłuchiwał, Mergelin.

– Meinolf popatrzył na niego zamyślony. – Wiesz, musisz mi wyjaśnić parę spraw.

Hannes przeżuwał i dławił się. Znow zaczął narastać w nim strach, jednak zdecydowanie stłamsił go w sobie. Niczego nie będzie wyjaśniał dominikaninowi, postanowił w głębi, a jeśli już, to wyłącznie to, co on i Elias już i tak właściwie wiedzieli.

I tak ciągnęli dalej w półmrocznym świetle wieczornego słońca, cały czas wzdłuż „pogańskiego grodu”, który także w kierunku północnym ciągnął się przez puszcę w bliżej nieokreślonej dal. Między ciernistym wałem po ich lewej stronie i wznoszącą się po prawej gęstwiną biegła dzika ścieżka, wystarczająco szeroka, by można było nią przejechać konno najpierw w pojedynkę, a później dwójkami.

Ze zdawkowej wymiany zdań między Eliaszem i Meinolfem Hannes mógł wywnioskować, jak mniej więcej wyglądały ich dalsze plany. Podążą wzdłuż ciernistego wału na północ aż do jego końca, a wtedy pojedą po drugiej stronie z powrotem w kierunku zachodnim aż do miejsca, gdzie ślady „diabelskiej hordy” znow wychodziły z krzaków.

– O ile nie urządzili się niczym w domu tam w środku, w swej ciernistej norze. – Na policzkach Meinolfa zaczęły rozkwitać róże.

– Gdybyśmy tylko podpalili wtedy to przeklęte plugastwo!

Oficer pokręcił głową, aż zafalował purpurowy pióropusz na jego hełmie.

– Właśnie dlatego będą chcieli jak najszybciej zostawić za sobą te krzaki. Wieść o tym, jak bardzo Kościół ceni sobie oczyszczającą moc ognia, mogła dotrzeć nawet do tych mieszkających w lasach ludzi.

– Przynajmniej w tym względzie muszę ci przyznać rację – powiedział Meinolf. – Najpierw Hohenstein, później Sponheim. Już my im dopieczemy! – zaśmiał się cicho, jednak już po chwili na jego twarzy znow zaczęło malować się napięcie. – I tak samo powinniśmy byli zrobić tutaj, podpalić cały ten pogański gród! No dalej, przełam swoją małoduszność, Eliasie. Jeszcze nie jest za późno.

Jednak oficer tylko jeszcze raz pokręcił głową w milczeniu. Przez dłuższą chwilę jechali w ciszy. Tymczasem także ich psy zdawały się wyczerpane i cicho skamlając, ledwo człapały przed swoimi jeźdźcami.

– Do czasu gdy my natrafimy na ich ślad – zaczął w pewnej chwili Meinolf oni już dawno wezmą nogi za pas, a wraz z nimi umknie piekielna książka. I powiem ci jeszcze jedno, Eliasie. Jeśli oba te małe diabły, ten mały Hohenstein i ta Thalgruber nam umkną, to wtedy nie będę ukrywał przed Cellarim, kto jest temu winien.

– Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. – Oficer spojrzął na Meinolfa, uśmiechając się. – A jeśli bym ustąpił i kazał podpalić ciernisty gród, to kto byłby winien,

gdyby ogień rozprzestrzenił się na Creussen?

– Jak już mówiłem, los nas wszystkich spoczywa w rękach Boga. – Meinolf wzruszył wąskimi ramionami. – Zresztą, kwestie wojskowe leżą wyłącznie w twojej gestii. Ja jestem tylko zwykłym sługą kościelnej jurysdykcji.

Oficer pokręcił głową i uśmiechnął się. Jechali dalej w milczeniu, aż ciernisty wał w pewnej chwili zakręcił znowu w lewo i przebiegał teraz prosto na zachód.

Tymczasem zaszło słońce. Po ich prawej stronie, gdzieś za drzewami, musiało być położone Creussen, ale w wieczornym mroku nie można było ujrzeć ani jednej dachówki czy wieży miasteczka. Hannes i tak niczego by nie zauważył – leżał półprzytomny na swoim mule, trwał między półsnem a omdleniem. Psy św. Huberta przez sen ziajały i skamlały. Momentami zdawało mu się, że czuje na swoim gardle zęby tej bestii, która wskoczyła mu na pierś, w czasie gdy kamieniarz Walter ciągnął go za sobą przez wnętrze góry. Wtedy Hannesowi wydawało się już, że wybiła jego ostatnia godzina i że to zwierzę z pewnością przegryzie mu krtań, gdy będzie usiłował się bronić. Ale na to był za bardzo skołowacony doszedł do siebie i zająknął prosto w nabiegłe krwią oczy olbrzymiego psa myśliwskiego. Ze strachu leżał cicho i bez przerwy myślał tylko o Klarze, dzięki czemu bestia nie drasnęła swoimi kłami nawet kawałka jego skóry

Stopniowo Hannes tracił wszelkie poczucie czasu. Już dawno zapadła głęboka noc, jednak księżyc w pełni oświetlał im drogę. W pewnym momencie mężczyźni zapalili pochodnie, a Elias napominał ich zduszonym głosem, aby byli ostrożni.

– Trzymajcie światła tak, żeby zarośla nie zajęły się ogniem.

– Mężczyźni zapewnili, że będą uważać, a Hannes ponownie zasnął.

Gdy znów doszedł do siebie, Elias i Meinolf klęczeli na ziemi obok jego muła. Widok ten bardzo go zdziwił i w pierwszej chwili pomyślał już, że Rolfus i kamieniarz Walter zastawili zasadzkę, aby uwolnić go z rąk purpurowych wojowników. Ale już po chwili zorientował się, że dominikanin i papieski oficer badali tylko ślady na leśnym runie.

– W tym miejscu wypełzli ze swojego diabelskiego grodu – powiedział Elias. Swoją pochodnię zakreślił w powietrzu przed ciernistym wałem wielki okrąg. – Przed dwoma, co najwyżej trzema godzinami. Od tej pory znów będziemy deptać im po piętach. – Wskazał na zachód. – Z odrobiną szczęścia dogonimy ich do północy.

Meinolf kiwnął głową, jednak nie sprawiał wrażenia specjalnie przekonanego. Narzucili sobie ostre tempo, pędząc dalej tak szybko, jak tylko pozwalała im na to wyboista ścieżka.

Tymczasem Hannes był ledwo przytomny. Sen i jawa zlewały mu się w

najdziwniejszy sposób: migotanie pochodni z migotaniem gwiazd na jego wewnętrznym niebie, kołysanie jego muła z czarodziejskimi melodiami, które usłyszał przed wieloma laty, gdy wygrywał je na wioli wędrowny grajek, huczająca rzeka, wzdłuż której jechał rycerz Laurencjusz i wzmożony szum wody, która musiała się znajdować gdzieś w okolicy. Jakże to było możliwe? Czyż nie jechali jeszcze przed chwilą przez ciągnące się w siną dal zarośla, przeciskając się między drzewami po prawej i ciernistym wałem po lewej stronie? Usiłował uświadomić sobie, co działo się w jego wyobraźni, a co było rzeczywistością. Jednak już ten wysiłek był ponad jego siły. I tak Hannes znów zasnął.

### 3

ŚWITAŁO JUŻ, gdy Hannes kolejny raz doszedł do siebie. Leżał na soczyście zielonej łączce. Ciepły podmuch niósł ze sobą w jego stronę wonne, świeże powietrze. Gdy poruszył głowę, w jego stronę skłaniały się przyjaźnie kwiaty maku i mniszka. Bulgot i plusk, który usłyszał wcześniej w nocy, był teraz nawet jeszcze głośniejszy, a w powietrzu unosił się zapach chłodnej, wartko płynącej wody. Wszystko wskazywało na to, że znajdowali się nad brzegiem jakiejś faktycznie istniejącej rzeki – a nie w świecie sennych majaków czy magicznych opowieści. Chłopak podniósł się z trudem, i wcale nie było to takie proste, bo wciąż jeszcze był skuty, choć przynajmniej nie miał już ściśle związanych rąk i nóg.

Purpurowi wojownicy siedzieli w pewnej odległości na trawie i mieli się tylko trochę lepiej od Hannesa. Ich konie zjadały się tymczasem trawą rosnącą nad brzegiem. Także muł chłopaka skubał gorliwie żółte niczym kwiaty mniszka żdźbła i miazdżył je w zębach. Kilka kroków poniżej łąki przepływała z szumem rzeka. Nie była specjalnie szeroka, jednak niosła ze sobą tyle wody, że mogły po niej pływać łodzie. W każdym razie Hannes zauważył szereg łodzi i czółen, które były przycumowane do niewielkiego, drewnianego mostka.

Obok mostka stali Meinolf i Elias i bez przerwy zaglądali w dół, do środka jednego z czółen, które w połowie leżało na nabrzeżnej skarpie, a w połowie było zanurzone w czerwonej jak glina wodzie. Mimo że Hannes widział tylko ich plecy, czuł bardzo wyraźnie, jak zniecierpliwieni byli obaj słudzy Kościoła. W czółnie gramolił się jakiś mężczyzna w



średnim wieku, który najwidoczniej spędził tam noc. Był nędznie ubrany, a twarz miał spokojną, choć zapuchniętą od snu. Jednak gdy przyjrzał się dokładniej obu mężczyznom na nabrzeżnej skarpie, jego oblicze zamarło i poszarzało.

– Czego sobie życzą święci panowie? – wyskrzecztał i ogarnął trwożnym wzrokiem oficera i dominikanina. – Ojcze, jestem pobożnym człowiekiem i nie mam sobie nic do zarzucenia.

Najwyraźniej uznał Meinolfa za bardziej pobłażliwego spośród obu sług Kościoła. Tymczasem asystent inkwizytora nie zadawał sobie nawet trudu, by utwierdzić go w tym błędnym przekonaniu.

– Tylko Bóg może to osądzić – powiedział opryskliwie – i Jego jurysdykcja, której słudzy stoją właśnie przed tobą.

– Wy... Wy... – Biedny mężczyzna zaczął się jękać. – Wy jesteście z inkwizycji?

– Przestań się jękać jak idiota i odpowiadaj na moje pytania! Mów tylko prawdę, a nie spotka cię nic złego. – Meinolf chwycił nagle mężczyznę za kołnierz i przyciągnął do siebie. – Jak się nazywasz?

– Kuno, ojcie. Rybak Kuno. Tak nazywają mnie i znają, tu, nad Czerwonym Menem, wszyscy. – Meinolf wypuścił rybaka, a ten spiesznie wyszedł ze swego czółna. Był roslym mężczyzną, jednak dominikanin stał nad nim na skarpie i rybak musiał odchylić mocno do tyłu głowę, by spojrzeć Meinolfowi prosto w twarz.

– Skoro jesteś rybakiem – ciągnął Meinolf łagodniejszym tonem – to pewnie często bywasz tu, nad rzeką?

– Od świtu aż do nocy, panie. I od nocy aż do świtu. – Kuno wskazał na swoje czółno. – W ciepłe dni często nocuję na łodzi, by już o pierwszym brzasku wyruszyć na wodę.

– Ale dziś zaspąłeś? Słońce stoi już nad lasem.

Kuno potarł kark swoją szeroką dłonią.

– No tak... To była niespokojna noc... – Przygryzł dolną wargę.

– Niespokojna noc? – powtórzył Meinolf. – Co zatem zakłóciło twój sen? Może jakaś diablica, która pieściła cię w czółnie?

– Na litość boską, nie! – Kuno zbladł jeszcze bardziej, o ile to jeszcze było możliwe. – Było tylko... No, było...

Prawa ręka Meinolfa znów wystrzeliła w powietrzu do przodu i chwyciła rybaka – tym razem za brodę. Pociągnął go za sobą i mimo że ten silny mężczyzna z łatwością mógłby go pokonać, pozwolił mu na takie traktowanie. Jego twarz wyglądała żałośnie, u dołu ściśniętą dłonią Meinolfa, a u góry wykrzywiona w grymasie strachu.

– Co więc zakłóciło twój sen? – Dominikanin pchnął go na ziemię obok Hannesa. – Waż na słowa, Kuno. Jeśli mnie zmusisz, żebym jeszcze raz powtórzył moje pytanie, wytnę ci je literka po literce w skórze. – Dwoma palcami lewej dłoni przejechał po uchwycie sztyletu, który najwidoczniej nosił za pasem.

Rybak leżał plecami na trawie, wsparty z tyłu rękami, ze sztywno uniesioną głową. Przez dłuższą chwilę gapił się na leżącego obok Hannesa, a ten widok zdawał się go jeszcze bardziej zniechęcać – ten chłopak w łańchmanach ręce i nogi miał zakute w kajdany i był tak wycieńczony, jakby inkwizycja skazała go na śmierć głodową.

– Przysięgam, ojcze, na wszystkie świętości – wyrzucił wreszcie z siebie. – Nigdy wcześniej nie widziałem tych ludzi. Musiało być już grubo po północy, gdy nagle zerwałem się ze snu. Z początku nie wierzyłem własnym oczom; od lasu po drugiej stronie, od strony ciernistego wału, nadciągała ku mnie cała zgraja dzikich ludzi.

Rybak pomacał się po brodzie, jakby chciał sprawdzić, czy miał jeszcze wszystkie kości i kosteczki na właściwym miejscu.

– Było ich z trzy tuziny albo więcej – ciągnął dalej. – Wszyscy ze zmierzwionymi włosami i w poszarpanych łańchmanach, kilku z nich miało w ręku pochodnie, inni nieśli w ramionach śpiące dzieci. – Wskazał teren w dole rzeki, a Hannes, podobnie jak Meinolf i wszyscy purpurowi wojownicy, powiódł oczami w tamtą stronę.

Ziemia i trawa we wskazanym miejscu były udeptane przez niezliczone stopy. Hannes dostrzegł poza tym ślady ciągnięcia, jakby ktoś przeciągnął pół tuzina ściśniętych ze sobą pni w dół, w kierunku rzeki.

Meinolf i Elias wymienili spojrzenia. Oficer uśmiechał się tak promiennie jak zawsze, jednak oczy miał zaognione od zmęczenia.

– A więc tratwa – powiedział Meinolf, nie odwracając przy tym wzorku od Eliasza. – A ci ludzie, którzy wsiedli na tratwę, rybaka, czy widziałeś ich wszystkich z bliska?

– Każdego jednego – potwierdził Kuno. – Oczywiście ci dzicy ludzie zauważyli i mnie w moim czólnie, ale później nie zwracali już na mnie uwagi. Mężczyźni wciągnęli tratwę na wodę, po czym pomagali kobietom i dzieciom wsiąść na kołyszący się na rzece pokład. Wreszcie sami wsiedli, na samym końcu taki kościsty starzec z sękatym kijem i długą brodą, dwóch silnych mężczyzn i młody chłopiec o kudłatych blond włosach, któremu nie zamykały się usta.

– Masz chyba na myśli – zaproponował Meinolf – czarnowłosego chłopaka w towarzystwie dziewczyny o długich blond włosach, oboje mniej więcej w wieku piętnastu lat?

Rybak zrobił wielkie oczy.

– Przysięgam na wszystko, co mi najdroższe, ojczyźnie, nikogo takiego nie widziałem! Ani waszego chłopca, ani dziewczyny. Ja w każdym razie widziałem tylko tego blondyna. Miał już prawie żółte włosy i nieustannie mówił coś niewyraźnie pod nosem, zupełnie jakby był pijany lub postradał zmysły.

Leander, pomyślał Hannes, to mógł być tylko Leander! A więc Klara rzeczywiście czytała mu z *Księgi duchów*, a pierwsza opowieść nie tylko wzbudziła w nim dar magii serca, lecz także przywróciła mowę.

Tymczasem Meinolf przykucnął w trawie obok Kuna. Wsparł się kolaniem o klatkę piersiową rybaka i zamyślony popatrzył prosto w jego twarz.

– A ci ludzie – powiedział jakby mimochodem – mieli ze sobą rudego jak lis konia?

Rybak jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy. Błagalnym wzorkiem spojrział w górę na dominikanina, jakby chciał odczytać z twarzy Meinolfa właściwą odpowiedź na to pytanie.

– Nie, nie było z nimi takiego konia.

Chwała Valentinowi Kronusowi, pomyślał tymczasem Hannes. *Księga duchów* nie jest żadnym diabelskim dziełem, wprawiającym w zamęt swych czytelników, lecz prawdziwym balsamem dla duszy i ciała. Inkwizytor, podcenzor, Meinolf i Elias – oni wszyscy są w błędzie. Jakże Kronus może być Szatanem wcielonym, skoro za pomocą swojej *Księgi* uzdrawia niemych i obłąkanych niczym Zbawiciel?

Hannesa ogarnęło gorączkowe podniecenie. Jak mogłoby przekonać Meinolfa, że ta księga o duchach nie jest żadnym dziełem Szatana? Oczywiście musiał zaniechać wszystkiego, co mogłoby narazić na niebezpieczeństwo Klarę, *Księgę* czy Amosa. Mimo to musiał spróbować!

Meinolf dobył swojego sztyletu z pochwy, a ostrze zabłysnęło w świetle południowego słońca.

– Jeśli skłamałeś, rybaku – powiedział – to spotka cię to. – Nagle rzucił się do przodu, wbił nóż w ziemię tuż przy skroni Kuna i szepnął mu coś do ucha.

Jakkolwiek Hannes się wysiłał, nie mógł zrozumieć ani słowa z szeptów Meinolfa. A mimo to ciarki mu przeszły po plecach na sam widok rybaka, który patrzył przed siebie zdumiony, gdy Meinolf podnosił się i zaczął obracać w lewej ręce ubrudzony od błota nóż.

– A więc? – powiedział.

– Nie... nie było żadnego konia. – Ręka, którą rybak uniósł w geście przysięgi, trzęsła się niczym w kurczku. – I nie było z nimi żadnego czarnowłosego chłopaka, podobnie zresztą jak i żadnej dziewczyny o blond włosach. Przysięgam, Wasza Świątobliwość.

Dominikanin uśmiechnął się zamyślony.

– Nazywaj mnie bratem, to wystarczy. – Starannie wytarł ostrze o ubranie rybaka. – I nikomu nie wspominaj o tym, o czym tu z nami dzisiaj rozmawiałeś. Inaczej spotka cię to samo, co zapowiedziałem ci przed chwilą, tylko w odwrotnej kolejności. Zrozumiałeś?

Rybak wciąż jeszcze kiwał głową, z drżącą brodą i szeroko otwartymi oczami, gdy Meinolf, purpurowi wojownicy i Hannes już dawno wsiedli na swoje wierzchowe zwierzęta (albo też zwisali z nich, wygięci w kształt półksiężyca) i ciągnęli dalej na południe, w kierunku poprzecinanej rozpadlinami okolicy Creussen.

## 4

GÓRA KALWARIA NA POŁUDNIE od Creussen była miejscem kultu, do którego pielgrzymowali pobożni ludzie z całej Frankonii, a nawet z odległych krain. Każdy, kto w „Bolesny Dzień”, w dniu ukrzyżowania Chrystusa, wziął udział we mszy na Górze Kalwarii pod Creussen, otrzymywał odpust na nie mniej niż trzy dni pokuty, które musiałby spędzić w ogniu czyścowym. Nic dziwnego zatem, że przede wszystkim w święto Wielkiej Nocy liczni pielgrzymi wspinali się na tę stromą, bazaltową skałę, mimo że hen, w górze nie było nawet żadnej kapliczki. Msza święta była tam odprawiana pod gołym niebem, nawet przy lodowatym wietrze czy siekającym deszczu.

Nie inaczej miały się sprawy już przed tysiącami lat, z tą jednak różnicą, że poganie nazywali to miejsce Czarną Skałą. Jeszcze w XI wieku na tej Czarnej Skale kapłani pogańscy modlili się do swoich bogów, wywoływali duchy i wprawiali w zdumienie okoliczną ludność cudownymi uzdrowieniami. Tak przynajmniej opowiadał Elias Meinolfowi, a Hannes przysłuchiwał się ich rozmowie, znajdując się gdzieś na granicy między snem a jawą.

– Pochodzisz z tej okolicy, nieprawdaż? – zapytał w pewnej chwili Meinolf. Watykański oficer kiwnął głową, a dominikanin pochylił się, jadąc na koniu, w jego stronę i poklepał go lekko po ramieniu. – Trzeba tak było od razu. Już się zaczynałem o ciebie martwić – zaśmiał się. – Wojownik na usługach Kościoła, który boi się wtrącić diabła do ognia, jak to możliwe? Ale teraz już cię rozumiem. Chciałeś oszczędzić swoje rodzinne miasto.

Uśmiech Eliasa spochmurniał na chwilę.

– Husyci już wystarczająco spustoszyli Creussen. Niektóre budowle jeszcze do dziś leżą w gruzach. Ale wierz mi, Meinolfie. W równym stopniu oszczędziłbym każde inne miasto.

Oczy dominikanina zwężyły się do szparek. Obrzucił go przeszywającym spojrzeniem. Na jego policzkach ponownie rozkwitły ogniste rumieńce, a biały ogier znów zaczął nerwowo podskakiwać, jakby niepokój jego pana udzielił się i jemu. Jednak trudno było się dziwić – także Hannes czuł, jak w dominikaninie o jasnej skórze zaczęło kipieć i burzyć się.

Mijając po prawej urodzajną dolinę Czerwonego Menu, jechali w górę przez porośnięty lasami, pagórkowaty teren, a przed nimi Góra Kalwaria wznosiła się niczym prastara, szerniała, olbrzymia wieża. Meinolf wciąż jeszcze prowadził muła na wodzach i w nierównych odstępach czasu rzucał w stronę znajdującego się na jego grzbiecie, związanego Hannesa zamyślane spojrzenia, zupełnie tak, jakby obmyślał już w głębi pytania, które chciał przy najbliższej okazji zadać chłopakowi podczas przesłuchania – lub nawet jakby pomocnik pisarza Mergelin wydawał mu się tym bardziej podejrzany, im dłużej się nad nim zastanawiał.

– Jesteśmy na wojnie, Eliasie, na wojnie przeciwko Szatanowi i jego demonicznym zastępom – odezwał się Meinolf, po tym jak on i oficer jechali przez dłuższy czas obok siebie, milcząc. – Nadmiar skrupułów i delikatnych uczuć przyniosłoby korzyść tylko naszym wrogom – temu diabłu wcielonemu, Kronusowi i jego bractwu.

Elias pokręcił głową. Jego uśmiech był znowu promienny i tylko oczy zdawały się załzawione, jakby potajemnie popłakiwał.

– Wiem o tym równie dobrze jak ty – powiedział pokojowym tonem. – A ja bynajmniej nie słynę z przesadnej delikatności. Jestem po prostu oficerem i nie mogę się kierować przelotnymi przeczuciami. Już na pewno nie wtedy, gdy narzucają mi się niczym dziwki w portowej knajpie.

Rumieńce na policzkach Meinolfa stały się jeszcze bardziej wyraźne.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – wyrzucił przez zęby.

Elias ponownie pokręcił głową i uśmiechnął się.

– Jesteś jeszcze młody i ambitny. Spróbuj choć raz pomyśleć o tym i zachować zimną krew. Co by się stało, gdybym wczoraj postąpił zgodnie z twoją propozycją? Wtedy spalilibyśmy te cierniste krzaki wraz ze wszystkim, co się rusza. I wierzylibyśmy teraz, że płomienie pochłonęły także dwoje naszych małych diabłów wraz z tą piekielną książką. – Popatrzył na Meinolfa z góry i przez krótką chwilę Hannesowi jego uśmiech wydał się wręcz szyderczy.

– Czy nie przyszło ci na myśl – ciągnął dalej Elias – że taki właśnie był ich cel? Ja w każdym razie jestem przekonany, że tak właśnie było. Oboje chcieli, żebyśmy podpalili ten pogański gród, a wtedy wszystko wskazywałoby na to, że i oni sami, wraz z piekielną książką, zostali strawieni przez nasz ogień.

Dominikanin zrobił wielkie oczy.

– Sądziś, że chcieli poświęcić swoich własnych ludzi: mężczyzn, kobiety i dzieci, prawie pięćdziesiąt osób? – powiedział i zagwizdał cicho. – Przewacny, isticie diabelski plan!

Tymczasem sześciu purpurowych wojowników wysunęło się już daleko przed nich. Wyglądali niczym płonące ognie na czarnej skale. Tak właśnie błyszczały ich szaty w świetle porannego słońca, w czasie gdy pokonywali z trudem strome wzniesienie. Kilku z nich jechało konno, inni, chcąc nie chcąc, zeszli z siodła i prowadzili za sobą swoje wierzchowce, a sami byli ciągnięci naprzód przez psy św. Huberta.

– Jeszcze nie wszystko stracone – powiedział Elias. – Przejrzeliśmy ich szatański podstęp i wiemy, że oboje jeszcze żyją. Być może posłaniec przyniesie nam dobre wieści.

– Chcesz czekać na posłańca? Kto wie, kiedy ten dotrze tam, na szczyt góry. Stąd do Norymbergii nawet i gońcowi z dwoma końmi arabskimi zajęłoby to pół dnia.

Oficer wzruszył ramionami.

– I tak zgubiliśmy trop. Skorzystajmy zatem z okazji i odpocznijmy trochę. W końcu prawie bez przerwy, od dwóch dni i dwóch nocy, jesteśmy w podróży.

– Skoro tak uważasz... – Meinolf sprawiał wrażenie nadzwyczaj zakłopotanego, odkąd Elias pouczył go na temat wątpliwej wartości przelotnych przeczuć. – Chociaż wolałbym, żebyśmy zdeponowali nasze listy w zwykłym miejscu i wyruszyli od razu dalej. Z powrotem do Norymbergii, bo dokąd indziej mogli się oboje udać?

– Skąd mam to wiedzieć? – odpowiedział Elias pytaniem na pytanie. Zabrzmiało to, jakby zaczynał mieć po prostu dosyć tych przemądrzałych dywagacji. – W każdym razie na nic się to nie zda, jeśli podążymy dalej, na chybił trafił, na południe, gdy tymczasem nasze dwa diabełki być może już dawno ruszyły w zupełnie innym kierunku.

Meinolf się zamyślił.

– Teraz, gdy tak mówisz... Przecież pokazałem ci list – ciągnął dalej z gorliwością – który otrzymałem wczoraj od Cellariego. Trithemius umknął mu w Sponheim i możliwe, że dotarł już do Wurzburga, więc może młody Hohenstein i ta cała Klara też chcą się tam udać?

Elias zmarszczył czoło i gapił się na Meinolfa, jakby dominikanin zupełnie już postradał zmysły. Na krótko przestał się nawet uśmiechać.

– Dobrze tylko, że z reguły pozostawiasz kwestie wojskowe tym, którzy mają na ten

temat jakiegoś pojęcia. – Cicho się zaśmiał. – Bo skąd niby to diabelskie nasienie miałyby wiedzieć, co wydarzyło się w Sponheim przedwczorajszej nocy? Mógłbyś mi to wyjaśnić, Meinolfie? A tego, czy opat Trithemius rzeczywiście dotarł dzisiaj do Wurzburga, nie wiemy przecież nawet my! – Uderzył pięścią w znajdującą się przed nim kulę u siodła. – Bractwo Opus Spiritus może sobie być nawet jak ośmiornica, mieć wiele macek, ale wydaje mi się dość nieprawdopodobne, by posiadało szybszych kurierów niż watykańska armia.

Tym razem to dominikanin pokręcił głową, jednak bez cienia uśmiechu.

– Kurierów? – powtórzył. – A kto o nich wspominał? Najwidoczniej jeszcze nigdy nie zadałeś sobie trudu, by przestudiować dzieła słynnego „papieża ksiązek” i badacza demonów, Trithemiusa.

Oficer przeżegnał się.

– Każdy wie, że są to diabelskie pisma. Dlaczego miałbym więc narażać swą duszę, czytając takie brednie?

– To całkiem proste – rzekł Meinolf, a na jego policzkach znów zagościły rumieńce. – Wtedy wiedziałbyś przynajmniej, czym Trithemius chełpi się w swych pismach. Potrafi rzekomo otrzymywać i przysyłać myśli na dowolną odległość. Po co mu zatem kurierzy konni? Piekielne duchy w magiczny sposób przesyłają jego wiadomości, szybko jak wiatr.

– A ty sądzisz, że on mówi prawdę? – Oficer podrapał się po głowie tak gwałtownie, aż hełm zsunął mu się na czoło.

– W tej kwestii nie mam całkowitej pewności – powiedział Meinolf, wruszając ramionami. – Jedno wiem jednak na pewno. Szybkość, z jaką to diabelskie bractwo porozumiewa się często na duże odległości, musi się dokonywać z udziałem jakichś ciemnych mocy.

Hannes jak urzeczony przysłuchiwał się tej wymianie zdań, a gdy Meinolf zaczął teraz mówić jeszcze o nadnaturalnych zdolnościach Opus Spiritus, to chłopak nie mógł wręcz powstrzymać błęgiego uśmiechu. Dzięki magicznym mocom, jakie *Księga duchów* wzbudza w swych czytelnikach, pomyślał znowuż, już wkrótce będziemy tak bardzo przewyższać wszystkich tych łowców ludzi i ksiązek, jak ta góra wznosząca się nad tym płaskim terenem.

Właśnie w tej chwili Meinolf odwrócił się w jego stronę, a Hannes pospiesznie zmaszał błogi uśmiech ze swojej twarzy. Ale dominikanin widocznie zdążył to jeszcze dostrzec. W każdym razie spojrział dziwnie nieruchomym wzrokiem w dół, na chłopaka, zupełnie jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że dokładnie trafił w sedno swoimi rozważaniami.

– Widzisz, Mergelin – powiedział. – Nie zadałem ci jeszcze ani jednego pytania, a ty już zdążyłeś się zdradzić.

Hannes usilnie pokręcił głową, lecz Meinolf już tego nie zauważył. Odwrócił się i ruszył swoim siwkim, pokrzykując i strzelając biczem, stromym wzniesieniem w kierunku szczytu góry.

## 5

SZCZYT GÓRY KALWARII czy też Czarnej Skały był płaski jak talerz, który – przez wiele tysięcy lat – został prawie całkowicie ogołocony przez wiatr z wszelkiej roślinności i tylko kilku pochylonym pod naporem wiatru świerkom udało się uczepić w wąskich rowach na skraju wzniesienia. Ponadto z bazaltowego podłoża tylko gdzieś wyrosła kilka kępek trawy, które już z daleka wyglądały na twarde i ostre. Tym jednak lepiej na tym jałowym podłożu odcinały się krzyże wyrastające pośrodku tej płaskiej skały. Były również wyrzeźbione z czarnego bazaltu i obejmowały potężny, kamienny krucyfiks otoczony z obu stron o wiele mniejszymi krzyżami. Na krucyfiksie zawieszona była kunsztownie wykonana figura Jezusa. Tymczasem sylwetki obu łotrów na mniejszych krzyżach były tylko topornie wykute z kamienia.

W ten upalny dzień późnego lata jednak żaden pielgrzym nie zmierzał drogą w górę. Mimo to oficer Elias rozkazał swoim żołnierzom, by mieli na oku wszystkie ścieżki prowadzące na szczyt.

Żołnierze rozeszli się w stronę krawędzi łysej kopy. Tymczasem Meinolf i Elias krzątali się przy potężnym cokole skalnym, na którym wnosiły się ku niebu trzy krzyże – z tyłu znajdowała się skrytka, którą można było otwierać i zamykać za pomocą tajnego mechanizmu. Hannes słyszał zgrzyt i pisk, ale nie wiedział, co dokładnie było źródłem tych dźwięków. Jednak gdy obaj mężczyźni wyłonili się zza postumentu, mógł odczytać z ich twarzy, że w schowku nie znaleźli żadnych listów.

Tymczasem żołnierze odwiązali chłopaka i położyli go na ziemi, w cieniu kilku wykrzywionych od wiatru świerków. Zdjęli mu nawet kajdany z rąk, żeby mógł wygodniej sięgać po kawałki chleba i wodę, które rzucili w jego stronę wraz z kilkoma szyderstwami.

– Częstuj się, kostucho, ale uważaj, żebyś się nie spał!



Jak za każdym razem, gdy ktoś sztydził z niego w taki sposób, ogarnęło go gorące przerażenie. Już jako mały chłopiec, w wieku dziesięciu, może jedenastu lat, był tak chuderlawy, jak strach na wróble zrobiony ze spróchniałych gałęzi. I niestety, tak samo niezgrabny. Często zdarzało się, że inne dzieci we wsi biegały za nim i wyśmiewały go, nazywając kostuchą, workiem kości czy jeszcze czymś innym. Już wówczas marzył o tym, by być takim, jak tamten młody poeta i muzykant, który pojawił się pewnego dnia w kuchni ich gospodarstwa.

Harmo – tak, właśnie tak przedstawił się wędrowny artysta. Nad wyraz dziwne imię, którego rzekome znaczenie wyjaśniał na wstępie swym słuchaczom: eufonia i ból. Zdziwiony Hannes wsłuchiwał się w swoje wnętrze. Jak dawno już nie myślał o tym młodzieńcu, o pięknym brzmieniu jego wierszy, głosu, o jego melancholijnym uśmiechu. Harmo wszystkich wtedy błyskawicznie oczarował: młode dziewczki, starą Sennę, a nawet matkę Hannesa, jak i jego samego. Jednak taki stan nie trwał długo, kilka dni później...

– Mergelin! – Chłopak wzdrygnął się. Przed nim stał młody dominikanin, w swym łopocącym na wietrze czarnym habicie przypominającym ogromnego kruka.

– Podnieś się. Najwyższa pora, abyś odpowiedział mi na kilka pytań.

Hannes wstał z trudem. Ledwo stanął na nogi, a już prawie znów osunął się na ziemię, tak bardzo czuł się jeszcze zmęczony i tak bardzo kręciło mu się w głowie. Nieśmiało wziął co najwyżej dwa lub trzy kęsy chleba i znów naszły go mdłości. Zazwyczaj wystarczyło, że wyobraził sobie jeszcze skórkę chleba lub kawałek sera, a już mdliło go tak bardzo, że przez resztę dnia nie mógł przełknąć ani kęsa.

Na skinienie Meinolfa jeden z purpurowych wojowników chwycił go i poniósł za dominikaninem.

– Posadź go tam – rozkazał Meinolf, wskazując na tylną stronę cokołu. – Nie tu, głupku, nie u stóp ukrzyżowanego Zbawiciela! Oprzyj go o jeden z krzyży łotrów. Tak, zdecydowanie lepiej. Odesłał żołnierza machnięciem ręki, a sam zajął miejsce za plecami Zbawiciela.

Hannes pochylił się ukradkiem do przodu, starając się dojrzeć w cokole jakiś otwór lub przynajmniej jakąś szczelinę. Ale nie zauważył niczego, co wskazywałoby na tajną skrynkę na listy lub coś podobnego. Gdziekolwiek jednak znajdowała się ta skrytka, musiało to być jakieś śmiesznie niepozorne urządzenie, porównywalne do magicznych mocy pozwalających na przekazywanie wiadomości na odległość, jakie *Księga duchów* wzbudzała w swoich czytelnikach.

– Znów się zdradzasz, Mergelin. – Meinolf odwrócił się do niego bokiem i położył

swoją podwinietą prawą nogę na gzymsie skalnym. – Naprawdę sądzisz, że nie zauważyłem, jak się właśnie zarozumiale wyszczerzyłeś, mierząc wzrokiem znajdujący się pod tobą cokół? – Wyciągnął swój sztylet zza pasa i jął go obracać w swojej lewej ręce. – Czytałeś tę diabelską księgę, zgadza się?

Hannes był oczywiście przygotowany na tego typu pytania. Będzie się przyznawał tylko do tego, co Meinolf i tak już wiedział lub czego mógł się domyślić – tak w każdym razie postanowił, po tym jak został złapany przez purpurowych wojowników. Jednocześnie jednak palił się wręcz do tego, by przekonać Meinolfa o dobroczynnym, nieszkodliwym, ba, na wskroś uzdrawiającym działaniu *Księgi*. I przeczuwał już, że ten drugi plan może mu pokrzyżować ten pierwszy.

– Raz tylko przelotnie do niej zajrzałem – powiedział, bagatelizując sprawę. – Wtedy książka była jeszcze związana sznurkiem i zapieczętowana. Odgiałem nieco okładkę i tu, i ówdzie dojrzałem tylko kilka strzępków zdań. To wszystko. Pan podcenzor Skythis – dodał pospiesznie – wie o tym już od dawna.

– Podcenzor Skythis – powtórzył Meinolf protekcyjnym tonem. – Czy wie też, że przez wiele dni i tygodni przenosiłeś się z miejsca na miejsce wraz z tymi apostołami diabła?

Przed oczyma duszy Hannesa ukazała się postać podcenzora, jego wilcze oblicze, jego straszne krecie ręce. Jakże to było możliwe, że sam chciał się stać taki sam, jak ten zacierzewiony wróg poetów? Każde wyszczerzone przez niego słowo było wcześniej dla niego niczym objawienie, niczym drogocenna mądrość. Hannes pokręcił głową. W coraz mniejszym stopniu mógł pojąć, jak w ogóle mógł tak pobłądzić i się pogubić.

– Pan Skythis i ja zostaliśmy rozdzieleni – powiedział – gdy wyruszyliśmy w pościg za *Księgą*. Nagle znikł, ale ja wciąż deptałem tym dwojgu po piętach. Amosowi i Klarze... – Urwał, nawet tego nie dostrzegając. Już dawno postać podcenzora zatarła się przed jego oczami, a zamiast niego widział teraz przed sobą Klarę – swoją ukochaną Lucyndę, najpiękniejszą dziewczynę na świecie.

– I co było dalej, Mergelin? – Dominikanin chwycił go za ramiona i przyciągnął niedelikatnie w swoją stronę. – Mów no, chłopaku, a może chcesz, żebym wyciął ci te pytania nożem na plecach? – Pomachał Hannesowi przed nosem ostrzem swojego sztyletu.

O nie, tego Hannes bynajmniej nie chciał. A więc podążył za Amosem i Klarą aż do Bambergu i przyczaił się w stajni przy gospodzie, gdzie się oboje ulokowali. Następnego poranka Klara i Amos poszli na zamek biskupa, ale później Klara wróciła sama, najwidoczniej uciekając przed żołnierzami biskupa...

Hannes ponownie zrobił krótką przerwę w mówieniu, ale błyszczący mu przed oczami

nóż szybko zmusił go, by dalej zeznawać.

Wolał nie wspominać, że udało mu się nawet na chwilę odbić Klarze *Księgę*. Wstydził się tego, jak powaliła go wtedy w rzece Pegnitz, w czasie gdy on w zasadzie trzymał się już kurczowo krawędzi łodzi, którą zamierzał uciec. Zamiast tego opowiedział Meinolfowi, jak Klara ukrywała się w lesie i jak ją ukradkiem obserwował. Pewnego ranka po prostu odjechała, a on podążył za nią dyskretnie na mule, którego na wszelki wypadek sobie sprawił.

– Zaczyna się robić interesująco, Mergelin. – Meinolf uniósł swój sztylet i w zamyśleniu skreślił w powietrzu duże „X” tuż przed jego piersią. – A dokąd pojechała wtedy nasza mała diablica? Zdradzisz mi to jeszcze?

Hannes oddychał tak ostrożnie, jak to tylko było możliwe. Ostrze sztyletu Meinolfa unosiło się teraz mniej więcej na wysokości jego serca.

– No, w góry – powiedział. – Tam, gdzie później został uwolniony Amos.

– Gdzie wyzwoliła swojego diabła, chciałeś chyba powiedzieć. – I tym razem Meinolf skreślił w powietrzu duże „U” przed twarzą Hannesa. Nawet tutaj, w cieniu krzyży, ledwo można było znieść upał. – Załatwiła sobie strzelbę, by wesprzeć tę kacerską zgraję podczas uwalniania jej kompana i dość dokładnie wiedziała, kiedy i gdzie wysypią się z lasu te dzikusy. Nie próbuj ze mnie robić głupca. Strażnicy biskupa opowiedzieli mi wszystko ze szczegółami. – Dominikanin jeszcze mocniej przechylił się w stronę Hannesa. – A skąd ona mogła o tym wszystkim wiedzieć, Mergelin?

Hannes wzruszył ramionami.

– Na pewno nie ode mnie – wyrzucił przez zęby.

– Nie, idioto, na pewno nie od ciebie. – Meinolf przysunął się do niego jeszcze bliżej i położył mu rękę na ramionach, jakby byli przyjaciółmi. – Ale może widziałeś, jak ta Thalgruber kogoś spotkała, kiedyś w ciągu tych dni, zanim wyruszyła, aby uwolnić swego Amosa strzałami ze strzelby?

Hannes znów chciał pokręcić głową, jednak zamiast tego siedział nieruchomo i patrzył tylko kamiennym wzrokiem na ostrze sztyletu w ręce Meinolfa. Na to pytanie już od dłuższego czasu układał sobie odpowiedź. Właściwie to chciał po prostu powiedzieć, że w końcu nie obserwował Klary w jej leśnej kryjówce od rana do nocy. Z pewnością spotkała się z jakimś posłańcem, który udzielił jej jakichś tajnych instrukcji – bo skąd inaczej miałyby wiedzieć, kiedy i gdzie należało się pojawić ze strzelbą?

Ale wszystkie te dobrze przemyślane, choć na wskroś kłamliwe zdania nie chciały mu po prostu przejść przez gardło. Oczywiście, nie chciał wyjawić niczego asystentowi inkwizytora, czym mógłby narazić na niebezpieczeństwo Klarę, Amosa lub *Księgę duchów*.

Ale jednocześnie chciał przecież przekonać Meinolfa, że *Księga* pozwala zdobyć swoim czytelnikom dobre, pożyteczne magiczne moce. I dlatego też Hannes nie mógł teraz skłamać, że Klara spotkała się z jakimś posłańcem, skoro wcale nie musiała tego robić. W końcu potrafili z Amosem wymieniać się telepatycznie wiadomościami na dowolną odległość.

I tak Hannes oblizał sobie suche niczym pył wargi i powiedział:

– Przez cały czas miałem ją na oku. Z nikim się nie spotykała, aż do czasu gdy tamtego poranka wyruszyła nagle, o pierwszym brzasku.

Dominikanin patrzył na niego nieruchomym wzrokiem, jego palce zacisnęły się na ramionach chłopaka, a nóż w jego lewej ręce drżąc, był wycelowany w pępek Hannesa.

– Oznaczałoby to... – Ściszył głos do ochryplego szeptu. – Sądziś, że naprawdę została poinstruowana poprzez jakąś magiczną wiadomość?

Hannes kiwnął głową z przestachem.

– Tak przynajmniej mi powiedziała – dorzucił. Naraz nie był już tak pewien, czy przekonywanie Meinolfa o cudownym działaniu *Księgi duchów* było dobrym pomysłem.

– A od kogo otrzymała te diabelskie wieści, co, Mergelin? Ta Thalgruber na pewno i o tym ci powiedziała.

Policzki Meinolfa znów się zaczerwieniły. Mimo że mówił szeptem, od każdego z jego słów aż huczało w czaszce Hannesa.

– Nie – zapewnił Hannes. – Tego mi nie powiedziała. – Pokręcił głową, aby uwiarygodnić swoje słowa, jednak był teraz tak skołowany, że nie wiedział już właściwie, czemu powinien zaprzeczać, a co powinien potwierdzać. To przesłuchanie było po prostu ponad jego siły. Jakże chętnie zamknąłby znowu oczy i ponownie zanurzył się w swoich marzeniach i wspomnieniach!

Jednak Meinolf nie pozwalał mu na to. Potrząsał chłopakiem w tę i w tę.

– Nie powiedziała ci tego? – Tak blisko przysunął twarz do Hannesa, że aż w pewnym momencie uderzyli się nosami. Do tego jeszcze uniósł swój nóż i przycisnął chłopakowi ostrze do gardła.

– W takim razie zapytaj ją teraz, Mergelin – syknął.

– Jak... Jak to? – zająknął się. – Prze... Przecież jej tu nie ma?

– Ale ty czytałeś jej diabelską książkę, Mergelin! – Na szczęście dla chłopaka Meinolf przestał już nim potrząsać. Odwrócił się od niego, opuszczając także nóż, i wsparł się o tył krzyża Zbawiciela.

– Czytałeś tę książkę – powtórzył. – Ona rozpałała w tobie diabelskie ognie. Tak samo, jak w przypadku innych apostołów tego szatańskiego bractwa. A to oznacza... – Znów

odwrócił się w stronę Hannesa i tym razem położył mu na ramieniu lewą rękę – tę, w której dzierżył nóż – jakby chciał go objąć. – A to oznacza, że możesz przesyłać tej Thalgruber lub Hohensteinowi magiczne wiadomości, tak samo jak i oni tobie.

Hannes poczuł, jak ostrze przejechało mu bokiem po szyi.

– Zgadza się, Mergelin? Przecież możesz im wysyłać magiczne wiadomości. – Meinolfowi zaiskrzyły oczy. Rumieńce na jego policzkach zapłonęły ogniem niczym dach domu Kronusa.

Hannes popatrzył na niego nieruchomym wzrokiem. Rozpaczliwie usiłował zebrać myśli. Tak kręciło mu się w głowie, czuł w niej taki mętlik i był bardzo zmęczony. Cóż miałby odpowiedzieć? Tak? Nie? Sam tego nie wiedział do momentu, aż usłyszał siebie mówiącego cichym głosem:

– O tak, oczywiście, że potrafię.

– W takim razie zapytaj ich. Teraz! Zapytaj ich, kto kazał jej przybyć do tego miejsca w lesie.

Hannes desperacko kręcił głową. Popęłnił straszliwy błąd, pojął to teraz aż za dobrze. Lecz było już za późno.

– Nie mogę! – wykrzyknął.

– Co to ma znaczyć? Kłamiesz, Mergelin! – Meinolf przeszył go wzrokiem. – Jeszcze przed chwilą chlępiłeś się tym, że potrafisz wysyłać do swoich kompanów magiczne wiadomości!

– Tak. Nie. Mój Boże!

Nóż kiwał się w ręce Meinolfa tuż obok skroni Hannesa niczym wahadło zegara. Jak mógłby teraz odwieść dominikanina od tego straszego pomysłu? Przecież nie mógł powiedzieć, że kocha Klarę, że uwielbia Valentina Kronusa i że dałby się prędzej pokroić na kawałki, niż pozwolił narazić na niebezpieczeństwo *Księżę* lub któregokolwiek z członków Opus Spiritus! Była to najczystsza prawda, ale jeśli teraz wyrwałoby mu się to, Meinolf jeszcze brutalniej potraktowałby go swoim nożem tudzież swymi pytaniami!

– Łżesz, Mergelin! – wyrzucił z siebie dominikanin. – Natychmiast przekażesz tej diablicy pytanie, które kazałem ci zadać! A jeśli będę zmuszony jeszcze raz je powtórzyć, wytnę ci je na skórze, litera po literze!

Chwycił Hannesa za kołnierz i przyciągnął do siebie w taki sposób, że chłopak opadł plecami na jego kolana. Jedną ręką przygniatał mu gardło, a drugą przeciął mu na pół jego strój, od pasa aż po szyję. Chłopak poczuł twardy chłód sztyletu, gdy ten wbił mu się między żebra, gotów do tego, by wypisać pytanie Meinolfa na jego skórze.

– Czekam, Mergelin!

Hannes nie mógł znów wydobyć z siebie głosu. Resztkami sił wejrzał w swoje wnętrze i zobaczył nagle migoczącą małą gwiazdę, swoje własne magiczne serce. W dość znacznej odległości, na jego wewnętrznym niebie rozbłyskiwała magiczna gwiazda Klary, a chłopak w swojej rozpaczycy zwrócił się do niej, zaklinając, z prośbą o pomoc.

– *Na wszystkie dobre duety, Klaro, obroń mnie!*

W tej chwili jej magiczna moc wydawała mu się ogromna i nie do pokonania, przy czym z ust Klary usłyszał wcześniej, że i ona nie przeczytała wszak jeszcze nawet opowieści z *Księgi duchów*.

– *Proszę, Klaro, nie zawieź mnie teraz – błagał. – Ochroń mnie twą magiczną mocą przed Meinolfem, jego nożem i rządcą mordy.*

Wtedy nagle poczuł, jak gorący strumień światła odchodzący od gwiazdy Klary wniknął w jego magiczne serce. To światło sprawiło, że jego oczy rozbłysły, a wszystko dookoła niego pojaśniało. A wtedy coś rozwarło mu usta, a z jego wnętrza dobył się przeraźliwy, obcy, urywany głos, który był niewątpliwie głosem Klary.

– *Tylko spróbuj tknąć Johanna, ty nikczemna kreaturo!* – Meinolf wybałuszył oczy, a usta zaczęły mu drżeć niczym w spazmach. – *Zastaw go w spokoju, ty kacie!*

Ręka Meinolfa ze sztyletem została dosłownie wyrzucona do góry. Nóż poszybował szerokim łukiem i z brzękiem upadł na ziemię.

– On jest opętany! – wyszeptał. – Elias, do mnie! – wykrzyczał takim głosem, jakby coś zacisnęło mu się na gardle. – Tego chłopaka opętała jakaś diablica!

Jednak Hannesowi teraz już definitywnie opadły powieki. Oczy piekły go, jakby wystrzeliły mu z nich błyskawice. Jego twarz była rozpalona jak w gorączce.

Dominikanin odepchnął go od siebie i odskoczył. Oficer natychmiast podbiegł do niego, a z jego twarzy momentalnie spelzł uśmiech, Hannes już jednak tego nie widział – osunął się na skalnym cokole i zasnął z błogim wyrazem twarzy.

# ROZDZIAŁ V

# 1

GOSPODA „Przy Zwierzyńcu” leżała poza murami Norymbergii, w cieniu potężnego cesarskiego zamku. Aż do Tiergartnertor, przez którą droga prowadziła prosto w gąszcz ulic dzielnicy zamkowej, było stąd jeszcze tylko kilkadziesiąt kroków. Panował tu ożywiony ruch, bo właśnie w tym miejscu kończył się trakt biegnący z Bambergu i Erlangen. Po czubek załadowane wozy chłopskie i parokonne powozy, posłańcy konni i wędrowni rzemieślnicy tłoczyli się na niewielkim placu przed bramą. Ta zawdzięczała swoją nazwę wybiegowi dla dzikich zwierząt, założonemu przez cesarskiego burgrabię w fosie pod bramą Vestner.

Gospoda składała się ze skromnego budynku z muru pruskiego oraz przylegającej do niego ukośnej, drewnianej stajni. Słońce już zachodziło, gdy pewien chłopak o drobnej budowie i wyrazistych, zielonych oczach zatrzymał swoją rudą jak lis klacz przed stajnią gospody.

– Chwała Bogu i cesarzowi – powiedział dziwnie mrukliwym głosem i spojrzał śmiałym wzorkiem w dół na podstarzałego parobka. – Czy mogę zostawić tu na noc mojego konia? – Chłopak marszczył ciągle czoło, jakby był z jakiegoś powodu rozgniewany. Sądząc po jego wysmukłej postaci, miał dobre piętnaście lat. Ale jego delikatna twarz, na której nie było widać nawet najbardziej skąpego meszku, po prostu nie pasowała do tego podrostka. Przede wszystkim zaś jego głos brzmiał dość osobliwie.

Parobek zmierzył go swoimi zmęczonymi oczami starego człowieka.

– Trzy halerze, chłopcze – syknął przez liczne szczyrby między zębami. – Za pięć miedziaków będziesz mógł przenocować na sianie obok swojej szkapy.

Klara z wyraźną ulgą przystała na tę propozycję. Zeskoczyła z siodła i wygrzebała monety z kieszeni w kamizelce Leandra. Parobek obracał podejrzliwie tymi pięcioma halerzami tam i z powrotem, a nawet na nie splunął i usiłował je wypolerować, pocierając nimi o swoje lepiące się od brudu spodnie. Wreszcie wzruszył ramionami, wybełkotał coś zupełnie niezrozumiałego i wskazał na szopę znajdującą się bardziej na tyłach stajni.

Klara skinęła zycliwie w jego stronę i poczuła taką ulgę, że przestała gniewnie



spoglądać. Na wszystkie dobre duchy, była w końcu budzącym strach, wściekłym chłopcem, a tacy nie uśmiechali się tak po prostu do parobków! Pociągnęła swoją kasztankę do szopy. Tam zdjęła z niej siodło i uzdy. Starannie pocierała jej sierść, aby wyschła, tymczasem ta dzielna klacz zanurzyła już swój łeb w przewieszonym worku owsa.

W stajni stopniowo robiło się cicho i mroczno. Klara siedziała na słomie obok kasztanki i jadła jedno z jabłek, które zerwała gdzieś, przejeżdżając. Była śmiertelnie zmęczona, ale nazbyt podniecona, by zasnąć.

Jeszcze tylko dwa lub trzy konie zostały tu pozostawione bardziej z przodu stajni i nawet w gospodzie obok panował najwidoczniej spokój, co jednak nie było specjalnie zaskakujące. Komu udało się tu dotrzeć po wielu dniach lub nawet tygodniach podróży, ten w miarę możliwości chciał spędzić noc w obrębie murów miejskich. W końcu czasy były niespokojne, tymczasem ściany gospody z muru pruskiego, nie mówiąc już o drewnianej stajni, nie dawały ochrony przed rozbójnikami i morderczymi podpalaczami.

Kto mimo to zatrzymał się tu, poza murami miejskimi, w gospodzie, ten miał na ogół dobre powody, by obawiać się badawczych spojrzeń mieszkańców miasta. I oczywiście dotyczyło to także Klary. Wewnątrz potężnych murów miejskich na pewno tej nocy nie zmrużyłaby oka. Właśnie dlatego brat Egbert poradził jej, aby spędziła tę noc w gospodzie. Miała się zdobyć na wyjście z tej kryjówki dopiero wtedy, gdy już otrzyma kolejną wiadomość od matki Zofii, a wtedy prześlizgnęłaby się szybko przez bramę i pospieszyła do niej. Bez wątpienia inkwizytor Cellari dopilnował, żeby każdy strażnik bramy i każdy ceklarz wypatrywali jej i Amosa. Każda dodatkowa chwila, w której włóczyłaby się uliczkami Norymbergii, tylko zwiększałaby niebezpieczeństwo, że jakiś woźny sądowy lub nawet jeden z purpurowych wojowników zwróciłby na nią uwagę.

Z kolanami podciągniętymi pod brodę, Klara siedziała w stodole i nasłuchiwała odgłosów dochodzących od drzwi. Możliwe, że stajenny przejrzał całą tę jej maskaradę i że zakradnie się tu w pewnej chwili pod osłoną nocy. Zrobiło jej się niedobrze ze strachu, a jeszcze bardziej z obrzydzenia. Ten parobek miał dłonie niczym widły – tak duże, a przede wszystkim tak utyłane gnojem. Ale tak naprawdę to nie martwiła się z powodu tego starego. W szerokich spodniach, wytłuszczonej kamizelce Leandra i w tej bezkształtnej czapce filcowej o bliżej nieokreślonym kolorze wyglądała przy powierzchownym, a nawet baczniejszym spojrzeniu zupełnie jak chłopak. Co prawda, z ciężkim sercem przycięła sobie nawet z pomocą Sary swoje opadające do bioder włosy, tak że teraz jej głowę okrywał jedynie hełm złocistych włosów. Jąkając się z wdzięczności (i pewnie trochę z głupiego zakochania), Leander wykrzykiwał później raz za razem:

– Gdybym był dzie... dziewczyną, Klaro, to od razu bym się w tobie zakochał!

Nie mogła powstrzymać uśmiechu, gdy pomyślała o Leandrze, który znów – jak gdyby nigdy nic – potrafił mówić, odkąd powrócił ze świata rycerza Wawrzyńca. Ale nie wolno się jej było uśmiechać. Na wszystkie dobre duchy, musiała mieć gniewne i wyzywające spojrzenie. Tak w końcu zachowują się wszyscy chłopcy, a jeśli już nawet robią jakieś miny, to w najlepszym razie wyszczerzają się szyderczo lub wyniośle. Klara ciężko westchnęła. Nieustanne udawanie chłopca było bardzo męczące.

– Nie nazywam się Klara – upomniała Leandra i popatrzyła przy tym na niego tak gniewnym wzrokiem, jak tylko potrafiła.

– Nazywam się Adrian Grunwald, zapamiętaj to sobie! – I do tego uśmiechnęła się szyderczo.

Adrian Grunwald, tak nazywał się syn lalkarza, który przed wieloma laty był dla niej jak starszy brat.

Adrian i jego ojciec często wędrowali po różnych krainach z rodzicami Klary. Ten małomówny chłopak był bardziej sprawny w rękach niż w gębie. Pod tym względem, pomyślała Klara, dobrze zrobi, jeśli weźmie sobie go za wzór do naśladowania. Im mniej będzie rozmawiała z obcymi, tym lepiej dla niej.

Najwięcej trudności sprawiało jej jednak mówienie zmienionym głosem. Najchętniej spędziłaby resztę nocy na ćwiczeniu jego mrukliwego brzmienia. Ponadto chłopcy w jej wieku często mamrocą kącikiem ust, a to bynajmniej nie ułatwiało naśladowania ich sposobu mówienia. Już w czasie gdy jechała tu z Pegnitz, tym mrukliwym głosem Klara nieustannie mamrotała pod nosem monologi. I tylko wtedy, gdy kasztanka zaczynała przewracać oczami i trzepać łbem na wszystkie strony, bo nagła przemiana jej pani wydawała się widocznie nazbyt przerażająca, Klara pochylała się do przodu i szeptała klaczy na ucho uspokajające słowa.

Noc mijała bardzo wolno. Przez pierwsze godziny Klara nie odważyła się nawet przesłać Amosowi jakiejś wiadomości. Ze strachu, że mogłaby się w ten sposób rozkojarzyć i że nie usłyszałyby wtedy, gdyby ktoś zaczął się krzątać u drzwi do stajni lub zakradać wzdłuż cienkich ścian z drewna. Ale nie był to jedyny powód, dlaczego wzbraniała się przed użyciem swych magicznych mocy.

Wciąż jeszcze jej myśli zaprzętało to, co zaszło wczoraj po południu między nią a Johannesem. A dokładniej mówiąc, między nią a Meinolfem. Właśnie zrobiła sobie przerwę na odpoczynek, gdy nagle Johannes zaczął błagać ją o pomoc swym urywającym się, telepatycznym głosem. Ani przez chwilę nie zastanawiała się nad tym, jak w ogóle mogłaby ochronić Johanna i w zasadzie wciąż jeszcze nie mogła pojąć, jak tego dokonała. W

każdym razie nakrzyczała wtedy na dominikanina, zmuszając go do tego, by odrzucił precz swój nóż. Wszystko to widziała całkiem dokładnie oczyma Johannesesa, ale bynajmniej nie to sprawiało, że cała ta sprawa wydawała jej się tak przerażająca. Już wcześniej udało jej się kilka razy śledzić oczami Amosa to, co ten właśnie widział. Jednak jeszcze nigdy dotąd nie zdarzyło jej się przemówić przez innego człowieka, z którym była magicznie połączona – używając jego ust, wykrzyknąć za pomocą cudzego języka, obcych warg to, co właśnie przyszło jej na myśl. „On jest opętany!”, krzyknął Meinolf, a i ona nie odbierała tego inaczej. Miała wrażenie, jakby jej duch zawładnął ciałem Johannesesa Mergelina.

Co przecież nie było możliwe, a może jednak?

Poczuła taką grozę, że jeszcze teraz ciarki przechodziły jej po plecach, gdy przelotnie o tym pomyślała. Tymczasem od tamtego zajścia minęło wiele godzin. Z pewnością właściwie postąpiła, mobilizując wszystkie swoje siły, by pomóc Johannesowi.

Tylko co to były właściwie za moce? To pytanie nie dawało Klarze spokoju. Zrozumiała teraz, jak mógł się czuć Amos, gdy sądził, że swoją magiczną mocą doprowadził Johannesesa do zguby.

Wtedy z głębi serca mu się sprzeciwiła. Bo w końcu *Księga duchów* wzbudza w swych czytelnikach jedynie dobre magiczne moce, tak go zapewniała, Kronus na pewno o to zadbał! Ale odkąd jej duch wszedł w ciało Johannesesa Mergelina i przemówił jego ustami, Klara bynajmniej nie była już tego taka pewna. Jej własne magiczne moce coraz bardziej napawały ją grozą, właśnie dlatego, że miała przecucie, iż nie są to jej własne moce. A w każdym razie nie całkiem własne.

Przykucnęła w mroku w swoim kącie stajni i zastanawiała się nad tymi przerażającymi pytaniami. Obok niej kasztanka – przysypiając – żuła kępkę słomy. Poza tym wszędzie dookoła panowała grobowa cisza.

Co też ta książka o duchach spowodowała w niej samej i w Amosie? Czyżby Kronus mimo wszystko stworzył książkę wzbudzającą w swych czytelnikach także „diabelskie” moce, tak jak to zawzięcie utrzymywali Cellari i Skythis? Dawniej, gdy podróżowała z rodzicami po różnych frankońskich krainach, Klara często słyszała, jak inni wędrowni ludzie przebąkaliwali coś o czarownikach, którzy opanowywali złą, niszczycielską magię. A ona sama nie wątpiła w to, że istniało coś takiego, jak szkodliwe zaklęcia, magia niszczenia czy nawet zabijania. Ale wszystko się w niej burzyło na myśl o tym, że Kronus i matka Zofia mogli popełnić tak poważny błąd podczas tworzenia i wypróbowywania *Księgi duchów*. A w rezultacie w niej samej i w Amosie *Księga* wzbudziła moce, nad którymi nie mieli kontroli i które być może mogłyby ich skłonić do naprawdę niszczycielskich działań.

Ale nie, to było po prostu niemożliwe! A jeszcze mniej prawdopodobna wydała jej się myśl, że Kronus mógłby celowo stworzyć książkę udzielającą jej czytelnikom zgubnych magicznych mocy. Matka Zofia nigdy nie przeczytałaby jej, Klarze, opowieści z tej książki, gdyby nie miała do Kronusa absolutnego zaufania.

Klara zwięzła oczy w wąskie szparki i wejrzała w swoje wnętrze. Zobaczyła migocącą gwiazdę, swoje własne magiczne serce. W dużej odległości rozbłysła druga gwiazda, jeszcze jaśniejsza i potężniejsza niż jej własna – Amos! Ich oba magiczne serca połączył złocistożółty strumień światła, a Klara wyobraziła sobie, że zjeżdża po tym złocistym strumieniu w stronę Amosa. Zaraz potem poczuła znajome łaskotanie w brzuchu i lekki szum w skroniach.

– *Amosie?*

– *Klaro?* – Jego zaspany głos wprawił jej serce w szybsze bicie.

– *Co się dzieje?*

– *Obudziłam cię?* – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– *Hmm... – wymamrotał. – Leżę w jakimś porzuconym wozie owczarzy, dwie czy trzy godziny drogi przed Wurzburgiem – dodał po chwili, jakby głęboko zdziwiony. – Twój głos brzmi jakoś inaczej, Klaro. Gdzie jesteś i co się tam dzieje?*

Zaśmiała się i baczyła na to, by nadać przy tym swojemu głosowi wyzywającą nutkę.

– *Nie mogę mówić już bardziej ochryplym głosem – odparła. – Jestem Adrian.*

– *Co to ma znaczyć Nie rozumiem ani słowa.*

Poszukała po omacku swojego tobołka, wyciągnęła zapalną i potarła ją.

– *Spójrz na mnie – powiedziała. – Musimy cierpliwie próbować, aż zobaczysz moimi oczami to, na co właśnie patrzę. – Trzymała zapalną w taki sposób, że oświecała nią kamizelkę i spodnie Leandra. – Powiedz mi, co widzisz, mój wybrańcu.*

– *Masz na sobie chłopięce ubrania – stwierdził. – Po co ci one?*

– *To całkiem proste. – Znow musiała się zaśmiać, ale tym razem zapomniała mówić mrukliwym głosem i nadać mu nutkę szyderstwa. – Przebrałam się za chłopaka, żeby żaden nie robił już do mnie słodkich oczu.*

Z początku odebrało mu telepatyczną mowę.

– *Na litość boską, Klaro – odezwał się w końcu. – Czy purpurowi wojownicy wciąż jeszcze cię śledzą?*

– *Bez obaw, pozbyłam się ich, brat Egbert mi w tym pomógł – zapewniała go dla odmiany poważnym tonem. – Nie martw się, Amosie, tylko dla ostrożności przebrałam się za chłopaka. Dzięki temu nikt mnie tu nie rozpozna w Norymberdze. Oczywiście, poza matką Zofią.*

Zapałka już dawno się wypaliła, a Klara zapaliła kolejną. Chciała uniknąć wszystkiego, przez co mogłaby zwrócić na siebie uwagę. I tak po prostu opowiedziała Amosowi, jak pożegnała się z bratem Egbertem i całą resztą, i w pół dnia pokonała trasę z Pegnitz aż do bram Norymbergii. Od matki Zofii nie otrzymała jeszcze żadnej wiadomości, ale była pewna, że się do niej wkrótce odezwie.

– Czuję całkiem wyraźnie, że zobaczę się z nią i porozmawiam jutro – powiedziała.

Po krótkim zastanowieniu doszła do wniosku, że lepiej zrobi, jeśli nie będzie opowiadała Amosowi o tym, jak jej duch wstąpił w ciało Johanna Mergelina i nakrzyczał ustami chłopaka na dominikanina Meinolfa. Wciąż jeszcze odczuwała grozę już na samą myśl o tych wydarzeniach. Poza tym nie chciała teraz dodatkowo niepotrzebnie niepokoić Amosa. Oboje i tak mieli już wystarczająco problemów na głowie.

– *Masz rację* – odparł Amos. – *Gdybym mógł jutro spotkać się znowu z Kronusem, to byłby to dla mnie najszczęśliwszy dzień od dłuższego czasu* – cicho westchnął. – *Ale Trithemius ma pewnie rację. Teraz muszę się jego trzymać.*

– *Bądź ostrożny.* – Wysłała mu ciepły strumień światła, połyskujący miłością i migocący od czułości. – *Dobranoc, mój wybrańcu.*

– *Ty też śpij dobrze, Klaro. I uważaj na siebie.*

Połączenie się urwało. Klara uniosła powieki, które nagle wydały jej się ciężkie jak ołów. Na dworze było już całkiem ciemno. Jeszcze przez chwilę nasłuchiwała odgłosów dochodzących od drzwi. Jednak dookoła niej wciąż panowała grobowa cisza.

Tylko jeszcze kasztanka parsknęła przez sen nad jej głową. Klara ułożyła się obok niej na słomie, a po chwili zasnęła i ona.

## 2

NASTĘPNEGO DNIA skoro świt Adrian Grunwald był już na nogach. Stajenny, który wszedł do szopy sztywnym krokiem, zacisnął w swej niezmiennie zasklepionej brudem ręce pięć kolejnych halerzy.

– Zostaję na dłużej – powiedział chłopak opryskliwym tonem.

– Oporządź konia. Wrócę najpóźniej jutro. – Spojrzał na parobka wyzywającym wzrokiem, a ten spuścił unieżenie swoją poplamioną gnojem łysą głowę.

– Jak panicz każe.

Klara wsadziła oba kciuki za pas spodni Leandra i wyszła kołyszącym krokiem na ulicę. W zatłuszczonej filcowej czapce, zsuniętej na czoło, pomaszerowała w stronę Tiergartnertor. Nie otrzymała jeszcze żadnej nowej wiadomości od matki Zofii, ale czuła, że już niedługo będzie musiała na nią czekać.

Jak panicz każe, powtórzyła w duchu i omal nie uśmiechnęła się z samozadowolenia. Jednak w ostatniej chwili rozciągnęła usta szyderczo.

Jakaś przysadzista chłopka, która z braku jucznego zwierzęcia sama ciągnęła swój wóz z jabłkami, uniosła głowę i spojrzała na nią błagalnym wzrokiem. Jednak Klara udawa, że jej nie widzi. Bardzo mi przykro, babinko, ale Adrian Grunwald ma o wiele cieńsze ramiona od ciebie. Gdyby teraz spróbowała zastąpić chłopkę i zaczęła ciągnąć jej wóz, wtedy każdy zauważyłby, że z tym rzekomym chłopakiem coś jest nie tak. Dobrze tylko, że koszula Leandra jest tak szeroko skrojona!

Wmieszała się w tłum młodych parobków i dziewczek, którzy przybywali widocznie z jednej z okolicznych wiosek. Mieli na sobie najlepsze stroje, wyszorowali sobie twarze tak, że aż błyszcząły, a nawet wyczyścili sobie brud spod paznokci. Z ich radosnej paplaniny Klara zdołała dowiedzieć się, że dziś była niedziela, a oni cieszyli się, że po mszy będą mogli przeżyć kilka radosnych godzin.

W tym wielkim mieście jakoś zawsze było głośno i wesoło. Tymczasem dla tego motłochu ze wsi i zagród przez cały tydzień istniała tylko harówka, a być może jeszcze baty. Gdy Klara przysłuchiwała się tym chłopcom i dziewczynom, jak rozmawiali o swoim skromnym życiu, to naraz zrobiło jej się przykro z ich powodu. Już będąc dzieckiem, podobnie współczuła wszystkim tym osiadłym ludziom, którzy tkwili niczym wryci w monotonii swego życia, tymczasem ona podróżowała wozem kuglarskim od miasteczka do miasteczka. I nawet jeśli miałabym być ścigana przez tych łowców kaczerzy i książek i ich psy św. Huberta po całym świecie, pomyślała, nawet jeśli wylądowałabym przy tym w lochu, nie chciałabym się zamienić z żadną z tych młodych dziewczek, z żadnym z tych młodych parobków, zdążyła się jeszcze poprawić.

Tak wyniosłe, jak tylko potrafił, Adrian Grunwald rozejrzał się dookoła, w czasie gdy przechodził kołyszącym krokiem obok strażników bramy.

Brat Egbert poradził jej, aby przeszła właśnie przez tę bramę, mimo że brama Laufer znajdowała się o wiele bliżej, gdy szło się od północnej strony. Tu, w górze, w dzielnicy

zamkowej, w której znajdował się kościół św. Sebalda, przez cały dzień panowała tak ożywiona atmosfera, że jeden chłopak nie mógł rzucać się w oczy w tym tłoku. Poza tym stąd było już niedaleko do ulicy Zamkowej, gdzie tuż obok kościoła Dominikanów znajdowała się siedziba inkwizycji. Klara wierzyła najmocniej, że matka Zofia wydostała się już z więzienia pod dawnym domem opata.

Niespokojnie wędrowała uliczkami, rozglądając się ukradkiem na boki i starając się niezbyt wzdrygać za każdym razem, gdy nagle jej drogę przecinał jakiś woźny sądowy lub mnich w czarnym habicie. Kilka razy próbowała nawiązać kontakt z matką Zofią, lecz nadaremno. Jednak prawie w ogóle jej to nie dziwiło: gdziekolwiek mogła się teraz znajdować stara ksieni, czy na wolności, czy w dalszym ciągu w rękach inkwizycji, na pewno była jeszcze bardzo osłabiona. A przesyłanie i odbieranie telepatycznych wiadomości wymagało pewnego nakładu duchowej mocy – Klara dobrze o tym wiedziała z własnego doświadczenia.

W pewnej chwili zatrzymała się na końcu jakiejś ulicy i przyglądała się pewnemu kuglarzowi, który podrzucał w powietrzu żółtawe jak miód kulki. Mężczyzna zręcznie zonglował pięcioma kulami, które łapał oburącz i znów wyrzucał w powietrze, udając, że na nie nie patrzy. Klara uśmiechnęła się do niego – tak bardzo przypominał jej ojca. Kai Thalgruber znał najbardziej niewiarygodne sztuczki. Potrafił w pełnym galopie wyskoczyć z siodła swego karosza i fiknąć koziołka w powietrzu, w czasie gdy Tharon, jego lśniący czarny ogier, pędził pod nim jak wiatr. I oczywiście potrafił także zonglować piłkami, kijami i owocami – podrzucał je niedbale, a one zawsze nieomylnie trafiały z powrotem w jego ręce, jakby wszystkie te rzeczy były przywiązane do jego dłoni niewidzialnymi nićmi.

Kuglarz popatrzył na Klarę ze zdziwieniem, a jedna z kul omal nie wypadła mu z ręki. Wydawał się nie tyle zdziwiony, pomyślała Klara, co raczej rozgniewany i wzburzony – ale dlaczego? Objechał ją wzrokiem z góry na dół, a jej na szczęście przyszło wtedy na myśl, że jest przecież Adrianem Grunwaldem – a oczywiście chłopcu nie wypadało uśmiechać się do kuglarza z takim zachwytem, jak to właśnie zrobiła. Zastanawiała się, co też ów mężczyzna mógł sobie o niej – o nim – pomyśleć i zaczerwieniła się nieco. Tego jej jeszcze tylko brakowało, żeby poprzez taki zakazany uśmiech wzbudziła podejrzenia woźnych sądowych. Dla równowagi teraz przybrała tak gniewną minę, że stojący dookoła ludzie wręcz cofnęli się z przerażenia.

– Z drogi – wymamrotała tak mrukliwym głosem, że wszyscy zapomnieli już o kuglarzu. Cały ten tłumek ludzi, który zgromadził się na rogu ulicy, patrzył ze zdziwieniem tylko na tego osobliwego chłopaka. Ten nasunął teraz swoją filcową czapkę głębiej na czoło i

z zawadiackim uśmiechem spojrzął na gapiów. Jego oczy były zielone niczym leśne jeziora i za jednym razem zwięzły się w iskrzące szparki. Ekscentryczny chłopak odwrócił się i odszedł tak szybko, jakby nagle przyszło mu do głowy, że jest umówiony gdzieś na mieście. Cóż, dziwni ludzie tu żyją! Ale ten chłopak wydawał się przynajmniej niegroźny.

Gapie odwrócili się, wzruszając ramionami, i żaden z nich nawet we śnie nie mógłby wyobrazić sobie tego, co właśnie działo się pod tym hełmem ze złocistych włosów tego rzekomego chłopaka.

– *Matko Zofio!* – wykrzyczała Klara pełnym nadziei telepatycznym głosem. – *To chyba wy?* – Przy czym czuła to bardzo wyraźnie – tą potężną, jeśli nawet niespokojnie drżącą gwiazdą na jej wewnętrznym niebie nie mógł być nikt inny, jak dobrotliwa ksieni.

– *Klaro, przyjdź...* – Bez wątpienia była to matka Zofia, ale zdawała się tak osłabiona, że ledwo można było zrozumieć jej wiadomość. Klara usłyszała prawie wyłącznie szum w swojej głowie, w który od czasu do czasu wmieszało się jakieś upiorne skamlanie i jęki – ... *mnie uwolnić... tylko na pozór... przybywaj szybko, zanim siepacze... do... Świętego Ducha...* – I jeszcze zanim Klara zdążyła coś odpowiedzieć lub choćby nawet o coś dopytać, połączenie zostało przerwane.

Żołądek tak mocno się jej ścisnął, że Klara nagle zatrzymała się w miejscu i przyłożyła sobie rękę do brzucha. Ktoś potracił ją od tyłu i jakiś ochrypły głos wrzasnął jej do ucha:

– No, chybaś sobie za dużo popił, chłopcze? – Klara szybko odwróciła się i ujrzała nabrzmiałą twarz mężczyzny w średnim wieku. – Całkiem jak ja – ciągnął dalej. – Ale wiesz przecież, co najlepiej pomaga, gdy jest ci już bardzo niedobrze?

Klara pokręciła głową.

– Nie wiem – mruknęła i obrzuciła mężczyznę tak gniewnym spojrzeniem, jak tylko potrafiła.

– W takim razie chodź ze mną, mały, pokażę ci. – Mężczyzna chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą w dół ulicy Zamkowej. Powozy przejeżdżały obok nich z hukiem. Jeźdźcy pędzili stromą ulicą w górę, w stronę cesarskiego zamku, a może też drukarni Kobergera, która również znajdowała się gdzieś tam, na górze.

– Wódka na nic się nie zda, jeśli masz kaca. Ale wypij tego trzy łyki, a od razu zrobi ci się lżej na sercu. – Mężczyzna był najwyraźniej pijakiem i szukał sobie jakiegoś kompana do hulanki. Na jego nieszczęście zdawał się uwierzyć, że takowego już znalazł. Trzymał przegub dłoni Klary w żelaznym uścisku. – Sam zobaczysz, chłopie, że za trzecim wszędzie słońce. Albo najpóźniej za siódmym!



– Jego śmiech przeszedł w bulgotanie, a bulgot w atak kaszlu. Jednak mimo tego wszystkiego niewzruszenie trzymał dłoń Klary.

Desperacko zastanawiała się, co ma teraz zrobić. Ludzie zaczęli już znowu gapić się na nią i tego pijusa, który nieustannie paplał coś pod nosem.

– *Puszczaj!* – pomyślała zaklinająco. – *Nie słyszysz, ty nędzna moczymordo, natychmiast puść moją rękę!*

Jednak tym razem jej magiczne moce zawiodły na całej linii. Mężczyzna, którego tak suszyło, zdawał się w ogóle nie dostrzegać, że Klara próbowała mu coś wyperswadować błagalnym telepatycznym głosem. Byli już tylko kilkadziesiąt kroków od dawnego domu opata, w którym mieścił się urząd inkwizycji. Prawie czarna fasada tego ponurego, trzypiętrowego budynku była widoczna już zza drzew, które ciągnęły się wzdłuż ulicy tam w dole, na rozwidleniu dróg prowadzącym w kierunku placu Dominikańskiego.

Cóż mam teraz począć? Jak tu się pozbyć tego pijaczyny? „*Do... Świętego Ducha... „*”, zdążyła jeszcze wykrzyknąć matka Zofia, zanim znów opuściły ją siły. Ale miejmy nadzieję, że nie oznacza to, że ksieni myślała już wstąpić do nieba, mimo że to właśnie tam był dom Świętego Ducha. W takim razie nie napominałaby Klary, aby szybko przybyła jej na ratunek, zanim siepacze zdołaliby przyłapać ją samą – lub matkę Zofię. A więc na pewno miała na myśli szpital Świętego Ducha, który rozciągał się tam w dole, wzdłuż Pegnitz, nad rzeką z potężnym mostem.

Gdyby poszła dalej tą ulicą, w dół doliny, dotarłaby nawet prosto do szpitala Świętego Ducha. Ale nie mogła przecież tak po prostu przejść spacerowym krokiem obok siedziby inkwizycji, a już na pewno nie za rękę z tym wrzeszczącym pijakiem, który teraz jeszcze – na domiar złego – zaczął śpiewać swym ochrypłym głosem!

– Zakurzone wszystkie księgi, tylko kufel piwa czyni nas mądrymi – wywrzaskiwał mężczyzna i ciągnął ją coraz dalej w stronę kwatery inkwizycji. – Piwo daje upojenie, książki – tylko utrapienie!

Klara, bliska łez, usiłowała wyrwać się z jego uścisku. Ale on był dla niej za silny, a poza tym nie wolno jej było przecież wzbudzać sensacji – już na pewno nie właśnie teraz, gdy byli prawie na wysokości siedziby inkwizycji. Wąskie luki okienne w ponurej fasadzie robiły zawsze na niej wrażenie podejrzliwie spoglądających oczu, natomiast ogromny portal przywodził na myśl pysk jakiegoś potwora, który w każdej chwili mógł się rozewrzeć, żeby pochłonąć wszystko, co poruszało się w jego zasięgu. I teraz rzeczywiście, tam, po drugiej stronie ulicy otwarło się jedno ze skrzydeł drzwi z żelaznymi okuciami, z których wybiegł młody mnich w czarnym habicie dominikanina.

Zatrzymał się na najwyższym stopniu schodów i spojrzął uważnie w dół ulicy. Być może nawet ten skacowany mężczyzna wywabił go swoimi śpiewami, w każdym razie mnich nie spuszczał z nich oczu, kręcąc przy tym głową z dezaprobatą.

– Stul pysk, idioto! – syknęła do swego towarzysza. Była już tak wściekła, że nie musiała wcale udawać rozgniewanego chłopca.

– A może chcesz chleptać swoją własną krew w lochach inkwizycji? – Mężczyzna umilkł tak nagle, jakby połknął korek. Zmrużył swe szkliste, świńskie, pokryte siecią popękanych żyłek oczka i popatrzył na kwaterę inkwizycji, a następnie przerażony spojrzął na swojego towarzysza.

– Rany boskie! – wyrzucił z siebie. Przerazenie sprawiło, że w jednym momencie wytrzeźwiał. Puścił rękę Klary i pomaszerował obok niej żołnierskim krokiem. – Nie możemy dać po sobie niczego poznać. Udawaj, że mi się uważnie przysłuchujesz. – Jego lewa ręka, którą jeszcze przed chwilą obejmował jej dłoń, kreśliła teraz wyraźne gesty w porannym powietrzu, zupełnie jakby chciał wykorzystać ich spacer, aby przekazać swojemu młodemu towarzyszowi kilka pożytecznych prawd życiowych na drogę.

Klara nie odważyła się nawet zerknąć kątem oka na dominikanina. Wciąż jeszcze wydawało się jej, że czuje jego wzrok na swoich plecach. Tymczasem już dawno pozostawili za sobą siedzibę inkwizycji. Być może młody dominikanin poszedł jednak za nimi i skradał się teraz w niewielkiej odległości.

Ale nie, powiedziała sobie po chwili, to było mało prawdopodobne. Właściwie jej maskarada stała się jeszcze bardziej wiarygodna poprzez zachowanie się jej towarzysza. Samotna postać z wiszącymi na niej spodniami, która raz uśmiechała się dziewczęco, innym zaś razem dziwnie szczyrzyła się i mamrotała coś pod nosem, musiała właśnie w oczach inkwizytorów, którzy wypatrywali jej i Amosa, wyglądać o wiele bardziej podejrzanie niż dwóch kompanów do kieliszka, którzy wczesnym rankiem toczyli się, śpiewając, do domu.

Mimo to miała już serdecznie dosyć tego skacowanego mężczyzny. Zanim ten zdążył ją znów chwycić za rękę i pociągnąć za sobą, Klara rzuciła się w prawo i uciekła boczną uliczką. Dopiero wtedy, gdy przebiegła kilkadziesiąt kroków, rzuciło się jej w oczy, że była to ta sama uliczka, którą uciekała wtedy przed Amosem. Jakże on na nią spojrział, gdy leżała przed nim na drodze! Tak ufny i zatroskany wzrokiem. Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, a ponieważ teraz, biegnąc, też pomyślała o Amosie, do jej świadomości stopniowo zaczynała docierać pewna myśl.

Czy ten skacowany mężczyzna nie zachowywał się dość dziwnie? Najpierw wyglądało na to, że jest kompletnie zalany, ale później nagle zaczął zachowywać się całkiem

rozsądnie, a przede wszystkim bardzo trzeźwo, jakby nigdy w życiu nie wypił niczego mocniejszego niż fiołkowa herbata. A może i on należał do Opus Spiritus i został wysłany przez bractwo, by bezpiecznie przeprowadzić ją obok więzienia inkwizycji w stronę miasta?

Zdziwiona Klara dumiała nad taką ewentualnością. Nie, pomyślała po chwili, to było właściwie niemożliwe. Z tą swoją nabrzmiałą twarzą mężczyzna naprawdę wydał jej się pijakiem. W końcu na tym świecie musieli żyć także zwykli ludzie, którzy nie polowali ani na książki, ani na kacerzy, i którzy nie sprzymierzają się, by tworzyć magiczne książki.

### 3

SZPITAL ŚWIĘTEGO DUCHA BYŁ BUDOWLĄ o ogromnej powierzchni. Ze swym dwupiętrowym domem głównym, wieloma różnymi skrzydłami bocznymi, wieżami i przybudówkami przypominał raczej zamek lub odrębne, niewielkie miasto. Jedno z potężnych skrzydeł bocznych o imponujących wieżach z wykuszami rozciągało się ponad odnogą rzeki Pegnitz, która rozwidlała się w tym miejscu na dwa biegi. Ten dopiero niedawno ukończony, nowy budynek wznosił się obok mostu, pod którym mogły zawijać barki, by zaopatrywać szpital we wszystko, co potrzebne do wyżywienia i leczenia chorych. Był to największy szpital i hospicjum, dla chorych i starców, w Norymberdze i w całej okolicy.

Obok głównego portalu przy ulicy Szpitalnej urządzono specjalny posterunek, który był obsadzany przez cały dzień i noc ciężko uzbrojonymi żołnierzami. Jednak ich zadanie nie polegało na ochronie schorowanych lub starych lokatorów szpitala. W tej przypominającej labirynt budowli przechowywano bowiem niezmiernie kosztowne skarby koronne – regalia cesarskie, do których należały przede wszystkim korona Rzeszy, włócznia Świętego Maurycego i miecz Rzeszy.

Zaraz jak Klara pozbyła się tego pijaka, popędziła zygzakiem przez gąszcz bocznych uliczek dalej, w dół doliny. Dotarłszy na sam dół, zwróciła się znowu w lewo i pobiegła wzdłuż rzeki, przy czym widziała już wznoszące się nad wodą, blisko mostu, potężne skrzydło szpitala. Później widok na rzekę Pegnitz zasłonił jej ogromny budynek główny, a wtedy podążyła wzdłuż bogato zdobionej kamiennej fasady w stronę bramy wejściowej. Za

ścianą leżały setki chorych, starych mężczyzn i kobiet, a Klarze współczucie rozdzierało serce, gdy usłyszała chór ciężkich westchnień, jęków i postękiwań dochodzący z izb chorych. Ale nie mogła dać nic po sobie poznać. W końcu była gniewnym młodzieńcem, a gdy taki słyszy jęki rannych, to najprawdopodobniej wyobraża sobie, że są to jego wrogowie, których powalił uderzeniem w walce na miecze.

Klara była tak podenerwowana i zmieszana, że ledwo mogła jasno myśleć. Tam z przodu musiał znajdować się główny portal szpitala Świętego Ducha. W każdym razie, dwóch żołnierzy maszerowało przed fasadą, z przewieszoną na plecach bronią, w tę i we w tę. Klara powoli podeszła bliżej, i właśnie wtedy przed bramą zatrzymał się dwukonny powóz. W otwartej karocy zasiadały dwie zakonnice odziane w surowe stroje augustianek: czarne chusty na głowach i habity, z których wystawały liliowobiałe, okrągło skrojone kołnierze.

Widok ten był Klarze tak miły i tak znajomy, że naraz zabiło jej serce. Augustianki z klasztoru Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny otaczały troską i czułością wszystkie osierocone dziewczęta, które u nich dorastały. Jednak ona sama największą sympatią darzyła matkę Zofię, a ksieni opiekowała się nią tak żarliwie, jakby Klara była jej własną córką. Wtedy nagle matka Zofia została zaarrestowana przez inkwizytorów, a Klara uciekła wówczas w popłochu, bojąc się, że i ją dominikanie wtrącą do więzienia. Cóż to mogło jednak oznaczać, że obie augustianki zajęchały przed szpital właśnie teraz, gdy ich niegdysiejsza ksieni miała tu przybyć. Po chwili wahania Klara podeszła w stronę powozu. Z tyłu, na otwartej powierzchni karocy, leżał jakiś człowiek, a im bardziej się zbliżała, tym wyraźniej widziała, że nie był to nikt inny, tylko matka Zofia. Ksieni leżała bez ruchu, złożona na wyściełanych, drewnianych noszach i owinięta w pled w kolorze gliny. Miała zamknięte oczy, a jej twarz była zapadnięta i szara. Spała? A może już nie żyła? Klara ze zdziwieniem ujrzała, że matka Zofia nosiła, tak jak dawniej, strój ksieni, zupełnie jakby inkwizytorzy przekonali się, że niesłusznie ją podejrzewali i przywrócili jej wszystkie dawne godności. Co jednak mogło spowodować tę nagłą zmianę nastawienia? Ale nie, pomyślała Klara później, jeśli wcześniej w miarę dobrze zrozumiała matkę Zofię, to inkwizytorzy wypuścili ją wprawdzie na wolność, ale „*tylko na pozór*”. A co to z kolei miało oznaczać, tego dziewczyna zupełnie już nie pojmowała.

Dookoła powozu zgromadziła się tymczasem grupka ludzi. Cichym, pełnym szacunku głosem, choć wyraźnie ożywionym, ludzie ci komentowali w szczegółach, co rozgrywało się właśnie na ich oczach. Ksieni była w końcu dość wysoko postawioną osobą, a kogoś takiego nie widywało się na co dzień z tak bliskiej odległości. To, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa była ciężko chora, czyniło tę okoliczność jeszcze bardziej interesującą.

Na cóż mogła cierpieć ta pobożna kobieta? W każdym razie, sam wygląd niewiele mówił. Żadnych guzów, bandaży lub ropiejących ran, które pozwalałyby na wysnucie wniosków co do istoty choroby. Wszak ta kobieta miała na sobie zwiewną szatę ksieni augustianek, a poza tym była owinięta w pled aż po pachy.

Tylko dzięki prośbom i pokrzykiwaniom obu augustiankom udało się wysiąść z karocy, a następnie precyzyjnie się do tyłu. Jedna z nich musiała być już po czterdzieście, a druga była na pewno młodsza o jakieś dziesięć lat. Także Klara przysuwała się dyskretnie coraz bliżej powozu. Najchętniej już dawno dałaby drapak, jednak czuła całkiem wyraźnie, że coś się tutaj nie zgadza. Ale o co mogło chodzić?

Z przodu na koźle wozu zasiadał młody ciemnoskóry mężczyzna, który zdawał się w ogóle nie martwić tym całym zamieszaniem za jego plecami. Siedział zupełnie nieruchomo, a Klara nie mogła oderwać od niego wzroku. Ten barczysty, młody mężczyzna wydawał jej się skądś znajomy, jednak nie mogła sobie po prostu przypomnieć, gdzie go już wcześniej widziała.

Miał na sobie proste ubranie zwykłego woźnicy lub parobka i być może właśnie dlatego Klara nie mogła go sobie przypomnieć. W każdym razie jego dłonie lśniły czystością i były starannie wypielegnowane. Zawsze zwracała uwagę na takie rzeczy. Z pewnością nie były to palce mężczyzny, który od świtu do zmierzchu zakładałby koniom szory, okiełznywał je, karmił i czyścił zgrzeblem. Na głowie miał zatłuszczoną skórzaną czapkę, a gdy podrapał się po skroni, czapka przesunęła mu się nieco na bok. Wtedy nad czarnym wianuszkciem włosów zabłysnęła wygolona na łyso czaszka.

Ten młody mężczyzna był więc mnichem. Klarze przyszło teraz na myśl, że kiedyś słyszała już coś o takim smagłym, młodym słudze Kościoła.

Opowiedział jej o nim Johannes Mergelin. Inkwizytor Cellari miał dwóch asystentów, jednym z nich był Meinolf, na którego nakrzyczała ustami i gardłem Hannesa. A drugim musiał być ten ciemnowłosy, smagły młodzieniec, który zasiadał tam z przodu, na koźle wozu, niczym jakiś posąg. Alexius, tak właśnie się nazywał. W prawej ręce (dobrze skrytej, choć niewystarczająco) trzymał maleńkie lusterko, w którym ukradkiem bacznie obserwował to, co działo się z tyłu przy powozie.

Twarz Klary stała się za jednym razem rozpalona. Gdy jednak przejechała sobie dłonią po czole, jej skóra była lodowata. Zupełnie jakby sama była już raczej martwa niż żywa. Niespokojnie przyglądała się temu, jak obie zakonnice znoszą godną pożałowania matkę Zofię wraz z noszami z powozu. Tłum ludzi rozstąpił się niechętnie, dzięki czemu powstała wąska uliczka. Tak ostrożnie, jakby niosły skrzynkę z surowymi jajkami,

augustianki poniosły matkę Zofię obok gapiów i żołnierzy w stronę portalu. W następnej chwili zniknęły za łukiem bramy, a Klara podążyła za nimi, zataczając się. Nogi się pod nią uginały. Cokolwiek miało to wszystko znaczyć, musiała być na miejscu, gdy biedna ksieni odzyska przytomność.

W holu szpitala panował być może jeszcze większy ścisk niż na zewnątrz. Wszystko wskazywało na to, że właśnie przed chwilą przywieziono co najmniej tuzin rannych i chorych, a każdego z nich otaczała gromadka płaczących krewnych lub załamujących ręce pomocników. Odziani w szare stroje urzędnicy szpitala chodzili od grupki do grupki, usiłowali skupić na sobie uwagę, wymachując rękami i papierami oraz krzycząc ochrypłym głosem. Przed wejściem stało na posterunku trzech żołnierzy cesarskich. Na ich twarzach malował się niepokój, w rękach trzymali strzelby. Widocznie nie otrzymali jeszcze rozkazu, by położyć kres temu rozgardiaszowi. Klara nie miała wątpliwości, że w razie konieczności potrafiliby oczyścić cały ten hol, oddając kilka strzałów ostrzegawczych.

Tak dyskretnie, jak tylko potrafiła, torowała sobie drogę przez kołyszący się tłum. Sklepienie holu było wsparte na potężnych kolumnach, w których wyrzeźbione były anioły i figury świętych. Niektóre z nich przywodziły Klarze na myśl posągi z opowieści o *rycerzu, co znalazł swoją ukochaną za lustrem*, ale tamte figury wskazywały w głąb góry, tymczasem te anioły – w stronę nieba.

Nie mogła się powstrzymać i uśmiechnęła się. Napomniała się, by nie zapomnieć o gniewnym wyrazie twarzy. Gdzieś z przodu tego tłoku, jakiś dobry tuzin kroków przed nią, przez tłum przeciskały się obie zakonnice z noszami. Klara wymachiwała rękami, omijała chorych o laskach i idące chwiejnym krokiem małe dzieci.

– Z drogi, człowieku! – krzyknęła i zapomniała przy tym o mamrotaniu, a nawet o mówieniu kącikiem ust.

Na szczęście w holu panował taki hałas, że nie można było nawet zrozumieć własnych słów.

I wtedy wydarzyło się coś bardzo dziwnego.

Klara przebrnęła już mniej więcej do środka rozległego holu. Tu znajdowały się, otoczone po obu stronach przez dwie kolumny, pozbawione dekoracji szerokie drzwi, prowadzące do jakiegoś bocznego skrzydła w tym przypominającym labirynt budynku. Były one uchylone na szerokość dłoni, a Klarze wydawało się, że widzi za nimi schody prowadzące zakrętami w dół. I właśnie w chwili, gdy przechodziły tam obie zakonnice z matką Zofią, drzwi uchyliły się jeszcze nieco szerzej i wychynęły z nich dwie kolejne augustianki.

Klara nie wierzyła własnym oczom. Te zakonnice niosły takie same nosze, jak te dwie augustianki, które przybyły na miejsce karocą, a stara kobieta na drugich noszach wyglądała – przynajmniej z tej odległości – jak matka Zofia. Miała na sobie taką samą czarną szatę z białym, okrągłym kołnierzem, była owinięta w taki sam pled w kolorze gliny, przede wszystkim zaś miała takie samo miłe, stare oblicze, a oczy zamknięte jak w głębokim śnie.

Właśnie teraz przez tłum przepychało się wielu rostrych mężczyzn, zasłaniając Klarze na chwilę widok. Gdy znów mogła spojrzeć w tamtą stronę, po noszach i niosących je zakonnicach nie było już ani śladu. Zdziwiona Klara zadreślała się pytaniem, czy nie uroiła sobie przypadkiem tego upiornego podwojenia. Ale nie była przecież pijana! Kto zbyt często zagląda do kieliszka, ten widzi wszystko dookoła siebie zdublowane niczym w lustrze. Ale ona szła obok tego pijaka tylko kilka kroków, a to było przecież za mało, żeby teraz sama widziała wszystko wokół siebie podwójnie. Poza tym nikt i nic – poza dwiema zakonnicami z noszami wraz z chorą – nie zdublowało się, a i one pojawiły się podwójnie tylko na sekundę.

Co miała teraz począć? Całkiem z tyłu, już prawie na drugim końcu holu, obie zakonnice z noszami szły niezachwianie dalej naprzód. Tam, po drugiej stronie, tłok był o wiele mniejszy, a one posuwały się odpowiednio szybciej i jeszcze chwila, a znikną w jednym z niezliczonych korytarzy tam z tyłu.

Klara musiała się zatem spieszyć, jeśli nie chciała stracić matki Zofii z oczu. Mimo to stała jak wryta nieopodal tamtych bocznych drzwi, które były teraz tak szczelnie zamknięte, jakby jeszcze nigdy nikt ich nie otworzył. A Klara czuła silny przymus wewnętrzny, by nie podążać za obiema zakonnicami z ich chwiejącym się „ładunkiem”, lecz by przejść właśnie przez te drzwi, dokądkolwiek miałby prowadzić.

I właśnie w tym momencie poczuła ścisk w brzuchu i szum w skroniach.

– *Idź w stronę rzeki – usłyszała – dom przy moście... chłodzi...* – I więcej już nie zrozumiała.

Ale na razie wystarczało jej to w zupełności. Te drzwi musiały prowadzić w dół nad Pegnitz, uświadomiła sobie to w jednej chwili – w stronę pomostu znajdującego się pod bocznym skrzydłem szpitala, które wznosiło się przy moście nad rzeką. W czasie gdy tam na dole pakowano prawdziwą matkę Zofię do łodzi, jej sobowtór był właśnie przyjmowany do szpitala.

Klara dopowiedziała to sobie w gorączkowym pospiechu, zbliżając się już do tamtych bocznych drzwi. Zerknęła przez plecy w prawo i w lewo, nie dostrzegła jednak w swym pobliżu ani brata Alexiusa, ani cesarskich żołnierzy. Jak długo to jeszcze potrwa, zanim asystent Cellariego się zorientuje, że znów dali się nabrać przez Opus Spiritus? Tak do końca

Klara nie pojmowała jeszcze, co tak właściwie rozgrywało się na jej oczach. Ale teraz naprawdę nie mogła sobie łamać nad tym głowy. Dziewczyna nacisnęła klamkę, jakby mimochodem, prześlizgnęła się przez próg i pociągnęła za sobą drzwi, wstrzymując przy tym oddech.

Znalazła się na pogrążonych w półmroku, krętych schodach. Gdzieś tam w dole bulgotała rzeka. Klara usłyszała jakieś zduszone głosy, najpierw tylko kobiet, a później dołączyły do nich także ciche głosy mężczyzn.

Cóż to znowu miało znaczyć? Czyżby matka Zofia i jej pomocniczki zostały już odkryte, a ich ucieczka udaremniona, jeszcze zanim tak naprawdę się rozpoczęła?

Klara pobiegła na palcach po schodach w dół. Serce podchodziło jej do gardła. Na dole znajdowały się kolejne drzwi, które na szczęście były szeroko otwarte. Klara przywarła do ściany tuż obok i wyjrzała zza drzwi.

Obie augustianki dopiero co załadowały matkę Zofię wraz z noszami na barcę, która była przycumowana do pomostu. W środku siedziało dwóch mężczyzn, którzy zanurzyli już wiosła w wodzie i byli gotowi do wypłynięcia. Zakonnice podciągnęły swoje habity aż po łydki i wsiadły na kołyszącą się łódź.

– *Matko Zofio!* – zawołała zaklinająco Klara. – *Czy to naprawdę wy, tam w łodzi?*

Stara kobieta na noszach otworzyła oczy i w tej samej chwili Klarę opuściły wszelkie wątpliwości. Ależ tak, to musiała być jedyna prawdziwa matka Zofia. Klara rozpoznałaby ją gdziekolwiek i kiedykolwiek bez cienia wątpliwości po jej dobrotliwym spojrzeniu, po jej lśniących, niebieskich oczach. Przemogła się i wyszła z ukrycia.

– Tu jesteś, moja droga – powiedziała matka Zofia. Jej zwykły głos brzmiał jeszcze bardziej matowo od telepatycznego. – Wsiadaj szybko, musimy ruszać.

## 4

NAPĘDZANA MOCNYMI UDERZENIAMI przez obu wiosłujących mężczyzn, łódź szybko pomknęła rzeką Pegnitz. Już dawno zniknęła za ich plecami potężna sylwetka szpitalnej budowli. Matka Zofia znów zamknęła oczy, a i Klara poczuła teraz, jak bardzo była



zmęczona. Popatrzyła sennie, przymykając powieki, na poranne słońce, które unosiło się przed nimi ponad dachami domów o tej wczesnej porze na rzece pływały już liczne łodzie oraz czółna i przesyłano sobie poranne pozdrowienia. Mijały ich zgrabniejsze łodzie, a jakiś przewoźnik odpychał się powoli żerdziami od brzegu do brzegu. Panowała idylliczna atmosfera i wydawało się, że nikt specjalnie nie interesuje się ich łódką.

Jednak Klara czuła przez swoją senność, w jakim napięciu znajdowali się mężczyźni u wiosła i obie zakonnice. Raz po raz rozglądali się ukradkiem na wszystkie strony. Mimo ciężkich przeżyć, jakich doświadczyła w ostatnim czasie, ta ostrożność wydawała jej się już prawie przesadna. Bo skąd Cellari i jego purpurowi wojownicy mieli niby wiedzieć, że właśnie tutaj powinni szukać matki Zofii? Prawdopodobnie Alexius nawet się jeszcze nie zorientował, że dostarczyli do szpitala Świętego Ducha sobowtór matki Zofii. A jeśli nawet, to co? W tak wielkim mieście, jakim była Norymberga, istniało w końcu tysiące różnych możliwości, by kogoś ukryć. Cellari nie będzie przecież przeczesywał ulicy za ulicą czy domu za domem w poszukiwaniu ksieni. Zresztą, po co? Bądź co bądź, to właśnie on dopiero co wypuścił ją na wolność, jeśli nawet „tylko na pozór”, jak się wyraziła matka Zofia. Co to z kolei miało oznaczać, ksieni na pewno jej później wyjaśni.

Na razie Klara niczego nie pragnęła tak bardzo, jak posiedzieć z matką Zofią i jak za dawnych, szczęśliwych czasów pogawędzić z nią o różnych rzeczach. Oczy już jej się prawie same zamykały. Jak przez mgłę dotarło do niej, że wiosłarze pokierowali ich łodzią w stronę wąskiej fosy, która odgałęziała się od rzeki w lewo pod kątem ostrym. Okolica wydawała się Klarze znajoma, ale dziewczyna była po prostu za bardzo zmęczona, by sobie to dość dobrze uświadomić. Poza tym każda ulica wygląda oczywiście inaczej, gdy się wzdłuż niej biegnie, a inaczej, gdy płynie się obok niej łódką w fosie. W pobliżu nich, po obu stronach, wznosiły się wysoko ku górze domy – skromne budynki jedno lub w najlepszym razie dwupiętrowe. Wąziutkie schody w skarpie prowadziły w dół, od działek po lewej stronie aż do linii wody, i przed jednym z tych stromych, przyprawiających o zawrót głowy stopni zatrzymała się nagle ich łódka.

Mężczyźni nie przywiązali jej cumą, lecz wbili wiosła w koryto rzeki w jej słabym nurcie. Zaraz potem podniosła się starsza z zakonnice, weszła na sprawiający wrażenie chwiejnego drewniany mostek i pochyliła się w dół, w stronę matki Zofii. Nikt nie odzywał się ani słowem, jednak każdy ruch zdawał się starannie przygotowany. Krótco potem augustianki wnosiły już nosze wąskimi schodkami w górę, w stronę tylnych drzwi jakiegoś domu, które otwarły się przed nimi we właściwym momencie. Oszołomiona Klara podążyła niepewnym krokiem za zakonnicami. Na najwyższym stopniu jeszcze raz spojrzała za siebie –

łódkę zniosło już aż do ujścia fosi, po czym znikła pośród licznych łodzi i czółen na rzece.

Gdy znów odwróciła się w stronę drzwi, zakonnice wchodziły właśnie z chorą ksieni do domu. Klara spieszenie podążyła za nimi. Ktoś musiał im otworzyć drzwi, jednak teraz nikogo poza nimi nie było widać. Na znak jednej z siostr Klara zamknęła drzwi i zasunęła żelazny rygiel. Zanim zdążyła jeszcze coś powiedzieć, jedna z augustianek przyłożyła palec do ust i popatrzyła na nią błagalnym wzrokiem.

Stali w wąskiej, ciemnej klatce schodowej. Z dala dobiegały ich niewyraźne głosy. Ku zdziwieniu Klary zakonnice nie wnosiły matki Zofii dalej po schodach, lecz znosiły ją – przez niskie drzwiczki – do piwnicy. Dziewczynie wcale się to nie podobało, po chwili wahania podążyła za nimi do trącającego stęchlizną, podziemnego świata. Nie mogły przecież ukryć biednej matki Zofii w piwnicy!

Zaciszny kąt pod piwnicznymi schodami był zastawiony wszelkiego rodzaju rupieciami. Szybkimi ruchami zakonnice odsunęły wszystko na bok, a wtedy z tyłu ukazał się masywny, kamienny mur. Cóż to znowu miało znaczyć? Zmęczona Klara przykucnęła na ziemi obok matki Zofii i spojrzała na jej postarzałe oblicze. Ksieni zdawała się znów spać głębokim, twardym snem – i chwala Bogu, powiedziała sobie Klara, dzięki temu nie dotrze do niej przynajmniej, że jej siostry zostawiły ją pośród pajęczyn i szpargałów, niczym jakiś stary rozklekotany mebel.

Wtedy usłyszała zgrzytanie i skrzypienie, jakby kamień pocierał o kamień, i spojrzała w górę. Właśnie otwierały się drzwi w murze pod zakrętem schodów, a właściwie zostały pchnięte niewidzialną ręką. I zanim obejrzała się, obie zakonnice znów podniosły nosze i zniknęły z matką Zofią za otworem w murze.

Znów Klara pospieszenie podążyła za nimi. Na swoich plecach poczuła cień, który bezgłośnie pomknął w jej stronę. Na pewno była to ta sama, pomocna osoba, która otwarła im tylne drzwi. Ale o kogo mogło chodzić? Czy był to mężczyzna czy kobieta, chłopak czy dziewczyna, tego nie sposób było dostrzec. I już tajne drzwi, z kamiennym zgrzytem zamykały się z powrotem za plecami Klary.

Pogrążona w atramentowej ciemności droga prowadziła po schodach w górę, a te były tak wąskie, że ledwo można było na ich stopniach postawić jednocześnie obie stopy. Dziewczyna pomacała na boki i po obu stronach poczuła masywny mur, częściowo pokryty mchem i pleśnią. Na wszystkie dobre duchy, pomyślała, coż to jest?

– *Bez obaw, moja droga* – odezwała się matka Zofia. Czyżby potrafiła czytać w myślach, nawet wtedy, gdy Klara nie przesyłała jej żadnej telepatycznej wiadomości? – *Te tajne schody* – ciągnęła dalej matka Zofia niespodziewanie rozbudzonym głosem – *prowadzą*

*do zaciszną kryjówki, którą Valentin i ja urządziliśmy sobie przed wieloma laty jako schronienie przed różnego rodzaju prześladowcami.*

Klarze najpierw odebrało mowę.

– *Valentin* – powtórzyła po chwili. – *Czy dobrze was zrozumiałam, matko Zofio? Mówicie o Kronusie i... o sobie?*

– *O tak, moja droga, właściwie to rozumiałaś* – oznajmiła matka Zofia. – *Valentin Kronus i ja kochamy się już prawie od trzydziestu lat. Ale porozmawiajmy w zwykły sposób* – dodała znowu matowo brzmiącym, telepatycznym głosem. – *Ta magiczna pogawędka bardzo mnie męczy.*

„Schronienie” lub „kryjówka”, jak się wyraziła ksieni, znajdowała się za kolejnymi tajnymi drzwiami i składała z dwóch małych izdebek przykrytych dachem. Okien nie było żadnych, jednak przez szpary między dachówkami i belkami dachu wpadało do środka słońce. Przednia izba była wygodnie urządzona – z dwoma fotelami, stołem, a nawet kilkoma książkami ustawionymi na regale przy ścianie. Podłoga była grubo wyłożona starymi dywanami i wełnianymi kocami.

Jedna z zakonnice wskazała na izby i dała Klarze do zrozumienia, by była cicho.

– Nikt nie może się dowiedzieć – powiedziała zduszonym głosem – że to w ogóle istnieje. Nie mówiąc już o tym, że ktoś tu obecnie mieszka.

Po czym zakonnice poprosiły Klarę, by zostawiła je na chwilę sam na sam z matką Zofią. Chciały tylko szybko zaopatrzyć chorą w najpotrzebniejsze rzeczy, a Klara miała w tym czasie poczekać w tylnej izbie.

Na wpół żywa ze zmęczenia poszła chwiejnym krokiem przez wąskie drzwiczki na tyły kryjówki. Dziewczyna ledwo spostrzegła cokolwiek z tego, co znajdowało się w tej drugiej facjatce. Przy jednej z bocznych ścian stało wyglądające na bardzo wygodne łóżko z wysoko piętrzącymi się poduchami i poduszkami. Ogromne ziewnięcie wręcz rozwarło jej usta, a nim skończyła ziewać, już była w łóżku.

W miłosnym gniazdku Kronusa i matki Zofii, zdążyła jeszcze pomyśleć, i zasnęła w tej samej chwili. Następne, co ujrzała, to dwie kobiece, uśmiechnięte twarze pochylające się nad nią.

– Mogłyśmy ci dać jeszcze dłużej pospać – powiedziała starsza z kobiet tak cichym głosem, że Klara musiała się dobrze wsłuchać, żeby ją zrozumieć.

– Ale ksieni nie chce już dłużej czekać – dodała młodsza.

– Obawia się, że w przeciwnym razie nie pozostanie wam wystarczająco dużo czasu – pociągnęła wątek pierwsza z kobiet.

Klara ze zdziwieniem patrzyła to na jedną, to na drugą kobietę. Musiały to być te dwie zakonnice, ale docierało to do niej tylko stopniowo. Wyglądały tak bardzo inaczej niż przedtem – zamiast czarnych welonów nad surowo skrojonymi habitami nosiły rozpuszczone włosy.

– Nie wystarczy nam czasu? – powtórzyła zaspianym głosem. – Jakże to?

Obie kobiety wymieniły spojrzenia.

– Matka Zofia sama ci to wyjaśni – oświadczyła jedna z nich.

– Albo i nie – dodała tym razem jej towarzyszka. Wyprostowały się prawie równocześnie, jakby jedna była cieniem lub lustrzanym odbiciem drugiej. – A teraz idź do przedniej izby – zdążyły jeszcze powiedzieć, odchodząc. – Wszystkiego dobrego!

Słowa te brzmiały jak pożegnanie. Jednak gdy Klara wsunęła buty Leandra i poszła do przedniej facjatki, obie kobiety pozostały w drugim pokoju.

Cicho wślizgnęła się do przedniej izby. Drzwi zamknęła za sobą po krótkim wahaniu. Obie kobiety bynajmniej nie miały zamiaru za nią pójść. Wszystko to było dość dziwne.

Nie wystarczy nam czasu, pomyślała. To mogło oznaczać tylko jedno – że dni matki Zofii są już policzone.

Ksieni siedziała tymczasem w jednym z foteli, odwrócona do Klary plecami. Wahając się, dziewczyna obeszła mebel, trochę się obawiając, co zobaczy. Jednak zaraz potem opuścił ją wszelki niepokój.

– Podejź do mnie, moje drogie dziecko – powiedziała matka Zofia cichym, ale stanowczym głosem. – Tylko spokojnie. Od tych kilku guzów i zadrapań, które zawdzięczam siepaczom Cellariego, na pewno nie umrę tak szybko. Mimo to musimy się trochę pospieszyć, ale z innego powodu. Podejź, Klaro – powtórzyła i czule się do niej uśmiechnęła.

Klara chciała się rzucić na podłogę obok niej, położyć jej twarz na kolanach, tak jak to chętnie czyniła za dawnych czasów. Jednak na szczęście przyszło jej w porę na myśl, że w żadnym razie nie wolno jej było tutaj hałasować. I tak osunęła się tylko ostrożnie na kolana przed ksieni i spojrzała na matkę Zofię z uśmiechem szczęścia wymalowanym na twarzy.

– Gdybyście wiedzieli, jak bardzo za wami tęskniłam! – wyrzuciła z siebie.

– Ach, ja też za tobą tęskniłam, drogie dziecko. – Ksieni pogłaskała ją delikatnie po głowie. – Jakie śliczne sprawiłaś sobie uczesanie. Do twarzy ci z tą fryzurą.

Klara spojrzała na matkę Zofię. Oczy zaczęły ją podejrzanie piec i po chwili wybuchła płaczem. Daremnie usiłowała powstrzymać spazmy. O wiele za dużo strachu i cierpienia wezbrało w niej, od czasu gdy matka Zofia została uprowadzona przez inkwizytorów. Przez wiele miesięcy żyła na ulicy, a później łowcy kacerzy i ksiązek ścigali ją i Amosa przez pół

kraju, ze strzelbami w rękę i psami św. Huberta, jakby oboje byli zającami lub sarnami.

– Nie odmawiaj sobie łez, moja mała Klaro – powiedziała cicho matka Zofia. Niezmiennie głaskała ją po głowie, a Klara płakała i płakała, aż wypłakała ostatnią łzę.

– Teraz jest mi już źzej na sercu – powiedziała w pewnej chwili zachrypłym od płaczu głosem, po tym jak osuszyła sobie oczy. Wysiąkała nos w niezbyt czystą chusteczkę, którą Leander włożył do kieszeni spodni Adriana Grunwalda. – Dziękuję, matko Zofio, że macie dla mnie tak dużo cierpliwości.

Ksieni uważnie się jej przyglądała.

– To samo mogłabym chyba powiedzieć tobie i Amosowi – odparła – we własnym imieniu i w imieniu Kronusa, w końcu i my wiele od was żądamy.

Przy tych słowach Klara poczuła, jak bardzo zatroskana była matka Zofia. I bynajmniej nie znajdowała się aż w tak dobrej formie, jak to zdawała się sugerować swoim zachowaniem. Cellari i jego siepacze musieli ją dręczyć bardziej, niż chciała to przyznać przed Klarą. Kseni, siedząc w fotelu, aż po brodę była przykryta czerwonym jak glina pledem. A Klara zadawała sobie pytanie: Co też chciała przed nią ukryć w ten sposób. Rany, bandaże, a może jeszcze coś o wiele gorszego?

– Usiądź w fotelu – powiedziała matka Zofia. – Musimy porozmawiać. Chcę ci wyjaśnić tak wiele rzeczy, dopóki mamy jeszcze na to czas.

## 5

KLARA OPADŁA na fotel naprzeciwko ksieni. I dopiero wtedy rzuciło jej się w oczy, że stół dzielący ją od matki Zofii jest zastawiony koszami i talerzami z najpyszniejszymi potrawami: chlebem, masłem, serem, a nawet grubym jak palec paskiem wędzonego boczku. Z jednego z dzbanków unosiła się para i rozchodził się zapach owocowej herbaty, którą ona i matka Zofia zawsze piły podczas wspólnych posiłków w klasztorze Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Klarze aż ślinka ciekła.

– Częstuj się, drogie dziecko – powiedziała matka Zofia. – Musisz być strasznie głodna.

Wszystko to wydawało się nieco nierzeczywiste. Nawet wtedy, gdy Klara przyszykowała sobie kanapkę z masłem i boczkiem i poczuła w ustach znajomy smak herbaty. Skąd w ogóle wzięły się wszystkie te wspaniałości? Ani tu, w przedniej facjatce, ani z tyłu, w sypialni, Klara nie zauważyła żadnych zapasów żywności. Nie widziała też żadnego pieca, na którym można by było zagotować wodę na herbatę.

Śmiało ugryzła kawałek chleba. Nie, to nie była żadna senna zjawka ani żadne magiczne urojenie. Była to najprawdziwsza rzeczywistość. Z każdym kolejnym kęsem i łykiem wszystko zyskiwało coraz więcej na smaku.

– Posłuchaj mnie dobrze, Klaro – odezwała się nieco później matka Zofia. Ona sama wzięła tylko kilka łyków herbaty i dwa lub trzy razy ugryzła kromkę chleba. – Z pewnością zadajesz sobie pytanie, co miała oznaczać cała ta zabawa w chowanego w szpitalu, ten sobowtór, nasza ucieczka i tak dalej.

Uśmiechnęła się nieco zawstydzona, jakby poczuła się niezręcznie, że brała udział w tego typu figlach, pasujących co najwyżej do dzieci bawiących się na ulicy.

– Leo Cellari potrzebował kilku miesięcy – ciągnęła dalej – żeby w końcu zrozumieć, że nie wyciągnie ze mnie żadnych informacji o zakonie i naszym wielkim dziele. Ani naleganiami i groźbami, ani szczypcami czy kołem.

Zamknęła na chwilę oczy. Zdawało się, że ożywają w niej wszystkie te okropieństwa, jakich doznała w więzieniu inkwizycji, jednak zdusiła w sobie wszystkie te bolesne wspomnienia. Klara poczuła bezgraniczne współczucie względem tej starej kobiety.

– Dlatego też Cellari zdecydował się – zaczęła w końcu mówić dalej matka Zofia – wypuścić mnie na wolność, by stworzyć pozory, że zostałam oczyszczona z wszelkich zarzutów. Na oczach wszystkich przyjęto mnie do szpitala Świętego Ducha, a szpiegów postawiono na czatach, by obserwowali, kto mnie będzie odwiedzał.

Prawie niepostrzeżenie pokręciła głową. Klara wyraźnie czuła, że każdy ruch sprawiał ksieni ból.

– Jak dokładnie wyglądała dalsza część planu Cellariego – ciągnęła dalej matka Zofia – tego oczywiście nie wiem. Ale zakładam, że chciał po prostu aresztować i poddać przesłuchaniu przez jego siepaczy każdego, kto byłby na tyle nieostrożny, by pojawić się przy moim szpitalnym łóżku. Tym sposobem, prędzej czy później, złapałby w tę pułapkę przynajmniej kilku członków Opus Spiritus. Tak mniej więcej chyba sobie myślał ten stary myszołów. – Matka Zofia znów zrobiła krótką przerwę. Na jej czole perliły się drobne krople potu. – Ale koniecznie chciałam jeszcze z tobą porozmawiać, moja mała Klaro – odezwała się nagle, a jej głos zadrżał. – Chciałam cię zobaczyć, jeszcze raz wziąć cię w ramiona i wyjaśnić

ci w cztery oczy, dlaczego narażamy ciebie i Amosa na takie niebezpieczeństwo.

Klara patrzyła na nią w milczeniu. Nie wiedziała w ogóle, co miałyby odpowiedzieć na te zwierzenia, ale i tak nie mogłaby wydusić z siebie ani słowa. Miała ściśnięte gardło. Znowu poczuła, jak bardzo niespokojna była matka Zofia, zupełnie jakby obawiała się, że Cellari odnalazł już ich kryjówkę i otoczył ją pięćdziesięcioma purpurowymi wojownikami. Ale czuła także, że ksieni chciała ukryć przed nią swoje obawy tak samo jak i bóle, i w tej chwili Klara była jej za to wdzięczna.

Klara podniosła się na chwiejnych nogach ze swojego fotela, by znów rzucić się na ziemię do stóp ksieni. A gdzie właściwie podziała się jej zatłuszczona filcowa czapka, a raczej czapka Adriana? No cóż, o to będzie się martwić później. Teraz była u matki Zofii i nic innego się dla niej nie liczyło. Klara położyła swoją głowę na jej kolanach, a ta delikatnie głaskała ją dłonią po włosach.

– Opus Spiritus – zaczęła matka Zofia – powołaliśmy do życia przed ponad trzydziestoma laty, a kierował nami tylko jeden cel. Chcieliśmy stworzyć książkę, w której zebrane zostałyby wszystko to, co najlepsze z dawnych pogańskich kultur i co chcieliśmy przekazać przyszłym pokoleniom. Najdrogocenniejsze skarby pochodzące z pogańskich mitów i eposów, z ich sztuk magicznych i muzycznych. I tylko na temat tego, co należy do najlepszych, godnych zachowania rzeczy, a co nie, już wkrótce rozgorzały między nami spory.

Mówiła teraz szybko i w skupieniu, ale Klara słyszała po jej wysokim, prawie szklistym głosie, że matka Zofia jest bardzo zdenerwowana. I że wszystko to musiało być ponad jej siły.

– Półzartem mówimy – ciągnęła dalej ksieni – że nasz zakon podzielił się na „poetów” i „kapłanów”. „Poeci” chcieli zachować w *Księdze duchów* tylko to z dawnych sztuk pogańskich, co było dla ludzi naprawdę pomocne i zbawienne. *Księga* miała wywoływać u czytelników magiczną zdolność wczuwania się w innych i lepszego rozumienia ich myśli. Poza tym miała ona spotęgować wyobraźnię ludzi, ich zdolność do przenoszenia się w inne miejsca i w inne czasy, lub, krótko mówiąc, wyobrażania sobie innego, lepszego świata niż ten, w którym żyjemy.

Stara kobieta urwała, a Klara wykorzystała tę okazję, by zadać pytanie, które nie dawało jej spokoju już od wczoraj, odkąd przemówiła do Meinolfa przez Johannesę.

– Twierdzicie, że *Księga* powinna wzbudzać tylko te trzy zdolności – zaczęła, wahając się. – Czy to oznacza, matko Zofio, że w rzeczywistości istnieją jeszcze jakieś inne magiczne zdolności?

Wydawało się, że ksieni nie liczyła się z takim pytaniem. Patrząc na Klarę, zrobiła wielkie oczy, po czym pokręciła głową.

– Bynajmniej. – odparła. – Nic takiego nie twierdziłam i jest to całkowicie wykluczone. Valentin dokładnie wiedział, co robi, a był całym sercem po stronie „poetów”. Tak zresztą jak i ja. – Zaśmiała się w duchu. – My, „poeci” – ciągnęła dalej – byliśmy zdecydowanie większą i potężniejszą grupą w obrębie naszego bractwa. A w każdym razie tak nam się przez dłuższy czas wydawało. Nie zdradzę ci żadnych nazwisk, Klaro, i tak mi nie wolno. Wszyscy przysięgaliśmy na własne życie, że w pewnych kwestiach zachowamy milczenie. Ale tyle mogę i chcę ci powiedzieć – do Opus Spiritus przynależą potężni szlachcice, wpływowi artyści i uczeni, a także kilku wysoko postawionych duchownych, i większość z nich stała od samego początku po stronie „poetów”. Poza mną do naszej grupy należał, rzecz jasna, i brat Egbert, a tak poza tym również dziadek Amosa, Kasimir von Hohenstein. Po rozważeniu całej sprawy ze wszystkich stron uzgodniliśmy w końcu, że to Valentin Kronus powinien napisać *Księgę duchów*. Było to równo trzydzieści lat temu. Byłam jeszcze wtedy zwykłą zakonnicą, a Kronus postanowił w tym samym czasie, że porzuci życie w klasztorze.

Znów przerwała, a poprzez jej pomarszczone oblicze przemknął łagodny uśmiech. Spod swojego pledu wyciągnęła białą, lnianą chusteczkę i starła sobie pot z czoła i policzków.

– Czy nie będzie lepiej, jeśli zrobicie sobie przerwę, matko Zofio? – spytała Klara. – Odpocznijcie nieco, a później będziecie mogli kontynuować opowieść.

Jednak ksieni znowu pokręciła tylko głową.

– Nie ma na to czasu, dziewczyno. Mam ci jeszcze tak dużo do powiedzenia, a czuję, że już niedługo... – Przerwała nagle.

Co mogłoby im się już wkrótce przytrafić? Klara wcale nie chciała tego wiedzieć. W każdym razie nie teraz. O wiele bardziej chciała jeszcze przez chwilę pobyc z matką Zofią i dowiedzieć się wreszcie z jej ust, dlaczego Opus Spiritus wybrał właśnie ją i Amosa, by wypróbować na nich działanie *Księgi duchów* i z ich pomocą zanieść ją do jakiegoś bezpiecznego miejsca. W tej chwili Klara nie mogła myśleć o niczym innym. Ani o ich prześladowcach, którzy prędzej czy później znów natrafią na ich trop, ani o tych innych magicznych mocach, które *Księga duchów* najwidoczniej wzbudzała w swych czytelnikach, nawet jeśli matka Zofia jest przekonana, że to jest zupełnie niemożliwe. Ani nawet o tym, że jej poczciwa ksieni widocznie nieustannie odczuwa ból i pewnie nie pożyje już zbyt długo.

– Jak już mówiłam, Kronus był całym sercem po stronie „poetów” – powiedziała ksieni – a my sądziliśmy, że nie musimy się jakoś specjalnie przejmować tymi „kapłanami” i



o wiele za daleko idącymi wyobrażeniami. W końcu Valentin miał zadbać o to, by *Księga* wzbudzała w swoich czytelnikach wyłącznie zbawienne i pomocne magiczne zdolności. Tymczasem „kapłani” mogli do woli oddawać się marzeniom o dawnej chwale i potędze czarowników – *Księga* i tak nie zawierałaby niczego, co mogliby wykorzystać w realizacji swoich planów.

Gdzieś z dołu domu zaczęło do nich dochodzić brzmienie wysokich głosów, jakby cały tuzin dzieci zaczął śpiewać i modlić się chórem. Jednak Klara ledwie to usłyszała – swoimi myślami była przy tym, co właśnie powiedziała ksieni.

– Dawna chwała i potęga czarowników – powtórzyła. – A więc to o to chodzi tym „kapłanom”, jak ich nazwaliście. Chcą się stać potężnymi magami, takimi, jacy istnieli w dawnych czasach. Ale jak mogą osiągnąć ten cel? I kto z bractwa należy właściwie do tych „kapłanów”, poza Trithemusem i Faustem?

Twarz ksieni straciła nieco ze swej szarości, gdy Klara wymieniła oba te nazwiska. Znów przetarła sobie czoło i policzki, zanim zaczęła mówić dalej:

– Ci dwaj należą oczywiście do tej grupy. Twoje przypuszczenia są trafne. – Skinęła w stronę Klary z uznaniem. – Ale i tym razem lepiej nie wymieniamy żadnych nazwisk – ciągnęła dalej. – Albo powiem jeszcze tylko, że na zamku biskupa Bambergu spotkaliście przecież tego czy owego „kapłana”, poza tym strasznym Faustem. – Zaciśnęła palce wokół zwilżonej potem chusteczki. – Tak, dawna potęga i chwała czarowników, do czegoż miałyby się sprowadzać? Valentin, Egbert i ja wystarczająco często łamaliśmy sobie nad tym głowę. Czyżby Trithemius chciał przywrócić pochodzące z przedchrześcijańskich czasów bałwochwalcze kultury i zaklinanie demonów? Czy on i Faust chcą panować nad wszystkimi frankońskimi ziemiami jako kapłani magii, jeśli już się im uda wrócić do pogaństwa? Wszystko to przypomina raczej brednie smarkaczy, niż brzmi jak plany, które należałoby traktować poważnie, a może nie?

Klara nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Tak ją rozbawiło to pytanie. Jednak i tym razem nie знаła odpowiedzi. Śmiech też nie pomógł jej na ten niepokój, który włóczył się w jej wnętrzu niczym jakiś uwięziony drapieжник.

– Nie, nie mogliśmy tak po prostu traktować tego wszystkiego poważnie – potwierdziła matka Zofia. – Przede wszystkim dlatego, że *Księga*, którą Kronus stworzył z upoważnienia nas wszystkich, wcale się nie nadawała do tego, by pomóc „kapłanom” w realizacji ich planów. Co do tego, my, „poeci”, byliśmy przekonani. A co się tyczy mnie, to wciąż w to wierzę.

Przełknęła kurczowo i wskazała drżącą ręką w stronę swojego kubka. Klara dołała

pospiesznie trochę ciepłej herbaty i jej podała. Matka Zofia przytknęła kubek do ust, ale jej ręka drżała teraz tak bardzo, że dziewczyna musiała pomóc jej pić.

– Miałaś rację, moja droga – powiedziała ksieni. – Rzeczywiście powinnam zrobić sobie przerwę. Gdy dzwony wybiją szóstą, dokończymy rozmowę. – Stara kobieta z trudem mogła utrzymać otwarte oczy. – Ty też musisz być zmęczona – wymamrotała. – Połóż się do łóżka tam, po drugiej stronie, i nieco odpocznij.

## 6

W TYLNEJ IZBIE Klara położyła się na łóżku – tak, jak poradziła jej ksieni – jednak była zbyt podniecona, by od razu zasnąć. Już po chwili zerwała się z miejsca i chodziła pod belkami dachu tam i z powrotem, boso, żeby nie robić żadnego hałasu.

Ta druga izba była pusta, nie licząc szerokiego łóżka i skrzyni z żelaznymi okuciami. Sama skrzynia zawierała prawdopodobnie tylko bieliznę i inne takie rzeczy, ale nie wiadomo, co kryło się wewnątrz zamkniętej na kłódkę skrytki. Klara chodziła dookoła skrzyni, będąc myślami w połowie przy matce Zofii i *Księdze duchów*, a w drugiej przy potężnym meblu i jego tajemniczej, bocznej skrytce. W końcu przyklekła obok skrzyni i ostrożnie sprawdziła, czy kłódka jest rzeczywiście zamknięta. I co się okazało? Pałak kłódki nie zaskoczył i dał się bez problemu wyciągnąć.

Ale oczywiście nie zmieniało to w najmniejszym stopniu faktu, że była to skrzynia matki Zofii, być może także Valentina Kronusa, a jej zawartość nie powinna obchodzić nikogo innego.

Jednak to zastrzeżenie nie pomogło nic na to, że Klara umierała z ciekawości. Że swędziały ją wszystkie koniuszki palców i że nagle nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko o tej tajemniczej skrytce i prawdopodobnie znajdujących się w niej pismach. Listach, które Valentin Kronus słał swojej ukochanej Zofii i w których na pewno rozwodził się wylewnie na temat *Księgi duchów*.

Tego naprawdę nie mogła zrobić. Byłoby to niewybaczalne nadużycie zaufania, powiedziała sobie Klara, gdyby zaczęła teraz po kryjomu czytać te pisma. Jednak tego z

pewnością by nie zrobiła.

Zdjęłaby tylko kłódkę, otworzyła drzwiczki skrytki na szerokość szpary i zajrzała do środka jednym okiem. Najpewniej i tak była pusta lub zawierała co najwyżej pajęczynę i kurz. A gdyby się już o tym przekonała, wreszcie mogłaby na trochę zasnąć.

Wstrzymała oddech, bezszelestnie zdjęła kłódkę i pociągnęła za boczne, cicho skrzypiące drzwiczki skrytki.

Zawierała pismo okazałej objętości. Dokładnie tak, jak to sobie Klara wyobrażała. Równe dwa tuziny arkuszy papieru, najwidoczniej starannie zapisanych i dwukrotnie złożonych. Manuskrypt wręcz doskoczył do niej. Krzyczał w jej stronę, żeby wzięła go do ręki i na miejscu przeczytała.

Klara przestraszyła się i pospiesznie zamknęła skrytkę, doprowadzając wszystko do nietkniętego stanu. Na wszystkie dobre duchy, pomyślała, te kartki z pewnością zawierają kilka fragmentów *Księgi duchów*, które Kronus przesłał kiedyś ksieni, żeby ta mogła wypróbować ich działanie na samej sobie.

Być może była to wcześniejsza wersja jednej z czterech opowieści. Wersja, która zawierała prawdopodobnie większą lub mniejszą, niezamierzoną domieszkę czarnej, a przynajmniej nazbyt silnej magii.

Dlaczego zatem wydało jej się, że pismo chce do niej doskoczyć niczym jakaś jadowita ropucha? Albo że samo z siebie potrafi mówić, ba, nawet krzyżeć, i zdoła wyrzucić jej wszystko to, co było w nim zapisane, prosto w twarz? Tak samo, jak i ona nagle potrafiła przemówić przez Johanna Mergelina; jego językiem, ustami krzyknąć w twarz bratu Meinolfowi.

Klara z trudem przełknęła ślinę. Znowu podniosła się i położyła do łóżka, nie patrząc już ani razu na skrzynię.

A może Kronus popełnił jednak jakiś błąd, pomyślała, wskutek czego także opowieści, które zawarł w swej książce, mogą wyzwalać u czytelników ciemne, magiczne moce, mimo że właśnie temu chciał przecież zapobiec. Dar rzucania szkodliwych zaklęć lub zdolność doprowadzania innych ludzi do stanu opętania niczym jakiś demon...

Czy nie powinna jeszcze raz porozmawiać o swoich obawach później z matką Zofią? Zdolność wnikania, niczym duch, w ciała innych ludzi bynajmniej nie należała do darów, które miała wzbudzać *Księga*. Ale może, pomyślała, może ta zdolność obudziła się w niej dlatego, że matka Zofia przeczytała jej pierwszą i drugą opowieść w takiej formie, jak zostały one zapisane w listach Kronusa. Później Klara jeszcze raz przeczytała obie opowieści: o *rycerzu, co znalazł swoją ukochaną za lustrem i o kobiecie, co mieszkała w studni*, tym razem

w wersjach, które Kronus zamieścił ostatecznie w *Księdze*. Opowieści, które przeczytała jej matka Zofia, różniły się w kilku szczegółach od ostatecznych wersji. I tak na przykład w pierwszej opowieści pojawiał się koń o białej sierści, który w *Księdze* miał wzór w cienkie, czarne linie, o którym z kolei nie było mowy w listach. Całkiem możliwe, że to, czy ta sama opowieść wywoływała w swych czytelnikach jedynie zbawienne zdolności magiczne, czy także szkodliwe moce, sprowadzało się do tego rodzaju szczegółów.

Jednak jakkolwiek by było, nie mogłaby się chyba przemóc, by zwrócić matce Zofii uwagę na te drażliwe kwestie. Zabrzmiałoby to wtedy w nieunikniony sposób jak zarzut, a Klara czuła wyraźnie, że ksieni już długo nie pożyje. Obarczyłaby ją tylko dodatkowo rozmytymi podejrzeniami, w które tak na dobrą sprawę sama do końca nie wierzyła.

Te rozmaite rozważania sprawiły, że Klara poczuła się w końcu tak zmęczona, że niebawem zasnęła. Gdy doszła do siebie, znów pochylała się nad nią jedna z tamtych kobiecych twarzy. Zakonnica uśmiechnęła się do niej.

– Matka Zofia czeka na ciebie – powiedziała. – Idź do niej szybko. Jest bardzo słaba, ale koniecznie chce cię jeszcze zobaczyć.

Klara pełna niepokoju wstała z łóżka i poszła do przedniej facjatki. Jej buty – a raczej buty Adriana, czy właściwie Leandra – stały na swoim miejscu, ale wciąż jeszcze nie mogła znaleźć filcowej czapki. Miała nadzieję, że nie zgubiła jej jednak gdzieś po drodze, gdy uciekała przed tym pijanym mężczyzną lub później, w tłoku, który panował w szpitalu Świętego Ducha.

– Przyszłaś znowu, moje drogie dziecko – odezwała się matka Zofia, wrywając ją z zamyślenia. – Wyglądasz, jakby sen dodał ci energii. Chciałabym móc powiedzieć to samo o sobie. Ale dajmy już spokój temu biadoleniu starej baby. Usiądź obok mnie, Klaro, i daj mi szybko dokończyć to, co wcześniej zaczęłam. Słuchaj uważnie. Będę teraz mówiła o tobie i innych „wybrańcach”.

Klara ponownie usiadła na podłodze obok fotela ksieni. Od razu też chwyciła matkę Zofię za rękę i przytrzymała ją.

– Przynajmniej pod tym względem wszyscy w Opus Spiritus byliśmy zgodni – powiedziała. – Magiczne działanie *Księgi duchów* miało zostać starannie zbadane, zanim zostałyby ona wydrukowana i rozpowszechniona na cały świat. W kwestii dotyczącej tego, w jaki sposób i na kim miałyby zostać wypróbowana, „poeci” i „kapłani” znowu się poróżnili. „Kapłani” koniecznie chcieli sprawdzić jej działanie na dwóch lub trzech młodych czytelnikach, ponieważ zależało im na przekazaniu starej magii właśnie wam, młodemu pokoleniu. Tymczasem my, „poeci”, byliśmy zdania, że w zupełności wystarczyłoby,

żebyśmy sprawdzili wewnątrz samego bractwa, jakie magiczne zdolności wywołuje w nas *Księga*.

– Ale w tym sporze to „kapłani” zdołali postawić na swoim? – wtrąciła swoje zastrzeżenie Klara.

Matka Zofia wydała z siebie tylko bliżej nieokreślone westchnienie i milczała przez dłuższą chwilę. Klara pomyślała już nawet, że ta stara kobieta znów zasnęła z wyczerpania. Jednak gdy dziewczyna uniosła głowę i spojrzała w górę, ksieni uśmiechnęła się do niej z troską.

– Do tej pory to my, „poeci”, stawialiśmy na swoim we wszystkich decydujących kwestiach – odparła wyraźnie przytłumionym głosem. – Dlatego też uznaliśmy wtedy za słuszne i sprawiedliwe, żeby choć raz została uszanowana także wola „kapłanów”. Zgodziliśmy się, aby *Księga* została wypróbowana na kilku młodych czytelnikach, i pozwoliliśmy „kapłanom” zadecydować o tym, kto miał zostać poddany tej próbie. Zdumiewali nas ci bracia „kapłani” i ich dziwne pomysły. Ale nikomu z nas nawet we śnie nie przyszłoby na myśl, po jakie straszliwe środki sięgną później „kapłani”.

Klara spojrzała w górę na matkę Zofię i ścisnęło jej się gardło.

– Wybrali Amosa i mnie. I Leandra – wyrzuciła z siebie. – Ale dlaczego właśnie nas? – Musiała najpierw łyknąć herbaty, tak sucho zrobiło jej się w ustach. – Zabili naszych rodziców, by przejąć nad nami kontrolę. Ale po co? Cóż jest w nas takiego nadzwyczajnego: w Amosie, Leandrze i we mnie?

Serce nagle zaczęło jej walić w piersi jak oszalałe. Ukryła twarz w dłoniach i podniosła wzrok dopiero wtedy, gdy była już na tyle pewna, że się na nowo nie rozplacze.

Chciała w końcu wiedzieć, co się za tym wszystkim kryje. Kim byli ci szaleńcy, którzy z zimną krwią we śnie zabili jej rodziców, po prostu podpalili ich wóz i tylko ją samą zanieśli w bezpieczne miejsce. Dlaczego, do licha, tym ludziom tak bardzo na tym zależało, aby to właśnie oni, Amos i Klara, przeczytali i wypróbowali *Księgę duchów* ?

– Jednym z wybrańców – powiedziała matka Zofia tak cichym głosem, że Klara musiała nadstawić uszu, by ją zrozumieć – był wnuk naszego brata z Opus Spiritus, Kasimira von Hohensteina, i już z tego tylko powodu cała ta sprawa nie wydawała nam się podejrzana. Rycerz Kasimir należał do „poetów”, a jego syn Ferdinand, ojciec Amosa, był z początku całkiem zachwycony tym planem. Jako mały chłopiec Amos przejawiał kilka imponujących zdolności. Był nad wyraz wrażliwym dzieckiem, które potrafiło na przykład wyczuć, że ktoś w jego bliskim otoczeniu był poważnie chory. Wszyscy cieszyliśmy się, że „kapłani” dokonali takiego dobrego wyboru. Tym bardziej ufaliśmy, że przy wyborze dwóch kolejnych

próbnych czytelników wykażą się taką samą zręcznością. Dowiedzieliśmy się tylko, że znaleźli jeszcze dwoje innych, nadzwyczaj wrażliwych dzieci, których rodzice zgadzali się z ich wyborem. A gdy *Księga* byłaby ukończona, wy troje bylibyście już w odpowiednim wieku, by wypróbować jej magiczne działanie.

Puściła dłoń Klary i ponownie przetarła sobie czoło chusteczką. Nagle Klara nie była już tego tak pewna, czy naprawdę chce usłyszeć, co matka Zofia miała jej jeszcze do wyjawienia. Najchętniej zatkałaby sobie uszy rękami i po prostu wybiegła z pokoju. Ale jakaś inna jej część zmuszała ją, by siedziała dalej w tym samym miejscu z nadstawionymi uszami i walącym sercem.

– Wtedy jednak nadciągnęły złowróźbne chmury – powiedziała ksieni. – W całym kraju zapłonęły stosy. Papież uznał wszelkie czary za diabelskie sprawki. Inkwizytorzy zaczęli ścigać, torturować i zabijać każdego, kto odważył się zakwestionować choćby jedną sylabę w kościelnej nauce wiary. Felczerów i uzdrowicielki aresztowano pod zarzutem uprawiania zabronionej magii i często palono ich żywcem.

– Któż mógłby mieć wtedy za złe rodzicom Amosa – ciągnęła dalej ksieni – że wycofali swoją zgodę, której udzieli wcześniej Opus Spiritus? Podobnie uczynili twoi rodzice oraz rodzice Leandra, zupełnie niezależnie od siebie. Przecież wasze rodziny się nie znały. Ale z tego wszystkiego docierało do nas, „poetów”, całkiem niewiele. Wiedzieliśmy oczywiście, że Ferdinand von Hohenstein odwrócił się od Opus Spiritus. Jednak jego ojciec przekonywał nas, że to tylko przejściowy kaprys. A wtedy, pewnego dnia, do naszego sierocińca w klasztorze Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny przyniesiono ciebie, Klaro, a ja nie miałam najmniejszego pojęcia, że jesteś jednym z tych dzieci, które przed wieloma laty wybrali nasi „kapłani”.

Ksieni urwała ponownie. W tym momencie Klara nie chciała już niczego słyszeć. Na szczęście i matka Zofia zamknęła teraz oczy, z delikatności, a może po prostu ze zmęczenia. W każdym razie Klara była jej za to wdzięczna. Sama musiała się najpierw uporać z chaosem panującym w jej wnętrzu.

Wszystko wskazywało na to, że to właśnie Trithemius i inni „kapłani” kazali zabić jej rodziców, bo ci zaczęli się nagle wzbraniać przed wydaniem swojej „wybranej” córki w ręce Opus Spiritus. Matka Zofia o niczym nie wiedziała, co Klara przeczuwała zresztą od zawsze. I mimo wszystko bardzo się cieszyła, że mogła usłyszeć tę gorzką prawdę właśnie z ust ksieni. Ale zaledwie rok później zostali zabici rodzice Amosa, a wtedy matka Zofia i Kronus musieli wreszcie nabrać jakichś podejrzeń. W końcu wiedzieli przecież, że Amos należał do trojga „wybranych” dzieci do czasu, aż jego rodzice nie chcieli już nic wiedzieć o swej

niegdysiejszej zgodzie. A wtedy nagle okazało się, że nie żyją, sam zaś Amos zamieszkał ze stryjem na zamku Hohenstein. Tutaj już wkrótce stał się zaufaną osobą Kronusa, zupełnie tak, jak to wcześniej zaplanowali „kapłani”.

– Matko, odpowiedzcie mi, proszę, na jeszcze jedno pytanie – odezwała się w końcu Klara, po tym jak przemknęło jej to kilka razy przez myśl. – Skoro Trithemius i „kapłani” nie powiedzieli wam, że jestem jednym z „wybranych” dzieci, to dlaczego mimo to wysłaliście mnie razem z Amosem?

Ksieni otworzyła oczy i popatrzyła na Klarę jakby z oddali.

– Był to pomysł mój i Kronusa, a w każdym razie to myśmy sobie to ubzdurali. Byliśmy tak pewni, że nie narazimy was przy tym na żadne niebezpieczeństwo. Wręcz przeciwnie! Byłaś mi bliska niczym własne dziecko i podobnie rzecz się miała z Kronusem i Amosem. Byliśmy tak dumni z *Księgi* i tak dumni z was. Chcieliśmy, abyście to wy byli pierwszymi, w których *Księga duchów* wzbudzi magiczne moce.

Matka Zofia, głęboko zatroskana, pokręciła głową.

– „Kapłani” przystali na naszą propozycję, nie dając nic po sobie poznać. Pewnie pomyślisz, że jesteśmy naiwni i oderwani od życia. I rzeczywiście, w pewnym sensie ludzi takich, jak ja i Kronus, można za takich uznać. Uczony pustelnik i zakonnica! Oczywiście wiedzieliśmy, że i was oboje spotkał podobny, smutny los. Ale żyjemy w trudnych czasach, a sierocińce pełne są dzieci, które straciły swych rodziców wskutek morderstwa lub na wojnie. Postaw się na moim miejscu, Klaro. Skąd mogłam wiedzieć, że wszystko to stanowi część zakrojonego na szeroką skalę planu? Że zabili twoich rodziców, a następnie poczynili jeszcze konieczne kroki, abyś trafiła właśnie do mojego klasztoru? Że później dopuścili się takich samych krwawych czynów w domu biednego Ferdinanda von Hohensteina tylko po to, by Amos mógł trafić do Kronusa? A wszystko to służyło tylko jednemu celowi, abyście wy, ty i Amos, mogli jako pierwsi wypróbować *Księgę*, tak jak to niegdyś postanowili „kapłani”? Do tego, abym mogła nabrać jakże niesamowitych podejrzeń, brakowało mi wszelkich poszlak, nie mówiąc już o tym, że do dziś nie pojmuję, jakie motywy mogły kierować Trithemusem.

Obie milczały teraz przez dłuższą chwilę. Patrzyły tylko przed siebie, wyczerpane i pełne niepokoju. Tymczasem nastał już późny wieczór. Gwiazdy na ciemnym niebie połyskiwały przez szpary w dachu. Pałace się na stole i regale świeczki wypełniały tę małą izbę migotliwym światłem. Klara usiadła z powrotem w swoim fotelu i zaczęła jeść i pić nieco z podwieczorku, który najwidoczniej podały te pomocne kobiety, w czasie gdy ona jeszcze spała. Tym razem były to jajecznica i zimna pieczeń. W innych okolicznościach Klara z pewnością opróżniłaby wiele takich talerzy. Teraz jednak wciąż miała ściśnięte żołądek i

gardło.

– Cokolwiek zamierzają Trithemius i Faust – powiedziała matka Zofia w pewnej chwili – za pomocą samych tylko magicznych mocy, które wzbudza *Księga duchów*, nigdy nie uda im się zyskać potęgi i chwały dawnych, pogańskich magów. Ja też często zadawałam sobie pytanie: Co takiego szczególnego widzieli w tobie i Amosie. Nie znam odpowiedzi, ale wiem jedno, Klaro: bez was obojga nie będą mogli zrealizować swego planu. Do tego sprowadza się twoja moc i na tym polega wasza odpowiedzialność. Przysięgnij, że nigdy o tym nie zapomnisz.

Podowała Klarze rękę, a dziewczyna pochwyciła jej dłoń i przysięgała jej, płacząc. Matka Zofia była tak zimna i sztywna w dotyku, jakby była już martwa.

– Matko Zofio – wyszeptała Klara – postaramy się zrobić wszystko we właściwy sposób. Powiedzcie mi jeszcze tylko jedno. Co się stało z Kronusem? Sądzicie, że jeszcze żyje?

Stara kobieta nie mogła już dłużej ukrywać swojego zmartwienia. Klara objęła ją ostrożnie i razem wyplakały jeszcze wiele łez.

– Nie wiem – wyrzuciła w końcu z siebie matka Zofia. – Czasem czuję, że żyje, ale później wydaje mi się znowu, że Valentin czeka na mnie w niebie. – Wypowiadając te słowa, uśmiechnęła się niczym wstydliva panna młoda.

Klara jeszcze raz ją objęła i pocałowała w dłonie i policzki. Czowała, że było to już pożegnanie, być może pożegnanie na zawsze, przynajmniej w tym świecie. Zrobiło jej się tak ciężko na sercu, że omal nie zaczęła znów płakać. Szybko uwolniła się z ramion matki Zofii i poszła do swojej izby. Jednak w następnej chwili zapomniała o wszystkich zmartwieniach i całym bólu, a zamiast tego zrobiło jej się gorąco ze wstydu.

– Kartki w skrytce przy skrzyni, wiesz, o które mi chodzi – wymamrotała matka Zofia, a jej głos brzmiał tak, jakby mówiła już raczej przez sen niż na jawie. – Weź je ze sobą, Klaro. One i tak były przeznaczone dla ciebie.

Klara stała już jedną nogą w tylnej facjatce.

– Wybaczcie mi, matko Zofio – wyszeptała. – Nie chciałam być wścibska.

Jednak nie otrzymała już odpowiedzi, a gdy się odwróciła, kobieta siedziała w fotelu z głową opuszczoną do przodu i wszystko wskazywało na to, że zapadła w głęboki, twardy sen.



KLARA WRÓCIŁA na palcach do przedniej izby i wzięła jedną ze świeczek, które stały na stoliku. Rzuci tylko krótkie spojrzenie skrzyni, pomyślała sobie, ale w żadnym wypadku nie będzie czytała już dzisiaj manuskryptu. Po tym wszystkim, co dziś przeżyła i czego dowiedziała się głównie o matce Zofii, była dość skołowana i wzburzona. Jednak przede wszystkim chciała wreszcie przesłać Amosowi telepatyczną wiadomość, aby wiedział, że ma się dobrze.

I tak już trochę się martwiła, że przez cały dzień się do niej nie odzywał. Koniecznie musiała mu jeszcze raz przypomnieć, że powinien mieć się na baczności przed Trithemiusem i Faustem.

Kilku kroplom wosku Klara pozwoliła ścieknąć na belkę, która ciągnęła się tuż obok wezłowania łóżka. Przykleiła do nich świeczkę, zakradła się w stronę skrzyni i ponownie otworzyła jej boczną skrytkę. Wciąż jeszcze było jej głupio, że matka Zofia ją przyłapała, gdy za pierwszym razem zajrzała do skrzyni. Ale z drugiej strony było w tym coś pocieszającego, wiedzieć, że poczciwa ksieni tak się o nią martwiła, nawet teraz, gdy dokuczały jej ból i osłabienie.

I podobnie jak Valentin Kronus, matka Zofia używała magicznych mocy, które zawdzięczała *Księżde duchów*, tylko po to, by pomagać innym ludziom. Choć nie zawsze im to chyba wychodziło.

Klara wyjęła ze skrytki złożone jeden w drugi arkusze papieru i wróciła do niezwykle wygodnego łóżka, w którym matka Zofia nie spędzi już chyba ani jednej nocy ze swym drogim Kronusem. Położyła się na prawym boku, wsparła głowę na jednej ręce, a drugą wygładziła niewielki stos papieru. o *skale, co tyła oknem*, tak brzmiała pierwsza linijka. Klara wzdrygnęła się z radości, a jeszcze bardziej ze strachu. Zupełnie jak przeczuwała! Miała przed sobą trzecią opowieść z *Księgi duchów*. Szybko złożyła z powrotem arkusze, aby jej wzrok nie padł na nie niechcący. Jeśli nawet wszystko wskazywało na to, że manuskrypt wyszedł spod pióra Valentina Kronusa, to nie mogła przecież przeczytać tej opowieści tak od razu. Tymczasem manuskrypt znów zdawał się wręcz krzyczeć w jej stronę, żeby niezwłocznie zaczęła go czytać.

Nie, wykluczone, pomyślała, to zbyt niebezpieczne! Gdyby pojawili się tu w nocy purpurowi wojownicy, bo z jakiegoś powodu udałoby im się odnaleźć ich kryjówkę, a ona leżałaby pogrążona w magicznym śnie, Cellari mógłby ją wynieść niczym lalkę i wtrącić do

swojego więzienia. Nawet by tego nie zauważyła, bo nie byłaby przecież sobą, lecz rycerzem Laurencjuszem przeżywającym właśnie swoją trzecią przygodę.

Poza tym istniał jeszcze jeden powód, dlaczego nie chciała czytać tych kartek. Możliwe, że w tym przypadku wersja, którą matka Zofia otrzymała od Kronusa, nie pokrywała się z wariantem opowieści, który Kronus wybrał ostatecznie do swojej *Księgi duchów*.

I być może takie właśnie niepozorne różnice odpowiadały za to, że zostały w niej zawarte zupełnie inne magiczne moce, niż to przewidywał Kronus.

Klara wzięła ten niewielki stos papieru i wsunęła go do tobołka, który leżał na podłodze obok łóżka. W ten sposób uniknie takiej oto ewentualności, że mogłaby pozostawić tutaj manuskrypt jutro nad ranem, gdyby była zmuszona wyruszyć w pośpiechu. Wtedy straciłaby go z oczu, a on nie mógłby jej już nieustannie kusić, aby od razu przeczytała trzecią opowieść.

Opadła na miękkie poduszki, zamknęła oczy i wejrzała w głąb siebie. Jednak niezależnie od tego, jak usilnie przeczesywała wzrokiem swoje wewnętrzne niebo, to po magicznej gwiazdzie Amosa, która zwykle świeciła i migotała tak mocno, nie było ani śladu. Zupełnie jakby runęła z nieba lub zgasła nagle, niczym świeczka na wietrze.

Na wszystkie dobre duchy, pomyślała Klara, cóż to miało znaczyć? Raz po raz zamykała oczy i wsłuchiwała się w swoje wnętrze.

– *Amosie* – zawołała zaklinająco. – *Gdzie jesteś? Co się z tobą dzieje?*

Jednak nie otrzymała od niego żadnego znaku, nawet najniklejszego strumienia światła.

Wtedy ogarnął ją strach. Cóż miała teraz począć?

Na to istniała tylko jedna odpowiedź. Jej tobołek z manuskrytem w środku leżał obok łóżka w zasięgu ręki. Wystarczyło tylko, że przeczyta i wchłonie w siebie trzecią opowieść, a zyska zdolność magicznego lotu. Mogłaby wtedy, niczym ptak czy jakiś anioł, polecieć z prędkością myśli do Wurzburga i na własne duchowe oczy przekonać się, czy Amos cały i zdrowy dotarł do opata Trithemiusa.

Jeszcze przez kilka minut dziewczyna walczyła z tą nieodpartą chęcią wyciągnięcia manuskryptu. Czowała jednak, że nie mogła wygrać tej walki i że w głębi serca też tego nie chciała.

Czy matka Zofia powiedziałaaby przed chwilą, że ten manuskrypt jest przeznaczony dla niej, gdyby mógł stanowić najmniejsze chociaż zagrożenie? Oczywiście, że nie. Poza tym Valentin Kronus był najmądrzejszym człowiekiem i najpotężniejszym mistrzem słowa na

świecie. Cokolwiek sobie wcześniej wmawiała, te kartki na pewno nie są w żadnym razie niebezpieczne. Przede wszystkim zaś musiała się dowiedzieć i to prędko, co się stało z Amosem, dlaczego jego gwiazda tak nagle zniknęła z jej magicznego nieba.

Czuła przecież, że żyje. Jednak coś musiało być nie tak. Gdyby zaczęła teraz czytać trzecią opowieść, to na pewno zdążyłaby na czas wrócić ze świata Wawrzyńca. Jeszcze przed świtem. Być może nawet zostałyby jej jeszcze wystarczająco dużo czasu, by polecieć na magicznej drodze do Wurzburga i zobaczyć, co się dzieje z Amosem.

Jej zmęczenie zniknęło jak ręką odjął. Wychyliła się ze swojego łóżka i ponownie wyciągnęła manuskrypt. W końcu była w bezpiecznym miejscu, o którego istnieniu nie mógł wiedzieć nikt w Norymberdze, poza matką Zofią, nią samą i tymi dwoma pomocnymi kobietami. Klara ponownie wygładziła ułożony przed nią stos kartek i zaczęła czytać opowieść *O skale, co była oknem*.

W mgnieniu oka wszystko dookoła niej znikło, bo jeszcze w tej samej chwili stała się rycerzem Wawrzyńcem.

*W czasie gdy rycerz Laurencjusz szedł ląką swego dzieciństwa w stronę zamku Answer, z koszuli i włosów ściekały mu krople. Wlepił wzrok w sylwetkę szacownych murów, w których niegdyś dorastał, tak jak przed nim jego ojciec, jego dziadek i wszyscy przodkowie w męskiej linii od niepamiętnych czasów. Wawrzyńiec wciąż jeszcze ledwo śmiał w to uwierzyć, że kobieta ze studni dotzymała słowa i naprawdę wskazała mu drogę do świata ojca. Być może cała ta piętrząca się wysoko w górę twierdza, ku której kierował swe kroki w świetle poranka, rozproszy się w następną chwilę niczym pajęczyna z chmur i z mgły.*

## 8

PRZERAŻLIWY TELEPATYCZNY KRZYK pociągnął ją z powrotem ku rzeczywistości.

– Klaro, uciekaj!

Otoczający ją ze wszystkich stron świat rycerza Wawrzyńca rozproszył się niczym

mgła w słońcu. Małe drzwi na tyłach zameczku myśliwskiego, znajdujące się tuż przed nimi porośnięte ostem schody, bulgocące krucmary...

– *Musisz uciekać, Klaro. Biegnij!* – Musiał to być telepatyczny głos matki Zofii, jednak Klara jeszcze nigdy nie słyszała, by ta dostojna stara kobieta krzyczała w taki sposób. Wychodziła z siebie ze strachu i zmartwienia.

Rozejrzała się wokół siebie z niepokojem. Leżała na łóżku w tylnej izbie matki Zofii, a ponad dachem właśnie świtało. Dookoła niej leżały rozrzucone kartki z opowieścią, którą przeczytała w ciągu nocy.

– *Ukryte drzwi... naprzeciw skrzyni... Klaro, słyszysz?* – Telepatyczny głos matki Zofii znów tak bardzo osłabł, że dziewczyna mogła zrozumieć już tylko strzępki zdań. Za to Klarze wydawało się, że słyszy teraz zupełnie inne, straszne dźwięki. Dochodziły jeszcze z dali, ale nie sposób ich było nie rozpoznać.

Kroki i tupot, jakby wielkich łap na ziemi i kamieniu. Do tego jeszcze wycie, skamlanie i szczekanie, które mogło wydobywać się z pół tuzina szeroko rozwartych pysków. Psy św. Huberta! Klarze ciarki przeszły po plecach.

– *Tak, matko* – odparła – *Słyszę was.*

Ale wciąż jeszcze była oszołomiona ze strachu i zaskoczenia, jakby otumaniona. „*Ubiec wilczych ludzi... „, usłyszała dobiegające z oddali bulgotanie jednego z krucmarów, „... tak, żeby nawet nie zdążyli jeszcze stać się dla was zagrożeniem*”, jednak tego typu zagadkowe porady teraz na nic się już zdały.

Purpurowi wojownicy byli w pobliżu i możliwe, że wytropili ich kryjówkę. Ale jak udało im się tego dokonać? Psy św. Huberta musiały przecież zgubić ich trop najpóźniej tam na dole, przy szpitalnym moście, gdy wsiadły do łodzi i uciekły rzeką.

– *Tajne drzwi na strych, moje dziecko...* – wystękała matka Zofia – *... dźwignia za belką... Już czas!*

Klara podniosła się z trudem, wsunęła swoje – a raczej Adriana – buty, rozglądając się jednocześnie za filcową czapkę, ale tego cholerstwa nigdzie nie było!

– Dobry Boże!

Dziewczyna musiała zgubić czapkę przy szpitalu, być może nawet na pomoście, gdy wsiadły do łódki. Klara ujrzała przed sobą wszystko przerażająco wyraźnie – po tym jak purpurowi wojownicy zorientowali się, że udało im się zbiec przez rzekę, wystarczyło tylko, że przeczesali garść ulic, na które można było trafić w krótkim czasie łodzią. Z pewnością kazali psom obwąchać czapkę Klary i dlatego też te bestie szczekały i wyły tam, na zewnątrz, niczym cała zgraja piekielnych demonów, bo zwierzyły, że są już blisko celu!

W czasie gdy te myśli kotłowały się w jej głowie, ona biegła już w stronę drzwi do przedniej izby. Nacisnęła klamkę, lecz drzwi okazały się zamknięte na klucz.

– *Nie tymi drzwiami, moje dziecko!* – krzyknęła matka Zofia zamierającym telepatycznym głosem. – *Tymi ukrytymi z tyłu, na strych... A później cały czas dalej, z poddasza na poddasze... Ja ich zatrzymam!*

– *Ale co oni z wami zrobią?* – Klara uderzyła w drzwi. – *Przecież nie mogę was tak po prostu zostawić na pastwę tych łowców ludzi, matko Zofio!*

Jednak niezależnie od tego, jak bardzo łomotała, krzyczała i błagała przerywanym telepatycznym głosem, drzwi nie otwierały się, ona tymczasem nie otrzymała już żadnej odpowiedzi od matki Zofii. Tam w dole, na ulicy, szczekanie i wycie było coraz to donioślejsze, a w następnej chwili dom zdrzął w posadach od jakiegoś morderczego uderzenia. Drewno pękało, a wycie psów stawało się ogłuszającym hałasem.

– Jesteśmy dobrymi katolikami! – Usłyszała dochodzący z niższych pięter domu skrzeczący, przepełniony lękiem głos kobiety. A wtedy wreszcie opuściło ją odrętwienie. Klara szybko odwróciła się, chwyciła w ostatniej chwili swój tobołek i zarzuciła go sobie na plecy. Pobiegła w stronę ściany naprzeciwko skrzyni, tak jak jej nakazała matka Zofia, i szukała po omacku czegoś przy belkowaniu, które przebiegało tam przez ścianę, wzdłuż i wszerz, ale nie znalazła żadnej dźwigni, w ogóle nie znalazła niczego, co mogłoby otwierać ukryte drzwi – tylko belki i pobielony mur.

Wycie psów, tupot kroków i bębnienie łap stawało się coraz głośniejsze, huczało i odbijało się echem w głowie Klary.

Co dokładnie powiedziała matka Zofia? Ta przeklęta dźwignia musi przecież gdzieś tu być... Łamała sobie nad tym głowę i jednocześnie szukała po omacku przy murze, bez większego planu. Za belką! Dopiero teraz przypomniała sobie o tym – dźwignia za belką, powiedziała matka Zofia.

Stała na palcach i wyciągnęła rękę tak wysoko, jak to tylko było możliwe. U samej góry, jako zwieńczenie ściany, przebiegała poprzeczna belka, i to właśnie za nią musiała... Ach! Pod palcami poczuła coś metalowego, jakby uchwyt jakiegoś żelaznego dzbanka. Pociągnęła za niego tak mocno, jak tylko potrafiła, a wtedy – dokładnie przed nią – otwarło się nagle ze zgrzytem wąskie przejście w murze.

– *Bywajcie zdrowi, matko!*

Tymczasem prześladowcy musieli już znaleźć ukryte schody. Zdawało się, że cały dom był tak wypełniony hałasami, tupotem butów, przekleństwami mężczyzn, którzy byli wleczeni przez prowadzone na łańcuchach i linach psy, że omal nie pękł. Jeszcze tylko kilka

chwil, a wyważą ukryte drzwi do kryjówki matki Zofii i nie potrwa to zbyt długo, aż przedostaną się do tylnej facjaty. A wtedy nic nie mogło wskazywać na to, że tu, z tyłu istnieje jeszcze kolejne przejście prowadzące na poddasza okolicznych domów. Klara prześlizgnęła się przez wąski otwór i wcisnęła od drugiej strony tajne, kamienne drzwi w wyłom. Psy św. Huberta wyczują oczywiście, że jeszcze przed chwilą była w tej izbie i przy tym fragmencie ściany, który wydawał się teraz trwale zamurowany, zedrą sobie pyski aż do krwi – z rządu dalszego jej ścigania.

I tak mnie nie dostaniecie!

Klara szybko obróciła się i pobiegła przed siebie. Strych był pograżony w półmroku i zastawiony wszelkiego rodzaju rupieciami: belkami, przez które przeskakiwała, połamanymi dachówkami, które chrzęściły jej pod stopami. Z ciemnych kątów, tam, wysoko w górze, pod kalenicą dachu spoglądały w jej stronę maleńkie, czerwone oczka – nietoperze! Klara rzuciła szybkie spojrzenie w ich stronę i omal nie weszła w szarą postać, która nagle wyrosła przed nią z ziemi.

– A więc to ty! – powiedziała postać i przytrzymała ją za ramiona.

Klara wyrwała się jej z krzykiem.

– Kim jesteś? Czego... Pani Ulryka? – Klara gapiła się z niedowierzaniem na smukłą kobietę w surowo skrojonej, szarej szacie.

– Skąd się tu, na litość boską, wzięliście?

– To chyba ja powinnam cię o to zapytać – odparła przełożona sierocińca św. Otylii. – Mimo że znam już mniej więcej odpowiedź. Nigdy nie powinnam była ustępować, gdy mój ojciec wtedy nalegał, żebym udzieliła schronienia tym bezbożnikom z loży. – Głową wskazała na tajne drzwi w murze, przez które właśnie przeszła Klara.

– Oni nie są bezbożnikami, w każdym razie nie wszyscy. Proszę, uwierzcie mi, pani Ulryko. – Klara chciała chwycić ją za rękę, ale Ulryka von Hohenstein cofnęła się. – Obrońcie matkę Zofię, na miłość boską! – Popatrzyła na nią błagalnym wzrokiem, jednak w następnej chwili ona i Ulryka wzdrygnęły się w tym samym momencie. Za murem z ukrytym przejściem rozległo się przenikliwe wycie dobywające się z ochrypłych psich gardeł.

– Muszę uciekać – krzyknęła Klara – ale przysięgam wam, nie zrobiłam niczego złego, Amos też nie!

Nie czekając na odpowiedź, rzuciła się do ucieczki. Pobiegła dalej, w stronę drugiego końca strychu. Mogła sobie mniej więcej dopowiedzieć, co ciotka Amosa i Ody miała z tym wszystkim wspólnego. Matka Zofia i ona zostały przeniesione do sierocińca św. Otylii, którego przełożoną była Ulryka von Hohenstein. Opus Spiritus zaprzęгло ją najwidoczniej do

swych celów, mimo że ta surowa kobieta nie miała dobrego zdania o „bezbożnej łoży”. Bractwo urządziło tę kryjówkę pod niebudzącym niczyich podejrzeń dachem domu Ulryki. Łoża zadbała i o to, aby Klara dostała się wtedy pod opiekę ciotki Ulryki, po tym jak matka Zofia została wtrącona do więzienia inkwizycji. I w końcu Opus Spiritus zmusiło Ulrykę von Hohenstein i ta wysłała Klarę do przytułku dla sierot w Wunsiedel, aby ona i Amos mogli wypróbować *Księgę duchów* i dostarczyć ją w bezpieczne miejsce.

Na drugim końcu strychu znajdowały się na szczęście zupełnie zwyczajne drewniane drzwi. Klara pchnęła je, kopnęła w nie piętą, pędząc dalej przed siebie, i usłyszała, jak się za nią zamknęły. Usłyszała coś jeszcze i z przerażenia prawie przestała oddychać. Były to jedno, dwa, trzy dudniące uderzenia młotów o kamień. A później okropne pęknięcie i zgrzyt.

Purpurowi wojownicy po prostu wyburzyli przejście w murze prowadzące na strych. A za jej plecami na drewnianej podłodze rozlegało się już tupanie łap i drapanie pazurów tych okropnych psów św. Huberta. Tymczasem Klara pobiegła zygzakiem przez następny strych, pchnęła kolejne drzwi i zamknęła je za sobą nogą. Wspięła się na skrzynie, przeskoczyła przez złożone w stertę worki ze szmatami, potknęła się o obłuzowaną deskę podłogową i krzyknęła. Odpowiedział jej chór wyjących bestii, znajdujący się już tak blisko za nią, że omal nie wrzasnęła jeszcze raz z przerażenia. Jej prześladowcy musieli być już tylko o jeden strych za nią. A sama czuła, jak opuszczają ją siły, jak jej kolana coraz bardziej się uginają przy każdym kolejnym skoku. Z trudem walczyła o oddech, kilka razy się potknęła, a jej przewaga topniała coraz bardziej.

I tak mnie nie dostaniecie!

Kolejne drzwi, kolejny strych, a później jeszcze jeden i jeszcze jeden, no i gołębie, które przestraszone fruwały dookoła niej. A później nagle zrobiło się przed nią jasno i widno. Przejście na drugim końcu tego strychu było szeroko otwarte, a za nim nic – tylko błękitne niebo i jasne światło słoneczne.

Pobiegła w tamtą stronę. Przez chwilę wydawało się jej, że wygrała ten wyścig, pozbyła się psów i zmusiła swoich prześladowców do rezygnacji z dalszej pogoni. Że jest wolna i bezpieczna.

Ledwo zdołała zatrzymać się przed przejściem. Omal nie potknęła się o próg, jednak w ostatniej chwili uczepliła się rękami słupów drzwi po prawej i lewej stronie.

Przed nią nie było już w ogóle niczego, a przynajmniej niczego, po czym można by biec dalej, uciekać. Nic, tylko lśniące błękitem niebo, a pod nim, co najmniej tuzin kroków głębiej, przepływała z hukiem rzeka.

Dopiero teraz Klara uświadomiła sobie, dokąd zaprowadziła ją jej ucieczka: przez

strychy i poddasza szeregu domów, wzdłuż którego płynęli wczoraj fosą, aż do miejsca, gdzie ich łódź oddaliła się w stronę rzeki Pegnitz.

Z okropnym zgrzytem i trzaskiem rozlatującego się drewna pękły za nią ostatnie drzwi. I właśnie w tej samej chwili, gdy Klara spojrzała przez ramię do tyłu, dwa olbrzymie psy wyrwały się swoim panom. Z wybałuszonymi ślepiami prześcigały się w jej stronę, potwornie przy tym wyjąc i szurając łapami.

Wtedy Klara ponownie szybko się odwróciła, przyzwała cicho dobre duchy i skoczyła.

## 9

KLARA OWIEWANA Z WSZYSTKICH STRON WIATREM pomknęła w dół, w stronę ciemnego lustra wody. Pęd powietrza rozwiewał jej ubrania, wzdymał jej koszulę i nogawki niczym żagle statku. Tam w górze, na progu drzwi, odbiła się tak mocno, jak tylko potrafiła, aby zanurzyć się w wodzie możliwie jak najdalej od nadbrzeżnej płycizny. Tam w dole znów przepływało kilka łodzi. Mogła mieć tylko nadzieję, że nie uderzy nogami do przodu w jakieś czołno lub jakąś przemykającą tratwę. Inaczej niż rycerz Wawrzyniec, raczej niepołamana nie przetrwałaby takiego upadku.

Jeszcze w czasie gdy Klara spadała do rzeki Pegnitz, ponad jej głową rozległy się jakieś postrzępione wiatrem odgłosy. Brzmiało to prawie jak wycie i skamlanie psów. Ale chyba sobie to tylko uroiła? Odwróciła głowę do tyłu i z przerażenia otwarły jej się usta. Oba psy św. Huberta, które pędziły za nią na strychu, również rzuciły się przez to przejście i leciały za nią z powiewającymi na wietrze uszami! A na samej górze, pod kalenicą dachu, zobaczyła teraz także dwie purpurowe postacie, dzierżące w rękę błyszczącą broń – kusze! W następnej chwili, tam w górze, z cięciw wystrzeliły dwie strzały, które poszybowały tuż za Klarą.

Krzyknęła i znowu popatrzyła szybko do przodu. Ryzykując brawurowy skok, miała nadzieję, że w ten sposób pozbędzie się swoich prześladowców. Jednak nie zdążyła się jeszcze nawet zanurzyć w rzece, a już znów gnały za nią psy i śmiercionośne stalowe strzały. Na szczęście strzały przeleciały ze świstem obok niej po prawej i lewej stronie i zniknęły w



rzece. Klara zdążyła jeszcze nabrać głęboko powietrza i z pluskiem uderzyła nogami do przodu, a mętne wody wciągnęły ją w głąb.

Rozpaczliwie wymachiwała rękami, jednak na nic się to nie zdało. Nieubłaganie wciągało ją coraz głębiej i głębiej. Wymachiwała rękami i wierzgała nogami. Ponad swoją głową dostrzegła w pewnej odległości dwie nieforemne sylwetki, które również opadały w stronę dna rzeki – psy św. Huberta.

Zaczęło już jej brakować powietrza, gdy w końcu poczuła grunt pod nogami. Z całej siły odbiła się od błotnistego podłoża i zaczęła bardzo powoli unosić się w stronę światła. Paliło ją w płucach, jakby w jej wnętrzu wybuchł pożar. Poczuła przemożną potrzebę otwarcia ust i zaczerpnięcia powietrza, mimo że jej głowa znajdowała się jeszcze pod wodą. Przed jej oczami zaczęły tańczyć jaskrawo białe punkciki, a Klara czuła już, że w następnej chwili się udusi. Wtedy wreszcie przełamała taflę wody i wciągnęła, dysząc, cudowne, świeże powietrze.

Wymachiwała rękami, kasłała i rzeziła. Jednak jakkolwiek była oszołomiona i osłabiona, ani na chwilę nie zapomniała o psach. Ani o purpurowych wojownikach, którzy wystrzelili strzały w jej stronę. Klara starła sobie muł z twarzy i przesłoniła oczy przed porannym słońcem. W szczyrbie, tam w górze na strychu, nie było już widać nikogo. Za to niecałe dziesięć kroków dalej, po jej lewej stronie, wynurzyły się teraz z wody dwa parskające psie pyski. Te bestie pokręciły głowami, tak że krople tylko pryskały na wszystkie strony. Zgodnie zawyły w tym samym momencie i popłynęły za nią.

Klara rzuciła się do ucieczki i wzięła kurs na północny brzeg rzeki, równomiernie wykonując pływackie ruchy. Z tyłu wznosiło się potężne miasto z wieloma różnymi okazałymi budowlami. Pod żadnym jednak pozorem nie wolno jej było zapuszczać się w głąb Norymbergii. Rzuciła spojrzenie do tyłu – psy pozostawały jeszcze jakiś tuzin kroków za nią. Podobnie jak większość czworonogów, raczej nieporadnie pływały, ale te bestie były uparte. Nigdy by się nie poddały, a Klara czuła już teraz, że o własnych siłach nie dopłynie zbyt daleko.

Musiała jakoś dostać się na jedną z łodzi, które niezwykle szybko sunęły przed siebie środkiem rzeki. Płynęły tam nieforemne barki, opływowe żaglowce i ociężałe łodzie rybackie. Nurt w samym środku rzeki był jednak tak silny, że porywał ze sobą wszystko, co dostawało się w jego bieg. Gdyby wpadła w wir, to nie mogłaby wskoczyć na pokład jednej z tych łodzi czy czółen, które przerażająco szybko sunęły środkiem rzeki. Ale może udałoby się jej ucześcić rufy takiej łodzi i dać się w ten sposób ponieść w dół rzeki – dziesięć razy szybciej niż mozolnie płynące psy i na pewno też o wiele szybciej niż tratwa, którą dziewczyna

zauważyła właśnie nadciągającą z prawej strony

Flisak stał w szerokim rozkroku na swym pływającym pojeździe, który składał się zaledwie z niewiele ponad dziesięciu związanych ze sobą pni drzew. Pochylił się do przodu i krzyknął coś w jej stronę, ale pośród tego bulgotu i huku szalejących wód nie zrozumiała ani słowa. Wtedy mężczyzna przykucnął, podniósł ze swej tratwy jakiś długi drewniany kijek i wyciągnął go ponad wodą w jej stronę. Kijek tańczył dziko ponad falami na wszystkie strony, a Klara bardzo się bała, że mógłby ją uderzyć w głowę, gdyby odważyła się do niego podpłynąć.

Nie miała wyboru. O własnych siłach na pewno nie dotarłaby do brzegu, czuła to aż nazbyt dobrze. Ręce i nogi paliły ją z wysiłku i oddychała z trudem. Gdyby została pochwycona przez silny nurt w środku rzeki, to i tak byłoby już po niej. Potężne fale rzuciłyby ją o burtę jednej z łodzi albo uderzyłyby głową do przodu o jakiś pień drzewa, lub jeden z przedmiotów, które rzeka niosła ze sobą w przerażających ilościach.

Klara ponownie rzuciła spojrzenie za siebie. Jeden z psów pozostał w tyle, ale drugi wciąż płynął za nią jak opętany. I jeśli się go zaraz nie pozbędzie, ten przeklęty kundel chwyci ją jeszcze tutaj, w rzece. Zatopi swoje potężne kły w jej ramieniu lub w plecach i popłynie ze swoją zdobyczą w pysku z powrotem do brzegu, tymczasem ona niechybnie zacznie się wykrwawiać między jego szczękami.

Tymczasem tańczący przed nią ponad falami kij był już w zasięgu jej ręki.

– No dalej, chłopie, chwytaj! – krzyczał flisak i dopiero wtedy Klara go rozpoznała. Był to ten sam pijak, który przeciągnął ją obok budynku inkwizycji. Ale jak to w ogóle było możliwe? Czyżby i on należał do Opus Spiritus? A jeśli tak, to do której grupy, do „poetów”, czy do „kapłanów”? Jednak jakkolwiek by było, musiała się teraz zdecydować. Chwyciła oburącz koniec tańczącego kijka i dała się przyciągnąć do tratwy.

Bez tchu, uczepliła się krawędzi tratwy. Niczego już nie widziała wyraźnie, tak była słaba. Resztką sił chciała się właśnie wciągnąć na kołyszący pokład, gdy nagle na jej oczach ten brodaty mężczyzna runął na swoją tratwę.

Klara krzyknęła ponownie, a z przerażenia puściła pnie drzew. Nurt porwał tratwę dalej w dół rzeki. Pośrodku niej leżał na plecach ten pijak, a strzała w jego piersi połyskiwała stalowo w świetle porannego słońca. Klara, na wpół żywa z przerażenia, jeszcze raz rzuciła krótkie spojrzenie do tyłu. Ten pies był już prawie przy niej. Czuła jego cuchnący oddech i mogła zobaczyć każdą pękniętą żyłkę w jego wybałuszonych oczach.

W odległości kilku kroków za tą parszkającą bestią płynęła niepozornie mała łódka. Mężczyzna, który w niej siedział, miał na sobie purpurową szatę, a hełm na jego głowie

połyskiwał w świetle słońca tak samo srebrzyście, jak narzędzie, które trzymał przed sobą oburącz.

Przez bardzo krótką chwilę Klara pomyślała już prawie, że to anioł grający na harfie.

Wtedy znów nabrała głęboko powietrza i zanurzyła się pod wodą.

Płynęła tuż nad mulistym dnem, równo poruszając rękami i nogami. Zanim się zanurzyła, zapamiętała sobie jeszcze dokładnie, w którym kierunku miała popłynąć. Chodziło o jej życie. Nie zapomniała o tym ani przez chwilę, jeśli nawet przymuszała się do myślenia o czymś innym.

O tych wszystkich niezliczonych dniach, gdy była jeszcze małą dziewczynką i jeździła na wozie z rodzicami po całym świecie, o tej chwili rok temu, w sierpniu, gdy leżała tam w górze, w Norymberdze, na ulicy, a Amos pochylił się nad nią. „Jesteś ranna?”, zapytał i popatrzył na nią z taką czułością i zatroskaniem, że najchętniej pocałowałby go w usta. Albo o tamtej chwili sprzed kilku tygodni, gdy po raz pierwszy usłyszała w sierocińcu w Wunsiedel jego telepatyczny głos. Albo o tamtych...

Znów zaczęły wirować jej przed oczami jaskrawobiałe punkciki. Musiała się wynurzyć, nie mogła już tak dłużej, w przeciwnym razie udusiłaby się na miejscu. Odbiła się stopami od dna i wystrzeliła w stronę jasnego, kołyszącego się lustra wody ponad jej głową. Jednak ledwo jej usta znalazły się nad wodą, a ona – dysząc – zdążyła wziąć kilka oddechów, poczuła, że coś boleśnie uderzyło ją w potylicę.

Strzała wystrzelona z kuszy?

Czuła, jak drętwieją jej ręce, a nogi uginają się pod nią jak z waty. Wszystko dookoła rozmywało się jej jak we mgle. Nurt pochwyił ją i porwał ze sobą, a Klara bezwolnie mu na to pozwalała. Usiłowała jeszcze przesłać Amosowi telepatyczną wiadomość, wiadomość na pożegnanie, ostatnie pozdrowienie. Jednak była na to zbyt słaba. Amosie, mój wybrańcu, zdążyła jeszcze pomyśleć, uratuj siebie i *Księgę*...

Wszystko na zewnątrz i w środku stało się dla Klary atramentowo czarne.

## ROZDZIAŁ VI

# 1

MŁODY CZELADNIK MURARSKI wydał się tym obu wurzburskim winiarzom dość dziwny Zgarnęli go jakąś godzinę drogi powozem przed ich miastem rodzinnym – z miłości bliźniego, przede wszystkim zaś z ciekawości.

– Jak masz na imię? – spytał jeden z winiarzy, który – sądząc po jego wieku i wyglądzie – był najprawdopodobniej ojcem drugiego.

– Am... Andres Kupferschuh – wyjąkał ten dziwny chłopak.

– A dokąd to?

– Do Wurzburga, do chatki czeladników murarskich przy katedrze, mistrz Dreyfus już na mnie czeka.

Winiarze obrzucili się wyczekującymi spojrzeniami. Biskup Lorenz zarządził rozległą przebudowę katedry w Wurzburgu i ci obaj mężczyźni zapragnęli teraz dowiedzieć się od Andresa Kupferschuha rozmaitych malowniczych szczegółów. Jednak ten czeladnik murarski ledwo zdawał się cokolwiek wiedzieć o planowanych upiększeniach. A dokładnie mówiąc, nie wiedział nic. Już odróżnienie węgielnicy od poziomicy sprawiało mu widoczne trudności. Osobliwe było i to, że jego strój murarski miał przykrótkie nogawki i – jakby dla równowagi – luźno zwisał mu wokół piersi i ramion. Tylko czarny kapelusz pasował jak ulał do jego równie czarnych loków. A jakby i tego było za mało, ten dryblasowaty czeladnik był jeszcze strasznie małomówny.

Winiarze poprosili go, by zajął miejsce w powozie naprzeciwko nich. Jednak już wkrótce mieli tego pożałować. Widok ich młodego towarzysza podróży sprawiał, że czuli się nieswojo. Przy tym bynajmniej nie spoglądał na nich zuchwałym czy zarozumiałym wzrokiem. Wręcz przeciwnie. Przez większą część czasu miał zamknięte oczy, zupełnie jakby drzemał lub nad czymś dumał.

Jednak gdy nagle uniósł powieki i spojrzał na nich swoimi niebieskimi oczami, winiarze wręcz się wzdrygali. Oczy tego Kupferschuha błyszczały, jakby ktoś oświetlał je od wewnątrz lampami z miedzi. Spojrzenie młodego chłopca z pewnością nie było tak

plómiennie, jak to przypisywano temu panu Faustowi, który rzekomo zaprzedał duszę diabłu. Ale za każdym razem, gdy winiarze popatrzyli w oczy czeladnika murarskiego Kupferschuha, niechybnie przychodziły im na myśl tego typu mrozące krew w żyłach opowieści o diabelskich czarownikach czy piekielnych duchach.

Podczas krótkiego postoju obaj mężczyźni naradzali się nieopodal swego powozu. Szybko zgodzili się co do tego, że ten chłopak jest przerażający.

– Zostawmy go lepiej tutaj, na skraju drogi – zaproponował młodszy z winiarzy. – Niech pokłusuje do Wurzburga na karoszu szewca.

Jednak jego ojciec nie chciał o tym słyszeć. Właśnie dlatego, że ten chłopak był tak niesamowity, musieli uczynić wszystko, czego od nich zażąda. W granicach przyzwoitości, oczywiście. Bo gdyby go podburzyli przeciwko sobie, to jeszcze rzuci na nich zły urok, a cóż oni później poczną z kwaśnym winem lub niezadowolonymi klientami. Uchowaj Boże! Jeśli jednak zawiozą go na plac budowy przy katedrze w Wurzburgu, nie dając nic po sobie poznać, to wtedy będą mogli wyjść z całej tej sytuacji obronną ręką.

Syn winiarza wykrzywił twarz w grymasie.

– Jak tam uważasz. Ale nie czuję się z tym dobrze.

– A myślisz, że mnie z tym dobrze? Po prostu nie ma innej możliwości!

Tymczasem czeladnik murarski siedział obok wozu w cieniu buku. Oczy miał ściągnięte w wąskie szparki, z których połyskiwało nienaturalnym wręcz błękitem. Być może wcale nie był czeladnikiem murarskim? Ale dlaczego w takim razie zmierzał na plac budowy przy katedrze w Wurzburgu? Poza tym miał przecież zarzuconą na plecy, zwiniętą linę, taką, jaką nosili zazwyczaj ze sobą murarze i kamieniarze.

Gdy Andres Kupferschuh spojrział na nich w górę, obaj winiarze ponownie się wzdrygnęli. Starszemu z nich przeszło przez głowę, co nie tak dawno temu usłyszał o słynnym budowniczym katedry. Ten powszechnie szanowany mistrz miał podporządkować sobie potężne duchy, bo samym tylko ludzkim umysłem i ludzkimi siłami nie można było wzniesić takich przyprawiających o zawrót głowy katedr, jak te w Norymberdze, Wurzburgu czy Kolonii.

Winiarzom ulżyło, gdy w końcu dotarli do swojego ukochanego rodzinnego miasta. Ostatnie pół godziny ich podróży minęło w przykrym milczeniu. Czelnik murarski zdawał się spać, lecz obaj doszli milcząco do wniosku, że chłopak za tymi opuszczonymi powiekami wywołuje demony. Jeśli został zawezwany do chatki murarzy przy katedrze, mimo że nie miał zielonego pojęcia o murarskim rzemiośle, to nie mógł to być nikt inny, jak tylko potężny mag, mający wyzwolić duchy, które wspomogą budowniczych.

Ledwo minęli bramę miejską, a starszy handlarz wychylił się przez okno i krzyknął w stronę woźnicy, aby zatrzymał wóz.

– Stąd do katedry jest tylko rzut beretem – powiedział do czeladnika murarskiego. – Pójdiesz po prostu dalej tą uliczką, a później w prawo aż do...

I już nie dokończył. Ten chłopak uważnie mu się tylko przyjrzał, jednak handlarz poczuł się tak, jakby ręce jakiegoś ducha zaciskały mu się na gardle.

– Dziękuję za to, że zabraliście mnie ze sobą – powiedział chłopak. – Jak stąd dojdę do klasztoru Szkotów? Opat mnie oczekuje.

Starszy winiarz przełknął kurczowo ślinę, jednak nie wydusił z siebie żadnego słowa. Patrzył tylko błagalnym wzrokiem w stronę swojego syna, który był niewiele mniej skonsternowany od niego samego.

– Masz na myśli Trithemiusa, nowego opata? – wyrzucił w końcu z siebie młodszy z winiarzy. – Ale powiedziałaś przecież...?

Czeladnik murarski spojrzał swymi błyszczącymi, niebieskimi oczami na jednego i drugiego handlarza.

– Proszę, nie kłopotcie się już więcej – powiedział. – Na pewno sam znajdę drogę. – Mówiąc to, pchnął drzwiczki powozu i w następnej chwili stał już na ulicy. Z liną i tobołkiem zarzuconymi na plecy pobiegł w górę uliczki i zaledwie po kilku sekundach zniknął obu handlarzom z oczu.

## 2

AMOS, W CZASIE GDY WĘDROWAŁ zakurzonymi drogami w dolinie Menu, rozmyślał o tym, że jest zwykłym rzemieślnikiem. Od świtu do zmierzchu układałby wtedy kamienie jeden na drugim lub wiązał miotły ze słomy i nie musiałby się troszczyć o nic innego na świecie. Nie ścigaliby go po całym kraju żołnierze ani żadne psy św. Huberta. Ani też łowcy książek ze szmacianymi pancerzami i na wpół szalonymi pomocnikami nie zastawialiby na niego pułapek, tylko dlatego że chcieli dostać w swoje ręce niepozorną książeczkę, którą on nosił przy sobie w tobołku.

Po spojrzeniach winiarzy Amos widział, że nie ma już dla niego odwrotu. *Księga* nieodwracalnie go odmieniła. Ci mężczyźni patrzyli na niego, jakby się go bali. Zwłaszcza jego oczy zdawały się im napędzać strachu, a gdy Amos dostrzegał swoje odbicie w kałuży czy odłamku, to wcale nie miał innego wrażenia. Z jego oczu bił jakiś dziwny blask, jakby iskrzyły się w nich maleńkie gwiazdy.

Biegł teraz przez gąszcz uliczek, nie zważając na swoją drogę. Nigdy jeszcze nie był w tym otoczonym przez winnice mieście, a jednak czuł całkiem wyraźnie, jak powinien pokierować swoimi krokami. Trithemius prawdopodobnie już wiedział, że Amos przybył do Wurzburga, i kierował go magicznymi cugłami do celu.

Słońce stało wysoko na bezchmurnym niebie. Gdzieś po prawej stronie zza szeregu domów przepływał z bulgotem Men. Rozmaici ludzie zaludniali te wąskie uliczki, jednak i o nich Amos prawie w ogóle nie dbał. Swoimi myślami był przy Klarze.

Przed południem próbował kilka razy wysłać jej magiczną wiadomość, jednak bez rezultatu. Nie martwił się jednak z tego powodu. Klara musiała być jeszcze w drodze do Norymbergii, a gdy siedziała w siodle kasztanki, często zapomniała o wszystkim innym. Amos czuł przecież, że dobrze się miewa. I cieszył się z powodu Klary, że już chyba jutro spotka się z matką Zofią. Trochę jej tego zazdrościł. O wiele bardziej ochoczo sam pomknąłby w stronę klasztoru, gdyby tam na górze oczekiwał na niego Kronus.

„Musisz się teraz trzymać mnie”, oznajmił mu Trithemius, i przynajmniej na razie Amos nie miał wyboru. Trithemius był potężnym człowiekiem i mimo że Kronus i on nie zawsze byli jednego zdania, obaj poświęcili swoje życie temu samemu wielkiemu dziełu – stworzeniu książki o duchach.

Jedna z wąskich uliczek prowadziła w górę do klasztoru, który wznosił się na wzgórzu. Główny dom stanowiła dwupiętrowa budowla z równomiernymi szeregami okien, która była otoczona wysokim murem. Obok niej, po lewej stronie, wznosił się kościół klasztorny – dwie smukłe, białe wieże ze spiczastymi łupkowymi dachami nad potężną nawą kościoła.

Zakołatał do bramy. Przez dłuższy czas nie wydarzyło się zupełnie nic. W końcu małe okienko w bramie otworzyło się, a za nim ukazała się pomarszczona twarz bardzo starego mnicha.

– Chwała niech będzie Bogu. Czego sobie życzysz, synu? – Jego bezzębny bełkot z wielkim trudem można było zrozumieć. – Nie wzywaliśmy żadnego murarza.

Amos zdjął kapelusz z głowy.

– Wybaczcie, bracie. Nie jestem murarzem. Ten czarny strój pożyczyłem sobie tylko z



pewnych względów.

– Z pewnych względów? – powtórzył starzec. – Nie pojmuję ani słowa.

Amos zrobił ujmującą minę.

– Oczekuje mnie opat. Proszę, donieście mu, że przybył Amos von Hohenstein.

– Jesteście Amosem von...? – Sędziwy furtian zrobił wielkie oczy. – Czemu nie powiedzieliście tego od razu?

Okienko w furcie zamknęło się i już po kilku chwilach drzwi odskoczyły z rdzawym zgrzytem.

– Wejdźcie, paniczu!

Amos podążył za starym mnichem przez dziedziniec klasztoru. Drzwi wejściowe w portalu, prowadzące do głównego budynku, były szeroko otwarte. Przejście do wewnętrznego dziedzińca klasztoru pomieściłoby czterokonny powóz. Drzwi prowadziły zarówno po prawej, jak i po lewej stronie do budynku klasztoru, jednak sędziwy furtian podreptał dalej prosto na wewnętrzny dziedziniec.

Chłopak szedł tuż za nim.

– Dokąd mnie prowadzicie, bracie? – zapytał.

Stary mnich nie odwrócił nawet głowy w jego stronę, a Amos poprzestał na tym. Oczywiście, że brat furtian prowadzi go do Trithemiusa, bo dokąd?

Za wieloma różnymi wąskimi oknami czuł wzrok wielu par oczu, które wypatrywały go nadchodzącego lub podejrzliwie spoglądały za nim, odchodzącym. Jednak opata Trithemiusa nie było w żadnej z tych cel czy sal – Amos od razu rozpoznałby przenikliwe spojrzenie jego kryształowo czystych oczu. I tak nie dziwiło go, że zostawili za sobą także wewnętrzny dziedziniec. Przemierzyli kolejne przejście, a za nim rozciągał się rozległy ogród. Był to raczej park, z kunsztownymi, krętymi drózkami i niewielkim jeziorem w środku. Drzewa i krzewy były tak uporządkowane i przystrzyżone, że z żadnego miejsca nie można było dostrzec końca ogrodu. Dzięki temu park sprawiał wrażenie jeszcze rozleglejszego, niż był w rzeczywistości.

Również tę niepozornie małą budowlę z pokrytą patyną kopułą Amos dostrzegł dopiero wtedy, gdy stanęli bezpośrednio przed nią. Była zręcznie wkomponowana we wnękę między sękatymi, starymi drzewami i zewnętrznymi murami klasztoru. Trzy, sprawiające wrażenie chybotliwych, stopnie prowadziły w górę do wąskich drzwi wejściowych, które musiały liczyć już wiele stuleci. Na pierwszy rzut oka Amosowi wydawało się, że drzwi są obite od góry do dołu żelazem. Ale były wykonane z drewna, a ze starości stały się twarde jak kamień, lśniące i szare niczym spękane żelazo lub pancerz jaszczurki.

Mnich wszedł cicho, postępując, po stopniach i otworzył pchnięciem drzwi.

– Wejdźcie, panie Amosie, i rozgośćcie się. Na pewno chce się wam jeść i pić. Częstujcie się, śmiało! – Odszedł nieco na bok i skinieniem zaprosił Amosa do środka. – Tymczasem ja pospieszę do opata i doniosę mu, żeście przybyli.

Mówiąc te słowa, stary mnich odszedł, powłócząc nogami. Drzwi zatrasnęły się za jego plecami, a Amos został sam w tym dziwnym pokoiku.

Było to pięciokątne pomieszczenie, zwieńczone kopułą przypominającą biskupią czapkę. W czterech spośród tych pięciu ścian osadzone były wąskie okna, które wychodziły na mały park. Jednak przed każdym z nich stał przyszczyżony krzew, przez co ledwo można było dojrzeć odleglejsze części parku. Pośrodku pokoju ustawiony był ogromnych rozmiarów drewniany stół. Jego blat miał również kształt pentagramu i spoczywał na ogromnie grubej kolumnowej nodze. Dookoła stołu ciągnęła się kolistą kamienną ławka, która wyglądała prawie tak, jak wykuty w kamieniu magiczny krąg.

Najdziwniejsze było jednak kłębowisko małych jak paznokcie u rąk kółek i łuków, kątów i linii, którymi był pomalowany cały pokój. Każdy cal podłogi, ścian, sufitu, stołu, a nawet ławki do siedzenia, był pokryty tymi osobliwymi magicznymi znakami.

Amos stanął przed jedną ze ścian i przejechał po niej opuszką palca. Znaki były wryte w kamieniu i dodatkowo poprawione wieloma różnymi farbami, zupełnie jakby artysta chciał zapobiec temu, by kiedykolwiek zostały stąd usunięte.

Przyjrzał się uważniej znakom. Z początku wyglądały jak zwykłe gryzmoły, ale już niebawem chłopak odkrył, że powtarzają się one w pewnych odstępach. Jeden z nich wyglądał jak „X” ze złamanymi belkami poprzecznymi, które były ponadto oplecione ciernistymi pnączami. Inny znak przypominał „O”, przeszyte pierzastą strzałą. Trzeci z symboli przywodził Amosowi na myśl „U”, którego wewnątrz zamurowano ciosanymi kamieniami.

Im dłużej przyglądał się tym osobliwym znakom, tym bardziej czuł się nieswojo. Artysta pokrył każde miejsce zniszczonymi lub zeszpeconymi literami. Ale dlaczego? Opatowi Trithemiusowi nie mogła się podobać taka dekoracja. Bądź co bądź, uchodził za jednego z najwybitniejszych uczonych w piśmie na świecie. A mimo to Amosowi wydawało się, jakby Trithemius kazał go tutaj przyprowadzić właśnie dlatego, że wszystko było w tym miejscu usłane gąszczem tych pomalowanych, połamanych i pogruchotanych liter.

Usiadł na kamiennej ławce, wlał sobie wody z glinianego dzbanka i duszkiem wychylił kubek. Na stole leżały także chleb, ser i rozmaite owoce, którymi Amos zajadał się z apetytem. Ledwo skończył jeść, a już zerwał się z miejsca i biegał niespokojnie po tym

pięciokątym pokoju.

Opat Trithemius kazał na siebie czekać, jednak Amosowi i tak nie było szczególnie spieszno do tego spotkania. Gdyby tylko nie ten wszechobecny chaos, na który składały się złamane i zamurowane litery! Nawet najmniejszy i najskrytszy zakątek w tym pokoiku był pokryty tymi osobliwymi znakami. Dużemu „A” połamano nogi, a później złączono ze sobą. Jakby dla równowagi każdemu „R” rozłupano czaszkę, a górna belka poprzeczna, złamana na dwie połowy, zwisała jakby do wnętrza głowy. Wszystko wskazywało na to, że artysta odczuwał złośliwą radość, jaką sprawiało mu zeszcpecenie wszystkich liter alfabetu w możliwie najbardziej fantazyjny i straszny sposób. Ale cóż to miało oznaczać? W końcu był to klasztor, a w Biblii jest przecież napisane, że ziemia i wszystkie stworzenia nie są niczym innym, jak tylko literami i słowami w księdze Boga.

Za plecami Amosa rozległo się ciche chrząkanie. Chłopak szybko się odwrócił. W drzwiach wejściowych stał Trithemius.

– Wybacz mi, nie chciałem cię przestraszyć. – Opat uśmiechnął się ze skruchą, podbiegł do niego i wyciągnął w jego stronę obie ręce. – I oczywiście nie chciałem kazać ci na siebie czekać. Ale nawet nie wyobrażasz sobie, ile pracy wiąże się z kierowaniem klasztorem. Zwłaszcza na początku, gdy trzeba wyrwać mnichów z ich starych, utrwalonych przyzwyczajęń i skłonić ich do przyjmowania nowych zadań, do których nie przywykli.

Ujął dłonie Amosa w swoje ręce, które były pomarszczone i wydawały się zupełnie pozbawione wagi.

– Amosie, jakże się cieszę, że cię widzę w twojej cielesnej postaci!

Amos musiał przełknąć ślinę. Nie był przygotowany na tak przyjazne powitanie. Głos Trithemiusa wciąż jeszcze brzmiał jak szelest starego papieru, ale – niezależnie od tego – opat tym razem wcale nie wydał mu się tak przerażający. Jego łagodny uśmiech przywodził mu na myśl Kronusa, który często witał go w ten właśnie sposób. Jego szczupła postać, wyprostowana postawa i żywe spojrzenie sprawiały, że i tak do pewnego stopnia przypominał swego brata z łoży, Valentina Kronusa. Jednak gdy tylko otwierał usta, a z jego gardła dobywał się ten zakurzony, szeleszczący papierem głos, całe to pocieszające złudzenie pryskało niczym bańka mydlana.

– Z pewnością zadajesz sobie pytanie, co mają znaczyć wszystkie te znaki. – Trithemius wskazał na ściany i na stół. – W tym domu mieszkał do niedawna pewien eremita. Zwał się Paulus i sam wymalował w ten sposób całą pustelnię.

– Ale po co? – spytał Amos.

Trithemius uśmiechnął się zamyślony.

– Brat Paulus był surowym człowiekiem – powiedział. – Boskimi przepisami przejmował się bardziej niż wszyscy inni bracia żyjący w tym klasztorze. Był święcie przekonany, że już samo tylko zapisanie danej litery według własnego widzimisie jest grzechem śmiertelnym, nie mówiąc już o całych wyrazach i zdaniach. Bo w znakach pisma tkwi boska moc i nikt, poza Bogiem w niebie i jego aniołami, nie ma prawa używać tych znaków.

Opat Trithemius wzruszył ramionami i spojrzał na Amosa w taki sposób, jakby chciał go poprosić o wyrozumiałość dla tego dziwaka.

– Z tej surowej reguły – ciągnął dalej – brat Paulus zwolnił tylko kilku nielicznych ludzi, właściwie wyłącznie wielkich proroków z Pisma Świętego, bo ci, jak zwykł niestrudzenie zapewniać, zapisywali w końcu tylko to, co podyktował im sam Bóg lub Jego anioły. Kto się jednak ośmielił spisywać własne myśli i wymysły, ten – według słów brata Paulusa – pierwszym pociągnięciem pióra zaprzedał duszę diabłu. Dlatego też Paulus poczytywał to za swój święty obowiązek, by tak udreńczy litery, aby nigdy już nie mogły połączyć się w grzeszne słowa lub zdania.

Amos bezradnie przesunął wzrok z Trithemiusa na gąszcz znaków na ścianach. Po prostu nie rozumiał, co opat chciał mu powiedzieć poprzez przytoczenie tej opowieści. W końcu sam Trithemius przez całe swoje życie naruszał właśnie te przepisy. Własnoręcznie napisał dużo książek lub też przetłumaczył wiele pism z prastarych i egzotycznych języków. Zebrał setki różnych dzieł z całego świata, a swoim braciom w Sponheim zlecił sporządzanie niezliczonych kopii tych egzemplarzy, aż mnisi z tego klasztoru przepędzili go z pomocą inkwizytora i purpurowych wojowników, a cała jego biblioteka została wydana na pastwę płomieni. Przede wszystkim zaś Trithemius z zaangażowaniem pomagał Kronusowi w spisywaniu *Księgi duchów*.

– Ale wy, panie – odezwał się w końcu Amos – wy nie podzielaliście przecież poglądów tego brata Paulusa?

Na twarzy Trithemiusa znów zajaśniał łagodny uśmiech, dzięki któremu był tak podobny do Kronusa.

– Owszem – odparł, a brzmienie jego głosu znów zniweczyło wszelkie wrażenie podobieństwa z Kronusem – a w każdym razie nieco szerzej niż ten surowy eremita pojmując ów krąg wybrańców.

Odwrócił się i usiadł na kamiennej ławce.

– Usiądź obok mnie, Amosie. Jadłeś już i piłeś? To dobrze. Porozmawiajmy o *Księdze duchów*. I o was, o Klarze i o tobie. Dlaczego nie przybyła wraz z tobą? No dobrze, wiem już

dlaczego. Nie musisz mi niczego wyjaśniać. – Pomiął tę kwestię, zanim jeszcze Amos zdążył choćby otworzyć usta.

Amos poczuł bezgraniczną ulgę. Opat zdawał się wiedzieć, że Klara dojedzie do niego tak szybko, jak to tylko będzie możliwe, a to, czy nastąpi to dzień wcześniej czy później, najwidoczniej nie robiło mu różnicy. Cały ten Trithemius nie był tak złym człowiekiem, jak się tego obawiał wraz z Klarą. I czy ten mądry opat mógł w ogóle podjudzić morderczych podpalaczy, aby ci zabili ich rodziców? I to podejrzenie nagle wydało się Amosowi niewiarygodne. Za tymi okropieństwami stał na pewno ktoś zupełnie inny, a Trithemius dowiedział się o wszystkim dopiero wtedy, gdy było już za późno! Bo z człowiekiem, który zlecił zamordowanie rodziców bezbronnych dzieci, i to tylko po to, by zdobyć kontrolę nad tymi dziećmi, z takim potworem Kronus i matka Zofia nigdy by przecież nie działali w zмовie.

Amos dopowiedział sobie wszystko naprędce, tymczasem Trithemius uważnie mu się przyglądał. Czyżby do opata docierało wszystko to, co właśnie kłębiło mu się w głowie? A jeśli nawet, pomyślał Amos, to przecież Kronus też często czytał w jego myślach, nawet jeśli zawsze temu zaprzeczał.

– Nie uważają jeszcze walki za straconą – powiedział Trithemius, wpadając w jego myśli. – Mam na myśli Cellariego i jego tropiciela, całego tego Skythisa. Zrobią wszystko, by dostać w swoje ręce *Księgę*. – Pokręcił lekko głową i spojrzał na Amosa, uśmiechając się. – Tylko nie myśl, że potrafię zaglądać w przyszłość niczym biblijni prorocy. Po prostu potrafię dodać dwa do dwóch. Poczekaj tylko, za kilka dni wszyscy tu przybędą. Panowie dominikanie i mężczyźni w purpurowych uniformach. Oczywiście, nie zabraknie i łowców książek, którzy sami wyglądają w tych swoich skórzanych pancerzach jak sfatygowane, stare inkunabuły.

Nalał sobie wody do połowy kubka, którym tylko pomachał, nie wypijając z niego ani łyka.

– Ale nie martw się, chłopcze – ciągnął dalej. – U mnie jesteś bezpieczny. Musisz mi tylko obiecać, że na razie nie będziesz opuszczał pustelni. – Urwał na krótką chwilę i popatrzył na Amosa wyczekującym wzrokiem. Jednak po chwili znów zaczął mówić, uśmiechając się, zanim jeszcze Amos zdążył choćby otworzyć usta.

– Klara też przybędzie tu na czas i również będzie u mnie całkowicie bezpieczna – powiedział poważnym tonem. – Gwarantuję wam to obojgu. Ba, jestem skłonny od razu ci to przysiąc, jeśli przywiązujesz do tego wagę.

I znów powtórzyło się to samo przedstawienie. Opat spojrzał na Amosa zachęcająco,

uśmiechnął się do niego przelotnie, po czym zaczął mówić dalej, zupełnie jakby złożył już przysięgę.

– Sam zatem widzisz – ciągnął dalej. – Pomyślałem o wszystkim. Nie spotka was nic złego, dopóki będziecie postępować zgodnie z moimi wskazówkami.

Przytknął kubek do ust i pociągnął mały łyk.

– Zresztą wcale nie chcę mieć tej *Księgi* – dodał potem. – W każdym razie nie teraz. Możesz ją spokojnie zachować i przeczytać czwartą opowieść. Zanim tam, na zewnątrz, wszystko tak naprawdę się zacznie, minie jeszcze trochę czasu. – Wykonał niejasny ruch ręką w stronę okna, zupełnie jakby purpurowi wojownicy czaili się już tam na zewnątrz w krzakach. – Wystarczy czasu – ciągnął dalej – by i Klara przeczytała do końca *Księgę*. Sami się przekonacie.

– Chciał się już podnieść z kamiennej ławki.

– Zaczekajcie, panie. – Amos spojrzał na niego błagalnym wzrokiem. – A jak wyglądają wasze dalsze plany? Kronus chciał zawsze, aby *Księga* została wydrukowana i rozpowszechniona na całym świecie, tak aby łowcy książek nigdy nie mogli przywłaszczyć sobie wszystkich egzemplarzy i ich zniszczyć. – Splótł dłonie, na pół w geście prośby, a na pół z zakłopotania. – Powiedzcie mi, panie, czy to także wasze plany?

Trithemius uśmiechnął się do niego dobrotliwie.

– Kronus byłby z ciebie dumny, mój synu. I wierz mi, ja jestem też nie mniej. – Przerzucił swoje nogi do tyłu ponad ławką i wstał.

– Ale Kronus zrozumiałby także – ciągnął dalej i wstał, rzucając Amosowi połowiczne spojrzenie przez ramię – że musimy nieco dopasować nasze plany do okoliczności. Obecnie nie możemy tak po prostu oddać *Księgi* do druku, a wszyscy przecież wiemy, że Valentin Kronus nie jest w tym względzie całkiem bez winy. Dlaczego musiał przesłać kopię cenzorowi Rzeszy? Było to nazbyt śmiałe, ba, beztroskie posunięcie. Jeśli kukulka chce podrzucić jajo kosom, to nie może go tak na wstępie straszyć. Musi przynajmniej poczekać, aż kosi się nieco uspokoją. I tak właśnie zrobimy.

Najwyraźniej Trithemius uwielbiał wypowiadać się zagadkowo. Bo co miały oznaczać te kosi i kukulka? Prawdopodobnie opat chciał powiedzieć, że zamierza potajemnie oddać *Księgę* do druku, gdy łowcy książek zaniechają kiedyś w końcu poszukiwań Kronusowego oryginału. To jednak, kiedy to nastąpi i czy w ogóle nastanie taki dzień, pozostawało niepewne, wręcz tajemnicze.

Ale czy nie byłoby najbezpieczniejszym rozwiązaniem, zastanawiał się Amos, gdyby zanieśli manuskrypt tamtemu Hebedankowi? Zecer z drukarni Kobergera był szanowanym

człowiekiem, u którego z pewnością nikt nie szukałby tak podejrzanej książki. A Hebedank sam wiedziałby najlepiej, kiedy i w którym dobrze ukrytym warsztacie mógłby potajemnie wydrukować tę książkę o duchach. W końcu to właśnie jego Kronus już dawno temu przygotował do tego zadania.

Mimo że Amosowi nazwisko Hebedank cisnęło się na usta, zdławił je w sobie. Nagle wydało mu się, że Trithemius niczego nie wie o zecerze i że być może byłoby lepiej, gdyby się nie dowiedział. I tak przyglądał się tylko w milczeniu, jak Trithemius idzie w stronę drzwi i kładzie rękę na klamce.

– Tymczasem – powiedział opat, jakby mimochodem – Klara i ty wybierzcie się w magiczną podróż. Dzięki magicznym zdolnościom, które wzbudzi w was czwarta opowieść.

– Podróż, panie? – powtórzył Amos. – Dokąd?

– Niech to będzie niespodzianką – odparł opat. – Ale już teraz mogę ci obiecać jedno: będziecie zachwyceni. I jeszcze będziecie nam za nią dziękowali na kolanach.

Jednak Amos poczuł się dość nieprzyjemnie. O czym znowuż opowiadał opat?

– Powiedzieliście „nam” – odrzekł. – Kogo macie na myśli poza wami?

Trithemius pokręcił głową, uśmiechając się.

– A kogóż by jeszcze? – powiedział i otworzył drzwi. U podnóża niewielkich chybotliwych stopni Amos dojrzał dwóch barczystych mężczyzn w benedyktyńskich habitach, którzy nosili miecze za pasem.

– Fausta, oczywiście – dodał opat, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

### 3

CZARNY POWÓZ zatrzymał się przed norymberską siedzibą inkwizycji. Po przeciwległej stronie ulicy od razu zebrał się ciekawski tłumek. I jak za każdym razem w takiej sytuacji w tłumie wyróżniało się kilka gaduś, które zawsze wiedziały rzekomo całkiem dokładnie, kogo tym razem złapali łowcy kacerzy.

– Znachorkę – krzyknął jeden z gapiów – która zna zakazane sposoby na zapobieganie owocom miłości. – Kilka kobiet zachichotało, a mężczyźni zaczęli wykonywać sprośne gesty.

– Jakiś podburzający lud kaznodzieja, który utrzymuje, że na Tronie Piotrowym zasiada diabeł wcielony! – Stojący dookoła pobledli i cofnęli się przed szaleńczo odważnym krzykaczem.

– Trzymaj lepiej tę swoją niewyparzoną gębę – radzono mu.

– Chyba nie chcesz być kolejną osobą, którą tam odpowiednio potraktują.

– Czarnoksiężnika – spekulowano dalej – który przemienił ołów i błoto w złoto. – To przypuszczenie wywołało u gawiedzi jedynie wzruszanie ramionami. Zabrzmiało to po prostu zbyt nieprawdopodobnie. Nie to, że istnieli magowie, którzy wytapiali złoto, lecz to, że książe Kościoła miałoby wtrącać do więzienia lub kazać zabić kogoś, kto opanował tę jakże drogocenną sztukę. W końcu skarbce dostojnych panów świeciły pustkami.

– Ja wam powiem, kto siedzi w powozie! – krzyknął w końcu czwarty gaduła. – Znow złapali jednego z tych kaznodziejów, którzy głoszą, że Bóg przemawia do nas przez nasze sumienie, a nie ustami biskupów czy kapłanów!

I znowu twarze gapiów pobladły ze strachu. Co prawda, w izbie tortur można było wylądować z wielu różnych powodów, jednak ta sprawa była tak niebezpieczna, że lepiej było nie pisać ani słowa na ten temat. W rzeczywistości sprawy miały się tak: kogokolwiek zaareztowała inkwizycja, ten z początku zaprzeczał wszystkiemu, o co go obwiniano. Ale samo już przeczenie uchodziło za dowód winy lub – dokładniej mówiąc – za dowód, że dana osoba była opętana. Diabelskie duchy siedziały w sercach kacerzy i zmuszały tychże, aby okłamywali świętych mężów z inkwizycji i ubliżali im najgorszymi przekleństwami. Podobnie jak i wcześniej demony zmuszały ich do zarzucanych im zbrodni, a więc na przykład do utrzymywania, że Ziemia jest okrągła. Mimo że każdy przecież względnie rozumny człowiek mógł się przekonać na własne oczy, że Ziemia jest płaska jak naleśnik.

W więzieniu opętanych przez demony traktowano szczypcami lub przesłuchiwano na madejowym łożu, ale to wszystko czyniono dla ich dobra. W ten sposób przepędzano demony z porażonych opętaniem ciał. Na dowód tego, że wypędzenie demonów rzeczywiście się powiodło, przesłuchiwani przyznawali się w końcu z płaczem do wszystkich zbrodni, o które ich obwiniano, a w większości przypadków także do pół tuzina innych.

Tak przynajmniej wynikało z rozmów gapiów i gadułów, którzy zebrali się na ulicy Zamkowej przed siedzibą inkwizycji i na znajdującym się tuż obok placu Dominikańskim. W końcu nie codziennie zdarzało się takie przedstawienie! Wszyscy gapili się wyczekującym wzrokiem na czarną karocę z zatkniętym sztandarem norymberskiej inkwizycji. Jednak gdy drzwiczki karety wreszcie się otworzyły, a z powozu wyszła chwiejnym krokiem chuda postać, gapie odczuli wielkie rozczarowanie. Taki szkielec łachmaniarza nawet nie palilby się



porządnie na stosie, tak wycieńczony był ten chłopak! Lub raczej, skorygowała jedna z gadulskich osób w tłumie: chłopak znakomicie by się palił, jak ceber czy strach na wróble, tyle tylko, że równie szybko by się spopielił.

Dwóch papieskich żołnierzy, którzy siedzieli wcześniej na koźle przy woźnicy, wzięło chłopaka pod ramiona i powlekło go po stopniach w stronę portalu. Ludzie mieli się już rozpierchnąć na wszystkie strony, gdy z karocy wysiadł kolejny pasażer. Tym razem przez tłum przemknęła fala szeptów, a ciekawscy z pewnością daliby głośniejszy wyraz swemu zachwytowi, gdyby w tym czasie jednocześnie nie ścisnęło im gardeł.

- Wygląda niczym anioł – szeptali do siebie.
- Jak jeden z archaniołów, który strzeże rajskiego ogrodu, z płomiennym mieczem.
- Jak Michał, który przepędził z nieba diabła wraz z jego orszakami.

Uwadze młodego dominikanina z pewnością nie uszedł podziw, który wywołał jego widok wśród ludzi. Jego skóra była tak prześwitująco biała, że można było pod nią dostrzec każdą wijącą się żyłkę. Tonsura mnicha miała kolor platyny i połyskiwała niczym aureola. Tak zwiewnie, jakby nie musiał wcale dotykać ziemi, młody mnich przemknął po schodach. W następnej chwili i on zniknął w budynku inkwizycji, po czym czarne skrzydło portalu zatrzęsnęło się z hukiem – Tak zatem powracasz, mój synu. – W środku, w holu, brat furtian wychylił głowę zza drewnianego przepierzenia i spojrzał na Hannesa z dezaprobatą. – Jako zdrajca, co się brata z diabłem?

Był to ten sam młody dominikanin, który wtedy śmiał się z niego – Hannes Mergelin rozpoznałby go nawet w mroku, pośród setek osób, po jego zarozumiałym tonie i szyderczo uniesionych brwiach. Zupełnie w ten sam sposób mnich popatrzył na niego wtedy, gdy Hannes czekał w holu na inkwizytora Cellariego, jednak wówczas przybył jako pomocnik podcenzora Skythisa, by przekazać Cellariemu *Księgę duchów*. A tym razem? Wielkie nieba, pomyślał Hannes, miał skute ręce i nogi i był więźniem inkwizycji!

Nogi zaczęły się pod nim uginać. Obaj purpurowi wojownicy wciąż jeszcze trzymali go po lewej i prawej stronie za ręce, jakby miał w następnej chwili zaryzykować próbę ucieczki, przy tym mógłby być im wdzięczny, że pomagali mu w stanie względnie prosto. Brat furtian niezmiennie patrzył na niego z drwiną wymalowaną na twarzy. Zdawał się już cieszyć na trwożliwe brednie, które zaraz wybełkoce więzień, lecz Hannes nie zrobiłby temu zarozumiałemu chłopakowi takiej przyjemności.

– Z Szatanem jesteś na pewno lepiej zaznajomiony niż ja – wydał z siebie pisk. – Widzę przecież, jak demony tarzają się w twoim sercu, niczym czerw w gnijącym mięsie!

Chłopak splunął bratu furtianowi w twarz, a ten się przeżegnał. Tymczasem Hannesa

Mergelina powleczono dalej przez potężny hol, między malowidłami na ścianach, pełnymi archaniołów i chrześcijańskich rycerzy, którzy pokonywali diabły i smoki za pomocą ognia i miecza.

I takim samym diabłem, powiedział sobie Hannes, jestem teraz w ich oczach i ja. Obrzydliwym smokiem, któremu przeszyją mieczami gardziel. Potworem z piekła rodem, nie zasługującym na żadną wyrozumiałość, żadne miłosierdzie.

Kolana wciąż jeszcze uginały się pod nim, ale było to spowodowane jedynie osłabieniem i trudami, które miał za sobą. Hannes dość wyraźnie przeczuwał, co czekało teraz na niego w więzieniu inkwizycji, jednak dziwnym trafem za bardzo się nie lękał. Przy tym przepełniały go różne rodzaje strachu: przed bólem i głodem, przed upokorzeniem i śmiercią. Ale był niezłomnie zdecydowany, że nie da niczego po sobie poznać bratu Meinolfowi i innym młodym dominikanom, i ta jego determinacja była niczym żelazna klatka w jego wnętrzu, w której więził swoje przerażenie.

Powlekli go w stronę drzwi na końcu holu, które prowadziły do lochów. Hannesowi przysłała na myśl młoda kobieta, którą wtedy tak samo wleczono w stronę lochu, jak dziś jemu się to przytrafia. Jedno oko miała już rozbite, a drugim nieprzerwanie patrzyła na niego, w czasie gdy oprawcy ciągnęli ją w stronę tamtych drzwi. W jej spojrzeniu nie widział ani cienia błagania, ani najmniejszej nawet iskierki nadziei. Kobieta wiedziała, że zdoła umknąć swoim dręczycielom już tylko w jeden sposób – przez śmierć. W całym tym swym złęczonym zdziwieniu Hannes zadawał sobie wtedy pytanie: Jak to było możliwe, że potrafił czuć dokładnie to samo, co odczuwała tamta młoda heretyczka lub wiedźma? Wówczas sądził jeszcze, że to była sprawka tej diabelskiej książki, jednak teraz wiedział, że wszyscy się mylili: Cellari, Skythis i on sam. Nie mówiąc już o bracie Meinolfie, który szedł tuż za nim, podskakując. Na pewno palił się już do tego, by przesłuchać Hannesa za pomocą ognia i szczypiec. By wypytać go o Opus Spiritus i książkę o duchach, o Amosa i Klare.

On niczego mu nie wyjawia, mówił sobie Hannes, nigdy. I nieważne, czym będą mu grozili inkwizytorzy i co będą z nim robili.

On nie zdradzi im nawet najbliższego szczegółu. Tym bardziej że i tak niczego nie wiedział, co mogłoby mieć jakiegokolwiek znaczenie dla Cellariego w jego polowaniu na Opus Spiritus.

Spuścił powieki i wejrzał w głąb siebie. Jednak na swym wewnętrznym niebie mógł dojrzeć tylko samego siebie, swoje własne magiczne serce. Źródło światła Klary zdawało się zgasnąć, tak samo jak gwiazda Amosa. Hannes nie umiał sobie tego wytłumaczyć. Niepokoiło go to o wiele bardziej niż wszystko, co czekało go w izbie tortur. Klara również musiała być

gdzieś tutaj w Norymberdze, a jednak nie mógł połączyć się z jej magicznym sercem. Także zazwyczaj potężnie świecąca gwiazda Amosa zniknęła nagle z jego wewnętrznego nieba. Jeszcze kilka godzin wcześniej Hannes widział, jak Amos oddala się coraz bardziej na zachód. A potem zgasł za jednym razem, niczym spadająca z nieba kometa.

– Tędy, chłopcze. – Jeden z purpurowych wojowników otworzył drzwi, a drugi pchnął go przez nie.

I tak, jak wszystko w holu było jasne i rozległe, tak całkiem ciemno i bardzo ciasno było po drugiej stronie drzwi. Okna były przesłonięte czarnymi kotarami. We wnękach w ścianach paliły się pochodnie, które spowijały wszystko pomarańczowym migocącym światłem.

Purpurowi wojownicy pociągnęli Hannesa w stronę schodów, które prowadziły stromo w dół.

– W którym lochu mamy go umieścić, Meinolf? – zapytał jeden z nich.

W czasie gdy schodził chwiejnym krokiem po schodach, Hannes odwrócił głowę do tyłu. Na twarzy Meinolfa znów płonęły rumieńce.

– Do siódmego lochu – powiedział młody dominikanin z łagodnym uśmiechem na twarzy. – Naprzeciwko tej drewnianej kukły. Sami wiecie, tego pogańskiego bożka. Być może nawet obie nasze sterty kości nakłonią się wzajemnie do śpiewania?

Zaśmiał się radosnym i wysokim głosem. I właśnie ten beztroski śmiech wzbudził w Hannesie strach – obudził w nim tego czterogłowego smoka, który zaczął szaleć w swej żelaznej klatce.

## 4

CELA WIĘZIENNA HANNESA BYŁA WŁAŚCIWIE tylko wnęką w murze z żelaznymi, okratowanymi drzwiami. Przy ścianie po lewej stronie znajdowała się kamienna ławka z kilkoma garściami rozsypanej, zgniłej słomy, w której pełzały chrząszcze i robactwo. Hannes siedział z głową przechyloną do przodu na ławce, w nocy służącej mu jednocześnie za posłanie. W każdym razie we wnęce nie było już żadnych innych mebli, ani stołków, ani

stołu, ani żadnego innego przedmiotu. Nie było też okien, nawet szczyrby czy szpary w murze, przez którą do lochu Hannesa mogłoby się sączyć światło. Była tylko kamienna ławka i mur, o który uderzał głową, gdy za mocno pochylał się do przodu. Była zgniła słoma, po prawej stronie drzwi do klatki, a w jej wnętrzu goniący w kółko, prychający strach.

Naprzeciwko jego celi znajdowała się jeszcze jedna, o której mówił wcześniej brat Meinolf. Z drewnianą kukłą w środku, dobrze widoczna dla Hannesa, gdy ten zwrócił głowę nieco w prawo. Na zewnątrz w korytarzu paliła się osadzona w ścianie pochodnia, a cela z naprzeciwka była nawet lepiej oświetlona – wieloma pochodniami ściennymi i niewielkim paleniskiem na ziemi, w którym ogień był podtrzymywany przez jednego z siepaczy odpowiedzialnych za tortury.

Jednego z jak wielu? Zajął mu to trochę czasu, aż mniej więcej się w tym połapał na podstawie ich bełkotu. Był jednak pewien, że tam, po drugiej stronie, krząta się trzech mężczyzn. Mimo że ze swojej celi zawsze widział tylko dwóch z nich. Loch z naprzeciwka był mianowicie o wiele rozleglejszy od celi Hannesa. Ze swojej kamiennej ławki mógł dojrzeć tylko jego wycinek za okratowanymi drzwiami. Wszystko wskazywało na to, że ów loch po drugiej stronie ciągnął się jeszcze niezły kawałek w prawo, wystarczająco daleko, by pomieścić jeszcze tego niewidocznego trzeciego kata, którym mógł być przykładowo Cellari lub ktoś zupełnie inny. Trudno powiedzieć.

Zwłaszcza że w Hannesie szalał strach, więc jeszcze trudniej było mu zebrać myśli. Jednak to, co leżało tam, po drugiej stronie, na ziemi, nie mogło być niczym innym, jak tylko rzeczonym „kościotrupem”. „Drewnianą lub też szmacianą kukłą”, jak Skythis opisał to kiedyś w lesie. Zawartość tego wielokrotnie zasnuwanego zwoju sukna czy dywanu, który wtedy w folwarku młyńskim Hannes taszczył z Gregorem do żelaznego wozu. Wówczas wydawało mu się, że to zawiniątko drgało i drżało w nierównych odstępach czasu. Ale teraz „ta drewniana kukła” leżała tam, po drugiej stronie, cicho i bez ruchu.

Leżała na plecach, o ile w ogóle można mówić o plecach w przypadku wydrążonego pnia drzewa, przy okratowanych drzwiach. Tuż obok palił się ogień, nad którym mnisi na zmianę podgrzewali swoje szczypcy i kociołki z kadzidłem. Dzięki temu Hannes mógł dokładnie obserwować, co działo się tam po drugiej stronie. I bez wątplenia wszystko zostało tak celowo zaaranżowane – w końcu „obie te sterty kości miały się wzajemnie nakłonić do śpiewania”, jak się wyraził przedtem Meinolf, po czym parsknął gromkim śmiechem.

Tymczasem tam, po drugiej stronie, nikomu nie było do śmiechu. Obaj mnisi wymachiwali swoimi kadzielnicami nad „kościotrupem”, którego trupia czaszka blado połyskiwała w stronę Hannesa. Do tego mamrotali wciąż te same słowa.

– Valentinie Kronusie, demonie Szatana, nakazujemy ci w imię Zbawiciela, który przemierzył piekielną czeluść, wyjdź z tego bożka!

Tak właśnie mruczeli bez przerwy mnisi, raz we dwóch, a niekiedy także we trzech, jak to sobie stopniowo uświadomił Hannes. I raz po raz jeden z ludzi Kościoła pochylał się i szczypał „drewnianą kukłę” rozżarzonymi szczypcami. Wtedy za każdym razem unosiła się cienka strużka dymu, a do Hannesa docierał zapach spalonej kory, uwędzonych szmat lub zwęglonych kości.

Jednak „szmaciana kukła” nie pisnęła ani słówka, nawet nie drgnęła. Przede wszystkim zaś nic nie wskazywało na to, aby Valentin Kronus, rzekomy demon Szatana, miał opuścić „drewnianą kukłę”.

Czyżby Kronus rzeczywiście się ukrył w tym przerażającym bożku z drewna, kości i szmat? Hannes nie był w stanie się nad tym zastanawiać, tak przemożny odczuwał strach, który szalał teraz w nim niczym wataha wściekłych wilków.

„Wydrążony pień drzewa, z wszczepionymi ludzkimi kośćmi, a na samym wierzchu trupia czaszka owinięta szmacianą chustą – to ci dopiero łachmaniarz” – tak podcenzor Skythis opisywał mu wtedy w lesie naturę takich kukieł z drewna i kości, i tak właśnie wyglądał ten przerażający bożek w lochu z naprzeciwka. „Czarnoksiężnicy używają takiej maskarady do wywoływania demonów, kontynuował Skythis swoje wywody, ale sami też potrafią się przeobrazić w takiego kościotrupa, jeśli nie mają wyjścia. Tak przynajmniej twierdzi Cellari, który rzekomo chce traktować to próchno w swej katowni w piwnicy, aż wylezie z niego duch Kronusa”.

W zasadzie Hannes był przekonany, że tym niewidocznym trzecim mężczyzną po drugiej stronie nie był nikt inny, jak tylko sam inkwizytor Cellari. Nawet jeśli niezbyt łatwo można było sobie wyobrazić tego próżnego męża Kościoła w takim podziemnym lochu. Ale w końcu jeszcze trudniej było uwierzyć, że Valentin Kronus zamienił się w tamtą drewnianą kukłę lub że wstąpił swym duchem w tego pogańskiego bożka. A jednak sprawy miały się właśnie tak, a nie inaczej – co do tego Hannes również nie miał wątpliwości.

Jednak miało to o wiele więcej wspólnego z nim samym niż z tą okropną drewnianą kukłą w lochu z naprzeciwka.

Jakże chętnie Hannes by uwierzył, że mnisi tam, po drugiej stronie, robią z siebie głupców, dotykając ten obumarły pień drzewa szczypcami i wymachując swoimi kadzidłami nad tą martwą maskaradą z drewna, szmat i kości. Jednak na swoje nieszczęście wcale nie mógł w to uwierzyć. Wręcz przeciwnie. Za każdym razem, gdy jeden z mnichów podgrzewał szczypcę do czerwoności i ponownie szczypał nimi tę „szmacianą kukłę”, Hannes wył cicho

w swym lochu.

– Valentinie Kronusie, demonie Szatana, nakazujemy ci w imię Zbawiciela, który przemierzył piekielną czeluść, wyjdź z tego bożka! – Tak mamrotali i śpiewali siepacze, a Hannes zaciskał zęby i nimi zgrzytał, jakby sam był tą drewnianą kukłą, z której mnisi usiłowali wypędzić diabelskiego ducha.

Zdawał sobie sprawę z tego, że w następnej kolejności będą próbowali tego samego na nim. Ze swoimi szczypcami, świętymi oparami i pieśniami. Tymczasem Cellari będzie się im przyglądał i tylko od czasu do czasu dołączał się do ich śpiewu.

– Demonie Szatana, nakazujemy ci w imię Zbawiciela, który przemierzył piekielną czeluść, wyjdź z tego bożka!

I tak mijały godzina za godziną, wypełnione oparami i smrodem, a Hannes już dawno przestał zgrzytać zębami, lecz szczekał nimi, bezwolnie i bez przyczyny. Już od dłuższego czasu wydawało mu się, że sam jest tą drewnianą kukłą czy kościotrupem, którego mnisi traktowali śpiewem i szczypcami – podobnie zresztą jak szydzono z niego, gdy był małym chłopcem. Wołano wtedy za nim „kościotrup”. Już wtedy był wynędzniały, jak zdawało się to sugerować jego nazwisko<sup>6</sup>. Jednak wtedy nie wmówił sobie jeszcze, że nienawidzi i boi się książek, a zwłaszcza tych pism, które zrodziły się z wyobraźni poety. Wręcz przeciwnie. Jeszcze jako dwunastoletni, a może trzynastoletni chłopiec marzył, by zostać poważanym poetą i uczonym w piśmie. Młodym poetą, takim jak tamten Harmo, który pojawił się pewnego dnia w ich kuchni, a z którym później stało się coś potwornego.

W pewnej chwili głosy mnichów w celi naprzeciwko ucichły, ale Hannes ledwo na to zwrócił uwagę. Jak długo siedział już w tej celi? Wiele godzin? Pół dnia, a może cały dzień?

Nie mógł tego powiedzieć. Możliwe, że tam, na zewnątrz, w mieście zapadła tymczasem noc. Tu, w lochach inkwizycji, i tak ciągle panowała głęboka ciemność.

Mnisi po drugiej stronie zgasili ognisko. Przesunęli „drewnianą kukłę” na bok, otworzyli okratowane drzwi i wyszli na korytarz. Zatrzymali się przed drzwiami do celi Hannesa i zajrzeli z milczącą powagą do środka.

– I ty wyjawisz nam wszystko, co cię dręczy, mój synu – powiedział jeden z nich, a Hannes mimo woli zastanawiał się, czy drewniana kukła z naprzeciwka zaczęła już śpiewać. Ale i to niewiele go martwiło w tej chwili, podobnie zresztą, jak ten trzeci, który wyszedł za dwoma pozostałymi mnichami z celi i od razu pomknął korytarzem. Hannes czuł, jak bardzo był rozczarowany i zły, zupełnie jakby nie miał już najmniejszych złudzeń, że uda mu się zmusić drewnianą kukłę do śpiewania.

---

<sup>6</sup> *Ausgemergel* (niem.) – wycieńczony, wynędzniały, chudy.

W Hannesie nieustannie szalał strach, który przybrał jednak tymczasem inną postać. Nie przypominał już wielogłowego smoka ani watahy wściekłych wilków.

Trzęsąc się, pochylił się nad swoim strachem. Przypominał teraz do złudzenia tamtego młodego poetę o imieniu Harmo, który pojawił się pewnego dnia w ich domu.

## 5

HARMO BYŁ WTEDY chłopcem w wieku szesnastu, może siedemnastu lat, a więc był w tym samym wieku co obecnie Hannes. Wystarczyło, że tylko się uśmiechnął lub powiedział swym miękkim, miodowym głosem kilka wierszy, a już wszyscy dookoła niego byli jak zaczarowani.

Na Hannesa wszyscy wołali wtedy Hanno. W jego wieku obaj bracia, August i Franz, już od dawna pomagali rodzicom w pracy na polu, ale Hanno miał kości jak wróblek i mniej ciała na żebrach niż strach na wróble. Był o wiele za słaby na pracę dla mężczyzn, i tak – mając już prawie dwanaście lat – wciąż wykonywał kobiece roboty. Wraz z matką i dziewczkami służebnymi przesiadywał od świtu do zmierzchu w kuchni ich okazałego chłopskiego gospodarstwa. Kobiety piekły chleb i wekowały owoce, peklowały półtusze i wędziły słoninę i kiełbaski w kominie nad ogromnym piecem. A Hanno siedział z nimi, pomagał im trochę, a przede wszystkim gapił się na dym unoszący się znad garnków i kociołków.

– Ale z ciebie marzyciel, Hanno – mówiła do niego często matka i bynajmniej nie kierowała nią wtedy życzliwość, czy nawet podziw. – Tylko oszczędź ojcu tych swoich sennych bredni, bo jeszcze poczujesz smak bicza!

Raz Hanno widział na własne oczy, jak ojciec ukarał jednego z parobków bykowcem. Ów parobek, silny mężczyzna, którego zazwyczaj nic nie było w stanie wytrącić z równowagi, już po trzecim razie skamlał o litość.

Hannes żywo sobie wtedy wyobraził, jak on sam rozpryskuje się na tysiące kawałków pod jednym z takich uderzeń, niczym pękający tobołek z chrustem, którego zawartość ulatuje na wszystkie strony. Ale nawet bez tej groźby i tak nigdy nie wpadłby na pomysł, by

opowiedzieć ojcu lub braciom o swoich „sennych bredniach”, które zajmowały go we dnie i w nocy.

Jego wyobraźnia nieustannie malowała przed oczyma jego duszy najbardziej niesamowite przygody. W czasie gdy siedział na ławie w kuchni, pośród dziewczek służebnych, skrobiąc marchwie lub drylując wiśnie, przeżywał niczym jakiś bohater niesłychane przygody. Płynął żaglowcem przez morza i odkrywał części Ziemi, których istnienia nikt jeszcze dotąd nawet nie przeczuwał. Walczył ze stugłowymi smokami, oblegającymi zamek jakiejś księżniczki, uwalniał biedaczkę i rzucał się przed nią na kolana. Była miłością jego życia i tylko dlatego przemierzał wszystkie te oceany. A ponieważ nie tylko potrafił walczyć mieczem, lecz także deklamować własne wiersze, w końcu udawało mu się zdobyć serce swojej najdroższej.

– Senne brednie – mówiła matka na ten temat. – Tylko uważaj, żeby się ojciec o niczym nie dowiedział.

I właśnie wtedy pewnego dnia pojawił się w ich kuchni tamten młody poeta.

– Nazywam się Harmo – powiedział i uśmiechnął się w ujmujący sposób.

Kilka młodszych dziewczek zachichotało.

– Hanno? – szeptały między sobą. – Jak nasz kościotrup? – Patrzyły ukradkiem w stronę Hannesa.

– Harmo – sprostował ten wędrowny poeta o miodowym głosie. Od razu też wyjaśnił, co oznaczało jego imię. – Eufonia i ból.

Podszedł bliżej do matki Hannesa i z szacunkiem ściągnął czapkę ze swej kędzierzawej czupryny.

– Litościwa chłopko, podaruj mi kilka kęsów na pusty żołądek. Od wielu dni nie miałem nic w ustach poza korzonkami i jagodami.

Na te słowa dziewczkom zaparło dech w piersi tak samo, jak i Hanno. O dawaniu czegokolwiek darmo gospodyni miała jeszcze gorsze zdanie niż na temat wymysłów jej syna.

Spojrzała z pogardą na śmiałego chłopaka.

– Za trzy halerze dostaniesz podwieczorek. Dla bezbożnych żebraków mam inną strawę. – Zdjęła ze ściany topór i zważyła go w rękach.

Poeta jeszcze promiennie uśmiechnął się do niej. Z tą swoją szczupłą postacią, w czerwonych jak mak spodniach i kamizelce w kolorze żaby, wydawał się Hannesowi niczym zjawa z jakiegoś innego świata.

– Miedziaków nie mam, a waszego topora też nie chcę kosztować, czcigodna pani – powiedział Harmo. – Ale pozwólcie, że zamiast tego zaśpiewam wam pewną romantyczną



melodię. A wtedy sami zdecydujecie, czy to piękne brzemiennie warte jest piętki chleba i kawałka sera.

Nie czekając na odpowiedź, uderzył w struny swojej wioli, którą nosił na kolorowej tasiemce na piersi, i zaczął śpiewać dźwięcznym głosem.

Hannes zapomniał już, jakie było dokładne brzmienie jego wierszy, a i z samej melodii w jego pamięci zachowały się tylko rozwiane strzępki. Ale nigdy w życiu nie zapomniałby zachwytu, w jaki wprowadził go wtedy występ Harmo. Także dziewczki były zachwycone jego śpiewem, a jeszcze bardziej samym śpiewakiem, i nawet na nieruchomej twarzy chłopki na krótką chwilę pojawiły się oznaki mgliście przeczuwanego zadowolenia.

Tysiącrotnie silniejsze było wrażenie, które odczuł wtedy Hannes. W jego wyobraźni to właśnie on sam był tym bohaterem, o którym śpiewał Harmo, i jednocześnie poetą, który stworzył cały ten barwny świat. I tym większą odczuł konsternację, gdy Harmo zakończył swój występ, a matka powiedziała twardym głosem, jeszcze w czasie gdy wybrzmiewały ostatnie dźwięki melodii:

– Wystarczy tego skrzeku, chłopcze. A teraz znikaj, bo spuszczę psa z łańcucha.

Hannes, oszołomiony, patrzył za odchodzącym poetą, który najwyraźniej beztrąsko szedł spacerowym krokiem w stronę drzwi, by już po chwili zniknąć. Wydawało mu się, że posłał jeszcze dziewczkom krótki uśmiech, a nawet mrugnął w ich stronę. Jednak chłopak był nazbyt wzburzony, by się nad tym zastanawiać. Chciał zostać takim samym wędrownym poetą, jak Harmo – to nie podlegało już żadnym dyskusjom. Oczywiście matka i ojciec będą się starali odwieść go od tego planu, ale on pozostanie nieugięty. W czasie gdy Hannes pracował znowu przy stole z warzywami, widział przed sobą w jaskrawych barwach, jak wędruje po różnych krainach i dostarcza ludziom radości swoimi wierszami. Od czasu do czasu i on cierpiałby pewnie głód, ale apetyt i tak mu nie dopisywał. I zamiast przebywać wśród zatwardziałych chłopów, jak jego rodzice, chętniej spróbowałby szczęścia u mieszkańców miast, którzy z pewnością nie uznawali poezji za „senne brednie” ani za diabelskie sprawki.

Tak przynajmniej Hannes wyobrażał sobie w swych gorączkowych snach na jawie i docierało do niego jeszcze mniej niż zwykle z tego, co działo się dookoła niego.

Kilka dni po tym jak przepędzono młodego poetę, Hannes poszedł do kurnika, gdzie każdego poranka zbierał jaja. W znajdującym się naprzeciwko domu czeladzi dostrzegł niewyraźną postać, w zadziwiający sposób przypominającą Harmo. Jednak Hannes widział go tylko przez krótką chwilę, w półotwartym oknie należącym zapewne do sypialni młodych dziewczek. W następnej chwili zapomniał o całym wydarzeniu, a później znów minęło kilka

dni, w czasie których nic nadzwyczajnego nie zwróciło jego uwagi.

Hannes zauważył co najwyżej, że dziewczki były ostatnio dziwnie milczące. Siedziały z zapłakanymi oczami na ławach w kuchni i zamiast, jak to miały w zwyczaju, szeptać i chichotać za plecami matki, rzucały sobie tylko strasznie smutne spojrzenia.

Ale cóż mogły go obchodzić zmartwienia dziewczek? W końcu był pochłonięty swoimi snami na jawie, w których wędrował od placu do placu jako śpiewający poeta.

A wtedy nadszedł dzień, w którym matka wysłała go do gnojnika. Była to dziura w ziemi za oborą, z murowanymi ścianami i głęboka niczym szyb studni. Matka zleciła mu, aby przyniósł jej widły do gnoju, które rzekomo ktoś zapomniał stamtąd zabrać.

Jednak później Hannes uświadomił sobie, że nie posłała go tam z tego powodu. Tam w dole leżał Harmo, na wpół już zapadnięty w bagno. Miał otwarte oczy, jednak jego spojrzenie było nieruchome i puste. Jego twarz była umazana podwieczorkiem i zastygła w grymasie zwierzęcego strachu.

Hannes – ten obecny Hannes, uwięziony w murowanej dziurze – ukrył twarz w dłoniach i zaczął bez oporów szlochać. Jakże już długo nie myślał o tym strasznym widoku! Od tamtego czasu minęło pięć lat, a mimo to widział przed sobą martwego Harmo tak wyraziście, jakby wciąż jeszcze siedział w kucki tam, na krawędzi gnojowiska.

To, co wtedy poczuł, znów zaczęło w nim narastać: groza, przerażenie, paraliżujący strach. Błyskawicznie zdał sobie w tamtym momencie sprawę, że odtąd będzie musiał udawać, ukrywać swoje marzenia, ba, nawet się ich wypierać, aby nie spotkał go taki sam los, jaki dosięgnął nieszczęsnego Harmo.

Wtedy stałem się inkwizytorem moich własnych marzeń i cenzorem mojej wyobraźni, powiedział sobie głęboko wstrząśnięty Hannes. Już wtedy zboczył z przeznaczonej mu drogi, ze strachu, z nędznego strachu!

Jakby w reakcji na to hasło, gdzieś na zewnątrz w korytarzu otwarły się gwałtownie jakieś drzwi, wrywając Hannesa z jego wspomnień. Słyszał tupot zbliżających się kroków.

– No dalej, mnichu – wyrzucił ktoś z siebie ochrypłym, męskim głosem. – Zaprowadź mnie do niego. Głos mężczyzny wydał się Hannesowi bardzo znajomy. – Czyżbyś zapomniał, chłopcze, co tłukłem ci wtedy do głowy w przytułku dla obłąkanych? – ciągnął dalej zachrypnięty mężczyzna, a brzmiało to jak ujadanie psa, który właśnie zwietrzył trop. – Mojemu pisarzowi rozkazuję wyłącznie ja!

Później słyhać było tupot i potykanie się, a w następnej chwili przed drzwiami do lochu Hannesa stanęła, zataczając się, jakaś postać w czarnym habicie. Brat Meinolf! Jego twarz była trupio blada. Z prawej strony pojawił się teraz i podcenzor Skythis, z gotowym do

użycia toporem w ręku.

– Otwierać, no, ale już! – wyrzucił z siebie. – Nikt nie ma prawa aresztować przedstawiciela Urzędu Cenzury Rzeszy. Nawet taki żądny krwi mnich jak ty.

Hannes przesunął się na swej kamiennej ławce tak daleko w stronę okna, jak to tylko było możliwe. Trwożliwie rozszerzonymi oczami popatrzył w stronę drzwi i powtarzał sobie w myślach wciąż te same słowa: nie cenzurować, nigdy więcej! Nie cenzurować, nigdy więcej!

Poruszał nawet ustami do tego niemego dukania, nie spuszczać jednocześnie wzroku z drzwi, które właśnie się otworzyły z rdzawym zgrzytem.

Skythis pchnął Meinolfa na bok i stanął w progu.

– Johannes, Johannes – wyrzucił z siebie. – Dlaczego nie powiedziałeś tym ludziom Kościoła, że to na moje zlecenie miałeś podstępem zdobyć sobie zaufanie tych diabłów od książki? – Popatrzył na Hannesa błagalnym wzrokiem i pomachał w jego stronę lśniącem toporem. Jego pomocnik powinien się w końcu podnieść. – A teraz chodź, Johannesie – warknął. – Wszystko jest już przygotowane na wielkie polowanie.

## 6

GDY KLARA DOSZŁA DO SIEBIE, leżała w sitowiu i paprociach, niedaleko pod nią bulgotała rzeka. Natychmiast wszystko sobie przypomniała – swój skok z dachu tamtego domu, psy, które leciały za nią w powietrzu, tego pijaka, jak runął na swoją tratwę. Płynęła, by zachować życie, aż w końcu otrzymała cios, a później już niczego nie pamiętała.

Poszukała po omacku miejsca, gdzie została trafiona w tył głowy. Dziwnym sposobem pod palcami poczuła jakiś skrawek płótna, a pod nim jakąś papkowatą substancję. Najwidoczniej ktoś przykleił jej leczniczy plaster na ranę. Ale kto to mógł być?

Z wielkim trudem udało jej się usiąść. Miała przemoczone ubranie, a w głowie huczało niczym w gnieździe trzmieli. Oszołomiona, pomacała sobie ramiona, żebra i nogi. Wszystko wskazywało na to, że kości miała całe.

Siedziała tuż nad skarpą. W dole przepływała z niesłychaną prędkością rzeka Pegnitz.

Jej wody niosły ze sobą konary, zmurszałe pianki łodzi, a nawet cały buk wraz z korzeniami i koroną. Nic dziwnego, że jeden z tych kawałków trafił ją w głowę.

Dziewczyna usłyszała dochodzące zza jej pleców chrząkanie. Odwróciła się, jednak poza falującymi ścianami z sitowia i trzciny niczego innego nie było widać. Z tyłu najwidoczniej przebiegała ulica albo droga.

Teraz usłyszała także mamrocące głosy. Któż to mógł być? Czyżby purpurowi wojownicy? Nie, nie sędzę. Wtedy dobiegły jej znajome parsknięcia konia – jej kasztanka! Jak to było możliwe?

Klara zerwała się z miejsca i omal od razu nie upadła. Jej nogi były niczym wosk na południowym słońcu. Kręciło jej się w głowie, a pod plastrem na potylicy czuła nieznośny, pulsujący ból. Odchyliła liście paproci i łodygi trzciny, i nie mogła uwierzyć własnym oczom – na skraju wąskiej ulicy, wijącej się między rzeką a polami, stał powóz z czterema końmi, a jednym z nich była jej kasztanka!

Obok wozu stały cztery zakonnice w surowych strojach augustianek i spoglądały w jej stronę, uśmiechając się.

– A więc, moja droga – powiedziała jedna z nich. – Jak się czujesz?

Klara spojrzała na nie oszołomiona. Tę starszą kobietę przecież znała! Ależ tak, musiała to być jedna z dwóch zakonnice, które wczoraj nad ranem uciekały ze szpitala Świętego Ducha, w tamtej łódce, przez rzekę, z nią i matką Zofią.

– W miarę dobrze – odpowiedziała bez przekonania. – Jeszcze trochę huczy mi w głowie. Ale tak poza tym... – Zawroty głowy nasiliły się. – Wydaje mi się, że zaraz upadnę – dodała żalnym tonem.

Dwie spośród młodszych zakonnice podeszły do niej i podtrzymały ją za ramiona.

– Musimy szybko ruszać – powiedziała jedna z nich – ale będziesz mogła sobie odpocząć w powozie.

Czwarta zakonnica sięgnęła do wnętrza karocy i wyciągnęła zawiniątko z ubraniami.

– Może chciałabyś najpierw przebrać się w coś świeższego, co ty na to?

Klara obrzuciła się spojrzeniem i wydała z siebie przerażony rechot. W takim stroju rzeczywiście nie mogła wsiąść do powozu. Jej – a raczej Adriana lub właściwie Leandra – ubrania ociekały wodą i błotem. Poza tym nie mogła przecież przebrana za chłopca podróżować w jednej karocy z czterema zakonicami.

– Zaraz wracam. – Odwróciła się i pod osłoną nadbrzeżnego sitowa przebrała się tak szybko, jak to tylko było możliwe. Każdy ruch przychodził jej z trudem i miała silne zawroty głowy. Uderzenie w tył głowy musiało być jednak poważniejsze, niż z początku jej się

wydawało.

Nieco później powróciła na drogę odziana w prosty, szary strój. Zakonnice pospieszały ją, a woźnica siedzący z przodu, na koźle wozu, gotowy do odjazdu pochwycił już cugle i bicz. Klara pogłaskała jeszcze kasztanek po szyi i szepnęła jej na ucho powitanie. Wsiadła do obszernej karocy i przysiadła się do zakonnicy, a już w następnym momencie powóz ruszył z miejsca.

Najstarsza spośród służebnic Kościoła mogła mieć już ponad czterdzieści lat. Jej towarzyszkami były z pewnością o dziesięć lat młodsze. Ich okrągłe twarze, okolone czarnymi habitami i kapturami, przypominały Klarze księżyc w ciemną noc. Były tak blade, tak radosne i łagodne.

– Nawet nie wiesz, jak wielką czujemy ulgę – powiedziała do niej najstarsza z sióstr – że w końcu znalazłyśmy cię tu, nad brzegiem. Całą i zdrową, bez poważniejszych ran.

– A wy nie wyobrażacie sobie nawet – odparła Klara – jak bardzo jestem wam wdzięczna. Jak się nazywacie? Jak mogę się zwracać do was i do waszych sióstr?

Zakonnice obrzuciły się spojrzeniami.

– Mów do mnie po prostu matko Mario. A tu, obok mnie, to jest siostra... Magdalena. Po twojej prawej i lewej stronie siedzą, no tak, siostry Hildegarda i Barbara.

Klara uśmiechnęła się do nich wszystkich.

– Jeszcze raz wielkie dzięki! – Starsza zakonnica nie powiedziała wyraźnie, że nie są to ich prawdziwe imiona, ale Klara tak to właśnie zrozumiała. Prawdopodobnie te cztery kobiety nie były nawet prawdziwymi augustiankami – przynajmniej nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek widziała choć jedną z nich w klasztorze Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Najpewniej jednak zostały wysłane, by pomóc ich dawnej ksieni w ucieczce przed inkwizytorem.

Ale Klara na tym poprzestała. „Czego nie wiem, tego też nie wyznam na torturach”, powiedział brat Egbert i z pewnością miał pod tym względem rację. Przede wszystkim zaś czuła się tak słaba i rozbita, że wewnątrz powozu wraz z wszystkimi czterema zakonicami zaczęło jej wirować przed oczami.

– Śpij spokojnie – powiedziała starsza kobieta. – Gdy już nieco wypoczniesz, będziemy mogli porozmawiać o wszystkim, co ci leży na sercu.

Klarze oczy same się zamknęły. Musiała najpierw nabrać sił, a wszystko inne samo się już ułoży i tak udało się jej jeszcze usłyszeć, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jada w kierunku północnym – okrążą Norymbergę, a dalej ruszą drogą w stronę Erlangen i Bambergu. Klara, podczas gdy się zastanawiała nad tym, dokąd tak właściwie te zakonnice

chęcią z nią jechać, zasnęła głębokim i twardym snem.

## 7

W SWYCH MARZENIACH HANNO ZAWSZE był bohaterem, który podstępem i odwagą pokonywał najstraszliwsze bestie. Jednak ten dzisiejszy Hannes, który siedział na ławce w powozie obok Skythisa, był już tylko dygocącym ze strachu kłębkim.

– Więcej nie będę mógł cię uwolnić z łap Cellariego – powiedział do niego Skythis, gdy tylko wyszli na zewnątrz z budynku inkwizycji. – Już tym razem musiałem użyć całej swojej sztuki perswazji, a sam wiesz, jak bardzo brzydzę się kwiecistymi mowami. – Pociągnął Hannesa do powozu, który czekał na nich na placu Dominikańskim. Z kozła spojrział bez wyrazu w ich stronę Gregor, drapiąc się przy tym po bliźnie, która przykrywała miejsce po prawym uchu.

Wsiadli do powozu, a Skythis zamknął drzwiczki i spojrział na Hannesa przesywającym wzrokiem.

– Cellari zgubił wszystkie tropy – burknął. – I dlatego nie miał innego wyboru, niż cię jeszcze raz wypuścić na wolność.

Zacisnął swoją prawą dłoń w pięść i odgiął swój bardzo nieforemny kciuk w górę.

– Po pierwsze – wyrzucił Skythis – cokolwiek może znaczyć tamta drewniana kukła, Cellari najwidoczniej sam już nie wierzy w to, że zmusi ducha Kronusa do opuszczenia tego bożka. Po drugie – Skythis uniósł palec wskazujący – Cellari nie ma pojęcia, gdzie zaszył się ten mały von Hohenstein. A po trzecie, nie wie również, gdzie powinien szukać Klary Grubthaler.

– Thalgruber – wtrącił Hannes głosem takim, jakby topór wojenny Skythisa przystawiony był do jego gardła. – Ona nazywa się Klara Thal... – Popatrzył nieruchomym wzrokiem na środkowy palec podcenzora, który wysunął się z pięści niczym na wpół żywy kobold, i urwał. Ten palec wyglądał po prostu przerażająco, zupełnie jakby ktoś wyciął jego środkową część i przycisnął później niestarannie krwawiącą opuszkę do kikuta, aby oba te fragmenty jakoś się ze sobą zrosły.

– A po czwarte – ciągnął dalej podcenzor – Cellari oczywiście w ogóle już nie wie, gdzie tamci ukryli tę szatańską książkę. Ale właśnie od tego chcemy zacząć. Pojmujesz przecież, do czego zmierzam, Johannesie?

– Tak, panie. – Hannes kiwnął głową jak w skurczu.

O tak, rozumiał aż nazbyt dobrze, czego od niego żądał podcenzor! Miał znowu zdradzić, ścigać i niszczyć to, co było dla niego drogie i święte. Miał znów stać się psem myśliwskim podcenzora, a tym samym także cenzorem swojej własnej wyobraźni, inkwizytorem swoich marzeń i swojej miłości.

Hannes zacięcie bronił się przed ponowną zdradą, jednak czuł równocześnie, że ta jego część znów staje się słabsza, jak on sam zaczyna oddalać się od tego drugiego Hannesa, jak go pogardliwie mierzy wzrokiem, tak jak jego matka spojrzała wtedy na młodego Harmo. Jednocześnie znów ogarnęły go te wszystkie uczucia, które mógł w nim wzbudzić jedynie Skythis. Na Boga, chcę być taki jak pan podcenzor, tak niezłomny, tak wyzuty z wszelkich marzeń i uczuć, odezwał się głos w jego wnętrzu.

Nawet swoją miłość do Klary Hannes odczuwał już o wiele słabiej. Czy podcenzor nie miał racji, a Klara była tylko apostołką diabła, chociaż olśniewająco piękną? Niczym jakiś demon weszła w jego ciało, a on został przez nią dosłownie opętany! Jego własnymi ustami i jego własnym językiem krzyknęła na brata Meinolfa, tak niesłychana sztuczka nie mogła przecież być niczym innym, jak tylko diabelską sprawką!

A jednak, jednak, pomyślał sobie znowuż później Hannes, kochał Klarę z całego serca, nie, tylko jego połową, ale tą lepszą połową swojego rozdartego na dwie części serca miłował ją głęboko! Była to ta sama część, która niczego nie pragnęła żarliwiej, jak tylko być wcieleniem Harmo. Tymczasem ta bezduszna połowa jego osobowości nie gardziła niczym innym na świecie bardziej, niż piekielnymi oszustwami fantazji.

Mniej więcej taki właśnie zamęt złożony z barwnych, gorączkowych strzępków myśli wirował mu w głowie w czasie, gdy siedział w powozie obok Skythisa.

– Zatrueś swoją duszę tą diabelską książką, Johannesie – burknął podcenzor i przerwał jego rozmyślania. – I wiesz dobrze, tak jak ja, w jaki jedyny sposób mógłbyś jeszcze skrócić czekającą cię karę w piekle. Musisz zaprowadzić mnie dokładnie tam, gdzie ukrywają się te małe diabły od książki i gdzie przede wszystkim znajduje się ta demoniczna tandeta.

Każde z tych wyrzuconych ochrypłym głosem słów wbijały się w serce Hannesa niczym rdzawa igła.

– Wybaczcie, panie – wyszeptał. – Zrobię wszystko, czego ode mnie zażądacie.

Zamknął oczy i wejrzał w głąb siebie. I co dziwne, niezależnie od tego, jak bardzo

usilnie węszył w swoim wnętrzu, po prostu nie mógł dojrzeć, gdzie znajduje się *Księga*. Jeszcze niedawno za każdym razem, gdy zamknął oczy i skupiał się na książce o duchach, widział ją przed sobą połyskującą, niczym rubinową jaskinię, niczym pyszny owoc, niczym kielich kwiatu. Jednak tym razem... nie widział niczego. A w każdym razie niewiele więcej niż nic.

– Czuję, że musi być w dużej odległości. Gdzieś tam – wymamrotał, wskazując mgliście w stronę północnego zachodu. – Ale jest taka słaba, taka blada, panie, jak nigdy dotąd. Zupełnie jakby leżała na dnie głębokiej studni, która do tego została jeszcze starannie zamurowana. Tak, tak właśnie ją teraz czuję.

– To nie wystarczy, Johannesie! – Podcenzor chwycił go za ramiona i potrząsał nim na wszystkie strony jak jakimś tobołkiem ze szmatami. – W ten sposób nigdy nie odnajdziemy jej tropu. Skup się! – Popatrzył na swojego pomocnika nieufnym wzrokiem. – Coś przede mną ukrywasz!

Hannes spuścił głowę.

– Tak, panie. Widzę coś jeszcze.

– Co tam jeszcze widzisz? Mów mi tu od razu! – wyrzucił z siebie Skythis. – A może mam cię ostatecznie oddać w ręce Cellariego?

– Nie, panie – zaskamlał Hannes. – Proszę, tylko nie to! – Już po chwili przed oczyma jego duszy ponownie pojawił się ten straszliwy obraz, który tak starannie ukrywał przed samym sobą. Harmo, jak leży w gnojniku i spogląda nieruchomym wzrokiem ku niemu w górę. Z pomocą Skythisa, powiedział sobie Hannes, uwięziłem w swym wnętrzu całą przeszłość i tak też ma być w przyszłości. Znów zamuruję swój strach w jego lochu i już nigdy nie uda mu się wydostać na zewnątrz i wprawić mnie w tego rodzaju pomieszenie zmysłów.

Wziął głęboki oddech i spojrzał na Skythisa.

– Na drodze do Bambergu – powiedział – już daleko za Erlangen. Tam jest. – Przełknął kurczowo ślinę. – Klara, wiecie która, panie. Musimy podążać za nią, by dotrzeć do książki, czuję to całkiem wyraźnie.

Po tych słowach zaszlochał i ukrył twarz w dłoniach. Zdradził Klarę, swoją miłość, a do tego jeszcze *Księgę duchów*. Klara nigdy mu tego nie wybaczy, podobnie jak i on sam sobie. Jestem zgubiony, pomyślał Hannes. Nie, jestem uratowany. Jestem i jednym, i drugim, uratowanym i przeklętym.

Podcenzor zdawał się nie przejmować zbyt wiele wyrzutami sumienia swojego pomocnika. Rzucił Hannesowi jeszcze jedno badawcze spojrzenie, po czym wychylił się



przez boczne okno i wyburczał Gregorowi rozkaz.

Pojechali teraz szalonym kłusem w górę, w kierunku zamku cesarskiego, przez Tiergartnertor i dalej, poza miastem, drogą prowadzącą do Erlangen i Bambergu. Ledwo zniknęło za nimi miasto, a Gregor zatrzymał powóz i zaczął krzątać się przy klatce z sokołami, która była przykuta z tyłu do wozu. Jeden z ptaków wzbił się w przestworza i powrócił nieco później, a za sokołem podążało galopem siedmiu łowców książek.

Jeszcze nigdy dotąd ci ludzie w pancerzach nie przywodzili Hannesowi na myśl pradawnych potworów. Mocno wychyleni do przodu siedzieli na swych rumakach, które były opatulone w skórzane łąty. Wyglądali jak postaci z bajki, na wpół pradawni myśliwi, na wpół nieforemne wierzchowce.

Skythis ponownie wychylił się z okienka w powozie.

– W kierunku Bambergu, ruszamy!

Gregor machnął biczem nad czterema silnymi końmi u powozu i tak zaczęła się najbardziej szalona pogoń, jaką kiedykolwiek przeżył Hannes. Ich wóz mknął naprzód tak szybko i z takim hukiem, że chłopakowi wydawało się, że ledwo może jeszcze oddychać. Niczym wichura, tak szumiało i wiało przez kabinę powozu, pęd powietrza kołatał drewnianymi okiennicami i łopotał płóciennymi zasłonami, niczym na żaglowcu płynącym po wzburzonym morzu.

Tych siedmiu opancerzonych mężczyzn jechało galopem, po części przed, a po części za nimi. Przerażliwymi krzykami płoszyli z drogi wszystko to, co posuwało się wolniej od nich lub to, co nadjeżdżało ociężale z naprzeciwka. Chłopskie wozy, wędrownych czeladników, a nawet okazałe karoce z zatkniętymi sztandarami książęcymi. Wszyscy musieli schodzić im z drogi, w razie konieczności zjeżdżając do fosy, gdzie Hannes nieraz widział wywracające się ciężko załadowane wozy z jabłkami i twarze zdumionych chłopów gapiących się w górę w ich stronę.

Pędzili wyboistą drogą naprzód tak gwałtownie, że siedzących na ławce w powozie Hannesa i Skythisa raz rzucało o siebie, innym zaś razem podrzucało ku sufitowi karety. Jednak podcenzor przyjmował każde uderzenie i każdy wstrząs ze spokojem i tylko od czasu do czasu patrzył na Hannesa przenikliwym wzorkiem. Koła turkotały, osie skrzypiały, Gregor warczał i uderzał biczem – przy całym tym hałasie musieli już krzyczeć sobie do uszu, tak aby jeden mógł zrozumieć słowa drugiego. Ale między Hannesem i podcenzorem wszystkie najważniejsze sprawy i tak zostały już omówione. A nawet omówili o wiele więcej, niewybaczalnie więcej, na co wciąż jeszcze uskarżała się część osobowości Hannesa.

Tak czy owak, w zupełności wystarczało, że Hannes gorliwie skinął w stronę

podcenzora, za każdym razem, gdy poczuł jego przeszywające spojrzenie. A jego kiwanie głową oznaczało: tak jest, panie, jesteśmy na jej tropie i niechybnie ją doganiamy. Wtedy Skythis znów patrzył do przodu, a Hannes zapadał się ponownie w siebie i zaglądał ukradkiem w swoje wnętrze. Tam widział magiczne serce, które świeciło już tylko nikłym światłem i nędznie migotało. A czuł przecież, że Klara była całkiem blisko niego, wyprzedzała ich o kilka tuzinów mil na swoim koniu lub jadąc w wozie, również zmierzając w kierunku Bambergu lub gdzieś za miasto. Ale Hannesowi nie udawało się wysledzić jej gwiazdy na swoim wewnętrznym niebie, podobnie jak nigdzie nie widział jaśniejszej magicznej gwiazdy Amosa. A i *Księgę* wyczuwał nadal jedynie słabo i mgliście, niczym płomyk świeczki na samym dnie głębokiej studni.

– *Klaro* – zawołał zaklinając w swoją wewnętrzną moc. – *Proszę, odpowiedz mi, droga Lucyndo, jeśli mnie słyszysz.*

Ale ona nie słyszała go, a przynajmniej mu nie odpowiadała. Hannes poczuł jednocześnie ulgę i smutek, bo nie mógł jej wyjawić, że podcenzor Skythis odnalazł jej trop. Dzięki mojej zdradzie, Klaro, dodał w głębi. Nie, to nie była zdrada, obruszył się ten drugi Hannes, który czcił podcenzora. W końcu to, że zwierzył się Skythisowi, było także dla dobra Klary, skoro *Księga chichów* wzbudziła w biedaczce demoniczne moce. A więc i jej duszę można było jeszcze uratować tylko w taki właśnie sposób – niszcząc tę diabelską książkę i uwalniając Klarę spod wpływu Opus Spiritus.

Aż do zmierzchu pędzili w szaleńczym tempie. Tylko kilka razy zrobili sobie postój, aby ich konie nie padły z wyczerpania. Jednak ledwo pot na grzywach i czołach nieco ostygł, a Skythis już kazał wsiadać na konie i ruszać dalej.

Hannes wskazywał drogę, a poza tym snuł tępe rozmyślenia. Co, do diabła, w niego wtedy wstąpiło, gdy zażądał od swoich rodziców, aby wydziedziczyli jego braci? Musieli sobie pomyśleć, że do reszty postradał zmysły! Był wówczas piętnastoletnim chłopcem i już nie myślał o swoich fantazjach. Wszystko to ugrzęzło przecież niejako z Harmo w gnojniku. Jednak w jakimś odległym zakątku swego serca dojrzywało od tamtego czasu jego nowe marzenie. Chciał studiować i zostać wielkim filozofem! Myślicielem i uczonym w piśmie. Jako taki byłby szanowaną postacią, poważaną na równi zarówno przez mieszczan, jak i przez szlachtę.

Jego rodzice gapili się na niego jak na jakiegoś wariata – a ja byłem nim przecież wtedy, pomyślał sobie Hannes, i dopiero w Norymberdze przejrzałem na oczy i pojąłem, czym jest moje prawdziwe powołanie. Nie wymyślanie jakichś sennych bzdur ani studiowanie wyobrażeń innych ludzi wypływających z siebie takie brednie, lecz

przyczynianie się do tego ze wszystkich sił, aby zabroniono i zniszczono jak największą liczbę piekielnych wierszy i opowieści!

W ten sposób usiłował sobie wszystko wytłumaczyć, nieustannie szlochając w duchu. Ale nic z tego nie docierało do siedzącego obok niego podcenzora. Tylko tamta cześć Hannesa, która od dawna tkwiła uwięziona w wewnętrznym więzieniu, płakała rzewnymi łzami, tymczasem ten inny Hannes siedział niewzruszony i pełen pogardy w toczącej się naprzód z łoskotem karecie i nie odczuwał niczego poza uwielbieniem dla pana podcenzora i wstrętem do ohydnych, krecich rąk Skythisa.

Zresztą podcenzor był tak głęboko pogrążony w swych myślach, że nie zauważył nawet nagle tryskającej obok niego fontanny. W myślach przemeblowywał właśnie swoje więzienie książek. Diabelska książka tamtego Kronusa musiała otrzymać swoją własną półkę, w samym środku tylnej ściany, tak aby on – wchodząc – mógł się za każdym razem upewnić, że jego najniebezpieczniejsza zdobycz jest jeszcze za kratami.

Gdyby to zależało tylko od Jana Skythisa, to z pewnością galopowałyby całą noc. Ale w całkowitym mroku ryzykowałyby połamanie osi i nóg, tym bardziej że konie i tak były prawie zajeżdżone. Dlatego też Skythis kazał się zatrzymać kilka mil za Bambergiem przed pewną gospodą. Opancerzeni mężczyźni mieli nocować wraz ze swoimi końmi w stajni. Tymczasem on sam kazał gospodarzowi wskazać sobie izbę ze znośnie szerokim posłaniem, przykuł Hannesa do filaru łóżka i rzucił się na słomiankę.

– Jak bardzo nas wyprzedza, Johannesie? – wyrzucił z siebie.

– Pół dnia, panie. W najlepszym razie.

– A rozpoznajesz, dokąd teraz ucieka?

– Nie, panie – odparł Hannes, zgodnie z prawdą.

– Ale ja, Johannesie – wymamrotał Skythis – zaczynam już przeczuwać, dokąd ciągnie tę diabolicę.

Wkrótce potem podcenzor zasnął. Ale Hannes potrzebował jeszcze dłuższej chwili, zanim udało mu się zacząć szlochać w rytmie chrapania podcenzora. Wtedy zasnął i on u stóp Skythisa.

KLARA DOSZŁA do siebie dopiero wieczorem. Wciąż jeszcze czuła się nieco oszołomiona, a ból uporczywie pulsował jej w głowie. Ich powóz właśnie zatrzymał się przed jakimś domem, który był ogromny i stał samotnie na wzgórzu, otoczony gęstym lasem.

– Tu będziemy mogli przenocować w spokoju – powiedziała siostra Magdalena, w czasie gdy prowadziła Klarę do domu. – Nikogo nie ma w domu. Wszystko zostało już przygotowane na nasze przybycie.

I tylko kilka nędznych lamp tliło się, rozpraszając nieco mrok we wnętrzu tej ogromnej posiadłości. Musiał to być wiejski pałac jakiegoś szlachcica, Klarze wszystko wydawało się tak drogocenne. Portal kolumnowy, wielki hol obwieszony poczerńiałymi od starości obrazami i wyłożony niezliczonymi niedźwiedzimi skórami. Dalej, w głębi, znajdowały się łukowate schody, po których Klara była raczej wnoszona niż prowadzona przez swoją towarzyszkę, tak bardzo nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Na górze znajdował się na pozór bezkresny korytarz, którego ściany obite były kosztownymi materiałami, a później wreszcie pojawiło się łóżko – i to jeszcze jakie. Łoże z baldachimem o takich rozmiarach, że mógłby w nim wygodnie nocować tuzin osób. Rozciągał się nad nim złoty, brokatowy baldachim, ozdobiony scenami myśliwskimi. I w tym pokoju ściany były obite materiałami, z których zazwyczaj wykonuje się suknie balowe dla księżniczek. Tak przynajmniej wydawało się Klarze. Jeszcze nigdy dotąd nie przebywała w tak bogato urządzonym domu. Niezależnie od tego, do kogo należał ów leśny pałac, właściciel musiał być niewyobrażalnie bogaty i z pewnością posiadał jeszcze kilka takich zamków rozproszonych po całym kraju.

I bez wątplenia był członkiem Opus Spiritus.

Klara nie zadała sobie trudu, by zapytać o jego nazwisko. Albo i jej – w końcu ten położony pośród frankońskiej puszczy zameczek mógł też należeć do jakiejś szlachcianki. Nawet jeśli Opus Spiritus określano zazwyczaj mianem bractwa, jego członkami były także szlachetnie urodzone i wpływowe kobiety, takie jak na przykład matka Zofia, czy ta starsza zakonnica, która sama nazwała się matką Marią. Ta ostatnia pewnie i tak wymieniłaby jakieś wymyślone naprędce nazwisko, gdyby Klara ją zapytała, kto udostępnił im swój dom na tę noc.

Ale w tej chwili było jej to obojętne.

– Dziękuję, siostrzo Magdaleno – wymamrotała, po tym jak zakonnica pomogła jej się wyciągnąć na łożu. Zapytana, czy miałaby ochotę coś zjeść, pokręciła tylko lekko głową. – Tylko kubek wody na noc – poprosiła.

– Matka Maria chce jeszcze raz do ciebie zajrzeć – powiedziała kobieta, uśmiechając

się. – Przyniesie ci na noc coś do picia i założy nowy opatrunek na ranę.

Klara usiłowała odwzajemnić uśmiech, ale i na to czuła się za bardzo zmęczona. W drodze zakonnice często ją budziły, aby coś zjadła, a przede wszystkim napiła się gorzkiej leczniczej herbaty, którą matka Maria podawała jej za każdym razem łyk po łyku.

Gdy starsza zakonnica podeszła wkrótce potem do jej łóżka, Klara już prawie zasnęła.

– Sen jest najlepszym lekarstwem – powiedziała matka Maria i pogłaskała ją po czole.

– Masz gorączkę, moja droga, ale nie martw się, do jutra rana odzyskasz większość sił.

– Skąd macie taką pewność? – spytała Klara ze zdziwieniem. A jeszcze bardziej zdziwiła ją odpowiedź.

– Od twojej matki, oczywiście – powiedziała starsza zakonnica.

– Vera nauczyła mnie wszystkiego, co powinnam wiedzieć o chorobach i lekarstwach.

– Znaliście moją matkę? – zapytała Klara, zdziwiona. – A ona zdradziła wam nawet swoje lecznicze przepisy? Musiała wam zatem bardzo ufać.

Matka Maria usiadła na małym foteliku obok łóżka.

– Zawsze uważałam to za nie lada wyróżnienie, że twoja matka ofiarowała mi swoją przyjaźń. Gdy spotkałam ją po raz pierwszy, miałaś wtedy sześć, może siedem lat. Gdzie dokładnie to było, nie ma znaczenia. W każdym razie cierpiałam wówczas na chorobę, z której nie mogli mnie wyleczyć nawet najslawniejsi lekarze. Spisali mnie już na straty i miałam żyć jeszcze tylko przez kilka miesięcy. Wtedy jednak pewnego dnia dowiedziałam się, że do naszego miasteczka ma przybyć znana znachorka, Vera Thalgruber.

Przez chwilę patrzyła przed siebie, pogrążona w myślach.

– Lekarze stanowczo odradzali mi – ciągnęła dalej – abym odwiedziła tę „osławioną babę”, ale ja ich tylko wyśmiałam. Kosztowali mnie cały majątek, a mimo to mnie nie wyleczyli. No cóż, nic już gorszego niż śmierć nie mogło mnie spotkać podczas wizyty u tej „osławionej” Very. Pamiętam jak dziś, gdy kazałam się zanieść moją lektyką do bram miasta. Na łące kobiety i dziewczyny stały w długiej kolejce przed krzywo rozłożonym namiotem. Z początku czułam się jednak trochę nieswojo, w końcu moi lekarze utrzymywali, że ta znachorka paktuje z demonami.

Matka Maria uśmiechnęła się w zamyśleniu.

– Gdy wreszcie przyszła na mnie kolej, a ja stanęłam za parawanem Very, wtedy opuściły mnie wszystkie wątpliwości. Ta kobieta nie miała nic wspólnego z żadnymi diabłami, poczułam to od razu. Badała mnie i wypytywała, własnoręcznie sporządziła dla mnie maści lecznicze i tynktury, których miałam używać dokładnie według jej wskazówek. Zrobiłam wszystko tak, jak kazała, i nie minął tydzień, a moje samopoczucie zaczęło się

poprawiać. Gdy Vera Thalgruber przybyła znów, kilka miesięcy później, do naszego miasta, to wtedy, dzięki jej lekarstwu, byłam już zupełnie wyleczona. Mimo to znów ustawiłam się w kolejce chorych, dla których ona często była ostatnią nadzieją. A gdy przysłała na mnie kolej, upadłam przed nią na kolana i podziękowałam jej, zalewając się łzami.

Matka Maria urwała i ukradkiem potarła sobie oczy.

– Ale przecież nie chcę tutaj oddawać się wzruszającym wspomnieniom. W każdym razie wtedy zaczęła się moja przyjaźń z Verą. Zawsze spotykałyśmy się potajemnie, bo jako dobra, katolicka szlachcianka nie mogłam być widywana w towarzystwie wędrowniej znachorki. Twoja matka doskonale to rozumiała, moja droga – dodała pośpiesznie, gdy Klara otworzyła usta, by coś wtrącić. – Vera była naprawdę mądrą kobietą, sama chciała, żebyśmy się spotykały tylko po kryjomu, bo nie chciała nikogo narażać na niebezpieczeństwo, ani mnie, ani przede wszystkim ciebie.

Dreszcze przeszły Klarze po plecach.

– Mnie? – To pytanie przyszło jej z trudem. Obraz matki Marii siedzącej w fotelu rozmazał się, tak bardzo czuła się rozbita. W żadnym razie nie wolno jej było teraz zasypiać, a przynajmniej dopóty, dopóki matka Maria nie wyjaśni jej, co miały oznaczać te zagadkowe słowa. – Dlaczego miałabym znaleźć się w niebezpieczeństwie, gdyby moja matka spotykała się z wami na oczach wszystkich?

Matka Maria pochyliła się do przodu i pogłaskała Klarę po rękę.

– Wtedy biskupi i księża zaczęli podburzać lud przeciwko wiedźmom i czarownikom – powiedziała. – Twoja matka przeczuwała, że katolicycy łowcy ludzi upatrzyli sobie za cel takich jak ona, wędrownych ludzi, z powodu ich pogańskich obyczajów i poglądów, przede wszystkim zaś uzdrowicielki. I tak Vera zaklinała mnie pewnego dnia, abym się o ciebie zatroszczyła, gdyby ona sama i twój ojciec już nie mogli tego robić. A ja jej to przyrzekłam.

Klara czuła, jak jej oczy rozszerzają się ze zdziwienia.

– A więc to wy zadbaliście o to, bym trafiła do sierocińca w klasztorze Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, po tym jak moi rodzice... No wiecie... – Nie mogła od razu zacząć mówić dalej. Nagle w jej gardle zebrała się paląca gorąca gęsia skórka. – Po tej nocy – wyrzuciła w końcu z siebie – to wy kazaliście mnie zanieść do matki Zofii?

Starsza kobieta skinęła w jej stronę z uspokajającym uśmiechem.

– To było zrzędzenie losu, że byłam znów umówiona z Verą dokładnie dzień po tym, jak morderczy podpalacze puścili z dymem wasz wóz. Gdy nie przybyła na umówione spotkanie, wysłałam dwóch moich służących, a oni wrócili z tą straszną wieścią. W okamgnieniu napisałam list do matki Zofii i kazałam cię zanieść do klasztoru Wniebowzięcia

Najświętszej Maryi Panny jeszcze tego samego dnia.

Teraz Klara była całkiem skołowana. Huczało jej w głowie, lecz jeszcze bardziej bolała ją rana gdzieś głęboko w jej sercu, która została znów otwarta opowieściami matki Marii. Zamknęła oczy, właściwie to teraz chciała już tylko zasnąć, jednak w jej wnętrzu zaczęły wirować straszliwe obrazy wspomnień – jak obudziła się w przydrożnym rowie, dookoła niej była tylko głęboka noc, a ich wóz płonął żywym ogniem.

Trwało to jakiś czas, nim znów zapanowała nad swoimi wzburzonymi uczuciami. Popatrzyła na matkę Marię. Musiała zadać jej koniecznie jeszcze jedno pytanie, w przeciwnym razie zastanawiałaby się nad tym przez całą noc.

– Matko Mario – zaczęła. – Czy moi rodzice wiedzieli o Opus Spiritus?

Starsza kobieta pokręciła głową.

– Ale wy wiedzieliście, dzięki mojej matce, jakie szczególne zdolności przejawiałam jako mała dziewczynka?

Matka Maria wzruszyła ramionami.

– Vera opowiadała mi kiedyś o tym. Ale ja wiedziałam, że jesteś wybrana już wtedy, gdy zobaczyłam cię po raz pierwszy. – Uśmiechnęła się do niej promiennie.

– Wiedzieliście o tym? – powtórzyła Klara. – Ale skąd?

– Nawet ślepy by zauważył, że byłeś zupełnie niezwykłym dzieckiem – powiedziała zakonnica. – A teraz śpij już, Klaro, abys do jutra rzeczywiście odzyskała siły.

Pogłaskała ją delikatnie po włosach, a Klarze ponownie zamknęły się oczy. Ślepy?, pomyślała. Ale cóż to miało oznaczać? Matka Maria wykręciła się od odpowiedzi na jej pytanie. Jednak Klara po prostu nie mogła już dłużej próbować nie zasnąć, a one i tak będą przecież mogły porozmawiać jutro w spokoju. W tej chwili ważne było tylko jedno – powiedziała sobie Klara – jej matka ufała tej kobiecie, a więc i ona była u niej pod najlepszą opieką. Matka Maria uleczy ją i zadba o to, żeby Klara i Amos wreszcie znaleźli się w bezpiecznym miejscu, gdzie nie będą im już zagrażali żadni łowcy kaczerzy czy książek.

Zupełnie mimochodem poczuła jeszcze, jak matka Maria zakłada jej świeży opatrunek. Klara zasnęła z błogim uśmiechem na ustach.

NASTĘPNEGO PORANKA Klara rzeczywiście czuła się o wiele bardziej świeża i rześka. Gorączka ustąpiła, a po bólach pozostało już tylko delikatne pulsowanie. Według matki Marii musiała nieźle oberwać, ale rana się zaogniła.

Plaster z tyłu jej głowy, z którym Klara wsiadła do powozu, nie był nawet w połowie tak duży, jak opatrunek, który założyła jej wczoraj wieczorem matka Maria. Ten dostrzegalny i wyczuwalny dowód na to, że była już prawie zdrowa, dodawał jej sił.

Z pełną ufnością wyjrzała, mrużąc oczy, w stronę porannego słońca, gdy ich powóz skręcił z wąskiej ścieżki leśnej na drogę. Woźnica znów zaczął strzelać z bicia, ponagляjąc konie do szybszego chodu.

U swoich towarzyszek podróży Klara wyczuwała napięcie.

– Dokąd mnie tak właściwie wieziecie? – zapytała matkę Marię. – I dlaczego jesteście tacy niespokojni?

Starsza zakonnica uśmiechnęła się do niej uspokajająco.

– Jedziemy do Wurzburga. W nocy otrzymałyśmy wiadomość, że łowcy książek depczą nam po piętach. Ale nie martw się, moja droga, oni nie stanowią dla nas żadnego zagrożenia.

Powiedziała to tak zdecydowanym tonem, że Klara nie zadawała już więcej pytań. Sama tak bardzo chciała wierzyć, że u tych kobiet jest bezpieczna. I nieważne, czy były to prawdziwe zakonnice, czy nie. W końcu jej własna matka darzyła matkę Marię swoją przyjaźnią. A Vera Thalgruber bynajmniej nie była łatwowierna i pierwszej lepszej osobie nie powierzyłaby swoich przepisów, nie mówiąc już o własnym dziecku.

Przez dłuższy czas jechały w milczeniu, zanurzając się w świetle porannego słońca. Klara nadal czuła się nieco oszołomiona. Było jeszcze tak wiele rzeczy, o które chciała zapytać matkę Marię. Sama nie wiedziała, od czego zacząć.

– Przedwczoraj w Norymberdze – powiedziała, patrząc to na jedną, to na drugą z zakonnice – ryzykowaliście życie dla matki Zofii. Z pewnością stoicie zatem po tej samej stronie co ona?

– Z całej duszy pragnęła cię jeszcze raz zobaczyć – odparła starsza zakonnica.

Nie wdając się w istotę jej pytania, opowiedziała zdawkowo, jak uwolniły matkę Zofię ze szpitala Świętego Ducha. Cellari zarządził, by dwie zakonnice z klasztoru Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny stawily się na ulicy Zamkowej, by odebrać ich dawną ksieni. Siostra Magdalena i matka Maria posłuchały tego rozkazu i zabrały matkę Zofię z budynku inkwizycji do szpitala. Tymczasem dwie inne augustianki przeszmygłowały sobowtóra starej ksieni do szpitala tylnymi drzwiami. W panującym tam ścisku podmieniły fałszywą matką



Zofię na prawdziwą. W czasie gdy matka Maria i siostra Magdalena uciekały rzeką wraz z Klarą i ksieni, siostry Hildegarda i Barbara zaniósłszy fałszywą matkę Zofię do sali chorych i spiesznie pojechały kareta w dół nadbrzeżnej ulicy obok rzeki Pegnitz.

– Nie liczyliśmy się jednak z tym – powiedziała starsza zakonnica – że żołnierze Cellariego tak szybko odnajdą wasz trop. Po rozmowie z matką Zofią miałaś zostać przewieziona łodzią kawałek w dół rzeki, skąd chciałyśmy cię zawieźć powozem do Wurzburga. Ale wszystko i tak potoczyło się mniej więcej w taki sposób. Z karety widziałyśmy cię dryfującą bez ruchu po rzece Pegnitz i przybyłyśmy akurat na czas, gdy jakaś fala wyrzuciła cię w nadbrzeżne sitowie. I tym sposobem siedzisz teraz razem z nami w powozie, moja droga, mimo że Cellari zrobił wszystko, by udaremnić nasz plan. – Pokręciła głową. – Biedny Joseph.

– Macie na myśli tego flisaka? – zapytała Klara. – Mężczyznę, który zaczął mnie na ulicy Zamkowej i udawał, jakby szukał jakiegoś kompana do picia?

Matka Maria kiwnęła głową.

– Martwiliśmy się, że mogliby cię rozpoznać i pochwycić. Nie byłaś zbyt przekonującym chłopcem, moja droga, mimo tych chłopięcych spodni i tej – wybacz – strasznej filcowej czapki.

– Którą do tego jeszcze zgubiłam. – Klara, przygnębiona, spuściła głowę. – Na pomoście pod szpitalem, zakładam. To tylko i wyłącznie moja wina, że nas tak szybko odnaleźli! – Poczula palenie w gardle. – A co z matką Zofią?

Starsza zakonnica zamknęła na krótko oczy. Znów siedziała naprzeciwko Klary, z plecami zwróconymi w stronę woźnicy, a gdy ponownie podniosła powieki, w kącikach jej oczu lśniły łzy.

– Zofia nie żyje – powiedziała. – I tak już była bardzo słaba, po tym co musiała znieść w ciągu ostatnich miesięcy.

Uciekła wzrokiem i spojrzała przez tylne okienko powozu, a Klara znów poczuła, jak bardzo niespokojna jest matka Maria. Stwierdziła, że jej prześladowcy w żadnym wypadku nie są dla nich zagrożeniem, ale wydawało się, że nie jest tak do końca pewna swego – Na miłość boską! Nie rób sobie wyrzutów, moja droga! – ciągnęła dalej matka Maria. Pochyliła się do przodu i pogłaskała dłońie Klary. – Wyłącznie Cellari ma Zofię na swoim sumieniu i pewnego dnia odpowie za wszystkie swoje zbrodnie. Ty nie ponosisz żadnej winy. Prędzej czy później i tak znalazłby jej kryjówkę. A matka Zofia już dawno podjęła decyzję, że nie będzie więcej uciekała przed swoimi prześladowcami. Chciała tylko koniecznie jeszcze raz z tobą porozmawiać, wszystko ci wytłumaczyć i chyba jej się udało, nieprawdaż?

Klara skinęła głową, jednak tak do końca nie pozbyła się wyrzutów sumienia. Biedny Joseph, biedna matka Zofia. I czy stara ksieni rzeczywiście wyjawiała jej wszystkie tajemnice Opus Spiritus? I w tym względzie Klara nie miała całkowitej pewności.

– A teraz wieziecie mnie do Wurzburga? – zapytała po chwili namysłu. – A zatem do opata Trithemiusa?

Matka Maria skinęła głową.

– On już na ciebie czeka. I jak pewnie sama wiesz, Amos dotarł tam już wczoraj wraz z książką. Ma się dobrze i jest bezpieczny.

Ponownie zapadło milczenie. Terkot kół wozu i jednostajne krzyki woźnicy usypiały Klarę. Poczula teraz, jak bardzo jest jeszcze osłabiona. Mimo to postanowiła, że jeszcze raz spróbuje wysłać Amosowi telepatyczną wiadomość. Tym razem miała nadzieję, że uda jej się połączyć ich magiczne serca, a wtedy dowiedziałyby się od niego, dlaczego zeszłej nocy zniknął tak nagle z jej wewnętrznego nieba.

Klara spuściła powieki i wejrzała w głąb siebie. Jednak znów nie mogła odkryć gwiazdy Amosa. Tuż w pobliżu jej własnego źródła światła lśniła wąż, mała gwiazda, ale Klara nie zwracała na nią uwagi. Cóż, na litość boską, stało się z gwiazdą Amosa? Chyba nie stracił swych magicznych mocy? Nie, wszystko inne wydawało jej się bardziej prawdopodobne niż to. Jednak niezależnie od tego, jak uważnie Klara przeczesywała swoje wewnętrzne niebo, po Amosie nie było ani śladu.

Na wszystkie dobre duchy, pomyślała, co to może znaczyć? Czula przecież, że Amos dobrze się miewał, a matka Maria właśnie to potwierdziła. Co zatem się z nim stało, że jego wewnętrzne źródło światła zdawało się być zamurowane?

Zastanawiała się, czy powinna się odważyć odbyć magiczny lot do Wurzburga, wyprzedzając karetę. W końcu właśnie dlatego jeszcze zeszłej nocy przeczytała opowieść *O skale, co była oknem*, by mogła uwolnić się duchem ze swojego ciała i tym sposobem przekonać się, że z Amosem wszystko jest w porządku. Jednak teraz ten plan wydał jej się nazbyt śmiały. Nie mogła tak po prostu pozostawić swojego nieruchomego i bezbronnego ciała w powozie, nawet jeśli zakonnice utrzymywały, że łowcy książek w żadnym wypadku ich nie złapią. Sama przecież widziała, że matka Maria i siostra Magdalena nie spuszczają wzroku z drogi. Najwidoczniej jej prześladowcy znów deptali im po piętach. Musiała zatem być w sposobnej chwili rozbudzona i gotowa do ucieczki.

Klara nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zobaczy się z Amosem. Chciała poczuć uścisk jego ramion, jego usta na swych wargach. Pędzę do ciebie, mój wybrańcu, pomyślała. Tymczasem obojgu udało się nawet zdobyć trzeci stopień wtajemniczenia i żadna reguła

nowicjusza na świecie nie mogła im już przeszkodzić w tym, by wreszcie wzięli swoje sprawy sercowe we własne ręce.

Klara uśmiechnęła się w duchu. Jednak część jej myśli wciąż jeszcze krążyła wokół matki Marii. Była zaprzyjaźniona z jej własną matką, a Klara czuła całkiem wyraźnie, że ta starsza kobieta miała względem niej szczerze i uczciwe zamiary. Zapytana o to, czy ona sama i inne zakonnice stoją po stronie matki Zofii, matka Maria udzieliła jej wymijającej odpowiedzi.

Po czyjej stronie w takim razie miałyby stać w przeciwnym razie? Zrobiły wszystko, co było w ich mocy, aby matka Zofia mogła jeszcze raz z nią, Klarą, porozmawiać, a więc należały chyba jednak do grupy „poetów” w ramach Opus Spiritus. Ależ nie, pomyślała znowu Klara, wszystko to jakoś w ogóle nie trzyma się kupy!

Potarła sobie oczy i usiadła tak wyprostowana, jak to tylko było możliwe.

– Matko Mario – zaczęła, wpatrując się w starszą zakonnice uważnym wzrokiem. – Matka Zofia opowiedziała mi przedwczoraj to i owo o waszym bractwie. O różnych poglądach „poetów” i „kapłanów”. Wyznała mi także, iż nie może zaakceptować pewnych rzeczy, co do których przypuszczała, że ich sprawcą lub zleceniodawcą mógł być opat Trithemius. – Musiała przełknąć ślinę. W gardle zrobiło jej się nagle strasznie sucho.

Matka Maria patrzyła z nieobecny uśmiechem przed siebie, zupełnie jakby tylko z trudem mogła zrozumieć, o czym w ogóle mówi Klara. Ale dziewczyna czuła wyraźnie, że zakonnica i jej trzy siostry uważnie się jej przysłuchują.

– Matka Zofia zwierzyła mi się poza tym – ciągnęła dalej – że ona nie zgadzała się także z dalszymi planami „kapłanów”. Sama nie wiedziała jednak, jak dokładnie wyglądały te plany, ale Kronus i ona zawsze chcieli oddać *Księgę* do druku i rozpowszechnić ją na cały świat. Tymczasem opat Trithemius zdaje się mieć inne plany. Dlaczego chce koniecznie, abym przybyła do niego z Amosem wraz z książką? Co zamierza zrobić z książką i z nami?

Wszystkie cztery zakonnice patrzyły teraz na nią w ten sam sposób, z rozkojarzonym uśmiechem, zupełnie jakby nie do końca mogły pojąć, czym się tak Klara denerwuje. Jednak mimo wszystko kobiety bynajmniej nie sprawiały wrażenia jakoś specjalnie zaniepokojonych.

– Dlaczego nie odpowiadacie, matko Mario? – ciągnęła dalej Klara. – I po czyjej stronie tak naprawdę stoicie? Z początku myślałam, że musicie należeć do „poetów”. Bo z jakiego niby innego powodu miałybyście stworzyć matce Zofii sposobność do rozmowy ze mną? Jednak teraz wiecie mnie do Wurzburga, do człowieka, który według słów matki Zofii należy do najpotężniejszych „kapłanów” w obrębie waszego bractwa. Jak te dwie sprawy mają się względem siebie? Na wszystkie dobre duchy, przestańcie wreszcie

uśmiechać się do mnie w ten sposób i odpowiedzcie na moje pytania!

Matka Maria znów wymieniła szybkie spojrzenia ze swoimi siostrami. Nie przestała się uśmiechać, ale teraz przynajmniej otwarła usta i zaczęła mówić.

– Matka Zofia należała tylko do zewnętrznego kręgu naszego bractwa – powiedziała z pobłażliwą przyganą. – Znała zatem jedynie prawdę drugiego rzędu, przeznaczoną dla jej stopnia wtajemniczenia. I rzeczywiście, z jej perspektywy wszystko mogło wskazywać na to, że między „poetyckim” działaniem książki a „kapłańskimi” planami przełożonych zakonu istnieją jakoby jakieś tajemnicze różnice. Ale uwierz mi, moja droga, że tak wcale nie jest. Pozorna sprzeczność to tylko otoczka głębszej prawdy.

Klara czuła, jak zaczął w niej kipieć gniew. Zmusiła się do tego, by zachować zimną krew.

– A jaka jest ta głębsza prawda? – zapytała. – Ta, która nie była przeznaczona dla matki Zofii?

Starsza zakonnica wciąż jeszcze uśmiechała się tym swoim na wpół rozkojarzonym, na wpół zagadkowym uśmiechem.

– Odpowiedź na to pytanie, moja droga, znasz przecież już od dłuższego czasu. Podobnie zresztą, jak i Amos już dawno zna rozwiązanie, a przynajmniej je przeczuwa.

I właśnie w tym momencie woźnica zasiadający z przodu na koźle wozu wydał z siebie głuchy okrzyk, który zabrzmiał: „Nadjeżdżają!”. Klara odwróciła się i wyjrzała na wąską drogę, która wiła się dzikimi zakrętami u podnóża winnic. W oddali ujrzała rozciągniętą chmurę kurzu, która zbliżała się w ich stronę w niewiarygodnym wręcz tempie.

– Polowanie trwa nadal – powiedziała matka Maria, a jej uśmiech sprawiał teraz wrażenie, jakby było w nim jednak nieco trwogi. – Nie martw się, Klaro, o wszystkim pomyśleliśmy.

Być może było to spowodowane tymi zarozumiałymi słowami pocieszenia, a może przyczyną było nieustanne napięcie – w każdym razie dla Klary tego było już za wiele. Zakipiała od gniewu.

– Skoro o wszystkim pomyśleliście w tym waszym tajnym bractwie – wykrzyknęła – to chyba z góry uwzględniliście w swych planach także śmierć Kronusa? A jak to było w przypadku moich rodziców i rodziców Amosa? To, że musieli umrzeć, pewnie też nie miało dla was większego znaczenia? W końcu wszyscy ci ludzie nie należeli przecież do waszego wewnętrznego kręgu!

Matka Maria pokręciła głową.

– Nikt z nas nie chciał, by komukolwiek stała się krzywda, nie mówiąc już o śmierci.

– Wciąż jeszcze się uśmiechała, jednak tym razem był to uśmiech pełen troski. – Zrozum, moja droga, że wszystko to działo się dla twojego dobra i dla dobra Amosa. A przede wszystkim zrozum, że „poeci” i „kapłani” ucieleśniają dwie strony tej samej prawdy. Już wkrótce *Księga duchów* będzie rozprowadzana na całym świecie, tak jak sobie tego życzyli Kronus i matka Zofia. I będzie też wywoływała u zwykłych czytelników te zbawienne zdolności, które przewidział wielki Valentin Kronus.

Urwała i znów wyrzała przez tylne okienko na zewnątrz. Również Klara ponownie się odwróciła i dopadło ją przerażenie. Chmura pyłu znajdowała się w odległości już tylko dwóch lub trzech mil za nimi. Gdy dziewczyna zmrużyła oczy, mogła dojrzeć zarysy galopujących jeźdźców i dorożki, którą rwały naprzód pędzące w zawrotnym tempie olbrzymie rumaki. Klara i zakonnice musiały się ucześcić swoich siedzeń, żeby nie wyrzuciło ich z kabiny wozu.

– Jeszcze jedno pytanie, matko Mario – powiedziała Klara podniesionym głosem. – Sądzicie zatem, że ja i Amos nie jesteśmy zwykłymi czytelnikami, u których *Księga* ma wzbudzać tylko te przewidziane przez Kronusa moce. Ale co właściwie każe wam w to wierzyć?

– Już dawno znasz odpowiedź na to pytanie! – wykrzyknęła starsza zakonnica w turkot pędzącego powozu. – W Amosie i w tobie *Księga* wywołuje potężniejsze moce, a wy doskonale wiecie, dlaczego tak się dzieje! Podobnie zresztą, jak i wiecie od dłuższego czasu, a przynajmniej podejrzewacie, że te magiczne dary stają się w waszych rękach tysiąckroć potężniejsze niż w przypadku kogokolwiek innego!

Skonsternowana Klara spojrzała na tę domniemaną ksieni. Tysiąckroć potężniejsze niż u kogokolwiek innego – cóż to miało oznaczać? Przed oczyma jej duszy mgliście i w różnoraki sposób poszczególne fragmenty zaczęły się łączyć w pewną całość: święty gaj w Smreczanach, miejsca kultu pogańskiego w zamierzchłych, mrocznych czasach, do których Faust posłał Amosa wtedy na zamku biskupa Bambergu. W jednym z tych miejsc pojawili się mężczyzna i kobieta, a może chłopak i dziewczyna, którzy byli do nich łądząco podobni. I właśnie to być może tłumaczyło, dlaczego Opus Spiritus właśnie ją i Amosa...

Jednak Klara nie zaszła już dalej w swych gorączkowych rozważaniach.

Była to najmniej odpowiednia chwila, by przemyśliwać tak zawile sprawy. Woźnica gwałtownie zahamował, tak że tym razem wszystkie pięć kobiet rzeczywiście podrzuciło. I w następnej chwili siostra Magdalena szybko się odwróciła na swym siedzeniu obok matki Marii i wymknęła się z istic wiewiórczą zwinnością przez przednie okienko karety.

Klara zrobiła wielkie oczy, gdy zobaczyła, jak ta młoda zakonnica skacze na kozła

obok woźnicy, by przejąć od niego bicz i cugle.

– Bóg z wami! – wyrzucił woźnica głuchym głosem, po czym zeskoczył z wozu po prawej stronie. Zgarbiony, wczołgał się w krzaki na poboczu drogi i zniknął im z oczu. Tymczasem siostra Magdalena, wydając okrzyki radości, jęła znów smagać konie biczem.

Szybko ponownie nabrały rozpędu.

## 10

TYMCZASEM KARETA ŁOWCÓW KSIAŻEK pędziła naprzód, niczym kula wystrzelona z armaty, już raczej nad niż po drodze między winnicami po prawej i Menem, który przepływał tędy po lewej, pod stromym zboczem skalnym. Przerażliwym krzykiem Gregor ponaglał rumaki do jeszcze szybszego galopu. W rozciągniętym szeregu za karocą gnało siedmiu opancerzonych jeźdźców.

– Cztery fałszywe zakonnice i jedna diablica – burknął podcenzor. – A ja zaraz dostanę je w swoje ręce!

Z gorączki polowania odchodził od zmysłów, a przynajmniej tak wydawało się Hannesowi. Skythis zgrzytał zębami. Zaciskał palce już to na oparciu, już to na ramionach Hannesa, sprawiając mu ból.

– Widzisz, Johannesie, czy ty to widzisz? – wyrzucił z siebie i chwycił Hannesa za kołnierz.

– Tak, tak, panie – wyjąkał dla ostrożności, mimo że nie miał najmniejszego pojęcia, co też miał widzieć.

Było mu niedobrze ze wstrętu, który odczuwał na myśl o swej zdradzie, i z powodu tej karkołomnej jazdy. Powóz uciekających kobiet wyprzedzał ich w najlepszym razie już tylko o połowę mili. Również pędził w strasznym tempie, ale był wolniejszy od nich samych. Droga biegła zygzakiem między głazami u podnóża winnic. Była wystarczająco szeroka, aby mogła nią przejechać ich ogromna kareta. Po lewej stronie, tylko kilka cali od szaleńczo kręcących się kół, opadała pięćdziesiąt stóp pionowo w dół, w stronę huczącego Menu.

Wybacz mi, Klaro, pomyślał w duchu Hannes.

I właśnie w tym momencie siedzący obok niego podcenzor zawył, a Hannes aż drgnął ze strachu. Zabrzmiało to zupełnie jak wycie lunatycznego wilka. Chłopak ledwo odważył się odwrócić głowę w prawą stronę. Bał się, że Skythis mógł się naprawdę przeistoczyć w wilka. Ale podcenzor wyglądał tak jak zwykle. Pobladał tylko nieco bardziej na twarzy i strasznie pocierał szczęką o zuchwę, wskazując drżącą ręką w stronę przedniego okienka powozu.

– Zniknęli! – wystękał.

Hannes spojrzał posłusznie do przodu. I rzeczywiście, po powozie uciekających kobiet nie było ani śladu, po drodze zresztą też nie. Zniknęła tuż przed nimi, skręcając ostro w prawo za skałą. Wjechali pędem w ten ostry zakręt i zaraz potem uciekający powóz znów znalazł się w ich polu widzenia, niecałe dwieście kroków przed nimi. Przez króciutką chwilę Hannesowi wydawało się, że kareta wypadła z gąszczu na prawym poboczu drogi. Ale to w ogóle nie miało sensu. Prawdopodobnie ze strachu nie potrafił już nawet patrzeć prosto przed siebie! Powóz, w którym siedziały razem Klara i zakonnice, pędził teraz w dół nachylonym odcinkiem drogi. Także te cztery rumaki, które ciągnęły znajdujący się przed nimi wóz, wydały się Hannesowi naraz bardzo dziwne. Niczym jakieś ogromne konie–zabawki stawiwały kopyto za kopytem, a wtedy droga znów skręciła stromo w prawo, jednak wóz Klary pędził dalej naprzód przez skalne zbocze.

– Klaro! – zawył Hannes.

Przez sekundę zdawało się, że powóz jechał po prostu dalej w powietrzu, że jego koła kręciły się, a rumaki galopowały nad ziemią. A wtedy kareta runęła, jakby od ciosu potężnej pięści, pionowo w dół, do rzeki, – O mój Boże, Klaro! – krzyczał Hannes.

Chciał otworzyć drzwi karety i rzucić się na zewnątrz z rozpędzonego powozu, by ją uratować, by również rzucić się w przepaść na pewną śmierć, sam już nie wiedział po co.

Jednak Skythis chwycił go za kołnierz i szarpnął do tyłu.

– Stój, Johannesie!

Nie wypuszczając swojego pomocnika, wychylił się z bocznego okna i nakazał Gregorowi, aby ten zatrzymał powóz dokładnie w tym miejscu, gdzie runęła kareta z uciekającymi kobietami.

– A teraz wysiadaj – rozkazał Hannesowi – ale powoli. A na zewnątrz nie waż się ruszyć, dopóki ci na to nie pozwolę.

Hannes odpowiedział głównie szczękaniem zębami. Wysiadł z wozu i omal nie przewrócił się na ziemię, tak bardzo uginały się pod nim nogi. Dla ostrożności przykucnął nad stromym zboczem, zanim przesłonił sobie oczy drżącą ręką. Tam, w dole, kareta zanurzała się właśnie w pieniającym się, bulgocącym wirze.

Podcenzor podszedł do Hannesa i położył mu rękę na potylicy, niczym posłusznemu psu myśliwskiemu.

– Kareta utonęła ze wszystkimi w środku – oświadczył z wyraźnym zadowoleniem. – Wszystkie diabolicie z tyłu wozu i wszystkie rumaki z przodu na uprzęży. Widzisz, Johannesie? – Wskazał na rzekę w dole, jakby chciał się upewnić, że uwadze jego pomocnika nie uchodzi żaden szczegół. – Tylko woźnica może się uratować. Widzisz, tam płynie, walcząc o przeżycie.

Pociągnął Hannesa za włosy, a ten pospiesznie zapewnił go, że wszystko dokładnie śledzi swoimi oczami. Także ludzie w pancerzach zeskoczyli ze swych koni i gapili się w dół na rzekę. Tymczasem wody całkowicie pochłonęły powóz. Woźnica wypelzał właśnie na suchy brzeg. Jeden z opancerzonych zdjął swoją strzelbę z ramienia i wycelował w przemoczonego do suchej nitki mężczyznę, który – dysząc – opadł w sitowiu i gapił się w ich stronę rozszerzonymi ze strachu oczami.

– Zostawcie tego biedaka przy życiu – rozkazał Skythis. – Jak często będę wam jeszcze powtarzał. Polujemy na książki, a nie na ludzi!

Woźnica po drugiej stronie uciekł, czołgając się na czworakach. Hannes ukrył twarz w dłoniach i gorzko zapłakał.

Podcenzor znów chwycił go za kołnierz i szarpnięciem postawił na równe nogi.

– Co tak beczysz, Johannesie? – powiedział tak łagodnym głosem, na ile mu tylko pozwalał jego ochrypli psi tembr. – Pomogłeś nam zatopić całą kareta wypełnioną diabolicami, a twoja kara w piekle na pewno zostanie skrócona. Podziękuj raczej Panu, że dał ci zaznać tej łaski.

Wciąż jeszcze szlochając, Hannes rzucił się na kolana przed podcenzorem.

– Ale nie mnie, ty głupku – wyburczał Skythis i znów pociągnął go w górę. – Powinieneś podziękować Panu na niebiosach. Przebywając z tymi diabłami, odczyteś się chyba tego, jak należy się modlić. Ale już ja cię nauczę, jak powinno się dziękować Stwórcy. – Na konie! – rozkazał mężczyznom w pancerzach i pociągnął Hannesa z powrotem do powozu.

– Te fałszywe zakonnice zaprowadziły nas prawie pod same bramy Wurzburga. Nie trudno odgadnąć, do którego szatańskiego opata chciały zawieźć tę małą diabolicę.

Wskazał na wzgórze, wznoszące się niedaleko przed nimi, na którym odznaczały się zarysy murów najpewniej prastarych ruin.

– Tam na Górze Świętej Marii – wyrzucił z siebie – w zamierzchłych, mrocznych czasach kapłani pogan wznosili modły do swych bożków. Ale nie obawiajcie się. Już od



połowy tysiąclecia góruje tam kamienny krucyfiks. Możecie odpocząć pod tym świętym znakiem, tymczasem ja napiszę list do Cellariego. Sokół od razu dostarczy mu wiadomość: „Pozostałe diabły zabarykadowały się z tą swoją diabelską książką w klasztorze Trithemiusa. Potrzebujemy posiłków w liczbie stu purpurowych wojowników”.

## ROZDZIAŁ VII

# 1

MÓGŁ USIAŚĆ PRZY pięciokątnym stole lub maszerować w kółko dookoła kamiennej ławki. Mógł stanąć przed jednym z wąskich okien i wyjrzeć na zewnątrz, mimo że na dworze nie widać było niczego poza krzakami. Mógł też wyciągnąć się na słomiance, którą mnisi usypali mu przed tylną ścianą. Nie mógł tylko jednego – opuścić pustelni bez większych przeszkód, by na przykład przejść się po parku na zewnątrz.

Co kilka godzin przychodził – człapiąc – jakiś mnich i przynosił mu chleb i ser lub misę zupy. Jednak, wychodząc, ryglował znów drzwi za sobą, a w dzień i w nocy przed jego drzwiami stało dwóch uzbrojonych w miecze benedyktynów.

Luki okienne były takie wąskie, że nie można było nawet wystawić przez nie głowy. I wszystko wskazywało na to, że nie było już żadnych innych wejść i wyjść.

Amos tkwił już drugi dzień w tej dziwnej pustelni. Wczesnym rankiem mnisi zaczęli śpiewać i modlić się w głównym budynku po drugiej stronie i kończyli dopiero po nastaniu nocy. Czy był więźniem? A może wszystko to działo się wyłącznie dla jego ochrony, jak go o tym zapewnił Trithemius?

Opat odwiedził go tutaj już trzy albo cztery razy, ale nigdy nie zostawał na dłużej. Biły od niego niepokój i napięcie, które Trithemius daremnie usiłował przed nim ukryć.

– Przybędą tu szybciej niż przypuszczałem – mówił wtedy do Amosa. – Znów przekabacili tego szalonego chłopaka, tego Hannesa czy Johannes, wiesz, kogo mam na myśli. Przez jakiś zamęt w jego wnętrzu chłopak widocznie rozwinął w sobie zdolność wyczuwania *Księgi duchów* na dużą odległość. Ale nie martw się, Amosie – dorzucił pospiesznie Trithemius. – Dopóki ty i *Księga* pozostajecie tutaj w pustelni, także ten Johannes działa po omacku.

Podczas jednej z takich niezwykle nagłych rozmów opat wyłożył mu, dlaczego Johannes rzekomo nie może wyczuć *Księgi* tutaj w pustelni. Trithemius wskazał na ściany, podłogę i w końcu na dach kopuły.

– Brat Paulus wykonał kawał dobrej roboty. Pewnie dawno już zauważyłeś, że twoje

magiczne moce nie mogą pokonać tego potężnego klosza ochronnego. I dokładnie to samo spotyka każdego, kto chciałby przeniknąć przez tę osłonę od zewnątrz. Nawet Faust nie może jej stawić czoła, a co dopiero tamten Johannes Mergelin.

Wszystko to brzmiało do pewnego stopnia przekonująco, a mimo to Amos czuł, że opat przemilcza coś ważnego.

– Poczekaj jeszcze cierpliwie do jutra – znów prosił go Trithemius. – Klara dobrze się miewa, spotkała się z matką Zofią i powinna być tu jutro przed zmierzchem. Do tej pory wykorzystaj swój czas, Amosie, i przeczytaj czwartą opowieść.

*Księga* leżała na potężnym blacie stołu, który wyglądał tak, jakby został wycięty z tysiącletniego buku. Amos zakradał się wokół stołu i książki, cały czas krążąc w kółko. Zastanawiał się, jaką nową zdolność magiczną wzbudziłaby w nim opowieść *O przewoźniku, co chciał płynąć pod prąd*, gdyby ją przeczytał? W jego wnętrzu zmagaly się ze sobą ciekawość i strach, a on wiedział już od dawna, że tę walkę zwycięży ciekawość. Ale jeszcze nie mógł się przełamać, by zasiąść przy stole i otworzyć *Księgę*.

Ten brat Paulus, zastanawiał się, musiał z jakiegoś zupełnie innego powodu pomalować wnętrze pustelni wszystkimi tymi połamanyymi i skrepowanymi literami. W każdym razie Trithemius udzielił mu jeszcze wczoraj innego wyjaśnienia. Pustelnik chciał odgrodzić się od wszelkich ludzkich „myśli i fantazji”, które mogłyby mu przeszkodzić w usłyszeniu prawdziwych boskich słów – tak mniej więcej wyraził się wtedy Trithemius. I jeszcze przed chwilą oświadczył, że ten sam „magiczny klosz ochronny” jest nieprzenikniony dla wszelkich magicznych mocy. Mówiąc to, z pewnością miał rację, bo Amos sam przecież czuł, że tutaj, w pustelni, nie może z nikim nawiązać magicznej łączności. Ale czy był to tylko dziwny przypadek, że te znaki ochronne blokowały obie te rzeczy, a może pustelnikowi chodziło tak naprawdę o odpieranie magicznych mocy?

To nie miało sensu, powiedział sobie później Amos, bo przeciwko którym magicznym mocom brat Paulus miałby się bronić właśnie tutaj, w tym świętym miejscu? Amos pokręcił głową. Niestety, bynajmniej nie była to jedyna rzecz, której sensu nie potrafił zgłębić.

W jaką „magiczną podróż” Trithemius chciał właściwie wysłać jego samego i Klarę, po tym jak oboje przeczytają już czwartą opowieść? Faust był magiem o tak potężnej mocy, której oni razem wzięci nigdy nie posiadają, choćby przeczytali *Księgę duchów* z pięć razy od deski do deski. Cokolwiek mogliby wskórać podczas tej podróży do zamierzchłych, mrocznych czasów lub do najodleglejszych królestw duchów, wszystko to, a nawet o wiele więcej, tak doświadczony czarownik, jakim był Faust, mógłby osiągnąć własnymi siłami.

Amos zastanawiał się nad tym jeszcze przez dłuższą chwilę. Jednak w końcu zmęczył

się tym chodzeniem i rozmyślaniem, pozbawionym jakiegokolwiek celu. Ciekawe, co zrobiliby obaj stojący na zewnątrz mnisi, gdyby spróbował uwolnić się z pustelni siłą? Mógłby spróbować wyważyć drzwi swoim krótkim mieczem albo też poczekać, aż do środka znów wejdzie mnich, który raz na kilka godzin przynosił mu chleb lub zupę. Mógłby go pchnąć na bok albo rzucić się na zewnątrz i pobiec obok zaskoczonych mnichów-wartowników, a później znaleźć w parku odpowiednie miejsce, w którym można by było wspiać się i przejść przez zewnętrzny mur.

Amos rozważał te możliwości i wiedział, że żadnej z nich nie zrealizuje. Tu, w środku, był bez wątpienia bezpieczniejszy niż w jakimkolwiek innym miejscu poza klasztorem. To samo tyczyło się Klary i *Księgi*. I niezależnie od tego, czego spodziewali się po nich obojgu Trithemius i Faust, mogli osiągnąć swój cel tylko wtedy, gdy Klara i on sam przystaną na ich plan.

Poza tym w pustelni panowała idylliczna atmosfera, która coraz bardziej napępiała Amosa spokojem i łagodnością. Magiczne moce, które wzbudziła w nim *Księga*, ich ucieczka i wszystkie inne, okropne wydarzenia wprawiły go w stan nieustannego niepokoju wewnętrznego, który pod kloszem ochronnym brata Paulusa coraz bardziej zanikał. Magiczne strumienie światła w jego wnętrzu wyraźnie osłabły w tym krótkim czasie, który tu spędził, a sam Amos czuł wyraźnie, że jego oczy nie promieniały już w tak przerażający sposób, jak miało to miejsce jeszcze przed kilkoma dniami.

Usiadł na ławce, która – jak wszystko tutaj – była pomalowana zniekształconymi i skrepowanymi literami. Przez kilka chwil obracał jeszcze *Księgę* między rękami, nie otwierając jej. Jego ciekawość już dawno wzięła górę.

Dolał sobie świeżej wody i opróżnił kubek jednym haustem. Po czym otworzył *Księgę duchów* i wertował ją, aż znalazł miejsce, od którego zaczynała się ostatnia opowieść. Amos wziął głęboki oddech i zaczął czytać.

*Przygnębiony Laurencjusz Answer podążył ścieżką prowadzącą od zameczku myśliwskiego z powrotem w stronę leśnego jeziora. Choć ojciec wydał o nim surowy osąd, powiedział sobie Wawrzyniec, to przecież wszystko, co powiedział, było prawdą. W największej potrzebie ojciec wysłał go, aby nauczył się sztuki władania mieczem. Miał powrócić z wojskiem zaprawionych w boju żołnierzy, by wyzwolić ojca i odzyskać ich posiadłości. Swoją własną krwią miał wypłukać tych wilczookich z zamku Answer – a co zamiast tego uczynił? Zakradł się tchórzliwie przez szpary i szczeliny, a jego wojsko składało się wyłącznie z tłących się na zielono gnomów!*

*– Ach, ojcze, nie jestem wart tego, by być twoim synem! Pokładaliście we mnie całą swoją nadzieję, a ja was zawiodłem!*

*– Tak Wawrzyniec nieustannie obwinał samego siebie, ledwo zważając na drogę. – Ale od czego powinienem zacząć, aby was uwolnić ze szponów tych ludzi-zwierząt? Jest ich tak wiele i są uzbrojeni aż po zęby, a ja jestem zupełnie sam!*

*W końcu opadł na jakiś pokryty mchem pień drzewa. Las dookoła niego wydał mu się ponury niczym kostnica. W powietrzu nie było nawet najmniejszego podmuchu wiatru, nie słychać było także żadnego śpiewu ptaków. Niczym wykute z żelaza, drzewa wznosiły się jedno koło drugiego wysoko ku niebu, które z kolei wydawało się martwe, choć do uszu Laurencjusza dochodziło jakby mechaniczne przesuwanie się żwiru i mułu.*

*– Ach, Lucyndo – westchnął – gdybym tylko mógł być przy tobie, moja droga – w twojej sali w wieży, przypominającej muszlę, gdzie od świtu do zmierzchu wszystko radośnie wiruje w tańcu.*

*Przepełniony tęsknotą myślał o swojej ukochanej, a także o barwnej gromadce artystów i błaznów, którzy odpędzali od niej nudę i melancholię swoimi obrazami i śpiewami, wierszami i szelmowskimi sztuczkami. Tymczasem on tkwił tu w gąszczu, uwięziony między dwoma światami i do żadnego z nich już nigdy nie uda mu się przedostać! Nie mógł powrócić na zamek Answer, bo jego przeciwnicy byli nazbyt potężni. A dopóki nie uwolni ojca i nie przepędzi wrogów, dopóty żadna z dróg nie zaprowadzi go do Lucyndy.*

*– Jestem zgubiony – tak biadał Laurencjusz Answer. – Zawiodłem, zawiodłem pod każdym względem! Rozczarowałem ojca i nie mniej moją ukochaną. Nie jestem godzien, by nosić miecz rodu Answerów ani chwili dłużej!*

*Zerwał się z miejsca i już chciał wyrwać miecz z pochwy, by wrzucić go do rzeki lub też rzucić się samemu w toń – prawie nie robiło mu to różnicy w tej jego niedoli. Jednak zanim jeszcze zdążył na dobre zacisnąć swoją dłoń na rękojeści miecza, usłyszał dobiegające od strony rzeki znajome bulgotanie.*

– Spiesz się, przewoźnik się zbliża.

Wawrzyńiec wypuścił rękojeść i rozejrzył się dookoła ze zdziwieniem. Musiał tu spędzić już wiele godzin, ubolewając nad swoim losem. Dzień chylił się znów ku końcowi, a z pewnej odległości zaczęły już dochodzić odgłosy nocnych myśliwych: wilków, sów, puszczyków.

– Jeśli już padł strzał, nikt nie powstrzyma kuli – zabulgotało od strony rzeki. – Płyn pod prąd, Wawrzyńcu, tam gdzie broń jeszcze milczy.

Wbrew własnej woli Wawrzyńiec poczuł, jak narasta w nim ciekawość. Zrobił kilka kroków w stronę rzeki, przykucnął na brzegu i rozejrzył się badawczym wzrokiem.

– Tutaj, tu na dole jesteśmy – wybulgotało w jego stronę.

I rzeczywiście. W przybrzeżnym sitowiu aż roilo się od krucmarów. Kilka z nich machało nóżkami w wodzie, inne leżały wyciągnięte wzdłuż na listkach trzciny, jakby zażywały właśnie kąpieli słonecznej.

– Co tam mówicie o broni i kuli? – zapytał. – To znowu tylko tajemnicza gadanina, za pomocą której chcecie mnie nieco pocieszyć i nieco się ze mnie ponatrząsać.

– Spójrz, przewoźnik! – wykrzyknęły krucmary. – Tam na zewnątrz, w rzece. Wystarczy tylko, że otworzysz oczy!

Zdziwiony Laurencjusz Answer przesunął wzrokiem z roju maleńkich ludzików na szeroką wodę, tam i z powrotem.

– Widzę tylko fale i pianę burzącej się wody – wyznał w końcu.

Jego zdziwienie ustąpiło teraz miejsca wściekłości. Te zielne gnomy znów się z niego naśmiewają!

I już miał chwycić pierwszego lepszego krucamara za czuprynę z ihu, gdy dostrzegł kątem oka coś całkiem niezwykłego. Cień potężnych rozmiarów, wylaniający się na samym środku rzeki z mętnej od mułu toni, który już po chwili dobył się z tafli wody – nieforemny pojazd, raczej tratwa niż przewóz, pokryta wodorostami i ilem. Właściwie składała się z kilku pni drzew, które kotływały się obok siebie w wodach i które były wyposażone dookoła siebie w wysokie na dwie stopy plandeki, służące chyba temu, aby nikt nie został w drodze zmyty z pokładu. Bo rzeka właśnie w tym miejscu płynęła naprzód szczególnie rwącym nurtem, a przewoźnik trudził się, by potężnym drągiem pokierować tratwę w stronę drugiego brzegu.

Głosem, niczym gwałtowny przypływ morza, flisak ryknął, wciąż jeszcze pchając swój pojazd żerdzią na drugi brzeg:

– Pod prąd, rycerzu?

Laurencjusz skinął niezdecydowanie w jego stronę.

*Flisak był olbrzymim mężczyzną o muskularnych ramionach. Rzeczna woda strużkami ściekała mu po brodzie i włosach, które niczym jedna kudłata masa opadały mu falami na pierś i ramiona, sięgając aż do kolan. Z jego twarzy widać było właściwie tylko oczy, których pośepne spojrzenie bynajmniej nie wzbudzało zaufania Wawrzyńca. Natomiast usta, a nawet nos miał prawie zupełnie zarośnięte gęstwiną brody. I tylko te dwie fontanny, które wyparskiwał za każdym wydechem z okolicznych kudłów brody, pozwalały się domyślić, gdzie mniej więcej musiały się znajdować jego dziurki w nosie.*

*– Jak daleko, paniczku? – zagrział przewoźnik. Także widok jego rozwierających się i zatraskujących ust był przerażający – otchłań z bladym językiem przypominającym robaka.*

*Laurencjusz wzruszył ramionami.*

*– Tam, gdzie nasi wrogowie są bezsilni. Gdzie mój ojciec rządzi i żyje na zamku Answer i nie musi cierpieć niedostatku w swoim własnym lochu. Znasz takie miejsce, gdzie wszystko jest piękne i jasne, a nie, tak jak tutaj, zniszczone i spowite chmurami? Jeśli tak, to zabierz mnie właśnie tam, przewoźniku.*

*Flisak pokręcił swoją potężną głową, a krople pryskały mu z brody i włosów.*

*– Wszystko piękne i jasne. Tak daleko i ja nie mogę płynąć pod prąd. Opieranie się nurtowi przez ponad siedemdziesiąt mil, to ponad moje siły. A popatrzcie tylko, młodzieńcze, jak silne są moje ramiona. – Zgiął lekko rękę i pokazał Wawrzyńcowi swoje potężne mięśnie. Drugą ręką trzymał swój drąg oparty na dnio rzeki, tak aby nurt go nie porwał.*

*– A więc jak daleko, życzycie? – zagrział na Wawrzyńca.*

*– Pięć mil! Nie, siedem – bulgotały krucmary jeden przez drugiego.*

*– Musi ich być z osiem – krzyknął trzeci z gnomów. – Mniej być nie może.*

*Niezdecydowany Wawrzyniec patrzył to na jednego, to na drugiego krucmara.*

*– Gdy nasi wrogowie, wilczoocy, przybyli z lasu – powiedział – by zająć i skalać zamek Answer, miałem siedemnaście lat. I do tego czasu mam wracać? Tak przynajmniej rozumiem wasz symbol, mówiący o ciszy przed strzałem, do której powinienem powrócić.*

*– Z powrotem, tylko z powrotem – potwierdziły krucmary.*

*– Tak dobrze.*

*– Ale wystarczająco daleko, tam gdzie broń naprawdę jeszcze milczy.*

*Laurencjusz Answer znów spojrział na przewoźnika. Ten podprowadził tymczasem swoją tratwę tak blisko brzegu, że Wawrzyniec mógłby się znaleźć na jej pokładzie jednym śmiałym skokiem.*

*– A więc cztery mile pod prąd? – zapytał flisaka. – Czy możesz mnie zawieźć tak daleko, dobry człowieku?*



– Cztery czy czterdzieści, jak tylko życiecie – zagrziała odpowiedź kudłatego.

Jednak tego z kolei nie chciały słyszeć krucmary. Zgodnie kręciły zielonymi główkami, aż il zaczął im latać dookoła uszu.

– Tylko cztery? – zabalgotowały. – Za mało, o wiele za mało!

Jednak teraz Laurencjusz Answer zaczął już tracić cierpliwość. Zeskoczył w dół do przybrzeżnego sitowia, chwycił po jednym gnomie każdą ręką i porwał je ze sobą do góry.

– Ile mil? – zapytał, przesuwając wzrokiem z jednego na drugiego krucmara. – No, gadać mi tu od razu. Bo inaczej posmakujecie mojego miecza!

Oba maleńkie ludziki żałośnie się szamotały w jego dłoniach. Jednak już w następnej chwili wykrzywiły swoje twarzyczki w grymasie dobrodusznego szyderstwa.

– Ach, on, bądź co bądź, jest rycerzem! – krzyknęły w swoją stronę. – Jeśli nie znajdzie innej rady, na pewno dobędzie miecza!

Laurencjusz Answer przykucnął i ostrożnie postawił oba krucmary na ziemi.

– Wybaczcie mi – powiedział. – To z tym mieczem było powiedziane tylko ot, tak sobie. Nigdy nie mógłbym wam wyrzucić krzywdy. Ale teraz mówcie mi tu prędko, nie dajcie się już dłużej błagać: ile mil muszę popłynąć pod prąd?

Oba krucmary potarły sobie ręce.

– Wsłuchaj się w siebie – wybulgotał jeden z nich. – I wyobraź sobie dość żywo ten strzał, gdy pada z broni.

– I zamknij oczy – wybulgotał drugi z maleńkich ludzików.

– Strzał pada z hukiem. Co widzisz?

Wawrzyniec uczynił tak, jak mu kazano. Usłyszał huk wystrzału i ujrzał kozłaka, jak pada na polanie nieopodal ich zameczku myśliwskiego. Kula rozerwała mu jedną z kończyn, a Giza zacisnęła dłoń na ramieniu Wawrzyńca i zaczęła krzyczeć. Usiłował odciągnąć siostrę od okna, żeby nie musiała już dłużej patrzeć, jak kozłak leży tam na dole, drżąc i podrygując. Ale ona wyrwała mu się, wybiegła z pokoju i zbiegła schodami na dół.

Laurencjusz otworzył oczy. Jak długo już nie myślał o tej straszliwej scenie?! O łzach wylewanych przez Gizę, ujadaniu psów myśliwskich, ochrypłych krzykach myśliwych spędzających zwierzynę łowną głębiej w zarośla.

To właśnie od tego strzału, powiedział sobie Wawrzyniec, wszystko się zaczęło. Do tamtego czasu i miejsca musiał zatem powrócić. Bo gdyby ta kula nigdy nie wystrzeliła z tamtej broni, to wszystko inne, co po tym nastąpiło, nigdy by się nie wydarzyło.

– Miałem wtedy piętnaście lat – powiedział do krucmarów – gdy wystrzelono tę kulę. Było to pewnego letniego dnia, takiego, jak ten dzisiejszy. – Ponownie zwrócił się do

*przewoźnika, który rozcapierzonymi palcami przeczesywał sobie brodę.*

*– Sześć mil pod prąd. Ile mnie to będzie kosztowało?*

*Flisak spojrział na niego ponurymi oczami.*

*– To nie są takie mile, jakie znasz – powiedział. – Nie można ich też porównać z milami, które trzeba przemierzyć, by dotrzeć do kobiety w studni.*

*Laurencjusz zmarszczył czoło. Przyszedł mu na myśl ten chciwy przewoźnik od tratwy, który wyludził od niego karosza i tarczę z mosiądzu.*

*– Podaj swoją cenę – powiedział.*

*– Nie chcę od was ani guldenu, ani halerza – odparł przewoźnik. – Możecie także zachować wasze buty i wasz pas.*

*– Podaj swoją cenę – powtórzył Wawrzyniec.*

*– Dajcie mi wasz rodowy miecz, a ja zawiozę was tak daleko pod prąd, jak tylko będziecie chcieli i jak daleko będę tylko potrafił. Jeśli się będziecie wzbraniać, to w tej samej chwili mnie już nie będzie i nie zobaczycie mnie już nigdy więcej.*

*Wawrzyńcowi krew uderzyła do głowy. Bez rodowego miecza Answerów nigdy nie będzie mógł się pokazać ojcu na oczy. Jednak już w następnej chwili zrobiło mu się lekko na sercu, do tego nigdy przecież nie dojdzie.*

*– A więc zabierzecie mnie tam – powiedział – abym się upewnił, gdzie padł tamten strzał?*

*Przewoźnik skinął, parskając.*

*– W takim razie zgoda – rzekł Wawrzyniec. – Możesz zatrzymać mój miecz.*

*Pomachał krucmarom na pożegnanie i zeskoczył na tratwę, która też natychmiast ruszyła z miejsca.*

*Przewoźnik wyciągnął swój drąg z wody, a nieforemną tratwę wody porwały na środek rzeki.*

*– Daj mi ten miecz! – powiedział, wyciągając rękę w stronę Wawrzyńca. Błysk pożądlivosti w jego oczach sprawił, że jego spojrzenie wydawało się teraz jeszcze bardziej przerażające.*

*– Daj mi go! – wrzasnął.*

*Wawrzyniec odpiął miecz od pasa. Przez chwilę znów zrobiło mu się ciężko na sercu. A co, jeśli się pomylił, albo jeśli przewoźnik nie był względem niego szczerzy, i nie zdoła popłynąć tych sześciu mil pod prąd? Ale nie, powiedział sobie ponownie Laurencjusz, wszystko się dobrze skończy. A on i tak nie miał wyboru.*

*Przekazał flisakowi miecz wraz z pochwą, na której widniał herb rodowy Answerów –*

ciemna skała, z której wyrastała wieża.

– Tak dobrze – zagrział przewoźnik. – A teraz połóżcie się na tratwie, piersią do dołu i głową do przodu. Tylko mocno się trzymajcie. Jeszcze się zdziwicie, chłopcze.

Rycerz Wawrzyniec chciał już wybuchnąć gniewem. Skąd mu przyszło na myśl, by wymyślać mu od chłopców! Ale zdusił w sobie swoje gniewne słowa i położył się tak, jak mu kazano, na kołyszącej się tratwie. On sam niczego nie pragnął bardziej, niż znów stać się tym piętnastoletnim chłopcem, żyjącym wraz z rodzicami i siostrą Cizą w wolności i spokoju na zamku Answer.

Wawrzyniec wziął jeszcze jeden głęboki oddech. Tratwa tonęła. I już sunęli po dnie rzeki, prosto przed siebie, pod prąd. Za jego plecami przewoźnik uderzał swoim kijem o muł, ale Wawrzyniec nie odwracał się w jego stronę. Przez kilka trwoźnych chwil myślał nawet, że zaraz się udusi albo że nurt porwie go z tratwy w dół, ale nie stało się nic złego. Otworzył usta i wciągnął rzeczną wodę do płuc. Dookoła niego roilo się od ławic małych rybek, które opływały go i przepływały przez niego. Kamienie tańczyły, raki pęłzały, a węże wodne wiły się w mętnej od mułu rzece. On, Wawrzyniec

Answer, był tymi rybkami, był tą wodą, tymi kamieniami i tym mułem. Nie stracił swojej postaci, jednak był już tylko cieniem nadającym wodzie, mułowi i temu mrowiu przelotną ludzką formę.

Gdy tratwa znów wylonila się na powierzchnię, Wawrzyniec nie mógł uwierzyć, że naprawdę przepłynęli już sześć mil pod prąd. Podróż wydala mu się tak krótka, jakby odbyła się we śnie. Gdy przemoczony do suchej nitki dryfował na trawie w stronę brzegu odczuwał lekki żal. Teraz znów był człowiekiem z krwi i kości i już chyba nigdy więcej nie będzie niczym cień przemykał po dnie jeziora lub przeciekał przez szpary i szczeliny w skale. Wszystko to odczuł i zrozumiał w jednej chwili. Potem przewoźnik skinął w jego stronę, a Wawrzyniec jednym śmiałym skokiem znalazł się znowu na brzegu.

Znów był dokładnie tam, gdzie wcześniej przesiadywały w sitowiu niezliczone zastępy krucmarów. Jednak gdy Laurencjusz rozejrzał się dookoła, nie dostrzegł już ani jednego z tych zielonych ludków. Ich także pewnie już nigdy nie zobaczy, podobnie zresztą jak i przewoźnika z głosem niczym gwałtowny przypływ morza. Wawrzyniec jeszcze raz odwrócił się w stronę rzeki, jednak również po tej nieforemnej tratwie nie było już ani śladu.

Słońce stało już ponad koronami drzew. Do południa musiało być całkiem blisko. Powietrze nad rzeką było gorące i rozedrgane. Wawrzyniec przesunął po sobie wzrokiem. Znów był dryblasowatym piętnastoletnim chłopcem, uwielbiającym samotnie snuć się po lasach i marzyć przy tym o przygodach, z którymi przyjdzie mu się pewnego dnia zmierzyć.

*Gdzieś w oddali, za bezkresnie ciągnącymi się górami i lasami, żyła dziewczyna, która była dla niego przeznaczona, którą kochał i z którą spędzi całe życie. I co do tego nie miał już najmniejszych wątpliwości.*

*Wyruszył w drogę powrotną do domu. A był to dzień, w którym jego ojciec chciał urządzić to wielkie polowanie. Wawrzyniec czuł to całkiem wyraźnie. Musiał się pospieszyć i użyć całej swojej perswazji, by przekonać ojca, aby odwołał polowanie, zanim się jeszcze zacznie.*

*Przebiegi cały, dość spory kawałek lasu, tak jak to zawsze zwykł czynić jako mały chłopiec. Od skrajów lasu przez łąkę i stromą ścieżkę aż do zamku na wzgórzu. Brama była otwarta, a w wartowni siedzący w kręgu mężczyźni podawali sobie jeden drugiemu kubek do gry w kości.*

*– Ach, tu jesteście, paniczku – odezwał się jeden z nich.*

*– Ojciec was szuka.*

*Wawrzyniec pobiegł spiesznie w stronę palacu. W swoim zielonym myśliwskim stroju, przepasany mieczem rodowym Answerów, ojciec chodził po wielkiej sali tam i z powrotem, dokładnie w tym samym miejscu, w którym uctowało przedtem jego wilczoogie lustrzane odbicie. A jednak nigdy takie uctowanie już się powtórzy, jeśli tylko on, Wawrzyniec, wszystko zacznie we właściwy sposób i doprowadzi do szczęśliwego zakończenia.*

*– Tu jesteś, chłopcze! – zawołał ojciec w jego stronę. – Pojedź dziś z nami na polowanie. Zróbże ojcu przyjemność! – Popatrzył na Wawrzyńca proszącym wzrokiem. – Za godzinę zbieramy się na polanie przy zameczku myśliwskim. Sam zobaczysz, to będzie niezła zabawa.*

*Wawrzyniec spuścił głowę.*

*– Proszę, ojczy, przecież już o tym rozmawialiśmy. Nie odnajduję żadnej przyjemności w gonieniu i zabijaniu. I choć zazwyczaj chętnie spełniam twoje życzenia i prośby, to dziś nie mogę wam wyświadczyć tej przysługi.*

*Ojciec położył mu rękę na ramieniu.*

*– Co z tobą? Spójrz na mnie, Wawrzyńcu. Wydajesz mi się taki poważny, taki odmieniony.*

*Wawrzyniec uniósł posłusznie głowę. Jakże pełen wigoru, jakże niezwykły stał przed nim jego ojciec! Przez chwilę Wawrzyniec miał wrażenie, że wszystkie te straszliwe wydarzenia tylko mu się przyśniły. Ale nie była to senna mara ani rzeczywistość, lecz raczej coś gwałtownego, z pogranicza snu i jawy – bardzo mgliste i pogmatwane. A on musiał zadbać teraz o to, żeby żadna z tych rzeczy nigdy się nie wydarzyła.*

– Ojczy, proszę – powiedział, spoglądając na rycerza Justina Answera przenikliwym wzrokiem. – Nie mogę pójść z wami na to polowanie i błagam was, abyście i wy tam nie szli! Przede wszystkim zaś nie kaźcie iść Gizie do zameczku myśliwskiego.

Na te słowa mina ojca przybrała najpierw wyraz pytający, a następnie gniewny. Uniósł teraz rękę, nakazując synowi milczenie.

– Co ty opowiadasz, chłopczy? – zbesztal go. – Dlaczegoż, na litość boską, miałbym nie iść na to polowanie? To ja jestem panem, to są moi myśliwi i moja zwierzyna łowna.

Wawrzyniec pokręcił głową.

– Ja to wszystko wiem. Ale zrozumcie, proszę, ojczy: musicie odwołać polowanie, i to natychmiast, w przeciwnym razie będzie już za późno! – Ojciec znów chciał mu nakazać milczenie, ale Wawrzyniec po prostu mówił dalej: – Wysłuchajcie mnie, a później zadecydujecie, czy powinniście poważnie potraktować moje ostrzeżenie.

Popatrzył w stronę ściany skalnej, z której wcześniej obserwował, jak wilczoocy zjadali się z apetytem przy ich stole.

– Jeśli dziś przeprowadzicie zgodnie z planem polowanie, ojczy – powiedział – to wtedy na polanie przy zameczku myśliwskim zostanie postrzelony kozłak, a Giza będzie tego świadkiem i ogarnięta litością ubłaga mnie, żebym zaniósł to zwierzę do drewnianej szopy za zamkiem, a jutro wyjdzie wraz z matką, by dojrzyć koziołka. I w żadnym razie nie wolno do tego dopuścić, ojczy. Bo gdy matka i Giza pójdą jutro nad ranem do lasu, to już nigdy nie wrócą.

Musiał przelknąć ślinę i nie od razu zdołał mówić dalej. Jednak tym razem ojciec bynajmniej nie zamierzał mu przerywać.

– Skąd o tym wszystkim wiesz, Wawrzyńcu? – zapytał tylko, a na jego twarzy malowały się troska i przestrasz.

– Po prostu wiem – odpowiedział Wawrzyniec, wzduszając ramionami. – Nie wróciłyby z lasu – powtórzył. – Zupełnie jakby pochłonęła je gęstwina. Wy zwołalibyście ludzi i szukalibyście zaginionych po całym lesie. Natknęlibyście się przy tym na zgraję dzikich ludzi, która od niepamiętnych lat gnieździ się tam, w leśnym gęszczu. Podczas walki wy i wasi ludzie zabilibyście kilku spośród tych dzikusów, ale matki i Gizi już nigdy byście nie odnaleźli. A pewnego dnia ci wilczoocy wyszliby z gęstwy, całe ich wojsko, i napadliby i zajęli zamek, a wy, ojczy...

Wawrzyniec znów musiał zrobić przerwę w mówieniu. Palilo go w gardle, jakby nałykał się ognia.

– A was – ciągnął z trudem dalej – wtrąciłiby do waszego własnego lochu, dobry

*Boże!*

*Rzucił się Justinowi Answerowi na szyję, a ojciec pogłaskał go po plecach.*

*– A twoja matka i siostra? – zapytał z pełną przeczuciem nutką w głosie. – Jak wyglądałyby ich dalsze losy?*

*Wydawało się, że Wawrzyńca łada chwila opuszczą resztki odwagi.*

*– Proszę, zwolnijcie mnie z odpowiedzi na to pytanie – błagał. – Odwołajcie polowanie, a żadna z tych rzeczy się nie wydarzy!*

*Jednak ojciec nie dał się zbić z tropu.*

*– Odpowiedz mi, Wawrzyńcu. Co jeszcze o nich wiesz?*

*Wawrzyniec uwolnił się z jego uścisku i dla ostrożności cofnął się o krok.*

*– Matka i Giza – wymamrotał – przybyłyby z lasów wraz z wilczookimi i zamieszkałyby z nimi na zamku.*

*Wtedy ojciec zawył, jakby to jego dosięgnęła kula.*

*– Ci przekłęci ludzie–zwierzęta! – wyrzucił z siebie. – Uprawdzają i pozbawiają czci moją żonę i córkę, a później mieszkają pod moim dachem, w czasie gdy ja sam muszę zdychać w swoim własnym lochu?*

*Ciężko oddychając, stał przed Wawrzyńcem z dłońmi ściśniętymi w pięści.*

*– Wierzę ci, Wawrzyńcu, wierzę w każde twoje słowo, bo wiem dobrze, że Bóg w swej dobroci zsyła czasem ludziom prorocze sny. Ujrzałeś wiszące nad naszymi głowami zagrożenie, a ja uczynię teraz to, co trzeba, by zapobiec temu straszliwemu niebezpieczeństwu.*

*Tym razem to Wawrzyniec wpadł ojcu w słowo, jednak i stary Answer nie dawał sobie tak łatwo przerywać.*

*– Nie odwołam polowania – oświadczył. – Wręcz przeciwnie. Każę moim ludziom upolować wszystkich dzikich ludzi, których uda im się wyśledzić w moich lasach. Jeśli teraz wyrzniemy te bestie o wilczych oczach, nie będą mogły jutro zadać gwałtu naszym kobietom!*

*Po tych słowach ojciec chciał się z miejsca rzucić do ataku, ale Wawrzyniec znalazł się szybciej u drzwi i zastąpił mu drogę.*

*– Proszę, wysłuchajcie mnie, ojcze – powiedział. – Nie wiecie jeszcze jednej ważnej rzeczy.*

*– Jakiej rzeczy? – zapytał Justin Answer i spojrzał ponurym wzrokiem w dół na Wawrzyńca.*

*– Nowi panowie na zamku Answer – odparł chłopak zdyszczanym głosem – wyglądaliby zupełnie tak samo jak wy i ja. Ich oczy przypominałyby wilcze ślepia, ale poza tym byłiby do*

*nas podobni jak dwie krople wody, niczym wasze i moje lustrzane odbicia. Żyliby razem z matką i Gizą, jak mąż z żoną, jak ojciec z córką, jak syn z matką i siostrą. – Pochwycił ręce ojca i kurczowo je ścisnął. – Tyle tylko, że byliby wilczookimi ludźmi–zwierzętami! – zawołał. – Proszę, odwołajcie dzisiejsze polowanie. Przysięgam wam, że wtedy wszystko się dobrze ułoży.*

*Na te słowa ojciec pobladł.*

*– Jak ty i ja – wymruczał – tyle tylko, że ich oczy przypomniałyby wilcze ślepia? Oznaczałoby to, że musielibyśmy urządzić polowanie na nas samych, by wyróżnić nasze zezwierzęcone lustrzane odbicia. Ta myśl wywołuje u mnie duże opory.*

*– W takim razie odwołujecie polowanie? – krzyknął Wawrzyńiec. – Proszę, ojcze, powiedz, że tak.*

*Rycerz Justin Answer popatrzył przez chwilę przed siebie w zamyśleniu, a następnie skinął w stronę Wawrzyńca.*

*– Czuję powagę, która przez ciebie przemawia. Otrzymałeś boską wizję, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak tylko odwołać polowanie. I żeby nie ryzykować, zarządzę dodatkowo, że od tej pory w naszych lasach będzie można łowić tylko tyle zwierzyny, ile to będzie konieczne.*

*Spojrzał na Laurencjusza, jakby przebudził się z jakiegoś przygnębiającego snu.*

*– Co ty na to, chłopcze? A z tymi dzikimi ludźmi z zarośli zawrzemy pokój. Jeśli o mnie chodzi, to mogą sobie upolować tych kilka zajęcy i loch dla zaspokojenia dokuczliwego głodu. W końcu w naszych lasach zwierzyny jest pod dostatkiem.*

*Wawrzyńiec nie wierzył własnym uszom. Jednak pospiesznie przytakiwał ojcu we wszystkim. Ten położył mu rękę na ramieniu i pociągnął go ze sobą na zewnątrz, na słoneczny dziedziniec zamku.*

*– Od dłuższego czasu złości mnie to, że kontakty między zamkiem Answer a dworem księcia Kestony tak całkowicie ustały. Jeszcze za moich młodych lat wzajemne stosunki były ożywione. Tylko sobie wyobraź, Wawrzyńcu: w tamtych czasach z zamku Answer do Palazzo Kestony prowadziła utwardzona droga – przez góry i lasy, a po drugiej stronie przez księżęce okolice aż do słynnego, białego palacu z kunsztowną spiralną wieżą w kształcie muszli. To wielka szkoda, że nasze kontakty tak skarłały ostatnimi czasy! Ale ten błąd niezwłocznie naprawimy. Jeszcze dzisiaj wyślę swojego kasztelana, by zawarł pokój z dzikimi ludźmi tam w zaroślach. A później będzie mógł pojechać dalej do Kestony. Księżę na pewno się ucieszy, gdy w końcu znów otrzyma zaproszenie na zamek Answer.*

*I dokładnie tak właśnie miało się stać. Dzikim ludziom zagwarantowano prawo do*

założenia własnej wioski w odległym lesie, z dała od zamku Answer, a także do polowania na skromną część zajęcy i dzików należących do Answerów. W zamian za to dzikusy przyrzekły raz na zawsze zrezygnować z rozbojów oraz z uprowadzania zwierzyny, a przede wszystkim ludzi. Tym samym właściwie przestali być dzikimi ludźmi.

Kilka tygodni później z Kestony powrócił kasztelan, wręczając rycerzowi Justinowi Answerowi okazale opieczętowany i owinięty grubymi sznurkami list, w którym książę oświadczał, że z przyjemnością przyjmuje zaproszenie. I już następnej wiosny, gdy tylko droga zostanie zreperowana, wyruszy w drogę, by wraz z małżonką i ich córką Lucyndą, a także orszakiem złożonym z pięciu tuzinów dam dworu, dworzan i paziów oraz tyleż samo Uczącą grupą artystów i błaznów, zaszczyścić swoimi odwiedzinami szlachejnych Answerów.

Po tym jak ojciec odczytał ten list przy wieczerzy, Wawrzyniec wydał z siebie okrzyk radości. Wszyscy popatrzyli na niego z wielkim zdziwieniem. A potem jeszcze przez jakiś czas belkotał, parskał śmiechem i chichotał, aż w końcu przestał. Bo jak, na Boga, miał teraz wyjaśnić swoim rodzicom i swej siostrze Cizie, że odnalazł swoją ukochaną? Tym razem już nie za lustrem, lecz w rzeczywistości.

Następnej wiosny na zamek Answer rzeczywiście przybyła wraz ze swoim nie dającym się oszacować orszakiem para książęca z Kestony. Lucynda, z połyskującymi zielonymi oczami, lśniącymi, czarnymi włosami i księżycową skórą, wyglądała jeszcze bardziej czarująco i urzekająco, niż Wawrzyniec zachował ją w swojej pamięci, chociaż trudno w to było uwierzyć.

Rodzice młodych bardzo się zdziwili, gdy Wawrzyniec ukląkł przed Lucyndą, gdy ta ledwo zdążyła wysiąść z karety.

– Zawsze chcę was kochać, nigdy nie chcę zasmucać, Lucyndo! – wykrzyknął i uniósł w jej stronę złożone ręce.

Wtedy ona pochyliła się do przodu i położyła mu swoją białą dłoń na głowie, mówiąc:

– Laurencjuszu, mój ukochany panie. Przysięgnijcie, że już nigdy mnie nie opuścicie.

– Przysięgam na wszystko, co mi święte! – zawołał pełen żarliwości Laurencjusz.

Wtedy ona chwyciła go za ręce i pociągnęła ku sobie.

– Tym razem wszystko dobrze się ułoży – powiedział, a ona skinęła w jego stronę z błogim uśmiechem na twarzy.

Teraz Laurencjusz Answer zgiął głowę i padł na kolana przed rodzicami Lucyndy, witając ich z głębokim szacunkiem:

– Tym razem na pewno nie omieszkałbym wybudzić was ze snu przepelnionego troskami, panie – dorzucił z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. – Jednak na szczęście –



powiedział, zwracając się tym razem do księżnej – wasz małżonek już nie śpi i dobrze się miewa.

Książe i księżna obrzucili się spojrzeniami, w których trudno było nie dostrzec cienia lekkiego zdziwienia. Jednak zanim jeszcze zdążyli mu coś odpowiedzieć, Laurencjusz ciągnął dalej:

– Lucynda i ja kochamy się już od dawna. Śniliśmy już w dzieciństwie, że jesteśmy siebie przeznaczeni. Dlatego też proszę was z całego serca: oddajcie mi waszą córkę za żonę.

Parze książecej, podobnie zresztą jak i rodzicom Laurencjusza, odebrało mowę.

– Ale jesteście przecież jeszcze chłopcem – zaoponowała w końcu jego własna matka, a rodzice Lucyndy potrząsali nerwowo głowami tam i z powrotem.

– Czy na pewno chcesz już teraz wiązać się na całe życie?

– Laurencjusz nie jest już chłopcem – odparł ojciec, wyręczając Wawrzyńca. – Swoją odwagą i mądrością ustrzegł zamek Answer i nas wszystkich przed straszliwym niebezpieczeństwem. Laurencjusz otworzył mi oczy, ucząc mnie, że nawet nieprzejednani wrogowie mogą żyć w pokoju obok siebie i że na tym świecie istnieje wiele szlachetniejszych rzeczy niż wojny i polowania. Laurencjuszu – rzeki, zwracając się bezpośrednio do swego syna – okazałeś się godnym naszego rodu i od tej pory jesteś panem na zamku Answer.

Odpiął od pasa rodowy miecz wraz z pochwą, na której widniał herb Answerów.

Kobiety i dziewczęta wybuchły płaczem, ale były to bez wątpienia łzy szczęścia. Wszyscy jednocześnie śmiali się i płakali, padali też sobie w objęcia. Matka Wawrzyńca wzięła w ramiona księżną Kestony, która tym razem nie miała na sobie sukni z pierza, a Giza objęła Lucyndę, która była tak niesamowicie piękna, że nawet nieugięci wartownicy powłóczyli wzorkiem w jej stronę, uśmiechając się jak dzieci.

Tymczasem Laurencjusz ukląkł przed swym ojcem, a ten delikatnie dotknął ostrzem miecza rodowego Answerów jego ramię i rzekł:

– Rycerzu Laurencjuszu, niniejszym przekazuję wam wszystkie dobra rodu Answerów. Strzeżcie z godnością naszego imienia i naszej własności, mój synu.

Wawrzyniec podniósł się i przyjął rodowy miecz z rąk ojca. Opasał się nim i objął Justina Answera, którego twarz zdradzała ulgę, że nie grozi mu już uwięzienie w lochu. Także Laurencjusz pozwolił sobie na kilka łez szczęścia i nie wstydził się żadnej z nich, mimo że prawdziwi rycerze zazwyczaj spuszczają przyłbicę, zaciskają zęby i mrużą oczy, żeby, broń Boże, nie wrzeszczeć, lamentować, a już na pewno nie uronić ani jednej łezki.

Ale Wawrzyniec Answer był nietypowym rycerzem.

Później świętowali swoje wesele przez całą wiosnę aż do lata. Nigdy jeszcze nie

widziano wyprawianych z takim przepychem uroczystości weselnych ani na zamku Answer, ani w dobrach Kestony. Od świtu do zmierzchu śpiewano piosenki, deklamowano wiersze i bawiono się, a malarze i poeci utrwalali te radosne wydarzenia w najmniejszych szczegółach ku uciesze potomnych.

Laurencjusz i Lucynda zasiadali u stołu, który ciągnął się półokręgiem przez całe palatium, a stamtąd przez cały dziedziniec zamku. Co pewien czas Wawrzyniec pochylał się w stronę swojej ukochanej i szeptał jej wiersze na ucho, które ułożył dla niej wtedy przed tarczą-zwierciadłem i których nauczył się na pamięć. A raczej ułożyłby je i nauczyłby się ich na pamięć, gdyby nie zdołał powrócić do ciszy przed strzałem.

– Tak naprawdę, to wcale nie ułożyłem tych wierszy, ani nie nauczyłem się ich na pamięć, więc nie mogę ich wam szeptać na ucho, najdroższa Lucyndo – rzekł do niej w pewnej chwili i zrobił posępną minę.

– A choćby i nawet – odparła Lucynda i ponownie przyciągnęła go do siebie, a jego wargi prawie dotykały jej ucha. – Szepcz mi dalej na ucho, najdroższy Wawrzyńcu – powiedziała. – Jeszcze nigdy dotąd nie słyszałam tak pysznych wierszy.

### 3

AMOS BARDZO POWOLI BUDZIŁ SIĘ z magicznego snu, w który wprowadziła go czwarta opowieść z *Księgi duchów*. Nie siedział już u weselnego stołu, lecz przy ogromnym, okrągłym stole w pustelni. Jednak dookoła niego wciąż jeszcze trwało okazałe wesele. Poeci deklamowali swoje wiersze, muzycy grali na fujarkach i wioli, malarze jeździli swoimi mlaskającymi pędzlami i skrobiącymi sangwinami po płótnach i papierze. Stół był zastawiony półmiskami i talerzami z pysznymi potrawami, a wino w kryształowych kielichach migotało złościście niczym samo słońce. Jego usta wciąż jeszcze szeptały w miłosnym upojeniu wiersze i dopiero teraz zauważył, że siedział pochylony w lewą stronę na kamiennej ławce, jakby rzeczywiście obok niego siedziała Lucynda, a on nie był nikim innym, jak tylko rycerzem Wawrzyńcem.

– Ale ja jestem Amos – wymamrotał i potarł sobie oczy. – Amos von Hohenstein.

I zamiast magicznej zjawy – Lucyndy – o wiele chętniej szeptałby miłosne wiersze Klarze, obejmowałby ją i całował czule, gdyby tylko była wreszcie przy nim!

Która to mogła być godzina?

Amos wstał i podszedł do jednego z okien. Na dworze świeciło jasne słońce, jednak cienie stawały się już coraz dłuższe. Musiało być zatem około trzeciej lub czwartej po południu. To z kolei oznaczało, że Klara powinna być już blisko. W najlepszym razie potrwa to jeszcze tylko kilka godzin, aż przybędzie do niego do pustelni. Wtedy, przyszło mu na myśl, nie będzie już taki samotny.

Poczuł radość i roześmiał się. Udzieliła mu się wesola atmosfera panująca na uroczystości weselnej Wawrzyńca, a on sam wciąż czuł mrowienie w członkach.

Kolejny raz spróbował wysunąć głowę przez jeden z luków okiennych. Być może udałoby mu się jakoś połączyć ich magiczne serca, gdyby tylko wystawił nieco głowę na powietrze. Ale luk był tak wąski, że można było precyzyjnie przez niego co najwyżej cienką książeczkę. I niezależnie od tego, jak Amos wykręcał głowę, nie mógł w żaden sposób wystawić jej na zewnątrz.

Przygnębiony, wyjrzał przez otwór. Dostrzegł krzak o dziwnym kształcie, który – na domiar złego – zasłaniał mu widok. I wtedy uświadomił sobie, że ten bujnie porośnięty listowiem bukszpan przed jego oknem został przycięty w taki sposób, że przypominał uszkodzoną literę. Swoją twarzą litera „B” spoglądała do tyłu, tymczasem jej brzuch wskazywał do przodu – o ile oczywiście można było mówić o głowie i brzuchu w przypadku przyciętego w literę „B” krzaka.

Może jego wyobraźnia znów spletała mu figła? Podszedł do kolejnego okna. Przed tym lukiem rósł mizerny krzew, który wyglądał jak chudy, wybrzuszony w lewą stronę sierp księżycy. Górna końcówka sierpa zwisała, jakby została celowo złamana, tymczasem dolna została zaplątana w węzeł – zeszpecona litera „C”! Krzak znajdujący się przed trzecim oknem wyglądał jak skośne „U”, które ponadto zdawało się wybrzuszone niczym stare wiadro. I w końcu czwarty krzak, skute u rąk i nóg „H”.

*BCUH!*<sup>7</sup>

Kręcąc głową, Amos znów przeszedł od okna do okna. Ten brat Paulus wydawał mu się teraz coraz bardziej przerażający. Stary eremita musiał się bać magii słów i pisma, jak niczego innego na świecie. Dlatego też nie tylko zeszpecił każdą literę, ale dodatkowo zniekształcił także poszczególne wyrazy. I prawdopodobnie postąpił tak nie tylko w

---

<sup>7</sup> Buch (niem. ) – książka.

przypadku znajdujących się tam na zewnątrz liter z przystrzyżonych krzaków, lecz tak przemieszał wszystkie te niezliczone litery na ścianach, podłodze, suficie, ławce i stole, że mogły już tylko tworzyć ruiny słów.

Amos zaczął gorliwie odczytywać wszystkie napisy w pustelni, by sprawdzić swoją intuicję. Przystawał przed każdą ścianą, odszyfrowywał ciągi liter znajdujące się na ziemi lub na blacie stołu i za każdym razem uznawał swoje podejrzenia za uzasadnione. „OSIMP” symbolizowało „pismo”, podobnie było z „NATZAFAJ”, „NIKZOCI” „TILYRE”. Każde z tych spustoszonych słów było ponadto zapisane za pomocą skrępowanych lub pogruchotanych liter, podobnie zresztą jak w przypadku ruin słów „AGAIM” zamiast „magia”, „ZAJPOE” czy „AINBRAOZYW” – wykrzywionej w złośliwym grymasie słownej gęby, w której Amos dopiero po dłuższym zastanowieniu się odkrył słowo „wyobraźnia”.

Ale po co, na wszystkie dobre duchy, brat Paulus zadał sobie ten trud? Musiało mu to zająć całe miesiące lub może nawet lata, by spisać wszystkie te zdewastowane słowa za pomocą połamanych liter.

W czasie gdy Amos się nad tym zastanawiał, usłyszał nader ciche parskanie i rżenie. Zabrzmiało to dziwnie znajomo, jednak odgłosy te dotarły do niego tak przytłumione, że znów miał wątpliwości, czy przypadkiem sobie tego wszystkiego nie uroił. Ale nie, znów rozbrzmiało tamto parskanie. Czyżby była to kasztanka Klary?

Amos szybko pobiegł w stronę jedynej ściany w tym pięciokątnym pomieszczeniu, w której nie było żadnego okna. Tam pustelnia graniczyła z zewnętrznym murem klasztoru, za którym prawdopodobnie znajdowała się stajnia.

Przyłożył ucho do ściany i zamknął oczy, by móc się jeszcze dokładniej wsłuchać. Teraz usłyszał ciche kroczenie, grzebanie kopytami i parskanie wielu koni. W tym całym rozgardiaszu Amos nie mógł już rozpoznać kasztanki, ale najwidoczniej właśnie przed chwilą przybyła cała grupa podróżnych, a stajnia po drugiej stronie na pewno należała do klasztoru!

Amos odstąpił od muru i rozejrzał się, podniecony, po pustelni. Gdyby tylko mógł użyć swych magicznych mocy! W mgnieniu oka poleciałby na drugą stronę i sprawdził, kto tam właśnie przyjechał! Lub mógłby przynajmniej wysłać telepatyczną wiadomość Klarze, a ona jeszcze po drodze informowałaby go na bieżąco, czy dobrze się miewa i ile jeszcze czasu zajmie jej podróż do Wurzburga. Ale z powodu tego nieszczęsnego brata Paulusa jego magiczne zdolności były sparaliżowane, przynajmniej dopóty, dopóki znajdował się w tym więzieniu z liter. I nie mógł też w zwykły sposób wyjść z tego pomieszczenia, by sprawdzić, czy Klary nie było gdzieś tam na zewnątrz, bo obaj, wyglądający na silnych, mnisi bez wątpienia wciąż jeszcze stali na warcie przed jego pustelnią.

Można się wściec! Nie wiedział jeszcze, jaką zdolność magiczną wzbudziła w nim czwarta opowieść, mimo że ją przeczytał i dogłębnie przyswoił – a wszystko to wyłącznie z winy brata Paulusa i dlatego, że Trithemius musiał zakwaterować jego, Amosa, w tym mauzoleum słów.

Amos tak narzekał na swoje położenie i tym gwałtowniej drgnął ze strachu, gdy drzwi nagle się otwały.

W progu pojawił się Trithemius z tym swoim łagodnym uśmiechem na twarzy, który sprawiał, że tak bardzo przypominał Kronusa.

– Popatrz tylko – powiedział – kogo ci przyprowadziłem.

Odsunął się na bok, a Amos gapił się na nią niczym na jakąś zjawę. Przecież już od wielu dni ledwo potrafił myśleć o czymś innym i niczego innego bardziej nie pragnął, niż tego, by ona znów była przy nim. Ona, Klara – to naprawdę ona. Przeszła obok Trithemiusa, skierowała swoje kroki w jego stronę i już w progu wyciągnęła do niego swoje dłonie. Amos również wyciągnął ku niej ręce i poszedł – a raczej potoczył się – w jej kierunku. Zupełnie jakby pił wino zamiast wody, jakby nagle okazało się, że jego nogi są z gliny. Kolana się pod nim uginały, gdy szedł do niej chwiejnym krokiem. Pochwycił jej dłonie i przyciągnął całkiem blisko do siebie.

– Dobry Boże, wreszcie jesteś – powiedział i o mały włos nie wybuchł płaczem, jak Laurencjusz Answer, gdy w końcu mógł uklęknąć przed swoją Lucyndą, a właściwie nie „w końcu”, lecz „u początku”, bo wszystkie ich wcześniejsze spotkania tak właściwie miały miejsce później lub doszłoby do nich tylko wtedy, gdyby Wawrzyńcowi nie udało się powrócić do ciszy poprzedzającej strzał. Ale myśli te, które kotłowały się w głowie Amosa, w czasie gdy patrzył nieruchomym wzrokiem na Klarę, jeszcze bardziej potęgowały zamęt w jego wnętrzu.

– Oto jestem, mój wybrańcu – potwierdziła Klara z promiennym uśmiechem na twarzy i z uniesionymi w geście zdziwienia brwiami, które było chyba zaadresowane do Trithemiusa.

Opat nadal stał na zewnątrz w progu drzwi, najwidoczniej chciał im jeszcze coś oznajmić. Amos najchętniej zatrzaskałby mu drzwi przed nosem – Trithemiusowi i tym jego uzbrojonym mnichom, którzy wystawali tu przez te wszystkie dni. Ale zwalczył wszelką niecierpliwość i podenerwowanie i skinął przyjaźnie w stronę opata przez ramię Klary.

– Sami widzicie, moi drodzy – powiedział Trithemius – że naprawdę pomyśleliśmy o wszystkim. Znów jesteście razem i macie tu jak u Pana Boga za piecem. – Wszedł do pustelni i położył im ręce na ramionach. Tylko na krótko, tak jak czynił to często Kronus. I już po

chwili cofnął się nieco z łagodnym uśmiechem na twarzy.

– Pewnie chcesz wypocząć – odezwał się do Klary i ponownie jego głos, przypominający szelest zakurzonego papieru, zniweczył wszelkie podobieństwo do Kronusa.

– Jeden z moich braci przyniesie wam zaraz podwieczorek. Potem na tyle odzyskasz siły, że będziesz mogła przeczytać czwartą opowieść. Amos już ją przeczytał – dorzucił, uśmiechając się do Klary, a następnie w kierunku Amosa. – A Klara zna już tymczasem trzecią opowieść, z listu Kronusa do matki Zofii, który znalazła w Norymberdze i gdzieś zgubiła podczas ucieczki. Nie chcę, abyś mnie źle zrozumiała, moja droga – rzekł, znów spoglądając na Klarę – to nie jest w żadnym razie zarzut, a jeśli nawet, to pod adresem Leo Cellariego.

Pokręcił głową z dezaprobatą i równocześnie się uśmiechnął, jakby mimo wszystko odczuwał jeszcze swego rodzaju uznanie względem inkwizytora.

Amos dostrzegł ten uśmiech, który zdawał się wyrażać szyderstwo i respekt zarazem, i właśnie w tej chwili doznał olśnienia. Dla Trithemiusa wszystko to było gigantyczną, zajmującą grą. Stworzenie *Księgi duchów*, polowanie Cellariego na *Księgę* i te różne posunięcia szachowe, które wymyślał, aby jego przeciwnik nie mógł niczego wskórać. Gra, w której Trithemiusowi przypadała rola wytrawnego stratega, tymczasem oni oboje, Amos i Klara, podobnie zresztą jak Kronus i matka Zofia, byli tylko drewnianymi figurami, które opat przesuwiał na szachownicy wedle własnego widzimisię. A jego rywalem, jedyną osobą, którą postrzegał jako równego sobie przeciwnika i akceptował, był Leo Cellari. Także to Amos uświadomił sobie w tej jednej chwili. Tak właśnie, nie inaczej, miały się rzeczy, pomyślał. Nawet ten potężny mag Faust jest dla Trithemiusa jedynie figurą w grze. Podobnie jak Cellari przesuwająca podcenzora Skythisa niczym gońca z Norymbergii do Kirchenlamitz lub Bambergu. Ale jedynym graczem po drugiej stronie szachownicy jest wyłącznie on sam.

Amos nie umiałby powiedzieć, jak doszedł do tego wniosku, ani co to by właściwie oznaczało dla niego samego i Klary. Już wiele razy miał bardzo podobne odczucia, odkąd uciekali wraz z *Księgą duchów* przed łowcami kacerzy i ksiązek. Byli poruszani i obracani wokół siebie niczym figury w przerażającym mechanizmie, uruchamianym dźwiękami kuranta, i nawet Kronus nie potrafił przejrzeć ani nawet pokierować tym mechanizmem, który ich ożywiał.

Ale Trithemius to potrafi, pomyślał Amos, a przynajmniej niezłomnie w to wierzy. I dlatego też sądzi, że uda mu się wygrać tę grę.

– Przeczytaj tę opowieść, Klaro – powtórzył opat, kierując się już w stronę drzwi. – Przyjdę tu jeszcze raz dzisiaj wieczorem, po tym jak zegar wybije dziewiątą – dorzucił, w czasie gdy drzwi zamykały się już za jego plecami – a wtedy wszystko będzie przygotowane

na waszą magiczną podróż.

## 4

DOPIERO PO DŁUŻSZYM CZASIE Klara zaczęła mówić o tej tajemniczej zapowiedzi.

– A tak właściwie, to jaką magiczną podróż miał na myśli? – zapytała.

Ale najpierw wzajemnie się czule objęli i pocałowali, a Klara opowiedziała Amosowi o wszystkim, co przeżyła i czego doświadczyła, w czasie gdy samotnie podróżowali. O tym, że Kronus i matka Zofia się kochali, mimo że ani Klara, ani Amos nie potrafili sobie tego za bardzo wyobrazić. O tym, że purpurowi wojownicy odnaleźli kryjówkę matki Zofii, pustą przestrzeń w murach obok sierocińca prowadzonego przez ciotkę Amosa, Ulrykę. O tym, jak uciekała przez strychy, goniona przez dwa psy św. Huberta, które rzuciły się za nią, gdy skoczyła w dół do rzeki Pegnitz. O tym, że została uratowana przez cztery augustianki, które tak naprawdę nie były prawdziwymi zakonnicami, jak jej udzieliły pomocy lekarskiej i przywiozły ją swoją kareta aż tutaj. Poprosiła Amosa, aby nie patrzył na nią tak czule, bo zaczynała odczuwać coraz silniejsze mrowienie i nieodpartą chęć ponownego pocałowania go, zamiast kontynuowania opowieści. Powiedziała mu, że najstarsza z czterech zakonnice znała jej matkę, a nawet była przyjaciółką Very Thalgruber. Że ten głupi Johannes Mergelin znów stanął po stronie Skythisa i naprowadził łowców książek na jej trop. Ale matka Maria była przygotowana i na taką ewentualność.

– Nie od razu zrozumiałam – rzekła Klara – co one tam nagle zaczęły kombinować. Dlaczego jedna z zakonnice wyszła z kabiny i wspięła się na kozła, woźnica zeskoczył, a kobiety wkrótce po tym podniosły tryumfalny okrzyk, mimo że wszystko wskazywało na to, że za nami na drodze wydarzyła się straszna tragedia. Z tyłu jechał powóz, który wyglądał zupełnie jak nasza kareta i również był zaprzężony w cztery konie. Nagle konie wyrwały się, a powóz wciągnęło do Menu i już po chwili zatonał – powiedziała Klara i uśmiechnęła się przy tym tak szeroko, jakby mu właśnie opowiedziała jakiś dowcip.

– Nie pojmuję tego – odparł Amos. – Skąd się nagle wzięła ta druga kareta?

– Je też nie zrozumiałam tego od razu. Ukryły tam w zaroślach powóz, który wyglądał dokładnie jak nasza karetka, tyle że nie był zaprzężony w prawdziwe konie, lecz w cztery drewniane rumaki. Dziecięce zabawki – dorzuciła, parskając śmiechem. – Napędzane mechanizmem sprężynowym ogromne konie–zabawki, które woźnica w odpowiednim momencie wpuścił klusem na drogę, by następnie rzucić się wraz z powozem i rumakami–zabawkami do rzeki. Potem łowcy ksiązek zaniechali dalszego pościgu, bo sądzili, że wszystkie zginęłyśmy – z wyjątkiem woźnicy, który nie utonął tylko dlatego, że siedział na koźle wozu. Później matka Maria pokazała mi, jak mogłam sprawić, by moje magiczne serce było niewidoczne, aby i Johannes uwierzył, że zginęłam w tamtym powozie. Działa to w ten sposób, że wyobrażasz sobie po prostu tak mocno, jak tylko potrafisz, iż jakaś czarna chmura okrywa twoje magiczne serce w nieprzenikniony sposób. Dlaczego znów na mnie patrzysz w ten dziwny sposób? – zapytała Klara, mimo że sama spoglądała równie podnieconym wzrokiem. Tymi swoimi iskierkami w oczach, które stawały się całkiem ciemnozielone za każdym razem, gdy była podekscytowana.

Wtedy znów się najpierw objęli i pieścili, a Amos aż nader chętnie wyszeptałby jej teraz na ucho przepyszne wiersze miłosne. Jednak nie przyszedł mu na myśl żaden romantyczny rym. Zadowolił się więc tym, że mógł ją teraz całować i być przez nią całowany, aż oboje nie mogli już złapać tchu.

– *Cała ta sprawa z drugą karetką i mechanicznymi końmi właściwie mnie nawet nie dziwi* – powiedział nieco później telepatycznym głosem, bo w ten sposób można było przynajmniej spokojnie oddychać, a mnisi za drzwiami niczego by nie usłyszeli.

Tym razem to Klara zdawała się nie pojmować tych słów od razu.

– *Gdybyś widział tę wymyślną olbrzymią zabawia* – zaproponowała – *też na pewno byś się zdziwił.*

– *Oczywiście, że bym się zdziwił* – przyznał Amos i jeszcze w tym samym czasie poczuł, że znów zaczyna patrzeć na Klarę w dziwny sposób. Ale zmusił się do panowania nad własnym wzrokiem. Nadszedł już najwyższy czas, aby dziewczyna zaczęła czytać opowieść o *przewoźniku, co płynął pod prąd.*

Spróbował jeszcze szybko wyjaśnić jej, co miał na myśli.

– *Kronus chciał stworzyć i wydrukować Księgę duchów, bo naprawdę był o tym przekonany, że w ten sposób uczyni coś dobrego i właściwego. bez wątplenia to samo można powiedzieć o matce Zofii i wielu innych członkach Opus Spiritus. Prawdopodobnie* – dodał po krótkim zastanowieniu – *te same intencje przyświecały także Janowi Skythisowi i jego łowcom ksiązek. Oni naprawdę uważali, że Księga jest dziełem Szatana i jako taka powinna*



*zostać zniszczona, podobnie zresztą jak i brat Paulus najchętniej zniszczyłby wszystkie pisma poza Biblią.*

Wskazał na zniekształcone litery i spustoszone słowa na ścianach i na stole przed nimi, tłumacząc Klarze pokrótce, co to wszystko ma oznaczać.

*– Trithemiusowi chodzi o coś zupełnie innego – rozwinął dalej swoją myśl. – Dla niego to tylko gra, którą cha za wszelką cenę wygrać. Jesteśmy jedynie pionkami, które przesuwa tam i z powrotem, jak mu wygodnie. Uwierz mi, Klaro. To, czy Księga zostanie w końcu wydrukowana i rozpowszechniona, nie ma dla niego żadnego znaczenia. Czuję to całkiem wyraźnie. Jemu wcale nie chodzi o to, aby możliwie najwięcej ludzi wyzwoliło w sobie dobre i zbawienne magiczne moa. On ma inne zamiary. A do ich urzeczywistnienia jesteśmy mu potrzebni my.*

Klara spojrzała na niego w zamyśleniu.

*– Ja też długo o tym rozmawiałam z matką Zofią. Według niej, Trithemius cha poprzez Księgę i dzięki nam obojgu odzyskać dawną potrafię i świetność magów, jak się wtedy wyraziła. Ale co to może dokładnie oznaczać, tego nie mogła mi powiedzieć. W czasie gdy jechałam tutaj dorożką, matka Maria zapewniała mnie znowu, że zamierzenia Kronusa i Trithemiusa, a także jej samą i matki Zofii są zbieżne. A ona była, bądź co bądź, przyjaciółką mojej matki. Dlaczego więc miałyby mnie okłamywać i wciągać mnie w coś, czego nie aprobowałiby moi rodzice?*

Amos wzruszył bezradnie ramionami. Były to mniej więcej te pytania, które sam sobie stawiał już od wielu dni. I dotyczyło to zwłaszcza pytania, które Klara zadała mu, nawiązując do tajemniczej wypowiedzi Trithemiusa: „A tak właściwie, to jaką magiczną podróż miał na myśli?”.

– Musi to mieć jakiś związek z czwartą opowieścią – odrzekł Amos – lub dokładniej mówiąc, z magiczną mocą, którą w nas wyzwoli. Jednak ja też nie wiem, o jaką magiczną zdolność może chodzić. Znaki na ścianach tworzą klosz ochronny, tak twierdzi Trithemius, przez który nie mogą się przedostać do środka żadne magiczne moce. Wprawdzie możemy tu w środku rozmawiać na drodze telepatii, ale musielibyśmy chyba najpierw wyjść z tej pustelni, aby móc odbyć jakąś magiczną podróż.

– Albo jakimś sposobem otworzyć ten klosz – dodała Klara, patrząc w zamyśleniu na kopułę ponad ich głowami.

Zastanawiali się jeszcze przez chwilę, ale Amos czuł, podobnie jak Klara, że sami niczego nie wymyślą. Musieli poczekać na Trithemiusa, który wyłoży im, na czym ma polegać ta ich „magiczna podróż”.

– Twierdził, że będziemy całkowicie zachwyceni – powiedział Amos – i że jeszcze podziękujemy im obu na kolanach.

– Im obu? – powtórzyła Klara.

Amosowi nazwisko tego drugiego cisnęło się już na usta, ale nie mógł się przemóc, by wypowiedzieć je na głos. Podobne rozterki przeżywał wtedy w bamberskiej gospodzie młody malarz Hans Wolf. Przyciągnął do siebie Amosa i szepnął mu do ucha to straszne nazwisko. Wówczas Amos naśmiewał się jeszcze z tego bojaźliwego Hansa, ale dziś sam czuł tę samą trwogę.

Pochylił się w stronę Klary, podobnie jak Wawrzyniec pochylił się nad Lucyndą, i wyszeptał jej na ucho straszliwe sylaby. Klara drgnęła, jakby otrzymała cios pięścią.

– Ale to nie on – dodał szybko Amos – napisał *Księgę*. To dzieło wyłącznie Kronusa. A Kronus i matka Zofia chcieli, abyśmy przeczytali wszystkie cztery opowieści, a ja nadal im wierzę i ufam.

– *Ja też* – powiedziała Klara. – *Matka Zofia wbijała mi do głowy, że Trithemm niczego nie dokona bez naszej pomocy, niezależnie od tego, jakie ma zamiary.*

Uśmiechnęła się do niego i zanim zdążył jej jeszcze coś odpowiedzieć lub znów popatrzeć na nią tym swoim podnieconym wzrokiem, dziewczyna wzięła *Księgę*, położyła ją sobie na słomianym pośłaniu i zaczęła czytać czwartą opowieść.

## 5

DZIEWIĘĆ RAZY ROZBRZMIAŁY dzwony na wieży klasztornej kościoła. Po drugiej stronie, w głównym budynku, mnisi znów zaczęli śpiewać i się modlić. A dziewiąte uderzenie nie zdążyło jeszcze wybrzmieć, gdy drzwi do pustelni otwarły się i Trithemius wszedł do środka.

– Jesteście gotowi? – spytał, ogarniając wzrokiem Amosa i Klarę. – W takim razie zaczynamy – dorzucił, nie czekając na odpowiedź.

Klara rzuciła spojrzenie w stronę Amosa, a on lekko wzruszył ramionami.

Za opatem do środka weszli dwaj mnisi, którzy stali na warcie przed pustelnią.

Wnieśli do pokoju belkę długości drzewa, której jeden z końców był zaostroszony i przypominał olbrzymi przyrząd do pisania, od góry do dołu pokryty regularnymi nacięciami.

Na skinienie Trithemiusa obaj mnisi weszli na ławkę, a stamtąd na stół. Postępując i dysząc, postawili w pionie tę potężną belkę, tak że jej zaostroszony koniec unosił się dokładnie pod kopułowym dachem. Wyglądało to tak, jakby zamierzali przy pomocy tego ogromnego przyrządu do pisania wybazgrać kolejne zniekształcone litery w kopule, która zresztą, jak wszystko w pustelni, była już pokryta znakami pisma. I chyba właśnie z tego powodu Amos nie dostrzegł wcześniej szczeliny dzielącej kopułę na dwie równe części. Po obu stronach szczeliny znajdowały się swego rodzaju dźwignie, a i one były tak zręcznie zamalowane literami, że przynajmniej z ziemi ledwo można było je zauważyć. W każdej z dźwigni znajdowała się dziura, a mnisi wbijali ostry koniec swej belki po kolei do każdego z tych otworów i przekreślali dźwignie pod kątem prostym.

Jeszcze zanim zeszli ze stołu, kopuła zaczęła się otwierać, jakby poruszyła nią jakaś niewidzialna siła. Z cichym piskiem obie połowy sklepienia dachu odskoczyły od siebie, a wyglądało to tak, jakby wielki chrząszcz zupełnie powoli rozwijał swoje skrzydła. Amos usłyszał dochodzące gdzieś z murów szczękanie i ciche jęki wciąganego łańcucha. A więc to nie jakaś niewidzialna moc działała takie cuda, lecz jakiś zmyślny mechanizm z dźwigniami i sprężynami.

Mimo wszystko robiło to wrażenie, gdy się tak patrzyło, jak wypełniona zeszpeconymi literami i spustoszonymi wyrazami stopniowo znikająca ponad ich głowami, a w jej miejscu ukazywało się wieczorne niebo. Noc jeszcze nie całkiem zapadła, jednak niebo przybrało już ciemną szarość topionego ołowiu i było zasłane niezliczonymi gwiazdami.

– Mówiliście o jakiejś podróży, panie – odezwał się Amos, jednak opat uciał mu skinieniem ręki.

– *Zaraz będziemy sami, wtedy wszystkiego się dowiecie.*

W Sponheim, gdy Trithemius uciekał z płonącej biblioteki, Amos słyszał już jego telepatyczny głos. Brzmiał on jeszcze mniej przyjemnie niż jego naturalny – skrobanie i szelest, od samego słuchania tych odgłosów można było dostać gęsiej skórki.

Amos rzucił szybkie spojrzenie w stronę Klary. Ta wzdrygnęła się na dźwięk telepatycznego głosu Trithemiusa i w ogóle wyglądała na nieco zmęczoną. Nic dziwnego, pomyślał Amos. W ostatnich dniach biedaczka musiała niejedno przeżyć. Poza tym dopiero co powróciła ze świata Laurencjusza, gdy Trithemius znów pojawił się w pustelni. Amos zdążył ją jeszcze tylko zapytać o to, jaką magiczną zdolność mogła w niej wzbudzić czwarta opowieść.

– *No tak* – odparła Klara – *sądzę, że możemy teraz, podróżować w inne czasy.* – I właśnie wtedy drzwi do pustelni się otwały, a do środka wszedł Trithemius.

Podróżować w inne czasy, pomyślał teraz Amos, tymczasem opat instruował ich raczej gestami niż poprzez słowa, aby cofnęli się jeszcze bardziej od stołu. Tak też to sobie dopowiedział, ale wciąż nie mógł dostrzec w tym wszystkim ani odrobiny sensu. Bo czegoż mógłby się spodziewać Trithemius po ich magicznej podróży do jakiegoś miejsca w zamierzchłej przeszłości? W taką podróż wysłał go już raz Faust, wtedy na zamku biskupa Bambergu – w magiczną podróż do pradawnych, zamierzchłych czasów, gdy Ziemia była jeszcze jedną wielką puszcza, pełną wykrzywionych gęb i okropieństw. Do dziś Amos czuł tylko zimne przerażenie, gdy o tym pomyślał.

Skoro Faust i tak potrafił ich wysłać w taką podróż, snuł dalej swoje rozważania, to dlaczego Trithemius tak bardzo przy tym obstawał, aby Klara i on sam jeszcze raz udali się w podróż do przeszłości, tym razem o własnych magicznych siłach? Tak czy owak, Faust z pewnością potrafił, o wiele zręczniejszy niż oni, poruszać się w czasie i przestrzeni. Dlaczego zatem Trithemius potrzebował dwoje nowicjuszy, których chciał zamiast niego wysłać w przeszłość? Być może opat nie ufał Faustowi. To było oczywiście możliwe, powiedział sobie Amos, ale z jakiego powodu miałyby ufać bardziej im obojgu niż swojemu „wychowankowi” Faustowi?

Tymczasem obaj mnisi odłożyli drewnianą belkę na ziemię obok kamiennej ławki i zaczęli się teraz krzątać przy stole. Jeden z nich wczołgał się do połowy pod stół, drugi stał pochylony nad ławką i kurczowo ścisnął obręcz krawędź potężnego drewnianego blatu.

Znów rozległ się metaliczny zgrzyt i tarcie, jakby przestawiano jakąś żelazną dźwignię. Jeden z mnichów wczołgał się dookoła pod stołem i najprawdopodobniej otwierał jeden rygiel za drugim. W końcu wystękał: „*Finis*”, i w tym samym momencie drugi mnich, ten, który kurczowo ścisnął blat stołu, zaczął biec w kółko.

Wyglądało to bardzo dziwnie, jak ten mocno zbudowany mnich biegł – dysząc – w swym sięgającym do kostek habicie wokół stołu, nie puszczając potężnego, pięciokątnego blatu z drewna. Biegł pochylony, z tułowiem obróconym w lewo, bo musiał się też pochylać nad kamienną ławką, która ciągnęła się kuliście wokół stołu. Potem, gdy zrobił już dwa lub trzy takie kółka, blat najwyraźniej nabrał odpowiedniego pędu. Dysząc, mnich wypuścił go z rąk, a ta ogromna płyta zaczęła się unosić, jakby o własnych siłach, w górę, wciąż obracając się w szaleńczym tempie wokół własnej osi.

Klara i Amos ponownie obrzucili się spojrzeniami. Wszystko wskazywało na to, że i te cuda nie zostały dziaćlane za pomocą magii, lecz przez jakiś kunsztowny mechanizm.

Amos pochylił się ukradkiem i zajrzał pod stół. Drewniany blat stanowił widocznie głowę olbrzymiej śruby, która wykręcała się z nogi stołu z cichym jękiem, a ta musiała być zatem wydrążona. Napędzana łańcuchami i sprężynami, których szczęknięcie i stukot dochodziły znów z podziemi, gigantyczna śruba wykręciła się całkowicie z nogi stołu i obróciła się nieco pochyło. Niczym łapy jakiegoś tajemniczego żyjątko, z głębi wyłonił się na koniec jeszcze skomplikowany układ dźwigni i dźwigni, który ścisnął kurczowo koniec olbrzymiej śruby spory kawałek nad pustą nogą stołu.

Mechaniczne zgrzyty i piski ucichły. Opat popatrzył na obu mnichów i głową wskazał drzwi.

– Stójcie dalej na straży, bracia – poinstruował ich. – I niezależnie od tego, co będziecie słyszeć, nie wchodźcie do środka.

Ze spuszczonej głowami opuścili pustelnię, zatrzymując się przy drzwiach.

Trithemius wskazał na pustą nogę stołu.

– W swej mądrości, którą zawdzięcza wyłącznie Bogu, Panu wszystkich duchów, Kościół ze szczególnym umiłowaniem wznosił zawsze swoje klasztory i domy modlitw w miejscach, gdzie w dawnych czasach znajdowały się pogańskie świątynie. Tak też było i tutaj. W miejscu, gdzie dziś stoi ta pustelnia, istniała niegdyś jedna z największych świątyń pogańskich, jak okiem sięgnąć. Legenda głosi, że ta świątynia została wzniesiona wokół tysiącletniego buku, a ten wydrążony pień jest ponoć pozostałością po tamtym prastarym pogańskim drzewie.

Z niespodziewaną zwinnością wszedł na kamienną ławkę, uczynił zdecydowany krok i stanął na krawędzi wydrążonej nogi stołu lub też świętego drzewa pogan. Spomiędzy prętów żelaznego układu dźwigni i dźwigni, podtrzymującego gigantyczną „śrubę” ponad jego głową, opat spojrzął w dół na Amosa i Klarę.

– W ścianach wewnętrznych są wycięte stopnie – oznajmił. – Schodzenie jest dziecinnie proste, sami się zaraz przekonacie. Nawet takiemu staremu mężczyźnie, jak ja, nie sprawia to żadnego trudu. Ale może chciałabyś pójść przodem, Klaro? A może ty, Amosie?

I jak to już zdawało się leżeć w jego naturze, nie czekał na odpowiedź, lecz już w następnym momencie zniknął w wydrążonym pogańskim drzewie.

JESZCZE KILKA DNI WCZEŚNIEJ Amos schodził w dół w takim wydrążonym buku i nie odczuwał jakiejś szczególnej ochoty, by powtarzać tę przygodę. Nie tylko dlatego, że tamto drzewo paliło się wtedy jasnym płomieniem. Także to, co znalazł na dole, na ziemi tego cuchnącego stęchlizną wydrążonego pnia, napawało go grozą i wstrętem. Gapiące się w jego stronę drewniane maski i kawałki korzeni z zatkniętymi na nich trupimi czaszkami. Maleńkie lalki utkane z kurzu i pajęczyn. Jeszcze bardziej przerażający niż wszystko inne był dla niego ów trójkąt z kamienia i kości, który tak bardzo przypominał jego amulet na szyi, tyle tylko, że był przerysowany w swej prymitywnej, zniekształconej postaci.

Tym większe było jego zdziwienie, gdy dotarł już na samo dno tego wydrążonego pogańskiego drzewa. Wszystko było tu czyste i przyjazne. Okrągły pokój z drewnianymi ścianami. W jego tylnej połowie znajdowało się nawet posłanie ze świeżą słomą i z rozłożonymi na niej płóciennymi chustami. Przez mały, wąski otwór można się było prześlizgnąć do przestronnego pokoiku skalnego.

Amos precisnął się przez szczelinę. Trithemius biegał z pochodnią w rękę, zapalając dalsze pochodnie i ognie we wnękach w ścianach oraz w otworach w podłodze.

Klara stała już w samym środku sali świątynnej i rozglądała się na wszystkie strony.

– Tu jesteś, mój wybrańcu. – Uśmiechnęła się, a jasno połyskująca zieleń jej oczu zdradzała, jak bardzo podobało się jej to miejsce pogańskiego kultu.

Poklepał się po ubraniu, a dokładniej rzecz ujmując, po czarnym kaftanie czeladnika murarskiego Kupferschuha – wyrzusił się nieco nad *Księgą duchów*, którą Amos zdążył sobie jeszcze tam wsunąć, zanim doszli do niego Trithemius i Klara.

– Tylko popatrz, Amosie – powiedziała, wskazując kilka na wpół wyblakłych znaków na ścianie skalnej. – Poznajesz? Znaki z Rogdr. – Chwyciła go za rękę i pociągnęła w stronę fragmentu ściany z kruczoczarnymi i krwistoczerwonymi znakami.

– *Llóma – fdrd – móhagdr* – usłyszał, jak mamroce.

Teraz i Amos poczuł czar bijący od tego pogańskiego miejsca kultu. Ściany były pokryte nieczytelnymi znakami, które przypominały częściowo kreskowane obrazki. Jeden z rysunków przedstawiał olbrzymie zwierzę z kosmatą sierścią i potężnymi kłami, a ten pradawny byk, czy cokolwiek to mogło być, tańczył! Inny obrazek ukazywał maga. Ubrany był w długą szatę, a na głowie miał kapelusz, taki, jakie nosili również kapłani z Rogr. Miał szerokie rondo i zwężał się ku górze w szpic, niczym róg muszelki. Kapłan stał z szeroko

wyciągniętymi rękami, same zaś dłonie trzymał półotwarte i zwrócone ku górze. Przez koronę drzewa padało grubymi strumieniami światło słoneczne, a każdy z tych promieni był połączony z jednym z palców kapłana, zupełnie jakby ich koniuszkami potrafił ściągać blask słońca do środka. Z jego ściągniętych w wąskie szparki oczu biła mieniąca się na żółto jasność, niczym słoneczne promienie.

– W dawnych czasach magowie posiadali wielką moc – powiedział Trithemius, który podążał za nimi przez jaskinię niczym cień. – Byli czczeni jak święci, ba, jak półbogowie. Tylko oni znali magiczne znaki, za pomocą których można było przyzywać duchy. Ryli znaki ochronne w progach drzwi i znaki obronne na tarczach. Malowali uzdrawiające znaki runiczne na czołach chorych i rannych. Orali w znaki płodności jałową ziemię. Wróżyli, podrzucając kawałkami drzewa bukowego, które były opisane magicznymi znakami: „tajemnica”, „ryzyko” i „cel”. W ten sposób mogli przewidzieć wszelką trudność lub niebezpieczeństwo, by następnie mu zapobiec lub w jednej chwili usunąć. Czyje drzwi były chronione znakami magów, ten nie musiał się obawiać nieproszonych gości. Runa deszczu, jeśli została we właściwy sposób wyorana w polach, rozsadzała niebo i zmuszała je, aby oddało drogocenną wodę. Na każdą biedę, każde zagrożenie istniał jakiś magiczny znak, który przywoływał pomocne duchy. Kto cierpiał z powodu prześladowań, jakich doświadczał ze strony swego wroga, ten również zwracał się do starych magów pisma. A tu widzicie, jak duchy mu pomagały.

Trithemius wskazał na kolejny rysunek na skalnej ścianie. Ten ukazywał mężczyznę z nastroszoną brodą, wędrującego po skąpo porośniętej równinie. Miał na sobie długą szatę i skórzaną narzutkę na ramionach, a jego jedyną bronią był sękaty kij, na którym się wspierał podczas swej wędrówki. Ów mężczyzna był otoczony przez niezliczonych wrogów, którzy wszyscy byli uzbrojeni po zęby. Wypuszczali w jego stronę strzały, szczuli go swoimi psami, rzucali w niego swoimi dzidami, płonącymi pochodniami i odłamkami skał wielkości głowy dziecka, jednak mężczyzna uśmiechał się tylko w duchu i nie martwił się swoim otoczeniem. Wydawało się, że jest pod jakimś kloszem, postawionym do góry dnem kielichem z nietłukącego się kryształu. Psy uderzały swoimi pyskami o tę osłonę aż do krwi, strzały łamały się, kamienie odbijały, a dzidy wbijały w klosz, tymczasem mężczyzna szedł pośród tego zgiełku swoją drogą.

– Zwróćcie uwagę na jego sękaty kij – rzekło opat. – Te znaki zapewniają wędrowcy ochronę nie do pokonania. – Wskazał na ciąg znaków, które sprawiały wrażenie tak kanciastych, jakby rzeczywiście zostały ułożone z kawałków drewna. – Dawni magowie nie byli z pewnością żadnymi wielkimi artystami – ciągnął dalej Trithemius, wskazując przy tym

w kilku miejscach jaskini malowidła, które były szczególnie nieudane – byli za to potężnymi magami pisma, i w końcu o to właśnie chodziło.

Amos jak urzeczony oglądał malowidło i znaki na kiju wędrowca. Napastnicy byli niezgrabnie namalowani, a ręka mężczyzny, w której ścisnął kurczowo swój kij, wyszła o wiele za duża. Amos ledwo zwracał uwagę na te artystyczne niedoskonałości.

– Takie zaklęcie ochronne przydałoby się i nam – powiedział – mniej więcej każdego dnia, odkąd purpurowi wojownicy podpalili dom Kronusa.

– Możecie je posiąść – odparł opat – to i inne, o wiele jeszcze potężniejsze zaklęcia. Decyzja należy do was.

– Jaka decyzja? – spytała Klara. Wciąż jeszcze miała ten sam promienny uśmiech na twarzy, a jej oczy błyszczały tak zielono, jak gaj bukowy w Rogdr.

Trithemius ruszył w głąb podziemnego pokoiku skalnego.

– Zostaliście wybrani przez duchy – powiedział – ale to tylko od was zależy, czy dacie się im oświecić.

Duchy?, pomyślał Amos. Cóż to znowu ma znaczyć? Do tej pory cały czas mówiono im, że zostali wybrani przez Opus Spiritus, aby zanieśli *Księgę* w jakieś bezpieczne miejsce i wypróbowali jej magiczne działanie. Ale to, że zostali wybrani przez same duchy? Czy to w ogóle możliwe?

Trithemius zatrzymał się przed kolejnym malowidłem na ścianie. Dym pochodni był tutaj tak gęsty, że zaczął ich gryźć w oczy. Jednak to, co przedstawiał ten rysunek, można było łatwo rozpoznać.

Rosła para kapłanów, odziana w kosztowne szaty, wchodziła na górę szerokimi schodami. Na każdym ze stopni, po prawej i po lewej stronie, klęczeli ludzie, którzy byli zazwyczaj nędznie ubrani i chudzi. Musiały ich być całe setki i wszyscy z zachwytem wymalowanym na twarzach wyciągali w błagalnym geście swoje ręce w stronę pary kapłanów. U góry, tam gdzie kończyły się schody, wznosiła się budowla, zbudowana ze śmiało ułożonych w stos płyt skalnych. Przed wejściem klęczał kolejny kapłan, spoglądając w stronę tych wchodzących na górę. Był wprawdzie tak samo ubrany, jak para kapłanów, jednak jego postawa i służalcza mina wskazywały na to, że nie dorównywał im pozycją i prestiżem. A ta para, mężczyzna i kobieta, którzy szli przed tłum z wyobcowaniem wymalowanym na twarzy, wyglądała zupełnie tak samo, jak Amos i Klara, za jakieś dwadzieścia lat. Lub przynajmniej tak, jakby namalował ich niezbyt wprawny malarz. Mag na obrazku miał, jak Amos, czarne, kręcone włosy, tylko że nieco przerzedzone. Jego postać wciąż jeszcze była dryblasowata i tylko wokół oczu i warg widać było kilka zmarszczek. Kapłanka u jego boku



była zielonooka jak Klara, miała księżycową cerę, a włosy opadały jej na ramiona i plecy niczym płynne światło gwiazd.

– To najwyżsi kapłani Rogdr – oznajmił Trithemius. – Wasi przodkowie, podobni do was jak dwie krople wody. Wizyta, która została utrwalona na tym malowidle, musiała się odbyć prawie tysiąc lat temu. Wtedy w miejscu, gdzie dziś stoi klasztor, znajdowała się pogańska świątynia. – Wskazał na potężną budowlę skalną, która zdawała się wznosić ponad namalowanymi schodami ku niebu. Cała fasada świątyni była pokryta znakami pisma, a Amosowi udało się rozpoznać kilka z nich. Jeden ze znaków wyglądał jak nazbyt kanciaste „R”, inny jak zwykle „X”, a jeszcze inny przywodził na myśl duże „F”, przy czym obie poprzeczne belki bynajmniej nie przebiegały poziomo, lecz wznosiły się pochyło ku górze niczym machające ręce.

– Najwyżsi kapłani Rogdr – ciągnął dalej Trithemius – byli najpotężniejszymi magami w całej tej rozległej krainie, która później przyjęła nazwę Frankonii. – Spojrzał na Amosa. – Ale ty natknąłeś się już przecież na swojego przodka, przypominającego ciebie niczym lustrzane odbicie. Pamiętasz?

Amos skinął głową i w tym samym momencie po plecach przeszły mu straszne ciarki.

– Jakże mógłbym zapomnieć? – powiedział.

Wciąż jeszcze kiwał głową, jednak tym razem było to spowodowane kurczowym drżeniem.

– Miało to miejsce podczas mojej magicznej podróży, w którą Faust wysłał mnie kiedyś w Bambergu.

– W takim razie na pewno jeszcze pamiętasz, co powiedział ci wtedy kapłan z Rogdr, twój przodek będący twoim lustrzane odbiciem? – Trithemius spojrzał na niego wyczekująco.

Amos wsłuchał się w swoje wnętrze. Czy ten kapłan rzeczywiście coś do niego wtedy powiedział? Sam był przecież jedynie cieniem, porwanym magiczną siłą Fausta w zamierzchną przeszłość. Mimo to ten kapłan jakoś go dostrzegł. Tak, teraz Amos już sobie przypominał. Popatrzył na niego, wykrzykując coś tym swoim melodyjnym śpiewem. Ale co to było?

– W każdym stworzeniu duchy mieszają się w niepowtarzalny sposób – zaczął nagle mamrotać Amos. – Jednak w niektórych rodach pewne duchy mieszają ze szczególnym upodobaniem. Tak powstały wielkie rodziny magów, w których sztuki przekazywane są z pokolenia na pokolenie. – Oszołomiony, wejrzał w głąb siebie. Przez kilka chwil znów widział przed sobą tamto spotkanie w gaju Rogdr tak żywo, jakby dopiero do niego doszło i jakby „jego przodek, będący jego lustrzanym odbiciem”, nie przemawiał do niego jedynie

przez otchłań czasów.

Gdy poczuł na sobie wzrok Klary, spojrział w górę.

– Między bukami w Rogdr – powiedział – widziałem wtedy także kilkoro dzieci, które w coś się bawiły. A jedna z dziewczynek była do mnie tak podobna, jakby była moją bliźniaczą siostrą. Z kolei jeden z małych chłopców miał twoje oczy, Klaro, i twoje włosy.

Zmieszany, przesunął wzrok z dziewczyny na Trithemiusa.

– Ale czy nie powiedzieliście właśnie przed chwilą, panie – zapytał – że to był ten sam mężczyzna, kapłan na tym obrazku i kapłan, którego zobaczyłem dzięki Faustowi w Rogdr? Jak to w ogóle możliwe? To, co przedstawiono na tym malowidle, musiało się wydarzyć tysiąc lat temu, jak to zresztą sami stwierdziliście. Spotkanie z najwyższym kapłanem, który do mnie przemówił i u którego stóp bawiły się tamte dzieci, miało miejsce sześćset lat później, na krótko zanim Rogdr zostało zniszczone przez chrześcijańskich rycerzy i mnichów!

– I zabili wszystkich kapłanów i strażników, tak właśnie było – potwierdził Trithemius. – Zgoła inaczej, niż zilustrowano to na malowidle w Bambergu przedstawiającym scenę nawracania pogan. Sami przecież o tym wiecie.

Na zmianę patrzył to na Amosa, to na Klarę, ze wzrokiem tak pełnym nadziei, jakby sam ledwo mógł uwierzyć, że oboje tak to ciężko pojmują.

– Dalej nie rozumiecie? – wykrzyknął, a zabrzmiało to, jakby prastary papier darto całymi paczkami. – Kapłan na tym obrazku i kapłan, którego widziałeś, Amosie, w Rogdr, obaj są twoimi przodkami i lustrzanym odbiciem! Mimo że oba wydarzenia dzieli sześćset lat, jest to ten sam najwyższy kapłan Rogdr. Podobnie jak i kapłanka, która przybyła tu wraz z nim z Rogdr tysiąc lat temu, sześć stuleci później znów była u jego boku jako ta sama potężna, najwyższa kapłanka Rogdr.

Ze zmarszczonym czołem znów objął wzrokiem Klarę i Amosa.

– Rozumiecie już? Ich ciała były oczywiście tak samo śmiertelne, jak nasze dzisiejsze. Urodzili się, dorastali, żyli czterdzieści lub, jeśli mieli wystarczająco dużo szczęścia, pięćdziesiąt albo nawet sześćdziesiąt lat, a później ich ciała obróciły się w pył. Ale duchy wciąż w nich żyły, z pokolenia na pokolenie, i tak przez setki lat. Tylko sobie wyobraźcie – powiedział Trithemius – najpotężniejsze duchy wszech czasów spotkały się w waszych, przypominających was do złudzenia, przodkach i tak powstały najznamienitsze rody magów, które kiedykolwiek żyły tu, w tym kraju. I tylko dlatego, moi drodzy – ciągnął dalej – biskup Otto rozkazał wtedy w Roku Pańskim 1089 swoim rycerzom zakonnym, aby zabili ostatnich kapłanów pogańskich w Rogdr, bo wiedział, że tylko w ten sposób będzie mógł pokonać moc duchów. – Położył Amosowi rękę na ramieniu. – Rozumiesz już? – powtórzył i popatrzył na

niego z pełnym nadziei uśmiechem.

– Jeszcze nie do końca, panie. – Amos wymienił szybkie spojrzenie z Klarą. – Chcecie przez to powiedzieć, że wywodzimy się od kapłanów z Rogdr, a nasi przodkowie byli opętani przez duchy – i na tym polegała ich moc jako magów?

– Nie opętani. – Trithemius pokręcił głową z łagodną przyganą. – Powiedzmy, że byli iluminowani lub że zostali oświeceni. My, zwykli ludzie, przypominamy ciemne domy, w których tli się tylko jedno liche światełko. Wyobraźcie sobie jednak pałac z niezliczonymi oknami, a wszystkie sale i komnaty są oświetlone lampami i latarniami. – Wskazał na wiele różnych pochodni i na ognie migocące w otworach w podłodze, które rozjaśniały pokoik skalny.

– Właśnie tak – ciągnął dalej – sprawy się mają w przypadku wybranych, którzy zostali oświeceni mocą i mądrością duchów. Tylko oni są w stanie w nieomylny sposób wyczuć, które magiczne znaki mają każdorazowo najsilniejsze działanie magiczne. Bo też znaki bynajmniej nie oznaczają i nie powodują za każdym razem tego samego. Mienią się niczym węzowa skóra i są bardziej wieloznaczne niż wiersze poetów. Jednak z pomocą duchów wybrani kapłani odnajdują zawsze najskuteczniejszą magię, która zapobiegnie każdemu niebezpieczeństwu, przełamie każde przeciwne zaklęcie. I właśnie dlatego nie ma nikogo potężniejszego od nich.

Klara i Amos znów popatrzyli na siebie. Oboje byli teraz dosyć zmieszani. Jednak Amosa ogarniało coraz bardziej potężne wzburzenie i czuł, że nie inaczej dzieje się z Klarą. Myśl o tym, że oboje mogliby się stać tak potężnymi magami pisma, jak kapłani na tym malowidle, przyprawiała ich o zawrót głowy.

– Ale skoro tamte duchy są takie potężne, jak mówicie, panie – zaproponowała Klara – to po co potrzebowały naszych przodków w dawnych czasach i dlaczego potrzebują teraz Amosa oraz mnie? Przecież mogłyby „oświecić”, jak się wyraziliście, jakichś innych ludzi.

Trithemius posłał jej dobrotliwy uśmiech.

– One są już w was – oznajmił. – W tobie i w Amosie. Od niezliczonych pokoleń ich magiczne moce są przekazywane w waszych rodzinach, z rodziców na dzieci, a z tych znowuż na ich potomków. Ale te magiczne moce są tylko jak wiele różnych świec, które tylko czekają w waszych sercach, aż ktoś je zapali. Do takiej iluminacji może dojść tylko w jeden sposób, poprzez magiczny rytuał pisma, za pomocą którego oświeceni kapłani wzbudzają swoją siłę duchową w swych potomkach, będących ich lustrzanymi odbiciami.

Amos zacisnął dłonie w pięści, ledwie to dostrzegając. Z podniecenia nie mógł już jasno myśleć. Musiał się opanować, by nie wyrzucić z siebie okrzyków radości lub nie

chwycić Klary za ręce i nie zacząć z nią tańczyć przez całą tę pogańską świątynię. Oboje zostali wybrani, by stać się potężnymi magami pisma! W tym momencie poczuł się sprawiedliwie nagrodzony za wszystkie te trudy i niebezpieczeństwa, które wzięli na siebie.

– Na wszystkie dobre duchy – rzekł do Trithemiusa – teraz pojmuję, do czego to wszystko zmierza. Klara i ja mamy powrócić magicznym lotem do Rogdr, do roku 1089, na krótko zanim wojownicy na usługach Kościoła wymordowali tam wszystkich kapłanów i strażników. Czy mam rację, panie?

Trithemius skinął głową z zamyślonym uśmiechem na twarzy.

– I zamiast tych dwojga młodych strażników, którzy byli tak podobni do mnie i do Amosa – dodała Klara z równą gorliwością – my mamy tam zostać iluminowani przez najwyższych kapłanów–magów poprzez rytuał pisma. Dlatego, panie, zostaliśmy wybrani?

Opat kiwnął głową z jeszcze większym zdecydowaniem, a jego uśmiech stał się teraz promienny.

– Wiedziałem, że sami to zrozumiecie i że nie będziecie się posiadać z zachwytu. Ale najpierw wysłuchajcie mnie jeszcze przez chwilę. W waszych rodzinach zdarzało się już, że wybrani potomkowie nie chcieli spędzać życia w Rogdr. Opuszczali święty gaj, nie uzyskawszy iluminacji na drodze rytuału pisma. Kilku spośród nich przyjęło nową wiarę i stało się osiadłymi chrześcijanami, inni zostali wędrownymi ludźmi. I już pewnie się domyślacie, że od tych potomków dawnych rodów wywodzą się wasze rodziny: Thalgruberowie i panowie von Hohenstein.

Uroczyście skinął głową najpierw w stronę Klary, a później w stronę Amosa, a wyglądało to prawie jak pokłon. Ciarki podniecenia przechodziły obojgu po plecach. Wreszcie ujawniły się wszelkie tajemnice, a to, co wyszło na jaw, było jeszcze wspanialsze niż ich najśmielsze marzenia.

– Od czasu gdy rycerze zakonni biskupa Otto wyróżnili wszystkich kapłanów Rogdr – ciągnął dalej Trithemius – siła duchów żyje już tylko w ich potomkach, w was obojgu, moi drodzy wybrańcy. Drzemie w was i czeka od ponad czterystu lat, aby rozbudzili ją wasi, podobni do was niczym lustrzane odbicia, przodkowie. Ale rytuał pisma, oświecenie potomków będących sobowtórami swych przodków, musi się koniecznie odbyć w tym samym czasie i w tym samym miejscu, gdzie działali ostatni iluminowani kapłani. Sami wiecie, jak strasznie trudno było spełnić ten warunek duchów, ale jednak nam się powiodło. Udało nam się was odnaleźć i wzbudzić w was zdolność do telepatycznego przekazywania myśli oraz do podróżowania w czasie i przestrzeni.

Ton jego głosu stawał się nagłący. Mimo że wciąż jeszcze się uśmiechał, sprawiał

teraz wrażenie zaniepokojonego i napiętego.

– A teraz wracajcie do Rogdr – powiedział na zakończenie – dajcie się oświecić swoim przypominających was, niczym wasze lustrzane odbicia, przodkom na drodze magicznego rytuału i zostańcie ich następcami, najpotężniejszymi kapłanami magii we Frankonii i daleko poza jej granicami.

Amosowi zaczęło się tymczasem tak kręcić w głowie, że czuł, jakby ugięła się pod nim ziemia. Spojrzał na Klarę i już płomienny blask jej oczu zdradził mu, że miała podobne odczucia. W ich wyobraźni oboje przeistoczyli się już w potężnych kapłanów–magów z Rogdr. Mądrość duchów oświeciła ich, a każdy znak pisma, który ryli w tarczy czy nadprożu, kreślili na czole chorego lub wypisywali pługiem w ziemi, zawierał jakieś zaklęcie zapobiegające jakiemuś niebezpieczeństwu, ochraniające bezbronnych, leczące rannych lub karmiące głodnych.

Kronus z pewnością wcale nie zdawał sobie sprawy, powiedział sobie Amos, jak wiele dobrego mogliby działać, gdyby pozwolili rozbudzić wszystkie drzemiące w nich magiczne moce, nie tylko te, które sam chciał wywołać za pomocą *Księgi*. Bo gdyby o tym wiedział, to bez wątpienia chciałby przecież, aby oboje powrócili do Rogdr i dali się oświecić, poddając się magicznemu rytuałowi. A może jednak nie? Myśl o tym, że mogliby wykroczyć przeciwko jakiemukolwiek nakazowi Kronusa, bardzo przygnębiała Amosa. Ale może po prostu źle zrozumiał starego mędrca? Bo tak właściwie Kronus nie mógł mieć przecież nic przeciwko temu, aby Klara i on sam zostali oświeceni, stając się magami pisma. W końcu i tak używaliby swej magicznej mocy tylko i wyłącznie dla pożytku innych ludzi, tak jak czynili to zresztą do tej pory.

Jednak nie mogli tak po prostu pominąć tej drażliwej kwestii, Amos czuł to wyraźnie. Byłaby to zdrada względem Kronusa, zdrada wobec matki Zofii.

– Proszę, wyjaśnijcie mi jeszcze tylko jedno, panie – zwrócił się do opata. – Kronus twierdził zawsze, że czas dawnych magów bezpowrotnie minął. A wy mówicie teraz, że Klara i ja zostaliśmy wybrani, by stać się takimi właśnie magami. Jak to ze sobą pogodzić?

Właściwie to pragnął w tej chwili tylko tego, by Trithemius obalił ten zarzut. Jednak opat spojrzał tylko na niego wyczekująco, z nieukrywanym już zniecierpliwieniem, zupełnie jakby odpowiedź była oczywista lub jakby tego typu marginalne sprawy nie miały w ogóle znaczenia.

Dla Amosa nie była to żadna marginalna sprawa i czuł wyraźnie, że i Klara tak uważa.

– Kronus chciał zachować z dawnej magii tylko te dary – obstawał przy swoim – za pomocą których na pewno nie można było zaszkodzić żadnemu człowiekowi. Magia miała

zatem żyć dalej jedynie w sztuce poetyckiej, a w każdym razie ja zawsze tak właśnie rozumiałem słowa Kronusa...

– ... i to właśnie miał chyba na myśli – wpadł mu w słowo Trithemius. – Nasz dzielny Valentin. – Pokręcił głową, a na jego twarzy znów zagościł uśmiech. – Poeci czy kapłani, artyści pisma czy magowie pisma, na ten temat w Opus Spiritus ciągnęły się raz po raz debaty. Przy tym między nimi, jeśli się właściwie przyjrzeć, nie ma żadnej różnicy. Poeta chce oczarować swoich czytelników za pomocą swojej sztuki pisma, a mag pisma chce osiągnąć dokładnie ten sam cel, tyle tylko, że nie pisze na pergaminie lub papierze, lecz ryje swoje znaki w drewnie lub skórze, rzeźbi w kamieniu lub maluje na ciele. Także kapłani magii z Rogdr byli poetami, a nawet poetami w o wiele szerszym tego słowa znaczeniu. Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to poeta, tak jak niektórzy chcą go dziś pojmować i ograniczyć, nie jest niczym innym, jak tylko słabowitym, ba, skarłałym potomkiem tych wielkich magów pisma. – Opat stanął między nimi i wziął ich oboje pod rękę po lewej i prawej stronie. – A teraz wystarczy już tego gadania. Najważniejsze zostało już powiedziane. Decyzja należy teraz do was.

Chciał ich pociągnąć za sobą z powrotem do wydrążonego buku. Jednak Klara wzbraniała się przed tym i tak zatrzymali się w połowie drogi.

– Poczekajcie jeszcze, panie. – Uwolniła się z jego objęć i cofnęła w stronę rysunku na ścianie, przedstawiającego wędrowca pod niewidocznym kloszem ochronnym. – Powiedzieliście przedtem, że duchy same nas wybrały. Ale czy to nie wy i inni „kapłani” waszego tajnego bractwa kazaliście zabić rodziców Amosa i moich, bo nie zgadzali się z waszym wyborem? – Jej oczy zalśniły od łez, ale pociągnęła tylko cicho nosem i otarła sobie twarz. – Wyjaśnijcie nam, co wtedy naprawdę zaszło – ciągnęła dalej i wydawało się, że głos zupełnie odmówi jej za chwilę posłuszeństwa.

Trithemius uczynił pospieszny krok w stronę wydrążonego drzewa i nasłuchiwał odgłosów dobiegających z góry. Wyraźnie z coraz większym trudem przychodziło mu poskramianie swego zniecierpliwienia. Jednak znów je w sobie zdusił, a na jego twarz powrócił zamyślony uśmiech.

– To były straszne, nieszczęśliwe wypadki – powiedział. – Nikt z nas nie chciał przecież, żeby ktokolwiek zaznał jakiegś szkody, nie mówiąc już o utracie życia. Wierzycie mi? Ale wcale nie musicie mi wierzyć. W końcu jesteście wybrańcami – powiedział, a jego twarz znów promieniała. – Posiadacie zdolność magicznego lotu w czasie i przestrzeni. Dlaczego po prostu tam nie polecicie i nie sprawdzicie, co się wtedy naprawdę wydarzyło? Wróciłbyście w okamgnieniu i raz na zawsze rozwiąłyby się wasze wątpliwości.

Amos rzucił Klarze szybkie spojrzenie. Jej oczy były szeroko otwarte ze strachu, a głowa drżała.

– *Nie mogę, Amosie.* – Jej głos brzmiał żałośnie, jak u wystraszonego małego dziecka.  
– *Nie mogę i nie chcę wracać tam, gdzie obudziłam się w rowie, a nieopodal stał na poboczu drop nasz wóz i się palił. I sądzę...* – Urwała, nie kończąc zdania. – *Nie mogę – powtórzyła.*

– *I nie będziesz musiała.* – Amos czuł się co najmniej tak samo zaskoczony jak ona. Oczywiście myślał już o tym, że mógłby na drodze magii powrócić tam, do tej straszliwej nocy sprzed trzech lat, gdy Hóttische i jego kompani napadli na ich dom, zabili jego rodziców i spalili wszystko do szczętu. Ale do tej pory za każdym razem cofał się przed tym. Już na samą myśl, że musiałby jeszcze raz przeżywać wszystkie te okropieństwa, czuł ścisk w gardle.

A jednak Trithemius miał rację, powiedział sobie teraz Amos, musieli wreszcie zyskać jasność. Aż nazbyt chętnie uwierzyłby na słowo, że opat i inni „kapłani” z Opus Spiritus nie mieli nic wspólnego ze śmiercią jego rodziców. Nie brzmiało to wcale przekonująco. W końcu sam był świadkiem wydarzeń tamtej strasznej nocy, jeśli nawet ukrył się wtedy w kamiennej skrzyni. Słyszał krzyki, szczęk broni, a także trzask i skwierczenie ognia. Co prawda, nie widział tego, co się wtedy naprawdę wydarzyło, na własne oczy. Jakież to mogły być nieszczęśliwe wypadki, których ofiarą padli najpierw rodzice Klary, a później jego rodzice, i to bez udziału mężczyzn, którzy w tym samym czasie napadli na jego dom rodzinny i na wóz Thalgruberów? Brzmiało to tak nieprawdopodobnie, że właściwie nie mogło być kłamstwem. Czym zatem było?

Amos podszedł do Klary i czule ją objął.

– *On ma rację* – powiedział telepatyczną mową – *aby uzyskać całkowitą pewność, że oni nie mieli nic wspólnego ze śmiercią naszych rodziców, sami musimy najpierw tam wrócić, do mojego domu rodzinnego, do tamtej nocy, w którą wybuchł pożar.*

Klara uśmiechnęła się do niego. W jej oczach wciąż jeszcze lśniły łzy.

– *Do tej przerażającą nocy, gdy moi rodzice zostali spaleni, nie mogę wrócić, w każdym razie jeszcze nie teraz. Nie mogłabym tego znieść. Ale jeśli ty bierzesz to na siebie i chcesz powrócić do nocy śmierci twoich rodziców, mój wybrańcu, to pójdę z tobą, przynajmniej tyle.*

Objęli się, a Amos pocałował ciepłą i słoną łzę z kącika oka Klary.

– *W takim razie w drogę. Mamy coraz mniej czasu.* – Drapiący telepatyczny głos Trithemiusa sprawił, że się rozłączyli. Wskazał na szczelinę w wydrążonym drzewie. – Sam się przekonaj, co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy, Amosie. A później musicie się czym

prędzej wyprawić do Rogdr. Jeśli nie wrócicie na czas, zanim Cellari i Skythis przybędą tu ze swoim wojskiem, wszystko będzie stracone.

Znów podszedł do nich, chwycił tym razem przeguby ich rąk i pociągnął władczo w stronę wydrążonego drzewa.

– Połóżcie się tam w środku na słomiance i trzymajcie się wzajemnie za ręce. Wyobraźcie sobie żywo tamto miejsce i coś, jakiś szczegół, który znajdował się tam w tamtym czasie. Tak też postępowali zawsze kapłani magii w dawnych czasach. Ich ciała pozostawały tu na dole, jednak ich duchy wznosiły się w górę drzewa, by następnie podróżować w czasie i przestrzeni. Wejdźcie tylko do środka.

Wepchnął Amosa do połowy dziury, przez którą można się było prześlizgnąć.

– Chyba rozumiecie, jak bardzo jest to niebezpieczne? – dodał nagłym tonem. – Musicie tutaj tak szybko, jak to tylko możliwe, roztoczyć nad klasztorem jakiś niemożliwy do pokonania magiczny klosz ochronny, w przeciwnym razie Cellari każe nas wszystkich spalić na stosie.

## 7

REKA W REKĘ POLECIELI w górę drzewa, a później wysoko w stronę nieba. Noc była łagodna i gwiazdzista, a pod ich stopami zniknął Wurzburg ze swoimi licznymi dachami i winnicami oraz połyskującą rzeką, która przedzierała się przez sam środek miasta. Amos i Klara ledwo coś z tego dostrzegali. Chłopak wyobraził sobie tak usilnie, jak tylko potrafił, swój dom rodzinny pod Wunsiedel i swoich rodziców stojących późną nocą w holu. Matka z bronią gotową do strzału, ojciec z wyciągniętym mieczem.

I tylko sekundę później szybowali już w dół, w stronę dworku, księżycowo i okazałe wznoszącego się na wzgórzu między polami i łąkami. I właśnie w tym momencie nadjechało konno trzech mężczyzn, którzy wyskoczyli z siodeł i uwiązali swoje konie u studni.

– *Największy z nich to Hóttische* – powiedział Amos. Był jeszcze całkiem oszołomiony ich szaleńczym lotem w czasie i przestrzeni.

Poszybowali dalej w dół, w stronę dworku.



– *A ci dwaj pozostali?* – spytała Klara.

– *Nie mam zielonego pojęcia. Nigdy ich nie widziałem.* – Amos szybko rzucił okiem na Klarę.

Także jako duch dziewczyna wyglądała po prostu wspaniale. Jej oczy połyskiwały zielenią, włosy lśniły bielą, a skórę miała jeszcze bledszą niż zwykle i przezrystą niczym mgła o poranku.

Tymczasem Hótttsche poprawił sobie pelerynę i poszedł w stronę drzwi domu. Obaj jego towarzysze pozostawali w cieniu. Byli w średnim wieku i drobnej postury. Odziani w schludne stroje i gładko ogoleni, bynajmniej nie przypominali rabusiów. Wyglądali raczej jak poczciwi mieszkańcy miasta, których jakieś okoliczności zagnały na wieś.

U drzwi do domu znajdowała się wykonana z kutego żelaza kołatka, jednak Hótttsche nie potrzebował niczego takiego. Walnął pięścią w drzwi.

– *Ferdinandzie von Hohenstein? Wiecie, dlaczego przychodzimy. Porozmawiajmy jak rozsądni ludzie.*

W holu rozległy się spieszne kroki i niezrozumiałe krzyki. To musieli być jego rodzice, pomyślał Amos, którzy zdenerwowani biegali tam w środku.

Klara jeszcze mocniej ścisnęła dłoń jego ducha.

– *Wiedzieli, że ci mężczyźni do nich przyjdą.*

Amos kiwnął głową.

– *Mnie też tak się wydaje. Ale zawsze sądziłem, że zostali napadnięci we śnie.*

– *Znikajcie stąd!* – krzyknął ktoś w środku niskim głosem.

– *To mój ojciec!* – Amosowi nagle serce podeszło do gardła.

– *Opuśćcie mój dwór* – krzyknął Ferdinand von Hohenstein – *bo inaczej posmakujecie mojego miecza!*

– *Tylko spokojnie!* – Hótttsche odwrócił się na krótko do tyłu, w stronę ubranych w miejskie stroje mężczyzn i pogładził swoją kudłatą brodę. – *Proszę was, panie* – krzyknął – *w imię bractwa, któremu sami kiedyś przysięgaliście, otwórzcie nam drzwi. Mamy dla was wspaniałe nowiny.*

Hótttsche wydawał się spokojny, prawie wesoły. W każdym razie na Amosie w ogóle nie zrobił wrażenia człowieka, który właśnie zamierza dokonać potwornej zbrodni. Mimo dzikiej brody i olbrzymiej postury nie wyglądał nawet na herszta rozbójników. Ale możliwe, że było to spowodowane tym, iż jego czoło nie było jeszcze zeszepeczone tą blizną w kształcie litery „X”.

Jeszcze raz załomotał pięścią w drzwi. W środku rozległ się teraz podenerwowany

kobięcy głos.

– *Dobry Boże, Klaro. To... mama.*

Przez kilka chwil Amos nie mógł ani mówić, ani nawet jako tako wyraźnie widzieć. W gardle stanęła mu paląca kluska, a oczy piekły go co najmniej tak samo jak krtań. Przecież powrócił tutaj jako duch! A mimo to czuł, jakby ścisnęło go w gardle i jakby ktoś polewał jego oczy gotującą wodą.

– Dobrze wiemy, czego od nas chcecie! – krzyknęła matka Amosa piskliwym ze strachu głosem. – Znikajcie albo doniesiemy na was urzędnikowi Rabensteinerowi!

Hótttsche pokręcił swoją ogromną głową.

– Dajcie sobie z tym spokój. Urzędnik zgadza się na wszystko, co chcemy wam zaproponować. W końcu tym sposobem pozbędzie się największej plagi w całej okolicy Kirchenlamitz – rycerza-rozbójnika na zamku Hohenstein.

W środku rodzice Amosa naradzali się zduszonymi głosami.

– Cóż to ma znaczyć? – krzyknął wreszcie ojciec. – Dlaczego urzędnik pozbędzie się mojego brata Heriberta?

Kapitan Hótttsche znów rzucił spojrzenie przez ramię. Jego towarzysze skinęli w jego stronę zachęcająco. Najwidoczniej wszyscy trzej sądzili, że są na dobrej drodze do osiągnięcia swego celu.

– Bo to wy macie zająć jego miejsce pana na zamku! – krzyknął Hótttsche. – To wy jesteście prawowitym dziedzicem waszego ojca, panie. Natomiast wasz brat jest awanturnikiem i pijaczną, który powinien być zadowolony, jeśli urzędnik pozwoli mu odejść bez szwanku.

Nagle za drzwiami zapadła grobowa cisza.

– Słyszycie mnie, panie? – krzyknął Hótttsche. – Wszystko zostało już przygotowane. Wystarczy tylko, że wyrazicie zgodę, a od razu będziecie mogli powrócić z rodziną na zamek. Rycerzu Ferdinandzie von Hohenstein!

I właśnie w tym momencie rozległ się huk strzału. Hótttsche odszedł chwiejnym krokiem od drzwi i wrzasnął.

– Do cholery. Strzeliliście mi w ramię, panie! – Jego prawa ręka zacisnęła się wokół lewego przedramienia.

– To byłem ja! – zawołała matka Amosa. – I posłuchajcie mnie dobrze, wy bezbożni rabusie dzieci. O swojego syna będę walczyła do ostatniej kuli. Dlatego lepiej znikajcie stąd i to już!

Hótttsche ponownie spojrzął do tyłu na swoich towarzyszy. Ci wycofali się tymczasem

aż do studni i z tej bezpiecznej odległości znów kiwnęli głowami w stronę Hótttschego.

– Wystarczy tego – powiedział jeden z nich. – Otwórz drzwi, Hótttsche. Niech nas wysłuchają.

Hótttsche wyciągnął swój topór wojenny i przez chwilę ważył go w ręce. Ciężko dyszał i przygryzał dolną wargę. I wtedy nagle, zupełnie jakby chciał zaskoczyć samego siebie, porwał topór do góry i jednym potężnym uderzeniem pogruchotał zamek. Drzwi odskoczyły, a Hótttsche wparował do holu niczym rozjuszony niedźwiedź. Kula, którą matka Amosa wystrzeliła prawie w tym samym czasie, przeleciała mu z hukiem nad głową. Kapitan podniósł się z trudem i wyszarpnął miecz z pochwy. I tak rzucił się na ojca Amosa, który oburącz kurczowo ścisnął głowicę swojego miecza.

Gdy Amos i Klara poszybowali przez próg za Hótttschem, mogli jeszcze dostrzec obie szczupłe postacie, które przemknęły w cieniu holu i zniknęły u wejścia do piwnicy.

– *Na wszystkie dobre duchy, Klaro. To Oda i ja.*

– *Ach, ty biedaku.* – Klara patrzyła na niego pełna współczucia. – *Jakże mi Ciebie żal.*

– *Co powinniśmy teraz zrobić, Klaro? Oni zaraz umrą!*

– *Nie możemy niczego zrobić. Jesteśmy tylko duchami, a wszystko, co widzimy, wydarzyło się wiele lat temu.*

Amos zdawał sobie oczywiście z tego sprawę, a mimo to pragnął ze wszystkich sił ocalić swoich rodziców przed śmiercią w płomieniach. Niestety, bezsilnie musiał się przyglądać, jak Hótttsche pędził, chroniąc się przed mieczem jego ojca, w stronę kominka przy prawej bocznej ścianie. W kominku tliło się trochę żaru. Była to, bądź co bądź, ciepła, letnia noc. I tylko dlatego, że ojciec chciał wieczorem spalić jakieś papiery, było w nim napalone.

– Proszę, panie – powiedział Hótttsche – odłóżcie miecz. – Nie był nawet zdyszany, w przeciwieństwie do ojca Amosa, który kurczowo ścisnął broń w trzęsących się rękach.

Ferdinand von Hohenstein w bieganii był niezmordowany, a we wspinaczce zwinniejszy od wszystkich innych. Jednak nigdy nie interesował się bronią. Tak jak ja, ojciec, pomyślał Amos. Ale mnie Hótttsche uratował życie, tymczasem Ciebie zabije za kilka chwil.

Ojciec jeszcze raz wyrzucił miecz w górę i chciał nim zaatakować Hótttschego. Jednak kapitan wytrącił mu broń z rąk, prawie nie spoglądając w tamtą stronę. Miecz ojca upadł z brzękiem na ziemię, potoczył się – połyskując – po drewnianych deskach podłogi i skreślił kanciaste „S” w sadzy przed kominkiem.

– A teraz każcie waszej żonie – powiedział – odłożyć broń. Abyście w końcu mogli usłyszeć nasze cudowne wieści.

Ojciec Amosa patrzył jeszcze przez chwilę na Hótttschego zamyślonym wzorkiem, a następnie odwrócił głowę i skinął w stronę matki.

– Odłóż, z łaski swojej, miecz – rzekł do Hótttschego. – Jesteś przecież kapitanem Heriberta. Chyba nie chcesz zdradzić swego pana? Co obiecali ci ciemni bracia w zamian? Garnek wypełniony złotem duchów?

Hótttsche przyglądał się, jak matka Amosa opiera strzelbę o ścianę, a wtedy i on schował swój miecz do pochwy.

– Ja też należę do bractwa, panie – powiedział – jeśli nawet do jego zewnętrznego kręgu. I niniejszym przysięgam wam na swoje życie i zbawienie, że będę bronił panicza Amosa aż do ostatniej kropli krwi, jeśli wróćcie jako rycerz na zamek Hohenstein.

I, na Boga, pomyślał Amos, tak rzeczywiście uczynił.

Jednak ojciec Amosa spojrział tylko na Hótttschego bez wyrazu. Sprawiał wrażenie zmęczonego i bynajmniej nie był żądny „cudownych wieści”, o których wcześniej wspomniał Hótttsche.

Dopiero teraz dwaj mężczyźni, ubrani po mieszczańsku, weszli do środka z podwórza. Skinęli w stronę rodziców Amosa, nie pozdrawiając ich.

– Jesteśmy uczonymi w prawie, których przybycie zostało wam zapowiedziane – powiedział jeden z nich. – Nasze nazwiska nie mają nic do rzeczy. Wybaczcie nam tak późną wizytę, nasza rozmowa z urzędnikiem potrwała nieco dłużej, niż się tego spodziewaliśmy. Jednak teraz wszystko jest już wynegocjowane tak, jak być powinno.

– Udało się nam, panie von Hohenstein – ciągnął dalej drugi uczony w prawie, po tym jak nerwowo chrząknął – uczynić was jedynym prawowitym dziedzicem zamku Hohenstein. Bo mimo że jesteście drugim w kolejności synem, to wam właśnie jest przynależne to miejsce. – Mówiąc to, podszedł powoli do rodziców Amosa, którzy stali niemal przy kominku, z plecami zwróconymi do ognia, zupełnie jakby chcieli się ogrzać.

– Jeśli przychylicie się do naszej propozycji – dodał pierwszy uczony w prawie, który uważnie śledził wypowiedź swojego kolegi – to niniejszym możemy wam zagwarantować, że waszego brata Heriberta nie będzie już na zamku, gdy tam przybędziecie.

– Zmierzył wzrokiem ślady w kształcie zygzaka, które miecz pozostawił w sadzy, po czym popatrzył znacząco na swojego towarzysza.

– Wszystkie dokumenty – ten drugi pociągnął wątek – które są potrzebne, by zatwierdzić was jako jedynego spadkobiercę waszego ojca, zostały już sporządzone i zostaną wam wręczone, jak tylko dotrzecie na zamek Hohenstein.

– Jako zadośćuczynienie – uzupełnił znów jego towarzysz – musicie jedynie zgodzić

się na to, aby znany uczyony w piśmie, Valentin Kronus, pozostał w dawnym folwarku młyńskim i aby wasz syn odwiedzał go raz na tydzień.

– A więc, jak będzie? Przystajecie na to? – zapytał pełen nadziei drugi uczyony w prawie.

Jednak ostatnia jego sylaba nie zdążyła jeszcze do końca wybrzmieć, gdy matka Amosa zaczęła krzyczeć.

– Nie! – krzyczała. – Nigdy, przenigdy! Nigdy nie zgodzimy się, abyście zaprzęgli naszego syna do waszych bezbożnych celów! Wynoście się stąd! Precz!

I w czasie gdy jeszcze tak krzyczała i płakała, stało się coś strasznego.

Przez komin wleciał gwałtowny poryw wiatru, a ogień w kominku buchnął, skwiercząc i wyciągając płomienne ramiona w stronę rodziców Amosa, którzy stali tuż przed paleniskiem. Teraz także ojciec Amosa zaczął krzyczeć i wymachiwać dookoła rękami. I tylko sekundę później płomienie całkowicie objęły ich oboje. Paliły im się włosy, matce – sięgająca do podłogi koszula nocna, a ojcu – szlafrok, który musiał na siebie zarzucić, gdy zbudzili ich jeźdźcy Krzyżac, biegali dookoła po całym holu, a Hóttische i jego towarzysze biegali za nimi i również krzyczeli coś do siebie, z czego Amos mógł zrozumieć jedynie „pomocy” i „wody”.

Było już za późno, za późno na ratunek. Ten gwałtowny podmuch wiatru był tylko zwiastunem potężnej wichury, która wpadła teraz do środka przez wyważone drzwi. Rodzice Amosa chodzili po holu, ślaniając się, niczym dwie krzyżące kolumny ognia. Wirujące dookoła iskry podpalały dywany i zasłony, deski i belki. W ciągu zaledwie kilku chwil cały hol zamienił się w trzaskające piekło płomieni, a pierwsze języki ognia pełzały już po drewnianych schodach na górę.

Amos i Klara podfrunęli bliżej Ferdinanda i Matyldy von Hohenstein. Leżeli powykrzywiani i powykręceni na płonących deskach podłogi. Ich twarze były szerniałe i skurczyły się w trudne do rozpoznania maski. Ich oczy były puste i nieruchome. Płomienie pełzały po ich ciałach niczym jadownicze węże.

– Przynieście wody ze studni – krzyknął Hóttische w stronę swoich towarzyszy – Zgaście to, co się jeszcze da ugasić. Ja uratuję dzieci!

Obaj uczeni w prawie wybiegli na podwórze, a Amos już teraz wiedział, że nie wrócą. Bo niby po co? Jego rodzice byli martwi, ich dom płonął tymczasem aż po wieżbę dachową. Za pomocą kilku wiader wody ze studni nie można było tu już niczego ugasić ani uratować. Tym bardziej że wichura rozszalała się na dobre, a ogień urósł do rozmiarów potwora liżąc wszystko dookoła tysiącem swoich języków.

Tymczasem Hótttsche zbiegł po schodach do piwnicy. Zamiast świecy czy pochodni wziął ze sobą płonący odłamek belki, którego jeden z końców buchał językami ognia.

– Amosie, Odo! – wołał. – Gdzie jesteście? – Widocznie zauważył, jak wcześniej przemknęli przez hol, by ukryć się w piwnicy.

Amos i Klara poszybowali tuż za nim. Hótttsche potknął się i zajęczał nienaturalnie wysokim głosem.

– *Czego tak bardzo boi się Hótttsche?* – zapytał Amos. – *Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby choć drgnął.*

– *Pewnie boi się o was, przede wszystkim zaś o siebie* – odparła Klara.

– *Z pewnością. Ale tylko na niego popatrz. Pędzi, jakby chodziło o jego własne życie!*

U podnóża schodów znajdowały się masywne drzwi, od góry do dołu okute żelazem. Hótttsche chwycił za klamkę i cofnął gwałtownie rękę, wyjąc przy tym z bólu. Uchwyt był rozżarzony do czerwoności. Nacisnął klamkę łokciem i pchnięciem otworzył drzwi. Po drugiej stronie było wyraźnie chłodniej. Także Amos i Klara stwierdzili to od razu, mimo że wszystko dookoła było dla nich, duchów, takie same w dotyku.

Hótttsche wyraźnie odetchnął. Starannie zamknął za sobą drzwi. Ogień nie zdążył tu jeszcze dotrzeć. Zresztą nie znalazłby tutaj zbyt wielu rzeczy do strawienia. Schody prowadzące tu od holu były z kamienia, a zewnętrzne drzwi do piwnicy okute były żelaznymi płytami. Także na korytarzu, którym szedł teraz Hótttsche, nie stały żadne przedmioty, które mogłyby się zająć ogniem. Podłoga była wyłożona kamiennymi płytami, a ściany i sufit zrobione z wapnowanego muru.

– Konstrukcja na wypadek pożaru – usłyszeli mamrocącego Hótttschego. – Dobra robota, panie Ferdinandzie.

Amos i Klara wymienili szybkie spojrzenia. Hótttsche przynajmniej znów mówił swym naturalnym głosem, nawet jeśli wciąż zdawał się dość zmieszany. I śmiertelnie przerażony.

Na końcu piwnicznego korytarza znajdowały się kolejne drzwi, również okute żelazem. Zgodnie z poleceniem ojca, Amos zamknął je za sobą i za Odą, zanim weszli do kamiennej skrzyni.

Hótttsche otworzył drzwi jednym pchnięciem i stanął w progu. Od płonącego kawałka belki biło niepewne światło, pozwalające wszakże na dostrzeżenie niewyraźnych zarysów: sięgających po sam sufit szaf przy dłuższej ścianie, poukładanych w stos beczek i desek przy przeciwległej ścianie oraz murowanego cokołu z postawioną na nim kamienną skrzynią przy ścianie z tyłu.

Amos poczuł zmieszanie. Z jednej strony unosił się obok Hótttschego ponad progim,

z drugiej – w tym samym czasie ukrywał się w tamtej kamiennej skrzyni! Leżał tam po drugiej stronie ze swoją siostrą i miał dwanaście lat. A tu stał ramię w ramię z Klarą i już od dawna był młodzieńcem, który będzie niedługo obchodził szesnaste urodziny. A Oda, która szlochała tam po drugiej stronie w skrzyni, w rzeczywistości spoczywała już w innej kamiennej skrzyni, w rodzowym grobowcu Hohensteinów! Ale to znowuż oni przybyli tu jako duchy, zupełnie jakby to właśnie oni umarli, a nie Oda. Jednym słowem straszliwy chaos, na zewnątrz i w środku, a Amos czuł wielki niepokój i miał wrażenie, jakby go przecięto na dwie połowy.

Wydawało się, że nie inaczej odczuwa kapitan Hótttsche. Zrobił jeden krok w głąb piwnicy, potem jeszcze jeden i się zatrzymał. Trwożliwie rozejrzał się na wszystkie strony. Poruszał ustami, ale niczego nie było słychać. Ani mamrotania, ani – na szczęście – przeraźliwego jęku, jaki wydał z siebie jeszcze przed chwilą.

Z wyciągniętą dłonią, w której dzierżył płonący kawałek belki, znów ruszył przed siebie. I on musiał przecież słyszeć dochodzące ze skrzyni ciche szlochanie, a mimo to patrzył tylko wielkimi oczami w próżnię. Chyba właśnie z tego powodu nie dostrzegł leżącej luzem kamiennej płyty, która wystawała z ziemi, tkwiąc między innymi płytami. Olbrzymi kapitan potknął się i – wymachując rękami – runął czołem do przodu na pokrywę skrzyni. Z przerażenia wypuścił z ręki płonące polano, które poleciało wysokim łukiem w powietrzu, by następnie potoczyć się po podłodze, rozsypując iskry.

Oszołomiony Hótttsche rozejrzał się dookoła. Z pęknięcia skóry, przypominającego swym kształtem literę „X”, pocięła krew po czole, na którym utworzył się już potężny guz. Jednak wtedy wzrok Hótttschego padł na płonące polano, leżące teraz niebezpiecznie blisko stosu starych beczek i desek. Z trudem podniósł się, stękając.

Tak ostrożnie, jakby bał się, że swoimi nieprzemyślanymi ruchami mógłby wyrządzić jeszcze więcej szkód, podszedł do kawałka belki i podniósł go z ziemi. Dwoma palcami pomacał się po ranie, zupełnie jakby chciał się przekonać, że na jego czole rzeczywiście został wytłoczony „X”. Potem opuścił piwnicę i zamknął za sobą drzwi, nie rzucając już ani jednego spojrzenia w stronę kamiennej skrzyni. Bez cienia wątpliwości wiedział, że Amos i Oda tam właśnie się ukrywają. Jednak z jakiegoś powodu zupełnie niespodziewanie odstąpił od swego planu ratowania dzieci, a zamiast tego postanowił się niespostrzeżenie wykraść z piwnicy.

Amos i Klara poszybowali za nim. Przez przednie drzwi schodami do góry. Tutaj wciąż jeszcze panował straszliwy skwar. Od gorąca popękały stopnie. Hótttsche przyłożył sobie rękaw do nosa i ust, a następnie poszedł na górę schodami, kasłając i dysząc.

– *Dlaczego tak nagle uciekł?* – spytała Klara.

– *Sam nie wiem* – odparł po chwili wahania Amos. – *Najpierw wydawało mi się, że Hóttische bał się, iż mógłby jeszcze wszystko podpalić tam na dole. Ale to nie miałyby żadnego sensu, nie sądzisz?*

Klara pokręciła głową.

– *Ja też miałam na początku takie odczucie, ale dlaczego miałby się czegoś takiego obawiać? Przecież to nie jego wina, że u góry wybuchł pożar.*

Tymczasem znów dotarli do holu, a raczej do pozostałości po nim. Ten niegdyś jakże okazały dworek panów von Hohenstein był już tylko dymiącą ruiną. Tu i ówdzie ogień buchał jeszcze płomieniami z kilku czarnych jak sadza belek lub bali, ponieważ jednak nie było już właściwie niczego, co mogłoby go jeszcze podsycać, zaczął gasnąć.

Hóttische biegł przez dym i gruzy, nie oglądając się na lewo i na prawo. Kasłając, wyszedł na podwórze. Wiatr znów osłabł, a niebo spowijały czarne chmury. I właśnie wtedy zaczęły spadać pierwsze krople deszczu. Lada chwila chmury pękną, a ulewa ugasi ostatnie płomienie i iskry.

Po towarzyszach Hóttczego nie było już ani śladu. Daremnie kapitan wypatrywał zarządcy folwarku Hubertusa, jego parobków i dziewczek służebnych. Widocznie wszyscy rzucili się do ucieczki, a Hóttische sprawiał wrażenie, jakby sam był zdecydowany pójść za ich przykładem.

– *Ze swojego punktu widzenia postępuje właściwie* – powiedziała Klara. – *Tobie i Odzie ogień nie może już zaszkodzić, a po tym straszliwym nieszczęściu i tak musiało się stać dokładnie to, co chcieli osiągnąć Hóttische i jego towarzysze. Ty przeprowadzisz się do stryja na zamek, a tym samym znajdziesz się blisko Kronusa. I nikomu nie przyjdzie do głowy, że Hóttische miał jakikolwiek związek z tym pożarem.*

Amosowi wciąż jeszcze kręciło się w głowie. Okazało się, że wypadki potoczyły się zupełnie inaczej, niż to sobie od dłuższego czasu wyobrażał. Tamtej nocy Hóttische nikogo nie zabił i nie otrzymał też od nikogo zlecenia na zamordowanie rodziców Amosa. Wręcz przeciwnie. Przybył z propozycją, której celem było uregulowanie wszystkich spraw w pokojowy, ba, wielkoduszny sposób, a jego towarzysze, obaj uczeni w prawie, przygotowali już nawet wszystkie niezbędne dokumenty. Jedynym poszkodowanym byłby stryj Heribert, ale ten nie zasłużył sobie na żadną litość. Wszystkie inne wydarzenia były tylko nieszczęśliwym zrządzeniem losu. Gwałtowne wichury nie należały do rzadkości w Smreczanach i już nieraz się zdarzało, że niegroźny mały ogień, rozniecony przez gwałtowne porywy wiatru, przybierał postać niszczącego walca ognia.



Dopiero teraz, bardzo powoli Amos uświadamiał sobie, co to wszystko oznaczało dla niego i dla Klary.

– *Hótttsche nie zabił moich rodziców* – powiedział, wciąż jeszcze do głębi zdziwiony.  
– *Także Trithemius i inni „kapłani” nie ponoszą winy za to, co się wtedy wydarzyło.*

W każdym razie nie są bardziej winni niż moi rodzice, dodał w duchu. W końcu jego matka jako pierwsza strzeliła do Hótttschego, jeśli nawet ze strachu o swojego syna. I dopiero potem kapitan wyważył drzwi. To był straszny, nieszczęśliwy wypadek, a dziwne w tym wszystkim było tylko to, że rok wcześniej rodzice Klary zginęli najwidoczniej w całkiem podobnych okolicznościach.

– *A więc możemy ufać Trithemiusowi również we wszystkich innych sprawach, nie uważasz?* – powiedziała Klara pełnym nadziei telepatycznym głosem, choć zakradła się tam nutka wątpliwości.

Amos pomyślał o chropowatym głosie opata i – jak za każdym razem – poczuł lekką panikę. Trithemius, a w znacznie większym stopniu jego „wychowanek” Faust, wciąż jeszcze wydawali mu się przerażający, ale teraz to już nie miało znaczenia. „Kapłani” z Opus Spiritus przez połowę swego życia walczyli o to, aby oni oboje, Klara i Amos, zostali oświeceni przez duchy, a tym samym stali się potężnymi magami pisma. Także Kronus i matka Zofia działali dla tej wspólnej sprawy, a nawet oddali za nią swoje życie. Oboje zawsze wprawdzie podkreślali, że dawne pogańskie sztuki mogą przetrwać tylko i wyłącznie w poetyckich dziełach, ale być może byli po prostu nazbyt zasadniczy w tej kwestii lub za bardzo się obawiali skutków. Koniec końców, różnica naprawdę nie była aż tak duża. Bo niezależnie od tego, czy chodziło o spisywanie magicznych opowieści na papierze, czy też o rycie magicznych znaków na tarczach i w progach drzwi, w obu przypadkach była to ta sama magia pisma. Poza tym myśl o tym, że Klara i on sam mieli teraz zostać oświeceni i stać się takimi potężnymi kapłanami magii, wydawała mu się doskonała. Z pewnością Kronus i matka Zofia w końcu wyraziliby na to zgodę, gdyby tylko zyskali okazję, jak teraz Klara i Amos, by zrozumieć wszystko z taką jasnością.

– *Myślę, że możemy mu zaufać* – rzekł Amos, po tym jak poukładał sobie wszystko w głowie.

Tymczasem Hótttsche odwiązał swego konia i wskoczył na siodło. Niczym ścigany przez demony, pogalopował przez zacinający deszcz.

– *W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak zaraz wracać do Wurzburga* – powiedziała Klara. Znów chwycili się za ręce, zamknęli oczy i wyobrazili sobie tak wyraźnie, jak tylko potrafili, szeroko otwartą kopułę, przez którą znów sfrunęliby do pustelni.

PRZEZ PEWNĄ ZAPIERAJĄCĄ DECH W PIERSI CHWILĘ Amos i Klara zobaczyli samych siebie, jak leżą tam w dole na dnie wydrążonego buku. Oczy mieli zamknięte, trzymali się wzajemnie za ręce i uśmiechali się, jakby im się śniło coś przyjemnego. W następnej chwili wniknęli z powrotem w swoje ciała i podnieśli się na swojej słomiance.

– I wy mnie podejrzewaliście, ale nie mam wam tego za złe. – Opat stał przed szczeliną w pniu drzewa, przez którą na nich spoglądał. – Kronus, matka Zofia i inni samozwańczy „poeci” w naszym bractwie zagalopowali się, upierając się przy czymś, co nie miało zbyt wiele wspólnego z rzeczywistością. Jednak wy widzieliście przecież na własne oczy, jak naprawdę to wszystko się potoczyło.

Klara i Amos byli jeszcze nieco oszołomieni po swym magicznym locie. Poza tym czuli się poniekąd winni, bo przez cały ten czas podejrzewali opata, że ma na sumieniu śmierć ich rodziców.

– Puśćmy to w niepamięć. – Trithemius znów posłał im ten swój zamyślony uśmiech, który tak bardzo przypominał Amosowi o Kronusie. – Jak mówiłem, najwyższa już pora, abyście się udali w podróż do Rogdr. Jeśli nie wrócicie na czas, by ochronić klasztor za pomocą jakiegoś ochronnego zaklęcia, którego nie można będzie pokonać, Cellari każe nas wszystkich wrzucić do ognia. I na pewno nie będzie czekał, aż jakiś przypadkowy podmuch wiatru lub jakaś błyskawica roznieci stos.

Spojrzał natarczywym wzrokiem najpierw na Amosa, a później na Klarę.

– Abyście mogli ocenić ogromną moc i odpowiedzialność, która niegdyś spoczywała na barkach waszych, przypominających was niczym wasze lustrzane odbicia przodków, udacie się teraz w podróż do Rogdr sprzed tysiąca lat. A stamtąd przeniesiecie się do Roku Pańskiego 1089, na krótko zanim ten święty gaj został zniszczony przez rycerzy zakonnych.

Opat objaśnił im, co dokładnie powinni sobie wyobrazić, by przybyli do Rogdr w odpowiednim czasie. Amos i Klara ponownie opadli na słomiankę i uruchomili wyobraźnię dokładnie tak, jak ich poinstruował Trithemius.

– Czy widzicie to już przed sobą? – zapytał. – Jeziorne Wzgórze, które dziś zwie się pogańską kopą, a na wzgórzu świątynię z trzema magicznymi znakami, wyrzeźbionymi dokładnie w tamtym czasie?

Skinęli głowami, leżąc.

– A teraz chwycie się za ręce i zamknijcie oczy – powiedział opat. – Gdy tu wrócicie, będziecie potężnymi magami i już nigdy żaden łowca ksiąg i inni ludzie nie będą was ścigali po lasach jak bezbronną zwierzynę łowną. Udaney podróży i wracajcie wkrótce!

## ROZDZIAŁ VIII

# 1

NA ROZLEGŁYM PLACU przed świątynią tłoczyła się barwna gromada ludzi. Starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety. Niektórzy odziani w drogocenne szaty, inni ubrani w podziurawione łachmany. Jednak nikt nie przybył tutaj z pustymi rękami. Wszystko wnoszono na plecach lub przywożono wozami, gdzie leżały ułożone w sterty najdziwniejsze przedmioty. Wóz drabiniasty tu z przodu był załadowany drewnianymi belkami i menażkami, z kolei z tyłu nadjeżdżała rozkołysana fura z kosami, sierpami i lemieszami. Chorzy i ranni byli przynoszeni na noszach albo sami z trudem kuśtykali, wspierając się na kijach. Młode pary chodziły bez celu ramię w ramię i tłumaczyły każdemu, kto przypadkiem spojrział w ich kierunku, że przybyły tutaj, by ubłagać duchy o dar płodności. Tego, czy ich prośba zostanie wysłuchana, nikt zdawał się nie wiedzieć na pewno, ale młodzi oświadczały z rozkosznymi uśmiechami na twarzach, że przynieśli ze sobą wiele różnych darów, by zjednać sobie duchy. Worki pełne zboża, kosztowne skóry lub nawet kilka grudek złota, odziedziczonych po przodkach lub własnoręcznie wykopanych.

Amos i Klara unosili się pośród tłumu, rozglądali się ze zdziwieniem, zatrzymywali się to tu, to tam, by podsłuchać jakąś wymianę zdań. Ludzie rozmawiali ze sobą w najróżniejszych językach i dialektach, jednak Klara i Amos rozumieli wszystko bez większych problemów. W końcu podróżowanie w charakterze ducha miało wiele zalet! Poza tym nie cierpiało się głodu ani pragnienia i mimo że południowe słońce paliło promieniami padającymi z błękitnego nieba, upał nie przysparzał im kłopotów.

Będący ich lustrzanymi odbiciami przodkowie znajdowali się, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, w potężnej świątyni na końcu owalnego placu. Amos i Klara wywnioskowali to ze strzępków zdań, które udało im się przypadkowo zasłyszeć, gdy szybowali obok rozmawiających ze sobą ludzi. Do tej pory nie odważyli się zbliżyć do świątyni na mniej niż dziesięć kroków. Najpierw chcieli się nieco rozejrzeć.

Na placu zgromadziło się co najmniej dwustu ludzi. Większość z nich włóczyła się, plotkując, lub siedziała ociężale w cieniu jakiegoś drzewa. Niekiedy jednak, w nie dającej się

przewidzieć kolejności, rozlegało się niesłyszalne na zewnątrz zawołanie, skierowane do jakiegoś człowieka lub grupki ludzi, wtedy dana osoba otwierała oczy, zastygała w postawie, którą przypadkowo przyjęła, i zdawała się usilnie wsłuchiwać w siebie. Następnie podnosiła się z wyrazem oszołomienia na twarzy i kroczyła, a raczej szła, zataczając się, w stronę portalu świątyni. Jej służący lub krewni, w zależności od okoliczności, podążali za nią swoimi wozami i z kosztami na plecach, w których znajdowała się moc podarunków dla duchów i kapłanów. Poza tym nie brakowało oczywiście przedmiotów, które zyskiwały magiczną moc dzięki wyrytym na nich napisom: tarcz i kos, noży i pługów, sprzączek u pasów lub też drewnianych belek, które miały być może posłużyć jak progi drzwi.

Przed świątynią stali strażnicy, odziani w szare szaty i ze spiczastymi kapeluszami o szerokich rondach na głowach. Najwyraźniej udzielali ściszonymi głosami jakichś instrukcji nowym przybyszom. Tego, co dokładnie mówili, Amosowi i Klarze nie udało się do tej pory usłyszeć. Widzieli tylko, że odwiedzający spuszczały pokornie głowy, zanim przestępowali próg.

Świątynia była potężną budowlą z ciosanych kamieni, a jej drzwi wejściowe były nieproporcjonalnie małe. Jakby dla równowagi oba otwory okienne, znajdujące się po prawej i lewej stronie nad portalem, były o wiele za duże. I tak ta szara jak skała fasada przywodziła na myśl oblicze jakiegoś olbrzyma, który groźnie spoglądał w dół na tłum, a do tego jeszcze miał markotnie ściągnięte usta.

W poprzek ponad tymi dwoma oknami, a więc jakby na czole tego kamiennego olbrzyma, znajdowały się wyryte dłutem trzy znaki pisma, które wcześniej opisał im Trithemius: rozstawione pod kątem prostym palce, uniesiona tarcza i szpony drapieżnego ptaka. Każdy ze znaków miał co najmniej osiem stóp wysokości i był pomalowany na kruczoczarno.

Amos nie mógł oderwać wzroku od tych trzech znaków. Były tak kunsztownie w siebie wplecione, że wyglądały jak jeden znak pełen zawijasów. Jednak za każdym razem, gdy spoznał na tę inskrypcję, ogarniał go straszny niepokój, którego w ogóle nie mógł wyjaśnić.

– *To są znaki z drugiej opowieści* – powiedziała Klara.

Amos zdziwiony spojrział w stronę fasady, a później z powrotem na Klarę.

– *Tak, masz rację* – odparł. – *Jakie to dziwne, że nie rzuciło mi się to od razu w oczy!*

A jednak o wiele bardziej zadziwiające jest to, dodał w duchu, że te magiczne napisy tak bardzo mnie niepokoją. Gdy czytał opowieść o kobiecie, co mieszkała w studni, nie wzbudzały w nim strachu.

W równym stopniu napawały go teraz trwogą odgłosy dobiegające z głębi świątyni. Skwierczenie i trzaski, być może ognia, później znowu huk i łomot, jakby w środku szalała burza. Towarzyszyły temu błyskawice i płonące na czerwono języki ognia, które drgały w niepewnych odstępach za otworami drzwi i okien, by po chwili zgasnąć.

Poza tym wydawało się, że we wnętrzu świątyni panuje mrok.

– Wejdźcie do środka – powiedział im jeszcze przed podróżą opat – i poprzyglądajcie się nieco waszym przodkom, łudzaco do was podobnym. A wtedy poproście ich, aby wskazali wam drogę do tych spośród nich, którzy pochodzą z okresu bezpośrednio poprzedzającego zniszczenie Rogdr.

Ramię w ramię Amos i Klara podfrunęli bliżej świątyni. Do środka wnoszono właśnie na noszach jakiegoś mężczyznę, który najwyraźniej miał sparaliżowane nogi. Pół tuzina młodszych mężczyzn podążało za chorym i osobami niosącymi go na noszach. Nieśli ze sobą kosze pełne darów dla duchów i kapłanów: zwoje sukna i dywanów, kosztowne szaty i błyszcząca biżuterię. Sparaliżowany wydawał się nadzwyczaj zamożnym człowiekiem.

Amos spojrzał na Klarę pytającym wzrokiem.

– *Co o tym wszystkim myślisz?*

– *Na pewno wydaje ci się to o wiele bardziej obce niż mnie samej.* – Uśmiechnęła się do niego. – *Ja też wprawdzie nie wiem, co tam w środku świątyni się dzieje, ale ten barwny chaos tu, na zewnątrz, przypomina mi zgromadzenia wędrownych ludzi, wśród których często w dzieciństwie spędzałam czas wraz z rodzicami. Sztukmistrze, lalkarze, wędrowni magicy i kaznodzieje, uzdrowicielki i znachorzy – cały ten wędrowny ludek, który nie chciał nigdzie osiąść na stałe, zbierał się w czasie przesilenia w takich miejscach jak to, by razem śpiewać i ucinać sobie pogawędki.*

– *W miejscach takich jak to?* – powtórzył Amos, nie spuszczać wzroku ze świątyni.  
– *Ale chyba nie modliliście się podczas takich spotkań do pogańskich bożków i duchów?*

– *Każdy robił to, co chciał.* – Wzruszyła ramionami. – *Ale co cię tak nagle zaczęło niepokoić, mój wybrańcu?*

Najpierw Amos chciał zaprzeczyć, że w ogóle czuje się zaniepokojony. Sam przecież nie rozumiał, co tak bardzo nie podobało mu się w tym miejscu.

– *Sam nie wiem* – powiedział jednak po chwili. – *Coś w tym miejscu jest inne, inaczej to sobie po prostu wyobrażałem.*

Klara zmarszczyła swoje duchowe czoło.

– *Miejmy nadzieję, że nie dowiedziałeś się, że przodkowie, będący naszymi lustrzanymi odbiciami, nie byli w rzeczywistości żadnymi potężnymi magami?*

Nie traktowała go poważnie i to denerwowało Amosa. Ale jeszcze bardziej złościł się na samego siebie. Dlaczego to właśnie tu i teraz zaczęły go dręczyć czarne przecucia? Przecież wszystko zdawało się wreszcie zmierzać ku lepszemu, a nawet miało być tysiącokrotnie wspanialsze, niż sobie to kiedykolwiek wymarzył.

Podczas gdy Amos się nad tym wszystkim zastanawiał, na plac wyszedł mężczyzna, którego dopiero co wniesiono do świątyni na noszach. Tuż za nim, z głębi wyłoniło się dwóch mężczyzn, którzy go wcześniej nieśli.

– Niech będą pochwalone duchy i kapłani Rogdr! – krzyknął jeden z nich. – Sami zobaczcie, nasz pan był sparaliżowany, a teraz znów chodzi o swych własnych siłach, tak żwawo jak młody myśliwy!

Kilka stojących dookoła osób wiwatowało. To cudowne uzdrowienie nie wzbudziło jednak zbyt wielkiej sensacji.

– Jakich znaków użył kapłan? – krzyknął ktoś z nich w stronę uzdrowionego. – I gdzie ci je nakreślił?

– Na ten temat muszę milczeć – odparł uzdrowiony, który właśnie przechodził obok Amosa i Klary. Szedł trochę jak bocian, jednak uparcie stawiał krok za krokiem, po czym zniknął w tłumie.

Amos nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– *Sam nie wiem, co ja sobie znowu uroiłem* – powiedział. – *Nasi przypominający nas do złudzenia przodkowie są najwidoczniej wielkimi kapłanami magii, a niebawem i my staniemy się takimi potężnymi magami pisma. Wszystko jest w najlepszym porządku, nie uważasz?*

Klara skinęła w jego stronę, promiennie się przy tym uśmiechając.

– *Gdy byliśmy tu z Karolem, świątynia już się rozpadła i była zarośnięta gęstwą. A może widziałeś coś innego z drzewa?*

Zdziwiony Amos ponownie rozejrzył się dookoła. Święty gaj bukowy zaczynał się tuż za świątynią i ciągnął się aż po pogańską kopę. Polana, na której Karol zostawił swój wóz, a raczej zostawiłby za jakieś sześćset lat, musiała więc znajdować się gdzieś po ich prawej stronie.

– *Masz rację* – odparł. – *Gdyby wtedy zostało się jeszcze kilka kamieni, jeden umieszczony na drugim, to na pewno zwróciłoby to naszą uwagę. Musiała zatem zostać spalona wcześniej przez chrześcijańskich rycerzy. Ale dlaczego nie zniszczyli podczas tego najazdu także świętego gaju bukowego?*

Klara uśmiechnęła się teraz tęsknie.



*– Prawdopodobnie to sami kapłani Rogdr zniszczyli swoją świątynię. I tylko dlatego święty gaj mógł jeszcze tak długo przetrwać w ukryciu. Tysiąc lat temu ludzie mogli otwarcie czcić dawnych bogów i duchy w tej okazałej budowli. Prześladowania pogan zaczęły się chyba niewiele później. I od tamtego czasu wszyscy ci, którzy nie chcieli się modlić do chrześcijańskiego Boga i jego świętych, zbierali się potajemnie w jamach ziemnych i jaskiniach skalnych.*

Amos objął Klarę, chcąc podnieść ją na duchu. Doskonale mógł zrozumieć jej gorycz i zmartwienie. Od wielu stuleci zwolennicy dawnych pogańskich kultów byli brutalnie prześladowani w imię Boga chrześcijan. Było to bezprawiem i na zawsze nim pozostanie. A mimo to tamto zagadkowe, dręczące uczucie narastało w nim coraz bardziej. Całkiem podobnie czuł się na dnie tamtego wydrążonego, prastarego buku, otoczony bałwanami z trupimi czaszkami, cuchnącymi stęchlizną laleczkami i całą tą maskaradą. A Meinolf i purpurowi wojownicy podpalili ten buk wyłącznie dlatego, że w oczach ich wrogów drzewo było rodzajem sanktuarium. Jednak Amos odczuł wtedy dwie różne rzeczy: to, że brat Meinolf działał wówczas z nienawiści i chęci zniszczenia, a nie w duchu miłości, tak jak właściwie nakazywała to jego religia. A także to, że niezależnie od czynów Meinolfa, w tej dawnej pogańskiej magii tkwiło coś nadzwyczaj nieprzyjemnego. W dalszym ciągu nie miał najmniejszego pojęcia, co tak nagle zaczęło mu się nie podobać w tych pogańskich obyczajach, przede wszystkim zaś w magicznych znakach pisma tam po drugiej stronie, na świątynnej fasadzie. Jednak czuł to teraz wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej, iż w tej dawnej magii kryje się coś, co go do głębi przeraża.

Uważnie znów przyjrzał się wejściu do świątyni. Odwiedzający, przygnębieni, z pokornie lub trwożliwie spuszczonej głowami wchodzili do środka i prawie wszyscy wychodzili na światło dzienne z wyraźną ulgą. Z zadowoleniem wypisanym na twarzy, a wielu spośród nich nawet z promiennym uśmiechem, wręcz zachwyceni. Niektórzy mieli czarne jak sadza lub ognistoczerwone znaki wymalowane na czole lub ramionach, inni wystawiali ku słońcu przyniesione ze sobą drewniane belki lub sierpy, lub rozkoszowali się znakami, którymi kapłani magii opatrzyli te przedmioty.

Kosze do noszenia na plecy i worki, w których przynieśli swoje dary dla duchów i kapłanów, wprawdzie wszystkie bez wyjątku były puste, gdy duchobojni ludzie wychodzili ze świątyni, ale nie to tak bardzo raziło Amosa w tych pogańskich obyczajach. W każdym razie nie tylko to. Utrzymanie tak wielkiej świątyni wraz ze świętym gajem, licznymi strażnikami i kapłanami, było bez wątpienia kosztownym przedsięwzięciem. Jeśli wierni wnosili w ten sposób swój wkład, to było to, koniec końców, sprawiedliwe. Jeśli nawet myśl o tym, że

kapłani, a nawet duchy, pozwalają się opłacać za swoje usługi niczym kramarze lub szewcy, była dość szokująca. Ale nie inaczej działo się w Kościele chrześcijańskim. Tu wierni mogli skrócić sobie karę piekielną, którą musieli odpokutować po śmierci w czyścicu, za kilka srebrników lub miedziaków. Na dowód tego, że naprawdę uiścili opłatę, poczciwi chrześcijanie otrzymywali nawet „list odpustowy”, który okazywali u bram piekła, aby rzeczywiście wypuszczono ich te kilka dni czy tygodni wcześniej z czyścica.

– *Wchodzimy do środka?* – Klara uśmiechnęła się do Amosa zachęcająco. – *Nie mogę się już doczekać, kiedy ujrzę naszych przodków – nasze lustrzane odbicia.*

Kiwnął głową bez przekonania.

– *No dobrze, wejdźmy.*

Klara przecież musiała wiedzieć, że wciąż jeszcze towarzyszyło mu to nieprzyjemne uczucie. Ale wydawała się zdecydowana, by widzieć wszystko w jak najbardziej pozytywnym świetle. A i Amos rozumiał przecież, dlaczego chciała postrzegać to w taki właśnie sposób. Jej rodzice, a zwłaszcza ojciec, wciąż wierzyli w dawne pogańskie bóstwa i duchy. Gdyby ona, Klara, została potężną kapłanką pogan, oznaczałoby to, że śmierć jej rodziców nie była daremna.

## 2

JAKAŚ MŁODA PARA zbliżyła się do świątynnego strażnika, a Klara pociągnęła energicznie Amosa w stronę wejścia.

– *Chcę usłyszeć, o czym mówią.*

A ja tak właściwie to nie chcę, pomyślał Amos w duchu.

Z pełnym oczekiwania uśmiechem na twarzy młody mężczyzna spojrział w górę na zdobiące fasadę świątyni olbrzymie znaki pisma. Mógł mieć co najwyżej osiemnaście, może dziewiętnaście lat, a jego towarzyszka była ubrana tak samo nędznie jak on. Także dary, które przyniósł w koszu na plecach, były dość skromne: bochenek chleba, trochę peklowanego mięsa. Ale ta młoda para zdawała się w ogóle nie przejmować swoją biedą. Ich twarze emanowały błogością. Byli w sobie bardzo zakochani.

– Co oznaczają te znaki? – zapytał młody mężczyzna jednego ze strażników.

– To nie twoja sprawa – odparł strażnik, przybierając jeszcze bardziej ponurą minę. – Wejdźcie ze spuszczoneymi głowami. Zwracajcie się do kapłanki po prawej stronie bramy duchów. Rzućcie się przed jej cokołem na kolana. Mówcie tylko wtedy, gdy was o coś zapyta. I nie ważcie się podnosić z klęczek bez jej zgody.

Oboje posłusznie spuścili głowy i przekradli się obok strażnika do środka. Wewnątrz świątyni od razu skierowali się w prawo, tak jak im nakazał strażnik. Amos i Klara poszybowali za nimi.

Już po kilku krokach zrobiło się tak ciemno, że nie można było nawet zobaczyć własnej dłoni przystawionej do oczu. Całkiem niewyraźnie widać było jedynie kilka zarysów. Pośrodku świątyni wznosiły się dwa kamienne cokoły, odgrudzone od siebie szeroką szczeliną w podłodze, na której dnie tliło się na czerwono i pomarańczowo. Prawdopodobnie była to „brama duchów”, o której wspominał właśnie jeden ze strażników. Unosiły się stamtąd opary, zielonkawobrazowe i przejrzyste niczym mgła o poranku. Na każdym z cokołów zasiadała jedna postać, nieobecna, jakby pogrążona we śnie.

– *To muszą być nasi przodkowie, tak ludzako do nas podobni* – wyszeptała Klara Amosowi na ucho. – *Ale co się z nimi dzieje?*

Na to nie miał odpowiedzi. W nierównych odstępach czasu rozlegały się doniosłe huki, tak blisko, jakby tu, w środku świątyni, szalała burza. Błyskawice drgały w mroku, a Amos na próżno usiłował się zorientować, skąd właściwie dochodzą te błyski. Może pochodzą od duchów, które krzątają się gdzieś tutaj w mroku?

Najchętniej poszybowaliby z powrotem na zewnątrz, na jasne światło południowego Słońca. Ale Klara trzymała jego dłoń w kurczowym uścisku i ciągnęła go za sobą w stronę kamiennego cokołu po prawej, przed którym właśnie przed chwilą młoda para padła na kolana. Szybko spojrzął jeszcze raz w lewo. Postacią zasiadającą tam na cokole musiał być kapłan, a przed nią klęczał jeden tylko wierny lub petent. Kilka kroków, nieco z boku, na ziemi kucaly jeszcze inne postacie, najprawdopodobniej tragarze, którzy przynieśli ze sobą dary dla kapłanów i duchów.

– Czego chcecie? – zapytała kapłanka, będąca lustrzanym odbiciem Klary, dokładnie w tej samej chwili, gdy Amos i Klara zbliżyli się do jej cokołu. Mówiła wysokim, piskliwym głosem, którego ostre brzmienie sprawiło, że para młodych aż drgnęła.

– Pragniemy mieć dzieci, pani. – Młody mężczyzna złożył dłonie i uniósł je w górę, w stronę kapłanki, nie podnosząc głowy. – Do tej pory nasze pragnienie nie zostało spełnione. Dlatego też przychodzimy do was, abyście wyprosili dla nas pomoc duchów.

Kapłanka sięgnęła do stojącej obok misy i wrzuciła garść jakiegoś proszku do żarzącej się szczeliny. W górę poleciały błyskawice, a po chwili buchnęły płomienie ognia, wzbijając się prawie do klęczących przed cokołem. W głębi zaś rozległy się grzmoty i łomoty, jakby potoczyły się tam jakieś kule z żelaza.

W drgającym blasku płomieni można było wyraźnie zobaczyć kapłankę. Siedziała na cokole z założonymi nogami, okryta nad wyraz dziwną szatą w łąty ze skór rysiów i kotów oraz z sowych i wronich piór. Mimo całego tego przebrania wydawała się tak podobna do Klary, jak to tylko było możliwe w przypadku dwóch różnych osób. Mogła być co najwyżej o pięć lat od niej starsza, jej oczy tak samo połyskiwały zielenią, a cera była równie blada. Także jej włosy miały złocisty odcień, tyle że kapłanka uplotła je w wiele różnych warkoczy, które wiły się na jej głowie niczym węże.

Teraz kapłanka ponownie otworzyła usta, a Klara i Amos aż się wzdrygnęli.

– Co przynieśliście? – zapytała, a tym razem jej głos zabrzmiał ochryple i fukająco, jak u jakiegoś rysia czy rozgniewanego wielkiego kota.

– Jesteśmy biednymi ludźmi, pani – odparł młody mężczyzna. – Przynieśliśmy wszystko to, bez czego możemy się obejść: chleb i peklowane mięso.

Kapłanka wskazała na lewo.

– Połóżcie to tam. – Tym razem przemówiła cienkim, miękkim głosem, zupełnie jakby była co najwyżej dwunastoletnią dziewczyną.

– Jak rozkażecie. – Młody mężczyzna podczołgał się na czworakach do wskazanego miejsca.

Szybko opróżnił kosz i wrócił do swojej kobiety, która wciąż tkwiła przed cokołem w tej samej pozycji: na klęczkach i ze spuszczoną głową.

Amos spojrział na Klarę z przerażeniem.

– *Cóż to ma oznaczać* – wyszeptał możliwe najciszej swoim telepatycznym głosem. – *Wygląda zupełnie jak ty, ale jej głos...*

– *To duchy przez nią przemawiają.* – Także Klara miała wypisane na twarzy nieprzyjemne odczucia. – *Nie podoba mi się to, co się tutaj dzieje* – ciągnęła dalej szeptem. – *To, jak traktują ludzi, i że ona wcale nie jest sobą, gdy odprawia to duchowe nabożeństwo.*

Tymczasem kapłanka zaczęła fukać i skrzeczeć, wypowiadając niezrozumiałe zaklęcia. Raz po raz wrzucała garście kurzu i proszku do szczeliny w ziemi obok cokołu i co chwilę błyskawice przesywały powietrze, mieniając się, płomienie buchały w górę i rozbrzmiewały grzmoty.

W końcu zamknęła oczy, a jej palce biegały najwyraźniej bez celu po cokole tam i z

powrotem. Przed nią leżało wiele różnych kamieni o różnych formach i różnej wielkości, porzrzucanych w barwnym chaosie. Niektóre były okrągłe i duże, takie jak krzemienie, inne – małe i płaskie jak miedziane monety. Najprawdopodobniej były pokryte znakami pisma, ale tego Amos nie mógł dokładnie dostrzec w drgającym blasku światła. I wtedy nagle jej dłonie opadły niczym dwa drapieżne ptaki i zgarnęły kilka kamieni. Amos słyszał, jak kamienie kołatały w jej rękach niczym ołowiane kostki.

– Zamknijcie oczy i podnieście się – rozkazała swoim miękkim, dziewczęcym głosem. Para młodych posłuchała.

Kapłanka rzuciła garść kamieni do mis po lewej i prawej stronie, które były wypełnione swego rodzaju błotem, i obtaczała je tym mułem, tocząc nimi tam i z powrotem. Jednocześnie mamrotała coś i fukała, wyśpiewując zaklęcia w jakimś języku, który nawet dla ich duchowych uszu brzmiał zupełnie niezrozumiale. I wtedy nagle kapłanka pochyliła się błyskawicznie do przodu, przyciągnęła oboje młodych ludzi za włosy lub kołnierze do siebie i przycisnęła ich czoła do mis wypełnionych kamieniami i mułem.

Panna młoda wydała z siebie cichy jęk, a pan młody wypuścił powietrze z sykiem przez zęby. I znów w „duchowej bramie”, między cokołami kapłanów, zaczęło grzmieć i błyskać się.

Uparcie kapłanka trzymała głowy obojga młodych przyciśnięte do misy wypełnionej błotem.

– Z łaski duchów porodysz dzieci, będzie ich pięcioro – krzyczała świdrującym, wysokim głosem w dół na młodą kobietę. – Troje z nich przeżyje, bo duchy będą je ochraniać i prowadzić wybraną drogą, poprzez ciebie – fuknęła niczym drapieżny kot w stronę pana młodego. – A teraz idźcie już, duchy są z wami – dodała na zakończenie łagodnym, dziewczęcym głosem i otworzyła oczy.

– Dziękujemy wam, pani – wyjąkali młodzi i podnieśli się.

Ich twarze od nasady włosów aż po policzki były umazane błotem. Na ich czołach widniał gąszcz zahaczających o siebie znaków. W przypadku panny młodej Amosowi rzucił się w oczy przede wszystkim znak przypominający skaczącą ku niebu rybę. Na jej czole odkrył również „F” z wymachującymi w górę ramionami, a także „B”, które zamiast łagodnych brzuszków miało ostre kąty. Wszystkie litery były kruczoczarne, tymczasem ponad oczami pana młodego widniał krwistoczerwony magiczny kształt. Była to zwrócona ku górze strzała, kanciasto narysowana litera „S”, a między nimi tamten znak, który Amos i Klara widzieli już wcześniej na zewnątrz, na świątynnej fasadzie.

Szpony drapieżnego ptaka.

Amos, wytracony z równowagi, patrzył się na ten znak nieruchomym wzrokiem. Wcześniej nie zwrócił uwagi na to podobieństwo, a i u pana młodego nie można go było rozpoznać na pierwszy rzut oka. Za to znak przypominający szpony był tu połączony z nazbyt kunsztownie wykonanymi literami po lewej i prawej stronie.

A mimo to nie było to nic innego, jak „X”, połyskujące taką samą krwistą czerwienią na czole, jak tamtej straszliwej nocy na czole Hótttschego.

Amos odczuwał lekkie mdłości. Ze strachu i z grozy.

– *Tam na jego czole* – odezwał się. – *Co to jest, Klaro?*

„Ja też należę do bractwa”, powiedział wtedy Hótttsche do jego rodziców.

Klara spojrzała w stronę pana młodego, który pomagał właśnie wstać swej żonie.

– *Strzała, szpary drapieżnego ptaka i błyskawica* – odparła. – *Coś nie tak?*

Amos nie potrafił odpowiedzieć, nawet swoim najcichszym telepatycznym głosem. Właśnie w tym momencie kapłanka uniosła głowę i popatrzyła na niego oraz na Klarę. Spojrzenie miała mgliste, zupełnie jakby obudziła się z jakiegoś pełnego marzeń snu.

– Widzieliście już wystarczająco dużo – odezwała się miękkim głosem małej dziewczynki – a teraz idźcie tam, gdzie na was czekają.

Młodzi jeszcze niżej skłonili głowy, po czym poszli chwiejnym krokiem w stronę jasnej, prawej nawy świątyni, do wyjścia. Amos spojrział na będącą lustrzanym odbiciem Klary kapłankę i zapytał zaklinającym tonem:

– *Mówiłaś do nich czy do nas?*

Tylko krótkie ściągnięcie brwi zdradzało, że go usłyszała.

– *Pójdźcie tam* – powtórzyła miękkim i słodkim jak miód głosem. Głową prawie niepostrzeżenie skinęła w drugą stronę świątyni, gdzie na swym kamiennym cokole zasiadał kapłan.

Od strony wejścia do kapłanki zbliżali się już następni petenci, za którymi podążał cały pułk ciężko obciążonych tragarzy.

– *Dobrze więc* – powiedział Amos do Klary. – *W takim razie to on odpowie na nasze pytania.*

Chwycił ją za rękę i razem pofrunęli w stronę lewej nawy świątyni, omijając po drodze szczelinę w ziemi.

– *Jakie pytania masz na myśli?* – wyszeptwała Klara. – *To duchy przemawiają przez naszych przodków, ludzko do nas podobnych, i prawdopodobnie to one również wybierają znaki. Kapłani są jedynie ich wcieleniem i narzędziem.*

– *Tak też to zrozumiałem* – odparł Amos szeptem. – *A wyobrażenie o tym, że jest się*

*jedynie ciałem dla wielu duchów, nie podoba mi się jeszcze bardziej niż tobie. Ale dlaczego ci to tak nagle zaczęło przeszkadzać, Klara? Przecież sama często mi opowiadałaś, że w twoim ojcu mieszkało wiele duchów i że on sam naśmiewał się z chrześcijan, dlatego że musieli zadowalać się jedną tylko duszą.*

Klara nagle stanęła. Ponieważ Amos wciąż jeszcze mocno trzymał ją za rękę, to i on, siłą rzeczy, musiał się zatrzymać.

*– Poczekaj chwilę – wyszeptała. – Wiem już, o co ci chodzi. Mój ojciec też potrafił mówić różnymi głosami i czasem wydawało się, jakby naprawdę było w nim wiele osób. Ale w jego przypadku to była zupełnie inna sprawa. Jakby ci to wytłumaczyć – Zmarszczyła swoje duchowe czoło. – On mimo wszystko zawsze pozostawał sobą, tym który mówił, śmiał się, żonglował, odgrywał różne role, rozumiesz? Raz był dzieckiem, innym razem – dzikim wojownikiem, prezentującym sztuczki z szablą, później znowuż romantycznym młodzieńcem, recytującym łagodnym głosem wiersze, ale mimo to wciąż czuło się, widziało i słyszało, że to ten sam człowiek.*

Spojrzała ukradkiem do tyłu, w stronę cokołu kapłanki, która właśnie przymierzała się do tego, by znów przemówić wysokim, skrzeczącym głosem.

*– Tymczasem będąca moim lustrzanym odbiciem kapłanka – ciągnęła dalej – gdy przemawiają przez nią duchy, to sprawia wrażenie, jakby całkowicie przepędzono ją z jej własnego ciała. Puste naczynie, bezduszny mechanizm, którym poruszają wyłącznie duchy.*

*– Mnie też to przeraża – powiedział Amos. – Ale tego kapłana, tam, po drugiej stronie, mojego przodka, chcę właściwie zapytać o coś innego.*

*– A o co takiego? – spytała Klara.*

*– O te szpony na czok pana młodego – wyszeptał Amos, a serce w tym momencie podeszło mu do gardła. – Gdyby pominąć te znaki dookoła, te szpony wyglądają zupełnie jak „X” na czole Hóttshiego! To nie może być przecież zwykły przypadek. Ale co to oznacza?*

Wzruszyła ramionami.

*– O ile mi wiadomo, ten znak w starym runicznym piśmie nie był wcale żadnym „X”, lecz „G”.*

*– „G”? – powtórzył Amos. – A ty skąd to wiesz?*

*– Od mojego ojca, oczywiście – odparła Klara. – Znał kilka dawnych znaków, za pomocą których można przywoływać duchy. Gdy jeszcze byłam całkiem mała, miałam wtedy jakieś sześć, może siedem lat, on malował sobie nawet każdego wieczoru to dawne G – te szpony drapieżnego ptaka – na lewej ręce, zanim kładliśmy się spać.*

*– Na ręce, a po co?*

Klara znów chciała się poruszyć, ale Amos trzymał ją mocno za rękę i ani drgnął. Tymczasem przed cokołem przodka, będącego jego lustrzanym odbiciem, kucali już dwaj mężczyźni w średnim wieku, a kapłan perswadował im coś świszczącym głosem. On też nie mówi swoim własnym głosem, pomyślał Amos, i przez niego przemawiają jedynie duchy, jest więc tylko bezwolnym narzędziem w ich rękach.

– *Tak do końca to sama nie wiem* – wyszeptała Klara. – *Ale sam przecież słyszałeś, co powiedziała kapłanka. Znaki na jego czole mają sprawić, że duchy będą wspierały pana młodego w ochranianiu dzieci i w poprowadzeniu ich wybraną drogą.* – Jej dłoń zacisnęła się kurczowo na jego palcu. – *Ale mojemu ojcu tamtej nocy* – ciągnęła dalej urywającym się głosem – *duchy niestety nie pomogły w ochronieniu mnie.*

W „duchowej bramie” między cokołami kapłanów znów zagrzmiało i błysnęło się, a w głowie Amosa nagle zaczęły kotłować się myśli.

– *Doby Boże, Klaro* – powiedział – *być może duchy właśnie to uczyniły, ochraniając cię i prowadząc drogą, którą winnaś kroczyć zgodnie z ich wolą. Podobnie jak to było i w moim przypadku, ale za każdym razem przeszkadzali im nasi rodzice.*

Klara pokręciła głową i zrobiła taką minę, jakby nie chciała już słyszeć ani słowa. Amos nie mógł już tak po prostu przestać. Przynajmniej dał się jej pociągnąć nieco dalej w stronę cokołu, na którym zasiadał przodek, będący jego lustrzanym odbiciem, który zaczął tymczasem wymachiwać w powietrzu drewnianymi pałeczkami z namalowanymi na nich znakami pisma.

– *To duchy musiały* – ciągnął dalej Amos – *wypisać Hóttchemu wtedy w naszej piwnicy takie samo „X”, lub też dawne „G”, jak dziś panu młodemu. Rozumiesz teraz, Klaro?*

Nagle wszystko wydało mu się zupełnie jasne. Jakby wreszcie zerwał zasłonę odgradzającą go od wszystkich tajemnic, które go wciąż dręczyły, gdy tamtej tragicznej nocy zginęli jego rodzice.

– *I to one musiały zabić moich rodziców, wicherą i ogniem. Duchy, Klaro, rozumiesz, nikt inny! Bo moja matka i mój ojciec nie chcieli zejść z drogi, którą przeznaczyły dla mnie duchy.*

Klara wciąż jeszcze robiła tak nieprzystępną minę, jakby była zamkniętą twierdzą, której wszystkie drzwi były zaryglowane. Jej oczy były już prawie czarne z bólu i zmartwienia.

– *A jak miały tego dokonać* – spytała. – *Zabić twoich rodziców za pomocą wicherury i ognia?*

Tym razem Amos potrafił już tylko bezradnie kręcić głową. W jakiś sposób kapłani



udzielili im mocy, pomyślał, ale tak właściwie to sam nie za bardzo rozumiał, jak to w ogóle było możliwe. A wtedy nagle przemknęło mu przez myśl, że duchy były być może sprzymierzone z nienawiścią, chciwością czy żądzą zemsty. Tak, wydawało mu się to nawet dość przekonujące. Kto nie postępował w zgodzie z własną wolą i oczywiście ze swoim sumieniem, ten jakby oddawał siebie duchom, i nieważne, czy wyraźnie wierzył w ich moc, czy też nie.

– *Tak, sądzę, że masz rację, Amosie* – wyszeptała co najmniej tak samo pospiesznie, jak on wypowiadał właśnie słowa, które miały ją przekonać. – *Pamiętasz, co się stało, gdy Hótsche wytrącił miecz twojemu ojcu?*

Amos wejrzał w głąb siebie i znów zobaczył wszystko wyraźnie. Jak Hótsche jednym uderzeniem wytrąca ojcu miecz z rąk i jak broń ślizga się zygżakiem po podłodze...

– *To kanciaste „S”* – powiedział. – *Kapłanka skreśliła na czole panu młodemu magiczną błyskawicą, a także ten znak.*

– *Aby duchy mogły poprzez niego ochraniać jego dzieci* – dodała Klara.

Oboje byli teraz tak podnieceni, że musieli się zmuszać, by szeptać telepatycznymi głosami i nie wydać z siebie krzyków, które tkwiły im już w gardłach niczym zgłodniałe ptaki.

– *I tak samo ustanowili Hótschego twoim obrońcą* – ciągnęła dalej Klara. – *Już poprzez to kanciaste „S” ducy dały do zrozumienia, że są po stronie Hótschego lub że używają go do swoich celów. Sam chyba widziałeś, jak obaj uczeni w prawie najpierw zmierzli wzrokiem ten znak, a następnie spojrzeli na siebie wymownie?*

Amos skinął głową.

– *Tak, mnie też to się rzuciło w oczy* – powiedział.

– *I jeśli Hótsche sam tego wtedy nie zauważył* – ciągnęła dalej – *to najpóźniej na dole, w piwnicy, tam gdzie ukryłeś się wraz z Odą, musiał sobie zdać sprawę z tego, że duchy wybrały go na twojego obrońcę. Obmacał sobie czoło, zupełnie jakby chciał się upewnić, że rzeczywiście wytłoczyły mu na nim ten znak. Wtedy wycofał się po kryjomu, bo nagle pojął, że tego właśnie się od niego oczekuje.*

Nawet się nie zorientowali, że znów się zatrzymali, a od cokołu kapłana dzieliło ich już tylko kilka kroków.

– *Może jednak źle wszystko rozumiemy* – powiedział Amos, mimo że czuł przecież, iż jeszcze nigdy nie byli bliżsi zgłębienia najskrytszej tajemnicy bractwa. – *Bo co będą mieli z tego Trithemius i inni „kapłani” z Opus Spiritus, jeśli duchy znów staną się tak potężne, jak tysiąc lat temu? Oni sami pozostaną jedynie narzędziami w rękach duchów, a może się myłę!*

Wydawało się, że Klara nie usłyszała jego pytania.

– *Tak, tak właśnie musiało być* – odparła pogrążona w myślach dziewczyna. – *W moim przypadku to matka Zofia została ustanowiona moją nową strażniczką, po tym jak moi rodzice...* – Urwała nagle w środku zdania i spojrzała w próżnię. – *Byłam u niej dopiero kilka dni w klasztorze Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny* – ciągnęła dalej po kilku chwilach – *gdy matka Zofia powiedziała mi, że od niedawna nosi jakieś znamię na zgięciu lewą ręki, które przypomina kształtem maleńki „X”. Ten znak rzucił się jej w oczy po raz pierwszy w tym samym dniu, gdy mnie do nią przywieziono. Gdy popatrzyło się na niego pod właściwym kątem, dodała wtedy z chytrym uśmiechem na twarzy, wyglądał prawie jak krzyż Chrystusa. A niezależnie od tego, jakich okrucieństw dopuszczają się łowcy kacery i czarownic, krzyż Chrystusowy jest dla nich najgłębszym i najprawdziwszym symbolem miłosierdzia.* – Klara zamknęła na krótko oczy. – *Potem zakasała rękaw* – ciągnęła dalej – *i pokazała mi ten znak. Widzę go całkiem wyraźnie przed sobą, Amosie.*

– *I nie był to żaden krzyż Chrystusa, lecz „X”, dawne „G”, szpony drapieżnego ptaka.*

Amosowi nie od razu nasunęła się jakaś odpowiedź. W głowie kotłowało mu się od myśli o tych szponach w kształcie litery „X” oraz o kanciastej, przypominającej błyskawicę literze „S”. Ale i tak nie była to odpowiednia chwila na spokojne myślenie o czymkolwiek. Kapłan, będący lustrzanym odbiciem Amosa, zaczął nagle ryczeć jak niedźwiedź na klęczących przed jego cokołem duchobojnych ludzi. Wymachiwał przy tym rękami, a obaj mężczyźni przywołali skinieniem swoich tragarzy, którzy przykucnęli kilka kroków dalej na ziemi. Pospiesznie zgarnęli wiele sierpów, kos i innych narzędzi, rozłożonych dookoła cokołu. Wtedy cała ta grupka chłopów wyszła chwiejnym krokiem ze świątyni, a kapłan skierował swój wzrok na Amosa.

– *Mój potomek, będący moim lustrzanym odbiciem* – powiedział – *i jego również wybrana przez duchy towarzyszka! Zaraz zaprowadzę was do gaju na wzniesieniu. Nie wyobrażacie sobie, z jakim utęsknieniem jesteście oczekiwani. Ale czterysta dziesięć słonecznych lat to nawet dla duchów dość spory szmat czasu.*

PRZODEK AMOSA prezentował się tak, jak on sam będzie wyglądał za kilka lat. Był młodym, roslym i żyłastym mężczyzną o czarnych, kędzierzawych włosach. Jego górną wargę zdobiły sztywne wąsy, a z brody zwisała mała kozia bródka, która jednak nie wydała się Amosowi specjalnie twarzowa. Ale o wiele ważniejsze było to, że z tego młodego kapłana nie tylko dobywały się piskliwe i grzmiące głosy duchów, lecz że dysponował on również własnym, niezłe brzmiącym, który swą barwą całkiem przypominał głos Amosa. Tyle tylko, że nie wydawał się już tak młodzieńczy.

Amos i Klara obrzucili się ukradkiem spojrzeniami. Kapłan nieco bardziej im się spodobał od kapłanki, która zdawała się jedynie bezwolnym wcieleniem i narzędziem duchów.

Jednak ten „X”, a raczej dawne „G”, magiczny znak przedstawiający szpony drapieżnego ptaka, nadal nie dawał spokoju Amosowi. Ten duchowy znak pojawił się zupełnie nieoczekiwanie na zgięciu ręki matki Zofii oraz na czole Hótttschego i to dokładnie w tym czasie, gdy zginęli rodzice Amosa i Klary. Nie był to z pewnością zwykły zbieg okoliczności, podobnie jak i to, że rodzice obojga zginęli wskutek nieszczęśliwych wypadków. Tak wiele przypadków nie mogło się przecież zdarzyć naraz! A więc to nie „kapłani” z Opus Spiritus zlecili komuś zabicie rodziców jego i Klary. Ale to, czego się dopuścili, było równie nikczemne. Jakimś sposobem udało im się przywrócić duchom ich niegdysiejszą moc, dzięki czemu te ostatnie mogły teraz używać ludzi jak figur do gry w szachy, wcielać się w nich, manipulować nimi, pozbawiać ich własnej woli, a w razie konieczności nawet zabić, jeśli tylko tego właśnie wymagała realizacja ich planów. W każdym razie tak wszystko widział Amos. Ale co zamierzali Trithemius i inni „kapłani”? Być może Faust znał jakieś nadzwyczaj potężne zaklęcie, za pomocą którego mogłby podporządkować duchy swojej woli?

Tymczasem przodek Amosa, który do złudzenia przypominał chłopaka, wyciągnął nogi i zeskoczył nieporadnie ze swojego cokołu.

– Wyjdziemy ze świątyni tylnym wyjściem. To najkrótsza droga. – Mówił trochę niewyraźnie, jak ktoś, kto właśnie obudził się z głębokiego snu. Także jego kończyny zdawały się jeszcze nieco odmawiać mu posłuszeństwa, jak pijany szedł chwiejnym krokiem na przedzie przez spowitą mrokiem świątynię.

Amos i Klara podążyli za nim wzdłuż szczeliny w ziemi, która ciągnęła się aż do tylnej ściany świątyni. Tam w dole kipiał żar, trzaskały płomienie, a z otchłani unosiły się żółte opary. Amosowi przyszedł na myśl pewien miedzioryt, który widział kiedyś w

*Weltchronik* (Kronice świata) Schedla<sup>8</sup>: lawa, niczym płonący czerwonym płomieniem olbrzymi wąż, wypływała z wulkanu, który właśnie wybuchł.

Kapłan otworzył pchnięciem tylne drzwi świątyni i cała grupka wyszła na zewnątrz. Kilku młodych strażników przesypywało szuflami kawałki węgla do szczeliny w ziemi. Ten rowek skalny opadał nieco w dół i stąd miało się wrażenie, jakby powoli wypływał stamtąd strumień lawy.

Gdy strażnicy ujrzeli najwyższego kapłana i maga pisma, odłożyli na bok swoje szufle i pokłonili się, krzyżując przy tym ręce na piersiach.

Kapłan kiwnął głową w ich stronę.

– Dalej pilnie składajcie ofiary duchom – rozkazał im, wskazując na stertę węgla obok szczeliny skalnej.

Jakie to dziwne, pomyślał Amos, kapłan i strażnicy zdają się w ogóle nie zauważać, że za pomocą tej „bramy duchów” tak naprawdę urządzają teatrzyk ze sztucznymi wybuchami. Strażnicy dbali o to, aby płomień nie zgasł, tymczasem kapłan i kapłanka wrzucali jakieś proszki do żaru, po czym tam w dole grzmiało i huczało, a po całej świątyni latały błyskawice. Ale oni sami, podobnie zresztą jak i ich wyznawcy, zdawali się nie dostrzegać faktu, że tym sposobem nie tylko składali ofiary duchom, lecz w istocie wywoływali te duchowe zjawy. Amos często słyszał, jak Kronus szydził sobie z chrześcijańskich kapłanów, którzy zawsze rozprawiali o jakichś „piekielnych widmach”, gdy w laboratorium jakiegoś alchemika rozlegał się huk i zaczynało się błyskać jak podczas gwałtownej burzy. Co jednak powiedziałby Kronus o tych dawnych pogańskich kapłanach? W zasadzie oni też uprawiali przecież alchemiczne eksperymenty: wrzucali siarkę i jakieś inne proszki do żaru, sprawiając, że ze szczelin zaczynały się dobywać opary i błyskawice. Ale sami uważali się jedynie za sługi duchów mieszkających gdzieś tam w dole, w szczelinie skalnej, które wysyłały błyskawice i grzmoty, gdy „ofiarowane” im proszki przypadły im do gustu.

Oddając się tym rozmyśleniom, Amos podążał wraz z Klarą za swoim, przypominającym go do złudzenia przodkiem na górę. Do bukowego gaju prowadziła szeroka aleja i już po kilku krokach wszystko dookoła nich zanurzyło się w połyskującej zieleni.

– *Jak możemy się do was zwracać* – zapytała Klara kapłana, który spieszył przed nimi w milczeniu, zupełnie jakby wszelkie konieczne sprawy zostały już między nimi omówione.

Rzucił spojrzenie przez ramię, nie zwalniając kroku.

– Dawniej nazywałem się Hoskan – powiedział. – Ale od tamtej pory minęło już dużo czasu. Zwracajcie się do nas po prostu „panie” i „pani”, tak jak to czynią wszyscy w Rogdr.

---

<sup>8</sup> Schedel H., *Die Weltchronik*, Nurnberg 1493.

Hoskan był ubrany równie dziwacznie jak kapłanka, sobowtór Klary. Miał na sobie barwną, łataną szatę ze skóry lisów, rysiów i niedźwiedzia oraz sokolich piór. Na głowie nosił jeden z tych kapeluszy o szerokim rondzie, jakie musiał założyć każdy, kto chciał wejść do położonej najbardziej w głębi części świętego gaju.

Amos pospiesznie dogonił Hoskana.

– *Wybaczcie mi moją ciekawość, panie* – odezwał się. I było to dla niego nie lada osobliwością, zwracać się w tak oficjalny sposób do kogoś, kto wyglądał mniej więcej jak on sam. – *Co oznaczają te szpony drapieżnego ptaka? To „G” w waszym piśmie? Jakie magiczne moce może wzbudzić lub wzmóc ten znak?*

Usta kapłana zacisnęły się. Amos poszybował jeszcze przez chwilę obok niego, ale czuł, że Hoskan nie udzieli mu odpowiedzi na to pytanie.

– To nie twoja sprawa. – Tymi słowami warknął wcześniej jeden ze strażników na pana młodego, który chciał się dowiedzieć, co oznaczają znaki na fasadzie świątyni.

Ale czy należało przez to rozumieć, że kapłani Rogdr utrzymywali swoją wiedzę w tajemnicy? A może sami nie wiedzieli, jakie magiczne moce można wywołać za pomocą tych znaków? Dopóki pełnili służbę w świątyni, byli jedynie wcieleniem duchów, bezwolnymi narzędziami w ich rękach, a do tego pozbawionymi pamięci. A więc tylko duchy posiadały tę wiedzę i nawet najwyżsi kapłani nie byli wtajemniczeni. Może jednak i tu sprawy się miały podobnie jak w przypadku „bramy duchów” w świątynnej posadzce? Wtedy jednak to kapłani czerpaliby z głębi swoich dusz wiedzę o tym, które magiczne znaki pisma mają najsilniejsze działanie w konkretnym przypadku. A to z kolei oznaczałoby, że wszystkie te rzekome „duchowe moce” pochodzą tak naprawdę z ich wnętrza, podobnie jak marzenia i uczucia.

Amosa ogarniała coraz większa groza, im usilniej zastanawiał się nad tymi zawłościami. I tak poczuł niemal ulgę, gdy w końcu pojawili się przed nimi strażnik ze strażniczką. Pokłonili się przed najwyższym kapłanem, zdjęli kapelusze z głów i wręczyli je Amosowi i Klarze. Wszystko przebiegało dokładnie w ten sam sposób, jak wtedy gdy byli tu oboje z Karolem. Strażnicy znów mieli pod swoimi kapeluszami dokładnie takie same nakrycia głów. I znowu to strażniczka poinstruowała ich z melancholijnym uśmiechem, wymalowanym na twarzy, swoim telepatycznym głosem, aby założyli stożkowate kapelusze.

– *W przeciwnym razie nie wolno wam będzie pójść dalej.*

– *Ale my jesteśmy duchami!* – zaoponowała Klara. – *Dlaczego zatem powinniśmy założyć...*

Hoskan uniósł dłoń, nakazując jej milczenie. Jego wzrok spoczywał na kapeluszach, które strażnicy trzymali w swoich rękach.

Poruszając jedynie oczami, sprawił, że z każdego z kapeluszy wyłoniła się jego duchowa podobizna.

Klara i Amos obrzucili się spojrzeniami. Te duchowe kapelusze unosiły się kilka cali nad prawdziwymi, niczym delikatne mgławice. Amosa znów dopadło nieprzyjemne uczucie, ale po chwili uznał, że cała ta sprawa z kapeluszami nie jest dla nich groźna. Gdy byli tu z Karolem, to też musieli przecież założyć dokładnie takie same stożkowate nakrycia głowy i nie poczuli wtedy żadnego osłabiającego lub szkodliwego ich działania. Założyli więc te duchowe kapelusze na swoje duchowe głowy i podążyli dalej za strażnikami na górę.

– *Dokąd nas prowadzicie?* – spytała Klara strażniczkę.

– *Do widzącej jeziora.*

– *A co ma się tam wydarzyć*

Hoskan, idąc, znów odwrócił się do tyłu w ich stronę.

– *A teraz milczcie. Wszystko potoczy się tak, jak to z góry przewidziały duchy.*

– *Ale chcielibyśmy wam zadać jeszcze tyle pytań* – zaproponował Amos.

– *Bo chcemy wiedzieć więcej, a nie tylko to, co zostało nam przeznaczone* – potwierdziła Klara. – *Przybyliśmy tutaj, by przekonać się, jak potężni byli niegdyś nasi przodkowie, tak ładząco do nas podobni. Ale wy nie jesteście potężni. Jesteście tylko wcieleniem duchów i bezwolnym ich narzędziem.*

Teraz Hoskan jednak zatrzymał się i odwrócił. Oboje strażników odprawił skinieniem głowy. Zdawał się bardziej zdziwiony niż zirytowany.

– *Nie jesteśmy potężni?* – powtórzył. – *Co chcesz przez to powiedzieć Duchy działają i przemawiają przez nas. W tym tkwi cała nasza moc.* – Pokręcił głową. – *Nawet największy żagiel potrzebuje wiatru, by się wzdać. Ale czy to od razu oznacza, że nie jest potężny?*

– *Dziwne porównanie* – wtrącił się Amos. – *W końcu jesteśmy ludźmi, a nie jakimiś martwymi skrawkami materiału. Mamy własną wolę i własne sumienie, i każdy z nas musi mieć prawo do samodzielnego decydowania o sobie, dokąd cha, aby go poniosły wiatry.*

Przodek Amosa zamknął oczy.

– *Musimy iść dalej* – powiedział i chciał się już odwrócić.

– *Czekajcie, panie* – powiedziała szybko Klara. – *Odpowiedzcie mi jeszcze na jedno pytanie. Czy duchy mogą, według własnego uznania, zabijać ludzi, jeśli ci staną im na drodze do realizacji ich celów?*

Hoskan zrobił wielkie oczy.

– *Czy mogą?* – Poskubał swoją kozią bródkę kciukiem i palcem wskazującym. – *Ależ to są duchy! Któż by im zabronił?* – Znów pokręcił głową, aż spiczasty kapelusz zafalował na

jego kędzierzawej czuprynie. – *A teraz już naprawdę musimy iść dalej. Nie martwcie się jednak. Gdy już zostaniecie oświeceni, nie będą was już dręczyły żadne pytania.*

– *Całkiem możliwe* – powiedział Amos. – *Gdy duchy w nas staną się już ze wszechmiar potężne, to wtedy nie będziemy mogli już o nic więcej pytać, ani się przed nimi obronić. Ale my do tego nie dopuścimy, prawda, Klaro?*

– *Na pewno nie* – odpowiedziała. – *Niezależnie od tego, jak bardzo pragnęłabym zostać potężnym magiem pisma, nie zamierzam stać się bezwolnym narzędziem w rękach duchów.* – Spojrzała na Amosa. – *Lecimy z powrotem, mój wybrańcu? Trithemius będzie, co prawda, wściekły, gdy zobaczy, że wracamy nieoświeceni.*

Amos skinął w jej stronę.

– *Prędko z powrotem. Później jeszcze szybciej z tamtego miejsca.*

Chwycili się za ręce i zamknęli oczy. Tymczasem przypominający go do złudzenia jego przodek zaczął na nich krzyżeć głosami wszystkich mieszkających w nim duchów, ale oni nie zwracali już na niego uwagi. Tak wyraźnie, jak tylko potrafili, wyobrazili sobie szeroko rozwartą kopułę ponad pustelnią, a u dołu, na dnie wydrążonego buku, swoje własne ciała, które leżały tam spokojnie obok siebie, ramię w ramię, z uśmiechami wymalowanymi na twarzach, jakby przyśniło im się coś bardzo przyjemnego.

Czuli już, jak zaczynają wirować w powietrzu, gdy po chwili pochwyciły ich jakieś olbrzymie ręce, które ściągnęły ich z powrotem na ziemię. I w czasie gdy zadawali sobie jeszcze pytanie, co to znowu miało oznaczać, grunt pod ich nogami zaczął się poruszać w szaleńczym tempie. Wszystko dookoła nich rozmyło się do mgły, z tak niesłychaną prędkością coś porywało ich naprzód.

– *O mój Boże, to musi być Faust* – wykrzyczał Amos. – *W ten sam sposób porwał mnie wtedy z Bambergu, ciągnąc przez wszystkie czasy.*

Zanim Klara zdołała cokolwiek odpowiedzieć, ziemia pod ich stopami zatrzymała się. Oszołomieni, rozejrzeli się dookoła i okazało się, że znowu się znaleźli w Rogdr. Jednak teraz stali już bezpośrednio przed poziomą szczeliną skalną, przypominającą olbrzymie, śmiejące się usta. Widok ten przywoływał Amosowi na myśl tę o wiele mniejszą szczelinę skalną w jodłowym lesie, znajdującym się ponad folwarkiem Kronusa, z której wytryskiwał potok Grundleinsbach.

Jednak znajdowali się na pogańskiej kopie, a nie w Hohenstein, a przed nimi znowu stał przodek Amosa, jego sobowtór. Ale tym razem nie był to Hoskan, lecz jakiś znacznie starszy mężczyzna. Wyglądał tak, jak Amos wyglądałby za jakieś dwadzieścia lat. Na jego twarzy pojawiło się już kilka zmarszczek. Patrzył na oboje poważnym, wręcz błagalnym wzrokiem.

Obok niego stała kobieta, przodek Klary, która również miała już dobrze po trzydziestce, a mimo to przypominała ją tak bardzo, jakby była jej straszą siostrą.

– *Potomkowie, którzy jesteście naszymi lustrzanymi odbiciami* – powiedział najwyższy kapłan Rogdr. – *Niech duchom będą dzięki za to, że przybyliście jeszcze na czas. Bo spojrzcie tylko, słońce już zachodzi. Za kilka godzin Rogdr przestanie istnieć.* – Jego telepatyczny głos zdradzał napięcie, jednak nie był nieprzyjemny. Przede wszystkim zaś wydawało się, że jest to jego naturalny głos.

– *A nasze dzieci* – ciągnęła dalej najwyższa kapłanka – *które pewnego dnia miały się stać naszymi następcami, zostaną wymordowane przez chrześcijańskich rycerzy zakonnych, a wraz z nimi wszyscy strażnicy i kapłani Rogdr.* – Oczy pociemniały jej od gniewu i zmartwienia. Mówiła miękko, słodkim jak miód dziewczęcym głosem, który brzmiał dość dziwnie w ustach ponad trzydziestoletniej kobiety. – *A święty gaj spłonie i zostanie zniszczony* – dorzuciła. – *Jednak zanim do tego dojdzie, wy, nasi potomkowie, tak łudząco do nas podobni, macie zostać oświeceni. Duchom niech będą dzięki.*

Nie czekając na jakąś odpowiedź ze strony Amos i Klary, najwyższy kapłan i najwyższa kapłanka odwrócili się i prześlizgnęli się przez szczelinę skalną do wnętrza góry, przytrzymując rękami kapelusze na głowach.

Klara rzuciła Amosowi spojrzenie, a on skinął w jej stronę zachęcająco. Na razie musieli udawać, że na wszystko się zgadzają. W żadnym razie nie wolno im było porozumiewać się telepatycznym głosem o planie ucieczki. Faust z pewnością usłyszałby każde ze słów, które by ze sobą zamienili w ten właśnie sposób. Bo tylko on mógł przed chwilą udaremnić ich ucieczkę z Rogdr. Przykuł ich na dobre do tego miejsca, świętego gaju, i rzucił ich o jakieś sześćset lat wstecz, do Roku Pańskiego 1089. Jeśli w ogóle mieli jakoś się stąd wyrwać, to tylko wtedy, gdy Faust przestanie ich już podejrzewać o jakąkolwiek próbę ucieczki.

I tak podążyli za swoimi przodkami – sobowtórami po wąskich schodach w stronę „widzącego jeziora”. Tam, na dole, zebrały się już całe tuziny strażników, a ze wszystkich stron nadchodzili śpiesznym krokiem kolejni, wraz z kapłanami.

Na samym środku jeziora obracała się w kółko tratwa, identyczna z tą, którą przyплыnęli tu wtedy z Karolem. Wyglądała jak źrenica ogromnego oka, które było lśniaco zielone, zupełnie jak oczy Klary. Przez otwór u góry w skale padały promienie słońca, okrywając tratwę i dużą część jeziora słupem złocistego światła.

Najwyższy kapłan i najwyższa kapłanka Rogdr stali obok siebie na brzegu jeziora z odgiętymi do tyłu szyjami, z rozłożonymi i wyciągniętymi ku górze ramionami. Oczy mieli zamknięte. Bezgłośnie poruszali ustami. Najwyraźniej modlili się do duchów o pomoc. I już



po kilku chwilach wydawało się, że ich błagania zostały wysłuchane.

Ich ciała zapadły się w sobie dokładnie w tym samym czasie. Dwóch strażników podskoczyło do najwyższego kapłana i go złapało, dwie strażniczki pochwyciły najwyższą kapłankę za ramiona. Z ich ciał, które strażnicy ostrożnie złożyli na ziemię, wydobyły się duchowe podobizny obojga kapłanów. Były przejrzyste niczym mgła o poranku. Wciąż jeszcze na głowach nosiły spiczaste kapelusze i były ubrane w szaty ze skóry rysiów i kotów, z sowych i wronich piór. Z pokojowym uśmiechem wymalowanym na ich duchowych twarzach poszybowały w stronę Amosa i Klary.

– *Chodźcie z nami, nasi przypominający nas do złudzenia potomkowie.* – Kapłan wziął Amosa, a kapłanka Klarę za rękę. Zgodnie pofrunęli nad jeziorem w kierunku tratwy, która majestatycznie kręciła się w kółko.

– *Ty połóż się tam.* – Kapłan wskazał lewą stronę tratwy.

– *A ty połóż się tam.* – Kapłanka pociągnęła Klarę w stronę prawej połowy tratwy.

– *Położcie się na plecach – rzekł kapłan – i zamknijcie oczy. W żadnym razie ich nie otwierajcie, cokolwiek by się działo.*

Klara i Amos rzucili sobie krótkie spojrzenia. Ich przodkowie trzymali ich mocno swoimi żelaznymi duchowymi dłońmi. Teraz położyli im ręce na ramionach i przycisnęli ich w dół do tratwy.

– *Co zamierzacie z nami zrobić* – spytała Klara.

– *Dokonamy na was rytuału oświecenia* – odparła kapłanka.

– *Wyciągnijcie się i zamknijcie oczy* – poinstruował ich oboje kapłan. Chcąc nie chcąc, Amos i Klara posłuchali tego rozkazu. Słońce wpadało przez skalny otwór, dokładnie ponad ich głowami, wypełniając kopułę nad widzącym jeziorem mieniającym się światłem.

– *Tak dobrze* – pochwalił ich kapłan. – *Nie będziecie odczuwać żadnego bólu, a magiczne znaki będą niewidoczne na waszej skórze.*

– *Na naszą skórę?* – powtórzyła Klara.

Zaniepokojeni, oboje otwarli na powrót oczy. I właśnie w tej chwili kapłan i kapłanka wygrzebali ze swoich szat jakiś błyszczący przedmiot. Amos i Klara zwięzili oczy w wąskie szparki. Kapłani trzymali teraz po jednym kamieniu w dłoni, które były oszlifowane w trójkąty i miały błyszcząco ostre krawędzie. W środku trójkąta widniało otwarte oko.

– *Zamknijcie oczy.*

Jedną ręką kapłan i kapłanka trzymali ich mocno za ramię, a drugą uderzyli najpierw Amosa, a potem Klarę w twarz. Oboje poczuli, jak zimny, ostry koniec wbija im się nad lewym okiem w czoło.

Zaraz kapłani mieli przystąpić do kreślenia magicznych znaków na ich czołach, a wtedy Amos i Klara staliby się wcieleniami duchów, pozbawionymi swej własnej woli narzędziami w ich rękach.

Ale nigdy do tego nie dojdzie, pomyślał sobie Amos, i ponownie otworzył oczy.

– *Wy ślepcy* – wykrzyczał swojemu przodkowi w twarz. – *To, co uważacie za moce duchów, to wszystko pochodzi z waszych wnętrz!*

Kapłan, zupełnie zbity z tropu, gapił się na niego w dół.

W tej samej chwili, jakby na potwierdzenie słów Amosa, słońce zaszło za jakąś czarną chmurą, a w skalnej kopule zapanowała ciemność. Amos i Klara zerwali się ze swoich miejsc, a przodkowie cofnęli się, zataczając.

– *Dajcie się oświecić, rozkazujemy to wam!* – wrzasnął najwyższy kapłan strasznie grzmącym głosem, niczym niedźwiedź.

Jednak Amos zerwał sobie duchowy kapelusz z głowy i rzucił nim w twarz swojemu przodkowi-sobowtórowi. Klara przyglądała się temu ze zdziwieniem, po czym uczyniła to samo.

– *Podporządkujcie się, bo w przeciwnym razie was zabijemy!* – fuknęła najwyższa kapłanka ochryłym, kocim głosem.

Amos i Klara chwycili się już za ręce i wystrzelili przez otwór w skalnej kopule w górę, ku niebu. Szybciej niż wichura popędzili przez czas i przestrzeń. I już znikali za ich plecami Rogdr, pogańska kopa i całe Smreczany, o oni gnali w szaleńczym tempie w kierunku zachodnim, z powrotem do Wurzburga, do roku 1499. Zdawało się, że minęło niewiele więcej niż ułamek sekundy, a oni sfrunęli przez kopułę do pustelni, wchodząc na powrót do swoich ciał.

– Na wszystkie dobre duchy – krzyknął Trithemius w ich stronę przez szczelinę w drzewie. – Dlaczego nie daliście się oświecić, jak to zostało zaplanowane?

– Zaślepić, panie – odpowiedział Amos. – To chyba byłoby trafniejszym określeniem.

– Podniósł się, a ponieważ wciąż trzymał Klarę za rękę, pociągnął ją za sobą w górę.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – wykrzyknął Trithemius żalonym tonem.

Zanim Amos zdążył mu odpowiedzieć, opat położył mu od tyłu rękę na ramieniu i delikatnie pociągnął go w bok.

– Pozwól, że ja to zrobię – powiedział Faust, spoglądając na Amosa i Klarę swymi płomiennymi, niebieskimi oczami. – Wejdźcie do środka, wy dwoje, porozmawiajmy jeszcze raz o wszystkim w spokoju. – Odsunął się na bok, a im nie pozostało już nic innego, jak tylko posłuchać jego rozkazu.

W POKOIKU SKALNYM POD PUSTELNIĄ wciąż jeszcze płonęły pochodnie i ogień, które zapalił wcześniej Trithemius. Pochodnie właśnie się dopalały. W czasie gdy podróżowali w czasie i przestrzeni, tu i teraz nie minęła chyba nawet godzina.

Mimo to opat sprawiał wrażenie jeszcze bardziej podenerwowanego niż wcześniej, a Faustowi tylko z wielkim trudem udawało się ukryć swoje zniecierpliwienie.

– Mogę zrozumieć, że czujecie się nieco zaniepokojeni – powiedział do Amosa i Klary. – Miałem podobne odczucia, gdy po raz pierwszy zetknąłem się z duchami. Na samym początku człowiek czuje się dość nieswojo, gdy wypełniają go łaskoczące i migocące moce duchów.

Tak gawędził sobie z nimi ten straszny czarownik, bacznie wpatrując się w nich swoim płomiennym wzrokiem i jednocześnie nasłuchując jednym uchem odgłosów dochodzących z oddali.

– Wierzcie mi, człowiek szybko się do tego przyzwyczaja, a później w żadnym razie nie zwraca na to uwagi! – Skinął w ich stronę, domagając się od nich potwierdzenia i już otworzył usta, by kontynuować swoje pochwały duchów, gdy nagle zastygł w bezruchu. – Psiakrew! Oni już tu są! – wykrzyknął. – Słyszycie te hałasy? To na pewno są wojownicy na usługach Kościoła i łowcy ksiązek. Nie mamy ani minuty do stracenia! – Popatrzył przenikliwym wzrokiem najpierw na Amosa, a później na Klarę. – Amosie von Hohenstein i Klaro Thalgruber, wracajcie niezwłocznie do Rogdr i dajcie się oświecić przez duchy! – Jego oczy zdawały się ziać niebieskimi płomieniami.

Jednak Amos nie dał się zbić z tropu.

– Nie pójdziemy – odrzekł. – Dlaczego mielibyśmy uczynić siebie sługami i narzędziem duchów? Sami przecież widzieliśmy, jak egzystują nasi przodkowie, będący naszymi lustrzanymi odbiciami, w czasie gdy pełnią służbę w świątyni – tracą swoją wolę, swoją pamięć i swoje własne głosy.

Teraz i Amos usłyszał odgłosy wielu różnych kopyt, a do tego krzyki i ciężkie stąpanie butów, które docierały do nich przez kopułę i wydrążone drzewo. Najwyraźniej żołnierze krzatali się już przy stajni poza murami klasztoru. Na zewnątrz już dawno musiała zapaść głęboka noc i dlatego na razie gromadzili się wokół klasztoru, by nazajutrz o świcie przejść do ataku. A do tego czasu, powiedział sobie Amos, on i Klara muszą wziąć nogi za pas.

– Oni pozostaną przy życiu – wykrzyknął Trithemius – i tylko to się liczy w tej chwili. Zastanówcie się, moje dzieci, jedynie duchy mogą jeszcze uchronić was i nas, wszystkich tutaj, przed stosem. A zatem wracajcie czym prędzej do Rogdr i dajcie się oświecić. Jeśli duchy nas wesprą, żołnierze i łowcy ksiąg daremnie będą szturmować nasze mury. Lecz gdy duchy nam nie pomogą, to wtedy Cellari zamęcą nas wszystkich w swoim więzieniu.

Klara rzuciła krótkie spojrzenie w stronę Amosa.

– Wyjaśnijcie to nam, panie – zwróciła się do opata. – Być może nie pojęliśmy we właściwy sposób waszego planu. Jeśli my damy się oświecić podczas magicznego rytuału, tak jak tego od nas żądacie, czy nie będziemy wiedli takiego samego żywota jak nasi przodkowie? Czy i my nie będziemy wtedy jedynie bezwolnymi, niezdolnymi do samodzielnego działania wcieleniami duchów, a może moglibyśmy jednocześnie być ich władcami?

Trithemius zapatrzył się przed siebie i nagle się rozweselił.

– A więc to was tak przygnębia? – zapytał bez zastanowienia. – Wydaje wam się, że magiczni kapłani są jakby tylko końmi ujeżdżanymi przez duchy, które, wedle własnego widzimisie, dają im bicz i ostrogi? – Pokręcił z uśmiechem głową. – Więc pragnę was zapewnić, że wasze obawy są zupełnie bezpodstawne. Mogę wam to przysiąc tu i teraz, jeśli sobie tego życzyście.

Skinął w stronę Fausta i wykrzywił twarz, jakby chciał powiedzieć, że są już blisko celu.

– Duchy – ciągnął dalej – mogą rzeczywiście postrzegać swych magicznych kapłanów jako konie, które biorą na pewien czas w posiadanie. Ale nie martwcie się, moje dziatki, w czasie gdy duchy ich ujeżdżają, są końmi, żeby pozostać przy tym porównaniu, zaprzężonymi do potężnej karety i tylko mężczyzna zasiadający na koźle decyduje o tym, dokąd jechać!

– A tym mężczyzną na koźle wozu – zapytał Amos – jesteście wy?

Opat zatarł ręce, a zabrzmiało to, jakby ktoś miał arkusze papieru.

– W dawnych czasach – powiedział – mieszkający tu poganie nie dopilnowali tego, by zgromadzić się wokół wspólnego królewskiego sztandaru. Zamiast tego, nieustannie się wzajemnie zwalczyli, a z władzy, którą duchy oddały w ich ręce, przywódcy prawie nigdy nie czynili pożytku. Był to ich największy błąd, i tylko dlatego zostali ujarzmieni, mimo że ta magia była o wiele potężniejsza, niż wszystkie oddziały ich wrogów razem wzięte. Z pomocą duchów jeden z tych pogańskich królów mógłby założyć najpotężniejsze imperium wszech czasów. Ale to, co oni wówczas zaprzepaścili, moi drodzy, my możemy stworzyć dziś razem!

Wodniste, jasne oczy Trithemiusa błyszcząły niczym w gorącej.

– Musicie tylko jeszcze szybko zostać oświeceni w Rogdr – ciągnął dalej – a wtedy duchy sprawią, że mury klasztorne staną się nie do pokonania. Niedługo potem uczynią broń mojego wojska niezwyciężoną, a z tygli i garnków moich nadwornych alchemików popłynie sztuczne złoto niczym ze skalnej krynicy.

Trithemius zamilkł nagle i spojrzał na Klarę i Amosa wyczekującym wzrokiem. Z góry nadal dochodziły hałasy wojowników na usługach Kościoła, którzy najwyraźniej rozkładali przy klasztornej stajni jakieś potężne ładunki.

– A więc tak wygląda wasz plan, panie? – spytała Klara. – Chcecie z pomocą duchów stanąć do boju z kościelnymi wojownikami? A po waszym zwycięstwie zamierzacie stworzyć pogańskie imperium, a sami chcecie zasiąść na królewskim tronie, tymczasem Amos i ja mielibyśmy zostać najwyższymi kapłanami?

Trithemius skinął w jej stronę.

– Tak właśnie się stanie, moje dziecko. – Uśmiech pełen zachwytu rozpromienił jego twarz. – Ludzie całymi gromadami będą pielgrzymowali do waszej świątyni i czcić was będą niczym anioły. Będziecie żyli w bogactwie i chwale. Ale teraz musicie się pospieszyć, żeby nie ubiegł nas jeszcze Cellari.

Klara i Amos rzucili sobie krótkie spojrzenie.

– My już nie wrócimy do Rogdr – odezwał się Amos. – Już wcześniej tak zdecydowaliśmy. A po tym, co nam właśnie wyjawiliście, nasza decyzja jest nieodwołalna.

Opat skinął ręką napominająco w stronę Fausta. Ten sprawiał wrażenie o wiele mniej wstrząśniętego, niż się tego spodziewał Amos.

– A więc zaczynamy. Oni jeszcze zmadrzeją. Do tego czasu będziemy musieli się obejść bez ich pomocy. – Klasnął w dłonie.

– Leandrze, dołączysz do nas?

Amos i Klara popatrzyli na siebie wielkimi oczami. Z wnęki w ścianie wyszedł chłopiec o żółto blond włosach i zielonych oczach. Był to bez wątpienia Leander, jednak był tak dziwnie ubrany, że Amos rozpoznał go dopiero po chwili. Okryty bezkształtną peleryną, uszytą ze skóry kotów i rysiów oraz z wronich i kruczych piór, podszedł do nich dostojnym krokiem. Najwyraźniej Faust lub Trithemius powiedzieli mu, jakie szaty nosili magowie pisma w Rogdr, a on od razu ubrał się w skrojone na siebie, podobne ubranie.

– Leandrze! – zawołała Klara. – Skąd się tu wziąłeś? Uprawdzili cię?

– Uprawdzili? – Leander uniósł brew. – Co też ci przychodzi do głowy, Klaro? Pan Faust wyjaśnił mi, o co tak naprawdę chodzi w tej magii duchów. Moi przodkowie, będący moimi lustrzanymi odbiciami, również byli kapłanami Rogdr, nawet jeśli byli nieco niżsi

rangą. Ale i oni byli oświeceni i posługiwali duchom podczas świątynnych ceremonii. A ponieważ ty i Amos najwidoczniej boicie się duchów, to ja udam się zamiast was do Rogdr i poddam się magicznemu rytuałowi oświecenia.

Amosowi dłonie same zacisnęły się w pięści.

– Ty podły, mały złodziejaszku! – krzyknął Leandrowi w twarz. – Tak się odpłacasz Klarze za to, że uleczyła cię z niemoty?

Leander skrzyżował ramiona na swojej piersi i spojrzał wyniośle na Amosa.

– Nie jestem żadnym złodziejem. I wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Wyłudziłem od ciebie wtedy ten list, bo brat Egbert chciał cię wystawić na próbę. A tym razem nie zabiorę wam przecież niczego. W końcu sami oznajmiliście przed chwilą, że nie chcecie się dać oświecić.

– Ale ty też nie możesz się udać do Rogdr. – Klara spojrzała na niego błagalnym wzrokiem. – Pomyśl o swoich rodzicach, pomyśl o tej straszliwej nocy, gdy zginęli! Umarli wyłącznie z winy Trithemiusa i Fausta!

Za jednym razem oczy Leandra pociemniały i zwężyły się.

– Niczego nie rozumiesz – wyrzucił z siebie. – Właśnie dlatego muszę się udać do Rogdr, żeby ich śmierć nie była daremna.

Trithemius pokręcił głową, ciężko wzdychając.

– Oby tak było. Najpierw jednak Leander przejmie dziedzictwo dawnych magów pisma. – Podszedł do Amosa i wyciągnął zachęcająco dłonie. – Daj mi *Księgę*.

Amos chciał wycofać się w stronę wydrążonego drzewa, ale Faust zagroził mu drogę jednym kocim susem.

– Nie tylko jesteś złodziejem, ale w dodatku głupcem – powiedział Amos do Leandra. – Nie zasłużyłeś na to, aby Klara przeczytała ci choćby tylko pierwszą opowieść. I nie dostaniesz już niczego więcej z *Księgi duchów*. – Skrzyżował ramiona na piersi. *Księga* tkwiła w kieszeni na wysokości jego serca.

– Nie bądź głupcem, mój synu – odezwał się opat. – Daj mi *Księgę*. Musimy się spieszyć, a ja chcę niezwłocznie przeczytać Leandrowi ciągiem wszystkie trzy pozostałe opowieści. – Popatrzył na Amosa tak łagodnie, jakby w dalszym ciągu żywił do niego głębokie uczucie. – Gdy tylko skończę, od razu oddam ci *Księgę*. Mogę ci to przysiąc, jeśli takie jest twoje życzenie.

– Przysięgajcie sobie do woli, a ja i tak nie dam wam *Księgi*.

Opat uczynił jeszcze jeden krok w stronę Amosa, a w tym samym momencie stojący za chłopakiem Faust położył mu swoje dłonie na ramionach.

– Daj mu ją – syknął mu czarownik do ucha. – Kronus powierzył ci misję, abyś zaniósł *Księgę* Trithemiusowi. Chyba nie chcesz zlekceważyć jego polecenia?

– O nie, nie uczynię tego – odparł Amos, w dalszym ciągu spoglądając tylko na opata.  
– Doskonale pamiętam słowa Kronusa: „*Będziesz wiedział, dla kogo jest to przeznaczone. Zanieś mu to, a zyskasz nieśmiertelność*”. Nagle ogarnął go całkowity spokój. – Potrzebowałem dużo czasu – ciągnął dalej – by się dowiedzieć, kogo Kronus miał wtedy na myśli. Ale teraz już wiem, dla kogo jest przeznaczona *Księga duchów*. A wy, panie, nie jesteście tą osobą.

Amos nie skończył jeszcze mówić, gdy Faust wsunął mu dłoń z przodu pod kamizelkę, by wyciągnąć z kieszeni *Księgę*. Jednak Amos rzucił się do przodu, a opat zatoczył się do tyłu. Z głośnym zgrzytem podarł kamizelkę czeladnika murarskiego Kupferschuha, *Księga* wypadła z kieszeni i spadła z łomotem na ziemię przed stopami Amosa. Ten błyskawicznie się pochylił i porwał ją do siebie. Jednak zanim jeszcze zdążył się wyprostować, Faust podduśił go swoją twardą jak żelazo ręką od tyłu i całkowicie docisnął do ziemi.

– Wystarczy już tego – syknął mu czarownik do ucha. – By konać takiego chłopaczka jak ty, nie muszę nawet używać magli. – Docisnął go jeszcze mocniej do ziemi, a Amos zaczął dyszeć ze strachu i z braku tchu.

Klara chciała mu pospieszyć z pomocą, jednak Leander chwycił ją za rękę i mocno przytrzymał.

– Ty idioto! – krzyknęła na niego dziewczyna. – Żałuję, że ci przywróciłam mowę! – Z całej siły ugryzła go w przedramię, a Leander zawył z bólu i zatoczył się do tyłu.

Amosowi zrobiło się ciemno przed oczami. Czuł, jak Trithemius usiłuje mu wyrwać *Księgę* z rąk, jednak on wciąż trzymał ten cienki, oprawiony w skórę tomik w kurczowym uścisku. Paliło go w gardle, a przed jego oczami wirowały w kółko ogniste znaki, kanciaste „S”, rozłożone niczym litera „V” palce, szpony drapieżnego ptaka...

Resztką sił wyrwał się z uścisku Fausta i ponownie odepchnął opata. Poszedł kilka kroków dalej w głąb podziemnego pokoiku, zataczając się. Dyszał przy tym i potrząsał głową, by odzyskać wyrazistość widzenia, jednak wszystko dookoła niego wciąż było rozmyte. Od tyłu znów rzucił się na niego wysoki i barczysty Faust, a Amos najchętniej po prostu padłby na ziemię. W końcu i tak nie mieli żadnych szans! Wszystko stracone! Opat wyrwie mu zaraz *Księgę* i każe oświecić Leandra, aby ten został magicznym kapłanem. Przy pomocy duchów utworzy wraz z Faustem pogańskie imperium, zaprowadzając w nim rządy terroru. A oni oboje, Klara i on sam, nie mogą już zrobić absolutnie nic, by ich powstrzymać.

Faust znów przydusił Amosa swoim ramieniem i pociągnął go z powrotem w stronę wydrążonego buku.

– *Musisz uciekać, Klaro!* – wychrypiął Amos. – *Ratuj siebie i Księgę!*

Wysokim łukiem wyrzucił w jej stronę *Księgę duchów*. Trzepocąc, poleciała ponad głowami opata i Leandra, a Klara złapała ją tak, jak wtedy na zamku biskupa Bambergu. Ale tym razem wszystko było inaczej. Istniało tylko jedno wyjście, a Klara była od niego oddalona bardziej niż wszyscy inni. Leander i opat trzymali ją z tyłu pomieszczenia w szachu, i nawet gdyby udało jej się przejść obok nich, przed otworem w wydrążonym pniu drzewa stał Faust, niczym drugie takie drzewo, trzymając w kurczowym uścisku szyję Amosa.

Koniec i kropka, pomyślał Amos. Miał wrażenie, jakby zmiażdżono mu gardło. Ledwo cokolwiek do niego docierało. Faust ponownie pchnął go na ziemię, a Trithemius przybiegł mu z pomocą.

Klara biegła zygzakami po tej jaskini skalnej, przyciskając do siebie obiema rękami *Księgę duchów*.

– Zostawcie mnie w spokoju, przekłęci! – krzyczała. Kopnęła Trithemiusa, a Leandrowi wymierzyła cios pięścią, ale na nic się to nie zdało. Tkwiła w pułapce. Za jej plecami była już tylko ściana skalna, a obok niej jeden z otworów w ziemi, w których palił się ogień. Faust, Trithemius i Leander stali przed nią niczym mur. Faust wyciągnął już rękę, by wyrwać Klarze *Księgę*, gdy dziewczyna wydała z siebie przeraźliwy krzyk i osunęła się na podłogę.

Wtedy też Klara zrobiła coś zupełnie niewiarygodnego.

Amos krzyknął. Faust zaryczał jak wściekły byk. Opat zajęczał, a zabrzmiało to jak brzęk rozpryskującego się na kawałki ołowiowego szkła. Leander wydał z siebie serię bulgotów, zupełnie jakby ponownie stracił głos. A wszyscy oni mieli wrażenie, jakby odrąbano im rękę, wydlubano oko lub wyrwano serce.

W całe to straszliwe wycie wmieszał się dochodzący z oddali hałas żołnierzy i łowców ksiązek, wciąż jeszcze krzątających się przy klasztornej stajni. Jednak nikt spośród tych, którzy znajdowali się w podziemnym pokoiku skalnym, nie słyszał tak do końca tych odgłosów.

A w najmniejszym stopniu Amos, któremu z przerażenia wydawało się, że zaraz umrze.

– Klaro, co ty zrobiłaś?! – krzyknął. – Dobry Boże, Klaro! Teraz wszystko jest już stracone!

Wszystko, ale to naprawdę wszystko, wydawało mu się w tej chwili pozabawione



jakiegokolwiek sensu. Wszystko, co wzięli na siebie Kronus, matka Zofia i oni sami.

Klara wrzuciła *Księgę* do ognia. Ona sama ledwo zdawała się wierzyć w tę straszną rzecz, którą właśnie uczyniła. Bezwolnie dała się pchnąć Faustowi na bok i patrzyła wielkimi oczami, jak ten wkłada gołe ręce do dziury w podłodze.

Jednak z płomieni i dymu udało mu się wygrzebać już tylko bezkształtną, żarzącą się grudkę, która rozsypała mu się w popiół między palcami.

Nie było już *Księgi duchów*.

## 5

BYĆ MOŻE AMOS PO PROSTU leżałby tak dalej, aż przyszliby po niego Faust lub Cellari, by zawieźć go tam, gdzie go koniecznie chcieli widzieć: jako magicznego zakładnika z powrotem do Rogdr albo jako domniemanego apostoła Szatana do więzienia inkwizycji przy placu Dominikańskim w Norymberdze. Ale ta drobna dłoń, którą niespodziewanie poczuł na swym ramieniu, nie należała ani do tego strasznego czarownika, ani do równie okrutnego łowcy kacerzy.

Amos rozpoznałby ją pośród setek dłoni.

– Musimy uciekać, Amosie. Chodź! – wyszeptała mu do ucha. Chwyliła go za rękę i pomogła mu się podnieść. – Wybacz mi, mój wybrańcu! – Po jej na wpół zduszonym szepczącym głosie zorientował się, że dziewczyna stara się powstrzymać od płaczu. – Nie widziałam żadnego innego sposobu!

Pokręcił tylko głową w milczeniu. Jakże chętnie powiedziała by jej teraz coś na pocieszenie, jednak nie znajdował w sobie niczego poza szarą pustką. Nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robi, wślizgnął się z Klarą do wydrążonego pnia drzewa.

Ta od razu zaczęła wchodzić po schodach na górę, a Amos poszedł za jej przykładem.

– Szybko! – Usłyszał, jak mówi do niego szeptem, i sam przyspieszył kroku. – Cicho! – wyszeptała, a on poleciał po tych powycinanych stopniach na górę, prawie ich nie dotykając.

Czy Klara naprawdę wierzyła, że znów uda im się uciec przed ich przeciwnikami?

Amos w to nie wierzył, ale i tak było mu wszystko jedno. Odtąd każde miejsce na tej ziemi będzie dla niego tylko mrocznym więzieniem. Gdyby teraz stracił jeszcze Klarę, nie mógłby już żyć ani godziny dłużej. Czuł to tak bardzo wyraźnie, jakby wiedza o tym została mu wryta w skórze jakimś pogańskim, kamiennym ostrzem. Wchodził po schodach za Klarą tak szybko, jak tylko potrafił.

Mimo że był już u kresu swoich sił. Mimo że gardło nadal sprawiało mu potworny ból. Mimo że serce stawało mu na pół sekundy za każdym razem, gdy pomyślał o tym, jak szczątki *Księgi duchów* rozkruszyły się między palcami Fausta.

Dobry Boże, Klaro, jak mogłaś to uczynić?

Wiedział przecież, że nie miała wyboru. A mimo to przeczuwał, że ten straszliwy czyn jeszcze długo będzie się kładł cieniem na jego miłości do Klary.

Tymczasem Klara dotarła już do wyjścia z wydrążonego pnia drzewa. I właśnie odwróciła głowę do tyłu w jego stronę, gdy on usłyszał pod sobą dyszenie i szuranie. Oczy Klary pociemniały i rozszerzyły się. Także Amos odwrócił się w tamtą stronę. To Leander wchodził za nimi po stopniach z twarzą wykrzywioną ze wściekłości.

Ty podły złodzieju, pomyślał Amos. Gniew dodał mu nowych sił i w mgnieniu oka znalazł się przy wyjściu. W czasie gdy przeciskał się przez układ dźwzków i dźwigni, podtrzymujących ukośnie w powietrzu olbrzymi blat stołu między pniem drzewa a sklepieniem kopuły, jeszcze raz spojrzął w dół na Leandra. Mimo że podczas wchodzenia po stopniach raz po raz zaplątywał się w luźno zwisającą, obszerną pelerynę ze skóry i piór, Leander miał już za sobą połowę drogi na górę. Zrecznie się wspinał, co nie zmieniało jednak faktu, że był niewdzięcznym głupcem i podłym zdrajcą.

Amos wyskoczył z pnia drzewa i z ulgą poczuł kamienną ławkę pod swoimi stopami. Teraz rozumiał już, dlaczego brat Paulus pokrył każdy cel ścian, podłogi i sufitu, a nawet stołu i ławki znakami pisma. Nie magicznymi literami, lecz – wręcz przeciwnie – swego rodzaju kłosem z celowo zeszeconymi literami, pod którym było się chronionym przed wszelką magią pisma.

– Tego musimy użyć – wyszeptała Klara, wskazując na drewnianą belkę z ostrym zakończeniem, którą obaj mnisi pozostawili wcześniej na podłodze obok kamiennej ławki. – Widzisz tę dźwignię, tam u góry? – Wyciągnęła w górę ramię i wskazała na spodnią część blatu stołu.

Amos kiwnął głową. Wspólnymi siłami pospiesznie podnieśli belkę. Tam, w górze, w zespole dźwzków i dźwigni tkwiła jedna żelazna dźwignia w kształcie litery „C”. Wszystko wskazywało na to, że ten cały mechanizm z łańcuchami i sprężynami można będzie ponownie

uruchomić, gdy tylko przekreśli się tę dźwignię w prawą stronę. Jednak musieli się spieszyć. Gdy Amos znów zajrzał w głąb wydrążonego drzewa, Leander miał jeszcze do pokonania w najlepszym razie z tuzin kroków, a tuż za nim podążał Faust.

– Teraz! – szepnęła Klara.

Z ostrym zakończeniem skierowanym do przodu uderzyli chwiejącą się belką z drewna w dźwignię, znajdującą się ponad ich głowami. Dźwignia obróciła się i już w następnej chwili łańcuchy znów zaczęły zgrzytać. Wściekłe okrzyki Leandra i Fausta zostały zagłuszone przez hałas dobywający się z mechanizmu. Głośno skrzypiąc i jęcząc, układ drążków i dźwigni znów zaczął opadać w kierunku wydrążonego pnia drzewa, ciągnąc za sobą w dół blat stołu.

Huk odbijał się jeszcze echem w uszach Amosa i Klary, gdy łańcuchy i koła na powrót umilkły. Ze wstrzymanym oddechem nasłuchiwali odgłosów dochodzących od strony kopuły. Jednak nie usłyszeli żadnych podejrzanych dźwięków. Tylko od czasu do czasu dobiegało od strony klasztornej stajni skrobanie i parskanie.

Tak cicho, jak tylko potrafili, odłożyli drewnianą belkę na ziemię. Tymczasem z wydrążonej nogi stołu znów docierały stłumione krzyki. Amos chwycił krawędź blatu stołu i zaczął biegać w kółko, idąc za przykładem jednego z mnichów, który tak właśnie wcześniej postąpił, tyle tylko, że tym razem Amos obracał stołem zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Blat wkręcał się coraz niżej w nogę stołu, a hałasy w dole znacznie osłabły.

– Teraz na stół! – wyszeptała Klara, a Amos wiedział już z góry, co dziewczyna zrobi w następnej kolejności. Znów podniosła drewnianą belkę za jej ostre zakończenie i to tak wysoko, że kucający na stole Amos chwycił za drugi koniec. Wtedy i ona wspięła się do niego. Oboje wyprostowali belkę w pionie i oparli ją jej ostrym zakończeniem o ścianę pod otwartą kopułą. Teraz wystarczyło już, aby weszli po wyciętych w belce stopniach na górę i przedostaną się przez kopułę na zewnątrz.

A co wtedy, pomyślał Amos. Na dworze na pewno stały na czatach tuziny, jeśli nie setki purpurowych wojowników i łowców książek, uzbrojonych w miecze, strzelby i kusze, wraz z psami św. Huberta. Tak naprawdę to nie mieli najmniejszej szansy. Na pewno nie uda im się przejść niepostrzeżenie, powiedział sobie Amos. Wszedł jednak po belce za Klarą.

Gdy dotarli na samą górę, Klara wyskoczyła przez kopułę na zewnątrz, odwróciła się od razu do tyłu w stronę Amosa i przyłożyła palec do ust. W jasnym świetle księżyca i gwiazd wydała się chłopakowi tak nieziemsko piękna, że przez chwilę mógł tylko patrzeć na nią ze zdziwieniem.

Nie wolno mi jej stracić, pomyślał. Jeśli nawet nigdy nie będę mógł zapomnieć tego,

co dziś zrobiła. Wtedy i on wyskoczył przez otwarty dach kopuły na zewnątrz i znalazł się obok Klary na wysokim na dobre dwanaście stóp murze, który okalał cały kompleks klasztorny.

Ponad ich głowami błyszczało gwiaździste niebo, natomiast u podnóża wzgórza klasztornego rozciągało się pogrążone we śnie miasto: gąszcz niewyraźnych dachów, a pośród nich migocący niczym smok Men.

Tym wydłużonym, niskim budynkiem z drewna, bezpośrednio przylegającym do muru, musiała być klasztorna stajnia. Jeśli gdzieś tam w dole przyczaili się wojownicy na usługach Kościoła, to dobrze się ukryli. W każdym razie Amos nigdzie nie dostrzegął nawet cienia, nie mówiąc już o srebrzyście połyskujących hełmach czy mieczach.

Klara i Amos porozumiewali się gestami i spojrzeniami od czasu gdy powrócili z Rogdr. Nie rozmawiali już ze sobą na drodze telepatii. Trithemius i Faust i tak zrozumieliby wszystko, o czym oboje rozmawialiby w ten sposób. Nie był to jedyny powód. Przynajmniej dla Amosa. Magiczne moce, które duchy użyczają człowiekowi, są potężne i niebezpieczne. I z pewnością nie będzie już tak beztrzesko ich używał, jak to miało miejsce przed ich podróżą do Rogdr. Zresztą czuł, że Klara miała takie same odczucia.

Z kalenicy muru aż na dół, do dachu stajni, były co najwyżej cztery stopy. Klara przykucnęła na najbardziej zewnętrznej krawędzi muru, uczepliła się jej obiema rękami i spuściła się po murze nogami do przodu. Spojrzała przy tym zachęcająco na Amosa, aż ten uświadomił sobie, że znów musi pójść za jej przykładem. Wciąż jeszcze czuł się wewnątrz martwy, jakby wraz z *Księgą* spłonęło wszystko, co miało dla niego kiedykolwiek jakieś znaczenie. Wszystko to, co dawało mu wcześniej poczucie, że jest prawdziwym człowiekiem z uczuciami i marzeniami.

Jednak jedno uczucie pozostało w nim żywe. Strach przed tym, że mógłby stracić także Klarę. Przeskoczył przez krawędź muru i zszedł na dach stajni.

Był to zwykły płaski dach, pokryty zwietrzałymi grubymi deskami. Klara przykucnęła prawie w samym środku, a jej oczy połyskiwały w świetle księżyca niczym zielone kamienie szlachetne. Wskazała na dyl przed swoimi kolanami, a jej usta utworzyły bezgłośnie wiadomość, którą Amos zrozumiał bez magii: „Tu możemy przejść”.

Dlaczego chce zejść akurat tamtędy?, zapytał siebie Amos. Purpurowi wojownicy na pewno nie obstawili całego klasztoru. Na to potrzebowaliby wojska w sile kilkuset żołnierzy. Obsadzą więc głównie wejścia i wyjścia, tak aby nikt nie wziął nóg za pas pod osłoną nocy. Ale na pewno będą strzec klasztornej stajni, po tym jak rozładowali tam wcześniej potężne ładunki, być może broń i co tam jeszcze mogli potrzebować do zdobycia szturmem tak

rozległej posiadłości. I nawet jeśli w stajni postawili na straży tylko jednego lub dwóch żołnierzy, aby ci pilnowali broni, jak, na Boga, Klara chciała przejść obok nich niepostrzeżenie?

Amos skradał się na palcach po belkach i grubych deskach w jej stronę, po czym przykucnął obok niej. Klara skinieniem ręki dała mu do zrozumienia, że znajdująca się przed nimi deska jest poluzowana i że mogą ją podnieść i przesunąć na bok, by następnie prześlizgnąć się przez szczelinę w belkowaniu dachu i spuścić na dół.

Amos zrobił wielkie oczy i odwrócił swoje dłonie do góry. A co wtedy?, miał oznaczać gest Amosa. Jednak Klara pominęła to pytanie zachęcającym uśmiechem.

Chwycili oboje po jednym końcu grubej deski, unieśli ją prawie jednocześnie i bezgłośnie położyli na desce obok. Ze wstrzymanym oddechem zajrzeli w głąb ciemnego pomieszczenia, z którego uderzył w ich stronę zapach koni i snu.

Nogami do przodu Klara przecisnęła się przez szczelinę. Tuż pod nią znajdowała się stromo opadająca belka – lewe ramię wielkiego „Y”. Wślizgnęła się do zagłębienia między obydwoma ramionami i rozejrzała się badawczym wzrokiem. Pod nią w wąskich boksach znajdowały się konie, przynajmniej tuzin po każdej stronie wydłużonego budynku.

Klara rzuciła szybkie spojrzenie w górę, w stronę Amosa, a następnie chwyciła jedną ręką za przednie ramię swojej belki w kształcie litery „Y”. Przecisnęła się obok niej i wślizgnęła na pionową podporę, znajdującą się kilka stóp nad śpiącymi końmi i prowadzącą do następnej belki w kształcie litery „Y”.

Cóż ona zamierzała zrobić? Amos wsunął swoją głowę głębiej przez szczelinę w dachu i powiódł za nią wzrokiem. Wtedy nagle pojawił się, dlaczego koniecznie chciała wejść do tej stajni. Jeden z koni stojących bardziej z przodu miał rudą jak lis sierść. I najwidoczniej był wybudzony i już dawno zauważył, kto przeciska się u góry w belkowaniu dachu w jego stronę.

Klara zanuciła teraz ledwo słyszalnie, a kasztanka uniosła głowę i odpowiedziała niewiele głośniejszym parskaniem. W boksie po jej lewej stronie stał okazały karosz, a na widok tego wspaniałego konia Amosa przeszło nagle olśnienie: dopóki się kochamy i jesteśmy wolni, dopóty nie wszystko jest jeszcze stracone!

Czuł, jak wypełniały go nowa odwaga i świeża ufność. Sam przy tym nie potrafiłby powiedzieć, skąd tak nagle wzięła się ta nowa nadzieja. *Księga* wciąż była spopielona. Jednak ten czarny ogier – Amos czuł, że musi to być ogier, tam w dole obok kasztanki – wzbudził w nim przecucie, że być może *Księga duchów* nie przepadła do szczytu. Jeśli nawet w dalszym ciągu nie mógł sobie wyobrazić nawet w mglisty sposób, jak to było możliwe. Spalone

oznaczało w końcu spopielone, a może jednak nie? A jedyna kopia Kronusowego dzieła życia znajdowała się w Urzędzie Cenzury Rzeszy w Norymberdze, o ile Skythis nie zadbał o to, aby i ona już dawno została zniszczona. Tak czy owak, nie mieli żadnych szans na dotarcie do tej kopii, a to oznaczało przecież, że *Księga* nigdy nie będzie mogła zostać wydrukowana i rozpowszechniona, tak jak sobie tego życzył Kronus.

Mimo to, z każdym oddechem w Amosie narastała przekorna ufność, że wszystko się jeszcze jakoś ułoży. Nogami do przodu chłopak precyzyjnie przesunął się przez szczelinę i ześlizgnął się na belkę przypominającą kształtem literę „Y”. Tymczasem Klara przykucnęła na pionowej belce dokładnie nad kasztanką i uważnie spoglądała dalej w prawo. Tam musiały znajdować się drzwi do stajni. Także Amos, który siedział w kucki w zagłębieniu między dwoma pochyłymi płaszczyznami belki, zastygł na kilka chwil w tej pozycji i ze wstrzymanym oddechem nasłuchiwał dochodzących do niego odgłosów.

Przez szczelinę w dachu do stajni sączyło się nieco światła księżyca i gwiazd. Mimo to tam w dole wciąż jeszcze było tak ciemno, że można było rozpoznać jedynie kilka niewyraźnych zarysów. Gdzieś tam z przodu, przy drzwiach, na słomie leżało dwóch, może trzech pełniących wartę żołnierzy. Widać było tylko kilka podłużnych zawiniątek, które równie dobrze mogły być workami ze zbożem lub ułożoną w sterty bronią. Jednak w czasie gdy Amos posuwał się naprzód po poziomej belce poprzecznej nad boksami koni, usłyszał dochodzący z przodu, gdzieś przy drzwiach wejściowych leżały tamte zawiniątka, odgłos, który dobył się niewątpliwie z gardła człowieka. Roztargnione westchnięcie, wyrrywające się z głębi snu.

Być może wojownicy na usługach Kościoła przynajmniej we śnie odczuwali wyrzuty sumienia, że szczuli psami św. Huberta niewinnych ludzi, że strzelali do nich ze swych kusz i grozili im torturami lub śmiercią w ogniu. Jednak niezależnie od tego, jakiej broni by jeszcze użyli, na nic to wszystko. Klara i on w końcu i tak zwyciężą, a ta pewność ogarnęła Amosa właśnie w chwili, gdy wraz z Klarą siedział w kucki na poprzecznej belce, spoglądając w dół na czarnego ogiera.

Był to naprawdę okazały koń o potężnych bokach i lśniąco czarnej sierści. Przed wszystkim zaś wyglądał dokładnie tak, jak dzielny karosz Laurencjusza Answera.

Klara uśmiechnęła się do Amosa, a on odwzajemnił uśmiech. Oboje skinęli głowami w swoją stronę, a następnie opuścili się dokładnie w tym samym czasie na grzbiety swych koni. Kasztanka przywitała Klarę cichym parsknięciem, a karosz wydał z siebie donośne rżenie. Nie zabrzmiało to tak, jakby konie były przerażone lub rozgniewane. Wręcz przeciwnie. W ich odgłosach wyczuwało się radość, której wyrazy były tak donośne, że cała

stajnia za jednym razem wybiła się ze snu. Dwa tuziny koni parskają i rżają. Z przodu przy wejściu podniosły się z trudem ze słomy dwa podłużne zawiniątka.

– Kto tam? – zakrzyknął ktoś.

Tymczasem Amos i Klara wymanewrowali końmi tyłem z boksów i pojechali środkowym korytarzem w stronę drzwi do stajni, Klara na kasztance z przodu. Obaj purpurowi wojownicy gapili się w ich stronę z niedowierzaniem. Jeden z nich wyrwał miecz z pochwy, drugi zapalił latarnię i uniósł ją w górę, zupełnie jakby tych dwoje młodych ludzi było tylko zjawami, które znikną, jeśli się je wystarczająco oświeci.

– Stać! – krzyknął żołnierz, który dobył miecza z pochwy.

– Kim jesteście? Skąd się tu wzięliście? – Stał z szeroko rozstawionymi nogami przed drzwiami. Po prawej stronie Amos dostrzegł ułożone w stos skrzynie. Były okute żelazem i zabezpieczone ogromnymi kłódkami. Na przedniej stronie każdej ze skrzyń widniał herb inkwizycji, a obok niego, niewiele mniejsza, strasznie wyszczerzona trupia czaszka.

– Złazić z koni, natychmiast! – rozkazał żołnierz, groźnie wymachując mieczem w kierunku Klary.

– Ja ci powiem, kim są te ziółka – oświadczył drugi z purpurowych wojowników. – To muszę być te dwa diabełki książkowe! Wiesz, o których mówię. – Pochylił się i postawił latarnię na ziemi.

– Uwaga! – syknął jego towarzysz. – Pamiętajcie o prochu! – powiedział, wskazując głową w stronę skrzyń, a Amos uświadomił sobie wtedy, co oznaczała ta trupia czaszka.

Ściągnął oczy w wąskie szparki i wejrzał w głąb siebie. Na wewnętrznym niebie świeciło nieco bladym i drgającym światłem jego własne magiczne serce, a więc nie zgasło, nie przepadło, tak jak się tego obawiał. I całkiem blisko niego świeciła druga gwiazda, równie wielka i lśniąca, a ich magiczne serca łączył szeroki strumień światła.

– Klaro, słyszysz mnie? W skrzyniach obok żołnierzy znajduje się proch strzelniczy. Jeden strzał lub iskra, a wszystko tutaj wyleci w powietrze!

– Poczekajmy, aż zgasi latarnię – odparła Klara. – Wtedy wyruszymy.

Zupełnie jakby dotarła do niego ich telepatyczna wymiana zdań, drugi z żołnierzy pochylił się ponownie i zgasił latarnię.

– Złazić z koni! – rozkazał znów żołnierz z mieczem w ręku.

Klara odwróciła się do Amosa i popatrzyła na niego natarczywym wzrokiem.

– Objadę go dookoła, a później w nogi!

– Jestem gotów. – Amos pochylił się do przodu i pogłaskał swojego karosza po szyi. Wtedy zauważył w gasnącym świetle latarni, w którym można było raczej coś przeczuwać,

niż ujrzeć, jak zza ułożonych w stos skrzynek z prochem wyszedł, zataczając się, jakiś cień.

– *Klaro!* – syknęła postać przez zęby. – *Wiedziałem, że przybędziesz właśnie tutaj!*

Pierwszy z żołnierzy odwrócił się i pchnął lekko drzwi. Światło księżyca padło na ziemię świetlistym czworobokiem, wystarczająco dużym, by oświetlić obu żołnierzy i żałośnie chudą postać, która wyszła zza skrzyń.

Z zapadniętymi policzkami, niczym ucieleśnienie śmierci, wychudzony chłopak stanął obok żołnierza, który popatrzył na niego z pogardą. Ale Hannes Mergelin zdawał się go w ogóle nie zauważać. Nie interesował go nikt i nic poza Klarą.

– *Wybacz mi* – zawołał telepatycznym głosem, ochrypłym od łez, spoglądając błagalnym wzrokiem w jej stronę ku górze. – *Ale wiem przecież, Klaro, że nie będziesz mogła mi wybaczyć. Bo niby jak? Sam też tego nie potrafię!*

Obaj żołnierze patrzyli teraz to na Klarę, to na Hannesa. Najwyraźniej wyczuwali, że między tym dwojgiem coś zaszło.

– *Ach, ty biedaku.* – Klara posłała mu pełen politowania uśmiech. – *Przecież to nie twoja wina.*

– *O nie!* – wykrzyczał Hannes. – *Tylko ja jestem temu winien, że Cellari i Skythis znów cię wytropili! Zdradziłem cię, Klaro. Do tego kocham cię tak, jak nigdy jeszcze nikogo nie kochałem!* – Błyskawicznie pochylił się w prawo i wyciągnął zza skrzyń z prochem arkebuz.

Amos i Klara obrzucili się spojrzeniami.

– *Na litość boską, Klaro, cóż on zamierza zrobić?*

Obaj purpurowi wojownicy zamarli.

– *Odlóż broń, ty szalony chłopaku. Bo inaczej wszystko wyleci w powietrze!*

– *I słusznie* – powiedział Hannes, wymierzając lufę broni w stronę żołnierza z mieczem. – *Otwieraj drzwi!*

– *Drzwi?* – wykrzyknął i gapił się na Hannesa z niedowierzaniem. – *Oba te książkowe diabły chcą się rzucić do ucieczki. A ty, przeklęty kościotrupie, chcesz im jeszcze w tym pomóc?*

Hannes spojrział tylko na żołnierza w milczeniu, a na jego twarzy malowały się teraz rozpacz i śmiertelna determinacja. Purpurowy wojownik gapił się jeszcze przez chwilę przed siebie, a następnie wcisnął miecz do pochwy i odsunął się na bok.

– *Idźcie teraz, jedźcie, uciekajcie!* – krzyknął Hannes swoim urywającym się, telepatycznym głosem. – *A ty, Klaro, pomódl się za mnie!*

Kasztanka ruszyła z miejsca, a karosze Amosa pobiegły za nią. Za ich plecami rozległy



się nerwowe krzyki, a chwilę potem odgłos wystrzału. Niemal jednocześnie rozbrzmiał ogłuszający huk i trzask eksplozji. Ziemia zadrżała, belki popękały, mury zawaliły się. Do tego jeszcze doszło skwierczenie płomieni i krzyki dobywające się z tuzinów gardeł – okrzyki strachu, bólu i gniewu.

Niczym fala powodziowa, z taką prędkością rozprzestrzenił się huk za plecami Amosa i Klary, w dół wzgórza klasztorne i ulicami tam na dole, nad rzeką. Ludzie biegli w ich stronę, w koszulach nocnych, ze zmęczonymi od snu twarzami, jednak nikt nie zwracał uwagi na młodych jeźdźców. Co najwyżej obrzucano ich jednym przelotnym spojrzeniem.

Klasztor na Wzgórzu Szkotów płonął! Ale zanim wybuchł pożar, miała miejsce eksplozja, tak głośna, jakby tam na górze rozwarła się czeluść piekieł! Któż by się interesował tym dwojgiem młodych ludzi, którzy jechali konno uliczkami w środku nocy? Nikt nie próbował ich zatrzymać, a już na pewno nikt nie puścił się za nimi w pogoń.

Z każdym zakrętem drogi, który zostawiali za sobą, było coraz ciszej. Tym głośniejsz odbijały się w nich echem huk eksplozji, skwierczenie ognia i krzyki.

## 6

– JOHANNES POŚWIĘCIŁ SIĘ DLA NAS – odezwała się Klara w pewnej chwili, nieco później w nocy. W tym czasie jechali już przez skąpane w świetle księżyca winnice, wysoko ponad miastem i rzeką.

– Dla ciebie – odparł Amos.

Nie odczuwał już jednak zazdrości, tylko ból i strach, a do tego jeszcze tamtą dziwną ufność, która narastała w nim coraz bardziej, w miarę jak jechali konno dalej przed siebie.

Jechali przez resztę nocy i następny dzień prawie bez przerwy. Przez doliny i lasy, obok Bambergu i coraz dalej w kierunku północno-wschodnim. Nikt nie podążał za nimi, nikt nawet nie zdawał się spoglądać na nich pełnym nieufności wzrokiem. Żywili się jabłkami i jagodami, które zrywali na skraju drogi. Od czasu do czasu zatrzymywali się na kilka godzin snu w porzuconych wozach pasterskich. Spokojnymi bocznymi drogami ciągnęli dalej przez Smreczany, a także przez pogańską kopę, jednak bez postoju, po drugiej stronie znów w dół i

raz po raz przez las, przez całą drugą noc, aż wczesnym rankiem dostali się pod Kirchenlamitz na szeroki trakt handlowy.

Już od dłuższego czasu nie mogli się doczekać, kiedy w końcu dotrą do swojego celu, nawet jeśli były nim po prostu czarne od dymu ruiny po pożarze. Byli wygłodniali, zakurzeni i potwornie zmęczeni. Jednak o wiele pilniej niż słomianki, kapieli czy kawałka chleba, potrzebowali czegoś innego. Amos znał jedno tylko miejsce na świecie, w którym mogli znaleźć to w wystarczającej ilości.

Papier, atrament i pióra.

– *Noc dawno już nastala* – powiedziała w pewnej chwili Klara, gdy jechali już kilka godzin przez tę jasną, gwiazdzistą noc – *a mimo to Laurencjusz Answer wciąż jeszcze stał przed swym kolistym lustrem*. – Uśmiechnęła się do Amosa tak obiecująco, jakby sama była tą ukochaną za lustrem rycerza Laurencjusza, na którego dzielnym karoszu jechał przecież z całą pewnością Amos.

Jego serce zaczęło nagle szybko bić, zaschło mu w ustach, a nieustannie patrzył jej prosto w oczy.

– *Szlachetna pani, podarujcie mi swoje sera* – wyszeptał i z utęsknieniem wyciągnął swe ramiona w stronę ukochanej.

Klara uśmiechnęła się jeszcze bardziej kusząco, w czasie gdy jechała kłusem obok niego na swojej kasztance.

– *Przynajmniej wydawało mu się w niepewnym blasku świec, że stojące obok niego lustro przedstawia ją ukochaną*.

– *Zawsze chcę was kochać* – odparł Amos – *nigdy nie chcę zasmucać, Lucyndo!*

Zatrzymała swojego konia, a on poszedł za jej przykładem.

– *Laurencjusz skłonił się przed nią, zamknął oczy i wyciągnął usta, by ucałować damę swego serca*. – I właśnie to uczynił po chwili Amos.

– *Jednak zamiast ciepłych, miękkich ust Lucyndy* – powiedziała Klara pod dłuższej przerwie – *poczuł chłód twardego metalu*.

Wtedy oboje nie mogli już powstrzymać się od śmiechu. Po raz pierwszy od wielu godzin i dni oboje wyrazili swą radość płynącą z głębi serca. Bo też to, co Amos poczuł właśnie na swych ustach, nie miało nic wspólnego z twardością i chłodem metalu. I bynajmniej nie było to spowodowane tylko tym, że Amos pocałował ją w policzek, a nie w usta.

– *Gdy wrzuciłam Księgę do ognia* – powiedziała – *sądziłam, że będzie stracona na wieki*. Ale magiczne zdolności wzbudziła w nas właśnie dlatego, że dogłębnie przyswoiliśmy

sobie wszystkie cztery opowieści. A to oznacza przecież, że istnieje w całości w naszych głowach. I to nie tylko te dwie pierwsze części, które opowiedziałam Leandrowi z pamięci, lecz także trzecia i czwarta opowieść.

Księżyc uśmiechnął się do niej z połyskującego nocnego nieba tak aksamitnie, jakby całkowicie zgadzał się z jej słowami. Potem schował się taktownie za jedną z pierzastych chmur, tymczasem Amos i Klara jeszcze raz czule się objęli i pocałowali.

– Naprawdę sądzisz, że nam się uda? – spytał Amos, po tym jak znów poprawili się na grzbietach koni. – Spisać z pamięci całą książkę, wszystkie cztery opowieści, zdanie po zdaniu, słowo po słowie?

– A ty myślisz, że nam się nie uda, mój wybrańcu?

– O nie, wierzę, że damy radę! – wykrzyknął. – Pospieszmy się i nie myślmy w drodze o niczym innym, abyśmy czegoś nie pomieszczyli albo nie zapomnieli.

– A jeśli nawet nam się to przytrafi – odparła Klara – jeśli w danym miejscu nie będziemy mieli całkowitej pewności co do dokładnego brzmienia opowieści, to zawsze możemy po prostu powrócić do przeszłości!

Na te słowa znowu nie mogli powstrzymać się od śmiechu, ale tym razem był to śmiech pełen niepokoju. Bo zdolność podróżowania w czasie i przestrzeni posiadali prawdopodobnie dopóty, dopóki wszystkie cztery opowieści z *Księgi duchów* były w całości obecne w ich sercach. Jeśli więc zapomnieliby choćby tylko jakąś małą część jednej tylko opowieści, to ich zdolność magicznego podróżowania do wcześniejszych czasów byłaby stracona. Wtedy jednak nie mogliby sprawdzić, co było napisane w danym miejscu w *Księdze*, zanim ta poszła z dymem.

Ale oni nie zapomną ani nie pomieszczyją niczego, żadnego fragmentu, żadnego zdania, ani jednego słowa! Coś podobnego po prostu nie mogło im się przydarzyć!

Gdy przybyli do Kirchenlamitz o świcie, oboje mieli zawroty głowy, tak często i gorączkowo recytowali sobie z pamięci opowieści z *Księgi duchów*, raz w całości, raz fragmentami, innym razem znowu dialogiem, a później każde z osobna w głębi.

– Najlepiej będzie, jeśli tu na mnie poczekaś – powiedział Amos, po tym jak właśnie skręcili w leśną ścieżkę prowadzącą z większej drogi do dawnego folwarku młyńskiego. – Ukryj się tam w krzakach i weź ze sobą także mojego karosza, a ja zaraz wracam.

Naciągnął sobie czarny kapelusz Andresa Kupferschuha głęboko na czoło i pobiegł dalej wzdłuż drogi, w głąb Kirchenlamitz. Na uliczkach miasta krzatali się już rozmaici ludzie i na pewno niektórzy z nich dziwili się na widok tego obdartego czeladnika murarskiego, pędzącego w stronę zamku pana urzędnika, nie oglądając się na prawo i lewo.

Przy komendanturze Amos przyczaił się za jakimś krzakiem, bo wejście spacerowym krokiem do siedziby komendanta wydało mu się nazbyt śmiałym przedsięwzięciem. W kieszeni kamizelki Andresa Kupferschuha już wiele dni wcześniej odkrył zmięty skrawek papieru i końcówkę ołówka. Teraz wyjął obie te rzeczy i napisał na skrawku krótką wiadomość, którą ułożył sobie w głowie, pędząc w tę stronę.

*Hebedank, przybywajcie pospiesznie – tam, gdzie wszystko się zaczęło.*

Tę wiadomość podpisał swoimi inicjałami, tak jak to podejrzwał u Kronusa. Następnie złożył papier w list, najlepiej jak umiał. Bo właśnie dlatego, tego był zupełnie pewien, Kronus wysłał go wówczas w pierwszej kolejności do zecera Hebedanka. Miał mu zanieść *Księgę duchów*, gdyby nie było już żadnej innej możliwości.

Amos musiał wytrwać w swoim ukryciu za krzakiem jeszcze przez dłuższą chwilę. Wtedy podeszli wreszcie do niego spacerowym krokiem Bardo i Marek. Obaj wyglądali jeszcze na zaspanych, a gdy Amos zwrócił na siebie ich uwagę gwizdnięciem, popatrzyli w popłochu na wszystkie strony, tylko nie tam, gdzie on siedział w krzakach, machając do nich spomiędzy liści.

Jednak żołnierze dostrzegli go w końcu, robiąc wielkie oczy.

– Panicz Amos? – krzyknął Bardo, a Amos przyłożył palec do ust.

Bardo i Marek obrzucili się spojrzeniami i podeszli powolnym krokiem do krzaka, pod którym siedział chłopak.

– Czy purpurowi depczą wam jeszcze po piętach? – spytał Marek zduszonym głosem, nie spuszczać oczu ze swojego towarzysza o jasnych blond włosach.

– Trzeba zanieść ten list do Norymbergii. Czy moglibyście to dla mnie zrobić?

Przypadkowa osoba z pewnością by się zdziwiła, że ta odpowiedź nijak się miała do pytania Marka, a ruchy ust Barda nie pasowały do słów, które właśnie zostały wypowiedziane. Nie mówiąc już o głosie rosłego gwardzisty, który brzmiał zazwyczaj o wiele niższej i bardziej chrypiały.

– Dla kogo jest przeznaczony ten list? – Marek podrapał się po swej rudej głowie. Patrzył tak sceptycznym wzrokiem, jakby się obawiał, że panicz Amos pośle ich prosto do więzienia inkwizycji.

Jednak pod tym względem Amosowi udało się jako tako uspokoić obu mężczyzn. W tych niepewnych czasach drukarnię omijało się najchętniej szerokim łukiem, ale drukarnia

wydawnicza Kobergera była, bądź co bądź, poważanym miejscem, do którego lepiej było zejść aniżeli na plac Dominikański. Marek i Bardo obiecali mu nawet, że liścik dostarczą już jutro. Niby przypadkiem wyruszą jeszcze dzisiaj pod pretekstem eskortowania powozu pana urzędnika Rabensteina do Norymbergii.

Amos podziękował im z całego serca. W kieszeniach Andresa Kupferschuha brzęknęło tylko kilka miedzianych monet, jednak Bardo nie chciał przyjąć niczego poza samym liścikiem.

– Jesteście teraz w gorszej sytuacji niż my – powiedział. – Niech Bóg was chroni, panie Amosie.

## 7

SPISANIE OPOWIEŚCI *o rycerzu, co znalazł swoją ukochaną za lustrem* było naprawdę względnie proste. Pierwszą przygodę rycerza Laurencjusza Amos przeczytał dwukrotnie w skrytorium Kronusa i pamiętał każde jej poszczególne słowo. W przypadku Klary było podobnie. Raz przeczytała jej tę opowieść matka Zofia, później jeszcze raz przeczytała ją sama, by w końcu z pamięci opowiedzieć ją Leandrowi.

Powtarzali sobie wzajemnie zdanie po zdaniu, a jeśli jakieś zdanie miało takie samo brzmienie w ustach obojga, Klara zapisywała je.

– *Jeśli szukasz kraju swoich przodków, spytaj kobietę mieszkającą w studni.* – Słońce nie osiągnęło jeszcze swojego najwyższego punktu na niebie, a Klara zapisała to zdanie, na którym kończyła się pierwsza opowieść.

Amos posypał połyskującą wilgocią atrament mialkim pisakiem, tak jak to często robił Kronus.

– Na szczęście – rzekł – przynajmniej dla Laurencjusza wszystko się pomyślnie kończy. – Bał się, gdy pomyślał o tym, co jeszcze mieli przed sobą.

– Dla Lucyndy też – odparła Klara, uśmiechając się do niego.

Oboje stali tuż obok siebie w Kronusowej tylnej izbie, jedynym pomieszczeniu, które jako tako przetrwało pożar. Pod otworem okiennym przepływał wartkim nurtem potok

Grundleinsbach, hucząc przy tym i bulgocąc. Z samego okna, podobnie zresztą jak i z drzwi, ostało się tylko kilka odłamków zwisających z zawiasów. Tu przynajmniej zachował się jeszcze sufit pokoju, a oni wspólnymi siłami przenieśli pulpit do pisania Kronusa na tył izby.

Czuli się tak roztrzęsieni i rozbudzeni, jak to tylko było możliwe w przypadku ludzi, którzy mieli za sobą bezsenne noce. Nie zmrúżyliby oka, dopóki nie spisaliby ostatniego zdania czwartej opowieści. A później będą spali cały dzień i całą noc, nie otwierając ani razu oczu.

– Krótka przerwa? – Nie czekając na jej odpowiedź, chwycił Klarę za rękę i pociągnął ją ze sobą przez zrujnowane skryptorium Kronusa na podwórze. Ich konie pasły się na łące za potokiem Grundleinsbach. Także ze stajni zachowały się tylko czarne od sadzy belki i deski, a Amos nie mógł się nadziwić, że z podwórza można było dostrzec niewielki most, a za nim łąkę.

– Tam, po drugiej stronie, znajduje się wyjście z tajnego korytarza – powiedział, wskazując na skraj lasu za pastwiskiem dla koni. – I to właśnie tam Johannes był przywiązany do drzewa niczym pies.

– Biedny, szalony Johannes – odezwała się cicho Klara.

Skythis i Cellari byli prawdopodobnie przekonani, że Klara i Amos również zginęli podczas eksplozji prochu strzelniczego. Już dawno musieli odkryć pustelnię z otwartą kopułą i opartą w środku o ścianę drewnianą belką. Przypuszczalnie wyglądało im to na plan ucieczki, uknuty przez Amosa i Klarę wspólnie z Johannesem, który spalił na panewce w straszliwy sposób.

Amos miał w każdym razie nadzieję, że łowcy kacerzy i ksiązek tak właśnie wszystko sobie wytłumaczą. Tymczasem musieli już wytropić w podziemnym pokoiku skalnym Trithemiusa i Fausta. Opat na pewno będzie się starał użyć całej swojej siły perswazji, by przekonać Cellariego i Skythisa, że *Księga duchów* spłonęła. Trithemius i Faust nie tak łatwo dadzą za wygraną i będą szukali Amosa i Klary. Dla inkwizytora, a w jeszcze większym stopniu dla podcenzora, stracą wszelkie znaczenie. Dwoje młodych ludzi w wieku szesnastu lat, którzy zdają się niewiele wiedzieć o tajemnicach Opus Spiritus. Od bractwa otrzymali misję uratowania *Księgi duchów*, zamiast tego, własnoręcznie ją zniszczyli.

Ramię w ramię poszli w stronę studni. Amos opuścił na dół wiadro i napełnił je pyszną, chłodną wodą. Włożyli swoje dłonie do miski i pili wodę, moczyli się nią wzajemnie i ganiali po podwórzu. Jednak ani na chwilę nie zapominali o tym, że mają jeszcze przed sobą największą i najtrudniejszą część zadania do wykonania.

Amos zatrzymał się przed ukośnym płotem, okalającym ogród warzywny Kronusa,

chętnie dając się złapać Klarze. Ta wzięła go pod rękę i przez chwilę oboje patrzyli w stronę prostokątnej dziury, którą Amos wykopał dziś o poranku w Kronusowej grządce z ziołami.

Masywna, bukowa skrzynia wciąż jeszcze znajdowała się na swym miejscu. Stary mężczyzna tak starannie pokrył ją smołą, że nie były jej w stanie zaszkodzić ani wilgoć, ani robactwo.

– Jako mała dziewczynka tak właśnie wyobrażałam sobie arkę Noego – powiedziała Klara. – Oczywiście była o wiele większa, ale w mojej wyobraźni Noe wykonał z drewna taką właśnie pływającą twierdzę, by uratować ludzi i zwierzęta przed potopem.

Amos pomyślał w duchu, że Kronus właściwie zawsze określał *Księgi duchów* jako arkę Noego, za pomocą której pragnął uratować najdrogocenniejsze duchowe skarby, pochodzące z dawnych czasów. Ale Klara też miała rację. Ta skrzynia naprawdę wyglądała nieco jak archaiczny statek, który stawiłby czoło najgorszym wichurom.

Powłókł skrzynię do domu, a dokładniej mówiąc do dawanego skryptorium Kronusa, między czarnymi od sadzy resztkami jego drogocennej biblioteki. Światło słoneczne wpadało tu z przodu, do środka przez sufit, gdyż pożoga prawie całkowicie zniszczyła piętro i więźbę dachową.

Jednak arka Noego na zielnej grządce przetrwała wszystko bez najmniejszego uszczerbku. Jednym z żelaznych okuć drzwi, które znalazł między gruzami, wyważył wieko, pod którym ujrzeli wszystko, czego tak pilnie potrzebowali: stos starannie ułożonych w warstwy arkuszy papieru, trzy napełnione po brzegi kałamarze i o wiele więcej piór, niż mogliby zużyć w ciągu całego roku.

– Gdy zakopałem z Kronusem tę skrzynię w ogrodzie – powiedział Amos do Klary – on poczynił pewną uwagę, która wydawała mi się wówczas nieco przesadzona.

– Cóż to była za uwaga? – chciała się dowiedzieć Klara.

– Powiedział: „Niektórzy ludzie zakopują swoje skarby, złoto lub pieniądze, w ogrodzie, bo boją się tego, że pewnego dnia mogliby stać się biedakami. Jednak ja o wiele bardziej boję się tego, że w mojej głowie mogłaby zrodzić się jakaś dobra opowieść lub jakaś ciekawa myśl, a ja nie miałbym ani skrawka papieru w domu, by wszystko to spisać”. I dorzucił jeszcze z dwuznacznym uśmiechem na twarzy: „Ale skoro mam tę skrzynię w moim ogródku warzywnym, nic takiego nie może mi się przecież przytrafić”.

Klara cicho westchnęła, a oczy pociemniały jej od zgryzoty. Amos czuł, że w tym momencie pomyślała sobie to samo, co on Kronusowi i dziełu jego życia przytrafiło się coś najgorszego, co tylko można było sobie wyobrazić. Wszystko wskazywało na to, że on sam już nie żył, a jego książka była już tylko grudką popiołu.

– Wracajmy do pracy – powiedział.

Wrócili za pulpit Kronusa i być może było to spowodowane obecnością pozłacanej gałązki jemioli, która wciąż jeszcze tkwiła w trupiej czaszce z kości słoniowej i której sam Kronus przypisywał magiczne właściwości, że udało im się w bardzo krótkim czasie spisać z pamięci drugą opowieść i to bez większych trudności.

Tylko w jednym miejscu Klarę na krótko dręczyły wątpliwości.

– *Tuż przed nimi znajdowało się teraz czołno z białym koniem, który sprawiał wrażenie, jakby był uwięziony w sieci czarnych linii.*

Aż dotąd zgadzali się ze sobą co do słowa i sylaby. Na zmianę wypowiadali na głos dane zdanie, a ta druga osoba zawsze tylko przytakiwała i zapisywała je. Jednak gdy doszli do tego fragmentu, na twarzy Klary pojawiły się wątpliwości i zamiast po prostu zapisać zdanie wypowiedziane przez Amosa, żuła końcówkę pióra.

– Wiem już – odezwała się – że biały koń otrzymał jeszcze później wzór w linie. W wersji, którą przeczytała mi z listu Kronusa matka Zofia, był to po prostu biały koń. Czy na pewno jesteś pewien, że należy napisać „sieć czarnych linii”, a nie „wzór w czarne linie”?

Amos zamknął oczy i wejrzał w głąb siebie.

– Na pewno – odparł i zanim jeszcze zdążyła mu posłać ostatnie zadumane spojrzenie, Klara zanurzyła pióro w kałamarzu i zapisała to zdanie tak, jak właśnie wypowiedział je Amos.

Potem przesunęła w jego stronę papier i pióro, bo teraz przyszła na niego kolej w zapisywaniu następnego zdania.

– *I nagle flisak jął – powiedziała – uderzać swoim kijem o koryto rzeki jak oszalały, wykrzykując przy tym zdyszonym głosem: „To przynosi szczęście, to przynosi szczęście!”*

Amos kiwnął głową i zapisał. Ledwo minęło południe, a już udało im się zapisać całą opowieść o kobiecie, co mieszkała w studni. Chłopak rzucił pióro na pulpit i posypał mialki piasek na wilgotny atrament. Ostatnie zdanie tej opowieści brzmiało następująco:

– *Jeszcze przez krótką chwilę widział w nich kobietę ze studni, jak się do niego uśmiecha, jak kolory jej oczu zmieniają się z szybkością przyprawiającą o zawrót głowy, i jak na jej języku rozbłyskiwały tajemnicze znaki – rozstawione pod kątem prostym palce, uniesiona tarcza i szpony drapieżnego ptaka.*

– Szpony drapieżnego ptaka – wymamrotał Amos. – Ależ Kronus miał we wszystkim rację! Czas dawnych magów minął bezpowrotnie, zawsze powtarzał. W dzisiejszych czasach tylko poeci, autorzy wymyślnych opowieści i ich czytelnicy parają się jeszcze magią, nie wyrządzając przy tym żadnych szkód. Dopiero teraz tak naprawdę pojąłem, co ten stary



mędrzec chciał przez to powiedzieć.

Oboje musieli teraz pomyśleć o Rogdr, o swoich przodkach, będących ich lustrzanymi odbiciami, przez których grzmiały i krzyczały duchy wieloma różnymi głosami. I tylko sami kapłani byli pozbawieni własnych głosów i własnej woli.

Amos skinął głową i znów wybiegli na słoneczne podwórze. Gołymi rękami wyłowił z potoku Grundleinsbach dwa pstrągi, które upiekli na roznieconym naprędcie ogniu. Jedli chrupiącą rybę, a pragnienie gasili wodą ze studni. Mimo że po jedzeniu czuli narastające zmęczenie, nadal nie pozwalali sobie na chwilę wytchnienia.

Najtrudniejszą część swojego zadania mieli dopiero przed sobą. Najprawdopodobniej spisywanie kolejnych opowieści nie będzie im szło już tak gładko, jak do tej pory. Trzecią i czwartą część przeczytali tylko jeden raz.

– *W czasie gdy rycerz Laurencjusz szedł łąką swego dzieciństwa w stronę zamku Answer, z koszuli i włosów ściekały mu krople* – powiedział Amos, ledwo zdążyli przełknąć ostatni kęs.

– *Wlepił wzrok w sylwetkę szacownych murów, w których niegdyś dorastał* - odparła Klara, w czasie gdy szli przez podwórze z powrotem do pulpitu – *tak jak przed nim jego ojciec, jego dziadek i wszyscy przodkowie w męskiej linii od niepamiętnych czasów.*

Ku ich radosnemu zaskoczeniu, spisywanie z pamięci opowieści o *skale, co była oknem* nie sprawiało im w ogóle żadnych trudności. Wręcz przeciwnie. Nagle oboje ujrzeli przed sobą wszystko tak wyraźnie, jakby opowieść była wypisana w powietrzu przed nimi. Wystarczyło tylko, że opisywali to, co widzieli przed sobą. Tym sposobem nie musieli już nawet recytować sobie wzajemnie poszczególnych zdań. Rozbieganymi palcami zapisywali stronę po stronie. Ogarnęło ich istne szaleństwo pisania. A kto z nich trzymał właśnie pióro, ten oddawał je dopiero wtedy, gdy zdrętwiała mu ręka od tego spieszego poruszania tam i z powrotem.

– *Czwarty krucmar popatrzył na niego w zamyśleniu, zanim udzielił mu informacji* – napisała w końcu Klara. – *Zapytaj przewoźnika, co płynie pod prąd.*

Nad dawnym folwarkiem młyńskim zachodziło już słońce.

– Nie robimy sobie żadnej przerwy – rzekł Amos.

Klara kiwnęła głową. Jej oczy połyskiwały zielenią niczym leśne jezioro pod zamkiem Answer. Podała mu pióro, a Amos umaczał je w kałamarzu i napisał: o *przewoźniku, co płynął pod prąd*. A później pisał i pisał, nie zwracając uwagi na nic innego. Widział unoszące się przed nim stronicie *Księgi duchów*, a nieco poniżej stos niezapisanych kartek na pulpicie. Zanurzył pióro w kałamarzu i pisał dalej, przesuając niecierpliwie leżącą na samym

wierzchu kartkę, gdy była już cała zapisana. I dopiero gdy jego pozbawione czucia palce nie mogły już utrzymać pióra, budził się z tego gorączkowego snu i oddawał pulpit do dyspozycji Klary. Ta również pisała bez wytchnienia, przerwała zaś dopiero wtedy, gdy minęło już pół nocy, a opowieść była już prawie kompletna.

W świetle latarni i świec, które znaleźli pośród gruzów, Amos zapisał wreszcie ostatnie zdanie z czwartej opowieści: *Szeptaj mi dalej na ucho, najdroższy Wawrzyńcu – powiedziała. – Jeszcze nigdy dotąd nie słyszałam tak pysznych wierszy.*

Amos upuścił pióro na pulpit i spojrzał na Klarę.

– Udało się nam! – powiedział. – Naprawdę się nam udało!

Chwycił ją za rękę i znów wybiegli razem na podwórze. Niebo było zasłane gwiazdami, a chmury, w które owinał się księżyc, wyglądały jak welon panny młodej.

W każdym razie tak im się wydawało.

Amos przyciągnął Klarę do siebie i pocałował ją jeszcze czulej niż kiedykolwiek dotąd.

– Całuj mnie dalej, najdroższy Amosie – wyszeptwała, gdy oderwał swoje usta od jej warg. – Jeszcze nigdy dotąd nie smakowałam tak pysznych pocałunków.

Amos nie kazał się o to dwa razy prosić. Pewnie spędziliby tę noc w ten właśnie sposób, całując się, pieszcząc i szepcząc sobie miłosne wyznania na ucho. Ale nie spali już od trzech dni i trzech nocy i ledwo ułożyli się wygodnie na zewnątrz przy swych koniach, a już obojgu opadły powieki.

Tak jak Laurencjusz i ja odnalazłem swoją ukochaną, pomyślał jeszcze Amos, zanim zasnął. Mimo wszystkich tych wrogów i niebezpieczeństw udało się im uchronić przed zniszczeniem Kronusowe dzieło życia. Gdybyście tylko jeszcze żyli, drogi panie, wtedy nasze szczęście byłoby całkowite.

## 8

AMOS OBUDZIŁ SIĘ, bo ktoś go szturchnął w ramię i dmuchnął mu do ucha.

– Ej, przestań! – wymamrotał sennym głosem. Otworzył jedno oko do połowy, by

zaraz je z powrotem zamknąć. Obok niego stał jego koń, który spuścił w jego stronę głowę, poszturchując go i dmuchając na niego ze swych chrap.

– Daj mi pospać, dzielny karoszu, dobrze?

Obok niego leżała pogrążona w głębokim śnie Klara. Niebo ponad ich głowami dopiero zaczynało barwić się na szaro – szarością czcionek drukarskich, pomyślał Amos. Serce zaczęło mu szybciej bić. Skoro na dworze zaczyna dopiero świtać, pomyślał, to Hebedank przybędzie do nich najwcześniej jutro. Nawet jeśli Marek i Bardo przekażą mu list jeszcze dziś o poranku, a Hebedank rzuci wszystko, by najkrótszą drogą dotrzeć do Hohenstein.

Amos przeciągnął się w trawie, jednak nie mógł znaleźć wygodnej pozycji do spania. Poza tym jego szalony karosz wciąż bez przerwy trącał go w ramię, a teraz rozbrzmiały także dochodzące od strony lasu tętent i turkot kół.

Łowcy książek chyba nie odnaleźli znów ich tropu?

Tym razem Amos otworzył szeroko oczy, przewrócił się na bok i wsparł głowę na prawej ręce. Dziwne, jak bardzo czuł się wypoczęty. Przecież spali co najwyżej trzy lub cztery godziny! Klara leżała obok niego na plecach i uśmiechała się przez sen. Najchętniej znowu pocałowałby ją w usta, by ponownie przekonać się o tym, że bynajmniej nie są twarde i zimne niczym mosiądz. Lecz wręcz przeciwnie – sprężysto miękkie i...

Dochodzące od strony lasu stapania i turkot stawały się coraz głośniejsze. Karosz zarżał głośno, a kasztanka odpowiedziała mu jeszcze bardziej przeraźliwym dźwiękiem. Karosz podbiegł galopem w jej stronę i oboje wrócili do Amosa i Klary, zachowując się coraz dziwniej.

Biegały w kółko dookoła nich, poszturchując ich to w nogi, to znowuż w głowę lub po ramionach. Parskały przy tym i rżały, jakby zupełnie postradały swoje końskie rozумы.

– Cieszą się – odezwała się Klara sennym głosem i uśmiechnęła się do niego w górę. – Ale z czego?

– Stamtąd nadjeżdża ktoś karetą – odparł Amos. – Prawdopodobnie chcą nas ostrzec.  
– Ale to, co prezentowały ich konie, naprawdę przypominało raczej swawolny, radosny taniec.

Amos i Klara podnieśli się z trudem, wyskubali sobie źdźbła trawy z ubrań i włosów.

– Czuję się tak – powiedziała Klara – jakbym spała przez co najmniej jeden dzień i jedną noc. Jestem tak rześka i tak głodna.

I właśnie w tej chwili zza zakrętu drogi wyłoniła się jednokonka, biorąc kurs na chwiejny, niewielki most z drewna nad potokiem Grundleinsbach. Powozem kierował krępo

zbudowany mężczyzna w średnim wieku. Włosy na jego głowie były już przerzedzone i raczej szare niż brązowe. Na widok czarnej od sadzy ruiny jego już i tak ponura twarz nabrała jeszcze bardziej posępnego wyrazu. Amos od razu go rozpoznał. Był to Hebedank lub raczej zecer z drukarni Kobergera, któremu miał wtedy dostarczyć list „dla Hebedanka”. Mimo że, według słów samego Kronusa, nie było to jego prawdziwe nazwisko.

Amos i Klara wybiegli mu przez łąkę naprzeciw. Jednak Hebedank musnął ich tylko ponurym spojrzeniem i wciąż kierował się w stronę mostka.

– Poczekajcie! – krzyknął Amos. – Wysłałem wam list!

Z wyraźną niechęcią Hebedank ściągnął cugle swego konia. Zwierzę było bliżej nieokreślonego umaszczenia, raczej szare jak kurz niż brązowe jak błoto, i sprawiło na Amosie takie samo ponure wrażenie, jak jego pan.

– Cóż to ma znaczyć? Wysłałeś mi list? – wyburczał Hebedank.

– Po co te wszystkie kłamstwa? I gdzie w ogóle jest Kronus? – Zecer i jego koń spojrzeli na Amosa z wyrzutem.

– Kłamstwa? – powtórzył Amos. – Co macie na myśli? Napisałem wam tylko, że jesteście oczekiwani tam, gdzie się wszystko zaczęło. Chodziło mi oczywiście o książkę, ale tego chyba domyśliliście się sami.

Hebedank zarzucił sobie połowę swojej peleryny przez ramię i uparcie grzebał w swojej kamizelce. Nadal siedział wysoko na koźle wozu i bynajmniej nie był skłonny zejść na dół, zanim nie otrzyma zadowolającej go odpowiedzi. Ale odpowiedzi na co?

Wreszcie wyciągnął jakiś pomięty papierek.

– Ten list mi napisałeś, chłopcze?

Amos kiwnął głową.

– Tak, panie. Jestem wam bardzo wdzięczny, że przybyliście tak szybko. To my, Klara i ja. – Wskazał na Klarę, która stała obok niego i ukradkiem ścierała sobie sen z oczu.

Jednak Hebedank pokręcił tylko gniewnie głową.

– Wciąż nie rozumiem ani słowa – powiedział. – Czy to Kronus kazał ci napisać ten list?

– Nie, panie. – Amos nie mógł mówić dalej. Zupełnie niespodziewanie w gardle utworzyła mu się gęsia skóra i niezależnie od tego, jak gwałtownie przełykał ślinę, kluska tkwiła mu w gardle niczym czop.

– Kronus chyba nie żyje – udało mu się wreszcie wydusić. – Sami przecież widzicie, co zrobili tu purpurowi wojownicy. – Wskazał na folwark po drugiej stronie potoku. – Od tamtego czasu nie dał żadnego znaku życia – dodał. – Musiał zginąć w płomieniach albo

inkwizytor wywiózł go do swego więzienia. – Oczy napęły mu się łzami. Energicznie je otarł, ale nic to nie pomogło. Natychmiast napłynęły mu następne.

Hebedank wciąż jeszcze sprawiał wrażenie zaniepokojonego i niezadowolonego, ale przynajmniej teraz zeskoczył ze swojego wozu i wyprzęgnął swojego konia. Ten zaraz też pobiegł na łąkę i zaczął się paść. Tymczasem kasztanka i karosz nadbiegli klusem od strony skraju lasu, by powitać swojego nowego kompana. Szarobrązowy koń pozwolił się tylko krótko obwąchać, po czym odwrócił się do nich zadem. Był tak samo nietowarzystki jak jego pan.

– Bardzo mi przykro z powodu Kronusa – powiedział Hebedank do Amosa. – Ale fakt, że piszesz do mnie w jego imieniu, pozostaje mimo to kłamstwem, którego również Kronus z pewnością by nie pochwałał.

Amos nadal nie pojmował, do czego tak właściwie zecer zmierzał.

– Wezwałem was tutaj – rzekł – bo Klarze i mnie udało się w niezwykle niebezpiecznych okolicznościach uchronić książkę Kronusa przed zniszczeniem. Ale ja nie pisałem przecież w jego imieniu, lecz...

Hebedank wyciągnął w jego stronę pomietą karteczkę, a Amos wgapił się w nią i zapomniał języka w gębie. *Hebedank, przybywajcie pospiesznie tam, gdzie wszystko się zaczęło* – było tam napisane zgodnie z prawdą. Poniżej jednak widniały dwa inicjały które nie powinny się tam znaleźć: *V. K.*

– To... to... – wyjąknął Amos i przesunął bezradnie wzrok z karteczki na Klarę, a z niej na Hebedanka. – Nie pojmuję tego! – wyrzucił z siebie żalonym tonem.

Zecer spoglądał na niego w dół ze zmarszczonym czołem, ze skrzyżowanymi na piersi ramionami.

– Ja to doskonale rozumiem. Łatwo mogłeś sobie wykalkulować, że na pewno nie „przybyłbym pospiesznie”, gdyby wezwał mnie chłopaczek bez brody zamiast mistrza Kronusa.

W Amosie stopniowo narastała wściekłość. Z powodu tego chłopaczka bez brody chciał krzyknąć zecerowi w twarz. Ten cały Hebedank nie miał zielonego pojęcia, przez co musieli przejść Klara i on, by uratować *Księgę*. Tymczasem ten ponurak zgrywa się na jakiegoś archanioła w dniu Sądu Ostatecznego i to tylko z powodu błahej pomyłki! Sama pomyłka wydała mu się dość przerażająca. Było wręcz tak, jakby nagle wstąpił w niego duch Kronusa! Co, oczywiście, nie było możliwe. A mimo to wciąż kipiał w nim gniew, bo ostatecznie Hebedank nie miał prawa wyzywać go od kłamców!

W samą porę Klara położyła mu swoją chłodną dłoń na ramieniu i spojrziała na niego

zaklinającym wzrokiem.

– *Pohamuj swej gniew, Amosie. Jeśli Hebedank nam nie pomoże, wszystko będzie na próżno.*

– *Nie martw się. Opanuję się.* – Uśmiechnął się w jej stronę.

– Proszę, miejcie pobłażanie dla tej mojej drobnej pomyłki – powiedział do Hebedanka. – Sam nie potrafię sobie tego wyjaśnić. W każdym razie na pewno nie chciałem was oszukać. – Wziął głęboki oddech. – Klarze i mnie udało się uratować *Księgę duchów* – ciągnął dalej. – Zwróciłem się do was, bo wiem, że Kronus darzył was zaufaniem. Proszę, dopilnujcie, aby została wydrukowana i rozprowadzona na wszystkie strony świata, tak jak życzył sobie tego Kronus.

Hebedank popatrzył na niego jeszcze przez chwilę ponurym wzrokiem, a następnie kiwnął głową w stronę Amosa.

– Dobrze więc. Pokaż mi manuskrypt. Kronus już dawno temu mi powiedział, po czym mam rozpoznać, czy rzeczywiście chodzi o oryginał książki o duchach.

Amos i Klara wymienili szybkie spojrzenia.

– A po czym możecie to poznać? – spytała Klara.

– Pokażcie mi książkę, a wtedy wszystko się okaże. – Hebedank pomaszerował w stronę mostu, a im nie pozostało nic innego, jak tylko podążyć za nim.

– Po pierwsze *Księga* musi być oczywiście oprawiona w króliczą skórę, a okładka własnoręcznie opisana przez Kronusa. – Hebedank mówił dalej bez przerwy, ale nic nie można było zrozumieć. Huk potoku Grundleinsbach zagłuszył wszystkie inne odgłosy.

Amos i Klara przyspieszyli kroku, by do niego dołączyć.

– Poza tym od początku do końca musi być zapisana specjalnym pismem – ciągnął dalej Hebedank, przemierzając wielkimi krokami podwórze. – Kronus nauczył się tego pisma w czasie swojego pobytu w klasztorze – oznajmił. – Tylko wykształceni kopiści opanowują ten charakter pisma i każdy, kto choć trochę się na tym zna, od razu i z łatwością odróżni oryginał od kopii.

Amos i Klara szli przed nim w milczeniu do dawnego folwarku młyńskiego.

– Jak doszczętnie wszystko tu spustoszyli. – Usłyszeli, jak mamroce pod nosem. – Biedny Kronus. Byłeś nie tylko mądrym, lecz także odważnym mężczyzną.

W środku poprowadzili go od razu do tylnej izby. Na pulpicie Kronusa leżały starannie ułożone w stos kartki manuskryptu książki o duchach, którą spisywali przedwczoraj z pamięci do późna w nocy.

Hebedank rzucił pobieżne spojrzenie na pulpit i rozejrzał się dookoła szukającym

wzrokiem.

– Gdzie ona jest?

– Ano tam leży – odparł Amos, wskazując na rękopis.

– Proszę, pozwólcie, że wam to wyjaśnimy – dorzuciła Klara. Jednak Hebedank znów pokręcił swoją szarą głową. Do tego popatrzył ponurym wzrokiem, że nie śmieli nawet dodać ani słowa wyjaśnienia. Milcząc, stanął za pulpitem i zaczął kartkować manuskrypt. Potrząsał przy tym raz za razem głową, jakby jeszcze nigdy nie ujrzał tak podłego pisma.

Amos spojrział na Klarę zaklinającym wzrokiem.

– *Co teraz zrobimy?*

– *Musimy spróbować wszystko mu wyjaśnić* – odparła Klara.

– *Ale on znowu uzna nas za zwykłych oszustów!*

Hebedank walnął pięścią w pulpit, a Amos i Klara wzdrygnęli się ze strachu.

– Kto to nabazgrał?! – krzyknął zecer, a jego twarz poczerwieniała.

– To nie jest manuskrypt Kronusa, to jakieś dziecięce gryzmoły, żalosna próba oszustwa, coś takiego jeszcze nigdy mi się nie przytrafiło!

– Proszę, panie, wszystko możemy wyjaśnić – błagała Klara.

– A co tu jest do wyjaśniania? – krzyknął Hebedank. – Zwabiliście mnie tutaj, ale ani nie ma tu Kronusa, ani nie uratowaliście jego książki! Jesteście kłamcami i oszustami, nikim innym.

– Na Boga, wysłuchajcie nas. – Amos miał już naprawdę dosyć pomstowania Hebedanka. – Oryginał spłonął – powiedział. – Macie przed sobą kopię, którą Klara i ja sporządziliśmy z pamięci.

– Spłonął?! – powtórzył Hebedank, wciąż jeszcze krzycząc.

– Czy nie powiedziałeś przed chwilą „spłonął”? Kto, do licha, odważył się spalić *Księgę!*

Klara spuściła głowę.

– To byłem ja, panie. Nie było innego wyjścia.

Hebedank spojrział na nią nieruchomym wzrokiem.

– Ty? – wykrzyczał. – Spaliłaś najdrogocenniejszą z wszystkich książek? Dlaczegoś to zrobiła?

– To właśnie chcielibyśmy ci wyjaśnić, Johannie – wtrącił jakiś znajomy głos. Wszyscy gwałtownie się odwrócili i spojrzeli na drobną postać, która nagle pojawiła się w dawnym skrytorium. – Dlaczego zawsze musisz od razu tak nerwowo wrzeszczeć? – powiedział Kronus. – Amos i Klara uratowali *Księgę*, teraz wszystko będzie dobrze.

– KRONUSIE! – Amos gapił się na niego jak na ducha. – Czy to naprawdę wy, mój drogi panie?

Stary mężczyzna podszedł do Amosa i objął go, krótko i delikatnie.

– Bądź pozdrowiony, Amosie von Hohenstein.

Jego włosy stały się białe niczym śnieg i opadały mu aż do ramion. Także długa, biała broda sprawiała, że wyglądał nieswojo, przypominał bardziej świętego lub pustelnika niż poetę i uczonego w piśmie. Mimo to był to ten sam Valentin Kronus, nie było co do tego żadnych wątpliwości. Jego oczy błyszczały jak dawniej, a łagodny uśmiech rozświetlał jego twarz.

– Jak cudownie, panie – wyjąkał Amos – że żyjecie!

Kronus odwrócił się do Klary, ujął jej dłonie i się do niej uśmiechnął.

– I ty, Klaro Thalgruber, bądź pozdrowiona. – Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej kruchego niż dawniej. Jego skóra była blada, prześwitująca prawie jak papier.

– Skąd się tu tak nagle wziąłeś, Kronusie? – wtrącił Hebedank. – Czy to ty napisałeś do mnie list?

Kronus pokręcił głową. W ogóle nie wydawał się zdziwiony faktem, że odnajduje swoją dawną bibliotekę i skryptorium w tak opłakanym stanie.

– Chodźcie ze mną – powiedział. – Chcę wam pokazać, gdzie ukryłem się przed Cellarim i jego siepaczami.

Amos i Klara wymienili się spojrzeniami. Kronus się odwrócił i lekkim krokiem wyszedł na zewnątrz. Na podwórzu skierował się w lewo, zatrzymał się jednak po kilku krokach i wskazał na wąską ścieżkę, która prowadziła stromo w dół w kierunku jodłowego lasu. Po lewej płynął w dół z hukiem potok.

– Znasz tę drogę lepiej niż ja, Amosie – powiedział. – Pozwól, że szybko wyjaśnię Klarze i naszemu zacnemu Hebedankowi: ścieżka wiedzie przez las w górę na zamek Hohenstein. W połowie drogi ma swe źródło w szczelinie skalnej, która swym wyglądem przypomina wielkie, uśmiechnięte usta, potok Grundleinsbach. I to właśnie w tej szczelinie spędziłem ostatnie tygodnie.

Amos popatrzył na niego wielkimi oczami. Wciąż jeszcze nie mógł tak do końca uwierzyć, że Kronus naprawdę żyje.

– W źródle, panie? – spytał.



Kronus pokręcił głową, uśmiechając się.

– Szczelina jest tylko wejściem do rozgałęzionej sieci jaskiń i korytarzy skalnych. Gdy się tam wpełza, trzeba nieco uważać, aby nie przemoczyć się od stóp do głów. Ale jeśli ktoś wystarczająco się skuli i przeciśnie po lewej stronie, obok wody, można przejść jako tako suchym. Zaraz w środku zaczyna się korytarz skalny, który po kilkudziesięciu krokach przechodzi w rozległą jaskinię. – Ogarnął wzrokiem Amosa i Klarę. – Pewnie się domyśliliście, że także ta jaskinia była w dawnych czasach pogańskim sanktuarium, niewiele różniącym się od „widzącego jeziora” w Rogdr.

– Znacie Rogdr? – zapytała Klara.

Jednak Kronus zbył to pytanie uśmiechem.

– Już dawno temu – powiedział – w tamtej jaskini zebrałem na czarną godzinę małe zapasy: pióra i atrament, papier i świece, ale także zakonserwowaną żywność w dobrze wysmołowanych pojemnikach. Bo od dawna przeczuwałem, że łowcy kacerzy i księżek kiedyś w końcu mnie wytropią. A wody jest tam, w środku, więcej niż potrzeba, w dzień zaś słońce wpada przez małe otwory w skale do środka, dzięki czemu nigdy nie jest tam całkiem ciemno.

We wnętrzu Amosa kotłowały się najróżniejsze uczucia – radość, zdziwienie, ale także lekkie rozgoryczenie.

– Skoro siedzieliście tam, w jaskini, przez cały ten czas – zwrócił się do Kronusa – dlaczego nigdy nie daliście mi żadnego znaku? Tak bardzo się o was martwiłem. Raz po raz usiłowałem nawiązać z wami łączność na drodze magii, jednak wy nigdy mi nie odpowiedzieliście. Aż w końcu uwierzyłem, że nie żyjecie. – Starał się, aby nie zabrzmiało to jak wyrzut, ale z każdym kolejnym wypowiedzianym słowem czuł coraz wyraźniej, jak bardzo bolało go to, że Kronus przez cały ten czas nie przesłał mu najmniejszego znaku.

– Nie miej do mnie żalu, Amosie – powiedział starzec. – Po tym jak uciekłem do jaskini, przywołałem cię przecież jeszcze, lecz wtedy nagle ogarnęło mnie coś, co było o wiele ode mnie silniejsze.

Amos spojrzał na niego nieufnie.

– Co to było, panie, co was tak nagle ogarnęło?

Kronus dotknął pomarszczoną dłońią znaczonego głębokimi bruzdami czoła.

– Pamiętasz jeszcze, co powiedziałem ci kiedyś o *Pieśni przemian*?

– Nigdy nie zapomnę ani jednego z waszych słów. – Amos zamknął na krótko oczy. – *Pieśń przemian* spisał przed tysiącem lat pewien Arab. Mężczyzna ten był właściwie prostym sekretarzem w Radzie Miejskiej, ale ni stąd, ni zowąd doznał potężnych wizji. Początkowo

wzbraniał się przed tym, jednak dopiero gdy wszystko spisał, wizje opuściły go, a on wrócił z ulgą do swojego wcześniejszego życia.

Kronus skinął głową z uznaniem.

– Brawo, Amosie! Tak właśnie wiodło się temu arabskiemu sekretarzowi Rady Miejskiej. I dopiero niedawno pewien starzec uczynił coś dość podobnego.

– Macie na myśli was samych, panie? – zapytała Klara i tym razem również ona uzyskała odpowiedź od Kronusa.

– Ty i Amos jesteście jeszcze młodzi i pełni sił – powiedział. – Dlatego też ledwo możecie sobie wyobrazić, jak męczące dla starego człowieka było prawie nieustanne, ciągnące się całymi tygodniami i miesiącami, opisywanie tego, co z niewysychającego strumienia wizji i opowieści spływa na człowieka. Tak właśnie było w moim przypadku, odkąd znalazłem schronienie w tamtej pogańskiej jaskini. I właśnie dlatego – zwrócił się ze skruszonym uśmiechem do Amosa – nie mogłem wysłać ci żadnego znaku życia, jakkolwiek chętnie uspokoiłbym cię, pocieszył i udzielił wsparcia. Znajdowałem się zupełnie pod wpływem tamtych wizji, które nieustannie na mnie spływały. Byłem jakby w magicznej malignie, która dopada człowieka podczas lektury *Księgi duchów*, tyle tylko, że ta gorączkowa potrzeba pisania była jeszcze o wiele silniejsza, a przede wszystkim o wiele dłużej ów czar trzymał mnie w swym szachu.

– Cóż to były za wizje i opowieści? – spytał Amos.

Starzec wzruszył ramionami, które były chude i spiczaste niczym skrzydła starego ptaka. Nagle zaczął sprawiać wrażenie wręcz zmieszanego.

– Dlaczego nie pójdziecie oboje szybko do jaskini? – powiedział i spojrzał najpierw na Amosa, a później na Klarę. – Znajdziecie tam dwa pakunki z zapisanymi kartkami, zawinięte dla ochrony przed wilgocią w grubą warstwę paproci i sitowia, tak jak ty, Amosie, uczyniłeś to wcześniej w przypadku *Księgi duchów*.

– Wtedy w skalnym labiryncie pod Wunsiedel? Ale skąd o tym wiecie, panie? – Amos niczego już z tego nie rozumiał.

– Spisałem wszystko tak, jak do mnie dotarło – odparł Kronus. – Ale czy wszystko naprawdę wydarzyło się istotnie w ten właśnie sposób, o tym wiem jeszcze mniej niż wy.

Klara i Amos spojrzeli na siebie. Albo duchowi Kronusa wszystko się pomieszało w ciągu tych samotnych tygodni, albo...

Pobiegli. W górę stromą ścieżką obok potoku Grundleinsbach, a następnie poszli szybkim krokiem przez jodłowy las, mijając po lewej stronie potok. Po niespełna półgodzinie dotarli do porośniętej mchem ściany skalnej z poziomą szczeliną, z której wytryskiwał potok.

Zdyszani, włożyli ręce pod strumień przejrzystej wody i wypili kilka jej łyków, tak jak zwykło to czynić Amos za każdym razem, gdy przechodził obok, udając się do Kronusa lub w drodze powrotnej na zamek.

Szczelina, z której rozlewała się krynica, naprawdę przywodziła na myśl uśmiechnięte usta. I tak bardzo przypominała o wiele większą szczelinę nad „widzącym jeziorem”, jakby obie były dziełami sztuki wykonanymi przez tego samego kamieniarza.

Wspięli się do szczeliny i przecisnęli się obok strumienia w głąb góry, tak jak im to opisał Kronus. Wewnątrz panowały mrok, wilgoć i chłód. Korytarz, który wił się głębiej w skale, był tak niski i wąski, że musieli wciągnąć głowy, a Amos uderzał ramionami o ściany po lewej i prawej stronie. Jednak już po dobrych dwudziestu krokach korytarz rozszerzał się w przestronną jaskinię, tak jak to zapowiedział Kronus.

Światło słoneczne wpadało do środka wieloma różnymi, cienkimi jak palec promieniami, a w całym tym gąszczu drgających, świetlnych palców rzeczywiście dojrzeli leżące pośrodku jaskini dwa grube, prostokątne pakunki, owinięte wieloma warstwami paproci i trzciny. Nieco dalej, z tyłu skalnego pokoiku, znajdowało się jeszcze posłanie, krzesło, a nawet mały stolik, na którym stały ułożone w stos rozmaite pojemniki. Ale Amos i Klara nie zwracali na nie specjalnie uwagi. W ciągu minionych tygodni naoglądali się tak wiele jaskiń i podziemnych domostw, że wystarczy im to na resztę życia. Dlatego też wzięli po jednym z owiniętych w zieleń pakietów z kartkami i znów wyszli na światło dzienne.

Tak szybko, jak tylko potrafili, pobiegli z powrotem do dawnego folwarku młyńskiego, a na miejscu zastali Kronusa żywo rozmawiającego z Hebedankiem. Gdy stary mędrzec dostrzegł Klarę i Amosa, podszedł do nich, uśmiechając się.

– Oczywiście zaraz dokładnie jeszcze sprawdzę – powiedział – czy wiernie zrekonstruowaliście *Księgę duchów*. Ale w przeciwieństwie do dobrego Hebedanka, niezbyt się o to martwię. – Wskazał na pakunki, które przynieśli Amos i Klara. – Ale najpierw wyświadczone mi tę przysługę i rozpakujcie oba rękopisy.

Amos i Klara nie dali się dwa razy prosić. Spod paproci i sitowia wyłoniły się dwa równie grube stosy papierów i oba były zapisane od pierwszej do ostatniej kartki wyraźnym pismem Kronusa.

Pierwszy z manuskryptów zaczynał się następująco:

*Dopiero za ostatnim zakrętem drogi na horyzoncie ukazała się zagroda i – jak zawsze w takiej sytuacji – serce Amosa zabiło szybciej na widok tej pełnej zakamarków drewnianej*

*chatki, do którą po lewą stronie przylegała waląca się obora, a po prawą – okolony chwiejącym się płotem ogród. A na samym końcu, na samym dole ostatniej ze stron, było napisane: Zadedykowane Amosowi von Hohenstein, który uratował przed zniszczeniem Księgę duchów.*

Natomiast drugi rękopis zaczynał się następująco:

*Zakujcie Amosa von Hohensteina w kajdany! Zawiążcie mu oczy i zakneblujcie usta! I nieważne, co się będzie działo – nie wolno wam w żadnym razie go rozpętywać. Czy rozumiałeś, Waldo? I również kończył się dedykacją: Dla Klary Thalgruber, która uratowała przed zniszczeniem Księgę duchów.*

Amos i Klara przewracali kartkami w swych dłoniach w tę i we w tę. Przez dłuższy czas nikt nie odezwał się ani słowem.

– A więc wszystko widzieliście? – zapytał w końcu Amos. – To, co przeżywaliliśmy i przez co musieliśmy przechodzić?

– Ale czy nie mogliście wcześniej – dorzuciła Klara od siebie – nadać temu straszliwemu biegowi wydarzeń jakiegoś szczęśliwego rozwiązania? W końcu wszystko to, co nam się przydarzało, zapisywaliście na tych kartkach?

Kronus pokręcił głową, a jego mina wyrażała współczucie i głębokie ubolewanie.

– Jakże chętnie bym to uczynił – powiedział – ale w głównym wątku tej opowieści nawet ja nie mogłem zmienić najmniejszego szczegółu. To, co przytrafiało wam się w rzeczywistości, dla mnie było wieloraką, burzliwą grą cieni na ścianach mojej jaskini, a jedyne, co mogłem uczynić, to opisywać te wszystkie wydarzenia moim własnym głosem i moimi własnymi słowami tak wiernie i kunsztownie, jak to tylko było możliwe.

Urwał i spojrzał w zamyśleniu na stosy papieru w rękach Amosa i Klary.

– I koniec końców to właśnie – dodał – świadczy o kunszcie bajora: nigdy nie zapomina, że jego sztuka jest tylko zwierciadłem, w którym wydarzenia odbijają się tak, jak przebiegały, lub jak przebiegać by mogły. Dobry gawędziarz wie aż nazbyt dobrze, że urzeka swych czytelników co najmniej w równym stopniu swoją sztuką bajania. Przetwarza obraz rzeczywistości, nadając mu w zagadkowy sposób poetycki wymiar. I bynajmniej nie czyni tego, wypaczając coś lub samowolnie zmieniając, lecz poprzez takie naświetlenie wszystkich

pozornych zawilosci i przypadków, aby jego czytelnik mógł w głębi ducha i na własną rękę odkryć fantastyczny związek łączący wszystko w jedną całość.

Starca zdawało się ogarniać tak wielkie zmęczenie, że niepewną ręką starał się oprzeć o pulpit.

– Tymczasem dawni prorocy i magowie pisma – ciągnął jednak dalej stanowczym głosem – wmawiali sobie i swoim zwolennikom, że są jedynie zwykłymi narzędziami i tubami wyższych mocy. Jednak duchy, które przyzywali, były w wielu przypadkach tylko ciemnymi wyobrażeniami i lękami, skrytymi pragnieniami i żądzami dochodzącymi z głębi ich własnych umysłów. Ale przecież oboje – zwrócił się do Amosa i Klary – przekonaliście się o tym podczas pobytu w Rogdr.

Znów milczał przez chwilę, patrząc w zamyśleniu w próżnię.

– Tak jak Bóg na niebiosach dowodzi zastępami swoich duchów – powiedział na zakończenie – tak samo poeta musi rządzić, niczym surowy władca, wszystkimi głosami i cieniami, które powołuje w swoich opowieściach do poetyckiego życia. Tylko w ten sposób będzie mógł wzniecić w swych czytelnikach dobre i pomocne siły, nie wyzwalając przy tym ciemnych mocy.

Kronus zamknął na krótko oczy i w tej chwili wydał się Amosowi wyczerpany i śmiertelnie znużony.

– W tym życiu pragnę jeszcze tylko jednego – dodał starzec przytłumionym głosem. – Chciałbym możliwe najszybciej poczuć w swoich dłoniach świeżo wydrukowany egzemplarz *Księgi duchów*.

Aby się to w końcu urzeczywistniło, trzeba było jeszcze zrobić kilka rzeczy. Kronus musiał po raz kolejny udać się za swój pulpit, za którym spędził połowę życia. Uważnie przeczytał wszystkie cztery opowieści od deski do deski, a następnie oświadczył, że nie znalazł najmniejszego odstępstwa od oryginału swojego manuskryptu.

– Najmniejsza nawet zmiana – rzekł do Amosa i Klary – mogłaby znacząco wpłynąć na odbiór całości. Pomyślcie tylko o białym koniu z drugiej opowieści. Z początku kazałem mu płynąć w dół rzeki bez żadnego wzoru na sierści. Ale moje poetyckie wycucie podpowiedziało mi później, że zdolność telepatii będzie o wiele lepiej wzbudzana w moich czytelnikach, jeśli ów siwek otrzyma dodatkowo tę sieć czarnych linii.

– I kierowaliście się wyłącznie swoim przeczuciem – spytała Klara – nanosząc tę zmianę?

Kronus sprawiał wrażenie zdziwionego.

– Ach, rozumiem, co masz na myśli – powiedział. – Johannes Mergelin z pewnością ci

opowiedział o spotkaniu dostojnych panów nad norymberskim więzieniem dla obłąkanych. – Zastanowił się nad tym przez chwilę. – Było to jedno z najbardziej chytrych kłamstw Cellariego – ciągnął dalej. – Nigdy bym się nie zdobył na to, by wypróbować magiczne działanie moich opowieści w tak bezwzględny sposób na niczego nie podejrzewających czytelnikach. Ale ty chyba nigdy poważnie nie uznałaś nas, mnie i matki Zofii, za zdolnych do takich rzeczy, nieprawdaż?

Spojrzał na Klarę podejrzliwym wzrokiem, a ta pospiesznie zapewniła go, że nie chciała zasugerować nic z tych rzeczy.

– Ach, moja droga Zofio! – westchnął Kronus. – Jeśli Bóg zechce, już wkrótce połączymy się na wieki.

Hebedank zrobił posępną minę.

– Zofia będzie musiała jeszcze na ciebie poczekać – warknął. – Najpierw pojedziemy do książkowego raj.

Kronus wyszedł zza swojego pulpitu, a jego twarz przybrała smętny wyraz.

– Wy pewnie z nami nie pojedziecie, wiem o tym – odezwał się do Amosa i Klary. – Ale gdybym jeszcze raz był młody, postąpiłbym dokładnie tak jak wy.

Klara spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Skąd wiecie, co postanowiliśmy, Amos i ja?

– Tego przecież nie wiem – odparł Kronus, a na jego twarzy znów zagościł łagodny uśmiech. – Widzę tylko po waszych obliczach, że płoniecie z miłości do siebie i jesteście podekscytowani czekającą was podróżą.

Amos i Klara oboje nieco poczerwienieli.

– Macie rację, panie – odparł Amos. – Nieco z zakochania i nieco z rozgorączkowania przed podróżą. Cały ten kraj, jak okiem sięgnąć, należy właściwie do mnie, ostatniego potomka rodu Hohensteinów. Ale Cellari i tak nie da nam tu żyć w spokoju. I jakże miałyby wyglądać takie życie? Mielibyśmy żyć jako chłopci w tej odległej dolinie lub jako rycerze na zacisznym zamku, w czasie gdy na wielkim świecie wszystko zdaje się wirować w pędzie, a w miastach rozkwitają sztuka, handel i rzemiosło?

Rzucił spojrzenie Klarze, a ta pociągnęła wątek.

– Dla nas obojga – powiedziała – nasza stara ojczyzna stała się za ciasna i zbyt mało gościnna. Chcemy jeszcze dziś osiodłać nasze konie i pojechać na południe, przez Alpy do Wenecji lub Florencji, do Arabii i Afryki, a nawet dalej, aż po same krańce znanego świata. A może nawet jeszcze dalej.

– Ale od czasu do czasu – teraz to Amos zabrał głos – będziemy powracać magicznym

lotem do naszej dawnej ojczyzny, by sprawdzić, czy *Księga duchów* znalazła już wielu czytelników, wyzwalając w nich przyjazną człowiekowi magię. Wtedy nadejdzie taki dzień, w którym i nasza opowieść, przedstawiona przez was w tych dwóch grubych tomach, zostanie wydrukowana i rozprowadzona po całym kraju.

– Ale zanim do tego dojdzie – dodała Klara – minie jeszcze pewnie wiele dziesiątek, jeśli nie setek lat.

Kronus zwięził oczy w wąskie szparki i spojrzał w kierunku zachodnim.

– Pięćset dwanaście lat – powiedział – żeby być dokładnym.

Znów spojrzeli na siebie ze zdziwieniem. Chcieli się dowiedzieć, skąd starzec czerpie swoją mądrość, jednak Kronus skwitował to wszystko uśmiechem. Umieścił prawą dłoń Klary w prawej dłoni Amosa, a następnie objął tak splecione ręce swoimi własnymi delikatnymi, starczymi dłońmi.

– W dawnych czasach, gdy świętowano czyjeś wesele i grali muzykanci, w pewnym momencie ktoś z gości weselnych wstawał, by wykonać jakąś pieśń dla młodych zakochanych – powiedział i zaczął śpiewać drżącym, a mimo to uroczym głosem:

*Ona obejmuje płonącą gwiazdę mgławicami,  
on całuje szumiące morze rozżarzonymi ustami.  
Stają się jednym, ogniem i żarem, ale tak,  
że morze nigdy nie wyschnie,  
a ogień nigdy nie zgaśnie.*

Kronus puścił ich ręce i uklonił się przed Amosem i Klarą.

– Z całego serca wam dziękuję – powiedział – i życzę wam błogosławieństwa Boga i Jego duchów na wszystkich waszych drogach.

# EPILOG



W połowie listopada 1499 roku, gdy we frankońskich górach na łąkach i drogach już dawno leżał szron, blisko cztery tuziny dystyngowanych panów zebrało się w pewnym ustronnym miejscu.

Działo się to w pewnym wytwornym dworku, położonym głęboko w lasach, nieopodal przysiółka, którego nazwa nie ma nic do rzeczy. Bo nazw, których się nie zna, nie można też zdradzić w więzieniu inkwizycji.

Rzeczeni panowie, którzy po części nosili cudzoziemskie brody i szaty, również woleli pozostać *incognito*. Hebedank poprosił ich, by pozostawili swoje konie w stajni i weszli do środka tylnymi drzwiami, nie wzbudzając sensacji.

Ciemnym korytarzem panowie przeszli do sali, której ściany były ozdobione porożami jeleni, głowami dzików, a także wieloma różnymi wypchanymi myszołowami i sowami. Jednak goście nie okazywali szczególnego zainteresowania tego rodzaju myśliwskimi trofeami.

Pośrodku sali stał potężny, długi stół, a na nim leżało kilkaset książek, ułożonych w stosy. Wszystkie te książki wyglądały bez wyjątku tak samo: były oprawione w czarną skórę, miały okucia i klamry z polerowanej miedzi. Z przodu na okładce panowie znaleźli wycięty na każdym egzemplarzu tym samym charakterem pisma napis:

## *KSIĘGA DUCHÓW pióra Valentina Kronusa*

Nieco bardziej z tyłu w sali stał stary mężczyzna, który delikatnie uśmiechał się z zadowoleniem. W rękę trzymał otwartą taką samą książkę, jednak jego dłonie spoczywały w bezruchu na kolanach, a spojrzenie siwowłosego mężczyzny wędrowało ponad wszystkimi książkami i głowami.

Żaden z panów nie wiedział, kim jest ten krucho wyglądający starzec. Jednak w gruncie rzeczy było im to obojętne. Otrzymali tajemniczo brzmiące zaproszenie od niejakiego Hebedanka, który utrzymywał, iż jest w posiadaniu najdrogocenniejszej ze wszystkich książek, pokątnie złożonej, wydrukowanej i oprawionej w nakładzie co najmniej pięciuset

egzemplarzy. Panowie pospiesznie przybyli do tego trudnego do znalezienia miejsca, część z nich nawet z daleka, a wszyscy, narażając się na wielkie niebezpieczeństwo. Teraz okrążyli stół, na którym leżał stos wielu egzemplarzy tak zwanej *Księgi duchów*.

Już sam widok tych starannie oprawionych książek, zapach papieru, farby drukarskiej i świeżo wygarbowanej skóry przyprawiał zgromadzonych panów o szybsze bicie serca. Oni także byli na swój własny sposób łowcami książek, którzy jednak nie niszczyli ich ani nie zamykali w więzieniach, lecz sprzedawali je nowym klientom w swoich rodzinnych miastach. W razie konieczności spod lady, jeśli chodziło o książki, których cenzor nie chciał dopuścić do druku.

Tylko z wielkim trudem księgarzom udawało się opanowywać nieodpartą chęć, by już od razu zagłębić się w jeden z wielu przygotowanych dla nich egzemplarzy. Magia *Księgi* – tego ostrzeżenia użyto, by ich tu wszystkich zwabić – działa już od pierwszej przeczytanej linijki. I mimo że żadna z czterech zawartych w nim opowieści nie wykraczała poza dwa tuziny stron, każda na co najmniej połowę dnia wprawiała swoich czytelników w czarowne uniesienie.

Gdy w końcu zebrali się wszyscy zaproszeni goście, głos zabrał pewien przysadzisty mężczyzna w średnim wieku. Można by było uznać go za chodzącą ołowianą czcionkę, tak równomiernie szara była jego powierzchowność. Sam miał własnoręcznie złożyć *Księgę duchów*, przeczytać tekst po korekcie, wydrukować książkę i ją oprawić, a następnie w pocie czoła ułożyć wiele jej egzemplarzy w stosach na stole. Powiedział, że nazywa się Hebedank, choć w rzeczywistości nie było to jego prawdziwe nazwisko.

(Tak naprawdę nazywał się Johann Bartholomaus Denk, jednak ze skromności już w młodych latach wołał używać krótkiej formy Hans B. Denk lub nawet H. B. Denk. Ale gdy odkrył swoje powołanie jako zecer, także te dwa skróty nazwiska nie wchodziły już w rachubę. „Hans B. Denk” za bardzo przypominało błąd zecerski, a „Habe Denk” brzmiało nawet jak gramatyczna wpadka. „Hans, bedenkm”<sup>9</sup>, napomniał się Johann Bartholomaus i znalazł wtedy rozwiązanie, zgodne z naturą zecera: zamienił miejscami dwie samogłoski, usunął spację – i od tej pory nazywał się Hebedank).

– Wielce szacowni panowie księgarze – ciągnął dalej Hebedank. – *Księga duchów* odmieni ten świat. Cenzura i inkwizycja starały się ze wszystkich sił zapobiec jej rozpowszechnianiu, tak więc nie mieliśmy wyboru i musieliśmy ją potajemnie wydrukować. *Księga duchów* wywołuje w swoich czytelnikach zdolności uprawiania magii – zdolności, które prędzej czy później złamią potęgę i samowolę inkwizytorów i cenzorów. Lecz ci jeszcze

---

<sup>9</sup> *Bedenkm* (niem.) – rozważać, zastanawiać się.

nie przegrali ostatecznie tego boju; w skromnych warunkach tajnego, ulokowanego w piwnicy warsztatu drukarskiego udało mi się na razie wydrukować i oprawić tylko te pięćset egzemplarzy książki o duchach. Jeśli łowcy książek zorientują się, że to, rzekomo szatańskie, dzieło nie zostało jednak zniszczone raz na zawsze, nie będą szczędzić wysiłków i środków, by znaleźć się w jego posiadaniu i zniszczyć absolutnie każdy egzemplarz. Czeka na was taka liczba książek, jaką u mnie zamówiliście. Zabierzcie je i wracajcie do waszych rodzinnych miast. Tam czyńcie starania, by *Księga duchów* znalazła możliwie wielu czytelników. Dziękuję wam wszystkim, że zechcieliście tu przybyć, także w imieniu...

Odwrócił się i wskazał na krzesło, na którym jeszcze przed chwilą siedział tamten stary mężczyzna. Jednak krzesło było puste, leżała na nim jedynie otwarta książka, opatrzona odręcznie napisaną dedykacją.

Hebedank uniósł ramiona w bezradnym geście ubolewania. Jego mina przez cały czas pozostawała tak samo posepna, a jego mowie brakowało wszelkiej wzniosłości. Jednak nikt ze zgromadzonych księgarzy nie dziwił się temu. Ten mężczyzna był w końcu zecerem, a przedstawiciele tego cechu nie potrafili inaczej, jak tylko nieustannie troskać się i gniewać. Nawet jeśli starannie składali ołowiane czcionki i z pełną nieufnością, wyrafinowaną techniką czytania trzykrotnie przeprowadzali korektę, to i tak chochlik za każdym razem płatał im drukarskie figle.

Księgarze, jeden po drugim, podchodzili do Hebedanka i przyjmowali swoje pakunki lub też całe skrzynie wypełnione świeżo wydrukowanymi książkami o duchach. Za powierzone mu *Libri degli Spiriti* podziękował z żarem w oczach jeden z panów, który, ku powszechnemu zdziwieniu, miał na sobie złociste buty jeździeckie. Pewien czerwonolicy księgarz z podkreślonymi wąsami aż promieniał z zachwytu nad otrzymanym pakunkiem z *Libros de los Espiritus*. Rosły mężczyzna o rudych jak lisia kita włosach i połyskujących zielonych oczach przyjął, skłaniając się sztywno, egzemplarze *Books of Spirits* i chciał dowiedzieć się jeszcze od *Mistera Hiebedenka*, kim jest *this young ghost lady with green fairy eyesm*, którą jeszcze przed chwilą widział, jak fruwa po całej sali wraz ze swoim *smiling lmiernghostn*.

Zecer Hebedank potrzebował nieco czasu, zanim jako tako zrozumiał cokolwiek z „chińszczyzny” irlandzkiego księgarza. Potem rozejrzał się badawczym wzrokiem po sali, jednak znów mógł tylko odpowiedzieć swoim bezradnym gestem ubolewania.

Poza tym kilku panów chciało się dowiedzieć od niego, czy sam przeczytał już *Księgę duchów*.

– Już trzy razy, ale tak, jak to zwykli czynić zecerzy – odpowiadał raz po raz Hans B.

Denk, robiąc przy tym ponurą minę.

– Najpierw, litera po literze, podczas składania, a potem podczas korekty dwukrotnie, linijka po linijce.

Panowie spoglądali ze wzruszeniem i czcią. W ciszy rozjechali się na wszystkie strony świata, ich torby u siodła były wypchane aż po brzegi, a ich juczne konie obładowane skrzyniami z książkami.

Hebedank pozostał sam w tym ustronnym dworku. Na stole nie było już ani jednego egzemplarza książki, a ten ponury mężczyzna podszedł do krzesła, z którego zniknął tak niepostrzeżenie Kronus. Podniósł książkę o duchach i przeczytał, co ten stary mędrzec napisał na jej pierwszej stronie, tuż pod tytułem:

*Przyjmij podziękowania, mój drogi przyjacielu – i błogosławieństwo Boga i jego duchów dla Ciebie i twego świętego zawodu.*

V. K.

„... ten duch młodej damy o połyskujących zielenią oczach”,

„... roześmianym duchem swego ukochanego”.

# POSŁOWIE

## **KSIĄŻKI O DUCHACH I MAGIA PISMA**

OPUS rozgrywa się w burzliwej epoce – na przełomie średniowiecza i czasów nowożytnych. Tło historyczne przedstawiłem już szczegółowo w posłowniu do pierwszego tomu – *Zakazana księga*. W tym miejscu powinno wystarczyć kilka uzupełniających informacji na temat relacji między poezją a prawdą w drugim i ostatnim tomie mojej powieści.

### **Opat Trithemius i księga o duchach planet**

Johannes Trithemius naprawdę żył w tamtych czasach (1462–1516) i działał jako opat klasztoru w Sponheim. Tajne stowarzyszenie Opus Spiritus i jego *Księga duchów* są wprawdzie zmyślane, ale współcześni Trithemiusowi uczeni spodziewaliby się po swoim „papieżu ksiązek”, że skupił wokół siebie tego rodzaju „magiczne sprzysiężenie”. Trithemius należy bez wątpienia do najbardziej fascynujących i sprzecznych postaci swej epoki: wpływowy człowiek Kościoła i obsesyjny kolekcjoner książek, który zgromadził jedną z najbardziej drogocennych bibliotek XV w. i sam napisał liczne książki – między innymi dzieło pod tytułem *Chronologia mystica (Chronologia mistyczna)*, w której potężne duchy odgrywają niemal kosmiczną rolę.

Dzięki swemu czytaniu i jedynej w swoim rodzaju kolekcji rzadkich pism, zyskał szczególną sławę wśród uczonych swoich czasów. Jednak główny ciężar jego bibliomanii ponosili mnisi klasztoru w Sponheim – Trithemius wydawał każdego zainkasowanego przez klasztor halerja na kosztowne rękopisy i goszczenie uczonych odwiedzających bibliotekę, aż jego bracia zbuntowali się przeciwko niemu. Podłożyli ogień w bibliotece i zmusili go do opuszczenia klasztoru.

Przez wzgląd na dramaturgię swej powieści powiązałem ze sobą wiele poświadczonych historycznie wydarzeń w brzemiennej w symboliczne znaczenia roku 1499, mimo że kilka z nich w rzeczywistości miało miejsce parę lat wcześniej lub później. Jedyna w

swym rodzaju kolekcja ksiązek Trithemiusa rzeczywiście, przynajmniej częściowo, padła ofiarą pożaru, jednak doszło do tego dopiero w 1505 r. Udział inkwizycji w tej haniebnej akcji nie jest poświadczony historycznie; nie można jednak podważyć faktu, iż papiescy strażnicy wiary podejrzliwie przyglądali się działaniom „papieża ksiązek” ze Sponheim – poza poważanymi rejestrami duchownych pisarzy (które wzbogacił jednak o wiele zmyślonych osób, dzieł i cytatów) Johannes Trithemius napisał także kilka dzieł o tematyce „czarnoksięskiej”.

To, gdzie dokładnie przebiega granica między białą – „boską” – i czarną – „diabelską” – magią, było trudne do ustalenia także dla biegłych w piśmie i magii uczonych tamtych czasów. Trithemius zaklinał się, że jest wprawdzie „filomagiem”, miłośnikiem magii, przez co należy oczywiście rozumieć białą magię, a więc na przykład zaklęcia uzdrawiające lub też telepatię. Jednak parał się także takimi magicznymi praktykami, które jego kościelni przełożeni napiętnowali jako diabelską czarną sztukę lub czary – przykładowo przewidywaniem przyszłości lub zaklinaniem duchów.

Tymi zakazanymi odmianami magii miał zajmować się wyłącznie z naukowych pobudek – tak przynajmniej zapewniał sam Trithemius – by ustrzec niepewnych moralnie ludzi przed obraniem złej drogi, niechybnie prowadzącej do piekła. Jednak w rzeczywistości uważał się za członka tajnego związku wyznawców magii, składającego się ze starannie dobranej gromadki „wtajemniczonych”, którego członków bynajmniej nie zadowalały akceptowane przez Kościół zaklęcia uzdrawiające.

W roku 1495 opatowi klasztoru w Sponheim miał złożyć wizytę wysoce tajemniczy gość, mag o nazwisku Libanius Gallus, którego Trithemius słaWił później wielokrotnie jako „ter magus” – „po trzykroć wielkiego maga”. To określenie charakteryzuje Gallusa jako oświeconego wyznawcę hermetyzmu, zwolennika okultystyczno–religijnego kierunku, którego nazwa wywodzi się od mitycznej postaci jej założyciela – Hermesa Trismegistosa.

W tradycji hermetystycznej objawienia okultystyczne od późnej starożytności były zawsze przekazywane przez mistrza wybranemu przez niego uczniowi, a dzięki temu chronione przez całe wieki i tysiąclecia przed zapomnieniem. Jednocześnie pozostawały ukryte przed „niegodną”, masową społecznością miast i wsi. Trithemius głoSił, że Libanus Gallus był uczniem pewnego hiszpańskiego eremity o imieniu Pelagiusz i odziedziczył po nim jego wiedzę i okultystyczne pisma. Według własnego świadectwa, opat klasztoru w Sponheim miał zostać wtajemniczony w hermetystyczne misteria właśnie przez tego „po trzykroć wielkiego” mistrza, a we wspomnianej już *Chronologia mystica* Trithemius daje zdumiewającą próbkę swojego magicznego „oświecenia”.

*Chronologia mystica* ukazuje się w roku 1508, a Trithemius utrzymuje w tym dziele, że nasz świat jest rządzony przez siedem „duchów planet”. To sam Bóg miał ustanowić te duchy u zarania dziejów, by każdy z nich czuwał, jeden po drugim, nad Ziemią i ludzkością przez okres 354 lat i czterech miesięcy, i by w tym czasie kierował losami wszechświata poprzez swoją mądrość i temperament. Według Trithemiusa, chcąc nawiązać kontakt z tymi duchami, trzeba oddać się określonym praktykom magicznym, a za ich pośrednictwem na przykład wejrzeć w przyszłość lub komunikować się z dawno zmarłymi osobami. Wszystkie te poglądy były z punktu widzenia Kościoła katolickiego kacerstwem karanym stosem – jednak Trithemius znów zapewnia, że jedynie przekazuje nauki starożytnych uczonych, nie dzieląc w istocie tych poglądów.

Co zdumiewające, udaje mu się przeforsować swoje stanowisko za pomocą przejrzystego usprawiedliwienia w *Chronologia mystica*. Trithemius zadedykował między innymi swoje dzieło arcykatolickiemu cesarzowi z dynastii Habsburgów, Maksymilianowi I, najpotężniejszemu spośród jego licznych mecenasów.

### **Klasztor Szkotów w Wurzburgu**

Do wpływowych protektorów Trithemiusa należał także książę biskup Wurzburga, Lorenz von Bibra, który zaoferował mu w 1506 r. kierowanie klasztorem Szkotów pod wezwaniem św. Jakuba w Wurzburgu. Przepędzony ze Sponheim „papież ksiązek” przyjmuje tę ofertę z prawdziwą ulgą – inaczej niż to przedstawiłem w mojej powieści. W tym czasie bowiem miał już Trithemius za sobą wielomiesięczną tułaczkę, więc czuł się osłabiony i zniechęcony. Wprawdzie będzie kierował klasztorem w Wurzburgu jeszcze przez następne dziesięciolecie, ale już chyba nigdy nie przeboleje straty jedynej w swoim rodzaju kolekcji ksiązek w Sponheim. Umiera w roku 1516, w wieku 54 lat, i jeszcze w roku swojej śmierci uskarża się w listach, że jest odcięty od swoich ksiązek. W rzeczywistości jednak nie musiał znieść napadu inkwizycji na klasztor Szkotów.

Ponieważ cesarz i książę biskup roztaczali nad nim ochronę, Trithemius i cały Wurzburg uniknęli eksplozji skrzyń z prochem strzelniczym.

Nazwa klasztor Szkotów odsyła do trzech iroszkockich misjonarzy – Totnana, Kiliana i Kolonata, którzy zainicjowali w drugiej połowie VII wieku chrystianizację Frankonii. Nie istnieją żadne świadectwa mówiące o tym, czy „szkockie błonia”, na których jeszcze dziś stoi klasztor, były miejscem kultu już w czasach przedchrześcijańskich. Nie ulega jednak wątpliwości, że Góra Maryi, na której wzniesiono później twierdzę książąt biskupów, w

czasach starożytnych była zasiedlona przez Celtów. Około 1000 roku przed Chrystusem znajdowała się tam celtycka twierdza obronna, można zatem przyjąć, że szczyt góry przez całe tysiąclecie służył za „pogańskie” miejsce kultu i składania ofiar.

### **Siedem duchów i Księga Boga w Biblii**

Swoimi „heretyckimi” spekulacjami na temat „duchów planet” Trithemius przynajmniej częściowo nawiązuje do przekazu biblijnego. Przede wszystkim *Apokalipsa według św. Jana* zawiera kilka zaskakujących wypowiedzi na temat istnienia i działania tych duchów w niebie i na ziemi. „A z tronu wychodzą błyskawice i głosy, i gromy, i płonie przed tronem siedem lamp ognistych, które są siedmiu Duchami Boga” (Ap 4, 5)<sup>10</sup>.

Także porównanie boskiego stworzenia z *Księgą*, którego dopuszcza się wielokrotnie w powieści brat Egbert, można znaleźć już w *Apokalipsie według św. Jana*. „Niebo zostało usunięte jak księga, którą się zwija” (Ap 6, 14) – czytamy tam we fragmencie opisującym profetyczną wizję Sądu Ostatecznego.

I nie inaczej, jak Kronus lub Trithemius, czy Amos i Klara w mojej powieści, także biblijny prorok Jan zyskał swoje magiczne moce, po tym jak przyjął do siebie księgę o magicznym działaniu – nawet w dosłownym znaczeniu tego słowa: „I ujrzałem innego potężnego anioła, zstępującego z nieba... i w prawej ręce miał otwartą książeczkę... A głos, który słyszałem z nieba, znów usłyszałem, jak zwracał się do mnie w następujących słowach: «Idź, weź księgę otwartą w ręce anioła stojącego na morzu i na ziemi!». Podszedłem więc do anioła, mówiąc mu, by dał mi książeczkę. I rzecze mi: «Weź i połknij ją, a napelni wnętrzości twe goryczą, lecz w ustach twych będzie słodka jak miód». I wziąłem książeczkę z ręki anioła i połknąłem ją, (Ap 10, 1–10).

W okresie od „jadalnej” książeczki anioła aż do dzieła Trithemiusa o duchach planet pojawiło się kilka pism, które niezwykle zajmowały ludzi w tamtych czasach – i które udzielały swoim czytelnikom „magicznych” mocy. Jednak ważnym przesłaniem, że magia będzie mogła przetrwać już tylko w formie sztuki, Kronus i „poeci” z kręgu *Opus Spiritus* zdecydowanie wyprzedzali swoją epokę. Nawet wybitni uczeni schyłku średniowiecza postrzegali stare sposoby myślenia o magii i jej praktykowania z oczywistością, jako sposoby doświadczania i działania, po które można sięgnąć, by zrealizować zamierzone cele – jeśli tylko dana osoba posiadała wymaganą wiedzę tajemną (i miała się na baczności przed inkwizycją).

---

<sup>10</sup> Wszystkie cytaty z Biblii na podstawie: Pismo Starego i Nowego Testamentu, Pallottinum, Poznań 1980.



## **Pogańska magia pisma**

Gdy w VII w. do okolic dzisiejszego Wurzburga dotarli pierwsi szkoccy misjonarze, Frankonię zasiedlali jeszcze w dużej mierze „pogańscy” Germanie. Czcili bogów Odyna i Tora, a także boginie Frigg i Fyllę. Germanie posiadali swój własny system znaków, składający się z 24 run, którymi pisano w Europie jeszcze w XIV w. Jednak wraz z postępującą chrystianizacją pismo germańskie zostało wyparte w tej samej mierze, co wiara w stare bóstwa.

Wśród Germanów pisać potrafiła tylko nieliczna warstwa uprzywilejowanych kapłanów i pisarzy – z wyjątkiem południowej Skandynawii, gdzie pismo runiczne było najbardziej rozpowszechnione. Run używano głównie w inskrypcjach – dla upamiętnienia nadzwyczajnych osób lub wydarzeń, a także do celów magicznych. W tak zwanej *Eddzie Poetyckiej*, zabytku piśmiennictwa islandzkiego, jest mowa o czarodziejskich runach i zaklęciach, które bóg Odyn miał podsłuchać u duchów w godny uwagi sposób: przez całe dziewięć dni zwiślał z drzewa świata Yggdrasil głową w dół, aż została mu objawiona magia runiczna, a on mógł się uwolnić z jej pomocą. Tak jak to też zostało przedstawione w mojej powieści, określone magiczne runy ryto w ziemi, na progach drzwi lub broni, by zebrać bogate żniwo, uchronić własny dom przed wrogami lub uczynić niezwyciężonymi własny miecz lub włócznię. Poświadczono są także zwyczaje związane z wyroczniami dysponującymi kijami pokrytymi runami, które były rzucane przez kapłanów–magów i z pomocą których wróżono.

Dziś nie da się już jednak stwierdzić, w jaki konkretny sposób germańscy magowie pisma dowiadywali się, które runy służą do osiągnięcia takiego lub innego celu. Przekaz pisemny jest bardzo szczątkowy, zwłaszcza że w kulturach germańskich wiedza ezoteryczna była przekazywana ustnie. Tak więc kult magii runicznej mógł przebiegać podobnie do tego opisanego w powieści pod świętym gajem w Rogdr. Jednak zarówno samo miejsce kultu, jak i przedstawione rytuały zmyśliłem i wykreowałem, korzystając z *licentia poetica*, skoro źródła na ten temat są wyjątkowo skąpe.

W rzeczywistości istniał i wciąż istnieje rozległy system jaskiń we frankońskich górach nieopodal Pottenstein, przez który Amos i Klara uciekają wraz z pobożną gromadką brata Egberta przed łowcami kacerzy. „Diabelska Jaskinia” z imponującą „olbrzymią salą” już w epoce kamienia łupanego służyła jako miejsce kultu, a wiele różnych stalagmitów i stalaktytów od dawien dawna pobudzało ludzką wyobraźnię do najrozmaitszych interpretacji. Przy niewielkiej dozie fantazji można tam odkryć olbrzymie figury, wieże, ambony, kopuły – i otwartą, kamienną księgę.

## **Falszywe zakonnice w klasztorze Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny**

Historycznie jest także poświadczony wątpliwy status zakonnice w klasztorze Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny przed bramami Norymbergii. Klasztor ten został założony w XIV w. przez bogate damy norymberskie, którym zbrzydło życie świeckie. Znajdował się pod patronatem cesarza Ludwika IV Bawarskiego (ok. 1281–1347), który był jednak prześladowany jako kacerz przez papieża i został ekskomunikowany. Dlatego też Watykan nie uznawał klasztoru Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, mimo że zakonnice żyły w nim według surowej reguły zakonu augustianów. Te nieporozumienia są już od dawna przezwyciężone w roku 1499, kiedy to w mojej powieści falszywe zakonnice, matka Maria i jej siostry, prowadzą swoją grę pomyłek w szpitalu Świętego Ducha. Jednak gdy pod koniec XV w. mówi się o „falszywych augustiankach”, to zawsze w pierwszej kolejności wymienia się damy–fundatorki z klasztoru Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny.

Szpital Świętego Ducha, położony nad rzeką Pegnitz, był wówczas rzeczywiście największym szpitalem i hospicjum w Norymberdze i okolicach. Prawdą jest również, że w tej potężnej budowli przechowywano regalia cesarskie. Istniał też most, skąd Klara i „prawdziwa” matka Zofia uciekały przed łowcami kacerzy.

## **Magia i czar maszyn**

Uwagi moich czytelników nie ujdzie chyba fakt, że członkowie Opus Spiritus są wprawdzie zafascynowani starą magią, jednak w razie wątpliwości zdają się raczej na cudowne dzieła techniki.

I tak Kronus posiada w swoim folwarku młyńskim tajną drogę ucieczki z mechanizmem składającym się z łańcuchów i sprężyn, a w klasztorze Sponheim Trithemiusowi udaje się zbiec przed inkwizycją tylko dlatego, że zainstalowano tam – wyprzedzając bieg zdarzeń – podobne urządzenie. Także piekielne wycie, za pomocą którego udaje mu się przestraszyć swoich prześladowców, opat wywołał nie poprzez przyzywanie demonów, lecz inicjując eksplozję chemiczną. „Falszywe zakonnice” z matką Marią na czele pozbywają się łowców ksiązek przy użyciu zmyślnego fortelu, który również opierał się na wyrafinowaniu technicznym, a nie na magii: karetę, która wpada z impetem do Menu na oczach Skythisa i Johannes Mergelina, ciągną naturalnej wielkości drewniane konie z mechanicznym napędem. I nawet wejście do magicznej świątyni pogan, pod pustelnią wurzburską, jest otwierane i zamykane za pomocą kunsztownego mechanizmu.

Nie można jednak na tej podstawie wysnuć wniosku, że w ostatecznym rozrachunku Trithemius, Kronus i inni członkowie loży mniej ufali magicznym mocom niż mechanice. W tamtych czasach raczej nie rozróżniano tak zdecydowanie sztuki magicznej i inżynierskiej, co nam się dzisiaj wydaje oczywiste. Twórcy większości genialnych dzieł, na przykład budowniczy katedry w Kolonii, posądzeni byli przez ówczesną społeczność o zawieranie paktu z nadnaturalnymi mocami – czy to diabelskimi, czy też niebieskimi. W mojej powieści tę podejrzliwość odczuwa na własnej skórze Amos, gdy podróżuje do Norymbergii w stroju czeladnika murarskiego. Aura niesamowitości, która przez całe stulecia otaczała „wolnomularzy”, sprowadza się do „typowo średniowiecznej” insynuacji, jakoby cudowne dzieła techniki były możliwe do osiągnięcia tylko wtedy, gdy budowniczemu sprzyjały duchy tej czy innej proveniencji.

A dotyczyło to w szczególności sposób rewolucyjnej maszyny, skonstruowanej pod koniec XV w. przez Jana Gutenberga (1400 – 1468). Mechaniczna prasa drukarska z ruchomymi metalowymi czcionkami uchodziła za wysoce podejrzany twór magiczny, i to nie tylko w oczach cenzorów i watykańskich strażników wiary, lecz także w opinii większości ludzi tamtych czasów. Jakże to było możliwe, że książki dawały się nagle powielić w setkach egzemplarzy w ciągu zaledwie kilku dni, skoro do tej pory nawet doświadczony skryba potrzebował wielu miesięcy lub nawet lat na to, by stworzyć jedną tylko rękopiśmienną kopię? Wszystko to wydawało się raczej niemożliwe bez wsparcia ze strony jakichś nadnaturalnych mocy.

To, że w przypadku prasy drukarskiej „czarnoksiężnika” Gutenberga rzeczywiście chodzi o magiczną maszynę, można zresztą zaobserwować i dziś – wystarczy bowiem dostrzec, w jak cudowny sposób książki wpływają na umysły i serca czytelników. Rozpalają naszą wyobraźnię, wzbudzają w nas zdolność wczuwania się w inne osoby, przenoszenia się do odległych miejsc i zamierzchłych epok. Dzięki temu genialnemu wynalazkowi i my, jako czytelnicy, możemy jak Hermes Trismegistos stać się po trzykroć wielkimi magami w czarodziejskiej krainie narracyjnej fantazji.

*Andreas Goessling*  
*Coburg, maj 2010*

## Nota o Autorze

**Andreas Goessling** (ur. w 1958 r. ) mieszka i pracuje jako pisarz freelancer w Coburgu, jest autorem powieści dla dorosłych i młodych czytelników. Doktoryzował się z literaturoznawstwa i nauki o komunikacji społecznej. Od wielu lat zajmuje się tematyką związaną z historią mitów i kultury, w szczególności zaś kulturą Majów, mitami o smokach oraz średniowieczną magią i alchemią. i Ap 4, 5, cyt. za: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Pallottinum, Poznań 1980. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).